

PRL
jak cudnie się żyło!

■

φWAW.IVajlepszyPrezeiit.PL
TWOJA KSIĘGARNIA INTERNETOWA
Zapoznaj się z naszą ofertą w Internecie i zamów, tak jak lubisz:
sklep@NajlepszyPrezent.pl
+48 61 652 9260
+48 61 652 92 00
Publicat S.A., ul. Chlebowa 24, 61-003 Poznań
książki szybko i przez całą dobę • łatwa obsługa * pełna oferta • promocje

Wydawca oświadcza, iż dotożyt należytej staranności celem poszanowania praw autorskich twórców poszczególnych ilustracji (fotografii), z uwzględnieniem możliwości dozwolonego użytku publicznego oraz zasady prezentacji nazwisk i dzieł w końcowej części publikacji. W razie jakichkolwiek uwag prosimy o kontakt z działem gromadzenia zbiorów wydawnictwa.

Fotografie na okładce - hasło socjalistyczne: „Koledzy! Czekamy na wasze wnioski racjonalizatorskie”, fot. Michał Kułakowski/Forum; milicjantka kierująca ruchem w Gdyni, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP; strajk w Stoczni im. Lenina w Gdańsku, 1980, fot. Chris Niedenthal/Forum
Współpraca autorska - Dorota Górską

Koordinacja prac-Justyna Sell
Redakcja-Magdalena Drukort

Gromadzenie materiału fotograficznego - Bartosz Ciepłuch

Projekt okładki - Michał Pańczak

Projekt graficzny i realizacja-Tomasz Piątkowski

Edycja zdjęć - Marek Nitschke

Korekta - Eleonora Mierzyńska-Iwanowska,

Anna Olsztyn-Patyk, Justyna Sell

© Publicat SA, MMVIII

Without infringement of the copyright
of individual works contained in this book

AM rights reserved

ISBN 978-83-245-1506-6

Publicat S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 061 652 92 52, fax 061 652 92 00

e-mail: publicat@publicat.pl

www.publicat.pl

Wiesław Kot

PRL

jak cudnie się żyło!

φ

publicat

' WYDAWNICTWO

A to Polska właśnie...

„Pierwszy” na cokole 6

Tort z kamienia	8
O dalszy, pomyślny...	10
Aby Polska rosła w siłę...	12
Wchodzi milicjant do księgarni...	14
Pacanów od morza do Tatr	16
Rzeczpospolita skrajności	18
Kraj na taśmie	20
Cuda na szkle	22
Polska chrześcijańska kontra socjalistyczna	24
Zstąpienie Ducha	26
„Miasto moje, a w nim...”	28
Miasto pod hejnałem	30
Po cichu, od podstaw	32
Szuflandia	34
„Polski mam paszport na sercu...”	36
Jak na lekarstwo	38
Wesołe autobusy	40
Skrzynka kontaktowa	42
Baczność!	44
Polska spekulanka	46
Socjalizm pod lodem	48
Ala nie ma kota	50
Kraj pod paragrafem	
Hołdownicy palki	52
Ucho i oko milicji	54
Na rympal	56
Nalot na niebieskie ptaki	58
Zawód miłosny	60
Blask mamony	62
Śmierć za wędliny	64
Skorpion zabija nocą	66
Brudne strzykawki Pod paragrafem	
Herosi popkultury	
Epopeja spod gruzów	
Śmierć mówi w moim imieniu	
Indiana Jones znad Wisły	
Poetessa	
Pierwszorzędna drugorzędna	
Misjonarka miłości	
Porucznik Kwaśniak na tropie	
Superman w niebieskim mundurze	
Ormowiec na tropie skarbów	
Epopeja na gąsienicach	
J-23 znowu nadaje...	
Pod prąd	
„Po co jest ten miś?”	
Najlepsze kasztany,	
Kargule i kobieta pracująca	

Kmicic na kontrze	
Prosimy nie regulować	
Dyktatorzy i kokietki	
Zycie w eterze	
Szron na głowie, w sercu maj	
Mistrzowskie „rozkręcajko”	
Pocałujcie nas w usta!	
Kwiatek do kożucha	
Górski i jego orły	
Od srebra w dół	
Kolarstwo polityczne	
Blask estrady	
Piosenka Bursztynowego Słowika Komu piosenkę? Rzędy falują Estradowcy i posągi	
300 tysięcy gitar nam gra...”	130
^zy mnie jeszcze pamiętasz...	132
he spoczniemy	134
niezatapialna	136
Jic nie może wiecznie trwać	138
ja też chciałem grać...	140
litarowa generacja	142
atysfakcja dla wybranych	144
Kraj na co dzień	
ani pozwoli...	146
odzieranie nosa	148
lój kawałek podłogi	150
ła wysoki połysk	152
ierwszy haust luksusu	154
uz ponad wszystko!	156
pódniczki z harcerskiej kraj ki	158
7 kancik	160
)braz kontrolny	162
ociąg do Hollywood	164
lala czarna, duże piwo	166
art z parteru	168
Jo to siup!	170
otlet z kaszanki	172
lerata drugiej świeżości	174
ycie na złom	176
iyganie żyją z cyganatu	178
>dpór udzielony mistrzowi	180
aaaby kupić...	182
3odobno wczoraj...”	184
azdrość i medycyna	186
/oj na domowa	188
okazówka	190
chałupy welcome to...	192
/siadaj pan!	194
lalo! Mówi się!	196
Inseminatorzy dla żartu	198
BileterkidoWC	200

„Wysłałam do dyrekcji”	202
Cyfrowe liczydła	204
Zbieracze poroży	206
Do białego rana	208
Ósmy dzień tygodnia	210
„W tych góralskich lasach...”	212
Kraj (daleko) za miastem	214
Imperium brudasów	216
Rynek socjalistyczny	
Zróbmy to sami	218
Afrontem do klienta	220
Bielizna pachnąca jałowcem	222
Konsumpcja, pałka, gaz	224
Talerz dla milionów	226
Wars wita was!	228
Legenda asfaltu	230
Polskie drogi, polskie konie	232
Pojazd ludowy	234
Mały, ale kultowy	236
Przepraszam, pan ostatni?	238
Polecamy kapustę...	240
To idzie młodość	
Dżez, bugi-ugi!	242
Wsiadaj, bracie!	244
z nożyczkami gania...”	246
Zabawa w stylu folk	248
Młoda Polska	250
Złote lata	252
Spis ilustracji	254
PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!	

na c©kole

Łączył w swym ręku uprawnienia prezydenta, premiera i sędziego Sądu Najwyższego. Gdyby jeszcze założył dynastię, miałby iść królewską władzę.

Bierut z Bierutowic

Wódz partii nie pochodził z wyboru, nie notował sukcesów w polityce i gospodarce. Nie zasługiwał więc na uznanie. Mógł się tylko otoczyć kultem. Z tym że w początkach Polski Ludowej nikt jeszcze nie wiedział, jak się taki kult organizuje. Poligonem okazało się wyniesienie do najwyższych godności partyjnych i państwowych Bolesława Bieruta. Jeszcze do 1947 roku, kiedy objął urząd prezydenta RP, Bierut nosił baldachim na procesjach Bożego Ciała. Potem już sam stanął pod baldachimem. Został „pierwszym obywatelem” Polski. Jego imieniem zaczęto nazywać co ważniejsze instytucje w kraju: uniwersytet we Wrocławiu, hutę w Częstochowie czy Fabrykę Samochodów Ciężarowych w Lublinie. On sam rzadko urzędował w Warszawie. Dużo i chętnie przebywał - jak każdy stalinowski biurokrata - w rządowych willach w Łańsku, Sopocie, a także w Karpaczu. Wieś leżącą w sąsiedztwie górskiego uzdrowiska na cześć prezydenta przemianowano nawet na Bierutowice.

Bolesław bojownik

Utrwalał się nowy obyczaj polityczny - współzawodnictwo pracy, którego celem było uczczenie „Bolesława Bieruta, niezłomnego bojownika o szczęście ludu polskiego”. Z okazji 60. rocznicy urodzin przywódcy partii i narodu (18 kwietnia 1952) z takim apelem wystąpili

pracownicy wrocławskiego Pafawagu. Odpowiedziały na to wezwanie setki załóg z całego kraju. Posypały się zobowiązania o „przejściu na system zadań

Bolesław Bierut miłośnikiem zwierząt (1947)

^ ZAGŁASKAĆ NA ŚMIERĆ

Bierut często pozował do zdjęć z sarenkami i kucykami, które hodowano w parku Łazienkowskim tylko po to, aby komunistyczny przywódca mógł się z nimi pokazać przed obiektywem. Wzmacniano to jego wizerunek jako troskliwego ojca narodu. „dobowych” - co oznaczało podjęcie produkcji non stop. I deklaracje: „Ani jednej godziny bezużytecznej pracy maszyn”, „Więcej surówki i stali”, „Dziesiątki tysięcy ton węgla ponad stan”. Zaciągano też „warty bierutowskie”, polegające na wykonywaniu specjalnych zadań produkcyjnych. Starannie dobrane delegacje ludzi pracy przybywały do Belwederu z wyreżyserowanymi wizytami. Wówczas przed kamerami Polskiej Kroniki Filmowej Bierut bratał się zarówno z górnikiem, jak i przedszkolakami.

Pisarze - swemu przywódcy

Pozycję „pierwszego obywatela i towarzysza” wzmacniały znakomitości. Zwłaszcza pisarskie. Prezydent chętnie gościł w Belwederze Zofię Nałkowską. Maria Dąbrowska zaś zapisała w Dziennikach:

6

A to Polska właśnie...

„Bierut zrobił na mnie raczej dobre wrażenie, pewnie dlatego, że mi mówił komplementy”.

Jarosław Iwaszkiewicz w kwietniu 1952 roku opublikował w „Trybunie Ludu” wiernopoddany list do przewodniczącego PZPR. Z podobnym pismem wystąpił Jan Brzechwa, a Julian Tuwim na łamach „Trybuny” zobowiązał się, że na cześć Bieruta przyspieszy prace nad przekładem poematu rosyjskiego poety Nikołaja Niekrasowa.

Prasa usługowa

Wszystko skrzętnie rejestrowała prasa. „Trybuna Ludu” prowadziła kronikę dworską przywódcy narodu. Regularnie donosiła na pierwszej stronie o jego poczynaniach. To, czym się aktualnie zajmował Bierut, miało być najważniejsze dla wszystkich Polaków. Z okazji 60. urodzin prezydenta gazeta drukowała przez dwa tygodnie wykazy instytucji, które przysłały mu życzenia. Na jednej takiej liście figurowało nawet 150 pozycji - od szpitali, przez PGR-y, po żłobki.

Oklaski do spuchnięcia dłoni

Bierut występował jako autorytet we wszystkich dziedzinach. Kiedy w 1952 roku opublikowano tom jego przemówień zatytułowany O Partii, zapanowała moda na cytowanie przewodniczącego PZPR. Przemówienia na najrozmaitszych zjazdach i kongresach zaczynały się od zwrotu „jak powiedział towarzysz Bierut”. Jeżeli na sali znajdował się wówczas przywódca narodu, zgromadzeni wstawali z miejsc i skandowali: „Sta-lin, Bie-rut”, klaszcząc aż do spuchnięcia dłoni.

POLSKA POD ŻAŁOBNYM SZTANDAREM ^ Po zagadkowej śmierci Bieruta w Moskwie (12 marca 1956) ogłoszono trzy dni żałoby narodowej. W dniu pogrzebu w całym kraju przerwano działalność produkcyjną, a w Warszawie w ogóle nie pracowano. Spod Komitetu Centralnego ruszył kondukt, który otwierał sztandar partii. Szło w nim m.in. sześć kompanii wojska. Trumna prezydenta jechała na armatniej lawecie.

4\ PREZYDENT SZEPTANY

Bolesław Bierut wypowiedział zdecydowaną walkę „propagandzie szeptanej”, czyli krytycznym wypowiedziom o ustroju oraz dowcipom politycznym. Można było za nie trafić do więzienia nawet na pięć lat. Za to hasta samego Bieruta i jego ogromne portrety zdobiły ulice, zakłady pracy oraz szkoły.

Bierutowski hołd

Pierwsza w PRL-u hołdownicza uroczystość na cześć najwyższego partyjnego autorytetu odbyła się w Teatrze Polskim w Warszawie z okazji 60. urodzin Bieruta. Celebra rozpoczęła się od odczytania telegramu od Stalina, którego wysłuchano na stojąco. Potem towarzysz Edward Ochab wygłosił referat Bolesław Bierut - wielki syn klasy robotniczej, spadkobierca i kontynuator postępowych tradycji narodu polskiego. Następnie hołd prezydentowi złożyli przedstawiciele wszystkich grup społecznych: od robotników, przez inteligencję, po dzieci. Po życzeniach znad Wisły przyszedł czas na gratulacje od przywódców zaprzyjaźnionych partii, m.in.: Mao Zedonga, Kim Ir Sena i Kle-menta Gottwalda. Ich depesze potwierdzały, że przewodniczący PZPR jest ważną osobistością na arenie międzynarodowej.

7

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Tort

^адii

Pałac jako „dar narodu radzieckiego dla narodu polskiego” był pomysłem samego Stalina. Ten dał Bierutowi do wyboru: metro, osiedle mieszkaniowe albo ogromny pałac. Bierut stwierdził, że metro w Warszawie jest niepotrzebne, a osiedle możemy sobie sami zbudować. Zdecydował się na pałac.

Ж

Od Chicago do Zamościa

adziecki architekt Lew Rudniew przedstawił 1 pięć koncepcji. Polacy chcieli mieć mniejszy obiekt, ale Rosjanie, ze względów prestiżowych, wybrali projekt najbardziej okazały. Do Warszawy sprowadzono radziecką ekipę budowlaną. Specjalnie dla niej wzniesiono na przedmieściu osiedle mieszkaniowe, wyposażone w kino i basen. Około 3500 robotników pracowało w rekordowym tempie. Po trzech latach monumentalny gmach był gotowy. Na źle zabezpieczonych rusztowaniach zginęło jednak 16 Rosjan. Budowlę oddano do użytku w święto państwowe, 22 lipca 1955 roku. Do 1990 roku Pałac Kultury i Nauki był trzecim najwyższym budynkiem w Europie. Prezentuje mieszaninę stylu art deco, socrealizmu i polskiego historyzmu. Radziecki architekt skopiował wiele rozwiązań z wysokościowców wznoszonych w Chicago i Nowym Jorku oraz z gigantycznych pałaców moskiewskich. Chciał też odcisnąć na budowlu polskie piętno, dlatego pilnie oglądał kamieniczki Kazimierza Dolnego, Krakowa i Zamościa. W rezultacie jednak Pałac Kultury i Nauki zaczął przypominać - jak mawiała warszawska ulica -, „sen szalonego cukiernika”.

nosił imię Stalina. Zapowiedziano także, iż przed budynkiem stanie pomnik „chorążego pokoju”. Do jego wzniesienia, na szczęście, nie doszło. Pałac ma też w swojej historii ponury wątek. Z tarasu widokowego na 30. piętrze, czyli na wysokości 114 metrów, zaczęli wyskakiwać samobójcy. Pierwszy skoczył w 1965 roku francuski turysta, a po nim jeszcze siedmiu Polaków. Po tych tragicznych incydentach założono na tarasie kraty.

Hutnicy meldują na balu

Legendą PKiN-u były noworoczne bale dla przodowników pracy. Przez wiele lat impreza uchodziła za najbardziej prestiżową w karnawale w skali całego kraju. W 1974 roku „Trybuna Ludu” pisała: „Tysiące kolorowych baloników, karnawałowe

Magnes dla desperatów

Ten dziwaczny gmach zyskał najwyższego możliwego wówczas patrona. Już dwa dni po śmierci Stalina, 7 marca 1953 roku, kiedy prace budowlane były na wczesnym etapie, Rada Państwa i Rada Ministrów uroczyście uchwaliły, iż PKiN będzie

A to Polska właśnie...

maseczki, barwne kotyliony stwarzały nastrój dobrej zabawy. Do tańca przygrywały doskonałe zespoły muzyczne, a wśród nich zespół cygański »Roma«, któremu towarzyszyli popularni soliści”. Trzy lata później „Głos Pracy” relacjonował: „Hutnicy przybyli na bal w dobrym nastroju, odprężeni. Plan 1976 roku wykonali w całości, niektóre wydziały

zameldowały nawet o wykonaniu planu grubo przed terminem. Teraz jest czas na zabawę. Pamiętali jednak o swoich towarzyszach, którzy w sylwestra pracowali w hucie na nocnej zmianie. Za ich pomyślność koledzy na balu wychylili szampana o północy... Przy stoliku w głównej sali balowej na IV piętrze spotkałem Pracownika Roku 1976 Sławomira Urbanka z małżonką. Państwo Urbankowie bawili się wspaniale i jak stwierdzili - tyle jeszcze ze sobą na jednym balu nie przetańczyli. Duszą balu był sekretarz Zbigniew Piskuń, który- mimo ręki na temblaku - ani na chwilę nie stracił energii, był wszędzie, wszystkiego dojrzał, o wszystkim wiedział. »No tak - mówi towarzysz Piskuń - całą noc właściwie czuwam, a relaksuję się dopiero około 5 rano. Wtedy nalewam sobie sporego karniaka i oddycham pełną piersią. A ludzie podchodzą i mówią: - Dziękuję Wam, towarzyszu, to był naprawdę pierwszorzędny bal, nigdy jeszcze na takim nie byłem«".

V

Л

^ RENESANSOWA GROTESKA

Zespół Lwa Rudniewa przenosił na papier ornamenty, jakie zdobiły zabytkowe kamieniczki w Kazimierzu Dolnym czy Zamościu. Następnie na tej podstawie tworzono nowe wzory dla kamieniarzy. Doczepienie neorenesansowych ozdób do zwalistej bryty PKiN-u dądo jednak groteskowy efekt.

Windy okrążają Księżyc „PKIIM zużywa tyle energii elektrycznej co 100-tysięczne miasto Radom. Gdyby dziecko urodzilo się w jednym pomieszczeniu tego gmachu, a każdy następny dzień swego życia spędzało w innym pokoju lub sali, wyszłoby z największego domu w Warszawie w wieku 9 lat. W ciągu ostatniego dziesięciolecia na imprezach artystycznych w Pałacu było ok. 48 milionów osób, czyli półtora raza ludność Polski. Od 40 do 50 tys. ludzi przybywa tu każdego dnia; 33 dźwigi szybkościowe w pałacu przebyły dotychczas 700 tys. km, a zatem okrążyły już Księżyc i powracają na ziemię; w tym czasie, kiedy z wieży Eiffła wyskoczyło 300 zdesperowanych, ze szczytu PKiN - 3" - tak Pałac przedstawiał tygodnik „Polityka" w 1965 roku.

DŁUŻEJ NIZ PRZYJAŻŃ RADZIECKA

Pałac już w trakcie budowy trafił na okładki czasopism, pisano o nim reportaże, piosenki, wiersze. „Będzie trwał jak miłość do dziecka / Będzie trwał jak przyjaźń radziecka" - rymował z emfazą Jan Brzechwa. Tadeusz Konwicki zaś w powieści Mała apokalipsa uczynił jego zwalistą brytę symbolem dominacji ZSRR nad Polską, pogrążoną w komunistycznej zapaści.

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

0

dal

s<3r.

PВЯ^2^

W czasach PRL-u nie sposób było przejść ulicą, by nie natknąć się na hasła propagandowe. Były tak oderwane od rzeczywistości, że na co dzień po prostu się ich nie zauważało.

Niech żyje!

Wiele hasel wiązało się z kalendarzem. Świętowano zwłaszcza 1 Maja: „Niech żyje 1 Maja - dzień międzynarodowej solidarności ludzi pracy w walce o pokój, demokrację i postęp techniczny"; „1 Maja dniem radości i dumy ludzi rzetelnej, twórczej pracy". PRL uwielbiał celebrować własne rocznice. Uroczyście obchodzono 40-lecie jego powstania. W roku 1984 w zakładach pracy pojawiły się napisy: „Dorobek 40-lecia Polski Ludowej - dzieło rąk i umysłów całego narodu", a także „40 lat PRL -to dwa pokolenia Polaków żyjących w pokoju".

Fetowano również istnienie Związku Radzieckiego. Szczególnie popularne były tu slogany zaczynające się od stów „niech żyje": „Niech żyje KPZR - partia wielkiego Lenina"; „Niech

żyje ZSRR - niezwyciężona ostoja pokoju i socjalizmu"; „Niech żyje ZSRR - decydująca siła w rozgromieniu niemieckiego faszyzmu, ostoja pokoju w Europie"; „Niech żyje przyjaźń ze Związkiem Radzieckim!".

^ STERNICY Z KC

„Młodzież musi zdać sobie sprawę, którym nurtem ma płynąć polska tódż. Nie może ona płynąć pod prąd historii. Nasz kraj nie będzie zmierzał do zachodniego brzegu" -z referatu Biura Politycznego KC PZPR (1982):

- awangardę mas walczących o lepsze życie, postęp i demokrację, o pokój i socjalizm" oraz „Niech żyje braterstwo sportowców całego świata" lub „Niech żyje międzynarodowa socjalistyczna rewolucja!".

Rewizjonistom nasze „nie!"

Liczne były wezwania do zacieśniania więzów. Wiele haseł dotyczyło pracy. Można więc było prze-z bratnimi krajami socjalistycznymi: „Zacieśniajmy czytając: „Wydajność pracy, gospodarność i oszczęd-

współpracę gospodarczą w ramach RWPG!" albo „Zacieśnianie współpracy gospodarczej państw--członków RWPG - w żywotnym interesie Polski!".

ność to klucz do dobrobytu narodu" albo „Zwiększajmy produkcję rynkową, polepszajmy jakość usług i handlu, lepiej zaspokajajmy rosnące potrze-

Pisano też: „Pozdrawiamy partie komunistyczne by społeczne!". Takich sloganów namawiających

I O

A to Polska właśnie...

do wzmożonego wysiłku formułowano znacznie więcej: „Rozwińmy ruch wynalazczości i racjonalizacji. Skraccamy drogę od pomysłu do produkcji"; „Oszczędniej gospodarujmy surowcami, materiałami, paliwami, energią!". Praca miała być tytułem do szczególnej satysfakcji: „Chwała ludziom dobrej roboty!" czy „Praca jedynym miernikiem oceny każdego człowieka". Swoich haseł doczekały się różne instancje życia politycznego. „Sejm PRL - władza ludu dla ludu". Posługiwały się nimi też związki zawodowe: „Zjednoczony ruch związkowy skutecznym obrońcą interesów ludzi pracy". Propaganda adresowana była również do członków rozmaitych rad: „Radni! Wyborcy wam zaufali. Pamiętajcie o ich postulatach!". W latach 80. lansowano parapartyjny Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego: „PRON płaszczyzną porozumienia narodowego". Nieco mniej sloganów odnosiło się do wrogów partii i ojczyzny. Na forum międzynarodowym aktualny był postulat: „Znamy koszmar wojny - żądamy pokoju!", a także „Domagamy się rokowań rozbrojeniowych". W tej tematyce słynne stało się hasło: „Rewizjonistom i odwetowcom w RFN nasze stanowcze »nie«!".

И

51KY NARom?

iOOAUSTttZNB POLSCE

Jądro w sercu

Wiele sformułowań z języka propagandy poddał krytycznej analizie profesor Michał Głowiński. Jednym z nich jest „zdrowe jądro". „»Zdrowy« i »jądro« od lat występują w poświęconym języku komunizmu. Do tej pory, o ile wiem, wiodły one żywot raczej osobno, dopiero stalinowcy czescy dokonali ich połączenia. Mianem «zdrowego jądra» określa się tych członków partii, których w trakcie czystki się nie wyrzuca. Słowa te stały się wręcz czymś w rodzaju formuły technicznej. Mówi się: »został w zdrowym jądrze«, «wyrzucono go ze zdrowego jądra» itp. «Zdrowe jądro» ma być synonimem «serca partii», zbitki, która w swoim czasie była często używana".

Lenin żył, Lenin żyje

Propagandowe slogany doczekały się wielu parodii. Rzucano więc żartem: „Głodne kurczaki nasze, bo Reagan zabrał im paszę” albo „Wzmożona kontrola dźwignią socjalistycznego zaufania”. Choć w tym drugim przypadku nie można było mieć pewności, czy nie jest to hasło autentyczne. Mawiano też: „Współzawodnictwo pracy wychowuje nowego człowieka”. Studenci powtarzali z ironią: „Lenin żył, Lenin żyje, Lenin będzie żyć” oraz „Partia walczy z narodem o lepsze jutro”. Przypominano także powiedzonko z lat 50.: „Niech żyje nam towarzysz Stalin, co usta słodsze ma od malin”.

Syjonіści do Syjamu!

Wysyp propagandowych sloganów następował w czasach przełomu. Szczególnie agresywne transparenty pojawiły się w czasie wydarzeń marcowych 1988 roku. Robotnicy byli zmuszeni protestować pod hasłami: „Nie ma miejsca na uniwersytecie dla wichrzycieli politycznych”; „Precz z bananową młodzieżą” czy „Więcej dzieci robotników na wyższe uczelnie”. Udzielano także gremialnego poparcia pierwszemu sekretarzowi: „Niech żyje towarzysz Wiesław!” oraz „Jesteśmy z tobą, Wiesławie”. Trwała bezrozumną nagonką antysemitką: „Syjonіści do Syjamu!”. Sławomir Mrozek sparodiował to hasło zawołaniem: „Literaci do piór, studenci do nauki, pasta do zębów!”.

SOCJALIZM PRZEZ PRZYPADKI

W hasłach propagandowych najczęściej odmienianym słowem był socjalizm. Można więc było przeczytać: „Nasz program: budowa socjalizmu dla ludzi i przez ludzi!” albo „Socjalizm gwarancją siły pomyślności ojczyzny”. Pojawiały się też takie slogany: „Socjalistyczne państwo jest silne świadomością swych obywateli” czy „Żołnierz polski współtwórcą i obrońcą socjalistycznej Polski”.

1 1

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

** rosła w siłę...

Uroczyste zaklęcia, pogrożki albo zwykłe wyzwiska - wystarczy trafić jednym zdaniem w odpowiedni czas. I nie da się go wymazać przez dziesiątki lat. Takie powiedzenie nazywamy skrzydlatymi słowami.

„Druga Polska” za pożyczone

Kajczęściej padały uroczyste zapewnienia, ■ które dziś cytujemy z ironicznym grymasem. „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej” - życzył narodowi Edward Gierek we wrześniu 1971 roku, krótko po przejęciu władzy po Władysławie Gomułce. Była to zapowiedź wielkich inwestycji w typie Huty Katowice, a jednocześnie obietnica zapewnienia każdej polskiej rodzinie „czterech kótek” lub przynajmniej „meblistki Kowalskich”. Huta Katowice miała zresztą swoje odrębne hasło: „Polak potrafi”. Odzwierciedlało ono fakt, że konstrukcja kombinatu była w całości polska, a 60 procent jej wyposażenia wykonano w kraju. Gierkowską zapowiedź dobrobytu uzupełniał slogan „Budujemy drugą Polskę”. Niestety, ta Polska była budowana z kredytów, które zaczęto spłacać kolejnymi kredytami. W 20 lat później nie powiodło się też zapowiedziane przez Lecha Wałęsę budowanie „drugiej Japonii”. Zostaliśmy przy pierwszej Polsce.

Awans w marcu

W PRL-u robiły również karierę wyrażenia związane z epoką. „Rachunkiem za Światło” nazwano złośliwie śmierć Bolesława Bieruta podczas jego wizyty w Moskwie w 1956 roku. Powszechnie podejrzewano, że przywódca polskiej partii komunistycznej został otruty. Miała to być zemsta Sowieców za to, że towarzysz Bierut pozwolił zbiec na Zachód podpułkownikowi Józefowi Świelcie. Uciekinier

Władysław Gomułka

Są granice, których przekroczyć nie wolno - generał Wojciechi Jaruzelski (1981)

/N CIEMNIAKI U STERU

Karierę robiły trafne wyzwiska. W 1968 r. na posiedzeniu ZLP Stefan Kisielewski użył sformułowania „dyktatura ciemniaków”. Publicysta miał wprawdzie na myśli cenzurę, jednak urażony poczuł się sam Władysław Gomułka. Prasa partyjna cytowała to wyrażenie z oburzeniem, ale ulica błyskawicznie je podchwyciła, ponieważ oddawało opinię większości Polaków o władzy.

wygłaszał bowiem w latach 1954-1955 na falach Radia Wolna Europa słynne pogadanki Za kulisami bezpieki i partii, w których ujawniał zbrodnie reżimu stalinowskiego.

„Docentami marcowymi” z kolei określano pracowników naukowych ze stopniem doktora, którzy zostali mianowani na stanowisko docenta, mimo że nie mieli wymaganej habilitacji. W ten sposób władze wypełniły etaty po naukowcach pochodzenia żydowskiego, zmuszonych w efekcie wydarzeń marcowych 1968 roku do opuszczenia kraju.

1 2

A to Polska właśnie...

„Zwracam się...”

Do historii przeszły wniosłe apele. „Kto wyrąbie więcej niż ja?” - pytał prowokacyjnie górnik Wincenty Pstrowski, który w 1947 roku zainicjował współzawodnictwo pracy.

Chodziło w nim o maksymalne wydrenowanie zasobów ludzkich na rzecz odbudowy kraju.

Sam apelujący przodownik nie wytrzymał wysokiego tempa, jakie sobie wyznaczył. Zmarł dziewięć miesięcy po rzuceniu tego wyzwania. Ale jego podobizna trafiła nawet na banknoty.

„Pomożecie?” - pytał I sekretarz KC PZPR Edward Gierek w styczniu 1971 roku na wiecu robotników Gdańska. „Pomożemy” - mieli rzekomo odpowiedzieć zgromadzeni, choć faktycznie Gierek odpowiedział sobie sam.

„Zwracam się w tym momencie o trzy pracowite miesiące - 90 spokojnych dni” - prosił w sejmie generał Wojciech Jaruzelski w lutym 1981 roku. Czas ten zamierzał wykorzystać jako premier na generalną poprawę gospodarki. Co było planem bardzo ambitnym, jeżeli wziąć pod uwagę fakt, że co piąta ówczesna złotówka nie miała pokrycia w towarach. Z czasem okazało się, że generał rzeczywiście potrzebował spokoju. Do przygotowania stanu wojennego.

Ballada dla zamordowanych

„Janek Wiśniewski padł” - śpiewała przejmująco Krystyna Janda w filmie Andrzeja Wajdy Człowiek z żelaza (1981). Była to już wówczas ballada doskonale zadomowiona w polskiej tradycji niepodległościowej. Powstała spontanicznie po masakrze robotników Wybrzeża w grudniu 1970 roku. Zginęło wtedy przeszło 50 osób, blisko 1200 zostało poważnie rannych, a 3000 mieszkańców Trójmiasta aresztowano. Po latach, już w wolnej Polsce, ten symbol oporu przewrotnie wykorzystał reżyser Władysław Pasikowski w filmie Psy (1992), w którym pijani ubecy śpiewają ów hymn podziemia, niosąc swego nieprzytomnego kompana.

Modlitwa o przełom

„Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!” - to niewątpliwie najgłośniejsze i najważniejsze skrzydlate słowa, wypowiedziane w ciągu ostatniego półwiecza. Ową modlitwę wygłosił Jan Paweł II w czerwcu 1979 roku na placu Zwycięstwa w Warszawie, podczas swej pierwszej wizyty w ojczyźnie. W kazaniu papież przypominał, że nie można zrozumieć Polski bez Chrystusa. Te słowa dawały Polakom nadzieję i stanowiły inspirację działań wolnościowych. Echem tej modlitwy były powszechne strajki rok później.

Jerzy Urban podczas ostatniej konferencji prasowej (18.04.1984)

WYZNANIE NIHIUSTY^ „Rząd się wyżywi” - brzmiał jeden z najbardziej znanych sloganów lat 80. Jego autorem był rzecznik rządu Jerzy Urban, który w ten sposób odpowiedział na pytanie o skutki restrykcji gospodarczych narzuconych Polsce przez Stany Zjednoczone. Cynizm tej wypowiedzi wywołał powszechne oburzenie. I uczynił Urbana jednym z najbardziej zniechęconych ludzi władzy.

JERZY URBAN

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Weimdzi icjant d© księgarni.

Władzy ludowej nie można było pokonać. Ale można ją było ośmieszyć.

Pogodzeni z inteligencją

K a celowniku byli przede wszystkim „przywódcy partii i narodu”. Edward Gierek lubił uchodzić za światowca, więc w satyrze musiał się skonfrontować z prezydentem Stanów Zjednoczonych, który składał wizytę w Polsce. „Oto Gerald Ford, polityk, wybitny mąż stanu, skończył Uniwersytet Yale” - prezentowano w dowcipie amerykańskiego prezydenta. „Oto Edward Gierek -sekretarz KC, mąż Stanisławy, skończył 63 lata” - przedstawiano polskiego dygnitarza. Mawiano także, że Gierek pogodził się z inteligencją - Jaroszewicza (ówczesnego premiera). Wiele dowcipów z epoki PRL-u to dziś nieczytelne parodie wystąpień partyjnych decydentów. Władysław Gomułka wyjątkowo pokrętnie tłumaczył przyczyny zastoju gospodarczego. Pytany więc w kawale o brak konserw na rynku, odpowiadał:

„Mogliśmy produkować więcej konserw, gdybyśmy mieli więcej blachy, ale nie mamy mięsa”. Ten sam polityk uchodził za wroga wszelkich nowoczesnych form rozrywki. Dlatego wymyślono anegdotę: „Rozbieraj się! - rozkazuje Gomułka żonie po powrocie do domu. Gdy ta z wielkimi oporami zrzuciła ubranie, pierwszy sekretarz kręci ze zdziwieniem głową. - Zupełnie nie rozumiem, co oni widzą w tym striptizie”.

Chichot z Wielkiego Brata

Stałym obiektem żartów była „przyjaźń” ze Związkiem Radzieckim. Powtarzano m.in. taki dowcip: „Przed sklepem jubilerskim ustawiła się kolejka po zegarki z ZSRR. - Stanę i ja - zdecydował starszy pan. - Może i mój przywieźli”. W odpowiedzi na kult Lenina podśmiewano się, że na wystawie leninowskich zegarów w Poroninie wygrał ten, w którym z wybiciem godziny wyskakiwał mały Włodzimierz Iljicz i krzyczał: „Kuku, kuku...”. A w tatrzańskiej szkole wypasu owiec przewidziano ponoć trzy przedmioty: wypędzanie owiec na halę, spędzanie owiec z hali i -język rosyjski. Mawiano, że podczas wizyty w Moskwie Chruszczow zagadnął Gomułkę o Mickiewicza. „Ależ on już nie żyje, drogi Nikito” - odpowiedział Gomułka. „I za to cię, Władek, lubię, za to cię lubię”.

Rymowanki Jaruzelskie

W dobie stanu wojennego na popularności zyskały parafrazy znanych tekstów. Niekiedy bardzo poważnych. „Jeszcze Polska nie zginęła / Jeszcze my żyjemy / Ale w takim dobrobycie niedługo zginieemy”.

1 4

A to Polska właśnie...

Po zwrotce następował refren: „Marsz, marsz, Polacy / Bez jedzenia do pracy / Pod partii przewodem / Rząd morzy nas głodem”. Chętnie powtarzano rymowanki: „Wracaj, Edek, do koryta, lepszy złodziej niż bandyta”; „Gdyby Urban nosił turban, wtedy zamiast świni byłby Chomeini”. Kiedy pierwszym sekretarzem na krótko został Stanisław Kania, upowszechnił się dziecięcy wierszyk: „Pytała się mała Ania, kto to jest ten Stasio Kania? / Czy to grzybek? Czy to ptaszek? Czy to nowy złodziejasek?”.

Wstąp do ZOMO!

Poprzez humor próbowano zneutralizować groźbę aparatu terroru. Milicjant, konfident i ubek w dowcipach byli etatowymi przygłupami. Po wydarzeniach marcowych w 1968 roku drwiono, że podniósł się poziom intelektualny funkcjonariuszy MO, bo spędzili dwa tygodnie na uniwersytetach. Żartowano, że kiedy milicjant wszedł do księgarni i zapytał o Pana Tadeusza, ekspedientka krzyknęła w stronę zaplecza: „Panie Tadeziu, przyszedli po pana”. W stanie wojennym opowiadano o milicjancie, który przeskoczył na drugą stronę lady w Peweksie i poprosił o azyl. Upowszechniło się też hasło: „Wstąp do ZOMO, zanim ZOMO wstąpi do ciebie”. Zresztą głupota członków tej formacji była przysłowiowa. Krążył żart o zomowcu, którego żona poprosiła, by przywiózł jej z wycieczki do Egiptu buty z krokodyla.

Ten najpierw spałował biedne zwierzę, a potem odkrył ze zdumieniem, że krokodyl chodzi boso.

ZOMO-WIADOMO A oto nagle: któż to kroczy? Tłum Frankensteinów widzą oczy. Łapska ogromne, mózdzek - tyci. To nowa rasa jest - zomici, Wyhodowana w jednym celu: By wszystkich bili w PRL-u.

anonimowy wierszyk o zomowcach z okresu stanu wojennego

Gomutka na żywo

Fragmenty parodii przemówienia Gomułki nadawane w Radiu Wolna Europa:

„Przed wojną staliśmy na skraju przepaści, a obecnie zrobiliśmy poważny krok naprzód”.

„Za sanacji na jednego rolnika przypadało w Polsce 0,0001 traktora. A dziś, dzięki naszej partii, na jednego rolnika przypada 0,0003”. „Nasze kury polskie, idąc za przykładem bohaterskich kur radzieckich, zniosły o 3,6 jaja więcej od kur zgniłego Zachodu”. „Nieprawdą jest, jakoby [kaszle! brał od nas za darmo węgiel. Bowiem w zamian za to otrzymujemy rocznie sto tysięcy par butów. Do podzelowania”.

„Kardynał Wyszyński, omawiając stan polskiej gospodarki, powiedział, cytując: »Jezus Maria«, koniec cytatu”. „Polscy ekonomiści, którzy od 30 lat zastanawiali się, jak podnieść wartość złotówki, doszli do wniosku, że należy w złotówce wywiercić dwie dziurki i sprzedawać ją jako guziki po złoty pięćdziesiąt”.

Drogie Radio Erewan...

Przymusowego sojusznika, jakim był ZSRR, ośmieszano, cytując odpowiedzi fikcyjnego Radia Erewan, jako źródło bałamutnych informacji:

„- Czy w komunizmie będą pieniądze? - Wyłącznie”. „- Czy kołchoźnik może sobie kupić wołkę? - Może, ale po co mu tyle wody?”.

.- Czy wolno krytykować partię? - W zasadzie tak. Trzeba jednak pamiętać, że we własnych czterech ścianach jest zdecydowanie przyjemniej”.

1 5

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

W PRL-u na każdym kroku natykaliśmy się na fakty, które były sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. To tworzyło jedyny w swoim rodzaju klimat tamtej epoki.

*

Гасалов од морза

do Tatr

Do dna!

| I | ragedie ludzkie sąsiadowały do-m* słownie o krok z wydarzeniami komicznymi. „Życie Przemyskie” opisało przypadek Jerzego K., który w trakcie porządkowania piwnicy natknął się na omszałą butelkę z ledwo widocznym napisem „1922”. Nie zastanawiając się ani chwili, mężczyzna odkorkował i pociągnął zdrowy łyk. Odwieziono go na sygnale do szpitala. W butelce był bowiem nie - jak się spodziewał - dojrzały węgryz, lecz kwas siarkowy.

W białostockim Punkcie Sprzedaży Kremu kubek bitej śmietany kosztował 4 złote i 70 groszy. Kubek wypełniony tylko powietrzem sprzedawano dokładnie w tej samej cenie. Na pytanie, dlaczego powietrze w Białymstoku jest takie drogie, ekspedientka odpowiedziała, że to nie powietrze jest drogie, lecz śmietana jest za darmo. Grunt to ująć rzecz urzędowo. Jedno z lubelskich przedsiębiorstw wydało kategoryczne zarządzenie: „Sekcja służby pracowniczej załatwia sprawy pra-

/N DEFICYT USTĘPOWY

Absurd wkradał się w sprawy najbardziej przyziemne. Kierownictwo Hurtowni Artykułów Użytku Kulturalnego informowało na tamach „Słowa Polskiego”, że „chwilowy brak papieru toaletowego w najbliższych dniach nie będzie nas trapił”. O tym, co będzie dalej - ani słowa. Poszukiwacze zaginionej wódki

„Ja, Józef N., wyjaśniam, że w dniu 15 stycznia wieczorem w domu własnym zaparzyłem tabaki zamiast herbaty gruzińskiej i od tego bardzo mocno przygłupiałem. Skutkiem czego nie byłem zdolny do pracy...” - wyjaśniał pracodawcy na piśmie pewien pracownik. Czegoś w rodzaju tabaki musiał zażyć także kierowca ciężarówki w Przeworsku, który przewoził skrzynki z wódką. Na zakręcie tak mocno zarzucił samochodem, że boczna burta otwarła się i skrzynki runęły do rowu. Miejscowa ludność rzuciła się pomagać w zbieraniu cennego towaru. Jednak - mimo najszczerzych chęci - niewiele udało się ocalić. Pracownicy jedynie w godzinach 7-9 i 12. Poza Zupehue inaczej zachowali się tutaj poznańscy wymienionymi godzinami przyjmowani są jedy- poeci. „W księgarskim Samie przy Marcinkow- nie pracownicy w wypadku ich śmierci”. skiego - donosił „Głos Wielkopolski” - »nakryto«

16

A to Polska właśnie...

pierwszego nieuczciwego klienta. Kiedy sprzedawca spisywał protokół, z niemałym zdziwieniem stwierdził, że amatorem niezapłaconych książek jest uczeń szkoły średniej. Jeszcze większe zdumienie ogarnęło go, gdy przejrzał tytuły: było tam kilka tomików poezji. A więc lektura raczej do własnego użytku, a nie na handel. Trzej poeci poznańscy - Konrad Sutarski, Józef Ratajczak i Ryszard Danecki - dowiedziawszy się o tym zdarzeniu, postanowili... wykupić młodego amatora wierszy".

Jedzie do nas rewizor

Zdarzali się i tacy rodacy, których praca uskrzydlała. Dwudziestolatek, Janusz P, podrobił legitymację poselską i jak huragan wpadł na kontrolę do trójmiejskich PKS-ów. Wydał kilka bardzo pożądaných decyzji administracyjnych, usprawnił funkcjonowanie central autobusowych, po czym został aresztowany. Karę zasądzono mu symboliczną. Kilka lat później przebrał się za kapitana LWP z dystynkcjami prokuratora i, w ten sam sposób co poprzednio, postawił na nogi wojskową służbę zdrowia w Krośnieńskim. Tym razem także został zdemaskowany. Niestety. Podobną gorliwość wykazali się rolnicy z lubelskiej wsi, którzy pobili się o deficytowy towar - sznurek do snopowiązałek. W ruch poszły siekiery i widły. Proces ciągnął się przed kolejnymi instancjami dwa lata. Z pieniędzy, które weń włożyli oskarżeni, milicja i sądy, można by wyprodukować taką samą ilość sznurka - ze złota.

GOSPODARSKA WIZYTA 7 TOWARZYSZA GIERKA

„Z otwartością życia wiąże się także problem wizyt dostojników państwowych w zakładzie. O ich przyjeździe wiemy co najmniej na dwa tygodnie naprzód. I zaczyna się sprzątanie zakładu oraz wielkie przygotowania. Na ten dzień wyłącza się nawet wielkie piece elektryczne, żeby było jasno i cicho” - pisał anonimowy hutnik w 1980 r. do tygodnika „Argumenty”.

Indyki padły w Pacanowie

Niespodziewana tragedia dotknęła hodowców indyków z okolic Pacanowa, Pewnego dnia gospodyni stwierdziła z przerażeniem, że wszystkie ptaki padły. Zorientowała się jednak, że są jeszcze ciepłe, więc wysłała męża, by sprosił na ucztę mieszkańców wsi, a sama je tymczasem oskubała dokładnie z pierza. Kiedy poszła do domu po siekiere, oskubany drób zniknął. Nikt go jednak nie ukradł. Indyki wybrały się jedynie na spacer do ogrodu. Rzecz wyjaśniła się szybko. Ptaki po prostu najadły się wiśni. Owoce sfermentowały w ich żołądkach i spowodowały, że indyki, kompletnie pijane, padły bez zmysłów na podwórzu. Obudziły się już pozbawione opierzenia.

Po alkoholowej drzemce można było jednak w ogóle się nie ocknąć. We Wrocławiu na miejscu, gdzie przez wiele lat stał kiosk z piwem, znani z wielu burzliwych awantur saperzy odkryli 30 pocisków artyleryjskich, 150 granatów i siedem min. Wybuch jednego niewypału spowodowałby natychmiastową śmierć wszystkich bankietowiczów.

Lampki jak Polska długa

Absurd produkcyjny brał się m.in. z lekceważenia odległości. Jeden z tysięcy przykładów bezsensownych decyzji gospodarczych podawał tygodnik ekonomiczny „Życie Gospodarcze”. W Gdańsku lampki nagrobne produkowały razem dwie spółdzielnie: jedna wytwarzała naczynka, druga łała w nie wosk. Tymczasem władze nadrzędne zupełnie niespodziewanie postanowiły, że B milionów pustych zniczy zostanie przetransportowanych do Oświęcimia i tam napełnionych.

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Polska Ludowa miała też swoje „naj” Absurdalne, śmieszne, tragiczne, ale za każdym razem wyjątkowe.

Do chmur i z powrotem

Ma naszych ziemiach wzniesiono najwyższą budowlę w dziejach świata. Był nią maszt radiowy postawiony w Konstancynie koło Gąbina, blisko 100 kilometrów na północny zachód od Warszawy. Mierzył 646 metrów, ważył 550 ton. Uruchomiono go uroczystie 22 lipca 1974 roku. Niestety, Polacy nie mieli żadnego doświadczenia w utrzymywaniu takich obiektów. Maszt runął w trakcie prac konserwatorskich 10 sierpnia 1991 roku. Notowaliśmy i inne rekordy budowlane. W latach 60. na obrzeżach wielkich miast wznoszono monstrualne bloki mieszkalne. Najdłuższy z nich, zwany falowcem, zbudowano w Gdańsku. Liczy 1600 metrów. Z kolei największą halą widowiskowo-sportową był katowicki Spodek. Tu jedną imprezę mogło oglądać 10 500 osób. W praktyce

Budowa Spodka w Katowicach (1969)

znacznie przekraczano liczbę widzów. Nieopodal - między Chorzowem a Katowicami - znajduje się największy stadion sportowy, jaki powstał w PRL-u. Podczas meczu Górnika Zabrze z Austrią Wiedeń na widowni zasiadło 100 tysięcy kibiców. Również w Chorzowie funkcjonowało największe w Polsce wesołe miasteczko. Założono je w 1960 roku na powierzchni 40 hektarów. Osobliwością kolejową w skali kraju stanowiła szerokotorowa linia kolejowa - taka, jakie były w ZSRR - oddana do użytku w 1979 roku. Biegła ze Śląska do granicy państwa w okolicach Hrubieszowa - na długości 399 kilometrów. Tajemnicą poliszynela było, iż tą drogą wywożono do wschodniego sąsiada „eksportowany” węgiel i wyroby hutnicze.

Najczarniejsza żałoba

Mieliśmy też rekordy tragiczne. Największa katastrofa lotnicza wydarzyła się 9 maja 1987 roku. Na obrzeżach Warszawy, w Lesie Kabackim, runął Il-62 M LOT-u, lecący z Nowego Jorku ze 183 osobami na pokładzie. Nikt się nie uratował. Do najtragiczniejszego wypadku kolejowego doszło 19 sierpnia 1980 roku w Otłoczynie pod Toruniem. Zderzyły się tam czołowo pociągi osobowy z towarowym. Zginęło 67 pasażerów. Katastrofa została szybko zapomniana, gdyż media poświęciły całą uwagę strajkom szeroko rozlewającym się wówczas po kraju.

ЧБ

A to Polska właśnie...

Rotunda w Warszawie (15.02.1979)

W pogodny marcowy dzień 1968 roku rekordowe śmiertelne żniwo zebrała lawina górską. Na tu-■ystów w Białym Jarze w Karkonoszach spadło 50 tysięcy ton śniegu. Zginęło 19 osób z Polski, związku Radzieckiego i Niemiec. W czerwcu 1971 roku od pioruna zapaliły się zbiorniki rafinerii w Czechowicach-Dziedzicach. Akcja gaśnicza, prowadzona razem z czechosłowacką strażą pożarną, kosztowała życie 37 ludzi. Spłonęły przy tym 12 samochody strażackie. Do ugaszenia ognia użyto 277 ton środków chemicznych. Podobnie groźne były choroby. W 1971 roku na grypę zachorowało 6 milionów rodaków. Jednak najbar-iziej niespodziewana epidemia tamtych czasów wybuchła we Wrocławiu w 1966 roku. Wówczas aa czarną ospę zapadło 99 osób.

Matolek na cokole

Ma przekór szarej rzeczywistości udawało się nie-riedy zbudować niebanalne pomniki.

W 1967 roku w Gogolinie odsłonięto pomnik Karolinki i Karliczka - bohaterów starej ludowej piosenki śląskiej. W inskrypcji zaznaczono jednak, że: „Pomnik ten ufundował lud śląski w XX-lecie Polski Ludowej”. W Osowej sieni koło Wschowy wzniesiono pomnik buhajowi (imieniu Ilon. Zapoczątkował on złotą erę tamtego IIIKIII zarodowego. Z kolei w Pacanowie na Kielec-:żyźnie postawiono w 1978 roku pomnik Koziołka Matołka, bohatera bajek Kornela Makuszyńskiego.

alowiec w Gdańsku

^ FATALNA ROTUNDA

Największy wybuch gazu nastąpił 15 lutego 1979 r. w warszawskiej Rotundzie, centrum obsługi klientów PKO, znajdującej się u zbiegu Alei Jerozolimskich i ulicy Marszałkowskiej. Zginęło 49 osób - pracowników i klientów banku. Plotka głośna, że budynek nie wyleciał w powietrze z powodu awarii instalacji gazowej, lecz w wyniku ataku terrorystów.

Media ze stygmatami

Swoiste rekordy bili też ludzie obdarzeni nadnaturalnymi zdolnościami. Mieczysław Zawisza z Tomaszowa Lubelskiego przyciągał najrozmaitsze przedmioty. Do skóry przyklejały mu się szkło, drewno i metal. Był także w stanie siłą woli unieść człowieka. W latach 80. za najsilniejsze polskie medium uchodziła Joanna Gajewska z Sosnowca. Siłą woli wyginała widelce i przesuwiała meble. Z kolei siostra Wanda Broniszewska ze Zgromadzenia Sióstr od Aniołów była najdłużej żyjącą w Polsce stygmatyczką. Zmarła w wieku 96 lat w 2003 roku. Znaki męki Chrystusa ukrywała przez dziesięciolecia, prosząc, by całą sprawę ujawnić dopiero po jej śmierci.

Siedem dni górnika Piątka

Głośny stał się wypadek, do którego doszło 23 marca 1971 roku. Zawał uwięził wówczas 36-letniego górnika, Alojzego _ Piątka, który spędził pod ziemią bez jedzenia i picia siedem dni. Przeżył, został nawet na krótko ulubieńcem mediów. Zwykle jednak katastrofy górnicze miały tragiczny finał. W kopalni Silesia w Czechowicach-Dziedzicach w 1974 roku zginęło, w wyniku wybuchu pyłu węglowego, 34 górników. W listopadzie 1982 roku w kopalni Dymitrow w trakcie akcji ratunkowej po katastrofie śmierć poniosło 18 ratowników.

ęę*

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Na 15 minut przed każdym seansem filmowym widzowie mogli zobaczyć nie, jak Polska wygląda, lecz jak wyglądać powinna. Pokazywała to Polska Kronika Filmowa.

Kra5 na taśmie

FILM NA PLECACH

Operatorzy PKF-u dokonywali cudów, posługując się bardzo skromnym sprzętem. Filmowali nawet przywiązani do skrzydeł samolotu lub do ramienia dźwigu. Ówczesna kamera ważyła 7 kg, a akumulator do niej -18.

Felietony na gruzach

Pierwsze edycje PKF-u montowano w Lublinie, w willi byłego dowódcy SS. Miała ona dwie zalety: dużą wannę, w której można było wywoływać filmy, i obszerną ubikację - idealne pomieszczenie dla lektora. Z Lublina produkcja kronik przeniosła się do Łodzi - w zburzonej Warszawie brakowało siedziby, gdzie dostępny byłby gaz, woda i prąd. Ale to ze stolicy wyruszała oddana PKF-owi półciężarówka. Tu też pisali komentarze znani dziennikarze: Karol Małcużyński i Wiesław Górnicki. W roli lektorów występowali stołeczni aktorzy: Władysław Hańcza oraz Andrzej Łapicki. W Warszawie rezydowała także cenzura, do której co sobotę redaktorzy zawozili zmontowany materiał.

Każde wydanie Polskiej Kroniki Filmowej oglądało 5 milionów widzów temat dotyczył bieżącej agitacji politycznej. „Emigracyjny rząd w Londynie jest władzą samozwańczą i nielegalną” - raz po raz padało z ekranu. Ulubionymi bohaterami PKF-u stawali się prezydent Bolesław Bierut i marszałek Konstanty Rokossowski. Przypominano, że prezentują oni władze uznane przez mocarstwa zachodnie.

W latach 50. stocznie i fabryki przedstawiano jako pola walki o wykonanie planu sześcioletniego. Ekranu zaludniali przodownicy pracy, od których zależało utrzymanie pokoju na świecie. „Ze wszystkich sił będziemy walczyć i pracować po to, by na polach naszej ojczyzny warkotem traktorów na zawsze zagłuszyć wrzawę podżegaczy wojennych” - zapewniali pracownicy podwarszawskiego „Ursusa”.

Zagłuszyć wrzawę podżegaczy

Cenzorzy pilnowali, by kroniki uświadamiały masom, ile dobrego robi dla nich władza ludowa. Generalne wytyczne redakcja czerpała z Deklaracji PPR i Manifestu PKWN. W związku z tym co trzeci

Problem wyrzuczonego parkietu

Od połowy lat 60. w kronikach zaczynają dominować tematy interwencyjne. Wyrzuczone parkiety w nowych mieszkaniach, niedobory w handlu, produkty z wadami fabrycznymi. Przychodziło

20

A to Polska właśnie...

wiele listów z prośbą, aby tą czy inną sprawą zajął się „Pan Kmi-cik”. Było to nazwisko popularnego wówczas lektora, który jednak niewiele miał wspólnego z doбором tematów kronik. W tym czasie PKF wymieniała materiały z przeszło 40 wytwórniami z całego świata. To dzięki niej zachodni kontrahenci dowiedzieli się o istnieniu „dźwiękowych” pieluch z polskiej firmy Diora. Dochodziło również do zabawnych przeinaczeń. Film o likwidacji bimbrowni przez milicję posłużył na Zachodzie za ilustrację tępienia w Polsce prywatnej inicjatywy. Zdarzały się i nieporozumienia. W warszawskim barze Praha nagminnie podkradano sztukę - ilustrowano często tymi samymi zdjęciami. Nic ce. Operator zażartował więc i pokazał, że można dziwnego, że Polska Kronika Filmowa na przeło-by je przytwierdzić łańcuchami. Zachodnie kroni- mie lat 80. i 90. zesła najpierw z kinowych ekra-ki łyżki na łańcuchach opatrzyły komentarzem: nów, a następnie wycofano ją z telewizji. W obu „Oto jak w Polsce rozwiązano problem sztukców przypadkach - jako relikw realnego socjalizmu, w barach...”.

ЛЧ РЕПОРТАЖ ПОЗОРОВАН

PKF nie dysponowała tym, co miały na wyposażeniu ekipy zachodnie: lekkimi kamerami przenośnymi, mikrofonami dalekiego zasięgu i czutą taśmą. W związku z tym pokazywane wydarzenia inscenizowano, powtarzając przed obiektywem po kilka razy pozornie naturalne sytuacje.

Filmujemy na rok do przodu

W latach 80. PKF dotknęły liczne ograniczenia. Choćby limity benzynowe. Kiedy więc ekipa wyjeżdżała w teren, kręciła materiał wzdłuż trasy i prezentowała go potem kilka miesięcy. Skutkiem tych oszczędności omal nie doszło do jednego rozwodu. Żona zobaczyła bowiem w bieżącej kronice swego męża zamiast na delegacji - na wczasach na Mazurach, w dodatku w towarzystwie ponętnej pani. Okazało się, że materiał wakacyjny pochodził z zeszłego lata. Kiedy w 1986 roku ekipa wyleciała na zdjęcia do Japonii, felietony filmowe z Kraju Kwitnącej Wiśni gościły w kronikach cały następny rok. „Żelazne” tematy - atak zimy, wiosenne powodzie, wykopki czy budowę metra

Propaganda do usług

Manipulacje Polską Kroniką Filmową były widoczne zwłaszcza w dobie kryzysów. W sierpniu 1980 roku jej wydanie otwierały informacje o wakacyjnych kłopotach z pogodą. Po

nich następował krótki raport o uszkodzeniach mebli w trakcie niewłaściwego transportu, a na koniec redaktorzy zaserwowali niecałe półtorej minuty tendencyjnego reportażu ze strajków w Stoczni Gdańskiej. Tę część zatytułowano enigmatycznie Trudne dni.

Front od początku

Polska Konika Filmowa przysłała do Polski z ZSRR. W 1943 roku na apel Wandy Wasilewskiej do 1. Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki, formowanej w Sielcach nad Oką, zgłosili się nasi filmowcy, którzy schronili się w Związku Radzieckim przed niemiecką nawałą: Stanisław Wohl, Aleksander Ford i Ludwik Perski. To oni co miesiąc redagowali Polskę Walczącą - kronikę wojskową, która utrwaliła na taśmach szlak bojowy I Armii. Do zespołu dołączali nowi fachowcy, tacy jak Jerzy Bossak, który dla PKF-u zrezygnował z posady pianisty w fabryce tekstylnej w Kirgizji.

21

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Cuda

Polska pobożność zdolna była do największych poświęceń i bezgranicznej fantazji.

aa

szkl

Jasna Góra

Huba z ludzką twarzą

Lud dopatrywał się na własną rękę zjawisk nadprzyrodzonych, gdzie było to tylko możliwe. „Między Janowicami a Chobrzezanami (Sandomierskie) na łące ukazuje się fioletowe światełko, tzw. Mędyty ognik. Mieszkańcy utrzymują, że jest to duch zmarłego geometry, który kiedyś źle wymierzył ten teren" - donosił „Przekrój". Cudem zastąpił handlarz dewocjonaliami ze Starachowic. Urząd skarbowy zajął mu w poczet długów po-datkowych garaż z samochodem. „Po urzędowym

[GWIAZDZISTA WĘDRÓWKA

Od 1977 r. odbywała się pielgrzymka gwiazdzista. Do Częstochowy wyruszały z całego kraju grupy młodzieży akademickiej. Pielgrzymi w drodze na Jasną Górę nie tylko modlili się, ale też słuchali wykładów. Wielu spośród nich zasilalo szeregi opozycji demokratycznej.

zdjęciu nietkniętych plomb - donosiła prasa - okazało się, że garaż jest pusty. Wiarę w cudowny charakter wydarzenia nadwerężyli wścibscy sąsiedzi, którzy widzieli, jak nocą majster murarski rozebrał ścianę w garażu, po czym postawił ją ponownie". O innym cudzie we wsi Królówka, w gminie Wiślicz, rozpisywano się w 1982 roku. „Huba rosnąca na krzyżu przy polnej drodze uległa deformacji, przybierając kształt podobny do ludzkiej twarzy.

Ciągnący ze wszystkich stron pielgrzymi dopatrują się w hubie twarzy świętych. Fotografie huby idą po stówie, wypożyczenie lornetki (huba tkwi w zacienionym miejscu, a krzyż jest wysoko) - 20 zł". Podobnych wydarzeń odnotowano znacznie więcej. „26 lipca 1984 poruszenie zapanowało w miejscowości Lipy, w pobliżu sanktuarium Matki Boskiej - podawała prasa. - Bezpośrednim sprawcą stała się wichura. Otóż huraganowy podmuch obłamał konar jednego z drzew, a pozostała część przybrała, zdaniem przybywających na miejsce wiernych, kształt głowy Chrystusa. Rysowano w powietrzu kontury, przekonywano się wzajemnie. Zatrzymywały się samochody, ludzie biegli w pobliże drzewa. Zapału wystarczyło jednak zaledwie na trzy dni". Osobny wysyp cudów był regularnie rejestrowany na szybach. Media pokpiwały, Kościół też nie był tym zjawiskom przychylny. „W Nidzicy przy ul. Sprzymierzonych 3 września 1984 r. na szybie okna jednorodzinnego domu pojawiły się refleksy

22

A to Polska właśnie...

odbitego światła, bliżej nieokreślonych kształtów. Cud, cud! - zakrzyknęli rozradowani przechodnie. Niezadługo zebrało się ok. 1000 osób. Niektórzy stali nawet całą noc. Nidzicki

cud nie dał za wygraną i następnego dnia powędrował na kolejną szczybę, zupełnie innego domu. Żądni sensacji ochoczo pobiegli pod nowy adres. Swoim zwyczajem stanęli zwartą grupą i wbili nieruchome spojrzenia w górę. Zapanował nastrój bliski ekstazy. I wszystko, niestety, popsuł swym nieodpowiedzialnym zachowaniem właściciel domu. Zirytowany. .. po prostu wyjął okno".

Szopka z marchewki

Co bardziej gorliwi wyznawcy cechowali się zapalem apostołskim wobec innych uczestników zabawy czy wypoczynku. „Prawie na każdym turnusie znalazła się grupka dewotek lub fanatyków, którzy chcieli zademonstrować wobec nas, że są »święt-si od papieża« - użalała się czytelniczka „Zielonego Sztandaru”. - Usiłowali oni napędzać kuracjuszy na nabożeństwa, które odbywały się w kaplicach na terenie sanatorium lub w pobliskich kościołach. Przeprowadzali zbiórki pieniężne na opłacenie nabożeństw u księży - »za zdrowie i pomyślność chorych*. Tak było w sanatorium Zdunowo i w szpitalu w Sopocie. Natomiast w Połczynie-Zdroju pewna grupa kuracjuszy demonstracyjnie wieszła krzyż lub inne emblematy religijne w świetlicach, stołówkach i pokojach sanatoryjnych". Pobożność przybierała najdziwaczniejsze formy. „Kierownicy krakowskich sklepów warzywnych Kazimierz G. i Marian Z. specjalizują się w wykonywaniu artystycznych okolicznościowych wystaw z warzyw o tematyce religijnej i państwotwór-czej - donosiła „Polityka”. - Na święta państwowe najlepiej pracuje się w pomidorach. Szopka betlejemska lubi być sporządzona z marchwi i cebuli. Podziwiany obecnie przez Kraków Święty Mikołaj pochłoniął 200 kg czerwonej kapusty".

Portret trumienny

Z obyczajem religijnym blisko sąsiedował obyczaj pogrzebowy. „Jedną z atrakcji odpustów miasteczka w powiecie nowotarskim jest stragan, gdzie można zobaczyć, jak się będzie wyglądać w trumnie - sprawozdawał „Przekrój" w 1963 roku. - Na dużym płótnie wymalowana jest otwarta trumna, z gromnicami, wieńcami i otworem na głowę. Po przeciwnej stronie umieszczone jest lustro, w którym odbija się twarz delikwenta żądnego własnego widoku w trumnie".

Kościół na krawędzi

Prasa z różnym natężeniem, ale wytrwale, przekonywała wiernych, że koniec Kościoła w kraju realnego socjalizmu jest bliski. „Dookoła świata" relacjonowało w 1974 roku: „Wśród duchowieństwa szerzy się światowy tryb życia. Młodzi wikariusze myślą tylko o szybkim kupnie motocykla. Słabnie dyscyplina w zakonach, zmniejsza się ilość powołań. W ostatnich latach sutanny względnie habity zrzuciło 12 księży świeckich, 21 zakonnych, 17 braci zakonnych, 26 siostr, 101 kleryków seminariów zakonnych, 260 alumnów seminariów duchownych. Jeden z księży na skutek trudności w znalezieniu pracy powrócił do stanu duchownego".

Procesja E

3 Ciała (1975)

/4 KOLOROWE JARMARKI

Szczególnie bogate ceremonie miały w polskim Kościele procesje Bożego Ciała, wędrowanie po kalwaryjskich drózkach i odpusty. Każdemu z tych wydarzeń towarzyszyła obecność kramarzy, którzy sprzedawali przedmioty niezbędne w kulcie religijnym oraz zabawki.

23

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Ten spór w 1966 roku między władzą a Kościołem był bodaj najważniejszym wydarzeniem społecznym w całej historii PRL-u.

ЛІЛІ. chrześcijańska kontra socjalistyczna

Prymas rozpoczyna święto

Pierwszy do tej konfrontacji przygotował się prymas Stefan Wyszyński - jeszcze w skromnej celi odosobnienia w Komańczy. Zrozumiał wówczas, że Kościół powinien po latach prześladowań powstać z kolan, gdyż inaczej czeka go ten sam los, co w Czechosłowacji. Podczas odprawiania mszy wcisnął dyskretnie do ręki Janinie Michalskiej, członkini Instytutu Prymasowskiego, tekst, który po kilku miesiącach wstrząsnął Polską. Przemyczony na Jasną Górę, został uroczystie odczytany w 300. rocznicę Ślubów Lwowskich Jana Kazimierza. Tekst miał postać przysięgi - po kolejnych wezwaniach wierni powtarzali za kapłanami: „Królowo Polski, przyrzekamy!”. Tak wyglądały Śluby Jasnogórskie Narodu 26 sierpnia 1960 roku.

Kardynał Stefan Wyszyński podczas uroczystości milenijnych (17.04.1966)

!ML»

•И ■■■■ TT!---^fce^:
!:: :...;
K*^—

l.:

ж

Zaprosić do Polski The Beatles lub The Animals. Oni odciągną młodzież od Kościoła - propozycja partyjnych działaczy młodzieżowych

Wojna o zwycięstwo

Zbliżał się jubileusz 1000-lecia państwa polskiego. Władysław Gomułka zdawał sobie sprawę, że w tej bitwie o polską historię nie może oddać pola Wyszyńskiemu. Już w 1958 roku sejm jednomyślnie przyjął uchwałę o ustanowieniu obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego w latach 1960-1966. Uroczystości koncentrowały się na czynach społecznych, a zwłaszcza na akcjach „Tysiąc szkół na Tysiąclecie” oraz „100 milionów drzew na Tysiąclecie”.

W tym okresie przypadła również 550. rocznica bitwy pod Grunwaldem. Z tej okazji w lipcu 1960 roku zorganizowano Zlot Grunwaldzki. Wysłano nań około 30 tysięcy młodzieży z całego kraju. Byli to zarówno wychowankowie Ochotniczych Hufców Pracy, jak i studenci oraz harcerze. W ciągu ponaddwutygodniowej imprezy uczestnicy spotykali się z weteranami walk z hitlerowskim najeźdźcą i działaczami lokalnymi, a także pomagali okolicznym rolnikom. Punktem kulminacyjnym zlotu była ogromna manifestacja na polach grunwaldzkich, która odbyła się 17 lipca. Wówczas w obecności około 200 tysięcy

Rozpoczęcie roku szkolnego (1961)

zgrupowanych, w tym najważniejszych dygni-;arzy partyjnych i państwowych, odsłonięto po-;nnik Zwycięstwa Grunwaldzkiego.

Dostawy towarów na Tysiąclecie

3 północy 1 stycznia 1966 roku mszą świętą n Gnieźnie, podczas której prymas Wyszyński wykościł okolicznościowe kazanie, Kościół rozpoczął Jody Tysiąclecia. Dopiero 18 lutego komunistyczne władze przyjęły ostateczną taktykę walki z obwodami kościelnymi.

Postanowiły przeszkadzać >oprzez organizowanie imprez rozrywkowych i dostawy deficytowych towarów do sklepów w dni uro-;zystości religijnych. Szczególną rolę w tych dzia-aniach odgrywały seanse atrakcyjnych filmów, akich jak Działa Nawarony czy Rio Bravo.

Niech się święci 3 Maja

/Wadze bardzo obawiały się najważniejszych uro-;zystości kościelnych, planowanych na Jasnej Gó-ze w święto Królowej Polski, 3 maja. Służba Bez-neczeństwa zorganizowała akcję

„Proboszcz” - agenci przeprowadzili ponad 3700 rozmów z duchownymi, mających zastraszyć kapłanów. Równolegle urządzono Sztafety Tysiąclecia, w które zaangażowano 150 tysięcy młodzieży. Uroczystości „tysiącletnich zaślubin Polski i Kościoła w ramionach Maryi” i tak się odbyła na Jasnej

^ SZKOŁY WŁASNYMI RĘKAMI

Akcja „Tysiąc szkół na Tysiąclecie” wychodziła naprzeciw potrzebom kraju. Władze planowały wybudować 4000 szkół, apelowały jednak do społeczeństwa o pomoc w postawieniu dodatkowego tysiąca. Udział w czynie był teoretycznie dobrowolny, ale kto w nim nie uczestniczył, „wystawiał o sobie złe, niepatriotyczne świadectwo” (jak mawiał Władysław Gomułka).

Górce. W jej trakcie oddano Polskę w niewolę Matce Boskiej Częstochowskiej, a obraz Madonny przyozdobiono nowymi koroną i suknią.

Matka Boska Wędrująca

Przez cały ten czas, od 1957 roku, w tzw. Procesji Tysiąclecia po Polsce wędrowała kopia wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej. Była to inicjatywa prymasa Wyszyńskiego, który w ten sposób pragnął poruszyć sumienie narodu. 6 maja 1966 roku milicja skierowała ciężarówkę wiozącą święty obraz inną drogą, niż wcześniej ustalono. Setki wiernych czekało na niego na próżno. Miesiąc później ikonę zatrzymano pod Lublinem i odstawiono do Częstochowy. Po tygodniu funkcjonariusze MO uniemożliwili podróż obrazu do Olsztyńska. Odwieźli go do Fromborka, ale po to tylko, by znów go zatrzymać, gdy jechał do Warszawy. W warszawskiej katedrze św. Jana wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej przebywał od czerwca do 2 września, kiedy to milicja obraz „aresztowała” i przewiozła na Jasną Górę, gdzie pozostawał następne kilka lat. Jednak mimo tych szykan kopia zdołała odwiedzić wszystkie diecezje w kraju.

Pałą w Instytut Prymasowski

Zaniepokojenie władz budziła działalność Instytutu Prymasowskiego Ślubów Narodu.

Zdecydowano się więc przeprowadzić rewizję: 21 lipca 1958 roku dokonano przeszukania biur Instytutu. Około godziny 21 bramy klasztorne zostały zamknięte, wierni zatrasowali się w środku. Przyjechało 12 zomowców. Wdarli się na dziedziniec i zaczęli bić zgromadzonych, bez względu na wiek, płeć i stan duchowny. Wśród skonfiskowanych materiałów nie znaleziono spodziewanych dokumentów, które wskazywałyby na antypaństwową działalność episkopatu.

25

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Papież przyjeżdżał do kraju, w którym kończyła się gierkowska iluzja dobrobytu. Wszyscy przeczuwali, że da swojej ojczyźnie nowy impuls. Nikt jednak nie przewidział, że będzie to impuls tak potężny.

Proroctwo Breżniewa

Papież na 35-lecie PRL-u

„Ówście jak uważacie, bylebyście wy i wasza Zaczęła się wielka polityczna i propagandowa roz-partia później tego nie żalowali” - odpowiedź grywka o papieską pielgrzymkę. W stan najwyższej działa Leonid Breżniew, przywódca ZSRR, na de- gotowości na długo przed wyznaczoną datą posta-cyzję Gierka, który zezwolił Janowi Pawłowi II wiono wszystkie służby Ministerstwa Spraw Wewnętrznych odwiedzenie kraju. Ale władze i tak były moc-wnętrznym. Akcji nadano kryptonim „Lato 79”.

no zaniepokojone przyjazdem głowy Kościoła. Obawiano się, że papież rodak rozbudzi wolnościowe nadzieje Polaków. Zwłaszcza że wizyta wypadła w 900. rocznicę śmierci świętego biskupa Stanisława, który zginął za nieposłuszeństwo wobec władzy świeckiej. W sobotę 2 czerwca 1979 roku o godzinie 10.07 samolot z Ojcem Świętym wylądował na Okęciu.

Hieck zstąpi Uuck Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi i - słowa wypowiedziane na placu Zwycięstwa w Warszawie I czerwca 1979 roku

Oficjalnie prawo do przekazywania informacji miała tylko Polska Agencja Prasowa.

Redaktorzy naczelni wszystkich tytułów dostali ścisły instruktaż, co i w jakiej kolejności pisać. Chodziło o zademonstrowanie „jedności władzy i społeczeństwa”. Zamiast relacjonować treść kazań, gazety poświęcały wiele miejsca trasom przejazdu papieża, które opisywano jak w przewodnikach dla cudzoziemców. Media unikały nawet słowa „msza”, nazywając ją „uroczystością”. Podkreślano fakt, iż Jan Paweł II mijał pomniki przyjaźni polsko-radzieckiej, mimo iż nie miało to nic wspólnego z pielgrzymką. „Udając się na Jasną Górę, papież przejeżdżał obok

Z DALEKIEGO KRAJU „Majdrożsi Bracia i Siostry! Jeszcze przeżywamy wielki smutek z powodu śmierci naszego ukochanego papieża Jana Pawła I, a oto Najdostojniejszy Kardynałowie już powołali nowego biskupa Rzymu. Powołali go z dalekiego kraju, z dalekiego, lecz zawsze tak bliskiego przez łączność w wierze i tradycji chrześcijańskiej” - tak zaczął swe pierwsze orędzie Jan Paweł II.

26

A to Polska właśnie...

Pomnika Wdzięczności wzniesionego przez mieszkańców na cześć żołnierzy radzieckich" - pisało „Życie Warszawy”. Bez przerwy sugerowano, że wizyta ma ścisły związek z 40. rocznicą wybuchu wojny, a zwłaszcza z 35-leciem powstania Polski Ludowej. Władze przywitały głowę Watykanu „godnie i serdecznie” i śledziły przebieg pielgrzymki „z zainteresowaniem”.

Pokorna milicja

Tych 10 dni czerwca wstrząsnęło Polską. Stało się oczywiste, że naród może mieć innego przywódcę niż namiestnicy partyjni. W dodatku osobowość o bez porównania większym charyzmie. Poza tym pielgrzymka wykazała, że społeczeństwo potrafi doskonale się zorganizować bez odgórnego nakazu. Porządku pilnowały powołane przez Kościół służby, które świetnie radziły sobie z ogromnymi masami ludzkimi. Panował nastrój pogody i wzajemnej życzliwości. Milicja z dnia na dzień straciła wiele ze swej zwykłej buty. Wobec bezpośrednich transmisji telewizyjnych - podczas których jednak unikano pokazywania nieprzebranych tłumów wiernych - bezradny okazywał się aparat propagandowy PRL-u. Dygnitarze partyjni i państwowi, biorący udział w spotkaniu z papieżem, nagle wydali się społeczeństwu ciałem obcym. To zupełnie odmieniło spojrzenie Polaków na własny kraj i siebie samych. Stworzyło podwaliny spontanicznego ruchu oporu wobec władzy, który zrodził się rok później.

Trasa pierwszej papieskiej pielgrzymki do Polski

2 czerwca - Warszawa (przyłot), Gniezno

3-5 czerwca - Częstochowa

6 czerwca - Kraków

7 czerwca - Kalwaria Zebrzydowska, Wadowice

8 czerwca - Oświęcim

9 czerwca - Nowy Targ

10 czerwca - Kraków (pożegnanie)

^ ROZBIEŻNA HISTORIA

Podczas przemówienia w Belwederze Edward Gierek roztacza wizję państwa dobrobytu, w którym wszystkie problemy zostały rozwiązane. Sięga do historii ostatnich dekad. Jan Paweł II też nawiązywał do dziejów Polski, ale całego tysiąclecia. Wypowiadając się więc na ten sam temat, mówili zupełnie co innego.

Serdeczniej niż w Meksyku

„Będziemy Go witali ze wzruszeniem i miłością, z radością i entuzjazmem. Wiemy, jak Jana Pawła II witano w Meksyku, gdzie 20 milionów ludzi ruszyło się z miejsca, by go zobaczyć i usłyszeć. Trudno wprost sobie wyobrazić bardziej gorące przyjęcie, a przecież będzie On witany jeszcze goręcej niż za oceanem. My zaś z wdzięczności za dar odwiedzin możemy mu ofiarować tylko jedno: będziemy wierni temu, czego On od nas oczekuje” -Jerzy Tu-rowicz, „Tygodnik Powszechny”, czerwiec 1979.

Wielkie milczenie przed Bogiem

„A cóż powiedzieć do Was, którzy tu przybyliście z mojego Krakowa, od stolicy świętego Stanisława, którego byłem niegodnym następcą przez lat 14. Cóż powiedzieć? Wszystko, co bym mógł powiedzieć, będzie blade w stosunku do tego, co czują Wasze serca. Więc oszczędźmy słów. Niech pozostanie tylko wielkie milczenie przed Bogiem, które jest samą modlitwą. Proszę Was! Bądźcie ze mną! Na Jasnej Górze i wszędzie! Nie przestawajcie być z papieżem, który dziś prosi słowami poety: «Matko Boża, co Jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz BramieU, I do Was kieruję te słowa w takiej niezwyklej chwili. Niech to na dzisiaj wystarczy” -z homilii Jana Pawła II, wygłoszonej podczas mszy inauguracyjnej pontyfikatu 22 października 1978 roku.

27

Od święta pomnik męczeństwa.

Na co dzień - moloch, w którym do życia brakowało właściwie wszystkiego.

>*

Stajnia i dom literatów

Warszawa była na wpół metropolią, na wpół wsią. Potwierdzały to badania socjologiczne i statystyczne. W 1965 roku obliczono, że na każdy 1000 warszawiaków 111 ma wyższe wykształcenie. Jednocześnie lekarze i higieniści dodawali, że na 1000 mieszkańców stolicy tylko 37 codziennie myje nogi. Co piąta warszawska rodzina miała lodówkę, ale też w co piątym mieszkaniu brakowało zlewu. W Warszawie działało aż 957 bibliotek, lecz tylko 14 łaźni. W co dziesiątym domu był telefon. Ale na 10 warszawskich aparatów aż trzy należały do urzędów. Książka telefoniczna najczęściej nie nadążała za zmianami numerów. Zaledwie co drągi warszawiak korzystał z łaźienki, ale co trzeci miał odbiornik radiowy, a co piąty telewizor. Z końcem lat 60. porachowano warszawskie zwierzęta. Okazało się, że w Śródmieściu znajduje się siedem krów, 11 koni, 110 świń i owca. Jednocześnie Warszawa była miastem narodowej literatury. Wiersze zawodowo, co zostało potwierdzone członkostwem w Związku Literatów Polskich, pisało tu aż 80 poetów.

Wszyscy przejazdem

Stolica stanowiła wielki węzeł komunikacyjny. W latach 60. do pracy dojeżdżało tu każdego dnia ponad 130 tysięcy osób. Dekadę później tych dojeżdżających było o 50 tysięcy więcej. Przybywali

/4 ULUBIONA SYRENKA

Stolica miała dwa pomniki-symbole: Syrenkę nad Wisłą i Nike na placu Teatralnym. Syrenkę chętnie przychodzili oglądać turyści oraz warszawiacy. Natomiast pod Nike sprowadzano wycieczki szkolne na pompatyczne uroczystości upamiętniające bohaterów Warszawy.

z odległości nawet ponad 100 kilometrów. Tracili na samą podróż średnio prawie 3 godziny dziennie. W okolicznych miejscowościach, np. w Piastowie, co drugi zatrudniony jeździł do Warszawy. W samej stolicy z komunikacją też nie było lepiej. Obliczano, że codziennie różnymi środkami lokomocji przemieszcza się tu 4 miliony osób. Na 10 warszawiaków trzech nie mogło się dostać do żadnego pojazdu, zwłaszcza w godzinach szczytu. Ten problem miało

rozwiązać metro, ale aż do lat 80. liczyło ono 1300 metrów tunelu przebitego w okolicach Targówka. Mimo iż wstępne plany kolei podziemnej gotowe były jeszcze przed wojną.

Szemrane miasto

Stolica była także - jak każda metropolia - skupiskiem patologii. Jeden statystyczny warszawiak -nie wyłączając dzieci i starców - wypijał w latach 60. rocznie około 9 litrów spirytusu. Dekadę później ta ilość uległa niemal podwojeniu. Na Pradze notowano największe zagęszczenie melin pijackich

28

Д to Polska właśnie...

w skali kraju. Było ich niekiedy kilka w jednej kamienicy. Na meliny adaptowano także powojenne ruiny, piwnice, domki na działkach. Prasa narzekała, że nawet stare lokomotywy ustawione w Muzeum Kolejnictwa na warszawskim Dworcu Głównym są zajmowane przez pijaków. Do Warszawy należał też przez dziesięciolecia rekord Polski w liczbie popełnianych przestępstw. Rocznie notowano 20-30 zabójstw, kilkaset napadów bandyckich i 20-30 tysięcy kradzieży. Stolica przodowała również pod względem samobójstw. Średnio odbierało sobie życie 200-300 osób rocznie. Przy tym w mieście działało 182 prokuratorów i prawie 10 razy więcej adwokatów.

Butelki pływają po stawie

Z tak dużą przestępczością miał związek fakt, że w latach 60. w Warszawie nie było ani jednego cyrku, lombardu, kasyna gry ani - co oczywiste - domu publicznego. Nie korzystano nie tylko z rozrywek, ale i z usług. Przeciętny warszawiak wydawał na nie mniej więcej tyle, co na papierosy. W tym czasie Polska znajdowała się na drugim miejscu w Europie, a piątym na świecie pod względem wypalanych papierosów na jednego mieszkańca. Warszawiacy puszczali z dymem 3,5 miliarda papierosów rocznie. Wyprzedzali ich w tym tylko Ślązacy. Niewiele rozrywki miały także dzieci. Nawet podczas spacerów. Na stawach w warszawskich parkach pływało - jak szacowano - blisko 50 łabędzi. Ale też kilka razy więcej butelek i ogryzków.

^ BUDOWLA WŁADZY

Pałac Kultury i Nauki pomyślany został tak, aby był widoczny z każdego punktu miasta. Wokół gmachu powstał jeden z największych placów w Europie. Wszystko po to, by - jak chcieli twórcy tej monumentalnej budowli - zaznaczyć dominację Związku Radzieckiego nad niepokorną stolicą Polski.

Najważniejsze filmy, których akcja rozgrywa się w Warszawie:

Zakazane piosenki (1946) - Warszawa żyje na ruinach - raczej wojną niż odbudową.

Skarb (1948) - komedia o młodym małżeństwie w poszukiwaniu własnego kąta. Aktualna przez kilka następnych dziesięcioleci.

Pokolenie (1954) - odpowiedź na pytanie, skąd się po wojnie wzięli „nowi” warszawiacy. Zwłaszcza ci, którzy dorwali się do władzy.

Eroica (1957) - niezapomniany portret warszawskiego cwaniaka, któremu nawet powstanie 1944 roku nie przeszkadza dobrze się bawić.

Cafe pod Minogą (1959) - Warszawa na eksport. Stołeczni swojacy, jakich portretował w swoich felietonach Stefan Wiechecki „Wiech”.

Niewinni czarodzieje (1960) - młode pokolenie warszawskiej inteligencji. Mają dość pracy dla ojczyzny, chcą wreszcie pożyć.

Giuseppe w Warszawie (1964) - warszawska konspiracja wojenna w krzywym zwierciadle.

Nie lubię poniedziałku (1970) - miasto pogrążone w chaosie, ale pogodne.

Miś (1980) - absurd życia w stolicy sięga szczytu.

Piłkarski poker (1988) - jak się żyło stołecznym prominentom.

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Miasto

po>d bejnalem

Szkolna wycieczka do Krakowa miała dwa cele. Należało młodzieży ukazać wielkość rodzimej historii oraz przemycić przekonanie, iż życie w PRL-u nie kończy się na ponurym blokowisku i telewizji.

Nie przenoście nam stolicy do Krakowa krakowski bard, Andrzej Sikorowski

;; Hejnał kabaretowy

Ówczesny Kraków to głównie ludzie, których nie sposób było spotkać nigdzie indziej. Piotr Skrzynecki, duchowy przewodnik Piwnicy pod Baranami, na rynku pojawiał się dopiero popołudniem: z różą, w kapelusiku z piórkiem, rozdając ukłony na prawo i lewo. Wieczorami zapowiadał w kabarecie artystów. Starał się kończyć program na kwadrans przed pełną godziną, aby widownia po wyjściu mogła jeszcze przynajmniej posłuchać hejnału z wieży mariackiej. Gdyby była niezadowolona z programu. Co się prawie nigdy nie zdarzało. Z kolei Zygmunt Konieczny komponował songi dla Ewy Demarczyk i handlował piwnicznymi plotkami. Jeśli ktoś znał taką, której artysta nie słyszał, mógł od kompozytora wydebić fortunę. Konieczny jednak ani złotówki nie płacił za plotki o sobie. Najlepiej wiedział, ile są warte.

Symetryczne biogramy

Do Krakowa jeździło się oddychać atmosferą wielkiej literatury. W willi na obrzeżu miasta rezydował Stanisław Lem. Po galaktykach krążyły pogłoski, iż król literatury science fiction, Philip K. Dick, skarżył się w donosie do CIA, że KGB utrzymuje sztab specjalistów.

Wymyślają oni historie, które wspólnie podpisują pseudonimem „Stanisław Lem”. Bo jeden człowiek nie byłby zdolny do takiej płodności literackiej. I jak tu wytłumaczyć takiemu, że Lem nigdy nie poprawiał tekstów, które

mu się podobały. Po prostu wrywał kartkę z maszyny i pisał od nowa. A takich kartek potrafił dziennie zapisać 50, nawet 100. Znacznie mniej tworzył Sławomir Mrozek, ale każde jego zdanie było jak brzytwa. W Krakowie długo mieszkał kątem na poddaszu w Domu Literatów przy ulicy Krupniczej. Po latach odkrył, że dziedziczy łóżko po pisarzu nazwiskiem Nikorowicz. Ciekaw, kto to taki, zajrzał do leksykonu: „Nikorowicz Ignacy, 1866-1951, dramaturg, prozaik; komedie hist. (Pani Walewska) i współcz. (Wgołębniku), poezje, powieści, zbiory nowel”. Mrozek ze zdumieniem uzmysłowił sobie, że jego biogram będzie brzmiał niemal identycznie.

A to Polska właśnie...

Stanisław Lem

Róg Turowicza i Tischnera

krakowianie jeszcze w la-ich 80. żartowali, że już nie-awem będą się umawiana kawę na skrzyżowaniu urowicza i Tischnera. Gdy siadł profesor Józef Tischner rowadził w Krakowie dusz-asterstwo akademickie, wie-l młodych słuchaczy jego ka-ań nie umiało rozstrzygnąć, zy bliżej mu do Ewangelii, czy do myśli liberalnej. Jedni mówią, że jestem z prawicy, drudzy, że z le-ricy. A ja jestem z Łopusznej" - odpowiadał Tisch-er. Z większą powagą swoje obowiązki traktował ;rzy Turowicz, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”. Każdy kolejny numer pisma starannie rojektował na szkolnej tablicy (nawet już w epoce omputerów), która wisiała w jego gabinecie. A gdy a niej nie starczało miejsca, dorysowywał makietę a znajdującym się tuż obok piecu kaflowym.

Ludzie z drugiej strony chmur

.raków obfitował w osoby jakby na wpeł z innego wiata. Dzidiana Solska jest wróżką, która w Su-iennicach od lat co dzień uprawia teatr wróżbiar-;ki. Zaczynała jako modelka w Akademii Sztuk 'ięknych. „Ja jestem jak z Rubensa, ja jestem mi-ość i natchnienie artystów. Wybitnych modelek >yło w historii świata pięć. Ja jestem szóstym ele-nentem" - zaznacza. Jeden z młodych twórców ;ak przejął się tą deklaracją, że wpadł w szal i ga-liał nagą modelkę dookoła Barbakanu. Gazety do-rosiły o tym skandalu tuż obok informacji o obra-lach zjazdu PZPR. Gdy któraś klientka śmie wątpić ve wróżby Dzidiany, słyszy: „Zachowuje się pani >ez finezji, jak, za przeproszeniem, w autobusie, 'ani nie wie, że ma do czynienia ze sztuką i tajem-ticą. I to jest, proszę pani, katastrofa".

Wodzirej w sobolach

Lutek Danielak z Wodzireja (1978), Maksio z Seksmisji (1984), Kilkuja-dek z Kingsajzu (1988) czy komisarz Ryba z Kilera (1997) - tym i dziesiątkom podobnych rodaków dał twarz krakowianin Jerzy Stuhr. Podczas studiów za dnia ćwiczył etiudy w teatrze, a nocami dorabiał jako wodzirej. Dlatego knajpianych typków gra tak przekonująco. „Dobry aktor musi umieć wszystko" - powtarza swoim studentom jako rektor krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej.

Marny hydraulik

Z domu przy ulicy Grodzkiej do pracy na ulicy św. Jana Andrzej Mleczek idzie 4 minuty. O ile nie zatrzyma go ktoś prośbą o autograf. Rysownik o sobie powiada, że chciałby opanować dobrze płatny i „przewidywalny" zawód hydraulika, ale - niestety -to przerasta jego możliwości. Utrwała więc tylko na papierze własne dowcipy. Paradoksalnie - jego rysunki sprzedawały się najgorzej w czasach, gdy handlował nimi w firmowym sklepiku na rynku znany prozaik i publicysta, Jerzy Pilch.

31

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

£© cic&u, podstaw

Poznań, a wraz z nim Wielkopolska, nie miał rozmachu Warszawy ani historii Krakowa. Jego atutem była tylko pracowitość mieszkańców. Dlatego nigdy nie przeszedł do legendy.

Aktywiści z niepełnym podstawowym

Poznań był przywiązany do samoorganizacji społecznej, wyniesionej z czasów oporu przeciw germanizacji. Poznaniacy okazali się zaradni nawet pod narzuconą władzą. Już w roku 1948 „Gazeta Poznańska" donosiła o pierwszym w Polsce państwowym zakładzie gastronomicznym. „W lokalu dawnej restauracji Arkadia przy pi. Wolności w Poznaniu otwarta została Gospoda Robotnicza P.D.T. Gospoda posiadać będzie zupełnie inny charakter aniżeli dotychczas znane nam typy prywatnych lokali gastronomicznych. Głównym jej celem będzie dostarczenie tanich, smacznych i pożywnych dań światu pracy. Drugim ważnym celem Gospody Robotniczej będzie wychowanie nowego typu pracownika gastronomii.

Wyeleminuje się radykalnie praktykowane na terenie prywatnych zakładów rozpijanie klientów, oszustwa przy sporządzaniu rachunków itp."

Poznaniacy pozostawali lojalni wobec nowej władzy, ale do czasu. Wiatach 1948-1956 do partii należało

w Wielkopolsce procentowo najwięcej mieszkańców - po Śląsku. Byli to ludzie oddani komunistycznemu reżimowi, choć rzadko przygotowani do pracy. W 1953 roku 54 procent zawodowych aktywistów PZPR w Wielkopolsce legitymowało się wykształceniem podstawowym, a 30 procent nie skończyło nawet szkoły podstawowej. Tylko dwie osoby z 768 aktywistów miało dyplomy wyższej uczelni. Już w 1948 roku czerwoną legitymację nosiło przeszło 175 tysięcy Wielkopolan. Jednak po wydarzeniach Czerwca '56 w ciągu następnych pięciu lat do partii wstąpiło ich tylko 5000.

Jaroszewicz komplementuje Pyrlandię

Wielkopolska dawała sobie radę lepiej niż inne regiony kraju dzięki pracowitości mieszkańców. „Dokonałiście w minionych latach poważnych wysiłków, aby dynamicznie rozwijać hodowlę i na tej podstawie polepszać zaopatrzenie ludności w mięso” - komplementował Wielkopolan w 1974 roku premier Piotr Jaroszewicz podczas A to Polska właśnie.

REKORDOWA WINDA Najwyższym budynkiem mieszkalnym Poznania w 1972 r. był pierwszy 12-piętrowy wieżowiec na Winogradach. Zamontowano w nim najnowocześniejszą w regionie windę szwedzkiej firmy Asea-Graham. Innowacja polegała na tym, że dźwig, jadąc w górę lub w dół, zatrzymywał się po drodze na żądanie pasażerów, którzy chcieli się dosiąść.

Ulica Armii Czerwonej (obecnie Święty Marcin) w Poznaniu, lata 70.

dożynek w Poznaniu. Wielkopolska otrzymywała wówczas największe sumy z Funduszu Rozwoju Rolnictwa, ponieważ tutejsze gospodarstwa chłopskie najlepiej wywiązały się ze swych zobowiązań wobec państwa. Świetnie sprawdzało się także rzetwórstwo żywności. Poznańskie zakłady „Ami-10” spopularyzowały w całym kraju koncentraty spożywcze. W 1972 roku największym powodzeniem cieszyły się „kakao instant” i kawa zbożowa „Inka”. Wówczas wytwórnia weszła na rynek i „koncentratami obiadowymi”. Wśród nich było alka dań przebojowych, takich jak zupy błyskawiczne z mięsem (grochowa, pomidorowa, krup-iik polski) oraz kasza z mięsem. Hitem okazała się jednak kawa „Espresso”, która stanowiła mieszankę ekstraktu kawy naturalnej i zbożowej.

Dowcip poznaniaka

ibznianicy wdrażali też wynalazki, świadczące o ich liepospolitej fantazji. W 1960 roku zademonstrowało prototyp pierwszego w Polsce automatu do sprze-laży środków antykonceptyjnych. „Jest to nieduża ;krzyneczka blaszana, przystosowana do powiesz-e-lia na ścianie. Po wrzuceniu pięciozłotowej monety, wyskakuje z okienka jedno opakowanie zawierające l prezerwatywy” - opisywała urządzenie „Gazeta Po-mańska”. W 1966 roku prasa odnotowała rewolucję n zaopatrzeniu: „Zakupy można robić w sklepie, kiosku, na straganie iw... autobusie. Ten na pierwszy

rzut oka dziwołag z pełną aprobatą przyjęli mieszkańcy Koła. Tamtejsza dyrekcja PSS, jako jedyna w województwie, wpadła na dowcipny pomysł, by na okres remontu jakiegoś sklepu ustawić w pobliżu wysłużony »San«, zamieniony na sklep. Zwłaszcza przy remontach krótkotrwałych system ten okazał się znacznie wygodniejszy i tańszy od budowy zastępczych kiosków”. Na ulicach stolicy Wielkopolski testowany był nawet pierwszy Fiat 126p o napędzie elektrycznym. Pojazd został skonstruowany przez pracowników Centralnego Laboratorium Akumulatorów i Ogniw w Poznaniu. Niestety, nie wszedł do produkcji.

Z porządkiem do gości

W 1970 roku dla gości Jesiennych Targów Krajowych zarezerwowano wszystkie miejsca w poznańskich hotelach. Przygotowano też 10 tysięcy łóżek na kwaterach prywatnych, 600 w domach akademickich i przeszło 1000 w szkołach. „Na zakończenie - można było przeczytać w piśmie Biura Zakwaterowania - apel do administratorów i dozorców domowych, do wszystkich mieszkańców miasta. O czystość w obejściach domów i klatkach schodowych, o właściwe oświetlenie numerów poszczególnych obiektów. To przecież nasza wspólna wizytówka w okresie trwania Targów”.

^ POCIĄG DO IRAKU

W Cegielskim zbudowano m.in. zestaw reprezentacyjnych wagonów dla prezydenta Iraku. Ich konstrukcja była całkowicie poznańska. „Wagony są komfortowe, nowoczesne, przystosowane do szybkości 160 km/godz., posiadają ogrzewanie elektryczne typu nawiewnego oraz pełną klimatyzację przystosowaną do warunków tropikalnych” - informowała prasa w 1965 r.

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

„Człowiek podszedł do okienka i powiedział- chciałbym... Człowiek w okienku przerwał mu: - Następne okienko!" -tak brzmiał początek najlepszego opowiadania nadesłanego na wrocławski konkurs „Petent przy okienku”.

Nie bądźcie natrętni...

TTrzędników nagabywano często %0 bez żadnego szacunku dla uświęconych zwyczajów biurowych. Tak jak to miało miejsce w czasie powodzi stulecia w 1980 roku w Krośnie: „Jedną urzędniczkę rozboleła głowa od har-mideru czynionego przez powodzian, którzy nie przyjmują tego do wiadomości, krzyczą, że ból głowy wobec ich nieszczęścia to po prostu śmieszny argument - relacjonowało pismo „Prawo i Życie”. - Druga ubolewała, że nie miała czasu zjeść drugiego śniadania, a już godzina trzynasta. Petenci nie przyjmują tego do wiadomości, twierdzą, że to nie czas na spokojne urzędowanie przy herbatce. Naiwni ludzie. Nie wiedzą, że nic tak nie rozjusza urzędnika, jak przeszkadzanie mu w picciu herbaty”.

Dysponenci koniogodziny

Pełnomocnik Dyrektora do spraw Stosunków z Zagranicą - tak brzmiała oficjalna nazwa stanowiska w jednym z gdańskich przedsiębiorstw. Jednak sekretarce nie chciało się za dużo pisać w legitymacji służbowej, więc skróciła ją do Pełnomocnik Dyrektora ds. Stosunków. Nie tylko ten pracownik miał problemy z nazewnictwem wykonywanej przez siebie pracy. Kielecki maszynista biurowy nie mógł figurować w kadrach jako zwykły „maszynista”, ponieważ kojarzyło się to z koleją. Po konsultacjach otrzymał zatem tytuł „maszynisty wąskowałkowego”. Podobnie interesujące

^ ZEBRANIE ALBO ŚMIERĆ

Zmorą życia urzędowego byty narady. „Poszłam na naradę do Dyrekcji, wracam za 15 minut” - taką uniwersalną wywieszka postugiwała się niemal codziennie sprzedawczyni pewnego kiosku Ruchu. Jednocześnie według badań GUS-u w połowie lat 70. Polaków najbardziej przerażało przemawianie na forum. Ten lęk nękał 41 procent respondentów, podczas gdy śmierci bato się tylko 19 procent.

sformułowania znajdowały się nie tylko na niewielkich pieczętkach. Niektóre widniały na tablicach. W miejscowości Bedlno postawiono ogromny drogowskaz z napisem: „Do Głównego Dyspozytora Próżnych Przebiegów”. W bieżącej sprawozdawczości urzędniczego ucha nie raziły także takie przykłady: „Koniogodzina jest dowolnie zaniżana przez woźniców, którzy nie ujmują postojów tak po stronie swojej jak i masy towarowej, czyli węgla”.

Nadpodaż ołówków różnych

Powszechnym zwyczajem w urzędach było nagminne wyprowadzanie z nich w nieprawdopodobnych ilościach materiałów biurowych, którymi posługiwały się później urzędnicze pociechy w szkole. Czasami jednak mocno przesadzano z zachłannością. W jednym z urzędów Zapotrzebowanie materiałów

A to Polska właśnie...

biurowych dla działu księgowości kosztów na rok 1976 wykazało, że dział liczący 10 pracowników zażyczył sobie: 900 wkładów do długopisów, ołówków różnych 250 sztuk, gumek 50, kleju 250 opakowań, 50 „aparatów zwanych zszywaczami” oraz 100 „błoczków na rozmowy telefoniczne”. Nic dziwnego zatem, że wszelka nadpodaż wydawała się kontrolerom podejrzana. „Do orkiestry Filharmonii Kieleckiej zawitał rewident finansowy - donosiło „Dokoła świata”. - Ów człowiek zdumiał się ogromnie, dlaczego w składzie zespołu figuruje aż czterech flecistów. Przecież to rozrzutność finansowa i kadrowa. Ze zdziwieniem przyłał wiadomość, że jest to normalny skład zespołu filharmonicznego”.

Niedobór 15 złotych

niezwykle serio urzędnicy traktowali też samych siebie. Oto pismo 3rezydium Rady Miejskiej z Pszczyny: „W związku z uchwałą sesji łady, Komitet Organizacyjny urzędzi) w dniu B lutego zabawę ta-leczną dla Radnych MRN. Ze względu na to, że Obyw. nie raczył za-izczyć zabawy Radnych, przeto powstał deficyt i dlatego Komitet organizacyjny prosi o wpłacenie kwoty 15 złotych - celem pokry-:ia niedoboru finansowego. - Przewodniczący Prezydium Miejskiej łady Narodowej”.

W urzędzie (Warszawa, 1979)

Przetarg matrymonialny

Urzędowy tryb załatwiania spraw rozprzestrzeniał się na wszelkie dziedziny życia. Oto jak przeprowadzał dobór narzeczonej młody człowiek, który w Kielcach wywiesił na słupie anons tej treści: „Ogłaszam przetarg matrymonialny. Kandydatki w wieku 18-30 lat winny przesłać oferty pod adresem (...) iw zalepionych kopertach załączyć wadium w wysokości 10% sumy, jaką będą mogły wnieść do ewentualnego małżeństwa. Otwarcie kopert nastąpi 8 marca o godzinie 10. Zastrzegam sobie prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyn, jak również prawo wyboru oferentki”.

Lepszy niż zmarły Holmes

W urzędach czasami zdarzały się sukcesy. Pochwały były utrzymane oczywiście w tonie urzędowym. „Obywatela W.T. cechuje ogromna sumienność w pracy i dociekliwość w wyszukiwaniu pomyłek przy uzgadnianiu sald. W/w w tym zakresie opanował sztukę do perfekcji, niczym zmarły detektyw Holmes”. Jeszcze bardziej gorliwi okazali się autorzy „Biuletynu Informacyjnego” Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, którzy opublikowali Wykaz przewodniczących Rad Narodowych, a tuż obok listę ich następców. Niektórym obecnym przewodniczącym zrobiło się nieswojo, za to następcom zdecydowanie poprawił się humor.

V URZĘDOWE NATRĘCTWO

„Petenci także często nie są bez winy. Niekiedy zgłaszają się do urzędu w czasie przeznaczonym na prace wewnętrzne, powtarzają pytania, na które już uzyskali odpowiedź, zbierają kilka razy te same informacje i - co gorsza - bez uzasadnienia podnoszą czasami glos, zakłócając normalny tok zajęć” - pisał Edward Pietkiewicz w książce Dobre obyczaje.

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

»

Polski

mam paszport na sercu.

>*

Zanim obywatel PRL-u wyjechał za granicę, musiał się udać w bardzo długą podróż po krajowych urzędach.

Nabywanie dewiz

Prasa udzielała starającym się o pasz- « port i dewizy wielu bezcennych wskazówek: „Dużo z tym zachodu, ale możliwości są. Przede wszystkim trzeba sobie założyć książeczkę dewizową, którą można nabyć w biurach podróży za jedne 50 zł. Mając taką książeczkę, można nabyć w ciągu roku różnych dewiz za 8100 zł. Tym limitem trzeba gospodarzyć ostrożnie, jeśli się chce wyjechać za granicę więcej niż raz w roku”. Pismo „Re- /^ laks” precyzowało kwestie dewizowe: „Przy wyjeździe do krajów kapitalistycznych można otrzymać 130 dolarów raz na trzy lata, a przy wyjeździe do Jugosławii także 130 dolarów, lecz już co drugi rok. Ograniczenia obowiązują także przy wyjeździe do takich krajów socjalistycznych, jak NRD, Czechosłowacja i Węgry”. Redakcja odpowiadała także na pytanie, jak otrzymać dolary. „Proste to nie jest. Trzeba najpierw złożyć wniosek; można go otrzymać tylko w biurze podróży. Wniosek jest potem rozpatrywany przez komisję społeczną przy Komitecie Kultury Fizycznej i Turystyki. Albo dadzą, albo nie dadzą”.

Opłata telekomunikacyjna

Wyjazdy do krajów socjalistycznych były tańsze i prostsze, choć niewiele. Na rozpoczęcie letniego sezonu wycieczkowego prasa przypominała: „Przy przekraczaniu granicy naszych południowych sąsiadów niestety nadal potrzebne są wkładki paszportowe, za które płacimy 300 zł ze 100 złotowym dodatkiem tzw. opłaty paszportowej. Całą tę kwotę

„n.<^_, .ЯВГВЮЮ..... MSLAlt^,

:/■,. :.и"?Ш^лі "MSW

Stołeczna

Komenda ШУШЕНШ (Міфка) МШс)и ОьршаіяШе] u) . ИазедВМТЮ.....

КВТькІвтІа, te podanie Оьциаіеіа (ki) o lujjdnne.....МОЖЭОЗ".ІГ..... no

афтїОЯММІ.....do _____G&Sfi&T.....*osiab

nftn»itOM

Po odbiór . .РЛКгшПН налезу іііовіс сіє особи́сціє ш КШМО..-ДІЛІЯѐаНДХО-.~:..

тм~—..... ій іегтїчік до дня . .3, И—СО..... шь godzinach od _____

do....., огая

ГТЛ L VtOTCUrul-oCntQ7*^tteti OU 8.00-dC.OO

i) dowid o*obj<Н яшіоцщашидаїіі^лжиидяБияпддаїЗс^оргДоЕі S0I)ót, 2) piіjncscjenіF

oinnmania іііш лujazdoіuej (promesa udiu)

/йлгі "

3} doіeud ііівгсіспіа оплаіу равірогіоше) ш кшосіє іі.....' '... ..

ш k»»Sc -.....S~-----Oddiału Miejskiego Narodowego Banku Polskiego u

m komo К#МО (RMMO) Nr g»?\$M.t.»...."S».prc.aіcsy wпłaclu no -rmUs Когмнйу

Stołecznej ;::; v. Г,-;»-зиа<1о ,,,, r.,Ł,«»™і™і, „hi, ртиаіоі|,<і pra)1 шііш.Йг-

■ ■ "■!1^,;<кї°Біук

OuCssial» іСа.рд. "" "" "" "" ""

PASZPORT METODA SZANTAŻU

Paszport był narzędziem wywierania nacisku na osoby, które władza chciała od siebie uzależnić. Biskupom wielokrotnie odmawiano tego dokumentu, uniemożliwiając im wizytę w Rzymie. Z kolei artystów szantażowano w ten sposób: wyjadą za granicę, jeśli podejmą współpracę z esbecją. Tak więc staranie się o paszport często stanowiło próbę charakteru.

regulujemy w znaczkach skarbowych. Wyjechać indywidualnie możemy jedynie po otrzymaniu z Czechosłowacji zaproszenia. Kto nie ma rodziny lub znajomych w CSRS, może zorganizować sobie wyjazd indywidualny za pośrednictwem Orbisu, Gromady, Biura Turystyki Zagranicznej PTTK, Juven-turu, Almaturu lub Turysty. Biura te zarezerwują zarówno noclegi, jak i wyżywienie. Opłaty w złotych plus 15-procentowa marża i jednorazowa opłata 15 zł tak zwana telekomunikacyjna".

Turystyka abstrakcyjna

Pisma młodzieżowe pełne były ofert wyjazdów, na które młodych ludzi absolutnie nie było stać. Tygodnik „ITD" polecał w 1975 roku wycieczkę na trasie: „Lizbona - Cozimbra - Oporto - Sin-tra - Lizbona. Cena 13 600 zł, w tym 25 doi. kieszonkowego. Program pobytu jest aktualnie

36

A to Polska właśnie...

przygotowywany, obejmować on będzie, obok zwiedzania zabytków, spotkania z młodzieżą i zwiedzanie zakładów pracy". Jednocześnie pismo służyło cenną radą praktyczną: „Zdjęcia w dowodach osobistych i paszportach winny być zgodne ze stanem faktycznym - golenie bród i wąsów na granicy nie należy do przyjemności". Podczas gdy „zwykłe" gazety relacjonowały trudności ze zdobyciem paszportu, prasa milicyjna tryskała optymizmem. Tygodnik „W służbie narodu" donosił: „Już obecnie dokonane usprawnienia przyniosły bardzo dobre rezultaty. Obywatele są zadowoleni z lepszej pracy punktów paszportowych, o czym świadczy minimalna w stosunku do liczby interesantów ilość skarg i zażaleń na styl pracy

pracowników tych punktów. Myślą przewodnią jest, aby obywatel był załatwiany coraz lepiej, szybciej i kulturalniej. W ten sposób realizuje się wskazania VII Plenum KC PZPR, dotyczące wprowadzenia lepszej organizacji pracy w zakładach i instytucjach".

Ddprawa celna (1975)

„Ze stali, z żelaza, z węgla..."

Sprawa uzyskania paszportu stała się osnową komedii Miś (1980). W czasie uroczystego wydawania tego dokumentu zostaje nawet wygłoszony podniosły wiersz:

„Łądy i morza przemierzam / kulę ziemską z otwartym czołem / Polski mam paszport na sercu/Skąd pytam, skąd go wzięłem? /A wzięłem go z dumy i trudu / Ze znoju codziennej pracy / Ze stali, z żelaza, z węgla / A węgiel to koks, to antracyt".

Pokazywana w firmie uroczystość nie została bynajmniej wymyślona. „Przekrój" już w 1961 roku donosił: „Niedawno pisaliśmy o wprowadzeniu paszportów zagranicznych wg nowego wzoru. Pierwszy taki paszport nr 0 000 001 otrzymała mieszkanka todzi pani Genowefa Marczevska, która wyjeżdża do Wielkiej Brytanii na zaproszenie rodziny. Wręczenie tego paszportu w Łódzkim Biurze Paszportów stało się małą okolicznościową uroczystością".

Wyjazd weneryczny

Zdarzało się, że prasa odstraszała potencjalnych turystów od wojaży zagranicznych.

Katowicka „Panorama" zamieściła w 1977 roku artykuł Amor z za węgła: „Choroby »W«

atakują z ukrycia. Amor razi zatrutą strzałą z za węgła. Wojnę, jako główną przyczynę

występowania chorób wenerycznych, zastąpiła turystyka. Piękne krajobrazy, romantyczne

zakątki sprzyjają spotkaniom. Turystyka się rozwija - zatrute strzały Amora krążą więc po

świecie". Autorka rozwijała myśl, że brak moteli, hoteli i jadłodajni ma korzystny wpływ na

zdrowie obywateli.

FENICJANIE EUROPY Ograniczenia dewizowe powodowały, że polscy turyści zmieniali się

w handlarzy. „Życie Gospodarcze" donosiło w 1985 r.: „Trener kadry juniorów-kajakarzy

zabrał ze sobą na zawody do Jugosławii 75 elektrycznych suszarek do włosów, 5

radiomagnetofonów, 10 wiertarek i 9 kompletów bielizny pościelowej. Zapaśnicy z Glinika

Mariampolskiego wywieźli 265 lamp telewizyjnych, 6 skór z lisów i 2 żywe norki".

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Leczenie było, teoretycznie, bezpłatne i powszechnie dostępne. W praktyce chory często -

niezależnie od tego, na co cierpiał - trafiał do szpitala wariatów.

Jak aa lekarst

w©

Bryczką do pacjenta

Służba zdrowia borykała się z najróżniejszymi problemami. Lekarze na warszawskiej Woli

jeszcze w latach 60. nie byli w stanie dotrzeć na peryferie tej dzielnicy, ponieważ nie istniały

tam żadne drogi. Dzielnicowy Wydział Zdrowia wynajmował więc dwie bryczki, aby medycy

mogli dojechać do chorych. Niekiedy występowały trudności znacznie poważniejsze niż brak

środka lokomocji. Szczecinianinem roku 1965 został chirurg, doktor Zapała, który w czasie

operacji przetoczył pacjentowi własną krew i pomyślnie dokończył zabieg.

^ ODPRAWIONY BEZ KWITKA

„W przychodni lekarskiej we Wrocławiu pacjent zwrócił uwagę lekarce, która spóźniła się

trzy kwadransy - że mogłaby przynajmniej przeprosić za spóźnienie. Ta odparta, że pacjent

nie ma prawa czynić jej uwag i że powinien wiedzieć, jak się w przychodni zachować. A

rejestratorka zapowiedziała, że na druk L-4 w tej przychodni może on już nigdy więcej nie

liczyć" - „Kulisy" (1974).

Zmarł dnia..., pochowany na...

Zawiąłą wiedzę medyczną szerzyła też literatura lekarska. „Diagnoza: Podchmielenie

drugiego stopnia. Kwalifikuje się do zwolnienia z pracy. Podpisano: Dyżurny Felczer

Pogotowia" - takie zaświadczenie otrzymał jeden ze stołecznych chorych, do którego

wezvano karetkę. Do pasty Fluoro-dent producent Pollena-Lechia dodawał w latach 70. ulotkę z ostrzeżeniem: „Na terenie następujących rejonów: Błaszki, Elbląg, Malbork, Tczew, Lubliniec, Jasło pasta może być zastosowana wyłącznie pod bezpośrednią opieką stomatologów”.

W 1981 roku w stacji krwiodawstwa w Lesznie w zamian za oddaną honorowo krew oferowano paczkę papierosów

Pacjent wrocławskiego szpitala, skierowany na operację, otrzymał do wypełnienia rutynowy druczek. Rubryka nr 4 brzmiała: „Zmarł dnia...”, a rubryka nr 5: „Pochowany na cmentarzu...”. Pacjent doznał wstrząsu, ale uspokojono go, że tych rubryk nie musi wypełniać. Na razie. W wiejskich ośrodkach zdrowia rozpowszechniano tabelę, z której wynikało, że aby sześciolatek dziecko rozwijało się normalnie, rodzice „zobowiązani są bezwzględnie dostarczać mu tygodniowo przynajmniej 25 dkg cielęciny, 25 dkg wątroby wieprzowej,

38

A to Polska właśnie...

1,5l mleka pełnotłustego, 25 dkg pełnotłustego sera lub twarogu”. Broszura informuje, że rodziców, którzy nie dopełnią tego obowiązku, można „ukarać do pozbawienia praw rodzicielskich łącznie”.

Chorzy na żniwa!

Wiele przypadków medycznych, które odnotowała prasa PRL-u, byłoby nieodparcie śmiesznych, gdyby nie chodziło o ludzkie zdrowie i życie. W zielonogórskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego pracownica straciła przytomność, więc wezwano pogotowie, które przyjechało bez lekarza. Załoga karetki przepraszała, że nic nie może pomóc, gdyż nie zna się na medycynie. Odmówiła również zabrania chorej, tłumacząc, że usługi przewozowe nie wchodzi w zakres jej obowiązków. Na pytanie, po co więc przyjechali, kierowca odpowiedział, że obowiązkiem pogotowia jest przybywanie na wezwanie.

Szpital dla Psychicznicy i Nerwowo Chorych w Choroszczy nie mógł przyjmować pacjentów z powodu braku łóżek. Dlatego umieszczał ich u okolicznych gospodarzy, gdzie pomagali przy pracy. „Nareszcie rolnictwo dostało się we właściwe ręce” -komentowała „Polityka”.

Nie dawać!

Kupowanie środków antykoncepcyjnych było kwestią wielce drażliwą. Przykład podawała „Kobieta i Życie”. „Zalecenie Ministerstwa Zdrowia, aby nie sprzedawać środków antykoncepcyjnych (podobnie jak alkoholu) nieletnim w pewnej aptece przekształcono w «zarządzenie», usurpując sobie jednocześnie prawo do legitymowania klienta.

Pewien stateczny wdowiec wydawał córkę za mąż. Dziewczkę miało jeszcze dwa lata studiów i chciało, aby pierwsze dziecko urodziło się już po dyplomie. Więc dobry tata poszedł do apteki i poprosił o środki antykoncepcyjne. Starsza pani z apteki spojrzęła spode łba i powiedziała: - Chwileczkę. Potem zza matowej szyby wyjrzał jakiś pan: - Który to? - spytał. - Ten - pokazała pani magister. - Nie dawać -brzmiała odpowiedź”.

Krwawe Boże Narodzenie „Jan R z takim zapałem zabijał świątecznego karpia, że ością ryby przeciął sobie tętnicę ręki. Oczywiście mordował rybę gołymi rękami. Marian S. przejeżdżał drogą na osiołku jako król Herod. Ale, że czynił to po spożyciu, ześliznął się z osiołka i wpadł pod samochód, który zgniótł mu rękę. Otrzymanie od męża pod choinkę żywego kota angorskiego kosztowało panią T. z Chorzowa ostre pokaleczenie twarzy kocimi pazurami i zębami. Potrzebna była interwencja chirurga” - przypadki świątecznych urazów zarejestrowane przez „Gońca Górnośląskiego” w Boże Narodzenie 1966 roku.

V RWACZ KIELECKI

Pół miliona zębów, w tym około 450 tys. bez znieczulenia, wyrwał pewien powszechnie znany kielecki dentysta, co przypomniano w uroczystym przemówieniu z okazji 15-lecia jego

praktyki zawodowej. Jubilat zapewnił, że w dalszych latach będzie się jeszcze bardziej przykładał do pracy.

39

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Dowożenie pasażerów nie było sprawą prostą. Krakowscy urzędnicy bez końca wyjaśniali społeczeństwu, że tłok i opóźnienia to wynik „dużej częstotliwości kursowania, istnienia regulacji świetlnej i dużej liczby pasażerów”. A w Szczecinie nikt się nie dziwił, gdy w rozkładzie jazdy podano, że autobus linii 64 kursuje w niedziele co 23-46 minut.

Wesołe autobus

y

Rejtany komunikacji

Konduktor i kierowca potrafili wzbudzić postrach wśród pasażerów. „Monika M., konduktorka bielskiego PKS, w ramach pełnienia obowiązków służbowych, pobiła po głowie pasażerkę obsługiwanego przez się autobusu. Jak twierdzi - nie bezpodstawnie, ponieważ tamta usiłowała wsiąść tylnymi drzwiami, wbrew przepisom” - donosiły w 1966 roku „Kulisy”. Gazety puchły od podobnych relacji: „Kierowca przemyskiego PKS Michał - nomen omen - Parobij z Lubaczowa na trasie Lubaczów - Tarnawskie brał pieniądze za przejazd i nie wydawał biletów. Powracający z sesji WRN radny zażądał biletu i za to Parobij wyrzucił go z autobusu, po czym pobił. Tłumaczył potem, iż bronił w ten sposób swojej godności zawodowej”. Niekiedy pracownicy PKS-u bronili swego warsztatu pracy - nawet z narażeniem zdrowia pasażerów. „6 stycznia wieczorem na dworcu PKS w Białymstoku pasażer Ignacy P. odpychał się ręką od autobusu, ponieważ napierający tłum usiłował go rozgnieść o karoserię. Państwowemu pojazdowi groziło oszpecenie odciskiem dłoni pasażera. Kierowca ob. Świączkowski, nr karty drogowej 06 (A) 86, działając w obronie mienia państwowego, zmiażdżył Ignacemu P. palce, waląc

/X ŚLEDZTWO BILETOWANE

Kiedy w Szczecinie pedantyczny kontroler zakwestionował autentyczność biletu, kierowca wyrzucił pasażerów z autobusu, po czym kursowa! między kioskiem ruchu, gdzie miał być dokonany zakup fałszywki, a posterunkiem milicji. Prowadzi! w tej sprawie swoje prywatne śledztwo.

go po łapie świętokradczej żelaznym kasownikiem do biletów” - sprawozdawała w 1977 roku „Gazeta Współczesna”.

Między nami, pasażerami

Czasami podróz z przygodami urządzali sobie sami pasażerowie. W łódzkim tramwaju linii 11 mężczyzna doprowadzony do ostateczności zagradzał drogę wysiadającym i szczył na nich swego owczarka alzackiego. Był to - jak wyjaśniał później milicjantowi

40

A to Polska właśnie.

■ odwet za krytykowanie psa. Porywczego właścicie- W poczekalni wywieszono napis: „Dla podróżnych

Mie denerwować kierowcy napis w warszawskim autobusie pospiesznym linii A

la najbardziej bolało, że jego pupila nazywano Burkiem, gdy w rzeczywistości nosił on imię Cezar. Bywało, że podróżni wręcz prosili się o karę swoim skandalicznym zachowaniem.

„Polityka” relacjonowała ku przestrodze: „W przyczepie autobusu Toruń - Złotoryja zacięły się drzwi i pasażerowie nie mogli wysiadać, tylko się dobijali. Kierowca uznał to za chuligaństwo. Po przywiezieniu przyczepy z zamkniętymi ludźmi do miejscowości docelowej, kierowca ruszył w kurs powrotny i uwięzionych zawiózł z powrotem do Torunia. Tu oddał przyczepę z pasażerami w ręce MO”.

Pasażer doginany

leżeli pasażer ustrzegł się agresji konduktora i represji ze strony pozostałych podróżujących, mogły go jeszcze pognębić dyrekcje dworców. Tak jak w Rypinie, gdzie dworce PKP i PKS zostały usytuowane przy tym samym placu, aby łatwiej się było przesiadać. Na stacji kolejowej znajdowała się poczekalnia, a na dworcu autobusowym - nie. z PKS-u wstęp wzbroniony". Czasami urzędnikom od komunikacji w zaprowadzaniu prawidłowych relacji między administracją a pasażerami pomagała milicja. Kiedy na dworzec w Katowicach nie podjeżdżał ostatni autobus do Wodzisławia, oczekujący zaczęli się niepokoić. Potem pytać w dyżurce, a następnie żądać książki skarg i wniosków. Usłyszeli wówczas od obsługi, że jak będą dalej zgłaszać pretensje - wezwie się milicję. Istotnie, funkcjonariusze MO wkrótce przybyli i zajęli się czekającymi na autobus. Dworzec zamknięto, a personel poszedł do domu. Zapanował spokój.

Powitanie na resorach

Dla wsi komunikacja autobusowa z miastem była dobrodziejstwem. Niekiedy świętowano je jednak z grubą przesadą. „W licznych miejscowościach województwa kieleckiego, do których po raz pierwszy w dziejach dotarł autobus PKS, urządzono uroczyste powitanie inaugurujących komunikację wozów i ich załóg - donosiła „Polityka" w 1967 roku.-Poza kwiatami, upominkami i przemówieniami, dawano wódkę. Kierowcy oczywiście wymigiwali się. W jednej ze wsi szofera wszakże obezwładniono i siłą napojono tak bardzo, że ledwie co zainaugurowana komunikacja autobusowa z mety stanęła na trzy dni".

Warszawski tramwaj (1957)

'CIAŻA TRAMWAJOWA „Pewna pani w ostatnim miesiącu ciąży - pisata „Kobieta i Życie" - wsiadła przednim pomostem do tramwaju. Panowie usiłowali zrobić jej miejsce.

Wątpliwości miał jedynie kontroler: »Pani ciężarna, proszę zaświadczenie z MPK. Nie ma pani zaświadczenia? To ptaci pani mandat za bezprawne wchodzenie przednim pomostem. Bez zaświadczenia nie jest pani w ciąży«".

Poezja z zajezdni

Autobusy zapłakane deszczem Wożą ludzi od siebie do siebie, Po błyszczącym, mokrym asfalcie, Jak po czarnym, gwiazdzistym niebie. Od tygodnia leje w mym mieście, Ścieka wilgoć po sercu i palcie. Z autobusu splekanego deszczem Liczę gwiazdy na mokrym asfalcie.

fragment piosenki Do łezki łezka

wykonywanej przez Marylę Rodowicz

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

SJc

kontaktowa

Kontakty 2 pocztą groziły przykrymi konsekwencjami. W 1982 roku prasa podawała, że jedyny automat telefoniczny na poczcie przy ulicy Pola w Katowicach „kopie" prądem.

Poinformowana o tym urzędniczka odpowiedziała: „No tak, ale nie śmiertelnie".

Nie niepokoić KC!

Innego typu nieprzyjemności doznał Marek J. z Gdańska, który w 1981 roku wysłał telegram do Komitetu Centralnego: „Protestuję przeciw oświadczeniu Biura Politycznego. Nie straszyć, nie grozić, nie podburzać. Stop. Wyjaśniać racje swoje i uznawać racje innych". Po 22 minutach urząd pocztowy wystosował telegram do Marka J.: „Z uwagi na niewłaściwą treść telegramu, telegram nie może być nadany. Zwrot pieniędzy w urzędzie nadawczym. Naczelnik Urzędu Poczтового 33".

Cała Polska w jednym worku

Poczta chętnie podejmowała próby racjonalizacji pracy. Nawet jeżeli nic z nich nie wynikało. Jeden z takich eksperymentów przeprowadzono w latach 70. w ważniejszych miastach kraju. Przed budynkami urzędów pocztowych zainstalowano po kilkanaście skrzynek na listy - każda

Sortowanie listów (1947)

przeznaczona na korespondencję do innego dużego miasta. Miała to być pomoc dla osób sortujących przesyłki. Jednak pod koniec dnia zjawiał się pracownik poczty, który wszystkie tak rozdzielone przez nadawców listy wrzucał do jednego worka. Kolejnym pomysłem racjonalizatorskim było pobieranie wysokich opłat za udostępnianie skrzytek pocztowych. Wszędzie na świecie opłaty te są symboliczne, bo w ten sposób ułatwia się pracę listonoszom. W Polsce zaś taka skrytka uchodziła za znamię luksusu, dlatego często cenę za korzystanie z niej podnoszono o 100, 200, a nawet 500 procent za jednym razem.

Kto nie chce, nie musi

Do legendy przeszły przesyłki, których dostarczenie trwało latami. Prasa podawała niezliczone przykłady takich opóźnień. Korespondentka „Gazety Krakowskiej” odkryła, że list wysłany w Nowym Sączu 3 grudnia 1970 roku adresat w Nowej Rudzie dostał po czterech latach. Natomiast przekaz pieniężny z Nowego Sącza do Łososiny Górnej (38 km) nadany 30 listopada 1974 roku po upływie dwóch miesięcy nie dotarł jeszcze do miejsca przeznaczenia. Tymczasem urzędniczka

NIE MA TAKIEGO MIASTA LONDYN, JEST LONDY Niekiedy przez pocztę trzeba było zmieniać nazwy geograficzne. W województwie gdańskim leżała miejscowość Londyn. Ponieważ jednak uparcie kierowano do niej przesyłki nadawane do Londynu w Anglii, władze były zmuszone w latach 60. do przemianowania miejscowości na Londy. Dla oszczędności na drogowskazie skreślono literę „n”.

42

załatwiająca reklamację w nowosądeckim Urzędzie Pocztowym nr 1 fakt ten skomentowała następująco: „Kto nie chce, nie musi korzystać z usług poczty”. Panowała też powszechna opinia, że listy i paczki na poczcie po prostu giną. Jeden z czytelników prasy sprzeciwił się temu pogładowi, pisząc, że na poczcie nic nie ginie, najwyżej przesyłka długo idzie. W lutym 1975 roku żona otrzymała bowiem kartkę, wysłaną przez niego z Kudowy w sierpniu 1968, a więc przed prawie siedmioma laty. Pocztołka dotarła do adresatki w znakomitym stanie i wzruszyła ją do łez. Przy okazji nadawca został zrehabilitowany, gdyż uprzednio solidnie oberwał od małżonki za to, że nie napisał.

Poczta wychowawcą społeczeństwa

Jeżeli poczta nie nadążała z doręczaniem przesyłek, to dlatego że zajęta była obsługiwaniem samej siebie i wychowywaniem klientów. „Niech pan zaraz sprzątnie ten papier!” - usłyszał pewien łodzianin, który w 1983 roku stawiał się na telegraficzne wezwanie do urzędu pocztowego. Tu poprzedniego dnia odbierał paczkę w opłakanym stanie. Ta rozsypała mu się w rękach.

4

^ LISTY NA WAGĘ

W latach 80. poczta borykała się z nadmiarem rąk do pracy. Aby dać zatrudnionym jakieś zajęcie, wprowadzono posadę „wagomistrza”. Ważył on listy, sprawdzając, czy wartość naklejonych znaczków odpowiada wadze przesyłki. Jeżeli nominat się nie zgadzał - list bywał zaopatrywany w stempel i odsyłany do nadawcy za pobraniem opłaty w wysokości 12 zł. Mężczyzna, nie mogąc znaleźć kosza, zostawił papier pakunkowy pod stołem. Poczta wolała wysłać telegram niż sprzątnąć papier. Z tym że został on doręczony na czas. Poczta wychowywała też własnych pracowników. Największy reżim panował w oddziałach przyjmujących przesyłki z zagranicy. „Okna zakratowane - czytaliśmy w prasie. - Jeść nie wolno. Opuszczając miejsce pracy, losuje się kulki. Kulka czerwona - rewizja szczegółowa. Kulka zielona - pobieżna. Podczas zajęć zawodowych można zostać kilkakrotnie zrewidowanym bez ostrzeżenia”. Ta troska bywała uzasadniona, poczta obsługiwała bowiem także wariatów. Niekiedy obcokrajowców.

Piszcie wszyscy do wszystkich -transparent na poczcie w Gdańsku Wrzeszczu, 1975

Niespełna rozumu obywatel RFN, podpisujący się Rolf Ummingen z Kestenheim Goethestrasse 23, systematycznie wysyłał do Polski paczki wypchane gazetami, słoikami z wodą bądź podejrzaną żółtą cieczą, a także stare pisma porno, adresowane do Caritasu bądź Rady Ekumenicznej. Jeżeli miewało się takich klientów, nie dziwił napis na okienku pocztowym w Radomiu: „Wypożyczenie długopisu -1 zł”.

Naznaczeni

Jednym z najpowszechniejszych hobby była w PRL-u filatelistyka. Dzięki niej sprzedaż znaczków przynosiła Skarbowi Państwa poważne dochody. Obroty Państwowego Przedsiębiorstwa Filatelistycznego wzrosły z 5 milionów w 1954 roku do 109 milionów.

I

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

•Ba

°*XtQiść,

Wojskowa świecka tradycja

Armia lubiła się chwalić tym, że cywilizowała rekrutów. „Żołnierz Polski” pisał: „Mając na uwadze podniesienie estetycznego wyglądu żołnierzy i miejsc zakwaterowania, w jednostce Śląskiego Okręgu Wojskowego ogłoszono konkurs na najlepszy kącik gospodarczy. Pierwszy zgłosił swój udział pododdział kpt. Mieczysława Białka. Kącik wyposażono w gablotę z materiałami na-prawkowymi (guziki, gwoździe, orzelki do czapek, płyn do prania itp.), stojak z miską, kopyta szewskie, żelazko i wiele innych potrzebnych rzeczy”. Wojsko próbowało też wychowywać młodych ludzi w duchu obyczajowości świeckiej. Prasa wojskowa donosiła: „Okręgowy Klub Oficerski w Bydgoszczy prowadzi z rozmachem swoją pożyteczną O realiach służby wojskowej Polacy dowiadywali się od własnych synów lub kolegów. Natomiast media powielały lukrowany obraz „dzielnego żołnierza w służbie socjalistycznej ojczyzny”.

BAŁTYK ZAMKNIĘTY

Spora część polskiego wybrzeża była zajęta przez poligon. Jednak amatorzy morskich kąpiei i opalania niezbyt przejmowali się tablicami ostrzegawczymi i notorycznie wypoczywali na terenach wojskowych.

działalność. Dużymi osiągnięciami pochwalić się może sekcja obyczajowości świeckiej. Jest rycerz w średniowiecznej zbroi, który młodej parze lub przyszłemu Gieniowi, Heniowi czy Stasiowi odczytuje dowcipny tekst napisany w autentycznej starej polszczyźnie króla Jana spod Wiednia”.

Zielona butelka

Jednym z problemów służby wojskowej był alkohol. Eugeniusz Banaszczyk w poradniku Grzeczność w mundurze instruował, jak nie dopuścić do alkoholowych ekscesów: „Do potraw, których nie znajdziemy w wykazach żywienia żołnierskiego, a z którymi mimo to mamy okazję się spotkać, należą wódka i wino. Pić albo nie pić? Gdy czujemy, że »coś« się święci i ktoś z naszego grona wykazuje podejrzaną aktywność, tzn. chce zorganizować butelkę w koszarach, starajmy się pohamować go w tej niemądrej aktywności. Można wybrnąć z opresji żartem: - »Nasz kapral jest przewodniczącym koła abstynentów. Ładna byłaby historia, gdybym go poczęstował wódką. Nawet do golenia używa bezalkoholowej wody kolońskiej«”.

Z bratnią pomocą

Ciemną kartą w historii polskiego wojska był udział w okupacji Czechosłowacji w 1968 roku. Opracowanie Oświata i kultura w Wojsku Polskim przypominało: „Od pierwszych chwil pobytu na terenie CSRS

44

A to Polska właśnie...

żołnierze zetknęli się z olbrzymią nawałą kontrrewolucyjnej propagandy. Na każdym niemal murze, oknie, na każdym metrze jezdni wymalowano hasła, w których żołnierzy armii sojusznicznych nazywano agresorami i okupantami". Zbliżenie obu armii dokonało się jednak na drodze kulturalnej: „Praca kulturalno-oświatowa wśród ludności i żołnierzy czeskich nie szła bez oporów. Pierwszego wieczoru mieliśmy na seansie tylko trzech widzów. Początkowo żołnierze czechosłowaccy w ogóle nie chcieli z nami rozmawiać ani też obejrzeć dobrego zespołu artystycznego, który przywieźliśmy ze sobą. Dopiero później udało się jakoś ich »udo-bruchać« i zaprezentować zespół. Program oglądali z zaciekawieniem, choć braw nie bili". Po inwazji na Czechosłowację do ofensywy ruszył wojskowy aparat propagandowy. Branżowy organ podsumowywał: „W roku 1969 do działalności popularyzatorskiej spraw obronności kraju zaktywizowano wielu dziennikarzy prasy, radia i telewizji. W prasie wojewódzkiej opublikowano ok. 2400 artykułów o tematyce patriotyczno-obronnej. Regionalne rozgłoszenie radiowe i telewizyjne w ponad 900 audycjach poruszyły problematykę przysposobienia społeczeństwa do obrony".

^ KOMISJA SYMULACYJNA

Zasadnicza służba wojskowa była przymusowa. Komisja poborowa przyznawała poborowemu kategorię zdrowia oraz decydowała, kiedy i w jakiej jednostce odbędzie on służbę. Często pobór zamieniał się w pojedynek między chłopcem symulującym chorobę a komisją, która za wszelką cenę próbowała udowodnić, że delikwent jest zdrowy.

Żołnierz a parasolka

Poborowych trzeba by to niekiedy uczyć podstawowych zachowań grzecznościowych. Poradnik Grzeczność w mundurze zalecał więc: „Do jedzenia używamy sztućców: łyżka służy do zupy, widelec do tzw. potraw twardszych. Nożem krajemy mięso i smarujemy chleb. Obcieramy usta po jedzeniu, ale nie rękawem ani obrusem, lecz papierową serwetką. Parasolki damskiej żołnierz nie nosi, jest to rzecz lekka, niewiasty umieją nosić ją zgrabniej niż mężczyźni, a żołnierz musi być w każdej chwili gotów do oddawania honorów, czego z parasolką w ręku czynić nie wypada. Jedynym rodzajem parasola używanym przez żołnierzy jest spadochron".

Wyników w dziele umacniania...

Prasa wojskowa nieustannie drukowała „listy od społeczeństwa", wyrażające zadowolenie z działalności wychowawczej wojska. W „Żołnierzu Polskim" w 1970 roku można było przeczytać: „Gdy patrzę na tych chłopców przyjeżdżających na urlop, porządnie umundurowanych, dobrze odżywionych, czystych, ładnie przystrzyżonych, to przypomina mi się mój brat, gdy w 1938 przyjechał na urlop do domu. Ubrano go w płaszcz, który wisiał na nim jak na kołku. Włosy ostrzyżono mu tuż przy głowie. Z ładnego chłopaka zrobiono straszdyło. Między innymi dlatego w 26 rocznicę wyzwolenia naszej ojczyzny ja, prosty człowiek, rolnik, sterany chorobą życzę Ludowemu Wojsku Polskiemu jak najlepszych wyników w dziele umacniania obronności kraju i utrwalania pokoju".

Zdrada tajemnicy wojskowej

Ten Szekspir to był równy gość, Przez niego płacze się i śmieje. „Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś..." To przecież wojska dzieje.

już wieku ćwierć żołnierska brać Z Olsztyna, Gdyni czy z Katowic, „Ktoś nie śpi, abyś ty mógł spać..." Szekspir przewidział to, jasnowidz.

Już od ćwierćwiecza w mróz i ciemność Nie szcędząc oczu, serc i nóg. Wartownik dźwiga swą bezsenność, Abyś ty, bracie, chrapać mógł.

Józef Prutkowski

45

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Polska spekulanka

W 1982 roku urzędowo przemianowano wieś Wielka Bieda w Pilskim. Teraz miejscowość miała się nazywać Średnica. Ta zmiana nazwy była w latach 80. jedną z niewielu zmian na lepsze.

Zycie na kartki

Wielkim tematem epoki była spekulacja. Wciskała się dosłownie w każdą dziedzinę życia. Na strzelnicy w Gryficach wystarczyło trafić z wiatrówki po kolei w cztery zapalki, aby zostać zdobywcą nagród w postaci mleka w proszku Humana i innych odżywek dla dzieci.

Spółczeństwo uznało to za kupczenie deficytowymi produktami. Nagrody skasowano.

Obywatel Kalisza zajmujący pokój o powierzchni 12 metrów kwadratowych wysłał żonę z dzieckiem na wieś. Pokój zaś zapełnił setką drobiu. Stanisław M., mieszkaniec Radomia, przechowywał, jak wykazała kontrola, m.in. w piwnicy i na strychu 200 kilogramów płatków mydlanych, 60 kilogramów proszku do prania w beczce, 200 kilogramów mydła i 50 pudełek pasty bhp. Wędkarze wyłowili z Warty dwa szczelne pojemniki, w których było 50 kilogramów cukru. Powszechnie handlowano też kartkami zaopatrzeniowymi. Na Bazarze Różyckiego w Warszawie w 1982 roku oferowano kartki typu P-II z lutego, m.in. na papierosy i wódkę, za astronomiczną kwotę 900 złotych. Komplet kartek marcowych sprzedawano za 1000 złotych, choć niektórzy podnosili cenę za zestaw do 1500.

Czarodziejka gorzałka

Alkoholu nie można było kupić bez kartek, więc pędzono bimber, gdzie popadło. Jeden z pacjentów szpitala dla psychicznie chorych w Suchowoli wytwarzał samogon z cukru w świetlicy, za telewizorem.

Nielegalna produkcja alkoholu

Z kolei we Włoszczowie funkcjonariusze MO wykryli bimbrownię w pomieszczeniach szpitala rejonowego. Producentów przyłapano na gorącym uczynku. Czasem radzono sobie inaczej. W Szczecinie milicja zatrzymała dwóch osobników, którzy sprzedawali po 50 złotych numerki do kolejki po wódkę. W handlu występowały także pakiety. Na jednym ze szczecińskich bazarów sprzedawano zestaw delikatesowy złożony z 50 gramów wódki, papierosa Popularnego oraz ogórka. Koszt całości - 100 złotych. Z tym że notowano tu też przypadki paskar-stwa. Jeden popularny, za którego na targowisku w Białymstoku płaciło się 5 złotych (z przypaleniem 6), w ekspresie Narew kosztował już 15, a z przypaleniem 18 złotych.

Zrobimy to sami

W tych warunkach Polacy radzili sobie, jak umieli. Pracownicy tarnowskiego wydziału Transbudu, którzy już od roku nie otrzymywali opon, wpadli

46

i I

я*Щi

A to Polska właśnie.

STAN TELEFONICZNY^ Jednym z pierwszych symptomów wprowadzenia stanu wojennego w 1981 r. było wyłączenie telefonów w całym kraju. Miliony rodaków stuknęły w widełki w przekonaniu, że zepsut im się aparat. Działy jedynie wewnętrzne sieci milicyjna i wojskowa. Kiedy przywrócono łączność, w słuchawkach raz po raz rozlegał się komunikat: „Rozmowa kontrolowana”.

na niecodzienny pomysł. Przeszukali okoliczne stawy, wyciągając z nich 5000 opon utopionych w minionych latach. Wielu zaczęło używać ponownie. „Zielony Sztandar” opublikował głos zaradnej mamy: „Mój dwuletni synek wyrósł już ze wszystkich śpioszków i rajstopek, a o nowych nie ma co marzyć! To, co przysyłają do sklepów, rozbiorą same sprzedawczynie - dla krewnych i znajomych. Jak poradziłam sobie w tej sytuacji? Wszystkie nadające się jeszcze do noszenia śpioszek przecięłam w pasie i wstawiłam tam odpowiednio

szeroki pasek materiału - takie różne resztki kretoników i płócienek. Śpioszki wydłużyły się i posłużą jeszcze kilka miesięcy".

Do fryzjera z żyletką

Kraj, w którym trudno było o wszystko, stawał się obszarem absurdu. W Krakowie u żadnego fryzjera nie można było zostać ogolonym, jeśli nie przyniosło się własnej żyletki. W 1982 roku, w okresie największej biedy, we Wrocławiu uruchomiono telefoniczne pogotowie kulinarne. Mistrz kucharski doradzał, co gotować. Niestety, nie mówił, jak zdobyć produkty. W tym samym czasie „Głos Robotniczy” pouczał: „Świąteczną szynkę należy jeść z należytych namaszczeniem pamiętając, że szynka to artykuł strategiczny”. Nie dziwiło więc, że w sklepie radiowo-telewizyjnym przy ulicy Sławkowskiej w Krakowie na pustej wystawie umieszczono reklamę poradni psychiatrycznej.

Minister od podszewki

W dobie stanu wojennego wiceminister handlu i usług Marcin Nurowski w wywiadzie dla „Tygodnika Każdego Konsumenta VETO” zalecał: „Podniszczonego garnitur, koszuli, butów nie trzeba od razu wyrzucać. Zdrożały, trudno kupić. A więc może podreperować, polatać, przenicować. Nie powinien się tego wstydzić ani student, ani robotnik, ani profesor czy minister. Rzeczywiście chodzę w podniszczonym, ale za to bardzo dobrym garniturze Bytom - wydarła się podszewka, więc żona naszyła dużą łąkę”.

Weteran kontra kolejka

W kolejkach dochodziło do dantejskich scen. Jedną z nich opisywał „Głos Wybrzeża”: „Gdańsk. Sklep z tapetami. Trwa szturm, bo właśnie rzucono towar. Powstał konflikt między inwalidą a kolejką. W rezultacie szarpaniny inwalidzie zerwano protezę z ręki. Klient rzucił sztuczną dłoń na ladę. Na ten niecodzienny widok sprzedawczynie doznała szoku. Wezwano pogotowie. Mimo tak niezwykłej sytuacji, część klienteli nie miała ochoty przepuścić lekarza. Dały się słyszeć głosy: «Patrzcie, karetką po tapety przyjeżdża...»”.

Sprzedaz benzyny w stanie wojennym

SAMOCHODY NA WODĘ ^ W 1980 r. jedna z lubelskich stacji CPN-u napełniła baki samochodów płynem, który sprawił, że wkrótce na ulicach miasta jej klienci utknęli w miejscu. Jak się okazało, zamiast benzyny sprzedano im wodę.

47

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

„Nam nie trzeba Bundeswehry, nam wystarczy minus cztery” - żartowano w czasie zim stulecia. Polskę Ludową zimowy kataklizm nawiedził dwukrotnie: w roku 1963 i 1979. Za każdym razem socjalizm całkowicie przed nim kapitulował.

Socjali

2* Pod iodem

Zamarzanie SOCJaiizmil walka o doprowadzenie do Warszawy międzyna-
Pod koniec 1962 roku prasa z satysfakcją od- rodowego pociągu z Pragi. Nie pomogły
ciągną-

notowywała problemy krajów kapitalistycz- ce go aż trzy parowozy” - czytaliśmy w
„Trybunie

nych, do których zawitał zimny front atmosferycz- Ludu”. Najbardziej dotkliwy był paraliż
transpor-

ny. Kiedy jednak fala mrozów sięgających minus tów z węglem. Jego zapas skończył się w
elektro-

15-20 stopni Celsjusza dotarła do kraju 4 stycznia ciepłowniach, a to oznaczało brak prądu i
ciepła

1963 roku, władze musiały przyznać, że także so- w mieszkaniach oraz biurach całej Polski.
Śred-

cializm jest bezradny wobec sił natury. „Spóźnienie nia temperatura w pomieszczeniach nie przekra-
niektórych pociągów sięgały dwóch i więcej godzin czała 14 stopni. Węgla zupełnie
pozbawiona była
- pisała „Trybuna Ludu”. - Zamarzają zwrotni- wieś. Chłopi wycinali więc w lasach drzewa
na opał.

ce, mnożą się awarie urządzeń sygnalizacyjnych, twardnieją smary. W wielu pociągach
podmiejskich pozamarzały drzwi”. Stały również autobusy: w bakach pozamarzała ropa,
zabrakło płynów do odmrażania szyb. A było to dopiero pierwsze uderzenie zimy. W połowie
stycznia temperatura spadła do minus 30, czemu towarzyszyły nieustanne opady śniegu.
Widoczność była miejscami ograniczona do 20 metrów. Całkowicie zasypało dworce
kolejowe w Szczecinie i Poznaniu. Na niektórych stacjach zasypany 2 metrów.

„Kierowane do akcji pługi śnieżne wykolejały się, trwała

W niektórych miejscowościach, np. w Świnoujściu, do którego nie docierały już promy,
zabrakło w sklepach podstawowych artykułów spożywczych. Mieszkańcom zajął w oczy
głód. Wszelkie akcje okazały się daremne. Sytuacja poprawiła się dopiero wraz z
podniesieniem się temperatury.

Zima stulecia (1979)

POSIŁEK ALARMOWY^ W sylwestrową noc 1979 r. załogi warszawskich barów i lokali
gastronomicznych, ściągnięte alarmowo z balów oraz prywatek, wydaty około 100 tys.
posiłków regeneracyjnych dla żołnierzy i pracowników zakładów, którzy ratowali stolicę
przed zasypaniem.

48

P^

Nieczynny kraj

Kolejny taki kataklizm nawiedził Polskę w 1979 roku. W noc sylwestrową gwałtownie
obniżyła się temperatura i sypnęło śniegiem. Dwa dni później termometry pokazywały już
minus 24 stopnie Celsjusza, a wszędzie zalegały 2-, 3-metrowe zasy. Natychmiast odwołano
kilkaset pociągów. Z baz transportowych nie wyjechały dziesiątki autobusów i tramwajów.
Wieś była praktycznie odcięta --od reszty kraju. W mieście sytuacja wygląda- |ła niewiele
lepiej. W blokach z wielkiej pły- |ty temperatura spadła do 7 stopni. Stała s część
piekarni, nie dowożono mleka. Przed- / siębiorstwa praktycznie zawiesiły produkcję,
ponieważ często nawet połowa robotników nie docierała do pracy. Władze apelowały, by w
niedzielę mieszkańcy odśnieżali ulice w pobliżu własnych domów. Czasami niewiele to
pomagało - warszawskie osiedle Ursynów było w podobnym stopniu pozbawione łączności ze
światem, co miejscowości w Bieszczadach. W sklepach szybko zabrakło żywności. Autobusy
do centrum kursowały sporadycznie, a dodzwonić udawało się zaledwie z kilku automatów.
Tragicznym finałem kataklizmu stał się wybuch gazu pod Rotundą PKO w Warszawie 15
lutego 1979 roku. Zginęło wówczas 49 osób. Gaz, który ulatniał się w podziemiu, nie znalazł
ujścia, ponieważ powierzchnię wokół budynku pokrywała gruba warstwa lodu.

Zima stulecia uwidoczniła wszystkie mankamenty gospodarki socjalistycznej. Stało się jasne,
że w kraju - w dodatku na 35-lecie PRL-u - właściwie nic nie działa. Jeszcze na początku
marca nieprzejezdnych było co najmniej 1000 kilometrów dróg. Socjalizm okazał się
ustrojem zupełnie niewydolnym. Z tym przekonaniem latem następnego roku cała Polska
przystąpiła do strajków.

.POCIĄGI NA POSTOJU

W czasie zimy stulecia w 1979 r. pierwsza zawiodła komunikacja. Autobusy z trudem można
było rankiem odmrozić. Pociągi z węglem utykały w drodze, ponieważ zamarzały zwrotnice.
W wielu miejscach popękały szyny, co czyniło transport kolejowy bardzo niebezpiecznym.

Kataklizm na wesoło

Nawet w warunkach kataklizmu rodakom dopisywał humor. W trakcie zakrapianych spotkań towarzyskich wznoszono toast za kolejarzy. Kiedy ktoś pytał, dlaczego właśnie za kolejarzy, odpowiadano: „Bo gdyby nie oni, to musielibyśmy na własnych plecach nosić worki z węglem na rosyjską granicę”. To wówczas narodził się dowcip o czterech klęskach żywiołowych socjalizmu. Miały nimi być: wiosna, lato, jesień, zima. Ulica powtarzała też powiedzonko: „Jeszcze jedna taka zima i socjalizmu ni ma”.

Złagodzić sytuację opałową

Władza apelowała do obywateli: „W trudnej sytuacji opałowej nie możemy sobie pozwolić na najmniejsze, niecelowe zużycie paliwa. Dlatego trzeba też zwrócić uwagę całego społeczeństwa na zagadnienie oszczędności energii elektrycznej. Likwidacja jałowego biegu silników, przechodzenie z odbioru energii elektrycznej w szczycie na godziny o mniejszym obciążeniu, likwidacja w biurach ogrzewania piecykami elektrycznymi, ograniczenie oświetlenia ulic, witryn sklepowych i reklam świetlnych, wyłączenie szaf chłodniczych i innych urządzeń zużywających energię elektryczną - to odpowiednie zadania wszystkich kierowników zakładów i przedsiębiorstw mogące w określonym stopniu złagodzić sytuację opałową”. Tym wezwaniem w 19B3 roku próbował zażegnać kryzys Stefan Jędrychow-ski, przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów.

49

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

Ala

„Ala ma Asa” - tak brzmiało pierwsze zdanie przeczytane przez miliony rodaków. Elementarz Mariana Falskiego to jedna z najbardziej znanych polskich książek XX wieku. Ten podręcznik do nauki czytania i pisania był używany blisko sto lat.

Olśnienie na pierwszej lekcji

A wszystko zaczęło się przypadkiem. Początkujący nauczyciel, Marian Falski, udzielił małemu chłopcu lekcji w zastępstwie za koleżankę. Zauważył, że uczeń pewne słowa czyta gładko, a inne ledwo literuje. A przecież - pomyślał pedagog - można dziecku przygotować taki tekst, w którym będzie przechodził od wyrazów prostych do tylko trochę trudniejszych. To był rewolucyjny pomysł i wielka chwila w historii kultury polskiej. Bo dzięki odkryciu Falskiego droga dziesiątek milionów polskich dzieci do poznawania pisma stała się o wiele krótsza.

Mimowolna przysługa caratu

Marian Falski skończył Politechnikę Warszawską, a poza tym spiskował przeciwko caratowi. W 1905 roku policja carska aresztowała go, uwięziła w Cytadeli warszawskiej, a następnie wydalila do Krakowa. Właśnie tam doszło do tej przypadkowej, lecz pamiętnej lekcji. Falski już wiedział, że dokonał przełomu, ale chciał swoje odkrycie sprawdzić w działaniu. Dlatego zbierał dzieciaki bawiące się na podwórkach i kazał im odczytywać specjalne zestawy krótkich słów. Z czasem z pojedynczych pomysłów ułożył coś w rodzaju kursu czytania. ALA MIAŁA KOTA - JEDEN RAZ I DAWNO ^ Miliony Polaków gotowe są przysiąc, że pierwsze zdanie, jakie w życiu przeczytały, brzmiało: „Ala ma kota”. Tymczasem pojawiło się ono tylko w jednym wydaniu elementarza z lat 30. Od tamtej pory nikt kota Ali w tej książce nie oglądał.

Elementarz dla dobrych domów

W 1910 roku Nauka czytania i pisania dla dzieci Mariana Falskiego trafiła na półki księgarń w Warszawie i we Lwowie. Luksusowa książka kosztowała kilka razy więcej niż przeciętny podręcznik szkolny, mimo to błyskawicznie zyskała popularność w tzw. dobrych domach. Nauczyciele prywatni z ogromnym sukcesem uczyli na niej najzamożniejszych młodych Polaków. Niebawem elementarzowi Falskiego zaczęła towarzyszyć legenda cudownej książeczki. Władze oświatowe zamawiały u autora coraz to nowe wersje podręcznika: osobne dla dzieci wiejskich i miejskich, wydanie dla dorosłych oraz edycję dla niepiśmiennych

żołnierzy. Prasa katolicka i narodowa oskarżała Falskiego, że swoim elementarzem edukuje dzieci w atmosferze bezbożnictwa. Inne książki do nauki czytania

50

A to Polska właśnie...

roiły się od treści religijnych, a u niego krótkie i stworzone jakby specjalnie do elementarza słowo „Bóg” nie pojawiało się wcale. Co więcej: nie ma rysunków kościołów, procesji ani postaci świętych. Dlatego endeckie czasopisma nazywały Falskiego „trucicielem dusz dziecięcych”. W tym samym czasie pedagog stał się członkiem masońskiej loży „Kopernik”. „Wie każde polskie dziecko...”

Bohaterami czytanek stają się marszałek Piłsudski i prezydent Mościcki. Odtąd każda władza będzie próbowała wprowadzać własną ideologię do dziecięcych głów, właśnie za pośrednictwem popularnej książki Falskiego. Coraz bardziej popularnej. Po wojnie bowiem elementarz opuszcza drukarnię już w 1945 roku, i to od razu jako podręcznik obowiązkowy w polskich szkołach. W wydaniu z 1951 roku dzieciaki czytały: „Wie też każde polskie dziecko, że Warszawa jest od dawna stolicą Polski. W Warszawie mieszka i pracuje Pre-Dziś Bolesław Bierut stara się, żeby dzieciom i ich rodzicom było coraz lepiej — z elementarza wydanego w 1957 roku

Bezproblemowy gierkowski świat

Rok po śmierci Falskiego do szkół weszła najnowsza wersja elementarza. Z poprzedniej został tylko mały Kazio, który przeprowadza się do Nowej Huty, oraz pochód pierwszomajowy. Książeczka przesycona jest ideologią gierkowską. Przedstawia kolorowy, bezproblemowy świat Polaków zamożnych, nowoczesnych i szczęśliwych. W czytankach pojawia się auto, kino, telewizja i kosmonauci. W domyśle: Polska weszła w nowy etap rozwoju, w którym będzie rosła w siłę, a ludziom będzie się żyło dostatniej.

Konstanty Rokossowski, naczelny dowódca wojska polskiego”. Propaganda z każdym rokiem się nasilała. W 1957 roku z elementarza można było dowiedzieć się: „Dziś Bolesław Bierut stara się, żeby dzieciom i ich rodzicom było coraz lepiej. Cieszy się, że dzieci mogą teraz spokojnie się uczyć. Mają coraz więcej żłobków, przedszkoli i szkół. Latem mogą wyjeżdżać na kolonie. Jest im coraz lepiej. Są coraz szczęśliwsze”. A na ostatniej stronie tej samej edycji znajdowała się czytanko o Pałacu Kultury i Nauki z informacją, że ta imponująca budowla jest darem Związku Radzieckiego.

Po drugiej stronie barykady

W 1964 roku Falski podpisał słynny List 34, protestujący przeciwko cenzurze. Trzy lata później ujął się za Adamem Michnikiem, któremu groziła relegacja z Uniwersytetu Warszawskiego za niezależne wystąpienia w kole naukowym historyków. Falski de facto stanął po stronie opozycji. Z tego powodu władze trzymały go od elementarza z daleka. Sytuacja zmieniła się dopiero na początku lat 70., kiedy to ekipa Gierka budowę drugiej Polski chciała widzieć również w podręczniku. Wtedy właśnie poproszono sędziego już autora o jego uaktualnienie. Zdażył się wywiązać z zamówienia tuż przed zzydent Bolesław Bierut. Mieszka tu też Marszałek śmiercią. Odszedł w 1974 roku.

51

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

■Й◎^^

°VOi

Pałki

cJr

W oczach społeczeństwa - brutale i nieuki. We własnych oczach - ofiarni i niedoceniani.

Długowłosi - wróg ustroju

Milicjanci bywali często przedmiotem pomówień, na co żalili się w prasie: „Część społeczeństwa, zwłaszcza młodszego, utożsamia policjanta oglądanego na filmach

zachodnich z naszym milicjantem i błędnie przypisuje nam te złe cechy i skłonności, które są na tych filmach wyeksponowane. Nieraz w czasie przesłuchań niektórzy szukali wzrokiem po pokoju lampy z żarówką o dużej mocy do świecenia im w oczy. Widzieli to na filmach zachodnich i byli przekonani, że nasza milicja stosuje te same metody".

Zdarzało się, iż milicja musiała ratować swoje dobre imię na łamach gazet. Jak wówczas, gdy dziennikarka „Słowa Powszechnego" krytykowała funkcjonariuszy za brutalność podczas koncertu zespołu The Rolling Stones w Warszawie w 1967 roku: „Dziennikarka sugerowała, iż Milicja Obywatelska wystąpiła z karabinami maszynowymi i gazami łzawiącymi przeciw melomanom, jednym słowem, że do pasma różnorodnych prześladowań należy dopisać szczerze psami milicyjnymi wielbicieli muzyki. Zdała się proponować akcję starszych pań z »Caritasu«,

FUNKCJONARIUSZ Z BODŹCEM ^ „Wstąpiłem do MO, gdyż ta służba podobata mi się, podziatka na mnie także bodziec materialny. Poprzednio pracowałem w sąsiednim powiecie. Lecz z powodu szerokiego kręgu znajomych widziałem, że swych obowiązków nie wykonuję należycie, toteż przenieśliem się do powiatu morąskiego" - deklaracja milicjanta z pisma „W służbie narodu".

a nie milicyjną pałkę... Wyrażam głębokie kondolencje z racji zaangażowania się po stronie długowłosych i krótkomózgich". Długowłosi byli szczególnie przedmiotem troski milicjantów. „Od nastolatka wyskakującego z tramwaju milicjant zażądał mandatu 50 zł - relacjonowały „Kulisy". - Młodzian udekorowany w nadzwyczaj wybujałą beatlesowską czuprynę miał tylko 20. Milicjant znalazł inne wyjście: zaproponował młodzieńcowi, że podaruje mu mandat, jeżeli zaraz ostrzyże się »na człowieka«. Młodzieniec poszedł do fryzjera. Milicjant cierpliwie poczekał, aż fryzjer zrobi swoje, po czym pożegnał się z pięknie wystrzyżonym chłopakiem w najlepszej zgodzie, jakby byli przyjaciółmi".

Funkcjonariusz mimo wszystko

Działania milicji miały niekiedy charakter heroiczny. Dla obrony prawa musieli się wyrzec ludzkich odruchów. Jeden z takich przypadków od-

Milicjantka kierująca ruchem w Warszawie (1947)

52

Kraj pod paragrafem

notowała prasa: „Posterunkowy kapral Józef D. wracał z całodziennego szkolenia w KPMO rowerem. Droga po ulewnym deszczu stała się grząska i nie sposób było się po niej poruszać. Był już u kresu sił, gdy na drodze pojawił się dwukonny, niezafadowany wóz chłopski. Woźnica, widząc strudzonego rowerzystę, zaproponował mu, by wsiadł na wóz. Milicjant skorzystał z zaproszenia, zdziwiony nieco do-broduszością chłopa. Nie miał bowiem na sobie munduru, który mógłby wpłynąć na tę ofertę, ani też chłopa nie znał. Usadowiwszy się na wozie, milicjant zauważył, że woźnica, z którego uprzejmości korzystał, nie miał przy wozie latarki. A tymczasem zapadał zmrok. Głowiąc się nad tę sytuację, funkcjonariusz postanowił zrezygnować z dalszej jazdy. Gdy dotarli do szosy, podziękował woźnicy, zszedł z wozu i ruszył naprzód rowerem. Kręcąc zawzięcie pedałami, niebawem znalazł się w domu. Tu pospiesznie przebrał się w mundur, wziął raportówkę i latarkę, i ponownie ruszył na szosę. Nie minęło kilka minut, gdy zjawił się jego niedawny dobrodziej. Milicjant zatrzymał wóz, a stwierdziwszy brak oświetlenia, ukarał woźnicę mandatem".

Żona wierząca, ja nie

Milicja musiała przyznać, że niekiedy miewa kłopoty z funkcjonariuszami. „Ważnym problemem jest laicyzacja społeczności milicyjnej - czytaliśmy w prasie branżowej. - Dostyc często bowiem dochodzi do »mezaliansów«: »Żona jest wierząca, a ja nie. Poprzez rozmowy i dyskusje doszło do tego, że obecnie odstąpiła już od większości praktyk, jednak w domu pozostaje jeszcze coś z tego. Trudno od razu zwalczyć »to«, potrzebna jest tu długotrwała

praca«. Milicjantom można było także postawić zarzuty o charakterze kryminalnym, najczęściej związane z nadużywaniem alkoholu. Prasa podawała przykłady karygodnych zachowań funkcjonariuszy: „Plutonowy z Posterunku MO w Tolkmicku, pow. Elbląg, wziął udział w libacji alkoholowej wraz z kierowcą »Żuka« należącego do Prezydium Rady Narodowej w Krynicy Morskiej. Następnie obaj wsiedli do samochodu i wyruszyli w drogę. Kiedy kierowca »Żuka« potrącił rowerzystę, powodując jego śmierć, plutonowy poradził, by szybko uciec z tego fatalnego miejsca i do niczego się nie przyznawać”.

Życzenia nocnego stróża

Zdarzało się, że milicja miała w społeczeństwie zdeklarowanych popleczników. Jeden z nich przysłał nawet życzenia noworoczne do branżowego pisma „W służbie narodu”: „Milicjantów bardzo lubię. Coraz lepiej działają. A jak oni, to i my, dozorczy. Mamy lepszego ducha, więcej odwagi. Ciągłe się ich w nocy widzi, albo pieszo, albo w radiowozie. Zatrzymają się, porozmawiają, to i człowiekowi raźniej. Niechbym dziś zobaczył włamywacza. Będę go ścigał aż złapię. Jak sam nie dopędzę, pomogą mi milicjanci. Wyrosną jak spod ziemi, na pierwsze wołanie. Życzę funkcjonariuszom milicji dobrego zdrowia, siły w rękach i w nogach. To ma na ich służbie duże znaczenie”. Podpisał: Józef Sękowski, stróż nocny.

53

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

XJcb® milicji

Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej została powołana tuż po wojnie jako służba pomocnicza milicji. Społeczeństwo jednak nie uważało jej za stróża porządku publicznego. Raczej za sitwę donosicieli i łapowników.

Tłumią zło w zarodku

W członkach ORMO załogi przedsię-t

biorstw widziały „wtyczki” dyrekcji i organów ścigania. Dlatego robotnicy izolowali się od nich i dokonywali nadużyć w głębszej konspiracji. „W jednym z większych zakładów powstała organizacja ORMO, szybko wyrosły jej szeregi, zdobyła sobie szacunek i zaufanie załogi - chwaliło się pismo milicyjne „W służbie narodu”. - W tym okresie wyraźnie zmalały drobne kradzieże i nadużycia, zanikły przejawy marnotrawstwa i znieczulicy, wzrosła troska o warsztat pracy, o własność społeczną, podniosła się dyscyplina pracy, nie notowano wypadków pijaństwa. Formalnie jednak nie ma komu przypisać tego pozytywnego zjawiska”. Ten motyw zbawiennego wpływu ormowców na załogę powtarzał się w listach do prasy i rocznicowych podsumowaniach. Ubolewano, że „organizacja nie może wykazać się »sukcesem« w postaci wykrycia kradzieży, ujawnienia nadużyć, marnotrawstwa, pijaństwa lub wyraźnego łamania przepisów bhp i przeciwpożarowych”. Wy tłumaczenie tego faktu było oczywiste: „Po prostu nie zdarza się ku temu okazja,

Zbiórka oddziałów ORMO z Ciechanowa i okolicznych powiatów (1947)

^ ZDROWY SZACUNEK

„Nie musi ormowca lubić chuligan, złodziej, pijak-kierowca. Ale przyzwoity obywatel nie musi przyjmować ich punktu widzenia. Nie musi on zresztą ormowca lubić, ale na pewno jego działalność zrozumieć, doceniać i szanować” - wypowiedź studenta Uniwersytetu Warszawskiego w piśmie „W służbie narodu”.

znacznie większe wymagania. „Znalazł się ktoś «wpływowy i nadgorliwy», domagający się od organizacji «konkretnej pracy» - czytaliśmy w gazetach. - A więc podglądania, wypytywania, śledzenia członków załogi, kontrolowania ich, a nawet rewidowania, zbierania informacji i wywiadów, a nawet pozbywania się z organizacji ludzi mniej aktywnych. W wyniku tych narzuconych form pracy za-gdyż oddziaływanie ORMO na załogę jest tak duże, że wszystkie objawy zła likwidowane są w zarodku”. Przełożeni mieli jednak wobec tej służby

Lepiej popełniwszy wykroczenie
spotkać milicjanta niż ormowca,
bo z tym ostatnim nie
ma dyskusji - Kazimierz
Robakiewicz, taksówkarz
z Warszawy t »„W służbie narodu”)
łoga powoli nabrała uprzedzeń do członków ORMÓ, zaczęła traktować ich jak
»detektywów«. Załoga zaczęła unikać ich, obdarzać epitetami”.

54

Kraj pod Podarki do rozrachunku

Funkcjonariusze ORMÓ uznawani byli często za łapówkarzy. Stąd odgórne zarządzenie w sprawie dawania „prezentów”. „Zakłady pracy, instytucje, organizacje społeczne i przedsiębiorstwa handlowe oraz usługowe, w uznaniu dla społecznej pracy ORMÓ, przydzielają poszczególnym członkom tej organizacji podarki w naturze z okazji różnych świąt państwowych i rocznic ormowskich - pisała prasa. - Odbywało się to dowolnie, a często bez wpływu aktywu dowódczego ORMÓ oraz bez wiedzy i akceptacji kierownictwa MO. Obecnie obdarowujący członków ORMÓ podarkami rzeczowymi powiadamia MO pismem, podając rodzaj podarku, osobę lub placówkę ORMÓ, dla których jest on przeznaczony”.

Interwencja marcowa

Fatalnie odbił się na reputacji ORMÓ udział w tłumieniu rozruchów studenckich w marcu 1968 roku. Ormowców napojono wódką i przywieziono autokarami pod Uniwersytet Warszawski. Byli uzbrojeni w pałki oraz kawałki gumowych węży. Mieli przepędzić z uczelni strajkującą młodzież. W czasie przerw w interwencji podawano im kolejne porcje alkoholu w pobliskim barze Kuchcik. Ormowcy wdarli się do siedziby uniwersytetu i zdemolowali jej wnętrze. To wówczas rozszyfrowywano skrót ORMÓ jako: Ostatni Ratunek Ministra Oświaty.

PARAGRAFEM

ORMÓ-zgadywanka

„»Co wiesz o ORMÓ?« Pod takim hasłem Estrada Ziemi Lubuskiej, z udziałem jednostek MO, prowadzi bardzo interesujący konkurs o tematyce ormowskiej - informowała prasa w 1967 roku. - Konkurs ma na celu popularyzację tradycji oraz zadań organizacji ormowskich wśród społeczeństwa. Impreza prowadzona jest w formie »Zgaduj-Zgaduli« i w drodze eliminacji miejskich objęła już prawie cały kraj. Największe zainteresowanie wzbudziła impreza w Opolu, gdzie w amfiteatrze obejrzało »Zgaduj-Zgadulę« ponad 6 tys. osób. Konkurs bardzo sprawnie prowadził kandydat na członka ORMÓ, spiker telewizji katowickiej Józef Kopocz”.

Spacerkiem na patrol

Pisarz Zbigniew Nienacki o swojej działalności ormowca: „Latem wypływam łódką nad jezioro lub idę do łąki na spacer dla przyjemności, dla relaksu. Ale jak widzę, że ktoś łamie przepisy o «strefie ciszy» na jeziorze, rozpala ognisko w lesie, wyrzuca puszki do wody albo stawia namiot w miejscu niedozwolonym, niejako automatycznie przypominam sobie, że jestem ormowcem. I interweniuje. Spacer przekształca się w patrol, a patrol jest zarazem spacerem”.

Towarzyszom Ormowcom

Prosto w oczy Wam wiato wietrzysko
na niełatwych historii zakrętach,
zdawaliście egzamin w trudnej walce o wszystko.

Mato kto dzisiaj o tym pamięta.

Próżno tego w podręcznikach szukać,
ile trud Wasz kosztował.

I krew.

Taką cenę miała wtedy nauka, jak odróżniać ziarno od plew.
Ile trzeba sił i charakteru,
żeby w służbie tak
od wieczora do świtu.
I jak trudno zrozumieć,
że to nie dla orderów:
nie dla sławy; ■ 'i nie dla zaszczytów. Jeszcze czasem ktoś za to ciśnie słowem-kamieniem,
bezrozumny umknie Wam ręki.
Częściej biegnie za Wami czyjeś krzywe spojrzenie,
niż dogoni was słowo podziękii.
Wiesław Pietryka

55

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

W PRL-u trwała cicha konkurencja -
kto w najbardziej osobliwy sposób złamie paragrafy.
Oto grono rekordzistów.

Zatrzymanie przez funkcjonariuszy MO

Nierząd na gałęziach

Oryginalnie zarabkował Józef K., który - jak sprawozdaje „Polityka” - założył w 1964 roku w plenerze pod Warszawą lokalik o nazwie Cafe Bocian. Mieścił się on w ogrodzonym kawałku lasu. Na drzewach zawieszane były budki, przypominające kształtem karmniki dla ptaków. W każdej budce znajdowały się stolik, kozetka i krzesło. Lokal był czynny jeden sezon. Działalność Cafe Bocian zakończył bowiem nalot milicji. Goście w dezabilu skakali z drzew i rozbiegali się w popłochu. Sąd wymierzył przedsiębiorcy karę za ułatwianie uprawiania nierządu. Przekupstwo nie dziwiło nikogo i nigdzie. Nawet w izbie wytrzeźwień. Tam obudził się po upojnej nocy majster fabryczny Zygmunt T., opisany przez znaną publicystkę Wandę Fałkowską w „Przekroju”.

Φ*

Ъ

Г

[WÓDKA ZA WÓDKĘ

„Trybuna Wałbrzyska” opisała w 1980 r. szczególny wypadek w lokalnych sferach przestępczych: „Miejscowi złodzieje, którzy okradli sklep GS z wódki, nie mieli pomysłu, co zrobić z taką ilością trunku. Wobec tego sprzedali ją, a następnie uzyskane w ten sposób pieniądze wydali na wódkę”.

Kiedy kierownik placówki urzędowym tonem przypomniał, że zgodnie ze swoim obowiązkiem natychmiast zawiadomi zakład pracy, Zygmunt T. obiecał łapówkę za milczenie. Po fajrancie przyniósł pieniądze. Jednak wcześniej numery banknotów spisał razem z funkcjonariuszami MO.

Złodziej mimo wszystko

Niekiedy przestępca natykał się na zupełnie nieprzewidziane sytuacje. Stanisława R. z Wybrzeża aresztowano za to, że w restauracji Pod Czterema Różami zakupił od marynarza z krajów tropikalnych skórę ściągniętą z krokodyla. Nabywca płacił za nielegalny produkt przedwojennymi złotówkami. Piotr B. odwiedzał sklepy z przerobioną legitymacją związku wędkarskiego. Wymalował na niej duże litery MO i zabierał z kas banknoty 100- i 500-złotowe, rzekomo do ekspertyzy. Podobnie Henryk G. ze wsi Łapy, który udawał kontrolera Państwowej Inspekcji Handlowej i brał łapówki od handlowców. Następnie osiadł na wysokim stanowisku w MPK, gdzie przedstawił się jako magister. Wcześniej dyplom wyższej uczelni wystawił sobie na blankiecie kupionym w sklepie papierniczym. W 1972 roku aresztowano oszusta, który na giełdzie samochodowej sprzedał syrenę oprawioną w karoserię

5B

Kraj pod paragrafem

mercedesa - oczywiście jako zachodnie auto. Oszukany dowiedział się o tym po roku, kiedy zmuszony był oddać wóz do reperacji. Gorzej bywało, gdy złodziej ukradł towar, z którym nie wiedział, co zrobić. Franciszek L. ujęty został na dworcu kolejowym w Cieszynie, w chwili gdy smarował sobie głowę masłem wyniesionym z zabawy koła łowieckiego.

„Franciszek L. - pokpiwały „Kulisy” - ukradłszy z przyzwyczajenia kilogram masła, nie potrafił dlań znaleźć innego zastosowania”.

Pogromca prostytutki

Zdarzali się też przestępcy z poczuciem misji. Ze skargą na takiego idealistę zgłosiła się do łódzkiej milicji w 1979 roku delegacja prostytutek. Wskazywały maniaka, który bił je na ulicy. Funkcjonariusze zatrzymali 45-letniego osobnika ubranego na czarno, ze skórzanym pasem w rękę, napadającego na upatrzone panienki. Człowiek ten oznajmił, że jest mścicielem i odgrywa się za wszystkich mężczyzn skrzywdzonych przez prostytutki.

Wampir z czarnej wołgi

Pogłoska o czarnej limuzynie, którą jeździ „wampir” i porywa dzieci, znana była i w Lublinie. Pod jedną ze szkół podjechał czarnym samochodem ojciec, by zabrać córkę na weekend. Dziewczynka nie chciała jechać, zaczęła płakać. Świadkowie tej sceny wyciągnęli mężczyznę z wozu i zaczęli go okładać kijami. Następnie „wampira” zamknięto w odrutowanym boksie szkolnej szatni, gdzie sprzętaczki lały go kijami od szczytek. Samochód pechowego tatusia został całkowicie zniszczony, a on sam musiał poddać się leczeniu w szpitalu.

Skazani za dogging

W Zabrze na skwerze przy ulicy Generała de Gaulle'a funkcjonariusze MO zatrzymali parę, która za dnia kopulowała publicznie. Przed sądem kobieta tłumaczyła się, że zbliżenie w miejscu ogólnie dostępnym wynikało z tego, że potknęła się, upadła, pociągnęła za sobą partnera, który przecież nie jest z kamienia. Gapie wezwały milicję dopiero wówczas, kiedy para skończyła miłosny proceder.

Tola Mankowiczówna

Najbardziej popularnym przestępstwem PRL-u było manko. Milicja pierwsze analizy statystyczne w tym zakresie przeprowadziła już na początku lat 60. Okazało się wówczas, że kobiety, które mają do czynienia z nie swoimi pieniędzmi są uczciwsze od mężczyzn. Na posadach księgowych i kasjerek było ich 70 procent, ale wśród zdemaskowanych złodziei - tylko 44.

Prokuratura bez humoru

Inny gatunek złoczyńców to kawalarze. Sąd w Katowicach skazał dekarzy, którzy nalali wrzącej smoły koledze do gumowca. A także ekipę remontową za podpiłowanie jednemu robotnikowi szczebli drabiny oraz kierowcę, który odkręcił innemu szoferowi śruby mocujące przednie koła. Przed wymiarem sprawiedliwości stanęli również członkowie załogi, oskarżeni o nalanie swojemu koledze kwasu solnego do butelki z oranżadą. Wszyscy podsądni zarzucali prokuraturze brak poczucia humoru.

V BIMBER NA GRANICY PRZEŻYCIA

„Pracownicy Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Grodzisku Mazowieckim pędzili zarobkowo biber na bazie kradzionego ze spółdzielni środka do badania kwasoty mleka - alizarilu. Podstawowym składnikiem tego środka jest spirytus skażony metylem, bardzo groźny dla zdrowia. Tajemnicą pozostaje fakt, dlaczego nikomu nic się nie stało” - „Kulisy” (1975).

57

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Złodzieje, waluciarze, wandale, prostytutki, meliniarze i bazarowi wydrwigrosze - to była codzienna klientela milicji. „Walka z tą szumowiną nie jest łatwa” - pisała milicyjna prasa. Nie była łatwa, ale z pewnością była barwna.

Kalot »a niebieskie ptakJ

Akcja z piskiem opon

Prasa milicyjna specjalizowała się w żywych opisach milicyjnych interwencji w półświatku: „Na Targowej obok Zielenieckiej grupa chuliganów zaatakowała sierż. Zawadkę. Nie dałby im rady, zwłaszcza że go zaskoczyli, ale na szczęście w tym samym czasie pełnili w pobliżu służbę zomowcy. Nadjechał »Gazik«. Przyhamował, aż zapiszczały gumy. Na ulicę wyskoczyli milicjanci z dowódcą grupy. W ruch poszły pałki. Zakurzyło się z chuligańskich kurtek, zaszeleściły krzaki od nurkujących w nie opryszków. Wyciągni za karki stali potulnie i cichutko”.

Dzielnicowy na pierwszej linii

Z drobnymi kryminalistami próbowali uporać się dzielnicowi. „Na Gagarina pod numerem 103 zbierała się szumowina - relacjonował dziennikarz opowieść milicjanta. - Dzielnicowy próbował rozgonić to towarzystwo, ale nie udało mu się. Z pomocą młodemu dzielnicowemu przyszedł stary doświadczony funkcjonariusz. Poszedł do meliny i uciął sobie z lokatorami krótką, ale soczystą rozmówkę. - Bo z żulią trzeba ostro i konsekwentnie. Oni szanują tylko siłę i zdecydowanie”.

PRZESTĘPSTWA PROCENTOWO[^] I Z początkiem lat 60. wykrystalizował się profil polskiej przestępczości. Przestępstwa przeciwko mieniu popełniło 55 procent osadzonych. Za chuligaństwo trafiało za kratki około 20 procent skazanych, a za przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu - około 5 procent. Ułamek procenta więźniów odpowiadał za przestępstwa przeciwko państwu.

Inny dzielnicowy również chętnie dzielił się wspomnieniami z pracy: „Nie wyobrażałem sobie starcia z takim Zdzisławem »Wampirem«. Ja, watry i niski chłopaczyna, on drażał około metr dziewięćdziesiąt, przy tym pijak, awanturnik, bez krzty szacunku do munduru. Zacząłem od ul. Łowickiej. W starych domach i ciasnych izbach znalazło schronienie sporo różnej maści przestępców. Rej wśród nich wodził wspomniany już »Wampir«. Jego paczka liczyła coś z 20 osób. Przez kilkanaście dni studiowałem ich kartoteki, a wieczorami po cywilnemu obserwowałem. Towarzystwo całymi dniami wystawało pod kioskiem z piwem.

58

Kraj pod paragrafem

Po tych wstępnych czynnościach zorientowałem się, że każdy z nich ma jakieś tam swoje słabości, a w pewnym sensie i zasady. »Wampir« nie znosił na przykład, kiedy zamykano go na święta. Przez cztery lata tak mu dopasowywałem aresztanckie odsiadki, że ani razu nie jadł w domu święconego jajka. Po ostatniej Wielkiej Nocy przyszedł do mnie, przeprosił i przyrzekł skończyć z rozrabiactwem. Poszedł do pracy i, jak do tej pory, pracuje. Jego żona złożyła milicji podziękowanie”.

Wizytacja na melinie

Ważnym zadaniem dzielnicowych było też nakłanianie niebieskich ptaków do podjęcia pracy. Choć najczęściej kończyło się to fiaskiem. „Już z góry wiem, co mi powiedzą - mówił reporterowi młodszy chorąży Stanisław Ochocki z Gniezna, wdrapując się na piętro po wąskich schodach do rodziny Tadeusza W - On znowu nie pracuje od pół roku, wszędzie zwalniają go za wódkę albo sam pracę porzuca.

Milicjant

Milicjant to naprawdę przyjaciel nasz bliski Przyjaciel, który myśli szczęśliwie o wszystkim Myśli o bezpieczeństwie na ulicy, w domu Zawsze spieszy z pomocą, kiedy trzeba pomóc Czuwa, żeby nikomu nic złego się nie stało Z daleka już widzimy jego czapkę białą Uśmiecha się do dzieci, ręką do nich kiwa Pogrozi nieraz palcem, i tak czasem bywa

piosenka Czesława Janczarskiego

Ona nie pracowała nigdy. Obydwoje mają skierowania na przymusowe leczenie alkoholików, ale miejsc na razie brak. Ujadanie psa, przekleństwa, szczęk klucza i zostajemy wpuszczeni do środka. W czerwonej pościeli rozczochna kobieta o nieprzytomnych oczach bluźni na cały świat. - Mąż pracuje, pracuje! - wrzeszczy do dzielnicowego. - Co was obchodzi gdzie! Gdzie chce i jak długo chce! Co, ja nie pracuję?! Pan mnie obraża! Ja jestem chora na serce, mnie się należy renta!". Reporter z chorążym podążają dalej szlakiem szumowin. „Kolejnego w niedzielę urodzonego nie zastajemy w domu, ale ścieżki ich wszystkich dzielnicowy dobrze zna. Wiadomo, że jak nie w domu, to w barze Wiarus albo w Popularnym. Tu w swojskim smrodku piwa i bigosu prostytutki z żółtymi zębami czarują zarośniętych facetów w niechlujnych marynarkach. Legitymowane spokojnie patrzą w oczy dzielnicowemu. Kobieta ustawa przeciwko pasożytniczemu trybowi życia nie obejmuje w ogóle, mogą więc spokojnie przesiadywać w barach, szwendać się po melinach, żyć z czego się da. A dzieci wychowa państwo. Przecież państwo do tego jest".

Jechać wariata?

Prasa milicyjna raz po raz drukowała przechwycone grypsy więzienne. Jeden z nich brzmiał: „Mamo! Wyślij mnie list Ekspres polecony, przez który dasz mnie znać, czy załatwiłaś mnie świadków do tego morderstwa na Grażynie oraz czy te dziewczyny co podałem ich adresy zmieniają swoje zeznania, że ja ich nie gwałciłem. Jeżeli mnie nie załatwisz to znaczek przyklej na kopercie w rogu na dole a jak nie to normalnie a będę wiedział co robić czy już zaczynać jechać wariata czy nie. Andrzej".

Gizela rekordzistka

„Zaszczytnego wyróżnienia ze strony szczecińskiej Izby Wytrzeźwień doczekała się Gizela R., która ostatnio po raz setny korzystała z usług tego zakładu - donosiło pismo „W służbie narodu”. - Podczas jubileuszowego pobytu została ona ze szczególną troską - a przy tym bezpłatnie - doprowadzona do stanu trzeźwości, obmyta i oprana. Ten wspaniałomyślny gest nie był bynajmniej obliczony na to, by zachęcić pacjentkę do częstszego korzystania z usług Izby. Zadłużenia panny Gizeli z tytułu wizyt złożonych w Izbie sięgają bowiem kilkunastu tysięcy złotych i - jak dotąd - są nieściągalne".

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

&awó&

Rodzime „panienki" specjalizowały się w oskubywaniu zagranicznych gości z dolarów. A portierzy, kelnerzy i taksówkarze specjalizowali się w oskubywaniu „panienek".

Prostytucja

Frontem do dewizowca

Prasa we współpracy z milicją próbowała raz po raz oszacować skalę prostytucji. „W Warszawie pracuje 7 tys. pań zajmujących się bardzo starym rzemiosłem - donosił na początku lat 80. „Kurier Polski”. - Ceny usług: dla tubylców 2-10 tys. zł, dla Arabów - 10-15 tys., dla Japończyków - 100 dolarów". Gazeta wysłuchiwała nawet kod, jakim posługują się panienki. „Nasza nimfa zwraca się do walutowego obcokrajowca słowem »honey« (miodku), do płacącego złotówkami obcokrajowca - »darling« (kochanie), zaś do krajowego amatora na delegacji zwyczajnym: »czego?«".

Anioł stróż w taksówce

Prostytutki muszą współpracować z obstawą - tłumaczyło pismo milicyjne „W służbie narodu". I wyjaśniało: „W cieniu panienek działają »cierpia-rze«. W żargonie półświatka to po prostu taksówkarze, którzy pracują na koncesję, czyli na własny wózek. Działają nocą. Jeżdżą na okrągło ze złamaną chorągiewką i wyłączonym interkomem centrali »919«.

Punktualnie o trzeciej nad ranem ustawiają się przed wejściem do warszawskich lokali: Adrii, Kongresowej czy Europejskiego i czekają. W tych taksówkach można bez przeszkód kochać

się za pieniądze. Okradać śpiącego, grać w numerki i wymieniać waluty po konkurencyjnym dla NBP kursie".

Taksówkarz gwarantował jednak prostytutce odwrót również w wypadku kłopotów ze stróżami prawa. „Życzliwy cierpiarz szybko dorobi się szmalu. Ale warunek - musi być życzliwy. Gdy

^ KOSZTY WŁASNE

Prasa chętnie rozpisywała się o bająnskich sumach, jakimi obracały prostytutki. „Ewa z Bristolu za wynajętą w Śródmieściu kawalerkę płaci miesięcznie 8 tys. złotych. Wstęp »do pracy« kosztuje ją ok. 20 tys. miesięcznie. Są to przeważnie napiwki albo ściślej mówiąc łapówki za ułatwianie uprawiania nierządu. Fryzjer, zabiegi kosmetyczne, stroje pochłaniają ok. 40% jej dochodów".

dziewczyna ma »wpadkę« i wiozą ją do komendy, cierpiarz jedzie za radiowozem. Potem czeka. Jeśli sprawa wyjaśni się szybko, odwozi ją z powrotem do lokalu. Jeżeli trwa dłużej, trzeba jej zapewnić wygodny powrót do domu. W takiej sytuacji dziewczyna zawsze płaci w zielonej walucie".

BO

Kraj pod paragrafem

Rodzina ustawiona przy barze

Równie groźna jak milicja była dla prostytutek konkurencja w zawodzie. Dlatego panienki bardzo sumiennie pilnowały swoich rewirów. Prasa podawała szczegóły: „Anda zna wszystkie dziewczyny, które chodzą w miasto: »Kin-gę«, »Miki Maus«, »Słoneczko«, »Krowią Morde«, »Balbinę«, a nawet »Baronową«. Ma dwadzieścia sześć lat i teraz zarabia tylko w Szampańskiej

- od dwóch do czterech tysięcy miesięcznie, bo nie ma już zdrowia. Anemia, babskie choroby.

Na swoje miejsce w Metropolu ustawiła średnią siostrę Halinę. Najmłodsza natomiast, Sońka, dostała się do Adrii. - Byłam kiedyś u niej

- opowiada Anda. - Siedzi przy barku, zaprosiła mnie, nie powiem, nawet wypiliśmy po jednym... Upредиła tylko dziewczyny, że jestem jej siostrą i nie przyszedłam pracować, bo w innym wypadku wyciągnęłyby mnie do toalety, wsadziły głowę do miski klozetowej i spuściły wodę. Bo tak zawsze załatwia się nowe. Trzeba dbać o miejsce pracy, no nie?".

Afera stulecia

W półświatku prostytutek rzadko wybuchały większe afery. Wyjątkiem był proces tzw. Dziweksu. Dwie agencje włoskie: Thea Maggio-li i Olivero zawarły umowy ze Zjednoczonymi Przedsiębiorstwami Rozrywkowymi o eksport zespołów tanecznych do Włoch. Od początku zaznaczano, że dziewczęta wcale nie muszą być dobrymi tancerkami. Najważniejsze, by miały prezencję i chciały zarobić trochę pieniędzy w twardej walucie. Polacy pomagali kobietom zdobyć paszporty i chętnie pożyczali dewizy na zagospodarowanie się w nowym miejscu. „Podczas spotkań w eleganckich warszawskich hotelach Włosi roztaczali przed dziewczynami wizje przyszłej pracy - relacjonowała prasa. - Miała polegać, oczywiście, na występach

artystycznych, honorowanych 30 dolarami dziennie". „Wieczorem żona właściciela klubu - zeznała później jedna z wykorzystanych pań - wyjaśniła, że skończyło się aktorstwo, a zaczyna się praca od 22.00 do 4.00. Miałyśmy mieć wieczorowe stroje, pełny makijaż.

Chodzić po sali i zachowywać się wabiąco wobec klientów. Jak się trafi klient, który będzie chciał »zrobić miłość« (tego zwrotu nauczono dziewczęta po włosku, żeby przypadkiem nie przepuściły okazji), kosztuje to od 100 do 300 tys. lirów. Klient na tę miłość miał 30 minut. Przed upływem tych 30 minut dzwonił ktoś z kelnerów i przypominał, że czas się kończy i pytał, czy klient życzy sobie przedłużyć".

Kariera Gigi

W gazetach raz po raz można było odnaleźć reporterskie portrety panienek lekkich obyczajów. Ich bohaterki wydawały się żyć w zupełnie innych realiach niż przeciętni Polacy. Był to świat nieustannej zabawy i dostatku. „Giga debiutowała w Szampańskiej - czytaliśmy - ale gdy tylko zarobiła trochę grosza, kupiła dobre ciuchy i przeniosła się do Kongresowej. Potem był Bristol, Krokodyl i awans do Europejskiego. Uważa, że słusznie jej się to należało, przecież »nie szła na układy« z Arabami, a więc nie chorowała na dyskretne choroby, nie obniżala nigdy ceny. A poza tym nie pije, nie używa kuchennej łąciny i w ogóle z natury jest delikatna i dla klientów, i dla personelu”.

Pełzająca prostytutka

Prostytucja była - co przyznawano niechętnie - poważnym problemem społecznym. Niekiedy pochylała się nad tym zjawiskiem prasa, np. „Przyjaciółka”, która w 1971 roku opublikowała taki list czytelniczki: „Oficjalnie mówi się, że nie ma u nas prostytutki, a wszyscy wiemy, że to nieprawda. Czytałam niedawno, że w Łodzi na 700 zarejestrowanych prostytutek (a ile jest niezarejestrowanych) 520 odpowiedziało na ankietę. Wynika z niej, że 250 prostytutek posiada dzieci do lat 17, którymi w ogromnej większości nikt się nie opiekuje, chowa je ulica. W 24% korzystają z Domu Dziecka, a więc pomocy państwa. Czy nie jest to wielki problem społeczny? Czy jest nam obojętne, jak żyją i jak wychowują własne dzieci te kobiety z marginesu społecznego? Lekarstwem dla nich może być przymus pracy i nauka jakiegoś zawodu”.

61

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Przeciętne polskie włamanie dotyczyło kiosku Ruchu lub sklepu GS-u. Ale zdarzały się też napady w istic amerykańskim stylu.

Portrety pamięciowe sprawców napadu na ulicy Jasnej w Warszawie

Ambitni amatorzy z podnośnikiem

||I o największego napadu na bank w histo-||I* rii Polski - biorąc pod uwagę zrabowaną sumę - doszło 19 sierpnia 1962 roku w Wołowie na Dolnym Śląsku. Łupem rabusiów padło 12,5 miliona złotych. W niedzielny wieczór sześciu sprawców obezwładniło strażnika i zeszło do pomieszczenia pod skarbcem. Tam złodzieje za pomocą podnośnika samochodowego przebili strop, dostali się do środka i rozpruli kasę. Tę drogę podpowiedział im kasjer banku, który był z nimi w znowie. „Rano ok. godz. 4.30 przyszła pierwsza z pracujących w banku sprzątaczek - relacjonował „Głos Pracy”. - Zaskoczenie: drzwi są otwarte! Szuka wartownika i kierując się dochodzącymi z piwnicy jękami znajduje go i uwalnia z więzów, a następnie szybko zawiadamia milicję. MO natychmiast zarządza kontrolę samochodów i bagaży - na wszystkich okolicznych drogach.

[FAŁSZYWE TWARZE Portrety pamięciowe sprawców napadu na ulicy Jasnej) w

Warszawie powstały bardzo szybko. Nie utatwity one jednak odnalezienia zbrodniarzy.

Krażyła plotka, że celowo sporządzono je niedokładnie, aby pogmatwać śledztwo, które miało uderzyć w pracowników Służby Bezpieczeństwa lub wysoko postawionych oficerów Milicji Obywatelskiej.

Sprawdza alibi znanych przestępców, którzy niegdyś przy włamaniach stosowali podobną technikę, jaką posłużono się w Wołowie. Na miejsce włamania przybywa natychmiast samolotem grupa specjalistów-kryminologów z Warszawy”. Zaczęło się drobiazgowo śledztwo - badano ślady ogumienia, które zostawił samochód włamywaczy, farbę, jaka odprysła z używanych przez nich narzędzi. Milicja otrzymała mnóstwo doniesień od swoich informatorów. Te najważniejsze dotyczyły poważnych sum wpłacanych do banku banknotami o wysokich nominałach, jakie skradziono w Wołowie. Pojawiły się one m.in. w Gdańsku i Ostrowie Wielkopolskim. W dodatku funkcjonariusze MO zorientowali się, że są sztucznie

postarzone. Z czasem okazało się, iż tymi banknotami posługiwali się krewni i znajomi rabusiów. Do głównej wpadki doszło w sklepie tekstylnym na Opolszczyźnie. Tam jedna

62
Kraj pod

PARAGRAFEM

: klientka próbowała zapłacić banknotem o numerze, który figurował na skradzionych pieniążkach. Energiczna kasjerka zamknęła kobietę w sklepie i dała znać milicji. Zatrzymana pochodziła z Wołowa. Szybko ustalono, że jest żoną jednego z podejrzanych. Ustalenie składu całej izówki było kwestią krótkiego czasu, 'oczątkowe niepowodzenia milicji brały się stąd, że sprawców rabunku szukała wśród recydywistów, podczas gdy byli nimi przeciętni obywatele, a motywację do tak zuchwałego czynu świetnie wskazał film *Hazardziści* (1976). Jego bohaterami są mieszkańcy małego miasteczka, którzy mają jednak nieco ambitniejsze marzenia niż sąsiedzi. Ichą rozkręcić własne firmy albo bodaj kupić lepszy samochód. Tymczasem szanse na uczciwe nabycie większych pieniędzy są żadne. Decydują się więc na amatorski skok. Wpadają dlatego, że ich najbliżsi nie byli w stanie odpowiednio długo odczekać z wydawaniem gotówki. Zgubiła ich chciwość.

Esbecy strzelają do kasjerów

Do najgłośniejszego napadu w dziejach Polski Ludowej doszło dwa dni przed Wigilią, 22 grudnia 1964 roku w centrum Warszawy. Pod bank Drży ulicy Jasnej (tzw. bank pod orłami) zajechała warszawa, dostarczająca przedsięwzięczny utarg i położonego nieopodal, przy Alejach Jerozolimskich, domu towarowego Smyk. Kasjerka i dwaj strażnicy wysiedli z samochodu. Jeden z konwojentów sięgnął do bagażnika, gdzie znajdował się worek z rekordowym utargiem 1 336 500 złotych. Cała trójka spokojnie zmierzała do gmachu banku. Wtem do strażnika niosącego pieniądze podszedł niewysoki mężczyzna, błyskawicznie wy dobył pistolet i bez słowa strzelił mu w pierś. Chwyił worek i uciekł w stronę ulicy Hibnera (obecnie Zgoda). Ranny strażnik upadł na schody banku, tymczasem do drugiego konwojenta

podbiegł kolejny napastnik. Najpierw go zranił, a potem - leżącego - pozbawił życia dwoma strzałami w głowę. Kasjerce udało się przeżyć, ponieważ w porę schowała się za samochód. Bandyci rozdzielili się. Tego z pieniędzmi zabrało auto na ulicy Moniuszki, drugiego warszawa uwiozła z Marszałkowskiej. Od tego momentu wszelki ślad po nich zaginął. Milicja była bezradna. Nie potrafiła nawet odnaleźć samochodów, którymi uciekli przestępcy, mimo że w stolicy i w okolicach nie było ich wtedy wcale tak wiele. W miasto poszła natychmiast plotka, że napad jest dziełem którejś z podziemnych organizacji jeszcze z czasów okupacji. Mówiono nawet o Armii Krajowej. W innej wersji miał to być wyczyn wysoko postawionych funkcjonariuszy SB. Tym tłumaczono sobie bezradność organów ścigania. Krążyły pogłoski, że dość szybko wykryto sprawców, ale na polecenie najwyższych władz zaniechano śledztwa, które musiałyby je skompromitować. To wytłumaczenie samo się narzucało, ponieważ milicja wprzęgła do pracy wszystkie swoje siły. Uruchomiono armię konfidentów. Przesłuchano każdego, kto miał na pieńku z prawem. Bez efektu. Dla organów ścigania sprawa przestała istnieć jednak dopiero w roku 1989, kiedy to doszło do przedawnienia tej niebywałej zbrodni. Do dziś napad na bank przy Jasnej pozostaje jedną z najbardziej intrygujących zagadek minionego stulecia.

Jak ukraść siedem milionów?

Przepis podał poczytny autor kryminałów. Był to pomysł z przebranym funkcjonariuszem MO:,- Niech pani także wysiadzie -milicjant poprosił kasjerkę - będzie lżej. (...) Jeszcze nikt nie podejrzewał niczego złego. Ale kiedy znaleźli się na szczycie pagórka, wiśniowy fiat zniknął na horyzoncie. (...) Tam została torba z pieniędzmi! - Po raz pierwszy niepokój wtargnął w serce kasjerki. - Przeszło siedem milionów złotych" - Jerzy Edigey, Pomysł za siedem milionów.

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Śmierć

To jedna z najciemniejszych kart polskiego sądownictwa: za malwersacje w handlu mięsem sąd w 1965 roku wydał wyrok śmierci.

Wędliny dla Wielkiego Brata

Pierwsze oznaki załamania na rynku mięsnym dały się odczuć pod koniec lat 50. Sytuacja jeszcze się pogorszyła po wizycie Nikity Chruszczowa, przywódcy ZSRR. Od tego momentu polskie mięso, którego i tak było za mało, obficie popłynęło do Związku Radzieckiego i Chin Ludowych.

To spowodowało, że osobami bardzo wpływowymi stali się dyrektorzy zakładów mięsnych oraz kierownicy central zaopatrzeniowych. O ich względy zaczęli zabiegać nie tylko zwykli funkcjonariusze aparatu partyjnego, ale nawet ministrowie. I tak zawiązywała się cicha sitwa wędli-niarsko-partyjna. Dyrektorzy dostarczali na lewo delikatesy sekretarzom, a ci w zamian przymykali oko na to, że setki kilogramów szynki i zra-zówki wypływały na czarny rynek, gdzie były sprzedawane po paskarskich cenach.

Wielka wpadka

Bomba wybuchła w Warszawie w sierpniu 1964 roku. W trakcie rutynowej kontroli inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli trafili na fałszowane faktury w obrocie mięsem. Do października zatrzymano 400 osób: transportowców, inspektorów nadzoru, księgowych.

Aresztowani zaczęli sypać. Z ich zeznań wyłaniał się obraz rozgałęzionej

PRZYWILEJE POD PARASOLEM ^ W epoce gomutkowskiej urzędnicy wyższego szczebla byli w stanie zatatwić każde deficytowe dobro: od luksusowych artykułów spożywczych po talon na samochód. Powszechną korupcję umożliwił parasol ochronny, który nad sferą urzędniczą rozpinat aparat partyjny, najczęściej korzystający z tych nienależnych przywilejów.

mafii mięsnej, gdzie ręka w rękę kolaborowali dyrektorzy sektora wędliniarskiego i aparatczycy z Komitetu Wojewódzkiego.

Lojalność strachu

Tyle że o udziale partyjnych bonzów gazety milczały. Na żer opinii publicznej rzucały natomiast handlowców. To oni wykradali towar z magazynów i rozprowadzali go cichcem w kręgu znajomych. Nikt na nikogo nie donosił, bo ówczesne prawo precyzowało wyraźnie: karze podlega każdy uczestnik afery, niezależnie od szczebla, na jakim uprawiał swój proceder. Działała lojalność strachu. Opinii publicznej nie można było zadowolić ukaraniem szeregowego kierownika sklepu czy księgowego. Domagano się głów spekulantów zasiadających na najwyższych stołkach. Władza poszła na kompromis: 20 listopada 1964 roku przed sądem

Kraj pod

PARAGRAFEM

Stanisław Wawrzecki podczas procesu (1965)

stanęło 10 osób objętych głównym aktem oskarżenia. Czołowym oskarżonym był Stanisław Wawrzecki, dyrektor Państwowego Przedsiębiorstwa Handlu Mięsem w Warszawie.

„Jestem przeciw!”

Prokurator zarzucił Wawrzeckiemu zorganizowanie grupy przestępczej, zabór mienia społecznego znacznej wartości oraz łapownictwo. Nie pomogła płomienna i wysoce profesjonalna obrona Wawrzeckiego, jaką prowadził przydzielony z urzędu adwokat Władysław Bieńkowski. W pewnym momencie zdesperowany mecenas wybiegł na środek sali sądowej i wznosząc dłonie w dramatycznym geście, wykrzyczał: „Pamiętajcie, panowie sędziowie! Jeżeli zasądzicie karę śmierci, to ja byłem przeciw, przeciw, przeciw!”. Po tych

słowach z ław, gdzie siedziały rodziny oskarżonych, podniósł się jeden wielki szloch. Mowa mecenasa Bieńkowskiego nie wpłynęła na decyzję sędziów. 2 lutego 1965 roku wydali wyrok śmierci na Wawrzeckiego. Czterech dyrektorów odpowiedzialnych za dystrybucję mięsa skazano na dożywocie, a pięć osób na kary od 9 do 12 lat pozbawienia wolności. Wobec wszystkich orzeczono

(SPEKULANT NUMER 1 Wawrzeckiego skierowano na trudny odcinek handlu mięsem, aby ukrócił panujące tam powszechnie złodziejstwo. Samotny dziaacz nie miał jednak najmniejszych szans w walce z tą patologią. Szybko wsiąkł w zastane układy. Kradł ani mniej, ani więcej niż inni. Pech chciał, że władzy bardzo się nadał do roli rekina czarnego rynku, na którym można było skupić gniew ludu.

również wysokie grzywny i przepadek mienia. Stanisław Wawrzecki został stracony przez powieszenie 19 marca o godzinie 19.00 w areszcie śledczym Warszawa-Mokotów.

Podwójna puenta

Dopiero po 40 latach od tych wydarzeń, 27 lipca 2004 roku, Sąd Najwyższy uchylił tamten haniebny wyrok. Tylko tyle można było zrobić dla ofiar ówczesnej przemocy sądowej. A Gomulka i tak nie rozwiązał mięsnego problemu. Po pięciu latach od skazania Wawrzeckiego zaaprobował rozkaz strzelania do robotników Trójmiasta, manifestujących przeciw podwyżce cen -głównie mięsa. I to był koniec jego kariery.

Malwersacja szczecińska

Afera mięsna nie zaczęła się w Warszawie. W 1960 roku w Szczecinie wykryto, że dyrektor tamtejszych zakładów mięsnych korumpował miejscowych aparatczyków deficytowymi produktami ze swojej przetwórni. Przekupywał nawet urzędników NIK-u. Po kolejkach wyczekujących pod sklepami poszedł szum - partyjni wnoszą dostawy tylnymi drzwiami. Na dodatek telewizja pokazała cykl reportaży, w których robotnicy gromkim głosem żądali surowego ukarania mięsnych spekulantów. Szczecin jednak za mało się liczył, by tu organizować pokazowy proces.

Pompowanie kiełbasy

Afera mięsna wymagała dużej znajomości fachu. Wędliniarze w miejsce wyrobów wyższej jakości pakowali produkt pośledniejszy - byle waga się zgadzała. Nagminnie dopompowywali kiełbasę wodą, aby powiększyć jej objętość. Fałszowali również faktury. Na papierze wykazywali, że w magazynach jest mniej towaru, niż było naprawdę. Bo nadwyżkę wyprowadzali na czarny rynek. Zyski rozkładały się proporcjonalnie na wszystkich - od dyrektora po kierowcę i kierownika sklepu.

65

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

nocą.

To wyjątkowo ciemna karta naszej historii. Psychopaci, którzy terroryzowali społeczeństwo. Kiedy wpadali, było już za późno. Ciągnął się za nimi ogrom nieszczęść.

Wampir na ruinach

Po wojnie pierwszego seryjnego mordercę odnotowano w 1950 roku w Warszawie. Napadał na samotne kobiety. W mieście zapanowała psychoza - mężczyźni wychodzili po żony, narzeczone i siostry, które późno kończyły pracę. Na próżno. Kolejne warszawianki padały ofiarą dusiciela. Jedna z nich zdołała mu umknąć i doniosła, że morderca nie ma dwóch palców u lewej ręki. Na tej podstawie milicja schwytała wreszcie Jana Ołdaka, 25-letniego zboczeńca, który podczas procesu symulował chorobę psychiczną. Lekarze nie dali się nabrać. „Wampir z Warszawy” skazany został na karę śmierci.

/4 URODZONY MORDERCA

Mazurkiewicz uchodził za konfidenta UB, dlatego podejrzewano, że wykonuje wyroki bezpieki. Podobnie było przed sądem: zastraszony prokurator kluczyt, a obrońca trzymał się

tezy, że Mazurkiewicz jest „urodzonym mordercą”. Sprawozdawcą z procesu był Marek Htasko. Swą relację zatytułował Proces przeciwko miastu.

Łowca żydowskiego złota

Znacznie lepiej zdołał się zakamuflować w świecie realnego socjalizmu Władysław Mazurkiewicz z Krakowa. Podczas okupacji, posługując się legitymacją fryzjera gestapo, handlował złotem i klejnotami, którymi Żydzi próbowali wykupić się od zagłady.

Kontrahentem oferującym dolary wsypywał cyjanek sodu do herbaty. Doskonale poradził sobie w wolnej Polsce. Strzałem w głowę zabijał posiadaczy nielegalnej waluty. Oficjalnie pełnił funkcję członka kolegium karno-administracyjnego. Szczęście przestało mu sprzyjać, kiedy jedna z jego ofiar mimo postrzału przeżyła i zgłosiła się na MO. „Niech krwawe widmo Mazurkiewicza opuści raz na zawsze nasze miasto i jego piękne okolice, miejsca wyczynku i radości ludzi pracy”

- apelował prokurator. Zbrodniarz został skazany na ośmiokrotną karę śmierci. Rada Państwa odrzuciła prośbę o ułaskawienie.

Hołdownik noża

W 1966 roku krakowskie gazety ogłosiły schwytanie kolejnego dewianta, który terroryzował miasto. Kobiety przestały wkładać pod ubranie metalowe płyty lub poduszki, które mogłyby uchronić je przed ciosami nożem. A nieuchwytny morderca miał na sumieniu zarówno dzieci, jak i staruszki, na które napadał w kościelnych krachtach. Karol Kot w momencie zatrzymania przez milicję świętował zdaną maturę. Właśnie zaczynał przygotowania do egzaminów do szkoły oficerskiej. „Interesowało mnie to, co służy na wojnie niszczeniu człowieka i jego dobrobytu,

66

Kraj pod paragrafem

a więc trucizny, noże, broń palna oraz sposoby ich najskuteczniejszego używania” - mówił dziennikarzom w trakcie procesu. Należał do sekcji strzeleckiej w klubie Cracovia, w domu studiował atlasy medyczne, aby nauczyć się, jak najszybciej zadawać śmierć. Lubił też chadzać do rzeźni i oglądać zabijanie zwierząt. Sąd uznał go za psychopatę i w 1967 roku zamiast śmierci zasądził mu dożywocie. Tego wyroku nie udało się utrzymać. Po roku Sąd Najwyższy skazał go na śmierć.

„Pętlarz” w syrence

W sierpniu patrol służby ruchu w Oświęcimiu zatrzymał do kontroli kierowcę syrenki. Jego twarz wydała się milicjantowi podejrzenie podobna do portretu pamięciowego „pętlarza”.

Rzeczywiście - był to Krzysztof Plewa, dusiciel kobiet, grasujący wówczas na Śląsku. Podczas rewizji znaleziono u niego w skarpecie pętlę, z którą wybrał się na kolejne ponure łowy. Zdemaskowany do końca śledztwa próbował udawać chorego psychicznie. Kiedy w trakcie procesu sąd zastanawiał się, czy skazać go na więzienie czy na śmierć, oskar-

Pawet

żony zmarł w sposób naturalny w areszcie.

Drugie życie młotkowego

20 napadów zakończonych kalectwem ofiar i 11 zabójstw miał na swoim koncie „Skorpion”, Paweł Tuchlin, który od połowy lat 70. do 1983 roku działał w Gdańsku oraz okolicy.

Napadał na kobiety, uderzeniem młotka pozbawiał je przytomności, a następnie rabował cenniejsze rzeczy. Nierzadko posilał się wiktuałami, które miały przy sobie. Powoli jednak kompletowano opis sprawcy. O jego winie przesądziło zgubienie młotka, będącego narzędziem pracy Tu-chlina w przedsiębiorstwie naprawy wagonów. Materiały procesowe obejmowały 32 tomy pękających akt. Sąd nie miał wątpliwości. „Skorpion” zawisł na szubienicy.

Zbrodnia na teściu

Morderstwo na Janie Gerhardzie, autorze głośnej powieści Łuny w Bieszczadach, wstrząsnęło Polską na początku lat 70. Radio Wolna Europa uznało je za zbrodnię polityczną. Zabójców szukano wśród nacjonalistów ukraińskich, w których wymierzone były książki Gerharda. Prawda okazała się prozaiczna - był to zwykły mord rabunkowy. Jego sprawca, student architektury Zygmunt Garbacki, zawrócił w głowie córce pisarza, Małgorzacie. Nie wspominał jej jednak o swoim drugim życiu - włamywacza i rzeźmieszka. Zdecydował się na zabójstwo „teścia”, aby „odziedziczyć” jego majątek. Morderstwa dokonał po bardzo starannym przygotowaniu, ale zgubiła go zbytnia chciwość. Z mieszkania ofiary zabrał bowiem czeki podróżne, które milicja znalazła potem u drobnego złodziejzka. To naprowadziło ją na właściwy trop.

Plon operacji „Anna”

Wyjątkowo ponurą legendą seryjnych morderstw w Polsce był „wampir z Zagłębia”, który zabijał śląskie kobiety w latach 1964-1972. W tej roli organy ścigania chciały widzieć Zdzisława Marchwickiego. Schwymano go wysiłkiem wielu setek ludzi, zatrudnionych w specjalnej operacji „Anna”. Kiedy Marchwicki został otoczony na przystanku autobusowym w Dąbrowie Górniczej, powiedział tylko: „Nareszcie”. Mimo to nie jest do końca pewne, czy zatrzymano właściwą osobę i czy prawdziwy „wampir” nie popełnił w tym czasie samobójstwa. W każdym razie milicji śpieszyło się, bo jedną z ofiar była krewna Edwarda Gierka.

Tuchlin „Skorpion” podczas wizji lokalnej

. "Hh.

/X STRATEGIA „SKORPIONA”

„Skorpion” wyznał, że zabijał, aby „poczuć się lepiej”. Próbował walczyć ze swymi skłonnościami poprzez zażywanie środków nasennych, które miały zatrzymać go w domu. Nie poskutkowało. Później odwołał zeznania, twierdząc, że wymusiła je na nim milicja. Sąd nie uwierzył.

67

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

3fW

&fte

s-tr<y

fcawfc*

Władze nie przyjmowały do wiadomości zjawiska narkomanii jak długo się dało. A kiedy nie można już było go lekceważyć, okazały się całkiem bezradne.

Instruktaż z zakresu konopi

t\ o lat 60. narkomania praktycznie w Polsce ^J nie istniała. Szpitale rocznie rejestrowały do 500 pacjentów uzależnionych od leków. Również milicja sporadycznie napotykała osoby w stanie odurzenia lekowego. Prasa nie interesowała się tym tematem niemal wcale. Kwestia narkotyków wypłynęła wraz z rozwojem ruchu hipisowskiego pod koniec dekady. Gazety zaczęły pisać o środowiskach obcych ludziom pracy, w których odurzano się „domowymi środkami”, takimi jak opary płynu do czyszczenia Tri, kleje szewskie i stolarskie. Tę ocenę powielala też milicja. „To ruch, który w naszych socjalistycznych warunkach spełnia określoną negatywną rolę polityczną - głosił biuletyn „Służba MO”. - Głównymi postaciami ruchu hipisów są ludzie nieprzychylnie nastawieni do obecnej rzeczywistości. Niektórzy z nich podburzali młodzież podczas wydarzeń marcowych

Uwaga na kupców makul Kie puśćmy śmierci na nasze pola! - „pielony Sztandar” C1982)

w 1968 roku”. Autorzy tych artykułów postulowali, by uczyć milicjantów identyfikacji haszyszu i marihuany, ponieważ ci nie mieli dotąd z nimi do czynienia.

Narkotyki ludu pracującego

W latach 70. zmieniała się klientela narkotykowych dilerów. Milicja szacowała, że przeszło 40 procent uzależnionych pochodzi z rodzin robotniczych, a blisko 10 procent - ze wsi. Narkotyki okazały się nie tylko inteligentną fanaberią. Aż 90 procent narkomanów stanowiły osoby przed trzydziestką. „Zwiększenie liczby narkomanów to także niebagatelny problem ekonomiczny - pisała wówczas prasa. - Społeczeństwo zostanie obciążone skutkami zjawiska. Bowiern narkomani to głównie ludzie w wieku najbardziej produkcyjnym. Na skutek uzależnień wielu z nich już przestaje albo niedługo przestanie pracować. Staną się nieuleczalnymi inwalidami. Odczujemy to po naszych kieszeniach. Czy pracujący będą mogli utrzymać tylu niepracujących? Wystarczające spustoszenie czyni już alkoholizm i pijaństwo”.

-PIERWSZY ODWYK

„Monar jest wymyślonym przeze mnie stowem, którym postanowiłem nazwać eksperymentalny Dom Życia dla Narkomanów w Gtoskowie. Nie myślałem wtedy, że ten dom i życie w nim, będące swoistym wyzwaniem rzuconym dotychczasowym poglądom na problem narkomanii w Polsce, dadzą początek społecznej organizacji, którą utworzyłem z ludźmi, równie jak ja, ogarniętymi chęcią pomocy narkotyzującej się młodzieży” - pisał Marek Kotański.

68

Kraj pod

PARAGRAFEM

NARKOMANIA POWSZECHNA

„Po tylu latach mówienia i pisania o narkomanii nareszcie ten drażliwy problem doczekał się poważnych decyzji. Być może nie ma w Polsce pół miliona narkomanów, ale to nie jest już choroba wielkomiejskiej, elitarnej młodzieży. Narkomania trafita pod strzechy” - mówił Marek Kotański w wywiadzie.

Polowanie na słomę

„Przestają bawić się żołnierzami czy lalkami, i zaczynają ćpać. Zatrzymują się w swym rozwoju na poziomie czternastolatka. Zostają kalekami, bez zainteresowań, uczuć, bez radości. Jest to niewalidztwo najwyższego stopnia” - tak narkomanów przedstawiała prasa w połowie lat 80. Lekarz pogotowia ratunkowego w Puławach dodawał: „Przemierzają miasto w poszukiwaniu następnej ławki makiwary lub kompotu. Wychudli, wynędzniali. Latem zbierają wokół amfiteatru lub w porzniętym lesie”.

Wówczas narkomania stała się już dyżurnym tematem prasy. Także dlatego, by odwrócić uwagę od irazliwych tematów politycznych i katastrofy goipodarczej. Media raz po raz informowały o procesach, jakie wytaczano rodzimym producentom narkotyków. „Przed sądem wojewódzkim w Krakowie rwa proces 11-osobowej grupy oskarżonej o produkcję, rozpowszechnianie i zażywanie środków durzących w postaci morfiny i jej pochodnych - czytaliśmy. - Produkowano te środki, przerabiając wory suchych makowin oraz mleczko makowe v Instytucie Biologii Roślin i Biofizyki Uniwersytetu Wrocławskiego”.

Walka o słomę makową trwała całe lata 80. W domowych przetwórnicy powstawała z niej ma-tiwara - polska heroína. „Jak co roku na wieś, am gdzie rolnicy uprawiają mak, wyruszyli poszukiwacze »skarbow« - pisał „Zielony Sztandar” w 1982 roku. - Ludzie, którzy odkupują słomę makową, by nieść nieszczęście i śmierć innym. Często rolnicy, nieświadomi tego, po co przybyszom tyle słomy makowej - sprzedają. Zdarza się jednak, chociaż rzadko, że wiedzą. Lecz ulegają, przekonani ceną. Zwracamy się w tym miejscu z apelem do rolników: ostrzeżcie innych przed sprzedawaniem makowin przypadkowym przybyszom. Nawet, jeśli tłumaczą, że są naukowcami i słoma potrzebna jest im do celów naukowych”.

Wywiad z Markiem Kotańskim

„- Czy to prawda, że w Pana ośrodku w Zacherlanach zatwardziały ćpuny golą sobie włoski do łysej skóry, tak na dzień dobry, i potem pracują przez 10 godzin na dobę?”

- Prawda. W Zaczarlanach wojewoda białostocki dał nam zdewastowaną szkołę i nie było wyjścia, pacjenci musieli wziąć się do roboty. Najpierw zbili sobie z desek łóżeczka, potem oszklili okna, teraz zrywają podłogi i budują studnię. Jeśli chcą się leczyć, to muszą wybudować Ośrodek. Ja im dałem wychowawców, trochę pieniędzy i Filona, byłego ćpuna. Filon o narkomanii wie wszystko.

- Często zakłady odwykowe czy szpitale są akademiami wiedzy ćpalniczej. Jeśli ktoś miał problemy z produkcją „kompotu”, polskiego narkotyku makowego, tu dokszałci się znakomicie.

- W Sokolnikach pod Łodzią pacjenci uznali, że w Monarze jest jak wszędzie i przyćpali. Dostyć ostro. Więc wyrzuciliśmy kilku klientów. To żelazna zasada naszego systemu leczenia - wzięłeś, musisz odejść. Chociaż często mam świadomość, że wyrzucony pacjent idzie na pewną śmierć i za rok, dwa dowiaduję się, że przedawkował. Ale muszę chronić tych, którzy chcą się leczyć” - „Kobieta i Życie” (1982).

69

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Para

Pod

^ai-ед,

Regulamin rządził naszym życiem na każdym kroku. Sami bowiem bardzo chętnie tworzyliśmy różne przepisy i rozporządzenia.

Czyszczenie obuwia kocem

VI977 roku „Polityka” odnotowała: „Działająca w wyniku skarg sąsiadów komisja pojednawcza na krakowskim osiedlu mieszkaniowym zakazała lokatorom korzystania z łazienki po 22, gdyż szum wody zakłóca nocną ciszę. Pracującej na wieczornej zmianie pani domu komisja zaleciła mycie się w zakładzie pracy. Ponieważ upomnieni lokatorzy nie zrezygnowali z wieczornego mycia się i wydalania, sprawę skierowano do kolegium ds. wykroczeń”. Do dyktatu regulaminów należało się przyzwyczajać nie tylko w domu własnym, ale i w domu wczasowym. Edward Pietkiewicz, ekspert w zakresie bon tonu, zalecał w książce Dobre obyczaje- „W każdym domu wczasowym znajduje się regulamin, który staramy się poznać zaraz po przybyciu i do którego stosować się będziemy konsekwentnie. Jeśli nawet niektóre obyczaje nie odpowiadają

Na plaży w Sopocie (1986)

nam, jak np. chodzenie w nocnych pantoflach, to jednak trzeba się do nich stosować. Nie manifestujemy też naszego odmiennego stanowiska w tej sprawie wśród wczasowiczów, by nie wytwarzać w ten sposób złej atmosfery. Regulamin określa też czas posiłków. Zjawiamy się na śniadanie, obiady i kolacje o oznaczonej godzinie, gdyż każde spóźnienie dezorganizuje pracę kuchni i obsługi kelnerskiej”. Autor zestawił też listę zachowań nagannych: „Czyszczenie obuwia kocem lub ręcznikiem, strząsanie popiołu na dywan, wypalanie papierosem dziur w bieliźnie pościelowej, pozostawianie bez opieki dzieci, które niszczą urządzenia świetlic i holu - oto najczęściej spotykane przypadki, świadczące o braku poszanowania mienia społecznego. A przecież dom wczasowy to nasza wspólna własność i wszyscy, którzy przyjadą po nas, zechcą również spędzić urlop w estetycznych i wygodnych warunkach”.

Odległość między szaletami

Niekiedy regulaminy zupełnie nie przystawały do rzeczywistości. „Zielony Sztandar” w 1985 roku przypominał: „Zgodnie z wytycznymi głównego inspektora sanitarnego odległość między szaletami w miastach mierzona czasem dojścia nie może przekraczać

EyX ^ ratown|k bez pRAWA

Regulaminy często powodowały zupełnie nieoczekiwane komplikacje. „Polityka” cytowała w 1975 r. fragment pisma skierowanego przez kierownictwo podkieleckiego kąpieliska do

zatrudnianego tam ratownika: „Obywatel przyjęty został za ratownika na tutejszym zalewie bez prawa wchodzenia do wody”.

70

Kraj pod paragrafem

[REGULAMIN DOKUCZANIA „Życie we wspólnym domu nie daje się uregulować wyłącznie przepisami. Regulamin nakazuje zachowanie ciszy między godziną 22.00 a 6.00. Można jednak dokuczyć sąsiadom w innym czasie, grając na przykład zbyt głośno na instrumentach muzycznych czy też chodząc w tzw. chodakach po mieszkaniu” - pisał Edward Pietkiewicz w książce *Dobre obyczaje*.

IIIЕРАIIIA

8-1116-:

f_.

Zabawa przed blokiem

10 minut”. Działo się to w kraju, gdzie potrzeby fizjologiczne regulowano - z konieczności - w bramach. Nadmierna regulacja przynosiła czasami nieoczekiwane efekty. „Zielony Sztandar” relacjonował: „W roku 1984 skierowano do sądów 623 sprawy przeciwko myśliwym. Wśród nich były całe grupy przestępcze działające na terenie kilku województw. Sądy skazały za przestępstwa myśliwskie 503 osoby. Obliczono, że co dziesiąty kłusownik to członek Polskiego Związku Myśliwskiego”. Zdarzały się przypadki szczególnej nadgorliwości. „W służbie narodu” pisało w 1967 roku: „Kontrolerzy jednego z inspektoratów ruchu postanowili karać kierowców, którzy na swych pojazdach mają tabliczki z literami PL, co - jak wiadomo - ma odróżniać samochody z Polski na drogach innego kraju. Postanowili i dość długo realizowali to postanowienie. Jak oświadczyli potem inspektorowi z województwa, kodeks takich tabliczek nie przewiduje”.

Regulamin ponad wszystko „Regulamin jest ważniejszy jak człowiek. A jak się człowiek nie stosuje, to już, można powiedzieć, przepada. Wpada w takie, po prostu... w takie bagno. I, proszę pana, wtedy niknie ten człowiek. I dzieci się muszą zastosować też do tego regulaminu. I dorośli ludzie, którzy żyją, proszę pana, na świecie. Który dla nich jest ten piękny świat”-z wyznań bohatera filmu Krzysztofa Kieślowskiego *Z punktu widzenia nocnego portiera*.

Automatycznie podejrzany

„W tym kraju za dużo jest bałaganu - myślał Mirecki.

A wszystko przez to, że jest za mało przepisów, które mówią, co wolno, a czego nie wolno. Jakby tak na przykład było powiedziane w kodeksie karnym, że za pedalstwo jest dziesięć lat więzienia, to by się to zaraz dato ukrócić. Każdego takiego można by zamknąć i byłby spokój. Bo wiadomo, że tam, gdzie są zboczenia, musi być przestępstwo. Mirecki był więc zwolennikiem radykalnych rozwiązań i gdyby to od niego zależało, każdy obywatel musiałby mieć żonę i dzieci. A gdyby nie miał, byłby automatycznie podejrzany. A od podejrzenia do udowodnienia winy tylko jeden krok. Potrzebne byty tylko odpowiednie paragrafy, które mogłyby wszystko regulować” - Ryszard Ćwirlej, Trzynasty dzień tygodnia.

Nie macać, nie dotykać

W 1974 roku prasa cytowała samorodny regulamin handlowy. „We wrocławskim sklepie z warzywami przy ul. Solnej wywieszono na widocznym miejscu szczegółowe «Przepisy dla kupującego»: Kupującym zabrania się śmiecić, pluć na podłogę i palić w miejscach sprzedaży oraz wprowadzać psy. Opakowanie przynoszone przez kupującego winno być czyste. Zabrania się wkładać (wlewać) towar w brudne opakowanie. Kupujący nie mogą dotykać produktów spożywczych. Zabrania się kupującym wchodzić za ladę.

Zabrania się kupującym kłaść na ladzie własne torebki, rękawiczki, laski itp. Podpisano: Zarząd Wrocławskiej Spółdzielni Warzywniczej”.

71

PRL -

JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO !

Łp>peza spod

gruzów

2 kwietnia 1954 roku 34-letni Leopold Tyrmand - błyskotliwy dziennikarz, pisarz, znawca jazzu, a także bikiniarz chadzający w kolorowych skarpetkach, otrzymuje kuszącą propozycję. Ma napisać ambitną powieść kryminalną, która rozgrywałaby się we współczesnej Warszawie. Ofertę składa potentat na rynku książki - wydawnictwo „Czytelnik”. Bo szefowie wydawnictwa wiedzą coś, czego nawet Tyrmand o sobie nie wie: że doskonale nadaje się na twórcę bestsellerów.

Zły z komiksu

Bohaterami Złego autor uczynił nie sekretarzy, działaczy młodzieżowych czy przodowników pracy, lecz ludzi już od 10 lat pomijanych przez propagandę. Na kartach powieści pojawiają się drobni oszuści, dziennikarze z kurierów, bufetowe, panie lekkiego prowadzenia. Chcą tylko dobrze zarobić i zabawić się na całego. Sama Warszawa też nie przypomina stolicy z socrealistycznych piosenek. Ani miasta-bohatera z powstania warszawskiego. To jedno wielkie gruzowisko, po którym grasują bandy chuliganów. Płaczą się pijaki i prostytutki. A moresu uczy ich ów tytułowy Zły, pogromca świata przestępczego, jakby żywcem wyjęty z amerykańskich komiksów. Nad tym morzem ruin wznosi się absurdałna budowla: Pałac Kultury i Nauki, który nie pasuje tu do niczego.

Amerykańska intryga, polskie realia

Taka Warszawa została podpatrzona i podsłuchana niezwykle sprawnym okiem i uchem. Wierna w każdym szczególe. Złego napisano polszczyzną tak żywą i barwną, jakiej nie można było przeczytać ani w ówczesnej gazecie, ani w książce. Do tego intryga - pełna mrocznych zagadek, gwałtownych zwrotów akcji, naszpikowana wątkami romansowymi. Jak przystało

. NA FIZYCZNEJ I DUCHOWEJ EMIGRACJI W USA autor Złego dużo publikował w „New Yorkerze”, czołowym piśmie intelektualistów amerykańskich. Jednak gdy w latach 60. na Zachodzie przysła moda na zniechęcony przez niego komunizm, Tyrmand odszedł z redakcji. Napisał Cywilizacją komunizmu, dzieło, w którym ostrzegał Amerykę przed „czerwoną zarazą”. Coraz bardziej osamotniony, zmarł w 1985 r.

na klasyczną powieść sensacyjną. Tyrmand zaczytywał się w amerykańskich trzeciorzędnych kryminałach z lat 30. i wiele motywów przeniósł z nich do własnej książki. Zły był więc amerykańską opowieścią sensacyjną osadzoną w realiach socjalistycznej Polski.

72

Herosi popkultury

^ SKŁÓCONY Z ŻYCIEM

Z/y był jedynym wielkim sukcesem literackim Leopolda Tyrman-da. Kiedy pisarz znalazł się na emigracji, szybko popadł w konflikt z najrozmaitszymi środowiskami. „The New Yorker” nie chciał publikować jego namiętnych pamfletów na komunizm. Paryska „Kultura” z kolei Tyrmandowi wydawała się za mało antykomunistyczna.

Apostoł jazzu

Taka powieść w 1955 roku była skazana na sukces. 100 tysięcy egzemplarzy drukowanych rok w rok błyskawicznie zniknęło z księgarń. Czytanie Złego stało się warszawską modą. Tygodnik „Przekrój” wyszedł nawet, że książka cieszyła się ogromnym powodzeniem w więzieniu na warszawskim Mokotowie. W prasie o powieści Tyrmanda wypowiadali się wszyscy: od fryzjera po prezesa Związku Literatów Polskich. Sam autor z dnia na dzień stał

się gwiazdorem literatury. Kiedy zjawiał się na spotkaniach z publicznością, nawet największe sale pękały w szwach. Na fali popularności w 1956 roku Tyrmand organizuje razem z Franciszkiem Walickim i Sopotem Festiwal Jazzowy. Rok później wydaje nawet pierwszą w Polsce książkę o swojej ulubionej muzyce - U brzegów jazzu. To dzięki niemu jazz wreszcie wychodzi z katakumb. Ale wielbiciele już nie jazzu od Tyrmanda się spodziewają. Bo teraz jazzem fascynują się setki tysięcy młodych ludzi. Publiczność czeka na kolejnego Złego. Tyrmand czuje tę presję. Pisze kolejną powieść pod tytułem Filip. Jest mniej udana, ale go-mułkowska cenzura nie życzy już sobie śmiałych kryminałów. I zatrzymuje draka Filipa aż do 1961 roku. Tyrmand traci resztkę złudzeń: nie napisze już drugiego Złego. Zaczyna starania o paszport. Dostaje go po dziewięciu latach i w 1966 roku wyjeżdża na Zachód. Najpierw do Francji, a potem do Stanów Zjednoczonych.

Wojna z socrealizmem

W modzie przeciwstawiał się obowiązującej brzydocie i szarości. Ubierał się jak bikiniarz. Nosił wąskie spodnie, których za krótkie o 10 centymetrów nogawki odsłaniały skarpetki w kolorowe paski. Drukował w pismach marginalnych z punktu widzenia władzy: w „Expressie Wieczornym”, „Słowie Powszechnym”, wreszcie w „Przekroju”. To on wymyślił hasła „Otyli żyją krócej”. Po kolejnym niewygodnym dla cenzury artykule musiał opuścić nawet „Przekrój”. Żył z drobnych zleceń, tłumaczeń i redakcji tekstów. Żeby nie tracić kontaktu z poważniejszą twórczością, prowadził dziennik. Ale przyszedł dzień 2 kwietnia 1954 roku. Tyrmand rzucił wszystko i zaczął pisać Złego.

Polska w 1954 roku, kiedy Tyrmand zaczyna pisać Złego: 1 stycznia ukazuje się pierwszy numer „Dokoła świata”. Pismo jest lekkie i pogodne, choć tworzone przez „ludzi z ZMP”. Cały nakład natychmiast znika z kiosków.

17 marca rozpoczyna się II Zjazd PZPR. Rozdzielono funkcje pierwszego sekretarza i premiera. Przewodnictwo partii objął Bolesław Bierut, a na czele rządu stanął Józef Cyrankiewicz.

28 września podpułkownik Józef Światło zaczyna ogłaszać na antenie Radia Wolna Europa rewelacje na temat pracy bezpieki w PRL-u.

25 listopada odbywa się narada aktywu partii w Warszawie. Głównym punktem obrad jest sprawa przywrócenia wolności i stanowisk partyjnych Władysławowi Gomułce.

73

Śmierć mówi v m© im

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

Autorem kryminałów został z potrzeby wolnego czasu i pieniędzy. Potrzebował jednego i drugiego, aby oddać się tłumaczeniu angielskich klasyków - od Szekspira po Joyce'a. Ale w literaturze i tak pozostał autorem opowieści z dreszczykiem.

Joe Alex na wyspie

Swoje kryminały Maciej Słomczyński podpisywał nazwiskiem Joe Alex, co było trochę pokrętne. Bo Joe Alex to jednocześnie autor i bohater tych powieści. Ulubioną zagadką Aleksa stanowił tzw. problem wyspy. W miejscu odciętym od świata zostaje popełnione morderstwo. Wiadomo, że musiał go dokonać ktoś z obecnych. Rozwiązywanie zagadki kryminalnej polega więc na tym, że pisarz mnoży fałszywe tropy, wskazując coraz to nowych podejrzanych. Mordercą okazuje się jednak ktoś, kto nie był wcale brany pod uwagę. Sam Alex jest nieco staromodnym, eleganckim detektywem, który w ramach hobby pomaga w śledztwie przyjacielowi ze Scotland Yardu. A po godzinach spędza czas z piękną panią archeolog, Karoliną Beacon. Cykl o przygodach Joe Aleksa obejmuje osiem powieści, którym autor nadał tytuły zapożyczone od klasyków literatury, np. Śmierć mówi w moim imieniu czy Gdzie przykazań brak dziesięciu.

Scenariusz spod igły

Kiedy jednak akcja toczyła się w Polsce, Słomczyński podpisywał powieści bardziej swojsko: Kazimierz Kwaśniewski. Były to niemal gotowe scenariusze filmowe, więc nic dziwnego, że trzy z czterech jego powieści dziejących się w polskich realiach przeniesiono na ekran. Z dużym sukcesem. 'W Zbrodniarzu i pannie (1963) zagrali nawet Zbigniew Cybulski i Ewa . REKIN Z MIASTA PEKIN Maciej Słomczyński znany był jako wzięty autor limeryków. W większości mato przyzwoitych, takich jak ten:

Płetwonurkowi z miasta Pekin / Urodę życia odgryzł rekin/I choć czyta! Mao/Lecz nie odrastao/Więc pracował jako/damski manekin.

Krzyżewska - para, która wystąpiła w Popiele i diamencie. Bohaterka była urzędniczką pocztową, świadkiem napadu na konwój z pieniędzmi. Umieszczono ją w luksusowym nadmorskim domu wypoczynkowym, aby rozpoznała rabusia. Największym jednak ciosem okazało się dla niej nie spotkanie z mordercą, ale konieczność powrotu ze wspaniałych wczasów do okienka na prowincjonalnej poczcie. Zbrodniarz i panna uchodzi do dziś za najlepszy polski film kryminalny. Następne też miały szczęście do obsady. W Ostatnim kursie (1963) główną rolę gdyńskiego taksówkarza, który wpada na trop bandy

74

Herosi popkultury

morderców, zagrał Stanisław Mikulski. Z kolei w postać kapitana milicji ścigającego zabójcę w starym zamku w filmie Gdzie jest trzeci król? ;1966) wcielił się czołowy ówczesny amant ro-izimego kina - Andrzej Łapicki. Słomczyński był jednym z najlepiej zarabiają-:ych polskich pisarzy, zwłaszcza odkąd jego powieści zaczęły ukazywać się za granicą w wysokich nakładach. Kiedy wyjeżdżał z Krakowa na odpoczynek do Zakopanego, brał taksówkę. K dwa miesiące w roku spędzał w eleganckiej willi nad Balatonem. Poza tym zatrudniał sekretarkę - wówczas rzadkość u literatów.

Ojciec „Kobry”

Słomczyński miał także swój udział w niebywałym sukcesie Teatru Sensacji i Fantastyki „Kobra”, jego sztuki bowiem przyciągały przed ekran najwięcej :elewidzów. Warto pamiętać, że Kobra była jedną i najwcześniejszych inicjatyw świeżo powstają-:ej telewizji. Pierwsze przedstawienie zatytułowane Zatrute litery według Agathy Christie wyreżyserował Adam Hanuszkiewicz 6 lutego 1956 roku. Czwartek przydzielono Kobre w 1958 roku i zwyczaj nadawania kryminału tego dnia utrzymał się aż do końca realnego socjalizmu w Polsce. W 1961 roku wyemitowano 150. wydanie Teatru Sensacji i Fantastyki, obliczono wtedy, że w dotychczasowych spektaklach namordowano 286 osób. Jako Kobrę w 1965 roku pokazano kilkuodcinkową historię szpiegowską Stawka większa niż życie. Publiczność Teatru Sensacji i Fantastyki dochodziła nawet do 95 procent widowni telewizyjnej.

Maszyna do pisania

Jan Brzechwa w jednej z humoresek pokpiwał, że Joe Alex jest najszybszym polskim pisarzem. „Putrament pisze powieść z szybkością 1000 znaków pisarskich na godzinę, Brandys rozpoczyna start jak wyrzucony z katapulty, ale po kwadransie sztywnieje i odpada. Joe Alex wysuwa się do przodu jak antylopa, po trzech godzinach prowadzenia jest lepszy od Putramenta o 800 znaków. Pod koniec dnia na mecie pierwszy staje Joe Alex, który uzyskał największą możliwą ilość punktów w tej konkurencji. Przeciętna: trzy minuty szesnaście sEkund w stosunku do jednej strony maszynopisu. Jest to rekord Polski. Drugie miejsce zdobywa Putrament, trzecie Wańkowicz. Rekordzista otrzymuje nagrodę ministra kultury i sztuki oraz bezpłatny dyplom uznania Związku Literatów”.

„Wesoły rogacz”

Część szekspiologów miała do Słomczyńskiego pretensje, że dramaty Mistrza tłumaczy zbyt frywolnie. Pisano, że przekłada Szekspira na polski tak, jakby angielski znał tylko z prasy bulwarowej. Na przykład znany czterowersz z Hamleta: „Niech ryczy z bólu ranny łoś / Zwierz dziki mknie przez knieje / Ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś / to są zwyczajne dzieje”

Słomczyński przerobił po swojemu: „Cóż, ranny rogacz chce się skryć/Nietknięty mknie wesoło..”.

V PLEJADA SENSACJI

W przedstawieniach „Kobry” występowała aktorska czołówka kraju. W postaci prywatnych detektywów wcielali się m.in.: Wiesław Michnikowski, Mariusz Dmochowski, Emil Karewicz, ale także Irena Kwiatkowska. Role drugoplanowe wykonywały gwiazdy tej miary, co Zofia Rysiówna, Aleksandra Ślaska czy Wieńczysław Gliński.

75

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Kolaborant uczy młodzież

Autora cyklu powieściowego o przygodach Tomka Wilmowskiego nigdy nie eksponowano, ponieważ miał w życiorysie wstydlivy epizod

- współpracę podczas okupacji z hitlerowską prasą polskojęzyczną (tzw. gadzinową). Za tę działalność spotkała go w 1942 roku kara infamii ze strony władz Polskiego Państwa Podziemnego. Nie pomogło mu nawet to, że zgłosił się jako zwykły żołnierz do oddziałów AK w powstaniu warszawskim. Po wojnie za kolaborację z okupantem został skazany na cztery lata więzienia. Wyrok odsiedział w Strzelcach Opolskich. Kiedy Szklarski otrząsnął się po przejściach wojennych, wpadł na pomysł stworzenia serii literackiej dla młodzieży. Miała dawać czytelnikom namiastkę tego, co w PRL-u było dla nich całkiem niedostępne - wrażeń z egzotycznych podróży. Autor poszedł tropem W pustyni i w puszczy Henryka Sienkiewicza i pisarza, na którym Sienkiewicz się wzorował

- Juliusza Verne'a. Sam nie podróżował po świecie, ale na temat opisywanych krajów zebrał sporą wiedzę książkową. Długimi godzinami przesiadywał w bibliotekach, studiował atlasy, encyklopedie i pisma poświęcone geografii.

Syberia w 10 krokach

Powieści Szklarskiego to rodzaj popularnych przewodników. Autor dba, by każda roślina, zwierzę, fakt historyczny czy miejscowość zostały

Na „Tomkach” wychowały się dwa pokolenia Polaków, którzy nie mieli ani paszportu, ani pieniędzy, by podróżować po świecie.

wyczerpująco opisane. Czasami nawet przekracza granice prawdopodobieństwa, aby podać jakąś interesującą informację. Na przykład w Tajemniczej wyprawie Tomka bohater ucieka z Syberii z kilkoma polskimi zesańcami oraz transportem tygrysów tuż przed tym, jak całą okolicą wstrząsnęła eksplozja meteorytu tunguskiego. A ten rzeczywiście spadł w tamtym rejonie w roku 1908. Jak czytamy w przypisie zamieszczonym przez skrupulatnego autora - podmuch wybuchu odczuto w promieniu 800 kilometrów. Poza tym Tomek ciągle i chętnie się uczy, wypytując dorosłych o szczegóły fauny, flory i wydarzenia historyczne. Dzięki temu młody czytelnik wchłania wiedzę niejako przypadkiem.

W pustyni i w zaspach

Aby odkupić swoje okupacyjne winy, Szklarski nasycił cykl powieściowy treściami patriotycznymi. Już w pierwszej części, Tomek w krainie kangurów, tytułowy bohater został zaprezentowany jako patriota. Tomek Wilmowski w Polsce pod zaborami daje dowody chłopięcej miłości do ojczyzny. Nic dziwnego, skoro jego ojciec był zasłużonym konspiratorem, który musiał uciekać z ziem polskich. Za walkę z caratem groziła mu bowiem wywózka na Sybir. Po latach ojciec wzywa chłopca, by towarzyszył mu w zdobywaniu egzotycznych zwierząt dla ogrodów zoologicznych. Dzięki temu Tomek zwiedza cały świat. Sambo bardzo kocha dużego i małego buanę, i dobrego psa - mały Murzynek w Przygodach Tomka na Czarnym Łądzie

76

Herosi popkultury

RYCERZ W KRAINIE KANGURÓW Główną dewizą Alfreda Szklarskiego było: pisać o takich przygodach, jakie nastoletni chłopiec sam chciałby przeżyć. Jednocześnie pisarz starał się zaspokoić naturalną u młodzieży ciekawość świata. Propagował też cechy charakteru, które imponowały młodym czytelnikom: odwagę na krawędzi zuchwalstwa, wiarę w siebie, rycerskość wobec słabszych.

Ale przede wszystkim poznaje Sally, młodszą od siebie dziewczynkę, nad którą roztacza opiekę, jak Staś nad Nel. Kiedy oboje dorastają, pobierają się, a Tomek zostaje nawet członkiem brytyjskiego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Nigdy jednak nie zapomina o swych polskich korzeniach.

Patriotyzm kójarzą Wilnowscy z przekonaniem, iż każda nacja ma prawo do własnej kultury, tradycji czy własnych zasobów naturalnych. W Brazylii zwalczają zatem „gorączkę kauczukową”, w Afryce - handel ludźmi. Na Syberii Tomek z pięściami rzuca się na przedstawiciela carskiej policji (ochrony), który jest uosobieniem despotyzmu. Polacy głoszą więc bardzo nowoczesną misję pojednania narodów. To przesłanie było rewolucyjne nie tylko sto lat temu, kiedy toczy się akcja powieści, ale i 50 lat temu, kiedy Szklarski zaczynał pisać cykl. Zwłaszcza u autora skazanego za to, że kolaborował z reżimem, który głosił wyższość jednej nacji nad wszystkimi innymi.

Cykl powieści o Tomku Alfreda Szklarskiego (1912-1992)

Tomek w krainie kangurów (1957) Przygody Tomka na Czarnym Łądzie (1958) Tomek na wojennej ścieżce (1959) Tomek na tropach Yeti (1961) Tajemnicza wyprawa Tomka (1963) Tomek wśród łowców głów (1965) Tomek u źródeł Amazonki (1967) Tomek w Gran Chaco (1987) Tomek w grobowcach Jaraonów (1993, wydanie pośmiertne)

Zakute Masajki

Tomek Wilnowski był otwarty na inne kultury, ale niekiedy nie umiał się wyzbyć poczucia „obcości estetycznej”. Tak było w przypadku „kobiet Masajów”, które spotkał w Afryce. „Wydały się Tomkowi chodzącymi składami drutu i żelastwa. Większość z nich bowiem miała łydki zakute w metalowe rury; również i ręce od ramienia do dłoni, z przerwą na łokieć, schowane były w bransolety lub rury zrobione z miedzianej bądź żelaznej blachy” - czytamy w Przygodach Tomka na Czarnym Łądzie.

Wrażenia z atlasu

W trakcie lektury raz po raz daje się zauważyć, że autor po prostu opisuje oglądane w książkach ilustracje: „Jak okiem sięgnąć, pięły się ku niebu wierzchołki stuletnich cedrów, złotawo--zielonych modrzewi daurskich, jodeł o białej korze, a wśród nich odcinały się jaśniejszą zielenią lipy amurskie, wiązy, graby, dęby i klony” [Tajemnicza wyprawa Tomka]. Pytanie tylko, gdzie stoi obserwator, skoro widzi tak wyraźnie wszystkie te drzewa naraz, i to z tyłu stron?

Pocztówka z Sybiru

Polskich akcentów najwięcej jest w Tajemniczej wyprawie Tomka, gdzie chłopiec łowi zwierzynę na Syberii. Czytelnik dowiaduje się o udziale Polaków w opanowaniu przyrody tego regionu. Poznaje postacie wybitnych zesłańców i historie ich najstraszniejszych ucieczek. Zostaje też poinformowany o wybuchu „polskiego powstania” na tych terenach w 1866 roku. O tym milczy nawet wiele podręczników historii.

>

77

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Poetessa

Lirycka z kortu tenisowego

Imponowało mi, że ją lubią w towarzystwie, że jest inna, że na każdy temat ma anegdotę, że może wyjechać na trzy dni, zostawić dom. I jej kariera. I że nie żyje z pieniędzy, które wydziela mąż” - mówiła o niej córka, Agata Passent. Jej zdanie podzielały miliony Polaków,

którzy pędzili żywot w okowach realnego socjalizmu, ale podziwiali panią Agnieszkę, umiejącą się od niego uniezależnić. Z ZMP wyrzucono ją, ponieważ nie zachowała powagi w trakcie manifestacji po śmierci Stalina. Zarzucano jej także „burżuazyjny styl życia”. Zawdzięczała go ojcu, pianiście w zespołach rozrywkowych. To on zmuszał córkę do nauki języków, pływania i gry w tenisa. Planował zrobić z niej nawet pilota szybowca. Tymczasem Osiecka studiowała dziennikarstwo, ale ciągnęło ją do liryki. Mocno zaangażowała się w Studencki Teatr Satyryków (STS). Tam jednak najwyżej ceniono lirykę obywatelską i wiersze poetki, pełne wzruszeń, nie mogły liczyć na specjalną przychylność.

Na własnych drogach

Sukcesy zaczęła za to odnosić od razu jako autorka tekstów piosenek. Jej Piosenka o okularnikach, хтхсг о studenckiej miłości, została nagrodzona w 1963 roku na pierwszym festiwalu w Opolu. Niebawem utwory Osieckiej miała w repertuarze piosenkarska czołówka Polski. Skaldowie śpiewali Króliczka, Andrzej Dąbrowski Zielono mi, a Urszula Sipińska - Komu weselne dzieci. W 1972 roku na opolskiej scenie Maryla Rodowicz wykonała największy szlagier, jaki wyszedł spod pióra Osieckiej - Małgoškę. Szybko okazało się, że to znacznie więcej niż piosenka. „Dla mnie to była błahostka o dziewczynie Pozostawała niezależna od PRL-owskiej polityki i szarego dnia powszedniego. Kibicowało jej w tym pół Polski.

porzuconej przez kochasia - wspominała piosenkarka. - Po latach zrozumiałam, że musiało być w niej coś więcej. Słowa Agnieszki połączone z moim stylem śpiewania, ubierania się stworzyły nową postać: dziewczyny wolnej, silnej, odważnej życiowo, kolorowej”. Taką właśnie Małgošką była Rodowicz, a z nią Osiecka. Maryla śpiewała dalej jej teksty: „Nie mam głowy do dyplomu, do poziomu, zbiórki złomu, nie, mnie nie zrozumie pan”. Poetka nazwała piosenkarkę „Madonną RWPG” i traktowała ją jak ulubienicę, ale współpracowała też z wieloma innymi artystami. Nie przywiązywała się niewolniczo do tych samych kompozytorów i wykonawców. „Nie umiała być wierna - charakteryzowała ją Magda Umer. - Miała charakter kota. Ale każdy, kto miał te swoje pięć minut, był szczęśliwy, że się załapał”. Debiutantka ze szkoły milicyjnej

Sama Osiecka lubiła rozmawiać o swej poezji i o życiu ze „zwykłymi” ludźmi. „Kiedyś byłam, tu niedaleko, pod Warszawą. Czułam, że te dzieci są jak głązy. Zaczęłam je wypytywać to o to, to o tamto. Ciekawiło mnie, czy jest wśród nich ktoś, kto próbuje trochę pisać («próbuję pisać» - jak mówi Pilch). Pytałam, czy piszą listy, pamiętniki, małe opowiadania... Za każdym razem wstawiała ta sama gruba dziewczynka o smutnych popielatych oczach flegmatycz-ki: »Ja piszę... ja piszę... i to też piszę«. Wreszcie pytam: »A powiedz mi, czy myślałaś już o kierunku studiów?«. Nawet się nie zająknęła: »Ja idę do szkoły milicyjnej w Słupsku« - wypaliła. To była jeszcze milicja... Zamurowało mnie, ale brnęłam poważnie dalej: »Wiesz - powiadam - możesz mieć w życiu straszne problemy moralne. W milicji będziesz musiała postępować jednoznacznie, nieraz

78

Agnieszka Osiecka

brutalnie, a jako pisarka powinnaś przecież rozważać różne racje, czasem sprzeczne ze sobą...«. A ona: »Ale ja, proszę pani, będę pracować w milicji rano, a pisać będę wieczorem«”.

Jutro będzie futro

Tonacja jej wierszy nabrała tragizmu w dobie stanu wojennego. „Pijmy wino za kolegów” napisała w wierszu poświęconym internowanym. Gorycz brzmiała też w jej pieśni Niech żyje bal, w której znalazło się przeczcucie nieuchronnego końca. Pod koniec życia związała się z sopockim Teatrem Atelier. Wtedy jut odcz\wa\ a postępy daotoby nowotworowej. Pisała wówczas: „Jutro, jutro będzie futro, a pojutrze czarny dół”. Wielokrotnie rozważała emigrację do Stanów Zjednoczonych, zawsze jednak wracała z wojaży do domu na warszawskiej

Saskiej Kępie i do baru Sax, gdzie notowała wiersze na papierowych serwetkach. Tłumaczyła to tak: „Mam w sercu taką prywatną Polskę, która mi nie pozwala na to. W jakim języku mogłabym powiedzieć: Kto czeka na ciebie, łzą się bławacząc?”.

Iskierka miłości

....Przyjaciele moi i moje przyjaciółki! Nie odkładajcie na później ani piosenek, ani egzaminów, ani dentysty, a przede wszystkim nie odkładajcie na później miłości. Nie mówcie jej «przyjdź jutro, przyjdź pojutrze, dziś nie mam dla ciebie czasu». Bo może się zdarzyć, że otworzysz drzwi, a tam stoi zziębnięta staruszka i mówi: «Przepraszam, musiałam pomylić adres...». I pstryk, iskierka zgaśnie”.

Agnieszka Osiecka, Rozmowy w tańcu

[URODZONA W BIAŁE POŁUDNIE

'Cyganka wywróżyła poetce niełatwą przyszłość: „Dwa życia tobie sądzone, paniusiu, jakby dwa pokoje - w jednym pokoju jasno jest, a w drugim ciemno... Ty się w sobotę urodziłaś, w białe południe. Kwiaty tobie dali i cukier do kolebki. Ale łyż są na miejscu twojego przeznaczenia. - wspominała Osiecka w autobiografii Zabiłam ptaka wlocie.

Niech żyje bal

Życie, kochanie, trwa tyle co taniec Jandango, bolero, bebop, manna, hosanna, różaniec i szaniec, i jazda, i basta, i stop.

Bal to najdłuższy, na jaki nas proszą, nie grają na bis, chociaż Żal, zanim więc serca upadłość ogłoszą, na bal, marsz na bal.

Szalejcie aorty, ja idę na korty. Roboto, ty w rękach się pal Miasta nieczułe mijajcie jak porty Bo życie, bo życie to bal.

Bufet jak bufet jest zaopatrzoney. Zależy, czy tu, czy gdzieś tam. Tańcz, póki żyjesz i śmiejesz się do żony.

I pij... zdrowie dam!

Niech żyje bal!

Bo to życie to bal jest nad bale!

Niech żyje bal!

Drugi raz nie zaproszą nas wcale!

Orkiestra gra!

jeszcze tańczą i drzwi są otwarte!

Dzień warty dnia!

A to życie zachodu jest warte!

Chłoporobotnik jak boa grzechotnik z niebytu wynurza się fal. Wiedzie swą mamę i tatę, i żonkę, i rusza, wyrusza na bal.

Sucha kostucha - ta Miss Wykidajło wyłączy nam prąd w środku dnia. Pchajmy więc taczki obłądu, jak Byron, bo raz mamy bal!

Niech żyje bal...

79

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

„Nie chciałam być aż tak popularna. Chciałam zwyczajnie pisać książki, chciałam, żeby ludzie je czytali, chciałam być znana w hotelach, gdzie nie ma miejsc i wśród »drogówki«. Na tym się kończyły moje ambicje” - deklarowała w wywiadzie. Na próżno. Już po debiutanckiej powieści Klin było wiadomo, że Joanna Chmielewska zostanie gwiazdą literatury.

Piervs*or*ęd>^raędna

^ MOJE NAZWISKO, MOJA POWIEŚĆ

Joanna Chmielewska naprawdę nazywa się Irena Kuhn. Pseudonim przybrała ze względu na męża. Kiedy rozpoczęła starania o publikację Klina, byta bowiem w trakcie rozwodu.

Postanowiła wtedy, że nie będzie używała nazwiska małżonka do firmowania prozy, którą ten

uważał za literaturę gorszego gatunku. Joanna to imię autorki z bierzmowania, a Chmielewska nazywała się jej prababka.

Książka sprostowań

Pomysł podsunęła jej PRL-owska codzienność. Dostawała uporczywe a tajemnicze telefony. To przyjaciele żartowali. Wmawiali jej, że na Dolnym Mokotowie zepsuła się centralka telefoniczna i łączy przypadkowe numery. Rozmówcy wygadywali niestworzone rzeczy. Brała te dowcipy na serio i pisała całkiem poważne sprostowania. Kiedy czytała je znajomym, słuchali jej wywodów jak zajmującej powieści. To ją zainspirowało. Pomyślała, że można by ułożyć z tego książkę. Tego samego zdania był Marian Eile, redaktor naczelny „Przekroju”, który nawet ofiarował przyszłej autorce maszynę do pisania. Poradził jej również złożyć maszynopis pierwszej powieści w wydawnictwie „Czytelnik”. Nawet sam ją rekomendował. Poprosił jednak Chmielewską, by nie ubierała się zbyt elegancko. Wówczas redaktor „Czytelnika” mógłby bowiem pomyśleć, że naczelny „Przekroju” lansuje pisarkę, a nie jej twórczość. W ten sposób rozpoczęła się kariera najpopularniejszej polskiej autorki „kryminałów ironicznych”. Tak nazywają jej powieści krytycy literatury popularnej.

Reporterka romansów

A mają co czytać. Chmielewska pisała jednakowo obficie w PRL-u, jak i w wolnej Polsce. Nie zaszkodziła jej ani zmiana systemu, ani zmieniające się gusta publiczności. „W gruncie rzeczy jestem re-portażystką” - mawia o sobie. Wyznaje zasadę, że życie przynosi więcej karkołomnych historii niż najbardziej nawet wydumana fikcja. Do tego stopnia, że i ona sama, i jej bliscy pogubili się w szczegółach życiorysu pisarki. Teraz już nikt nie wie, co jest prawdą, a co zmyśleniem. Zresztą postacie jej książek to niemal wyłącznie rodzina, znajomi i przyjaciele. Poddani lekkiemu retuszowi. Za to pozostaje bezbłędna w szczegółach. Nie myli kształtu wieszaków w przedpokoju ani koloru tapicerki samochodowej.

80

Herosi popkultury

Piszę książki,
aby ludzi rozweselić
nie po to,
by je pamiętali
przez całe życie —

Joanna Chmielewska

Chmielewska - sobie

W kryminałach Joanny Chmielewskiej najczęściej występuje bohaterka - Joanna Chmielewska. Ma zawód architekta, jak autorka, też wyszła za mąż w wieku 18 lat, przeżyła kolejne małżeństwa i rozstania. Tak samo kieruje się emocjami, jest impulsywna, lubi hazard. Dlatego proza ta uchodzi za idealną literaturę dla pań. Może dlatego, że w książkach Chmielewskiej trochę lekkomyślna kobieta po trzydziestce potrafi wystrychnąć na dudka międzynarodową szajkę przestępców? Czyż to nie jest marzenie niejednej pani domu? [ej powieści z zasady rozgrywają się w PRL-u, ale mogą także opisywać przygody bohaterki w kasynach, w posiadłości bossa mafii lub w zamku nad Loarą. A wszyscy tam mówią soczystą polszczyznę. Na temat jej języka studenci pisali prace magisterskie.

Literatura ratunkowa

„Kryminały ironiczne” Chmielewskiej sprzedają się doskonale nie tylko na krajowym rynku. Olbrzymią popularność autorka zdobyła również w Rosji, gdzie jest przyjmowana mniej więcej tak, jak William Wharton w Polsce. Wydano tam wszystkie jej książki, a ich łączna sprzedaż już dawno przekroczyła 10 milionów egzemplarzy. Chmielewska ma na koncie 50 powieści - i wciąż pisze kolejne. Na szczęście dla wszystkich byłych demoludów. W środowisku mawia się, że jej książki uratowały od bankructwa dwa wydawnictwa i jedną drukarnię. Mało?

FAŁSZERZE NA TELEFON[^] Klin, debiutancki kryminat Chmielewskiej, zasadza się na pomysłe komedii pomyłek. Jan Batory zaadaptował powieść na scenariusz filmu Lekarstwo na miłość (1965). Jego bohaterka, Joanna, wyczekuje na telefon od niestałego narzeczonego, a tymczasem wydzwanają do niej członkowie szajki fałszerzy pieniędzy. W roli głównej wystąpiła Kalina Jędrusik.

Zakazani mili przestępcy

„Cenzura wprowadzała ograniczenia nieprawdopodobnie idiotyczne” - wspominała Chmielewska. Przy okazji pisania Krokodyla w kraju Karoliny dowiedziała się, że „w tym kraju nie istnieje podsłuch telefoniczny i istnieć nie może”. Innym razem zakazano jej używania sformułowania „parszywe pieniądze”, ponieważ kojarzyło się z antysemityzmem. „Mnie by to nigdy do głowy nie przyszło” - komentowała autorka. Najczęściej jednak cenzura miała zastrzeżenia, że w jej pisarstwie przestępcy są ludźmi sympatycznymi i nie zawsze ponoszą karę.

Chętni na bohaterów

Czasem zgłaszali się do autorki zupełnie obcy ludzie z prośbą, żeby opisała ich w kolejnej powieści. „Jeden profesor ekonomii, bodajże z Torunia, zadzwonił i zaproponował swą kandydaturę. On z przyjemnością może być mordercą, może też być nawet uśmiercony, bez różnicy” - mówiła pisarka w jednym z wywiadów prasowych. Byle się dostać na karty jej książek. Ale zdarzały się i sytuacje odwrotne. Kilkakrotnie osoby, które rozpoznawały się w powieściach Chmielewskiej, groziły jej procesami za obrazę dobrego imienia.

Kalina Jędrusik w Lekarstwie na miłość

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

To najbardziej znana na świecie polska książka.

W Polsce uczy już trzecie pokolenie radosnego seksu
Nie byłoby jej, gdyby Michalina Wisłocka nie doznała
ośnienia: współzycie może dawać nieporównywalną
z niczym przyjemność, pod warunkiem że się wie,
jak tę przyjemność wyzwolić.

/JfcV

? *

Źy

Ośniona seksem

W życiu Wisłockiej początkowo nic takiego ośnienia nie zapowiadało. Za mąż wyszła jako 17-latką w 1938 roku. Nie był to jednak związek dyktowany wielką namiętnością. W łóżku małżonkom układało się zaledwie poprawnie. Mąż Michaliny nawiązał więc romans z jej przyjaciółką, ta bowiem wyjątkowo odpowiadała mu seksualnie. Doszło do tego, że w tym samym czasie żona i kochanka urodziły mu dzieci. Aby uniknąć skandalu, Wisłocka zdecydowała się zapisać je w Urzędzie Stanu Cywilnego jako własną parę bliźniaków. Takiego układu nie dało się utrzymać zbyt długo. Doszło do rozwodu i Wisłocka związała się z pewnym bosmanem. Dopiero dzięki niemu odkryła, jak ogromną przyjemność można czerpać z seksu. „Objaśnij kobietom, jak tego dokonać” - namawiał ją partner, z którym przeżywała najwspanialsze chwile rozkoszy.

Entuzjazm antykoncepcyjny

Wisłocka objaśniać „te” sprawy umiała jak mało kto. Na początku lat 50. jako młoda lekarka ginekolog założyła przy placu Trzech Krzyży w Warszawie Towarzystwo im. Boya-Żeleńskiego. Należało do niego grono ginekologów entuzjastów, którzy uważali, że ich misją jest propagowanie wśród kobiet środków antykoncepcyjnych. Do poradni cichcem zaczęły zgłaszać się dziewczęta, które wylądowały już z chłopakiem w łóżku, ale

panicznie bały się ciąży. Wisłocka wysłuchiwała od nich setek dramatycznych historii. Każda miała w tle lęk i nieznaną nawet podstawowych zagadnień dotyczących seksu i macierzyństwa. Wisłocka wybrała się w swego rodzaju antykoncepcyjne tournée. Z inicjatywy redakcji „Przyjaciółki” wyjeżdżała do wsi i miasteczek, gdzie zapoznawała miejscowe kobiety z najprostszymi sposobami zapobiegania ciąży. Chciała jednak pomóc większej liczbie kobiet. Dlatego od początku lat 70. co tydzień publikowała porady w młodzieżowym tygodniku „Razem”. W 1974 roku zebrała te felietony w książkę Sztuka kochania i złożyła ją w wydawnictwie Iskry.

„Kochanie” to piękne polskie słowo, które w moim odczuciu określa ciepły, serdeczny, pełen przyjaźni i harmonii seksualnej kontakt dwojga bliskich sobie ludzi — ze wstępu do Sztuki kochania

Lektura maszynistek

Zacząła się jedna z najdłuższych epopei wydawniczych w PRL-u. Cenzura uważała, że nie do przyjęcia są rysunki przedstawiające poszczególne pozycje seksualne. Były zbyt wyzywające. Należało je zmniejszyć do wielkości znaczka pocztowego.

82

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

To najbardziej znana na świecie polska książka.

W Polsce uczy już trzecie pokolenie radosnego seksu
Nie byłoby jej, gdyby Michalina Wisłocka nie doznała
ośnienia: współżycie może dawać nieporównywalną
z niczym przyjemność, pod warunkiem że się wie,
jak tę przyjemność wyzwolić.

*«IY'

Ośniona seksem

W życiu Wisłockiej początkowo nic takiego ośnienia nie zapowiadało. Za mąż wyszła jako 17-latką w 1938 roku. Nie był to jednak związek dyktowany wielką namiętnością. W łóżku małżonkom układało się zaledwie poprawnie. Mąż Michaliny nawiązał więc romans z jej przyjaciółką, ta bowiem wyjątkowo odpowiadała mu seksualnie. Doszło do tego, że w tym samym czasie żona i kochanka urodziły mu dzieci. Aby uniknąć skandalu, Wisłocka zdecydowała się zapisać je w Urzędzie Stanu Cywilnego jako własną parę bliźniaków. Takiego układu nie dało się utrzymać zbyt długo. Doszło do rozwodu i Wisłocka związała się z pewnym bosmanem. Dopiero dzięki niemu odkryła, jak ogromną przyjemność można czerpać z seksu. „Objaśnij kobietom, jak tego dokonać” - namawiał ją partner, z którym przeżywała najwspanialsze chwile rozkoszy.

Entuzjizm antykoncepcyjny

Wisłocka objaśniać „te” sprawy umiała jak mało kto. Na początku lat 50. jako młoda lekarka ginekolog założyła przy placu Trzech Krzyży w Warszawie Towarzystwo im. Boya-Żeleńskiego. Należało do niego grono ginekologów entuzjastów, którzy uważali, że ich misją jest propagowanie wśród kobiet środków antykoncepcyjnych. Do poradni cichcem zaczęły zgłaszać się dziewczęta, które wylądowały już z chłopakiem w łóżku, ale panicznie bały się ciąży. Wisłocka wysłuchiwała od nich setek dramatycznych historii. Każda miała w tle lęk i nieznaną nawet podstawowych zagadnień dotyczących seksu i macierzyństwa. Wisłocka wybrała się w swego rodzaju antykoncepcyjne tournée. Z inicjatywy redakcji „Przyjaciółki” wyjeżdżała do wsi i miasteczek, gdzie zapoznawała miejscowe kobiety z najprostszymi sposobami zapobiegania ciąży. Chciała jednak pomóc większej liczbie kobiet. Dlatego od początku lat 70. co tydzień publikowała porady w młodzieżowym tygodniku „Razem”. W 1974 roku zebrała te felietony w książkę Sztuka kochania i złożyła ją w wydawnictwie Iskry.

„Dockanie” to piękne polskie słowo, które w moim odczuciu określa ciepły, serdeczny, pełen przyjaźni i harmonii seksualnej kontakt dwojga bliskich sobie ludzi - ze wstępu do Sztuki kochania

Lektura maszynistek

Zaczęła się jedna z najdłuższych epopei wydawniczych w PRL-u. Cenzura uważała, że nie do przyjęcia są rysunki przedstawiające poszczególne pozycje seksualne. Były zbyt wyzywające. Należało je zmniejszyć do wielkości znaczka pocztowego.

82

Msłocka zaproponowała, aby sylwetkę męską za-nalować na czarno - dla lepszej czytelności ob-azu. Cenzura znowu się krzywiła. Dlaczego niby miała kobieta w socjalistycznej Polsce ma uprawiać seks z Murzynem?

N dodatku Iskry na wszelki wypadek oddały Sztu-ię kochania do recenzji 11 wybitnym specjalistom. Diagnoza była miażdżąca. Aż dziewięciu recen-lentów odradzało wydanie książki. Zarzut: te-nat jest poważny, a jego ujęcie lekkie i niefraso-)liwe. Kiedy już jednak Sztuka kochania została jodpisana do druku, wydawnictwo wstrzymało)race. Przestraszyło się własnej odwagi. Wysłało zapieczętowany tekst do KC PZPR i czekano ta sygnał od władz partyjnych. Tymczasem ma-izynopis krążył wśród maszynistek i żon dygnita-zy. W końcu w 1976 roku Komitet Centralny dał csiążce zielone światło.

Sukces erotyki

:ały nakład rozprzedano błyskawicznie. Oczywi-icie spod lady. Na Bazarze Różyckiego w Warsza-vie pojawiły się książki nielegalnie dodrukowane v państwowych zakładach. Od 1976 roku Sztuka 'ochania rozeszła się w co najmniej 7 milionach :gzemplarzy Ten wynik czyni ją jednym z najbar-Iziej popularnych tytułów ubiegłego wieku. Uitorka za honorarium wybrała się w podróż 5atorym po Morzu Śródziemnym, kupiła dział-ę pod Warszawą, kawałek lasu i futro z lisich igonków. Jak na tamte czasy był to spory suk-es materialny.

! dnia na dzień Wisłocka stała się głośną w kra-u i całej Europie Wschodniej specjalistką od iożycia intymnego. Jak Polska długa i szeroka zapraszano ją na spotkania z czytelnikami, ipotkania - to mało powiedziane. To były zbio-owe wybuchy entuzjazmu dla autorki, jej od-ragi. Także dla samego seksu, który tak pięknie opisywała.

ANTY-ANTYKONCEPCJA^ „Świadome macierzyństwo się nie podobało, a teraz co?

Podoba się? Nie podobało się Kościołowi, władzy, tym wszystkim, którym i dzisiaj się nie podoba. (...) Niech rodzą sami, skoro tacy mądrzy i świadomi. Bo na te dzieci nie ma miejsca i pieniędzy” - mówiła Wisłocka pod koniec życia w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”.

Michalina Wisłocka

Seks socjalistyczny

Sztuka kochania była pierwszym popularnonaukowym podręcznikiem seksuologicznym, który ukazał się w krajach socjalistycznych. Związek Radziecki wykupił prawa do druku 50 tysięcy egzemplarzy. Plotka głosiła jednak, że dziełko Wisłockiej ukazało się po rosyjsku w nakładzie sto razy większym. Oczywiście wydawnictwo oraz autorka nie mieli z tego ani grosza. A książka robiła furorę w całych demoludach. Od Bułgarii po Chiny.

Order za poradnictwo

7 października 1997 roku prezydent Aleksander Kwaśniewski wręczył autorce Sztuki kochania Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi w działalności na rzecz Towarzystwa Rozwoju Rodziny. Razem z Wisłocka odznaczenia otrzymali tego dnia inni znakomici ginekolodzy i seksuolodzy, m.in. Kazimierz Imieliński oraz Zbigniew Lew-Starowicz.

Tobie, Michalino

Miłość

Nie polega

Na podrażnianiu

Odpowiednich części ciała
W odpowiedniej
Kolejności
Ale bez
Podrażniania
Odpowiednich części ciała
W odpowiedniej
Kolejności
Nawet największa miłość
Kończy się przed
Szczytowaniem.
Michał Zabłocki

83

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Porucznik Kwaśniak
na tropie

Cios w telewizję

a marginesie intrygi kryminalnej powieść milicyjna przekazywała setki szczegółów obyczajowych z ówczesnego życia. Kazimierz Koź-niewski w powieści Dwie „Kobry” (1978) przywołał realia oglądania czwartkowego teatru sensacji: „Magda, wal w to pudło! - prosiła matka. Obrazy filowały i uciekały z ekranu, jak na taśmie filmowej, nagle puszczonej z niedorzecznym pośpiechem. Nogi pana redaktora już umykały z górnej krawędzi ekranu, a z dolnej wyskakiwała głowa i migotała dłoń z ogromnym grzybem, przysłanym przez zakochaną w serdecznym prezenterze. Magda miała swoją metodę: otwartą dłońią z góry i mocno trzaskała w brązowe pudło. Wiedziała, że uderzenie musi być nagłe - winno absolutnie zaskoczyć te niewielkie figurki siedzące wewnątrz szerokiej skrzynki”.

Konspiracyjna garmażerka

Wielokrotnie na kartach tych powieści pojawiał się półświatek. Niekiedy w aurze elegancji i dostatku, niedostępnych w prawdziwym życiu. Helena Sekuła w powieści Pierścień z krwawnikiem (1973) opisała zimny bufet w nielegalnym, zakonspirowanym kasynie gry: „Młoda dziewczyna zręcznie formuje maleńkie kanapki: na kęsach bułki, rogalików i razowego chleba rozgniata jednym pociągnięciem stalowej łopatki masło, nakłada plasterki wędlin, skrawki sardynek, koreczki lub odrobinę lśniącego czarnego kawioru. Z wprawą garmażera komponuje przybrania z płatków cytryny, jajka, różnych jarzyn, garniruje sztukaterią z kremowego

Kiedyś czytaliśmy tę literaturę ciekawi, kto zabił. Teraz sięgamy po PRL-owskie powieści kryminalne ciekawi realiów dnia powszedniego minionej epoki.

majonezu. Na kilku półmiskach z rosenthalowskiej porcelany rosną sterty mikroskopijnych arcydzieł, których zjedzenie zabierze znacznie mniej czasu niż przygotowanie. Przygotowane przekąski, zapasy różnych trunków i stos nakryć zanoszą na górę po wypolerowanych jak lustro schodach z czarnego dębu. Ubiera się w czarny kostium z delikatnego aksamitu. W wycięciu gorsu pieni się biały żabot, pokryty bogatym ręcznym haftem, na przeguby dłoni opadają pyszne mankiety z takiej samej koronki”.

Melancholijne kelnerki

Autorzy powieści milicyjnej wypowiadali się o polskich realiach również krytycznie. Z tym że negatywną opinię wkładali w usta obcokrajowców. W powieści Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego Bardzo dobytlichowiec (1976) taką krytykę przeprowadza płatny morderca z Zachodu: „Zamieszkał w hotelu »Forum«. Ten dziwny budynek koloru przyrumienionego herbatnika nie zrobił na nim większego wrażenia. Podziemnym przejściem, wypełnionym silnym zapachem amoniaku, wydobywającym się z szaletu, przedostał się na drugą stronę

ulicy". Hotel Europejski i w ogóle stolicę przestępca oceniał nie lepiej: „Zadymiona, pełna ludzi sala. Ktoś w głębi przygrywał melancholijnie na dawno nie strojonym fortepianie. Kelnerki poruszały się wolno, majestatycznie. Kolacja mu nie smakowała, tak samo jak wczoraj. Obiadem również nie był zachwycony. Warszawskie restauracje bardzo go rozczarowały. Ktoś mu kiedyś opowiadał, że w Polsce jada się dobrze i obficie.

4

Herosi popkultury

Nic podobnego. Porcje były małe, a jedzenie jałowe, bez smaku, beznadziejnie jednostajne. Miał ochotę pójść do kina, ale wszędzie przed kasami były takie kolejki, że zrezygnował. Chciał kupić kilka pomarańcz - także kolejka. Albo wszystkiego jest tutaj za mało, albo to kraj bardzo bogatych ludzi - pomyślał".

Orgia porucznika Kociuby

Powieści milicyjne były często obiektem drwin recenzentów. Janusz Głowacki zajął się kryminałem jednego z najbardziej poczytnych autorów gatunku. „Najambitniejsze zadanie stworzenia plebej-skiego bohatera współczesnego podjął Zeydler--Zborowski {Nawet umarli kłamią}. Wychodząc naprzeciw społecznemu zamówieniu, określił sugestywny portret porucznika Kociuby. Jego droga ze wsi do miasta, trudne warunki aklimatyzacji, typowe dla procesów migracyjnych («Kociubie brakowało ludzi bliskich, życzliwych, przyjaciół, krewnych, dobrych znajomych»), nałożone zostały iodatkowo na fascynujące konstatacje obyczajowe. Rzecz dzieje się w kręgu młodzieży bananowej i z radością witam w Zeydlerze-Zborowskim so-usznika w tropieniu marginesu. Porucznik Kociuba zaproszony zostaje przez majomą dziewczynę na przejażdżkę samochodem. «Zaczął się niepokoić. Eleganckie dziewczęta, forsiasty facet, luksusowy wóz - wszystko to na kilometr pachniało dolarowymi aferami, handlem samochodami i bananową młodzieżą... Kociuba popychany przez obie panie ruszył niezbyt chętnie w stronę willi...». \ oto, co zobaczył w środku: «Pięknie obudowana dziewczyna miała na sobie Aylącznie duży listek figowy, który trzymał się na nylonowych żyłkach. Jej partner przebrany był za węża... Tańczyli świetnie... Potem tańczyła dziewczyna,

która zrezygnowała nawet z listka figowego. Miała obfite kształty i poruszała się niezwykle sugestywnie. Następnie czterej rozczochrani młodzieńcy odśpiewali przy akompaniamencie gitar pieśń murzyńską... a po nich wystąpił żongler«. Oczywiście tego rodzaju opis wymagał autopsji, gdyż nie wydaje mi się, aby podobną sytuację można było wymyślić. Nawet przypominam sobie, że raz, kiedy byłem na orgii i jak zawsze pod koniec występował żongler, dwie eleganckie dziewczyny wpychały do auta jakiegoś wyrrywającego się mężczyznę w okularach, odrobinę podobnego do Zeydlera--Zborowskiego".

Tropiciel dobrze sytuowanych

Najbardziej znanym milicjantem lat 80. był porucznik Sławomir Borewicz z serialu 07 zgłoś się. Serialowy stróż prawa stronił od polityki. Zajmował się morderstwami, napadami i przemytem. Nie tropił jednak przestępczej drobnicy. Jego przeciwnikami byli ludzie uprawiający wolne zawody albo prywatną inicjatywę. To miało nasunąć widzowi wnioski, że od „prywaci-zny" do przestępstwa jest tylko krok. Taki sposób widzenia przestępczego świata serial przejął od rodzimej literatury kryminalnej. Zresztą scenariusze wielu jego odcinków powstały na kanwie zeszytów z serii Ewa wzywa 07 i powieści z serii ze „srebrnym kluczykiem".

Kadr z serialu 07 zgłoś się

85

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Superman w niebieskim iR-irndurz-e

To była najpopularniejsza seria komiksów w PRL-u. Miała zapewnić młodzieży rozrywkę i zyskać jej sympatię dla milicji. Pierwsze się powiodło, drugie - wcale.

Kulisy odpowiedzialnej pracy

Z gazet dowiadujecie się o ujęciu groźnej bandy lub też o uratowaniu życia tonącemu chłopcu, który ślizgał się na pokrytym świeżym lodem stawie... To są zaledwie fragmenty pracy MO. To, o czym czytacie w gazetach, to, o czym dowiadujecie się z radia, jest tylko efektem tej pracy. Postanowiliśmy Was zapoznać z kulisami tej trudnej i odpowiedzialnej pracy" - taką zapowiedź umieścili autorzy komiksu o kapitanie Janie Żbiku na okładce pierwszych zeszytów, które ukazały się w 1967 roku. W ciągu 15 lat wydano ich 53, w łącznym nakładzie 11 milionów egzemplarzy. Ostatni numer wyszedł spod prasy drukarskiej w 1982 roku. Wówczas nakłanianie młodzieży do sympatyzowania z milicją nie miało już najmniejszego sensu. „Dziś, kiedy przechodzę do innej odpowiedzialnej pracy, chciałbym podziękować Wam za sympatię, którą zawsze okazywaliście mi i wszystkim ludziom w niebieskich mundurach" - tak kapitan Żbik żegnał się z czytelnikami.

Siłami nastolatków i MO

Pomysł komiksu o dzielnym milicjancie wyszedł z Komendy Głównej MO. Jego scenariusz układali wysocy oficerowie milicji. Historyjki tworzyli też dziennikarze mający bliski kontakt z organami porządku publicznego. Na kolejne odcinki komiksu ogłaszano wewnętrzne konkursy. Wygrywali je reporterzy sądowi, tacy jak Barbara Seidler, czy autorzy powieści szpiegowskich, m.in. Anna Kłodzińska. Przygody oficera MO rysowali najlepsi twórcy Ani King Kong, ani Janosik Kie podobają się naszej Zosi Jej się podoba kapitan Żbik Niebieski mundur, to jego szyk

Łapie złodziei i włamywaczy Pomaga dzieciom i chorej klaczy Leczy staruszki, karmi gołąbki Komu potrzeba, wybija ząbki

- fragment piosenki Kapitan Żbik zespołu Big Cyc

komiksowi: Grzegorz Rosiński, Bogusław Polch czy Jerzy Wróblewski. Na 32 stronach kapitan Żbik rozwiązywał najrozmaitsze zagadki kryminalne. Ścigał porywaczy {Gdziejest Jasnowłosa?}, zabójców {Strzał przed północą}, złodziei [Złoty Mauritius). Operował głównie w Polsce, rzadko przenosił się do innych krajów socjalistycznych. Zupełnie wyjątkowo rozpracował przestępców w RFN {Zapalniczka z pozytywką). Ponieważ komiks adresowano do nastolatków, kapitanowi często pomagali w pracy nieletni. To oni zawiadamiali go o przestępstwie - jak w przypadku dzieciaków, które w liście do kapitana skarżą się na lokalnych kłusowników. Milicjanta znały z pogadanek, jakie urządzał w szkole. A i sam Żbik łgnał do młodzieży. Zdarzyło się, że pracował incognito jako nauczyciel wychowania fizycznego. Innym razem tropił gitowców, którzy zagrażali nastolatkom.

86

Herosi popkultury

Tancerki zapięte pod szyję

Œ prywatnym życiu kapitana wiadomo było niewie-e. Pochodził z niewielkiej wioski pod Zieloną Górą. rurtkę do kariery otworzyło przed nim ukończenie szkoły milicyjnej w Szczytnie. Uważny czytelnik ko-niksu zauważał jednak u Żbika pewną ewolucję. W latach 60. kapitan nosił się niedbale. Za czasów Perkowskich wyraźnie wyprzystojniał i zaczął ubierać się w eleganckie garnitury. Ciągłe jednak pozostawał zasadniczy, pozbawiony poczucia humoru. W dodatku wychodził niedraśnięty z najbardziej iramacyjnych pojedynków. „W tym momencie ioskoczyłem do pierwszego z napastników i jed-iy m uderzeniem rozłożyłem go. To samo zrobiłem jo chwili z dwoma następnymi, którzy nawinęli mi się pod rękę. Dwóch pozostałych uciekło. Nie goni-em ich. I tak wiedziałem, że dowiem się, kim są" - relacjonował kolejną potyczkę. Mimo że kapitan Żbik powstawał na zlecenie milicyjne, miewał kło-30ty z cenzurą. Kiedy oficerowi w trakcie szarpani-iy z przestępcą spadła czapka, cenzura poleciła, by lie pozbawiać go służbowego nakrycia głowy. Bez liego bowiem był niepełnym funkcjonariuszem MO. slie podobało się też kuse ibranko tancerek na dan-:ingu. Musiały być zapię-:e pod szyję.

Kapitan zwraca się z apelem

Kapitan Żbik zwracał się do nastolatków w formie listów, drukowanych w komiksie. Przestrzegał przed zabawą niewypałami, spożywaniem alkoholu i kolegowaniem się z chuliganami. „Nie można pozostawać biernym wobec dewastacji tego, co jest naszym wspólnym dobrem! - pisał. - Włączcie się do akcji zwalczania wandalizmu. Jeżeli wasi rówieśnicy dopuszczają się takich czynów, reagujcie śmiało, piętnując ich publicznie - w szkole lub tam, gdzie mieszkają". W każdym numerze młodzież mogła poczytać także nieco o historii MO oraz o technice na usługach organów ścigania. Zeszyt zawierał również „komiks w komiksie”, czyli streszczenie autentycznego bohaterskiego czynu uhonorowanego medalem Za Ofiarność i Odwagę.

Komiks edukacyjny

„Jerzy Putrament w jednym z felietonów pisał o potrzebie wytworzenia u nas atmosfery życzliwości dla działań milicji, jeśli ta ma dobrze spełniać swoje zadania, podobnie jak książki angielskie wytworzyły taką atmosferę wokół »bobbies« i Scotland Yardu. Tomiki komiksów przyczyniają się właśnie do powstawania takiej atmosfery. Za kilka lat młodociani czytelnicy staną się dorosłymi obywatelami. Może nie będą odwracać głowy na widok chuligana bijącego przechodnia, może udzielią pomocy milicjantowi szarpiącemu się na ulicy z pijanym awanturnikiem. Jeszcze dzisiaj bowiem dorośli, których nie »zepsuły« komiksy, bo ich nie czytali, zachowują w takich razach dziwną obojętność” - pisało w 1977 roku milicyjne pismo „W służbie narodu”.

Fragment komiksu Zerwana siei z serii o kapitanie Żbiku

ZWERBOWANY[^] PRZEZ RYSOWNIKA } łysownik Grzegorz Rosiński wspo-ninał:

„Kiedyś jechałem z Bruksie-samochodem, przyciskałem gaz, !0 już Warszawa blisko - i gdzieś lod towarzysząca zatrzymała mnie lolicja. Wszystkie papiery miałem lełgijskie, ale nagle policjant mówi: ■ Pan Rosiński? Czy pan przypadłem »Żbika« nie rysował? Gdyby lie pan, to ja bym nigdy do milicji lie poszedł”.

87

PRL - jak cudnie się żyło!

Ormowiec na t rocie skarbów

Jego imieniem nazwano dziesiątki drużyn harcerskich. A liczba nastoletnich wielbicieli archeologa amatora sięgała dziesiątków milionów.

Miejski upiór zaszywa się na Warmii

Kiewiele brakowało, a seria powieści o Panu Samochodziku w ogóle by nie powstała, gdyż Zbigniewowi Tomaszowi Nowickiemu nie pozwalano zostać w Polsce pisarzem. Po roku zaszczytnego stypendium we Wszechzwiązkowym Państwowym Instytucie Kinematografii w Moskwie cofnięto go do Polski z opinią „antystali-nowca”. Nie miał szans stanąć za kamerą, więc zaczął pisać książki dla młodzieży. Wówczas oświadczono mu, że w PRL-u nigdy niczego nie opublikuje, a pracę dostanie najwyżej jako pomocnik murarza. Na szczęście Jerzy Putrament, partyjny decydent, a zarazem prozaik i publicysta, znalazł wyjście: Nowicki może tworzyć pod pseudonimem. Początkujący pisarz zmienił zatem nazwisko na Nienacki i kilka lat pracował jako dziennikarz, a od początku lat 60. jako „etatowy” literat. Pisał równoległe:

dla dorosłych i dla młodzieży. Jednak dopiero kiedy wystartował z cyklem o Panu Samochodziku {Wyspa złoczyńców', 1964), został uznany za gwiazdę literatury młodzieżowej. Wtedy też podjął decyzję życia - zostawił żonę i syna w Łodzi, a sam przeprowadził się do Jerzwałdu, wsi w Olsztyńskim. Nienacki obawiał się, że w mieście będzie tylko „upiołem literackim”, krążącym od wydawcy do wydawcy i dopraszającym się wznowień tych kilku książek, które napisał. W Jerzwałdzie zamieszkał z młodzietką Alicją Janeczek, która była mu pokrewną duszą przez 27 lat.

Ferrari na polskich drogach

Tworząc postać Pana Samochodzika, Nienacki pisał o sobie. W trzech pierwszych częściach pan Tomasz dziedziczy po autorze imię i zajęcie. Jest dziennikarzem, który amatorsko interesuje się archeologią. Z władzą ludową ma jak najlepsze kontakty. Chętnie współpracuje z milicją, w jednej z powieści okazuje się nawet funkcjonariuszem ORMÓ. Również z wyglądu przypomina Nienackiego. Z czasem pan Tomasz zostaje Panem Samochodzikiem. Przewisko wzięło się od dziwacznie

^POTĘPICIEL

Twórca Pana Samochodzika z polityką związał się w sposób kompromitujący w dobie stanu wojennego. W 1982 r. został członkiem PRON-u i szefem oddziału popieranego przez władze Związku Literatów Polskich. Natomiast lokalnych pism wielokrotnie potępia! „Solidarność”.
88

Herosi popkultury

„SKIROWAŁKI” V 1983 r. ukazała się bardzo śmiała obyczajowo, a na owe czasy, powieść Nienackiego Raz do roku w Skirotawkach. Tytułowa miejscowość stanowiła odwzorowanie jego ukochanego Jerzwałdu. Książka była wirkiem, w którym znalazły się rozważania osobiste, historia Warmii oraz wątki psychologiczne, ale czytelnicy tak szukali tylko pikantnych opisów erotycznych. Tadeusz Konwicki nazwał powieść ironicznie: „Skirowałki”.

wyglądającego pojazdu, który pod maską kryje silnik Ferrari 410 Super-America. Jeździ szybciej niż jakikolwiek samochód na polskich drogach, a przeizkody wodne pokonuje jak amfibia, a w ehikuł jest niezbędny bohaterowi, który w kolejnych powieściach pracuje jako detektyw na usługach Ministerstwa Kultury. Ściga złodziei zabytków i fałszerzy dzieł sztuki, jego najgroźniejszym przeciwnikiem jest niejaki Valdemar Batura, historyk sztuki trudniący się irzemytem. Tomasz jest także omnibusem: zna ię zarówno na sztuce, żeglarstwie, jak i na poezji udowej. Swą wiedzą imponuje trzem nastoletnim larcerzom, którzy towarzyszą mu w wyprawach, /liewa przelotne znajomości z kobietami, ale ni;dy nie wiąże się z nimi na stałe.
Mister Jeep

książki Nienackiego o Panu Samochodziku naleały do PRL-owskich bestsellerów. Do 1985 roku irydano 12 części. W latach 80. uporządkowało wznowiło je wydawnictwo „Pojezierze”, publikuje tzw białą serię z ilustracjami Szymona Kobyńskiego. Każdy jej tom osiągał nakład 100 tysięcy egzemplarzy. Popularność Pana Samochodzika nie zmalała nawet na wolnym rynku. Druga zbiorowa edycja („czarna seria”), wzbogacona o kolejne powieści, ukazała się w latach 1993-1996. Śmierć zaskoczyła pisarza w 1994 roku przy pracy nad kolejną częścią - Nieuchwytny kolekcjoner (1997). Dokończył ją za zgodą autora jego przyjaciel, Jerzy Ignaciuk. Mało tego. Wydawnictwo

Zbigniew Nienacki na jachcie

Warmia uzyskała od spadkobierców Nienackiego zgodę na kontynuowanie cyklu. Ukazywały się następne powieści, pisane przez różnych autorów. Wyśłużony samochód archeologa amatora zastąpiono nowoczesnym jeepem, a jemu samemu dodano do kompanii błyskotliwego komandosa. Wielbiciele orzekli jednak, że to już nie to samo.

Pisarz „w służbie narodu”

Nienacki zaczął swój pisarski zyciorys od konfliktu z władzą, ale wcale nie przeszedł do opozycji. W 1962 roku zapisał się do PZPR, choć zawsze podkreślał, że opowiada się za pluralizmem. „Jestem członkiem ORMÓ od 1963 roku - mówił w wywiadzie dla milicyjnego pisma „W służbie narodu”. - Najpierw jako mieszkaniec Łodzi byłem społecznym inspektorem ruchu drogowego, a potem, gdy przeniosłem się na wieś w Olsztyńskie, gdzie mieszkam już 11 lat, przekwalifikowałem się. Tu, na wsi, mamy inne problemy - turystyką, ochrona środowiska naturalnego, kłusownictwo. Te właśnie sprawy najbardziej mnie, jako ormowca, interesują. W bieżącym roku otrzymałem Odznakę Specjalną «Zasłużonemu Działaczowi ORMÓ»”.

Pan Samochodzik i polityka

„Każdą z dwudziestu paru książek mogę wydać w każdej chwili nie zmieniając ani słowa - mówił Nienacki w jednym z wywiadów. - A o czym mam pisać? O mojej martyrologii? Że jako student byłem topiony w Moskwie? Kogo to obchodzi? Teraz każdy jest wielkim męczennikiem. »Pan Samochodzik« ma przygody, chroni zabytki. Nikt go nie pyta o poglądy polityczne*.

89

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Ep-op-eja лa

gąsietticack

Byli bohaterami nastolatków we wszystkich demoludach. Dzisiaj dla milionów dorosłych są jednym z najmiłszych wspomnień dzieciństwa.

Historia podyktowana

Czterej pancerni i pies (1966) mieli swój początek w konkursie na powieść dla młodzieży o tradycjach Ludowego Wojska Polskiego. Janusz Przymanowski pracował wówczas nad monografią bitwy pod Studziankami w 1944 roku, w której brała udział I Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte. „Do »Studzianek« wybierałem tylko krótki okres ośmiu dni. Dysponując hałdą niewytopionej rudy, postanowiłem napisać przygodową powieść o załodze czołgu" - wspominał pisarz. Do konkursu zgłosił się jednak późno. Autor dyktował tekst w pośpiechu. Miało to odbicie w werdykcie jury. Powieść Przymanowskiego dostała ostatnie, piąte, wyróżnienie. Przewidziano ją do druku dopiero za dwa lata. Wyszła w mikroskopijnym, jak na owe czasy, nakładzie 10 tysięcy egzemplarzy. Utonęłyby zapewne w niepamięci, gdyby nie przedrukował jej w odcinkach wrocławski „Głos Robotniczy".

Kompletowanie obsady czołgu

Dzięki tej publikacji powieścią zainteresował się Stanisław Wohl, kierownik artystyczny Zespołu Filmowego „Syrena". zaproponował Przymanowskiemu napisanie scenariusza do serialu telewizyjnego o czterech pancernych. Planowano 15 półgodzinnych nowel. Na początku każdej, zamiast słynnej czołówki z jadącym czołgiem, miało być streszczenie poprzednich odcinków. Tę koncepcję jednak odrzucono ze względów ekonomicznych. Po prostu łatwiej było nakręcić osiem godzinnych części.

Z obsadą nie było większego kłopotu. Janusz Gajos dał się poznać jako wesoły i sprytny służący w popularnym wówczas filmie Panienska z okienka. Na bojowego czołgistę Janka Kosa nadawał się znakomicie. Reżyser, Konrad Nałęczki, wahał się, czy rolę dowódcy czołgu Olgierda Jarosza powierzyć Romanowi Wilhelmowi. Ten bowiem zagrał właśnie chłopca w zapomnianym dziś filmie Wiano i mógł wypaść niewiarygodnie. Franciszek Pieczka był dość znany, ale reżyser obawiał się, czy sprosta on postaci Ślązaka Gustlika Jelenia. Nie wiedział, że aktor pochodził właśnie

^ WSZECHSTRONNY PANCERNY

Janusz Przymanowski okazał się „autorem jednej książki". Tymczasem bardzo starał się przejść do historii w szerszym zakresie. Pisał liczne powieści (także dla dzieci), reportaże historyczne, nowelki i wspomnienia frontowe. Poza tym był potodnym publicystą. Stworzył też teksty przeszło 200 piosenek oraz libretta do dwóch musicali.

90

Herosi popkultury

Kadr z serialu

ze Śląska. Na planie Pieczka często modyfikował swój tekst, by brzmiał jeszcze bardziej gwarowo. Z kolei Włodzimierz Press przygotowywał się do odtworzenia głównej roli w Faraonie. Okazało się jednak, że dostanie ją Jerzy Zelnik. Press zgłosił się zatem na casting do serialu, gdzie kazano mu odegrać scenę sprzeczki z Gajosem. Wypadł przekonująco i został zaakceptowany jako Grigorij Saakaszwili.

Problemy pojawiły się za to z dobraniem odpowiedniego psa. W roli Szarika wystąpiły dwa owczarki niemieckie pochodzące z Zakładu Tresury Psów Policyjnych w Sułkowicach. Był też trzeci psi aktor - Szarika oglądamy przecież jeszcze, gdy jest szczeniakiem. Zwierzęta odznaczały się wyjątkową inteligencją. „Przyjeżdżałem na plan filmowy i ledwo spuściłem psa ze smyczy, a ten już siedział aa czołgu i czekał na polecenia reżysera” - wspominał treser Franciszek Szydełko.

Cenzura patrzy przez palce

Vlimo że serial sławił siłę oręża polskiego, w wie-u miejscach nie podobał się komisji kolauda-zyjnej, czyli w praktyce cenzurze. Krytykowało, że w polskiej brygadzie jest za wielu Rosjan. Zhociaż czołgiem dowodził nie Rosjanin, a poto-nek polskich zesłańców. Musiano zmienić dia-og w scenie dotarcia czołgistów do Bugu. W pierwotnej wersji padało: „Chłopaki, zaraz Polska”, ale przecież żołnierze nie mogli wiedzieć, że właśnie na Bugu będzie przebiegała granica. Wie-e autentycznych akcentów frontowych umknęło ednak uwadze cenzorów. Zostawiono np. scenę, n której radziecki żołnierz częstuje spirytusem [anka, nazywając trunek „gwardyjskim winem”. W odpowiedzi na to Olgierd z ojcowską surowością każe Kosowi natychmiast wracać do załogi. Stało się jasne - Rosjanie przed bitwą upijają się na umór, ale polskiemu żołnierzowi trzeba :ego oszczędzić.

^ RUDY W PRZEKROJU

Szczególnym bohaterem serialu byt także czołg. Na planie używano kilku pojazdów opancerzonych, które „graty” Rudego 102. Ponadto we wrocławskiej wytwórni filmowej zbudowano replikę czołgu w skali 1:1, aby móc filmować sceny wewnątrz maszyny. Zdjęcia kręcono na przemian w plenerze i hali zdjęciowej.

Żałoba po pancernym

„Od tamtej pory Itj. od śmierci Olgierda] wszyscy chodzimy jak struci, jakby ktoś najbliższy z rodziny umarł. Człowiek sobie miejsca znaleźć nie może, a moje dzieciaki są takie przejęte, że postanowiły na cześć Olgierda 20 opuszczonych grobów na naszym cmentarzu uporządkować, ozdobić i do końca życia pielęgnować. Ale ja pana proszę, niech pan zrobi tak, żeby Olgierd znowu był żywy. Ja znam takiego człowieka. W czasie wojny osiem razy ogłaszali, że on umarł, a on żyje i świetnie się czuje” - z listu telewidza do scenarzysty.

Bajka na motywach wojennych

„Przymenowski odcedził wojnę z wszelkich brudów, obrzydliwości i wątpliwości. Wojna awansowała do hemingwayowskiej, męskiej przygody, stała się fotografią kolorowaną, z błyskiem w oku. Gdyby w tych granicach oceniać książkę, trudno byłoby uniknąć soczystych inwektyw pod adresem autora. Bo przecież przeszłość wojenna to nie lody bakaliowe, w których można grzebać w zależności od nastroju i upodobania. Przymanowski uparł się, żeby napisać dobrą bajkę na motywach wojennych. I trzeba autorowi oddać sprawiedliwość, pomysł zrealizował z powodzeniem. Czterej pancerni i pies to bardzo miła bajka” - Stanisław Zieliński, Wojna na wysoki połysk („Kultura”, 1984).

91

Ten serial to najlepszy - jak dotąd -produkt polskiej kultury popularnej.

J-23

nadaje...

Aktor dopasowany do munduru

Opowieść o kapitanie Klossie powstała z nałożenia się dwóch pomysłów. Pisarz Andrzej Szypulski podczas pobytu w Londynie zachwycił się filmami o Jamesie Bondzie i obmyślał stworzenie polskiego odpowiednika brytyjskiego agenta. Jednocześnie inny literat, Zbigniew Safian, dostał od Teatru Telewizji propozycję napisania scenariusza serialu na podstawie historii radzieckiego szpiega działającego w hitlerowskich Niemczech. Obaj panowie szybko się porozumieli i zaczęli pisać razem scenariusz pod pseudonimem Andrzej Zbych. Nazwisko

głównego bohatera Stawki większej niż życie wybrali podobno z książki telefonicznej. Główną rolę miał początkowo zagrać Ignacy Gogolewski, ale ostatecznie

Na planie serialu w Gdańsku

/4J-23 BEZ KOŃCA

Popularność agenta J-23 nie zmniejsza się z upływem czasu. W 2000 r. stacja RMF FM nadata stawkę... w formie serialu radiowego. Ciągłe otwartą kwestią pozostaje, czy wielbiciele Klossa doczekają się ciągu dalszego przygód agenta J-23.

zdecydowano się na Stanisława Mikulskiego: wyróżniał się słowiańską urodą i świetnie prezentował się w mundurze. Wcześniej można było podziwiać jego „mundurowe” wcielenie w filmie Kanał (1956) Andrzeja Wajdy. Pierwszy odcinek Stawki... zatytułowany Wróg Jest wszędzie został wyemitowany 28 stycznia 1965 roku w Teatrze Sensacji i Fantastyki „Kobra”. Sukces był pełny, serial gromadził przed telewizorami co tydzień wielomilionową widownię.

Zagrali jak Fredrę

Kiedy w 1967 roku Teatr Telewizji pokazywał ostatnie odcinki „Klossa”, zapadła decyzja: powstanie sześć filmowych odcinków Stawki... „z przeznaczeniem na eksport”. Ostatecznie tę liczbę potrojono. Zdjęcia ukończono w październiku 1968 roku. Ekipa filmowa zjechała cały kraj - od Gdańska,

^ KONSPIRACJA Z REŻYSEREM

Wiele powiedzonek ze stawki... przeniknęło do powszechnego użytku. „W zeszłym roku o tej porze pa-dat deszcz” - słyszymy w drugim odcinku pt. Hotel Excekiór. „Deszcz ze śniegiem” - brzmi odpowiedź. Konspiratora, z którym Kloss wymienia się hastami, zagrał Andrzej Konic, reżyser odcinka.

32

Herosi popkultury

Przez Pieskową Skalę, po Piotrkówku Trybunalski. Kolejnym atutem filmu była doskonała obsada. Nawet w drugoplanowych rolach zagrały znakomitości.

Amil Karewicz jako Brunner wystąpił zaledwie w pięciu odcinkach, a widz ma wrażenie, że pojawia się prawie w każdym. Ta rola zapadała bowiem głęboko w pamięć dzięki mieszaninie cynizmu i specyficznego czarnego humoru. Również w pięciu odcinkach można zobaczyć Bronisława Pawlika, konspiracyjnego łącznika Klossa. W ósmym zdarzyła się zabawna „pomyłka” - nie dość, że gra paryzanta, którym do tej pory nie był, to jeszcze nie rozpoznaje Hansa, którego powinien być przecież doskonale pamiętać.

Nawet epizodyczne role zostały obsadzone pierwszorzędnie. Leon Niemczyk wcielił się w prestidigitatora, Jerzy Trela w szeregowego konspiratora, a Leszek Herdegen w podporucznika Abwehry. Jeżeli widza nie odrzuca w latach 90. od Stawki, to należy to wpisać w poczet zasług grona wy-

litnych aktorów, którzy na plan filmowy trafiali vprost z desek teatralnych, by zagrać mistrzowie epizody. Stawkę grało się jak Fredrowską komedię - z szarżą, przytupem i zacięciem farsowym" - pisała krytyka.

J-23 uderza do głowy

Uawka... stała się czymś więcej niż serialem te-ewizyjnym. Powieść, która powstała na kanwie scenariusza, przetłumaczono na wiele języków, w tym na chiński i szwedzki. Każda część komik-(U z przygodami agenta J-23 rozchodziła się spod ady w nakładzie 200 tysięcy egzemplarzy. Historia Hansa Klossa przeniknęła szerokim nurem do popkultury. Kiedy w serialu Samochodzik

i templariusze (1971) Alina Janowska spotkała Stanisława Mikulskiego, zastanawiała się: „Skąd ja go znam?”. A była to znajomość z planu Stawki... Widz od razu chwycił aluzję. Nawet krajowe wino, które kosztowało 23 złote, nazwano „J-23”.

Autentyczna atmosfera

„Przygody Klossa nie są autentyczne - mówił Zbigniew Safjan - są wymyślone. Autentyczna jest natomiast atmosfera, sytuacja, w której działali tacy ludzie jak Kloss. Staraliśmy się, żeby nasz Kloss reprezentował w jakimś sensie tych, którzy w tajnej wojnie współpracowali z ruchem podziemnym AK i AL, tych którzy pracowali z radzieckimi sojusznikami i aliantami. Można powiedzieć, że nasz bohater ma nie jeden, ale kilka życiorysów. Opracowując Stawkę staraliśmy się oprzeć na materiałach autentycznych: na wspomnieniach polskich, radzieckich, angielskich”.

Agent w każdym geście

„- Pańscy bohaterowie - kpt. Kloss, major MO ze Zbrodni i Pościgu- odznaczają się niezwykle refleksyjnym, inteligentnym i sprawnością umysłową i fizyczną, pozwalającą wierzyć w ich sukcesy. Czasem wydaje mi się, że tego typu aktorzy, jak Pan, byliby świetnymi oficerami śledczymi, owymi przysłowiowymi »Sherlockami«.

- Chyba nie. Myślę, że w życiu to wszystko jest o wiele trudniejsze niż na ekranie czy w teatrze. Ja do każdej mojej roli się przecież przygotowuję, opracowuję drobiazgowo każdy krok, każdy gest, wyraz twarzy. Oficer dochodzeniowy zaś - tak mi się wydaje - jest ciągle zaskakiwany sytuacją, postawą sprytnego przestępcy, musi ciągle improwizować i błyskawicznie reagować. I nie może się mylić...”

- wywiad ze Stanisławem Mikulskim w czasopiśmie „W służbie narodu” (1967).

93

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

■P©d

Рщй

Film, jak głosi legenda, został nakręcony po to, aby Jan Himilsbach miał za co pić wódkę. Nie bez znaczenia była też chęć rozprawy z Polską Gomułki.

Zdzistaw Maklakiewicz i Jan Himilsbach

Dyrygent wyszedł na obiad

Scenariusz Rejsu (1970) omówiono w gronie decydentów Zespołu Filmowego „Tor” w 1968 roku. Statek płynący Wisłą miał symbolizować Polskę. Nabór aktorów poprzedzało ogłoszenie prasowe: „Poszukujemy ludzi do filmu. Niech przyjdzie każdy, kto umie śpiewać, grać albo robić cokolwiek”. Casting odbywał się w warszawskiej Hali Gwardii. Stawiło się kilka tysięcy osób. Wśród nich grupa emerytowanych statystów z Pana Wołodyjowskiego. Jeden z chętnych potrafił liczyć do 10 w pięciu językach. Wyznał dodatkowo, że gdyby umiał po niemiecku, pisałby w tym języku wiersze. Przypadł do gustu komisji. Inny, zapytany o umiejętności wokalne, odpowiedział, że świetnie śpiewa, bo jego brat jest tenorem.

Reżyserowi Markowi Piwowskiemu spodobał się także statysta, który w pół piosenki o Janku Muzykancie zaciął się, ponieważ - jak twierdził - dyrygent wyszedł na obiad.

Strajk statystów

„Moje szczęście polegało na tym, że w tym samym miejscu i w tym samym czasie pojawiło się wielu »zakręconych« ludzi, którzy byli bardzo kreatywni. Choć wśród autorów scenariusza nie jest wymieniony Tym czy Maklakiewicz, to właśnie Maklak bardzo dużo wniósł na plan Rejsu" - mówił Piwowski.

/N NAGRODA DLA BUNTOWNIKA

Na Rejsie od razu poznana się widownia najbardziej wyrobiona. W 1972 r. dzieło Piwowskiego otrzymało Nagrodę Entuzjastów Kina - Samowar. Z kolei w 1999 r. w prestiżowym rankingu tygodnika „Polityka” na najciekawszy film polski XX w. Rejs zajął pierwsze miejsce.

Na statku, którym grupa wczasowiczów udaje się w tytułowy rejs, profesjonalni artyści współgrali z amatorami. Z tego powodu wybuchł nawet strajk, ponieważ amatorzy otrzymywali znacznie niższe stawki. Dopiero specjalna delegacja przybyła z Łodzi zadecydowała, że można im zapłacić nieco więcej.

Głównego bohatera miał grać Bogumił Kobiela. Jednak śmierć aktora zmieniła te plany. Z kolei Jerzy Dobrowolski pojawia się na ekranie na początku filmu - służbowo wchodzi na statek - ale potem go w nim nie widać. W części zdjęć uczestniczył też Wojciech Pokora, który jednak w ogóle nie znalazł się w wersji ostatecznej.

94

Herosi popkultury

Mie kąp się na plaży niestrzeżonej. Mikt nie zauważy twojego utonięcia. Uwaga, uwaga, woda to żywioł niebezpieczny. Ratownik Kazimierz Karaś zgłosi się natychmiast na stanowisko — komunikat z megafonu na początku filmu

r

Mowa-trawa

„Język nie od razu poznała się na filmie. Jednym z pierwszych, który wystawił mi wysoką notę, był Jerzy Kałużyński: „Oryginalność Rejsu polega przede wszystkim na sposobie wyrażania myśli. Coś takiego kino nasze pokazuje nam po raz pierwszy. Co prawda, w dokumencie zdarzał się tył podobny, choćby u samego Piwowskiego, ale tutaj mamy do czynienia z filmem pełnoprogowym, a więc z całym «rozwiniętym światem». Tęcza w tym, że kino, nawet wtedy gdy ma ambicje pokazania zwykłej codzienności, angażuje swoje teksty, nadaje im okrągłość, dba o wymowę, pilnuje rozwoju logicznego itd. Jednak w życiu nie bywa tak nigdy”.

Stanisław Tym i Andrzej Dobosz

Zasada PRL-u

Stanisław Tym pisał po latach: „Marek Piwowski już przy doborze wykonawców zastosował naczelną zasadę realnego socjalizmu - selekcję negatywną. PRL to był raj dla nieudaczników i niedouczonych. Intendentura, wypierdki, zezowaci umyślowo doświadczali najwyższych zaszczytów i pieniędzy. A przede wszystkim władzy. Kierowali, rządzą, decydowali - a byli to matyły najwyższej rangi. Taka była zasada, zresztą genialnie prosta - odwrócono ustalone od wieków kryteria wartości i stworzono system, w którym matyły po kursach partyjnych zarządzały instytutem naukowym z setką profesorów. I to przedwojennych profesorów”.

Budowanie legendy

Osobną legendę ma najśłynniejsza scena Rejsu: rozmowa o polskim kinie. „Tuż przed nakręceniem sceny rozmowy o filmie artyści, ostro zamroczeni, zamknęli się w kotłowni i odmawiali wyjścia. Mieli na dole hydrant i dość długo się bronili, zanim się poddali i zgodzili się wziąć udział w kręceniu filmu. Scenę powtarzano wiele razy. Zdzisio był profesjonalistą, mógł grać w każdym stanie i miał starannie przygotowany tekst. Natomiast Janek szalał i

mimo próśb i błagań, ciągle przerywał opowieść Zdzisia i kompletnie go zagłuszał. Straciliśmy już wszelką nadzieję, kiedy Janek nagle osłabł, zapadł się w sobie, zamilkł i na jego twarzy pojawił się ten wyraz rozpaczliwej koncentracji i uwagi, który słusznie tak zachwyił swym aktorskim kunsztem publiczność i krytyków" - pisał Janusz Głowacki w eseju Bez happy endu.

Fryzjerstwo filmowe Marek Piwowski kręcił również interesujące dokumenty. Nie stronił w nich od humoru. W Uwerturze (1965) pokazał, jak komisja poborowa kieruje młodego chłopaka z lękiem przestrzeni do wojsk powietrzno-desantowych. W filmie Hak (1971) relacjonował konkurs fryzjerów pod hasłem: „40 lat współpracy państw socjalistycznych na polu fryzjerstwa”. Z kolei w Sukcesie (1968) reżyser przedstawił w krzywym zwierciadle karierę Czesława Niemena. Piosenkarz jawi się w nim jako zapatrzony w siebie snob. Film został szybko wycofany z dystrybucji, ponieważ muzyk zagroził Piwowskiemu procesem.

^ KWESTIE ZANIECHANE

Do filmu nie weszło wiele powiedzonek, które padły na planie, takich jak ogłoszenie kaowca: „Do terminu opuszczenia przystani wszyscy podporządkowujemy się pod program wypoczynku wodnego, od którego żadne odchylenia nie będą miały precedensu”.

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Pierwsza doceniła Misia cenzuraf zaraz po niej widzowie, dopiero na końcu środowisko filmowe.

»

ten

PO CO

jest

miś?"

Stanisław Tym i Eugeniusz Priwiezienczew

Cenzura w stanie wyhamowania

Cenzura zażądała usunięcia z rolki około 400 metrów taśmy, czyli czwartą część filmu. Ale i na cenzurę znalazły się sposoby. Film był zmontowany na kolaudację latem 1980 roku, jednak twórcy postanowili ją odwlekać, jak długo się da. Łudzili się, że może polityka kulturalna obierze łagodniejszy kurs. I rzeczywiście, 27 września, kiedy zebrała się komisja ko-laudacyjna, Edward Gierek był już w szpitalu, a „Solidarność” w rozkwicie. Cenzura

zglupiała, podobnie jak komisja kolaudacyjna. Oceniano po staremu: wymowa ideowa, społeczna, wychowawcza, poznawcza i - osobno - war-

Łubu-dubu, łubu-dubu, nieco żyje nam prezes naszego klubu To śpiewałem ja. Jarząbek Waclaw, trener drugiej klasy

KOŃ PO SPOŻYCIU

„Milicjant: - No co? Powąchajcie, powąchajcie! Co? Koń jest pijany! Tak? Paluch: - Koń? To ona, małe piwko wypila, jak rany. No, pół piwka! W poniedziałek idzie na odwykowe, wszyje sobie, będzie miała spokój... Milicjant: - Słuchajcie... Paluch: - Władzy bym nie ktamat" - cytat z filmu

Cenzury to nie ugłaskało. Zażądała sześciu poprawek. Tym razem na szczęście drugorzędnych. W filmie prezes nie nazywa się Nowochódzki, tylko Ochódzki. Ma zostać nie „aktorem Filipskim”, lecz „Fronczewskim”. Ale to już były drobiazgi. Nie najlepiej było też z akceptacją środowiska. Krzysztof Kieślowski twierdził, że czuje się „wewnętrznie obrażony” ostatnią sekwencją filmu -tą ze stylizowaną stajenką betlejemską. Jego zdaniem na tle wcześniejszych wygłupów była ona zupełnie nie na miejscu. Jednak Kieślowski przynajmniej jakieś zdanie miał, w przeciwieństwie do reszty filmowców. Misia zgłoszono do konkursu na festiwalu w Gdyni. Nie dostał

tość artystyczna filmu. W każdej kategorii można było przyznać od jednego do 25 punktów. Film wypadł słabo - zgarnął zaledwie 40 punktów, Tym samym uzyskał „II kategorię artystyczną”,

co - miał

ЭБ
Herosi popkultury

powiedzieć twórca Iluminacji o reżyserze Misia -gdybyśmy żyli w kapitalizmie, to ja bym jeździł tym starym gratem, a Bareja mercedesem".

Kult w rozkwicie

Nic dziwnego: Miś uchodzi dziś za najbardziej kultową z polskich komedii. Jego twórca za to właśnie dzieło został w 1998 roku nominowany pośmiertnie do nagrody mediów NIPTEL. W plebiscycie tygodnika „Polityka” na najlepszy polski film stulecia Miś zajął ósme miejsce. „Krytyka ukuła nawet termin »bareizm«, będący synonimem kiczu i bez-guścia. Zrobić film w stylu Barei - to była największa obelga. Dziś, kiedy większość ówczesnych filmów z ogromnymi ambicjami leży sobie spokojnie na półkach w filmotece, komedie Barei święcą tryumfy” - komentowała redakcja. W Polskę poszły także dialogi z Misia. Artykuł w „Gazecie Wyborczej” o emigracji zarobkowej Polaków zaczyna się od słów: „»Nie ma takiego miasta Londyn« - mówiła urzędniczka pocztowa w Misiu. Dziś o Londynie słyszał już chyba każdy, bo wielu Polaków ma rodzinę czy znajomych, którzy tam pracują”. Z kolei „Gazeta Łódzka” opublikowała aluzyjne oświadczenie: „Mój szef jest super. Mój szef wcale nie namawiał mnie drogą służbową do napisania tekstu Kampania komendanta. W ogóle nigdy mnie do niczego nie namawiał. Jest on bardzo fajnym facetem, dobrze zbudowanym i przystojnym”. Do języka potocznego przeniknęło mnóstwo powiedzonek z filmu. Mawia się więc powszechnie: „Ja szczupak, ja szczupak, do wszystkich, do wszystkich, zaciągamy sieć” lub „Dzwonię do ciebie, bo, niestety, nie mogę z tobą rozmawiać”.

Miś siedmiokrotny

Znaczenia kukły misia użytej w filmie według Macieja Łuczaka, autora monografii Miś, czyli świat według Barei:

1. Aluzja do „wydrażonego człowieka, szeleszczącego słomą” z poematu Wydrażeni ludzie Thomasa Stearnsa Eliota.
2. Miś jako antychryst. W filmie Słodkie życie Federica Felliniego helikopter nad Rzymem unosi figurę Chrystusa. W następnym ujęciu do Rzymu przybywa seksbomba Anita Ekberg. Miś miałby być mglistą aluzją do tej sytuacji.
3. Miś jako pałuba - aluzja do powieści Pałuba Karola Irzykowskiego. Coś w rodzaju szkieletu, manekina zamiast prawdziwej osoby.
4. Miś jako chochoł. To nawiązanie do symbolu z Wesela Stanisława Wyspiańskiego: obraz niemocy Polaków.
5. Miś radziecki, czyli niedźwiadek. Radziecki miś latający nad Warszawą mógłby być symbolem sowieckiej dominacji nad Polską.
6. Miś-widmo. Znaczenie pokrewne poprzedniemu. Widmo komunizmu krążącego nad Polską.
7. Miś jako aluzja do tytułu pisemka dla najmłodszych. W marcu 1968 roku studenci propagowali hasło: „Czytajcie »Misia«. On jeszcze nie kłamie!”.

Epitafium dla socjalizmu

„Ten film mówi bolesną prawdę o sanacyjnej rzeczywistości. Ujadowienie myśliwskiej sfory i strzelające korki szampana nie są w stanie zagłuszyć nadciągającej burzy” - mówi w Misiu

reżyser Za-gajny na planie Ostatniejparóweczki hrabiego Barry Kenta. Ta diagnoza odnosiła się do Polski gierkowskiej. Misia kręcono na przełomie 1979 i 1980 roku. Wówczas to okazało się, że realny socjalizm nie wytrzymuje tak niskich temperatur. Twórcy filmu wyrażali powszechne przekonanie, że nie ideologia, ale przyroda przyspieszy upadek systemu.

PREZES DBAJĄCY^ „Ja chciałem powiedzieć, że nasz prezes wszystkie rozliczenia... bardzo dobrze prowadzi. Jak tylko coś... że też... na przykład jest komu winien, to zaraz odda... W ogóle to nigdy nic nie jest winien, bo jest w tych sprawach dbający. Klub prowadzi dobrze...” -cytat z filmu.

97

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

najlepsze kasztana

Kargule i kobieta

Jeżeli młody człowiek nie usłyszy dziennie ze trzech cytatów pochodzących z kultowych filmów PRL-u, to znaczy, że ma problemy ze słuchem.

Pracująca

Zdania wykute w marmurze

Setki filmowych powiedzonek wysypują się na jedno kliknięcie z Internetu. Raz po raz słyhać je w funkcji dzwonka w telefonie komórkowym. Dziela się na te, które znają wszyscy, i na bardziej kultowe - ulubione wyrażenia fanów jednego hitu. Najczęściej powtarzane są powiedzonka z filmów, których przeciętny Polak po prostu nie mógł w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat nie obejrzeć. Słyszymy więc: „Czy jest suchy chleb dla konia?” - z Wojny domowej (1965); „Kargul, podejdź no do płota” - z Samych swoich (1967); „Nie ze mną te numery, Branner” czy „Najlepsze kasztany są na placu Pigalle” - ze Stawki większej niż życie (1968); „Jestem kobieta pracująca. Żadnej pracy się nie boję” - z Czterdziestolatka (1974). Te zdania przeszły do historii powojennej Polski.

Rejs - rewanż wycofanych

Dialogi z Rejsu (1970) Marka Piwowskiego słyhać wszędzie: od kazania po rozprawę naukową. To ciągle ulubiony film inteligencji. Widownia śmieje się z niedokształconego inżyniera (Zdzisław Ma-klakiewicz) i zwykłego robotnika (Jan Himilsbach), a także z grafomana, i pseudodziałacza młodzieżowego. Śmieszne jest to, że każdy z nich pozuje na inteligenta, ale żadnemu to nie wychodzi. Udają więc, że znają się na filmie, że poważnie zajmują się fotografią albo że są poetami. Robią przy tym najprostsze błędy językowe. A „prawdziwi” inteligenci - dziś powiedzielibyśmy: „wykształciuchy”

/4 CUKIER W CUKRZE

Komediowa przebieranka Poszukiwany, poszukiwana bawi niezmiennie od lat. Do historii polskiego kina przeszedł Wojciech Pokora w roli gosposi. A także Mieczysław Czechowicz jako profesor-bim-brownik, który badał „zawartość cukru w cukrze”, i Jerzy Dobrowolski, o którym filmowa żona mówi: „Mój mąż jest z zawodu dyrektorem”.

- odczuwają satysfakcję z tego, że nie tak łatwo tym inteligentem zostać. Porozumiewają się więc, powtarzając z ironią za Sidorowskim: „W tych pięknych okolicznościach przyrody i - tego - i niepowtarzalnej. ...” albo za Mamoniem „Szczególnie nie chodzę na filmy polskie... Nudzi mnie to po prostu”.

Miś obrotowy

Dialogi z Misia (1980) Stanisława Barei przeżywają kolejną młodość. Nastolatki, które nie zaznały PRL-u, bawią się nimi równie chętnie, jak starsi, pamiętający premierę. Wszystkim podoba się duch

98

Herosi popkultury

zarejestrowanego w filmie absurdu. Student przynosi na imprezę butelkę alkoholu: „No to co, panowie? Walczymy czy przyglądamy się na siebie?”. Sprzedawca podaje książkę z półki: „Trzymać w okładce, nie giąć, nie niszczyć. Dwa lata będzie służyć!”. Menedżer na zakrapianej imprezie wygłasza toast na cześć szefa: „Ciągłe pracuje, wszystkiego przypilnuje. I jeszcze inni, niektórzy, wtykają mu szpilki. To nie ludzie - to wilki”. Klient w barze do kelnera: „Pan pozwoli dwa razy zestaw obowiązkowy”. O peronie we Włoszczowie, jednej z najbardziej głośnych i nietrafionych inwestycji ostatnich lat, mawiano także cytatem z filmu Barei: „Wiesz, co robi ten miś? On odpowiada żywotnym potrzebom całego społeczeństwa. To jest miś na skalę naszych możliwości. Ty wiesz, co my robimy tym misiem? My otwieramy oczy niedowiarkom. Patrzcie - mówimy - to nasze, przez nas wykonane i to nie jest nasze ostatnie słowo. I nikt nie ma prawa się przyczepić, bo to jest miś społeczny, w oparciu o sześć instytucji”. Tak ogromna popularność Misia bierze się stąd, że jego humor jest wymierzony w zbiorowego bohatera PRL-u, jakim był wszechwładny wówczas personel, czyli „ludzie pracy miast i wsi”. To on na co dzień rządził tymi lepiej wykształconymi. Po latach na personelu można się odegrać w jeden sposób - wyśmiać go.

Maksio przeciw juncie

Powiedzonka z Seksmisji (1983) Juliusza Machulskiego stały się popularne, ponieważ trafnie ujmowały polski charakter - buntowniczy, niepokorny, trochę bałaganiarski. Wojna dwóch ostatnich mężczyzn przeciwko totalitarnemu światu kobiet przywodziła na myśl beznadziejne zmagania polskiego społeczeństwa z całą „wspólnotą państw socjalistycznych” w dobie stanu wojennego. Dlatego widzowie bili brawo Maksowi (Jerzy Stuhr), gdy ten w straceńczy sposób upominał się o swoje prawa. „Kobieta mnie bije!” - krzyczał w rozpacz. „Nie wytrzymam. Permanentna inwigilacja” - skarżył się. „Żebyśmy wam w gardle stanęli” - życzył swoim prześladowczyniom.

Gadka menedżerska

Powiedzonka filmowe w ostatnich latach zrobiły karierę jako ozdoba papierowej konfekcji biurowej. Zdania umieszczane na kalendarzach, skoroszytach, terminarzach czy blokach listowych pochodzą często z zapomnianych filmów, ale doskonale nadają się do użytku biurowego. Nad menedżerskimi biurkami czytamy: „Nie wiem, nie znam się, nie orientuję się, zarobiony jestem” albo „To interesujące, co pan mówi. A co mówią lekarze?”, albo „Idę na taras i wracam zaraz”. A wszystko to z Bruneta wieczorową porą (197B). Oczywiście Barei.

Halina Buyno-Łoza i Władysław Hańcza w Kochaj albo rzuć (1977

/X KARGUL ZA PŁOTEM

Sami swoi są komedią, która z założenia w pozytywnym świetle przedstawia migrację Zabuzan na Ziemię Odzyskaną. Twórcy filmu sięgnęli do klasyki - do Zemsty Aleksandra Fredry. To stamtąd pochodzi motyw walki o mur (plot) graniczny między sąsiadami o skrajnie różnych temperamentach. Dzięki temu komedia stała się arcy polska.

99

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Kmicic

na kontrze

Swojacy z za Buga, XVII-wieczny szlachetka, pechowy żołnierz AK i ubek, który zabija przyjaciela z „Solidarności” - takie typy sąsiadują ze sobą w granie ulubionych polskich bohaterów filmowych. I dobrze się czują we własnym towarzystwie.

Akowiec z Bazaru Różyckiego

mlubieniec widowni pojawiał się wówczas, gdy artyście udawało się stworzyć postać, na którą właśnie w tym momencie czekały miliony. Po okresie stalinowskim aż prosiło się o rehabilitację „chłopców z AK”, do niedawna wyzywanych od imperialistycznych agentów. Więc Zbyszek Cybulski, który gra Maćka Chełmickiego-go, partyzanta w roku 1945, nosi

wąskie spodnie bikiniarza z lat 50. i modne wówczas czarne okulary. Porusza się i mówi nie jak konspirator, lecz jak bywalec Bazaru Różyckiego na warszawskiej Pradze. Film Popiół i diament (1958) Andrzeja Wajdy miał bowiem pokazać władzy, że akowcy nie są straszni. To mili chłopcy, którym „nie jest wszystko jedno”. Władza nie uwierzyła, ale AK otrzymała pomnik trwalszy niż granitowy.

A\ SKROMNY MEGALOMAN

„Daniel okazał się znakomitym partnerem. Zniknęło gdzieś to irytujące w życiu prywatnym robienie wokół siebie szumu, ten egocentryzm straszliwy, to megalomań-stwo. Kiedy się z nim pracuje, jest partnerem otwartym, pomocnym, koleżeńskim” - wspominała Małgorzata Braunek, która grata w Potopie Oleńkę.

Swoi do bólu

W czasie gomułkowskiej „małej stabilizacji” partia chciała, by Polacy myśleli tylko o kupnie telewizora i lodówki. A tu w Samych swoich (1967) Sylwestra Chęcińskiego dwaj chłopcy z Buga -Kargul i Pawlak - toczą absurdalną kłótnię o płot, przypominającą spór o mur ы Zemście Aleksandra Fredry. Dla nich nieważne są bieżące koniunktury partyjne. „My tu z sąsiadem nową Polskę zaczęli” - deklaruje Pawlak. Publiczność zaś domyśla się, że nie jest to ojczyzna z planu sześćioletniego. Za tę „wieczną Polskę” pokochała film i jego bohaterów. Zdanie: „Kargul, podejdź no do płota, jako i ja podchodzę” jest jednym z najbardziej znanych cytatów w historii rodzimej kinematografii.

Obława na Olbrychskiego

„Wielkiej fantazji kawaler, choć gorączka okrutny” - pisał Henryk Sienkiewicz o chorążym orszańskim Andrzeju Kmicicu, bohaterze Potopu. Kiedy reżyser Jerzy Hoffman zdecydował, że Sienkiewiczowskiego szlachcica zagra Daniel Olbrychski, rozpętało

1 00

ийipI8teЙI*P

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Kmicic

na kontrze

Swojacy z Buga, XVII-wieczny szlachetka, pechowy żołnierz AK i ubek, który zabija przyjaciela z „Solidarności” - takie typy sąsiadują ze sobą w gronie ulubionych polskich bohaterów filmowych. I dobrze się czują we własnym towarzystwie.

Akowiec z Bazaru Różyckiego

Ulubieniec widowni pojawiał się wówczas, gdy artyście udawało się stworzyć postać, na którą właśnie w tym momencie czekały miliony. Po okresie stalinowskim aż prosiło się o rehabilitację „chłopców z AK”, do niedawna wyzywanych od imperialistycznych agentów. Więc Zbyszek Cybulski, który gra Maćka Chełmickiego-go, partyzanta w roku 1945, nosi wąskie spodnie bikiniarza z lat 50. i modne wówczas czarne okulary. Porusza się i mówi nie jak konspirator, lecz jak bywalec Bazaru Różyckiego na warszawskiej Pradze. Film Popiół i diament (1958) Andrzeja Wajdy miał bowiem pokazać władzy, że akowcy nie są straszni. To mili chłopcy, którym „nie jest wszystko jedno”. Władza nie uwierzyła, ale AK otrzymała pomnik trwalszy niż granitowy.

f\ SKROMNY MEGALOMAN

„Daniel okazał się znakomitym partnerem. Zniknęło gdzieś to irytujące w życiu prywatnym robienie wokół siebie szumu, ten egocentryzm straszliwy, to megalomań-stwo. Kiedy się z nim pracuje, jest partnerem otwartym, pomocnym, koleżeńskim” - wspominała Małgorzata Braunek, która grata w Potopie Oleńkę.

Swoi do bólu

W czasie gomułkowskiej „małej stabilizacji” partia chciała, by Polacy myśleli tylko o kupnie telewizora i lodówki. A tu w Samych swoich (1967) Sylwestra Chęcińskiego dwaj chłopcy z Buga -Kargul i Pawlak - toczą absurdalną kłótnię o płot, przypominającą spór o mur w

Zemście Aleksandra Fredry. Dla nich nieważne są bieżące koniunktury partyjne. „My tu z sąsiadem nową Polskę zaczęli” - deklaruje Pawlak. Publiczność zaś domyśla się, go szlachcica zagra Daniel Olbrychski, rozpełtało że nie jest to ojczyzna z planu sześćioletniego. Za tę „wieczną Polskę” pokochała film i jego bohaterów. Zdanie: „Kargul, podejdź no do plotu, jako i ja podchodzę” jest jednym z najbardziej znanych cytatów w historii rodzimej kinematografii.

Obława na Olbrychskiego

„Wielkiej fantazji kawaler, choć gorączka okrutny” - pisał Henryk Sienkiewicz o chorążym orszańskim Andrzeju Kmicicu, bohaterze Potopu. Kiedy reżyser Jerzy Hoffman zdecydował, że Sienkiewiczowskie-

1 OD

Herosi popkultury

iię piekło. Widzowie byli za, dziennikarze przeciw: „Ale czy to już nie ma u nas innego, poza Olbrych->kim, młodego, pełnego temperamentu, sprawnego fizycznie i utalentowanego aktora?” - pytali. Żyła to zapewne kampania sterowana przez taj-ie służby, zmierzające do tego, by odsunąć od fil-nu artystę, który coraz wyraźniej sprzyjał opo-zy-ji. A tymczasem widownia chciała oglądać postać, Uóra niemal w pojedynkę stawia czoło imperium. N filmie - szwedzkemu, w życiu - ZSRR. W takiej ■oli niepokorny z natury Olbrychski bardzo władzę rytował. „Wymyślano mi w listach od Żydów, od Joderastów, od najgorszych. Lżono mnie, wyśmiewano, poniżano. Wsadzano mi w drzwi kartki z pogróżkami” - wspominał aktor. Ale się nie ugiął. Zabrał arcy polski charakter, który mogły poskromić ylko kobiety. Dwie: Matka Boska Częstochowska ukochana, Oleńka Billewiczówna.

Emilia Plater doby „Solidarności”

eszcze bardziej niż Olbrychski jako Kmicic nie po-lobała się władzy reżyserka Agnieszka z Człowie-ia z marmuru (1976) Wajdy. Dziewczyna na luzie, Uóra cały dobytek nosi w marynarskim worku. Swoje przekonania także ma „przy sobie”. Wyty-:za sobie cel i twardo do niego dąży. W ostrej rywalizacji z mężczyznami. Nie waha się powiedzieć łecydentom w telewizji, że dokumenty o przodow-riku pracy z czasów Bieruta stanowią świetny ma-:eriał filmowy. Choć wie, że telewizyjne szychy panicznie boją się tego filmu. Krystyna Janda, która lała Agnieszce twarz, przed kamerą zachowywa-a się tak jak w życiu: mówiła niewyraźnie, żuła jume, ostro gestykulowała. Reżyser nie pozwalał ej oglądać nakręconych scen, by aktorka nie wystraszyła się tego, jak - pozornie po amatorsku - gra. W XIX wieku konspiratorki wzorowały się ia postaci Emilii Plater. Dziewczyny, które angażowały się w podziemie doby „Solidarności”, masowo naśladowały Agnieszkę.

Pies

„Ja jestem nikiem, wrywam tylko chwasty” - mawia c sobie porucznik SB, Franz Maurer, z Psów (1992) Władysława Pasikowskiego. Film powstał wprawdzie w wolnej Polsce, ale jego bohater nosi na plecach garb PRL-owskiej przeszłości. Musiał zastrzelić przyjaciela, bo ten wstąpił do „Solidarności”. Żona, córka wysokiego urzędnika resortu, uciekła od niego na Zachód. Po przełomie 1989 roku przełożeni chcą go wyrzucić z pracy. Traci pozycję, pije, ale stara się pozostać lojalny. Wobec służby i kumpli. Franz Maurer zyskał ogromną popularność - publiczność miała dość hamletyzujących inteligentów. To głównie zasługa Bogusława tindy, który zagrał go tak przekonująco, że wprowadził ubeka do grona ulubionych bohaterów filmowych Polaków.

Kasiarz z misją

Henryk Kwinto pojawia się na ekranie dopiero 7 minut po rozpoczęciu filmu Vabank (1981). Przedstawia się: „Czy ja wyglądam na kasiarza? Jestem muzykiem”. Ma nienaganne maniery angielskiego dżentelmena, nosi drogi garnitur, prawie nigdy się nie uśmiecha. Przyjaciele jednak wiedzą, że odznacza się niezwykłym talentem - otwiera kasy pancerne banków „na słuch”. „Tylko się nie uśmiechaj” - napominał nieustannie reżyser Juliusz Machulski

własnego ojca, Jana Machulskiego, w trakcie kręcenia filmu. Bo kasiarz ma poważną robotę. Odsiedział już swoje, ale został wyzwany na swoisty pojedynek przez kanalię, z którą miał porachunki sprzed lat. Kciuki trzymała za niego cała Polska.

Zbigniew Cybulski w filmie Popiół i diament

f) ŚMIERTELNY POŚPIECH

Zbigniew Cybulski był dla swojego pokolenia idolem. Miliony chłopców naśladowały jego strój - uchodzący wówczas za ekstrawagancki. Podobała się też jego gestykulacja: gwałtowna, ze skłonnością do przesady. A także to, że np. do pociągu wskakiwał zawsze w ostatniej chwili. Ten właśnie zwyczaj zabił go na dworcu we Wrocławiu.

1 D1

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

Planszę „Przepraszamy za usterki” widzowie oglądali średnio raz na pół godziny. Ale i tak im się podobało. „Od kiedy we wsi jest telewizja, spożycie alkoholu spadło o 41%” - zapewniał kierownik GS-u z Witkowa w Małopolsce. „Dlaczego udział przywódców partii jest na ekranie ciągle zbyt nikły?” - pytał z trybuny sejmowej poseł Artur Starowicz.

Prośbą »ie regulować

Michotek otwiera wizję

Piosenkarz Jerzy Michotek stanął przed kamerą i z lwowskim zaśpiewem wykonał Balladę o kułaku. Tak 25 października 1952 roku uroczyście - w przeddzień wyborów do sejmu - wystartowała w Polsce telewizja. Scenariusz pierwszego programu został uznany za tajemnicę państwową i zdeponowany w kasie pancernej. Emisja trwała kwadrans - dłużej nie dało się wytrzymać w temperaturze bliskiej 40 stopni Celsjusza. Tak grzały lampy o mocy 5000 watów. Michotek zamknął audycję refrenem: „Zaśnij synku, przyszła noc / tatuś na budowie stawia dziś ku gwiazdom wprost / nowy szybkościowiec...”. Program oglądano na 24 radzieckich telewizorach Leningrad, ustawionych w świetlicach przodujących zakładów pracy i w witrynach kilku sklepów. Z tym że dźwięk nadawano osobno - przez radio.

Kto ciekaw, mógł jednak zobaczyć eksperymentalny telewizor nieco wcześniej. 15 grudnia 1951 roku sześć agregatów z ekranami wielkości pocztówki pokazano na wystawie „Radio w walce o pokój i postęp”. Obraz transmitowano kablem zza ściany, gdzie w studiu grał na fortepianie Władysław Szpilman, balet tańczył Jezioro łabędzie (na kilkunastu metrach kwadratowych), a lektor udzielał lekcji języka rosyjskiego. Na ten pokaz specjalne pociągi zwoziły z całego kraju

/4 TWARZ EKRAKOWA

Jan Suzin w telewizji czytał wszystko: od wiadomości po relacje z Wyścigu Pokoju. W 1955 r. wygrał pierwszy konkurs na spikerów. Na eliminacje zgłoszono się przeszło 2000 chętnych. Egzaminowali zasłużeni aktorzy. Oprócz Suzina do pracy przyjęto wtedy Eugeniusza Pacha. 100 tysięcy widzów. Kamerzyści zmieniali się w wykidajłów - większość przybyłych trzeba było siłą odrywać od srebrnego okienka.

Żart Pawlika

A było na co popatrzeć. Artysta nigdy nie wiedział, czy już jest na wizji: występ zaczynał od tego, że gapił się bezmyślnie lub dłużył w nosie.

1

02

Herosi popkultury

Jeśli był rudy, na ekranie figurował jako siwowłosy starzec: kamery nie umiały przekładać kolorów na czerń i biel. Odruchowo odganiał muchy harcu-jące w gorącym studiu - klimatyzacja była marzeniem. Podpowiadała mu suflerka, która czołgała się między aktorami, kamerami i dekoracją. Wpadka goniła wpadkę. Bronisław Pawlik pożegnał małych widzów dobranocki Miś z okienka. Był przekonany, że zszedł już z wizji i zażartował: „A teraz, kochane dzieci, pocałujcie misia w dupę”. Dowcip obejrzała jednak cała Polska. Pawlik

musiał zniknąć z ekranu. Spiker Eugeniusz Pach został na dwa tygodnie karnie odsunięty od programu, gdy nieopatrznie mrugnął zażawionym okiem, czytając zdanie: „Towarzysz Chruszczow udał się na Daleki Wschód”. Wprowadzenie koloru 20 lat później rozpętało nowe awantury. Edward Gierek był oburzony, że na ekranie ma zielone włosy. Lodowiska przed transmisją mistrzostw polewano mlekiem - zamarzało nierówno, ale dzięki temu tafla stawała się widoczna dla kamer. Mimo to magnetyzm telewizji był nie do pokonania. W pierwszym polskim filmie kryminalnym *Dotknięcie nocy* (1961) skromny fotograf z Płocka organizuje krwawy napad na konwój z wypłatami dla kombinatu petrochemicznego. Do zbrodni popycha go jedno marzenie: kupić telewizor!

Zespół Dziennika

Ji WŁADCA ŻYWIOŁÓW

Czesław Nowicki, zwany „Wicherkiem”, był weteranem prognoz pogody. Tworzył na ekranie swoisty show, w którym główną rolę wyznaczał frontom atmosferycznym. Aura w jego interpretacji stanowiła pole bitwy nieokiełzanych sił natury. Chętnie pokazywał też przysyłane przez widzów monstrualne okazy działkowych warzyw i owoców czy grzybów.

Tele-prehistoria nad Wisłą

1935 - pierwsze eksperymenty z transmisją obrazu

w Państwowym Instytucie Telekomunikacyjnym, i Polskim Radiu

1937 - uruchomienie prototypowego nadajnika na wieżowcu Prudential (dziś hotel Warszawa); rozpoczęcie działania telewizji planuje się na rok 1941 1953 - początek nadawania stałych programów -

trzy dni w tygodniu po pół godziny 1957 - pierwsza transmisja meczu, pierwsza zapowiedź pogody; wprowadzenie obowiązku rejestrowania odbiorników i płacenia abonamentu

1958 - start Dziennika 19B0-objęcie zasięgiem nadawania obszaru całego kraju

TUBA PROPAGANDOWA Dziennik był głównym źródłem informacji i propagandowego oddziaływania w czasach PRL-u. Zaczęto w 1958 r. od jednego wydania na dobę o godzinie 20.00. Na 19.30 przeniesiono go w 1965 r. Wielka kampania o Dziennik rozgorzała po Sierpniu '80. Program ten stał się wówczas obiektem zacieklego ataku demokratycznej opozycji.

Ji ULUBIENIEC Z GĄBKII

„Już za chwileczkę / już za momencik / Piątek z Pankracym / zacznie się kręcić / Kręcić się będzie / Pankracy z Panem / Czy wszystkie buzie / już roześmiane?” - tą piosenką zaczynał się program dla dzieci *Piątek z Pankracym*. Prowadził go Zygmunt Kęstowicz, który rozmawiał z niesfornym psiakiem wykonanym ze sznurka i gąbki.

Przodownicy publicystyki

Irena Dziedzic była najpopularniejszą postacią polskiej telewizji. *Tele echo* prowadziła w latach 1956-1981. To pierwszy i do dziś najbardziej znany polski talk-show. „Panna Dziedziczka” - jak o niej mawiano - gościła wybitnych filozofów i modelki jednego sezonu. Wszyscy czuli przed nią jednakowy respekt. Zwłaszcza że odpowiedzi na pytania, które zadawała im przed kamerą, musieli wcześniej uczyć się na pamięć. „Dwadzieścia lat czekałem!” - ryczał do mikrofonu nieprzytomny ze szczęścia sprawozdawca sportowy Jan Ciszewski. Było to w 1972 roku, gdy drużyna Kazimierza Górskiego zdobyła złoty medal olimpijski w Monachium. Od tej pory głos komentatora stopił się w pamięci milionów Polaków z piłkarskimi sukcesami na mistrzostwach świata w Monachium czy Argentynie. Ciszewski niekiedy ocierał się o histerię, był jednak nie tylko dziennikarzem, ale też kibicem. Kiedy o zwycięstwie Górnika Zabrze z AC Roma zdecydował rzut monetą, krzyczał: „Orzeł, Polska, Górnik, sprawiedliwości stało się zadość!”. Ten krzyk brzmi nam w uszach do dziś. Telewizja lansowała setki twarzy. Ale prawdziwych gwiazd srebrnego ekranu, które pozostały w zbiorowej pamięci, było najwyżej kilkadziesiąt.

i kokietki

Andrzej Bober doszedł do mistrzostwa w szczególnie trudnej dziedzinie - w publicystyce ekonomicznej. „Od późnego Gierka do stanu wojennego prowadził Bober bardzo popularny program Listy o gospodarce - przypominał w swoim Alfabcie Jerzy Urban, krótko prezes Radiokomitetu - w którym niezwykle ostro, arogancko i kompetentnie oćwiczał szefów gospodarki. Kolejne ekipy nienawidziły go najbardziej ze wszystkich ludzi w Polsce. Nie można było jednak ustalić, kto za nim stoi, żeby załatwić wylanie Bobera. Trwał on więc dzięki temu, że zapewne nikt za nim nie stał”.

Uśmiechy serialowe

Janusz Gajos i Franciszek Pieczka wiele lat byli tylko załogantami czołgu Rudy z Czterech pancernych i psa (1966). Serial pokazywał wojnę jako beztroską przygodę grupki przyjaciół. „Jest to propagandowa bujda pełna żołnierskiej krzepy i polsko-radzieckiego »braterstwa« z czasów ostatniej wojny, ale bujda nieźle grana i ogromnie popularna” -podsumował telewizyjny hit Stefan Kisielewski. Stanisław Mikulski nadal rozdaje na ulicy autografy dzieciakom, które mogłyby być jego wnukami. Oczywiście ciągle jako Hans Kloss ze Stawki większej niż życie (1968), w której zagrał przed 40 laty. Innych jego ról publiczność nie przyjęła do wiadomości.

1 04

Herosi popkultury

Ewa Wiśniewska długi czas była kojarzona z serialową doktor Ewą (1970). Medycy nie zostawili na tej filmowej lekarce suchej nitki, recenzenci wyśmiewali każdy kolejny odcinek, ale widzowie polscy czy czechosłowaccy bardzo się z nią zaprzyjaźnili. Andrzej Kopiczyński na zawsze pozostanie inżynierem Karwowskim z Czterdziestolatka (1974). Socjalistycznym menedżerem, któremu epoka gierkowska dała szansę na własne mieszkanie, karierę i stosunkowo wysokie pobory. Ale żeby ta „draga Polska” nie wypadła tak bardzo serio, w puencie każdej sytuacji pojawiała się rewelacyjna Irena Kwiatkowska jako „kobieta pracująca” i doprowadzała intrygę do absurdu.

Wacława Kowalskiego natomiast publiczność sprzed szklanego ekranu pamięta jako dozorcę Popiołka ze Złotej 25 w serialu Dom (1980). Wcielenie się w postać warszawskiego ciecica było tym łatwiejsze, że Kowalski grał tu właściwie Pawlaka z Samych swoich (1967), tyle że zagrodę zamienił na kamienicę.

f) PROGRAM Z PAMIĘCI

Krystyna Loska była jedną z najpopularniejszych twarzy srebrnego ekranu. Pracę w telewizji zaczynała na Śląsku, skąd po 10 latach przeniosła się do Warszawy. Program spikerka podawała zawsze z pamięci. Jej subtelne poczucie humoru wykorzystywano, angażując ją w roli konferansjerki na festiwalach w Sopocie i Opolu.

Bolek i Lolek superstars

Dla dziecięcej widowni gwiazdami nie do pobicia byli Bolek i Lolek. Nie tylko w Polsce. Film Wielka podróż Bolka i Lolka (1977) został zakupiony przez 80 krajów - najwięcej w całej historii polskiej kinematografii. Ponad 150 odcinków narysowano w studiach w Bielsku-Białej. Największy rywal chłopców- miś Colargol - powstał z kolei w Łodzi. Ale Bolek i Lolek okazali się lepsi - dwie kontrastowo dobrane osobowości, charakterystyczne sylwetki, niezwykle, a jednocześnie pouczające przygody. Nie przyjęła się ani ich koleżanka Tola, ani kuzyni: Tolek i Olek.

Telewizyjny list gończy

Michał Fajbusiewicz magazynem 997 wprowadził na ekrany tak modny dziś autentyk kryminalny. W pierwszym roku nadawania audycji (1-986) najbardziej podobało się to, czego nasza telewizja programowo nie pokazywała - rekonstrukcje gwałtów i zbrodni w polskich realiach. Ofiary smarowano keczupem, a amatorzy w rolach morderców wypadali niezwykle przekonująco. Raz po raz przechodnie dostarczali ich na posterunek milicji. Siła programu

była tak przemożna, iż nie dało się ludziom wytłumaczyć, iż zatrzymani tylko grali zabójców. Za to w pierwszych latach nadawania 997 telewizzowie wydali organom ścigania przeszło 200 groźnych przestępców.

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

ter

V

re

To nie była wyłącznie transmisja wiadomości, pogadanek i muzyki. Dla ludzi tamtego ustroju radio było drugim życiem. Czasem nawet bardziej prawdziwym niż ich własne.

Gwiazdotwórstwo

Radio wylansowało setki gwiazd. W 1957 roku I Ogólnopolski Konkurs Piosenkarzy wygrała mało znana Sława Przybylska, co stało się dla niej startem do kariery. W 1963 roku, kiedy Polskie Radio współorganizowało I Festiwal Piosenki w Opolu, miało już nową gwiazdę - Ewę Demarczyk. Wkrótce pojawiły się następne, bo od tego samego roku działało Radiowe Studio Piosenki, którym kierowała m.in. Agnieszka Osiecka. Marek Grechuta, Maryla Rodowicz, Skaldowie - ich wszystkich wypromowało Studio. Ale radio mogło się poszczycić nie tylko piosenkarzami. W roku 1968 największymi indywidualnościami eteru okazali się: dziennikarze muzycyści Lucjan Kydryński i Jerzy Waldorff, sprawozdawca sportowy Bohdan Tomaszewski oraz aktorki Irena Kwiatkowska i Hanka Bielicka.

Emisja powieści radiowej Matysiakowie (1975)

Zakaz modlitwy

Kościół był dopuszczany do radia z rzadka i niechętnie. W czasach stalinizmu nie mogło być mowy o audycjach religijnych. Transmisję nabożeństwa nadano dopiero 24 grudnia 1956 roku. Wigilijne kazanie wygłosił wówczas do wiernych Prymas Polski, kardynał Stefan Wyszyński. To był jednak ewenement. „Program radiowo-telewizyjny w okresie świątecznym ani jednym słowem nie zrobił aluzji do tego, że jest to okres Wielkiej Nocy. Program był »normalny« jak co tydzień, a nawet słabszy niż zwykle. A przecież Wielkanoc jest świętem oficjalnym, co więcej - miliony ludzi w Polsce obchodzi to święto w sposób religijny” - pisał w 1963 roku w interpelacji do premiera Józefa Cyrankiewicza poseł klubu Znak, Stefan Kisielewski. Audycje religijne na stałe wróciły na antenę dopiero w 1989 roku.

Lekko i z festynem

Z roku na rok radio poszerzało swoje możliwości. W 1969 transmitowało za pośrednictwem centrum lotów kosmicznych w USA lądowanie statku „Apollo 11” na Księżycu. 1 lipca 1971 nadano po raz pierwszy Lato z radiem,

^RODZINA NA PODSŁUCHU

„Ludzie przez wiele lat byli przekonani, że ta rodzina istnieje naprawdę. A w ich mieszkaniu założony jest podsłuch. .. Wystarczyło, żeby Józiu Matysiak raz westchnął, że w Wiśle ryby wytrute i nie ma gdzie łowić, a od razu przyszło zaproszenie od wędkarza: «Panie Matysiak, niech pan się nie martwi. Weź pan wędki i przyjeżdżaj pan do mnie, do Węgorzewa»” - wspominał Jerzy Janicki, współautor powieści radiowej Matysiakowie. Jej pierwszy odcinek nadano 15 grudnia 1956 r.

III

III

GŁOS ODNOWY^ „Nie o poprawki dziś chodzi do starego systemu wyrosłego z założeń i praktyki kultu jednostki, lecz o zmienienie całego systemu i wypracowanie nowych form gospodarki socjalistycznej, nowych form rządzenia państwem i pracy w Partii” - deklarował na falach eteru w 1956 r. przewodniczący Radiokomiteu Włodzimierz Sokorski.

Halina Kunicka

emitowane w całości na żywo, co było wówczas rzadkością. Podobnie jak łączenie audycji z konkursami i festynami. Lato z radiem wylansowało zresztą licznych prezenterów, m.in. Tadeusza Sznuka, Marię Szablowską czy Jacka Kalabińskiego. W sylwestra 1972 roku program radiowy po raz pierwszy popłynął przez całą dobę. A dwa lata później na antenie zagościł Radiokurier, pierwszy serwis informacyjny prezentujący wiadomości lekko, szybko i dowcipnie.

Szlaban na mikrofonie

Bitwa o swobodny dostęp do eteru rozgorzała po Sierpniu '80. Od początku 1981 roku w studiach radiowych po cichu realizowano audycje Radia „Solidarność” dla radiowców zakładowych. Stylu zarządzania radiem znanego sprzed sierpniowego przełomu nie można już było przywrócić. „Towarzysze! W ostatnim okresie jeszcze ostrzej wystąpiła utrata wiarygodności informacyjnej i publicystycznej centralnych programów PR i TV” - ostrzegali partyjni radiowcy członków KC PZPR wiosną 1981 roku. 13 grudnia tego samego roku budynki radiowe zajęła grupa komandosów. Przerwano nadawanie, internowano 32 pracowników radia i telewizji. W trakcie weryfikacji z obu tych instytucji usunięto około 300 osób. Tymczasem pierwszą audycję niezależnej rozgłośni Radio „Solidarność” wyemitowano już cztery miesiące po wprowadzeniu stanu wojennego.

Rewelacyjna walizkowa Melodia

Zmieniała się też aparatura radiowa. „Zakłady Kasprzaka, oprócz supernowoczesnych odbiorników »Bolero«, »Etiuda« i »Tatry« wystawiły trzyzakresową »Szarotkę« w torebce skórzanej, odbiornik samochodowy »Żerań« oraz bardzo estetyczną szafę muzyczną (odbiornik radiowy z gramofonem, względnie magnetofonem). Rewelacyjny jest magnetofon walizkowy »Melodia«, który w rozwiązaniu konstrukcyjnym nie ustępuje wielu magnetofonom zagranicznym” - informował tygodnik „Radio i Telewizja” po Targach Poznańskich w 1959 roku.

Stereo z telewizora

Nowinki technologiczne radio przyjmowało z pewnym trudem. Pierwszej audycji stereofonicznej, nadanej 7 lipca 1961 roku, można było wysłuchać, używając jednocześnie radia i telewizora. „Aby odebrać pełne poczucie plastyki płynących z przestrzeni dźwięków, słuchacze powinni równocześnie włączyć radio i telewizor oraz umieścić je w pewnej od siebie odległości - najlepiej w dwóch sąsiednich kątach pokoju” - zalecał tygodnik „Radio i Telewizja”.

Trójka od początku

„Podjęto współpracę z akademickimi grupami twórczymi, dopuszczając na antenę kabarety studenckie, początkujące zespoły i amatorów, wpuszczano na antenę obrazoburców jazzowych” - tak dziś w Internecie wspominają swoją historię twórcy radiowej Trójki, która została uruchomiona w 1958 roku. Początkowo re-transmitowano w niej tylko audycje dwóch pozostałych programów Polskiego Radia. Pełną samodzielność Trójka uzyskała dopiero cztery lata później. Była uważana za mniej znaczącą stację i dlatego zezwolono jej dziennikarzom na nieco więcej swobody.

1 07

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Szron na głowie, w sercu maj

„Emisja Kabaretu to było święto w polskich domach” - wspominał Wojciech Młynarski.

Najbardziej elitarny kabaret o najszerzej publiczności. Do dziś.

Uśmiech stalinowskiej Polski

Jeremi Przybora (rocznik 1915) po maturze wygrał konkurs na prezentera radiowego i prowadził audycje kulturalne w niedawno uruchomionym Polskim Radiu. Kompozytora Jerzego Wasowskiego (rocznik 1913) poznał podczas obrony Warszawy we wrześniu 1939 roku. Potem raz po raz stykali się, działając w konspiracji. W trakcie powstania

warszawskiego Przybora był spikerem w Radiu Powstańczym. Po wojnie wrócił do radia i zajmował się audycjami kulturalnymi. Pracował tam też jako technik Wasowski. W 1948 roku stworzyli radiowy teatr satyryczny Eterek. Kabaret podobał się dzięki delikatnej drwinie z porządków socjalistycznych. Jeden z krytyków nazwał ten program „najszerzym uśmiechem stalinowskiej Polski”.

Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski

Przedwojenny wzór

Temu duetowi nowo powstała Telewizja Polska zaproponowała prowadzenie własnej audycji. Kabaret Starszych Panów miał - wedle zamysłu autorów - dotrzeć do przedwojennej inteligencji, która przetrwała okupację i ubeckie prześladowania. Stąd niemodne smokingi i cylindry. Starsi Panowie trzymali w rękach szykowne laseczki, ale nie po to, by się nimi podpierać. Były to gadzety arystokracji, do której nawiązywali. Łączyły ich z nią także nienaganne maniery wykwinna elegancja, wystylizowana polszczyzna, szacunek dla dam. Polska ze snu

Przybora i Wasowski nie wydrwiwali absurdów PRL-u, bo to groziłoby natychmiastowym zdjęciem programu z anteny. Za to przenosili widzów do innego, subtelnego świata, gdzie reguły „socjalistycznego współżycia” po prostu nie obowiązywały. Za to wymagana była wysoka kultura osobista oraz wyrobienie intelektualne. Polska ich marzeń mogła się tylko przyśnić, jak w piosence Dobranoc: „Dobranoc, ojczyzno / Już księżyc na czarnej lśni tacy / Dobranoc / I niech ci się przyśnią / pogodni, zamożni Polacy / Że luźnym zdążają tramwajem / Wytworną konfekcją okryci / I darzą uśmiechem się

' UCIECZKA PRZED MIZERIĄ

' „Śmiesz! go patos. Interesowała, ale i przerażała polityka. Bolało to, co dzieje się z naszą ojczyzną. Z naszymi »nie do czysta wymytlimi rodakami. I zawsze ucieka) przed mizerią tego świata. Sluchat Bacha, Mozarta, dobrego jazzu. Nie przepadał za teatrem, uwielbia) kino” - mówiła o Jeremim Przyborze Magda Umer.

1 08

Herosi popkultury

wzajem / I wszyscy do czysta wymytl / I wszyscy uczciwi od rana / Od morza po góry, aż hen / Dobranoc / Ojczyzno kochana / Już czas na sen”.

Inteligencja z własnym krzeselkiem

Już pierwszy odcinek Kabaretu wyemitowany w październiku 1958 roku przyciągnął przed telewizory tłumy. Inteligencja oglądała go z „telewizorów osiedlowych”. Przychodziło się po prostu z własnym krzeselkiem do sąsiadów, którzy mieli odbiornik. W jednym pokoju tłoczyło się po kilkadziesiąt osób. W inteligentnych domach gościli wówczas: Pani Hrabina grana przez Irenę Kwiatkowską, Spory i Nieduży, czyli Mieczysław Czechowicz i Wiesław Michnikowski, czy Upiór w wykonaniu Wiesława Gołasa.

Publiczność z przyjemnością słuchała eleganckiej polszczyzny. Bo ta stanowiła piękny kontrast dla języka zepsutego przez realny socjalizm, pełnego propagandowej nowomowy, wulgaryzmów

KOMPLEKSY TO MOJA) SPECJALNOŚĆ Wiesław Michnikowski był nie tylko gwiazdą Kabaretu Starszych Panów, ale także kabaretu Dudek czy radiowego Podwieczorku przy mikrofonie. Z dużym sukcesem wykonywał też piosenkę aktorską. Jego specjalnością była postać człowieka skromnego, trochę zakompleksionego i bezradnego wobec świata.

i żargonu „klasy robotniczej”. Obaj panowie przekazywali wzór dobrego, staropolskiego wychowania. To na nich wzorowali się późniejsi twórcy kabaretowi - Wojciech Młynarski, Jan Pietrzak, Jonasz Kofta. Do tekstów Przybory Jerzy Wasowski tworzył niezapomniane melodie. Przez całe życie skomponował blisko 700 piosenek.

Odeść przed przesytem

Kabaret ukazywał się regularnie osiem lat. Aż do końca, czyli do 1966 roku, był jednym z najczęściej oglądanych programów telewizyjnych. O jego zakończeniu zdecydował sam Przybora, który uznał, że minęło już wystarczająco dużo czasu, by zadomowić się w pamięci publiczności. Uważał, że trzeba odejść u szczytu sławy, a nie wtedy, kiedy widzowie poczują przesyt. Dzięki temu widzowie zapamiętali Starszych Panów takimi, jakimi ich widzieli na ekranie: pogodnych, szarmanckich, we fraku z goździkiem w butonierce...

Kuplety Starszych Panów

Znaleźliśmy się w wieku, trudna rada, że się człowiek przestał dobrze zapowiadać, ale za to z drugiej strony cieszy się, że się również przestał zapowiadać źle.

Starsi panowie, starsi panowie, starsi panowie dwaj. Już szron na głowie, już nie to zdrowie, a w sercu ciągle maj.

fragment piosenki Kabaretu Starszych Panów

Przebrani za własnych ojców

„Mówią nam, żeśmy relikty historii, odpadki dziejów - proszę bardzo, niech będzie. Obaj z Wasowskim jesteśmy wprawdzie ledwo po czterdziestce, ale przebierzmy się za własnych ojców w niemodnych zakietach, sztuczkowych spodniach i cylindrach. Bądźmy elegancy. Wąchajmy róże i czcijmy płeć żeńską. Widząc intruza wnoszącego kubek śmieci na nasze podwórko, nie bijmy go od razu w mordę, ale grzecznie spytajmy: »Z innego bloku pan uczęszcza na ten śmietnik?«" - tak Jeremi Przybora uzasadniał nazwę Kabaret Starszych Panów.

Szacowni kontynuatorzy

Koniec Kabaretu Starszych Panów nie oznaczał wycofania się Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego z satyry. Stworzyli oni cykl telewizyjny Divertimento (1978), a wreszcie Kabaret Jeszcze Starszych Panów (1980). Jednak żadne z tych dokonań nie zapisało się na dłużej w pamięci widzów. Pozostali autorami Kabaretu, zwłaszcza że piosenki pochodzące z programu żyły już własnym życiem. Wykonują je coraz to nowi artyści - od Magdy Umer po Grzegorza Turnaua.

1 09

Symbol najwyższej „przedwojennej” klasy wyżyn sztuki aktorskiej. W dodatku bardzo trwały: działał aż 10 lat.

\X*P*~_JIC9*

.©#>

&V

Nocna praca nad tekstem

i\ laczego akurat w 1964 roku? Nie wiem. Nikt ■JI^ nie udzielił konkretnej odpowiedzi na to pytanie - opowiadał Edward Dziewoński - koledzy podsuwali takie pomysły - zrób coś, a może... -i w połowie roku nastąpiło »rozkręcajko«. Siedzi-wesoło, nie odczuwaliśmy zmęczenia, bo wszyscy czuli, że rodzi się coś wspaniałego" - wspominała Irena Kareł.

Genialny Sęk

„Dudek był naładowany energią i entuzjastycz-

bą kabaretu stała się stołeczna kawiarnia Nowy nie wierzył w powodzenie tego przedsięwzięcia -

Świat, usytuowana na rogu Nowego Świata i Świętokrzyskiej. Była to świetna lokalizacja, choć sala nie najlepiej nadawała się do występów. Podczas programu słychać było hałas talerzyków i łyżeczek uderzających o szklane blaty. W oczy szczypał dym papierosowy, ponieważ pomieszczenie miało kiepską wentylację. Nad estradką zawieszono napis «Upupa Epops», co było łacińską nazwą Dudka". Nazwa kabaretu wzięła się właśnie od żartobliwego

przezwiaka, jakim koledzy nazywali Dziewońskiego. Trzon personalny zespołu tworzyli panowie: Dziewoński, Wiesław Gołas, Wiesław Michnikowski i Jan Kobuszewski. Damską gwiazdą kabaretu była Irena Kwiatkowska. Próby trwały nocami, ponieważ aktorzy mogli poświęcić się kabareto-

Masz zawód bez reakcji ze strony publiczności można o dupę potłuc -Edward Dziewoński mówił Wojciech Młynarski. - W to, że ma najlepszych aktorów, autorów i że w ogóle wszystko jest naj! I to było wspaniałe. Niestęchanie mobilizujące. Byłem w siódmym niebie". Artyści grali nie tylko w Warszawie. Objechali największe miasta Polski. Kiedy na występy do Krakowa przybyli mocno spóźnieni z powodu gołoledzi, musieli zacząć program o północy -nikt z widzów nie zwrócił biletów. Z podobnym entuzjazmem zespół spotykał się podczas występów dla amerykańskiej Polonii. Dudek przyciągał widzów dyskretną, „przedwojenną” elegancją. Za cel stawiał sobie „przypomnieć to, co było najwspanialsze w przedwojennym kabarecie - pisał Roman Dziewoński, syn Edwarda - teksty piosenek, które można zaliczyć do najpiękniejszych wierszy. Pol-
wi dopiero po występach w teatrze oraz nagra- szczyzna Hemara, Tuwima. Przekazać choć cień niach w radiu i telewizji. „Było sympatycznie, tamtego blasku nowym autorom. Dać możliwość

1 1 0

Herosi popkultury

mistrzowskiego popisu w dwu-, trzyminutowym skeczu czy monologu". Jeden z takich skeczy, rozmowa dwóch drobnych żydowskich kupców, do dziś uchodzi za najlepszy numer w historii polskiego kabaretu. „Bardzo rzadko też, raz na pięćdziesiąt lat, zdarza się taki tekst jak Sęk, który oczywiście trzeba umieć powiedzieć, ale który jest genialny - wspominał Dziewoński. - Myślę, że to najśmieszniejszy utwór, jaki w swej karierze napisał Konrad Tom, a popełnił przecież bardzo dużo śmiesznych kawałków. Rozmawiając kiedyś z Michnikowskim o naszym aktorskim żywocie, doszliśmy do wniosku, że chociaż zagraliśmy sporo i mamy osiągnięcia, to w pamięci publiczności zostaniemy jako Rapaport i Goldberg. Sęk jest nie do przebiccia".

/X PEŁNY ASORTYMENT SKECZY

„Co sktada się na dobry kabaret: dobre teksty i dobrzy wykonawcy. Jednym i drugim dysponuje Dudek w pełnym asortymencie. W sumie mamy kabaret w Warszawie kontynuujący dobre tradycje i udowadniający zbędność i nicość różnych wystraszonych znaków ostrzegawczych. Są świetni artyści i bardzo dobre, cięte teksty. Trzeba ino chcieć" - „Trybuna Ludu" (1965).

Piosenka dla ostrego podlotka

Kochany Dudku - w dniu pierwszego września przesyłam ci serdeczne życzenia pomyslnego roku szkolnego oraz piosenkę. W zamierzeniu miał to być bigbit (ładna pisownia???) z podtekstem. Nie wiem, co wyszło. Może śpiewać Basia albo ostry podlotek, co pan każe. Muzyka się pisze.

Gdyby Ci się nie spodobała piosenka, to zawsze Ci się ta piosenka przyda ze względu na urodę koperty (pochodzenie zagraniczne).

Piszę piosenkę dla Ciebie zaczynającą się od słów „Cichy, samotny, poszukuje pokoju" - ale nie wiem, czy mi się uda. Pa, zadzwoń. Kłaniaj się swojej pani -

Agnieszka hrabina Osiecka (nie mam pióra, ale wiem, że trzeba się podpisywać ręką)

list zacytowany w książce Edwarda Dziewońskiego W życiu jak w teatrze

Pieprzna ballada

Słów kilka w sprawie pewnychjacetów chcę tu wygłosić, lecz zacząć muszę nie od konkretów, a od przeprosin. Skruszon szalenie o przebaczenie pokornie proszę, że trochę pieprzna będzie balladka, którą wygłoszę, lecz mam nadzieję, że choć się w słowie tutaj nie pieszczę, to wybaczycie mi to, panowie, razjedenjeszcze.

A więc, faceci wokół się snują, co są już tacy, że czego dotkną, zaraz popsują w domu czy w pracy, gapią się w sufit, wodzą po gzymsie wzrokiem niemiłym, na niskich czołach maluje im się straszny wysiłek. Bo jedna myśl im chodzi po głowie, którą tak streszczę: Co by tu jeszcze spieprzyć, panowie, co by tu jeszcze?

fragment piosenki Wojciecha Młynarskiego wykonywanej przez Dudka

Efekt koniunktury estradowej

Jak to jednak ten czas leci, Łzy wzruszenia z oczu płyną: Jeszcze jeden, jeszcze jeden, Jeszcze jeden Dudkajnał. I choć może to banalne, Jedna rzecz mnie cieszy szczerze, Że spędzamy czas w normalnej, Miłej, ludzkiej atmosferze.

Praca dobra - brawa z góry, Garnitury - pensja z glony, Efekt wyższej koniunktury

Polityczno-es trądowej.

A więc zamiast głądzić długo, Rąbną w sedno, że aż miło: Państwa głównie to zasługa -Bez was Dudka by nie było!

piosenka śpiewana podczas finału programu

1 1 1

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

p©calucie *as w usta!

Aby żart był udany, musi oscylować między elementarzem a Panem Tadeuszem - mawiał Zenon Laskowik. Jego dowcipom było bliżej do elementarza, ale dzięki temu powtarzała je cała Polska.

Konflikt psychiczny Szybko zaczęły się też problemy z cenzurą. Naj-Kabaret Tey okazał się zupełnym zaskocze- większe szykany spotkały członków Teya po zło-

niem i odkryciem. Wyniósł Złotą Szpilkę" - żeniu do zatwierdzenia tekstu Quo vadis, pieronie.

pisał tygodnik „Szpilki” w 1973 roku po opolskim Urzędnicy myśleli, że to aluzja do Gierka. Zespół

festiwalu. Na ten sukces Zenon Laskowik i jego koledzy pracowali jeszcze w latach 60. jako studenci. Ojciec Laskowika chciał, aby chłopak studiował na Wydziale Mechanicznym Politechniki Śląskiej. „Szybko stwierdziłem, że interesuje mnie nie maszyna, lecz człowiek, który ją obsługuje - wspominał artysta. - Pali peta, klnie na czym świat stoi i pogardliwie słucha, jak pan docent objaśnia nam, studentom, działanie tej maszyny. Docent zna teorię, robotnik zna maszynę. A ja obserwuję ten konflikt psychiczny i już mnie to śmieszy". Kiedy w 1971 roku wystąpili w Gnieźnie z pierwszym programem Czemu ni ma dżymu, tamtejszy sekretarz partii musiał wyjaśniać w Komitecie Wojewódzkim, że dżem nie tylko jest w sklepach, ale w dodatku w trzech odmianach smakowych.

Dowcip zerwany z łańcucha

Kiedy w 1971 roku Tey dawał w Poznaniu premierę w salce na 200 miejsc, Laskowik doprosił na widownię swoich kolegów studentów. Nikt z kabareciarzy nie wierzył bowiem, że przyjdzie choć setka widzów. Wystarczyło jednak publiczności, aby grać dwa razy w tygodniu. Fenomen kabaretu polegał na tym, że mówił głośno to, co ludzie myśleli po cichu. Często w obecności tych, którzy zabraniali tak myśleć.

Czas to widz -maksyma Zenona Laskowika

pozbawiano kolejnych siedzib. Jednak jego popularności nic nie było w stanie osłabić. Z końcem lat 70. kabaret przeniósł się do telewizji. Program S tyłu sklepu pokazano najpierw z małego ekranu, a potem wydano na kasecie magnetofonowej. W ten sposób dowcipy Teya trafiły na ulicę.

^ PELAGIA, KTÓRA MOŻE

Bohdan Smoleń dotaczył do kabaretu Tey dopiero w 1976 r. Cztery lata później Polska oszalata na punkcie skeczu, w którym zagra! Pelagię. Kiedy w 1983 r. na festiwalu w Opolu

wygłosił słynny monolog Aaa tam, cicho być!, otrzymał główną nagrodę w konkursie kabaretowym, ale też zakaz występów od kierownika Wydziału Kultury KC.

1 1 2

Herosi popkultury

Zwierzę estradowe

Motorem występu był Laskowik, który na estradzie czuł się w swoim żywiole. Słynął z improwizacji. Kiedy z zewnątrz posłyszał szczekanie psa, rzucił: „O, znowu kogoś gonia!”. Wiadomo, chodziło o milicję. Anonsując znanego wrocławskiego satyryka, który nie grzeszył urodą, uprzedził: „Jan Kaczmarek, prosimy nie regulować odbiorników”. A kiedy na koncertach polonijnych zapowiadał piosenkarkę Magdę Umer, występującą w czarnej sukience, powiedział: „Wybaczą państwo, ale pani Magda prosto z pogrzebu mamusi”. Samego Laskowika koledzy tytułowali „bogiem”. Jego ojciec miał na imię Józef, a matka - Maria.

Donosimy zawsze i wszędzie

W 1988 roku Tey rozpadł się ostatecznie, a dwa lata później Laskowik zaczął roznosić listy i emerytury do 400 „punktów doręczeń” na poznańskim Grunwaldzie. Kiedy dawni fani pytali, dlaczego nie występuje, odpowiadał: „A przeciw komu?”. Laskowik swój nowy zawód traktował jak najbardziej poważnie jako „służbę na powierzonym rejonie ku chwale III RP”. Przeżył też przebudzenie religijne - trzykrotnie pielgrzymował do Częstochowy. Nie znaczy to jednak, że stracił poczucie humoru. „Donosimy zawsze i wszędzie” - takie hasło reklamowe zaproponował Poczcie Polskiej. Za komuny śmieszył, rozszyfrowując słowo „SKLEP” jako skrót: „Stój Kliencie Lub Ewentualnie Poproś”. Teraz proponuje wersję: „Szanowny Kliencie Licz i Ewentualnie Płać”.

Pochodzenie „Siary”

W kabarecie Tey wychował się m.in. Janusz Rewiński. Polacy zapamiętali go jako wykonawcę monologu Fiut, czyli film i uwentualnie telewizja. Rewiński przyznaje, że to, czego się nauczył od Laskowika, wykorzystał później, grając Miśka w kabarecie Olgi Lipińskiej. Postać tego prominenta zaprowadziła go do Polskiej Partii Przyjaciół Piwa. Z założenia miała być żartem, ale żarty się skończyły, kiedy partia znalazła się w sejmie. Kabaret Tey na Międzynarodowej Wiosnie Estradowej (1978)

Na granicy

Laskowik: -Dobry wieczór Państwu! Jest rok 1980 i jak się okazało, jest to wszystko, co mamy. Mieliśmy stąd ogromne trudności z obsadą tego widowiska, ale jakoś z tego wybrnęliśmy. Znaleźliśmy kilku uczciwych ludzi. Są nimi celnicy. Brakowało nam tylko przemytników i w tej roli serdecznie Państwa witamy. Jesteście przemytnikami przemytu ciężkiego. Ufam, że dacie sobie radę. W końcu 35 lat w tej roli musi wreszcie przynieść Oscara. My na scenie reprezentujemy przemysł lekki. Przemycamy, co się da, w prasie, radiu i telewizji. Gołębiowski (celnik): (rzuca walizkę) -Po odprawie! L.: - Co ona taka lekka? C: - Mówię przecież, po odprawie. L.: - Płacę coś za to? G.: - Dwa dolary.

L.-. -A ma pan wydać z 10, bo wczoraj kupiłem chleb, masło i śmietanę w Peweksie? G.: - Mam, ale tylko w bonach. L.: -To taki nowy bon ton. Chodźmy na stronę, bo jak ludzie widzą „zielone”, to głupieją... Co pan mi bonem na cukier wydaje?

fragment programu z 1980 roku

1 1 3

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Kwiatek do

Nadchodziły najtwardsze czasy stalinowskie, a Jerzy Borejsza prowadził największy w Polsce komunistyczny koncern wydawniczy „Czytelnik”. Ale nawet ten aparatczyk nie traktował stalinizmu tak serio, by nie wydawać przynajmniej jednego pisma bulwarowego. To pismo nazywało się „Przekrój”

Wielka nadzieja Borejszy

Pierwszy numer wyszedł w Krakowie 15 kwietnia 1945 roku, dwa miesiące po wyzwoleniu miasta. Takie tempo nadawał redaktor naczelny Marian Eile, który świetną szkołę przeszedł w przedwojennych „Wiadomościach Literackich”. Władza zaczęła się natychmiast domagać, żeby redakcja choć na odczepnego dała do zrozumienia, w jakim kraju funkcjonuje. Już w maju do Krakowa wpadł Borejsza, żeby przywołać Eilego do porządku. A Eile - jak kamień w wodę. Nie można go było znaleźć w całym mieście. Wściekły Borejsza wyjechał, a pismo dalej nie publikowało komunistycznych haseł. Ta zabawa trwała następne ćwierć wieku. Kraków leżał na uboczu. Tu, zanim nadeszła decyzja z centrali, numer był już często pod prasą drukarską. „A jeżeli chcecie nas mieć pod okiem w Warszawie, dajcie mieszkania całemu personelowi” - żądał Eile, zdając sobie doskonale sprawę, że był to warunek nie do spełnienia.

Sztuczki zamiast ideologii

Eile wiedział, co robi. Taka pogardzana bulwa-rówka mogła czytelnikom pokazać, pod byle jakim pretekstem, dużo zachodniego świata. I skłaniał czytelników do myślenia: a to wymyślcie pomysłówą zabawkę dla dziecka, a to napiszcie najciekawszy list ze wsi. Redaktor naczelny wprowadził też na ostatnią stronę historie komiksowe. Cytował zabawne przejęzyczenia z uczniowskich wypracowań. Dbał o to, by tekst był merytoryczny i przejrzysty. Dlatego z reguły skreślał pierwszy i ostatni akapit, a całość jeszcze opatrywał dopiskiem: „Ten tekst czyta się w trzy minuty”. Powtarzał, że robi gazetę „dla wyrafinowanych sprzątaczek i prostych ministrów”.

Wieczorowy uniwersytet „Przekroju”

Poza tym Eile miał szczęśliwą rękę do ludzi. Obiecującemu autorowi zawsze znalazł coś twórczego do roboty. Janinę Ipohorską zaprzął do porad z zakresu savoir-vivre'u i polecił przybrać męski

SATELITA PARTII Jerzy Borejsza - przy wszystkich wadach - miał jedną zaletę: uważał, że do socjalizmu należy dochodzić drogą ewolucyjną. Dlatego jego nacisk na „socjalizację” mediów był umiarkowany. Ściągnął do współpracy z wydawanymi przez Czytelnika tytułami tak różnych publicystów, jak Zygmunt Kałużyński czy Artur Sandauer.

iriKaazt.

KUFI

-JAZDA PO PILE

„Przekrój” na krawędzi znalazł się raz, w 1951 r. Wówczas władza oficjalnie oskarżyła pismo o kontrrewolucję. Redakcja okazała się nieostrożna, opublikowała bowiem artykuł o znaczeniu białka zwierzęcego w diecie dziecięcej akurat w momencie drastycznego kryzysu na mięsnyim rynku. Cudem udato się utrzymać pismo przy życiu.

pseudonim Jan Kamyczek. Lucjanowi Kydryńskiemu kazał przedstawiać wielkich artystów soul i jazzu. Barbarę Hoff zachęcał do pisania o modzie i z czasem uczynił ją największą polską sty-listką. Edmundowi Osmańczykowi podsuwał trudniejsze pytania: „Czy tańczenie rock and rolla to zbrodnia?”. Osmańczyk odpowiadał: „Tak, mniej więcej taka sama jak oberka czy czardasza”. Drugie życie „Przekroju” toczyło się poza murami redakcji - w niezliczonych knajpach, gdzie w luźnej atmosferze zbierało się pomysły i recenzowało już wydane numery. Poeta Ludwik Jerzy Kem pisał, że skończył w życiu jedną poważną uczelnię - wieczorowy uniwersytet „Przekroju”. Redaktorzy mieli tyle fantazji, że podczas wakacji powoływali - dla zgrywy - amatorski kabaret Siedem Kotów. Wydał on wielką gwiazdę - Irenę Kwiatkowską.

Wszystko odbywało się w Jastarni, gdzie przez lata gromadnie się zatrzymywali. Jednak władza wygrała i z tym zespołem. W 1969 roku zmuszono Eile-go do pożegnania się z „Przekrojem”. Oznaczało to powolny upadek tytułu.

Nakład pisma był początkowo umiarkowany -250 tysięcy egzemplarzy. Tygodnik równie dobrze rozchodził się w Polsce, jak i w innych krajach bloku wschodniego. Po kilku latach drukowano 750 tysięcy każdego numeru, nie było zwrotów, a i tak „Przekrój” trzeba było sprzedawać spod lady. Zdarzało się, że rozchodził się w milionowym nakładzie. Władza zawiściła. Bo tak popularna powinna być „Trybuna Ludu”. A nie była.

Literatura kawiarniana

Eile miał też gust literacki. Drukował pisarzy modnych. Takich, których lekturą dobrze byłoby się pochwalić w kawiarni. Kogóż w „Przekroju” nie było? Czytelnicy na łamach pisma mogli znaleźć m.in.: opowiadania o profesorze Tutce Jerzego Szaniawskiego czy Kwiaty polskie Juliana Tuwima, poza tym utwory „Wiecha”, Stanisława Dygata, Kornela Makuszyńskiego, Jana Brzechwy. Z zagranicznych twórców natomiast publikowani byli: Franz Kafka, Jean Paul Sartre, Jorge Luis Borges oraz Ernest Hemingway.

W obronie Zaczarowanej dorożki

W 1946 roku do „Przekroju” dołączył Konstanty Ildefons Gałczyński. Był związany z pismem przez kilka ostatnich lat życia. Drukował tu Listy z fiołkiem, bajki z cyklu Ezop świeżo malowany oraz niezapomniane liryki, takie jak Zaczarowana dorożka czy Kronika olsztyńska. Kiedy poeta zapędził się nieco w satyrze na ustrój, Eile brał go pod ramię, prowadził w ustronne miejsce i już wierszyk stawał się politycznie dopuszczalny. Ale to nie wystarczało. W 1950 roku rozpętała się nagonka na Gałczyńskiego. Oskarżono go o „drobnomieszczaństwo” i „brakzaangażowania”. „Przekrój” go bronił, ale nie bardzo umiał mu pomóc.

ZAMAWIAM SERIĘ

Redaktor naczelny „Przekroju” nigdy nie namawiał nikogo do napisania jednego tekstu - domagał się od razu całej serii. W ten sposób na Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim wymusił Teatrzyk „Zielona Gęś”, na Zofii Nałkowskiej cykl portretów Charaktery, a na Pawle Jasienicy Polskę Jagiellonów.

1 1 5

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Kiedy po 36 latach oczekiwania straciliśmy już nadzieję, Polska zakwalifikowała się do mistrzostw świata w RFN w 1974 roku. To było narodowe święto. Nie przypuszczaliśmy, że czeka nas jeszcze większe.

Górski i 5eg©

©rły

Polscy kibice na mistrzostwach świata w RFN (1974)

Ж

Mistrzowski przypadek

adość zapanowała już w 1973 roku, kiedy drużyna Kazimierza Górskiego „zwycięsko zremisowała” (1:1) na Wembley. Układ w naszej grupie był taki, że aby wejść do finałów, Anglia musiała wygrać z Polską, ale nam do awansu wystarczył remis. Atmosferę przed spotkaniem podgrzewały angielskie media. Polakom starano się na wszelkie możliwe sposoby pokazać, gdzie jest ich miejsce. Doszło do tego, że w trakcie „rozruchu przedmeczowego” dzień przed pojedynkiem naszym zawodnikom zgaszono światło. Podczas meczu polscy piłkarze z trudem wytrzymywali napór Anglików, którzy grali zdecydowanie lepiej.

Kazimierz Deyna na środku pola wielokrotnie spowalniał ataki przeciwników, a Jan Tomaszewski bronił z talentem. W 57. minucie, po doskonałej

ŚWIETNI ZAWODNICY, SŁABY ZESPÓŁ Piłkarzami na skalę europejską

dysponowaliśmy już w 1970 r. na mistrzostwach świata w Meksyku. Włodzimierz Lubański, Kazimierz Deyna czy Robert Gadocha mogliby z powodzeniem występować w każdym liczącym się klubie na świecie. Jednak jako drużyna zawodziliśmy. Dlatego w Meksyku czwarty raz po wojnie ominą! nas finat.

akcji całego zespołu Jan Domarski strzelił „złotą bramkę”. „Przyszła, naszła, zeszła i weszła” - komentował później podanie, które wykorzystał. Kiedy Anglicy wyrównali z rzutu karnego, trener Górski nie wytrzymał, opuścił swoje miejsce i oglądał mecz zza naszej bramki. O remisie przesądziła obrona karnego przez Tomaszewskiego. Ale świat piłkarski i tak uznał nasze zwycięstwo za przypadek.

Mecz na wodzie

Spośród spotkań mundialowych 1974 roku w pamięci fanów futbolu pozostał mecz Polaków z drużyną RFN we Frankfurcie. Niemców uważano powszechnie za pewnego kandydata do złotego medalu. Spotkanie rozegrano w katastrofalnych warunkach atmosferycznych, na murawie, którą pokrywała woda. Piłka niejednokrotnie utykała w kałużach. Mimo to nasi grali z wielkim poświęceniem i w pierwszej połowie zyskali nawet wyraźną przewagę. Niestety, o wyniku na korzyść gospodarzy przesądził jednym golem znakomity strzelec niemiecki Gerd Muller.

1 1 B

Herosi popkultury

S\MYSZ, KTÓRA RYKNEŁA

10. turniejowi finałów w ramach mistrzostw świata w 1974 r. towarzyszyło rekordowe zainteresowanie. Impreza trwała 24 dni, a do rozgrywek ostatecznie zakwalifikowało się 16 reprezentacji. Polacy już dwa lata wcześniej zdobyli złoty medal olimpijski, ale to nie zmieniało faktu, że z naszą drużyną się nie liczone.

Zespół kumpli

Polsce pozostawała walka o srebrny medal z Brazylią. Świetnie bronił w tym meczu Tomaszewski. A strzał Grzegorza Lato po indywidualnym rajdzie zdecydował o wygranej 1:0. W tym spotkaniu Polaków już szanowano. Przestaliśmy być „drużyną, której się udało”. Zaczęto nas uważać za przedstawiciela nowoczesnego futbolu. Ekipa Górskiego bowiem świetnie pokazała, że umie realizować wspólne cele. Poza tym graliśmy rozważnie, niespiesznie i bez faworyzowania któregoś z zawodników. Podkreślano także doskonałą taktykę Polaków i ich zgranie jako „zespołu kumpli”. To zapewniło nam srebrny medal. Tytuł „króla strzelców” zdobył Lato, który aż siedmiokrotnie pokonywał bramkarzy przeciwników. Te zalety drużyny podkreślali trenerzy i eksperci futbolu z całego świata, tacy jak Alf Ramsey czy Alfredo di Stefano. Za „osobowość trenerską” tych mistrzostw uznano Kazimierza Górskiego, a jego „orły” - za największą rewelację tych rozgrywek. Polska weszła na szczyt światowego futbolu. Szkoda tylko, że nie udało się jej tam pozostać.

Tamta reprezentacja Polski to część mojej historii. Bez wątplenia mecz Niemiec z Polską, w półfinale World Cup w 1974 roku, był jednym z dramatyczniejszych spotkań w historii mistrzostw świata. Chwała za to trenerowi Kazimierzowi Górskiemu -piłkarz niemiecki Franz Beckenbauer

Piłkarska otucha

Najważniejsze psychologicznie zwycięstwo ekipa Górskiego odniosła 15 czerwca w Stuttgarcie. Był to pojedynek z reprezentacją Argentyny, która uchodziła za drużynę ze światowego topu. Polacy jednak efektownie wygrali 3:2. Po strzałach Lato (2) i Andrzeja Szarmacha. Wówczas sami uwierzyli, że sukces w poprzednim meczu z Anglikami nie był przypadkiem. W tym przekonaniu umocniły ich media, które podnosiły, że polscy piłkarze grają nowoczesnie i dynamicznie oraz że są groźni jako zgrany zespół. Z takim nastawieniem ruszyli do walki z najlepszymi.

V^ BŁAZEŃSKA POMYŁKA

Przed pamiętnym meczem na Wembley znany trener Brian Clough powiedział: „Ten polski bramkarz, Tomaszewski, to błazen”. Po spotkaniu natomiast angielska prasa okrzyknęła polskiego bramkarza „człowiekiem, który zatrzymał Anglię”.

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Od srebra

v

doi

Po sukcesach na mistrzostwach świata w 1974 roku oczekiwaliśmy kolejnych triumfów.

Było jednak o nie coraz trudniej.

Gmoch jedzie po wszystko

Kazimierz Górski złożył honorową rezygnację z prowadzenia reprezentacji po tym, jak na olimpiadzie w Montrealu w 1976 roku Polska musiała się zadowolić „zaledwie” srebrnym medalem. Jego miejsce zajął Jacek Gmoch. Atutami nowego trenera były udana kariera piłkarska w warszawskiej Legii, dyplom magisterski i członkostwo w partii. Żartowano, że życie upływa mu między domem a siedzibami KC PZPR i PZPN. Najważniejszym egzaminem dla Gmo-cha miał być udział w mistrzostwach świata w 1978 roku w Argentynie. Szczęście nam sprzyjało. Wylosowaliśmy w grupie Meksyk, Tunezję i RFN. Do drużyny wrócił Włodzimierz Lu-bański. Zasilili ją również utalentowani młodzi piłkarze, tacy jak Zbigniew Boniek. W pierwszym meczu zmierzyliśmy się z Niemcami. Obie strony grały na remis i mecz był po prostu nudny. Prasa w kraju pisała jednak pod dyktando o „futbolu z komputera”, a Edward Gierek wysłał drużynie telegram gratulacyjny. Kiedy po zwycięstwie nad Tunezją i Meksykiem okazaliśmy się najlepsi w grupie, trener Gmoch nie krył, iż satysfakcjonuje go tylko tytuł mistrza świata. Niestety, w dalszym toku rozgrywek przegraliśmy z liczącymi się przeciwnikami: Brazylią i Argentyną. To ustawiło nas na całkiem dobrym piątym miejscu. Oczekiwania społeczne były jednak znacznie wyższe, co powodowało nie najlepszą atmosferę w zespole. Trenerowi zarzucano, że upokarza swego dawnego kolegę

/4 BEZRADNY KADROWY

Jacek Gmoch nie dawał sobie rady z drużyną w trakcie przygotowań do mistrzostw w 1978 r. - powtarzał po latach w wywiadach prasowych Zbigniew Boniek. Trener nie umiał stworzyć z graczy prężnego zespołu. Piłkarze dzielili się na rywalizujące ze sobą grupki. W tej atmosferze nie można było zmierzać do sukcesu.

Urbańskiego, sadzając go raz po raz na ławce rezerwowych. Że rotacja zawodników jest za szybka, a w bramce (Jana Tomaszewskiego zastępował Zygmunt Kukla) i w linii ataku dochodzi do zbyt częstych zmian strategii.

Mundial w stanie niepewności

Przygotowania do mundialu w Hiszpanii w 1982 roku odbywały się w nerwowej atmosferze, ponieważ sytuacja w kraju była wysoce niestabilna. Do tego rodzimym środowiskiem piłkarskim targały kłótnie. Dopiero w styczniu 1981 roku drużyna pozyskała trenera, który miał ją poprowadzić do zwycięstw. Był nim Antoni Piechniczek. Miał za sobą występy w Legii, Ruchu Chorzów i reprezentacji Polski. W drugiej randzie eliminacji zagraliśmy z Włochami, Kamerunem oraz Peru. Z Włochami udało nam się zremisować, choć przeciwnicy pokazali mistrzostwo stylu. Niespodziewanie taki

1 1 8

Herosi popkultury

sam wynik uzyskaliśmy z Kamerunem. Piłkarze z Afryki okazali się wybornymi taktykami. Byli też świetnie wyszkoleni technicznie, a polska ofensywa wypadła słabo. W tej sytuacji trener Piechniczek wysunął do ataku Bonka. To był doskonały ruch. W następnym meczu z Peru nasza drużyna przypominała poziomem gry „orły Górskiego”. Wygraliśmy 5:1. Od tego momentu komentatorzy zaczęli prorokować, że możemy w mistrzostwach odegrać znacznie większą rolę. Aby tak się stało, musieliśmy się wykazać w zmaganiach z następnymi, tym razem groźnymi, przeciwnikami: z Belgią i ZSRR. Podczas spotkania z Belgami błysnął Boniek - zdobył aż trzy efektywne bramki. Pokonaliśmy ich 3:0. Po remisie z ZSRR oraz

przegranej z fantastycznymi Włochami pojawiła się szansa na trzecie miejsce. Trzeba było jednak jeszcze zwyciężyć zespół Francji. To się udało w trakcie dramatycznego, ale i stylowego meczu, który zakończył się wynikiem 3:2. Byliśmy trzeci na świecie. Choć tym razem polska reprezentacja wywalczyła nie srebrny, jak w 1974 roku, ale brązowy medal, piłkarze znowu stali się bohaterami narodowymi.

Zjazd po równi

Kiedy w 1986 roku polscy zawodnicy przybyli na mistrzostwa świata do Meksyku, zastali kraj zrujnowany niedawnym trzęsieniem ziemi. Z trudem adaptowali się do temperatur sięgających 40 stopni Celsjusza, zwłaszcza że zakwaterowano ich w pomieszczeniach bez klimatyzacji. Losowanie przeznaczyło nam Maroko, Portugalię i Anglię.

Dwa pierwsze państwa pokonaliśmy bez trudu. Za to Anglicy wbili nam aż trzy bramki, a my im żadnej. W następnej rundzie trafiliśmy na Brazylię, z którą nawiązywaliśmy jako taki kontakt tylko przez pierwszy kwadrans. Potem nasza drużyna pogubiła się całkowicie i przegrała 0:4. W rezultacie w końcowej klasyfikacji zajęliśmy dopiero 14. miejsce. Polski futbol rozłożył się na łopatki i długo miał się nie podnieść.

Zawstydzeni Rosjanie

Mecz z ZSRR, 4 lipca 1982 roku, w Barcelonie miał oczywisty wydźwięk polityczny. W Polsce trwał stan wojenny. Na trybunach rozwieszono transparenty z napisem „Solidarność”, które pokazywało wiele zagranicznych stacji telewizyjnych. Związkowi Radzieckiemu potrzebna była wygrana, nam wystarczył remis. I ten remis drużynie Piechniczka udało się wywalczyć. Rosjanie wyraźnie czuli, że kibice całego świata są im nieprzychylni i poddali się naciskowi trybun. Grali zachowawczo, jakby chcieli jak najszybciej znaleźć się w szatni.

Kłątwa Piechniczka

Po klęsce w Meksyku trener Piechniczek został poddany zmasowanej krytyce. Zapowiedział swoją rychłą dymisję, ale wskazał też przyczyny niepowodzenia. Przypominał, że odchodzi pokolenie piłkarskich gwiazd lat 70., a młodzików w klubach się nie szkoli. Prorokował, że Polska do finałów mistrzostw świata dostanie się za 20 lat. Pomylił się niewiele. Nasza drużyna znalazła się w finałach po 16 latach, w 2002 roku.

Polska ekipa na mundialu w Hiszpanii (1982)

SZCZĘŚLIWA POMARAŃCZA ^ Zainteresowanie mundialem w 1982 r. podgrzewały media. Wzrastająca popularność transmisji telewizyjnych spowodowała, że podjęto decyzję o zwiększeniu liczby drużyn grających w finałach do 24. Maskotką tych mistrzostw była uśmiechnięta pomarańcza o imieniu Naranjito.

1 1 9

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Polskim kolarzom kibicowaliśmy nie tylko po to, by zwyciężyli. Ale także po to, by nie zwyciężyli Rosjanie.

*«>laretwe police

zne

Ryszard Szurkowski zwycięzcą XXIII Wyścigu Pokoju (14.05.1970)

Pod okiem Bieruta

Pierwszy Wyścig Pokoju ruszył w maju 1945 roku, zaledwie kilka tygodni po zakończeniu wojny. W niemieckim Lobau pod Budziszynem 20 żołnierzy z 30. Pułku Artylerii Przeciwpancernej ścigało się na dystansie 25 kilometrów, oczywiście w umundurowaniu i z bronią. Tę ideę podchwycili dziennikarze „Głosu Ludu” (następnie przejęli ją żurnaliści „Trybuny Ludu”), którzy w 1948 roku uzgodnili z kolegami z „Rudego Prava”, że między Warszawą i Pragą odbędzie się wyścig kolarski. Start wyznaczono na 1 maja, ponieważ miało to być wydarzenie sportowe o propagandowym zabarwieniu. Osobisty protektorat nad nim przejęli:

ZWYCIĘZCA HURTOWY

Ryszard Szurkowski był bodaj największą polską gwiazdą Wyścigu Pokoju. Wystartował w nim po raz pierwszy w 1969 r. i od razu stanął na podium. Zwyciężał czterokrotnie - w latach 1970, 1971, 1973 i 1975. Uczestnictwo w tej rywalizacji przyniosło mu z czasem miano najlepszego kolarza amatora na świecie.

w Polsce Bolesław Bierut, a w Czechosłowacji Klement Gottwald. Początkowo impreza nazywała się Międzynarodowy Bieg Kolarski Warszawa - Praga - Warszawa. Miano „Wyścigu Pokoju” zyskała w 1950 roku, kiedy Polski Komitet Obrońców Pokoju ufundował nagrodę dla zwycięskiej drużyny. NRD i gazeta „Neues Deutschland” dołączyły do organizatorów dopiero dwa lata później.

Jadą zwariowani miastowi

W ramach pierwszego wyścigu polscy kolarze jechali z Warszawy do Pragi, a czescy w przeciwnym kierunku. Kiedy rodzimi działacze chcieli sprowadzić rowery z Włoch, oburzyli się pracownicy śląskich Zjednoczonych Zakładów Rowerowych. Zapowiedzieli, że wyprodukują nie gorsze. W rezultacie nasi zawodnicy otrzymali rowery marki Bałtyk. Na zgrupowanie udało się 30 sportowców pod opieką trenera Zygmunta Wisznickiego. Prasa skrupulatnie odnotowała jadłospis kolarzy: na śniadanie dawano im dwie kromki chleba ze smalcem, dwa jajka, bułkę z masłem i białą kawę z kostką cukru. Do reprezentacji zakwalifikowało się 20 zawodników. Gazety szeroko opisywały start tuż przed wyruszeniem pierwszomajowego pochodu: „Plac Zwycięstwa w Warszawie. Godzina 9.45. Na placu zgromadzone dziesiątki tysięcy mieszkańców Warszawy, ustawionych w kolumny. Przed trybuną barwne

1 20

Herosi popkultury

grupy kolarzy. Pada strzał i kolumna kolarzy rusza szpalerem między zebranymi na placu, obsypywana kwiatami i żegnana oklaskami”. Obok sportowców polskich jechali też Rumuni, Węgrzy, Bułgarzy i Jugosłowianie. Razem było ich 65, Po tym pompatycznym warszawskim starcie zawodnicy nie ujechali zbyt daleko. Zatrzymał ich szlaban kolejowy - właśnie przejeżdżał ważny pociąg towarowy. Później podobnych przeszkód było więcej. Jednak najczęściej zamieszania na trasie powodowali kibice, którzy włączali się do wyścigu na własnych rowerach i motocyklach. „Dzieci powiewają chorągiewkami, panienki machają chusteczkami i przesyłają czarujące uśmiechy - relacjonował „Żołnierz Polski”. - Chłopcy włożyli ręce do kieszeni, rozdziawili gęby, podziwiają. Ale Napierała już przemknął, ani się obejrzał, nie ma czasu. Jest gorąco i gospodarze powybiegali z wiadrami, żeby polać kolarzy wodą. Ale nie wolno lać wody. A tak by chcieli czymś pomóc, pokazać, że i oni coś się na tym sporcie rozumieją i coś dla tych zwariowanych miastowych potrafią zrobić”.

wymienić nazwiska najważniejszych zawodników i podać ich bieżące sukcesy. Reporter „Trybuny Ludu” donosił: „Peleton jechał przez lasy między Radomskiem a Częstochową. Na brzegu drogi gromadka dzieci, w rękach chorągiewki, buziaki aż zaczerwienione z emocji. Pytam, czy poznają polskich kolarzy? Odpowiedź natychmiastowa: »Jakżeby nie? Więckowski ma numer 71, Królak 70« - mówi uczeń IV klasy szkoły podstawowej z Jedlna, powiat Radomsko, Marek Szwed”.

„Katastrofiści” i oszuści

Z upływem lat Wyścig Pokoju stał się prestiżową rozgrywką, a zmagania rywali były niekiedy bardzo brutalne. Radziecki kolarz Jewgienij Lichaczow znany był z agresywnej jazdy. Często powodował wypadki, po czym sam sunął do przodu. Dochodziło do tego, że po krótkiej wymianie ciosów z innymi zawodnikami bywał wyrzucany na pobocze szosy. Niehonorowo zagrywali także organizatorzy. Podczas finiszu na jednym ze stadionów w NRD Niemcy otworzyli boczny przejazd, a główny zastawili barierkami. W zamieszaniu zapomnieli jednak uprzedzić o tym swoich zawodników, którzy razem z pozostałymi

uczestniczyli w wielkiej zbiorowej kraksie. Etap wygrał reprezentant Włoch, który przyjechał na stadion jako ostatni.

Polska drużyna podczas Wyścigu Pokoju (Warszawa, 1969)

Kogel-mogel z wiadra

W „wyścigu przyjaźni” panowała atmosfera nieufności. Kolarz Lech Piasecki wspominał, że polscy sportowcy wzbraniali się przed przyjmowaniem wszelkich poczęstunków za granicą - obawiali się, aby nie dosypano im czegoś do jedzenia. Za to w kraju byli obdarowywani wszystkim, co handel miał najlepszego. W latach 80. sklepy mięsne świeciły pustkami, jednak dla kolarzy znajdowała się puszkowa szynka - ówczesny rarytas. Na rynku brakowało jaj, ale przed wyruszeniem na etap przygotowywano zawodnikom dla wzmocnienia kogel-mogel w wiadrze. Kolarze stawali się bohaterami narodowymi. Każdy jako tako rozgarnięty Polak był w stanie

/N W WALCE O RADIOAKTYWĄ KOSZULKĘ

W latach 1985-1986 do organizatorów Wyścigu Pokoju dołączył radziecki dziennik „Prawda” i Związek Kolarski ZSRR, dlatego wyścig rozgrywano wtedy także w Moskwie. Kiedy w 1986 r. trasa biegła przez Kijów, zmuszono kolarzy do startu, mimo że kilka dni wcześniej doszło do katastrofy nuklearnej w Czarnobylu.

1 21

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

Bu:

©senka

Ta impreza miała wylansować polską piosenkę na świecie. Nie powiodło się. Udało się za to sprowadzić trochę tego świata do Polski.

««tamowego sWf

Gwiazdy z łapanki

Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie narodził się we Włoszech. W 1960 roku Ministerstwo Kultury wysłało kompozytora Władysława Szpilmana jako jurora na muzyczną imprezę do Pesaro. Na miejscu wszystko było nie tak: typowo włoski bałagan, kliwne piosenki, niekompetentne jury. „Taki festiwal to potrafimy zorganizować i u nas” - pomyślał Szpilman. Rok później ruszył festiwal w Sopocie. Lokalizację wybrano świetną. W Operze Leśnej były doskonałe warunki akustyczne - jeszcze przed wojną odbywały się tu znakomite inscenizacje wagnerowskie - oraz widownia na 5000 miejsc. Co z tego, skoro amfiteatr nie miał zadaszenia. Kilka godzin przed inauguracją festiwal przeniesiono do hali Stoczni Gdańskiej. I to na dwa lata: do czasu zamontowania w Operze namiotu. Improwizacji było więcej. Wykonawców brano z łapanki. Zgłaszały ich

Alla Pugaczowa (Sopot, 1978)

1

i et PP4E3e

■a , • r::*"":;:;:;: :: l' III

'■"- ■-»...»;;:;:-*"*" ':-:;:

W tej chwili, moim zdaniem dzieją się rzeczy niedobre. Co z tego, że przyjeżdżają nowi ludzie, że niby śpiewają? Ale czy śpiewają lepiej? O czymś ważniejszym? Nic podobnego 1 - Czesław Niemen o sopockim festiwalu (1975)

radiofonie, menedżerowie, niektórzy deklarowali swój udział sami. Uzbierało się ich 17. Jury nie bardzo wiedziało, co nagradzać: piosenkę, wykonanie, tekst? Orkiestra także grywała na wycucie - tylko kilku artystów przysłało wcześniej nuty. Ale gdy Irena Dziedzic z Lucjanem Kydryńskim ogłosili rozpoczęcie imprezy, te niedociągnięcia przestały mieć znaczenie.

Szlagier w przerwie transmisji

Festiwal rozwijał się powoli, ale sukcesywnie. Od drugiej edycji funkcjonował już dzień polski: każdy uczestnik konkursu musiał wykonać polską piosenkę. Trzecim festiwalem

kierował młody reżyser Jerzy Gruza, który związał się z imprezą na wiele lat. W tym też 1963 roku kamery po raz pierwszy

[PIOSENKARKA STAJE NA GŁOWIE Na jednej z ostatnich PRL-owskich edycji sopockiego festiwalu w trakcie występu Rosjanka Atta Pugaczowa stanęła na głowie, co nie było w zwyczaju estradowców z ZSRR. „Na ten widok radziecki ambasador zbladł - wspomina! reżyser Jerzy Gruza. - A ja zrozumiałem, że koniec imperium już blisko”.

Blask
estrady

przekazywały transmisję z estrady do Związku Radzieckiego, Czechosłowacji i NRD. Na widowni zasiadł Bruno Coquatrix, dyrektor paryskiej Olimpii. Wtedy właśnie wypatrzył Ewę Demarczyk, dla której występ w Sopocie był przepustką do koncertów w Paryżu. Piosenki w kolejnych latach popularyzowała telewizja, nadająca je najczęściej podczas Wyścigu Pokoju, kiedy widzowie oczekiwali na transmisję z trasy.

Tusz i łzy

Sopot miał także swoje niepowtarzalne gwiazdy. W 1962 roku damskie serca na widowni podbił Bułgar Emil Dymitrow w eleganckim białym garniturze. Rok później Tamara Miansarowa zza wschodniej granicy brawurowo wyśpiewała przebój Zawsze niech będzie słońce. Piosenka zdobyła taką popularność, że artystka została honorową obywatelką wielu polskich miast. Z kolei Anna German dzięki Sopotowi zyskała wielką sławę w Związku Radzieckim. Nagrała tam osiem płyt. Jej przebój Nadzieja emitowano nawet radzieckim kosmonautom w przestrzeń międzyplanetarną. Grecka piosenkarka Niki Kamba była w 1965 roku tyle razy wywoływana przez publiczność, że aż się popłakała i tusz jej się rozmazał na twarzy.

Dyktatura polskiej piosenki

Festiwal był przyjmowany krytycznie przez zagranicznych dziennikarzy. „Podczas jednego wieczoru wykonawcy zagraniczni śpiewają polskie piosenki, ale wydaje mi się, że nie śpiewają tych najlepszych - nie wiem dlaczego. O ile mi wiadomo, specjalna komisja wybiera około 80 piosenek polskich. Każdy z wykonawców otrzymuje po cztery piosenki, ale wysyłając owe cztery piosenki do nieznanego wykonawcy nie wiadomo nic o jego stylu i możliwościach. Rozmawiałem z jednym z wykonawców tego festiwalu, który otrzymał cztery piosenki, ale żadna z nich nie odpowiadała jego stylowi. Wynika więc z tego, że nie jest to dobry system, jest to system «małej dyktatury» - dostajesz cztery piosenki i choćbyś się miał powiesić, musisz zaśpiewać jedną z nich” - ocenił Hilmar Bachor z Radia Kolonia.

^ KREACJA NAJWYŻSZEGO RYZYKA

W 1962 r. sopocka widownia huraganowym śmiechem powitała Wolettę Villas, która wyszła na estradę w niezwykle ryzykownej sukience. Reżyser imprezy dostał nakaz od samego premiera Józefa Cyrankiewicza, aby tak ubranych artystek więcej na scenę nie wpuszczać.

Sopot na baczność

Festiwal miał bardzo silną obstawę milicyjną. Branżowe pismo „W służbie narodu” zamieściło nawet reportaż z jego 10. edycji w 1970 roku. „Oto z okna jednego z pokoi Grand Hotelu pewien solista znanego zespołu polskiego zaczął sobie, ot tak, dla zabawy, wyrzucać kawałki papieru. Czyhające pod hotelem gromady nastolatków, wielbiciele owego idola, rzuciły się z nadzieją na te strzępy. Pełniący tu służbę funkcjonariusze w mig utemperowali rozfantazjowaną młodzież, a jej bożyszcze zarobiło natychmiastowy wniosek na kolegium. W samej Operze porządek również wzorowy. W trakcie Festiwalu zanotowano tylko dwa drobne incydenty. Próba pijackiej rozróbki na widowni została zlikwidowana w zarodku, podobnie zakończyła się próba ataku grupy hipisów na bramę Opery. (...) Przy tej okazji zatrzymano fałszerzy biletów wstępu na Festiwal”.

1 23

e»fc5

Koncert finałowy II Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu (1964)

Songi pod protektoratem

Mateuszowi Świącickiemu i Jerzemu Grygolu-nasowi z III Programu Polskiego Radia podsunął pomysł udany festiwal w Sopocie. Za Opolem jako „stolicą polskiej piosenki” przemawiały dwa względy. Władze polityczne patrzyły przychylnie na ten wybór, gdyż miasto znajdowało się na Ziemiach Odzyskanych. Osadzenie tam ogólnopolskiego wydarzenia kulturalnego niejako symbolicznie wiązałoby je z resztą kraju. Drugi powód był personalny. Do pomysłu ogromnie zapalił się burmistrz Karol Musioł. „Chyba wszyscy opolanie znali Musioła, bo był to wówczas burmistrz nad burmistrze - pisał znawca estrady Wacław Panek w książce Czarownice nad Opolem. - Nie był fo-telastym urzędnikiem, lecz prawdziwym gospodarzem grodu. Może i dlatego - jak wieść gminna niosła - w połowie lat 60. zdjęto go z fotela przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej, dając na otarcie łez prezesurę Towarzystwa Przyjaciół Opolu, które notabene sam stworzył, podobnie jak i festiwal - jego oczko w głowie. Ślązak

IMPREZA ROZKWITAJĄCA Tylko pierwszy festiwal odbywa) się wyłącznie w nowo zbudowanym amfiteatrze. Kolejne edycje „rozeszły się” po mieście. Koncertowano w szkole muzycznej, Teatrze im. Jana Kochanowskiego i wielu salach klubowych. Z czasem koncerty organizowano także na opolskim rynku.

z pradziada, uczestnik III Powstania Śląskiego, zawsze wspominał chwile, gdy polska piosenka pomagała mu przetrwać czasy panowania tu potomków Bismarcka”. Dzięki jego uporowi opolski festiwal wystartował w 1963 roku.

Narada za naradą

Początkowo wykonawcy wcale się nie palili, by wystąpić na nowej imprezie. Andrzej Ibis Wróblewski, jeden z organizatorów festiwalu, musiał się nieźle napocić, zanim namówił kogokolwiek do występów. „Planowaliśmy koncert na 24 fajerki. Odmówili udziału następujący aktorzy: Irena Kwiatkowska, Magda Zawadzka, Barbara Kraff-tówna, Wiesław Michnikowski, Alina Janowska, Mieczysław Czechowicz i Jan Kobuszewski. Odmówili udziału dyrygenci: Witold Rowicki, Henryk Czyż. Odmówili udziału Jeremi Przybora, Jerzy Wa-sowski i Jacek Fedorowicz. Odmówili udziału Czesław Niemen, Ewa Demarczyk i Maryla Rodowicz. Użyto protekcji córki Jeremiego Przybory, dyrektorów departamentu: Ryszarda Woźniaka, Bogumiła

1 24

Blask

estrady

Pałlasza, redaktorów: Jana Krzyżanowskiego, Mariusza Waltera, wiceministra Aleksandra Syczewskiego. W czasie prac przygotowawczych redaktor Antoni Wroński przeszedł dwutygodniową anginę, kierownik produkcji, Tomasz Korab, urodził córkę, reżyser Bogdan Hussakowski zorganizował festiwal teatralny w Opolu, kierownik muzyczny Waldemar Parzyński dostał mieszkanie. Odbyło się około 20 narad, spotkań i posiedzeń. Wykonano B 72 telefony. Przeprowadzono ponad 100 rozmów na tematy związane z koncertem.

Przejechanych kilometrów nie liczę, bo te podróże nie naraziły zleceniodawców na koszty”.

Przełom bigbitowy

A jednak w kolejnych latach z opolskiej estrady rozbrzmiewały wielkie przeboje. W 1965 roku takimi hitami były: W siną dal, wykonane brawurowo przez Ięę Cembrzyńską i Bogdana Łazukę, czy Światowe życie Wojciecha Młynarskiego. Rok później Kasia Sobczyk wykrzyczała Nie bądź taki szybki Bill. Z kolei w 1967 roku Młynarski zaśpiewał Jesteśmy na wczasach. Ale największym przebojem tej edycji festiwalu był Dziwny jest ten świat Czesława Niemena. Tym utworem artysta zaszokował zarówno publiczność, jak i władze polityczne. Ponieważ jednak nie można mu było niczego zarzucić, otrzymał nagrodę szefa

Radiokomitecie. A piosenka stała się nieoficjalnym hymnem kontestującej młodzieży. W następnym roku Opole dudniło już bigbitowymi hitami. Czerwone Gitary zaśpiewały Takie ładne oczy. Trubadurzy - Przyjedź, mamo, na przysięgę, a zespół No To Co - Po ten kwiat czerwony.

BOMBOWA KARIN ^ Jeden z najbardziej żywiołowych koncertów data na opolskiej estradzie Karin Stanek. Opole pomogło jej wylansować przeboje Jedziemy autostopem i Chłopiec z gitarą. Potem piosenkarka wyśpiewywała następne hity, takie jak: Malowana lala czy Tato, kup mi dzinsy. Jej kariera straciła jednak impet po rozstaniu z zespołem Czerwono-Czarni.

Impas estradowy

W latach 70. festiwal zaczął przeżywać pewien impas. Panek pisał: „Na estradzie amfiteatru corocznie miał się przekręcać kalejdoskop propozycji muzycznej rozrywki. I przekręcał się. Po pełnej wi-talności, rozpędzonej i zachrypniętej Karin Stanek nadszedł czas płaczących Kormoranów i Szczepanika sączącego liryczną odtrutkę na nadmiar beatu. W miejscowych restauracjach serwowano »kurczę a la Szczepanik«, o którym to daniu wtajemniczeni powiadali, że jest to kurczak w piórach kormorana zapiekany w złotym kalendarzu. Z kolei Żółte kalendarze ustąpiły miejsca powracającej nawałnicy ostrych rytmów, prostych melodyjek i infantylnych tekstów Czerwonych Gitar oraz Trubadurów. Potem przyszły rytmy cyganopodobne, zaroiło się od cygańskich westchnień, dymów, taborów. Weszła też na estradę tematyka »warszaw-ska« i Jarema Stępowski. Amfiteatr ryczał, wiwatował. Z roku na rok coraz słabiej”.

Koncerty z przeszkodami

Festiwal często wymagał organizacyjnej improwizacji. Andrzej tbiś Wróblewski wspominał: „Co za upał! Próbuje się w sali szkoły muzycznej. Wentylacja jest tu pojęciem nieznanym. Duszą tak, że pot cieknie po łydkach. A dopiero co były przygruntowe przymrozki. Taka nagła zmiana temperatury kosi ludzi. Bawię się w lekarza, aplikuję zachrypionym syrop z żywokostu i calcipirin. Zdarzają się jednak poważniejsze historie. Kierownik i wokalista zespołu Czas źle się poczuł. Chłopcy zabrali go do szpitala: okazuje się, zapalenie opon mózgowych! Potem słabnie jedna z wykonawczyń. Po południu słabnie kierownik muzyczny Waldemar Parzyński. Przerwywamy próby, ładujemy go do łóżka, żeby odpoczął. Sprawa nie jest taka niewinna, bo to właśnie serce”.

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

falują

PRL był zagłębiem festiwalowym. Poza Opolem i Sopotem bawiliśmy się na dziesiątkach pomniejszych imprez. Szkoda tylko, że festiwale częściej wynikały z potrzeb ideowych niż z potrzeby dobrej zabawy.

Braterstwo pieśni

Festiwal Piosenki Żołnierskiej organizowała Kwatera Główna Wojska Polskiego od 1967 roku. Tu śpiewali wszyscy liczący się wykonawcy, choć nie wszyscy chętnie ten występ wspominają. Kołobrzaska publiczność podziwiała Annę Jantar, Marylę Rodowicz czy Halinę Frąckowiak. Ale prawdziwymi gwiazdami tej estrady były Barbara Książkiewicz, Regina Pisarek i Nina Urbano. W cieniu Festiwalu Piosenki Żołnierskiej prosperowała podobna impreza. „Ledwie tylko przebrzmiały ostatnie piosenki kołobrzeskiego, galowego koncertu laureatów, a już niedaleko - bo na tej samej koszalińskiej ziemi - rozpocznie się inna, także coroczna, impreza artystyczna Wojska Polskiego - donosiła prasa. - W Połczynie-Zdroju zmierzają się wojskowe zawodowe zespoły estradowe. Tego rodzaju zespoły - etatowe, z długoletnimi tradycjami i pracujące według określonych założeń, są raczej wyjątkami na mapie kulturalnej kraju. Stąd troska o ich poziom, o stworzenie takich bodźców, które ów poziom będą podnosić wciąż w górę”.

Z kolei Festiwal Piosenki Radzieckiej urządzano od 1965 roku. Odpowiednikiem tej imprezy w ZSRR był Festiwal Polskiej Piosenki w Witebsku. „Nieprzypadkowe jest umiejscowienie Festiwalu w Zielonej Górze - donosił w 1976 roku „Przegląd Lubuski”. - Wynika ono ze szczególnego zainteresowania

^SONGOTACZANCE

Niemal po każdym festiwalu w Zielonej Górze ukazywała się płyta z festiwalowymi piosenkami. Traktowały one na przemian o urodzie radzieckiego krajobrazu (Podmoskiewski zmierzch) i przyjaźni narodów (Nazwiadach). Raz po raz pojawiała się tematyka wojny i polsko-radzieckiego braterstwa broni (Pieśń o taczance).

społeczeństwa regionu życiem, kulturą, nauką i sztuką narodów Związku Radzieckiego. Świadczą o tym fakty wielokrotnego zajmowania przez województwo zielonogórskie pierwszego miejsca w upowszechnieniu filmu radzieckiego, przodującej pozycji w czytelnictwie prasy radzieckiej, ciągle wzrastającego popytu na literaturę naukowo-techniczną i piękną autorów radzieckich w oryginale i przekładach". Aby stanąć na estradzie w Zielonej Górze, trzeba było najpierw przejść przez sito ogólnopolskich eliminacji. Laureatami festiwalu było wiele późniejszych gwiazd, takich jak Małgorzata Ostrowska czy Urszula. Śpiewali tu najwięksi

1 26

Blask estrady

- Michał Bajor, Izabela Trojanowska, Czerwone Gitary. „Piosenki radzieckie najlepiej, obiektywnie i rzeczowo, wyrażają uczucia i pragnienia ludzi radzieckich, którzy chcą pracować i odpoczywać, kochać i żyć w pokoju. Słowiński melodyjny charakter piosenek radzieckich sprawia, że dostarczają one przeżyć artystycznych i wzruszeń nie tylko wykonawcom, lecz także publiczności polskiej uczestniczącej w spotkaniach z piosenką radziecką” - można było przeczytać w programie IV Festiwalu Piosenki Radzieckiej w 1968 roku.

Imprezy na marginesie

Wylęgarnią młodzieżowych talentów był natomiast Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej (FAMA), odbywający się od 1965 roku w Świnoujściu. W ciągu dwóch tygodni amatorzy pod kierunkiem zawodowców szkolili się w zakresie teatru ulicznego, piosenki studenckiej i kabaretu. Zjeżdżali się tu artyści związani z młodą, niezależną sztuką, aby prezentować happeningi czy występy kabaretowe, dla których nie było miejsca na bar-iziej oficjalnych imprezach. Młodszy kolekcjonery studentów - harcerze - realizowali się w Kielcach, gdzie również dwutygodniowy "festiwal urządzano od 1974 roku. Tutaj się śpiewało, gawędziło, słuchało pogadanek z „zwycięskim szlaku Wojska Polskiego”. :zestymi gośćmi harcerskiej braci byli weterani, którzy wspominali historię walk Ayzwoleńczych.

zupelnie odmienny charakter - antykombatancki i buntowniczy - miał festiwal w Jarocinie. Spotkania młodych muzyków rockowych odbywały się w miasteczku od 1970 roku. Pełną parą impreza ruszyła 10 lat później. Każdą jej edycję młodzież przyjmowała jak wielkie święto kultury niezależnej. Wacław Panek, znawca piosenki, pisał: „Na początku sierpnia 1985 wylała Prosną.

Wokół Jarocina ewakuowano kilka wiosek. Rozmyta, gliniasta ziemia niezbyt przychylnie gotowała się na przyjęcie wielu tysięcy tupiących gości. Po tygodniu przestało padać. W dwudziestotysięcznym Jarocinie pojawiło się dwadzieścia tysięcy przybyszów z całego kraju na swoim rocznym spotkaniu, zwanym Festiwalem Muzyków Rockowych. Z przyschniętej ziemi wzniosły się tumany kurzu. »Zady-ma« nie tylko osiadała na czarnych i brązowych skórzanych kurtkach nabitych metalowymi ćwiekami. Z lekka zacierała też napisy na ubraniach, które głośno głosiły «Jestem sam», »Tylko śmierć«, »Bez przyszłości«, »No future«, a także dłuższe hasła: «Zakazać pracy, zakazać płacy, ludzie umierają... «".

Pokaz na gorąco

Życie festiwalowe obfitowało w niecodzienne wydarzenia. „Kulisy” relacjonowały w 1975 roku: „W czasie galowego koncertu laureatów I Wojewódzkiego Festiwalu Piosenki Strażackiej w sali widowiskowej PDK w Olecku wybuchł najprawdziwszy pożar. Od reflektorów Polskiej Kroniki Filmowej, dokumentującej uroczystość, zapaliła się kurtyna. Na oczach widowni - czy jest to zamierzony punkt programu, czy sytuacja zaimprovizowana przez samo życie - artyści strażacy sprawnie ugasiłi pożar, uzyskując gromki aplauz”.

Festiwal Muzyków Rockowych w Jarocinie (1986)

^ RYTUAŁ PUNKOWY

Nieodłącznym elementem jarocińskiego festiwalu było pogo. Punkowcy oraz wielbiciele muzyki metalowej zbijali się pod sceną w zwartą grupę, a następnie skakali, objijając się o siebie. Taki taniec trwał aż do wyczerpania energii uczestników lub do końca piosenki.

1 27

Polska Ludowa nuciła tysiące melodii. Polacy wstawali przy nich do pracy, zakochiwali się, dorabiali i przechodzili na emeryturę. W pamięci przechowujemy barwną muzyczną paletę.

Estradowcy

i posągi

Wstaje pogodny dzień

ТИГ ajwięcej mieliśmy piosenkarzy bezproble-Lir-mowych. Andrzej i Eliza śpiewali od 1971 roku jedną za drugą melodyjne ballady o skromnych polskich miłościach. Jednak największą popularność przyniosła im piosenka Czas relaksu, w której zachwalali milionom rodaków jazdę samochodem Packard, wizytę w barze hotelowym u Ritza i drink martini. Pomagał im w tym Zbigniew Hołdys, który 10 lat później został czołowym buntownikiem polskiego rocka. Ambitnie zaczynał zespół Homo Homini. Jego lider, Aleksander Nowacki, nagrał nawet pierwszą polską piosenkę z udziałem syntezatora. Grupa koncertowała też ze słynną węgierską Omegą. Ale publiczność domagała się od niej tylko słodkich numerów w rodzaju Tobie, Karolino.

Piosenka 5est dobra na wszystko Jeremi Przybora, Starszy Pan

Tradycję skiffle, czyli grania pogodnych piosenek na byle czym, z powodzeniem przyniosło do Polski Bractwo Kurkowe. Jego ludowość była umowna. Każdy element kostiumów członków kapeli pochodził z innej części kraju.

Songi i katarynki

Piosenkarzom zdarzały się wycieczki w bardziej ambitne regiony muzyki. Ewa Bem swingowała jak nikt inny. Jako członkini zespołu Bemibek (potem Bemibem) zachęcała: Podaruj mi trochę słońca. Później deklarywała prowokacyjnie: Wysłałam za mąż, zaraz wracam.

Dwa Plus Jeden byłby jeszcze jednym dostawcą miłych melodii, gdyby nie fascynacja folklorem. Śliczna Elżbieta Dmoch - Miss Foto licznych festiwali - śpiewała więc stylizowane piosenki góralskie, np. Hej

Po rozstaniu Krzysztofa Krawczyka z Trubadu- baby, baby czy śląskie Czerwone słońeczko, a nawet

rami nie dawano mu większych szans na solo- ballady irlandzkie - oczywiście po polsku. wy sukces. Kiedy jednak prosił w piosence: Wróć Tadeusz Woźniak wykonywał wiele poetyckich

do mnie, już było wiadomo, że drzwi do kariery utworów, ale tylko jedną perełkę -

Zegarmist-

się przed nim otworzyły.

rza światła. Podobnych miniaturowych

arcydzieł

1 28

Blask estrady

znacznie więcej znajdowało się w repertuarze Marka Grechuty. W tym song Dni, których nie znamy, Dd lat typowany przy rozmaitych okazjach na polską piosenkę wszech czasów. Stan Borys miał zadatki na posąg rodzimej piosenki. Zwłaszcza gdy w 1973 roku nieruchomy, :ały w czerni śpiewał Jaskółkę uwięzioną. Nagra-izano go na całym świecie. Szkoda, że Ameryka się na nim nie poznała.

Muzyczne jednorazówki

Ma co dzień nasze estrady zaludniali piosenkarze jednego przeboju. Kto dziś pamięta, że piosenkę Dwadzieścia lat, a może mniej wykonywał Ja-:ek Lech? Helena Majdaniec nagrała tylko jeden oreiki hit - Rudy rydz. Zdecydowanie za szyb-to zesza z estrady Karin Stanek, Dwa Plus Jeden .malowana lala" polskiej piosen-ti. Halinę Frąckowiak też wspo-ninalibyśmy rzadziej, gdyby nie ej słodka prośba: „Napisz, proszę, chociaż krótki list". Zdarza-i się też wykonawcy, którzy -:zego się nie tknęli - zmieniali v przebój. Tacy jak Anna Jantar. Гyt bardziej żal, że umilkła tak wcześniej.

■Ч» ^TAPETA PIOSENKARSKA

0 Alibabkach mawiano przewrotnie, że „zamordowały polską piosenkę". W latach 70. „etatowo" śpiewały w chórkach, min.: u Skaldów, Niemena czy Budki Suflera. Tym sposobem odcisnęły piętno na całej krajowej muzyce rozrywkowej. Grupie starczało jeszcze czasu na lansowanie własnych piosenek, z których największą popularność zyskał Kwiat jednej nocy.

Kosmiczne dziewczęta

Lata 1963-1965 należały do Filipinek, czyli grupy uczennic Technikum Handlowego w Szczecinie, które śpiewały na szkolnych akademiach. Nazwę przejęły od popularnego pisma dla dziewcząt „Filipinka". Ich piosenka Batumi o gruzińskich polach herbacianych okazała się największym polskim przebojem roku 1963. Na festiwal do Opoła w 1964 roku Filipinki pojechały tuż po balu maturalnym. Kiedy zaśpiewały Wala-twist, 0 Walentynie Tierieszkowej, stały się znane w krajach demokracji ludowej. Ale też ich sława przeminęła razem z popularnością radzieckiej kosmonautki.

Włoskie po polsku!

„Dziwaczną politykę stosują nasze zakłady nagrań dźwiękowych w zakresie muzyki rozrywkowej - żalił się meloman „Kurierowi Codziennemu". - Na próżno szukalibyśmy na polskich płytach modnych przebojów w polskich adaptacjach (mimo że te adaptacje -i to dobre - istnieją]. Natomiast ukazują się one w kaleczonych obcych językach w nagraniach pieśniarek i zespołów krajowych.

1 tak: nie doczekały się nagrania Dzieci Pireusu w wykonaniu Przybylskiej (i z bardzo dobrym polskim tekstem), podobnie jak Tango italiano w wykonaniu Ireny Santor. Natomiast nagrano je w obcych językach, przy czym kompletnym dziwolągami jest nagranie przez Polkę greckich Dzieci Pireusu po... włosku!".

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

»3 00 tySięc nam gra...»

Bigbit wyruszył w Polskę od strony Wybrzeża. Nastolatki słuchały płyt przywiezionych przez marynarzy, kopiowały nuty i śpiewały zagraniczne przeboje łamaną angielszczyzną.

Muzyka za zasłoną dymną

Zaczęło się od muzykowania na imprezach studenckich. W 1959 roku w gdańskim klubie Rudy Kot do tańca przygrywała pierwsza polska grupa „mocnego uderzenia" o przydługiej nazwie Rozrywkowy Zespół Gdańskiego Jazz-Clubu Rhythm and Blues. Pierwszą gwiazdą krajowego bigbitu był zaś Bogusław Wyrobek. Zdarzało się, że piosenki zachodnich rockandrollowców bisował po dziewięć razy. Słowo „bigbit" stanowiło zasłonę dymną.

Rządzący nie zgadzali się bowiem, by na plakatach w polskich miastach widniał amerykański „rock and roli". Franciszek Walicki więc

Pierwszy koncert zespołu Rhythm and Blues (1959)

/X Z PRADEM

Bigbitowcy często budowali aparaturę metodą chałupniczą, co nieraz byto przyczyną poważnych perturbacji. „W niezwykłych okolicznościach został przerwany koncert estradowy w Łodzi. W czasie wykonywania piosenki solista zespołu Niebiesko-Czarnych Wojciech Korda zasłabł i upadł na scenę. Jak się okazało, został on porażony prądem" - pisały „Kulisy". jako nazwę nowej fali w muzyce podsunął tytuł płyty zespołu Jazz Messengers - The Big Beat. Władza zgodziła się na taki kamuflaż.

Bigbitowcy na mszy

Zwłaszcza że bigbitomania rozlewała się szeroko po kraju. Zespół Czerwono-Czarni rzucił hasło: „Szukamy młodych talentów". Zaraz też do eliminacji I Festiwalu Młodych Talentów w Szczecinie w 1961 roku zgłosiło się kilka tysięcy nastolatków. Do finału dostało się aż 150 piosenkarek i piosenkarzy. Zwyciężyli Niebiesko-Czarni, którzy do wspólnego grania skrzyknęli się zaledwie cztery miesiące wcześniej. Zauważono też m.in. Czesława Wydrzyckiego (później Niemena), Krzysztofa Klenczona, Wojciecha Korde. Oni i ich koledzy z tego festiwalu przewodzili polskiemu bigbito-wi całe lata 60. Niektóre grupy były wręcz szkołą bigbitu. Przez Czerwono-czarnych przewinęło się aż 40 wykonawców. Zespół grał w kilkunastu różnych stylach - od rock and rolla przez twista po bossa novę. Ważniejsze jednak, że skomponował polską mszę beatowa Pan przyjacielem moim, wykonywaną w kościele w Leśnej Podkowie. Zjeżdżali na nią fani tej muzyki z całej Polski.

Gitary z wyższej półki

Bigbit dojrzywał z każdym rokiem. Kolejne zespoły proponowały coraz ciekawsze piosenki. Skaldowie (powstali w 1965 roku) wykorzystywali muzykę góralską, twórczość Bacha, chorały

1 30

Blask e
strady

POLSCY AMERYKANIE^ „Dopiero w Związku Radzieckim zobaczyłem, co znaczy wielka widownia. Występowaliśmy prawie wyłącznie w halach, na stadionach i na lodowiskach. Nas tam chyba uważano za jakiś amerykański zespół. Słyszałem, jak mówili - »niczewo«, oni tylko śpiewają po polsku, ale muzyka jest prawdziwa, amerykańska" - wspominał Tadeusz Nalepa.

gregoriańskie i swing lat 20. Taka mieszanka bardzo się w Polsce spodobała - zostali uznani grupą 1968 i 1969 roku.

W nieco inną stronę poszło No To Co (działało od roku 1967) ze swoim liderem, Piotrem Janczerskim. W telewizji wystąpili jako zespół bez nazwy. Urządzono błyskawiczny konkurs wśród widzów i najbardziej spodobała się propozycja No To Co. Muzycy zainteresowali się folklorem - wiejskim i miejskim. Właśnie „za twórcze wprowadzanie do muzyki rozrywkowej elementów polskiego folkloru" otrzymali nagrodę przewodniczącego Komitetu do spraw Radia i Telewizji. A niebawem także Nagrodę Państwową III stopnia. Koncertowali zarówno z Orkiestrą z Chmielnej, jak i z kapelą ludową Podhale. Mało tego - nagrali nawet folklorystyczną płytę w Wielkiej Brytanii. Wystąpili tam pod nazwą: So What? Furore zrobił zespół Breakout, który tuż po powstaniu wyjechał na koncerty do holenderskich klubów. Wrócił po pięciu miesiącach jako apostoł najnowszych trendów muzycznych - psychodelic i underground. Muzycy przywieźli też ze sobą nowe instrumenty oraz wzmacniacze, które zagłuszały wszystko w promieniu kilometra. I poświęcili się uprawianiu bluesa w jego słowiańskiej odmianie. Tadeuszowi Nalepie, liderowi grupy, udało się skomponować kilkanaście ballad o amerykańskich korzeniach i polskich treściach. Właśnie ten amerykańizm drażnił rodzimą cenzurę, która w repertuarze Breakoutu widziała przede wszystkim „muzykę imperialistyczną". Zakazywała też pokazywania zespołu w telewizji, dopóki jego członkowie

nie zetną długich włosów. Muzycy nie ugięli się, więc prezentowani byli rzadko. Dlatego uchodzili za artystów z wyższej półki, grających dla wtajemniczonych.

Breakout

Stary niedźwiedź w nowym rytmie

„Polska młodzież śpiewa polskie piosenki” - takie hasło rzucili Niebiesko-Czarni w 1962 roku i sami pierwsi zaczęli się do niego stosować. W gitarowej aranżacji wykonywali stare przyśpiewki góralskie: Hej, bystra woda; Idzie dysk. Śpiewali nawet dziecięce nutki, takie jak Stary niedźwiedź mocno śpi, a także repertuar biesiadny, z Głęboką studzienką na czele. Młodej widowni ta ludowość wcale nie przeszkadzała. Koncerty zmieniały się w imprezy taneczne.

Roszady na estradzie

Żywoć grup bigbitowych był bardzo niestabilny. W 1965 roku zadebiutowali Polanie - zespół powstały z muzyków Czerwono--Czarnych i Niebiesko-Czarnych. Objechali Polskę z angielskim The Animals i okazali się na tyle profesjonalni, że mogli konkurować z formacjami zachodnimi. Świadczyły o tym trofea przywożone z zagranicznych festiwali. Jednak trzy lata po powstaniu grupa się rozpadła. Kiedy niebawem próbowano ją reaktywować, okazało się to niemożliwe, bo na estradach grali już inni Polanie. Ci też zresztą zakończyli działalność po roku.

Country-bajan

Muzycy bigbitowi popisywali się nie tylko na gitarach. Dla urozmaicenia brzmienia sięgali po najdziwniejsze instrumenty. Marakasy, czyli osadzoną na trzonku kulę wypełnioną kamyczkami, słychać w nagraniach Breakoutu. Ta grupa używała też harmonijki ustnej, która w latach BO. uchodziła raczej za dziecięcą zabawkę niż za pełnoprawny instrument. Fajarki wykorzystywali zespół No To Co i Maryla Rodowicz. Z kolei bajanem, odmianą rosyjskiej harmonii guzikowej, posłużył się Krzysztof Klenczon w pierwszej polskiej piosence country Powiedz, stary, gdzieś ty był.

1 31

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Czy mnie jeszcze

Domorosły muzykant z białoruskiej wioski okazał się najwybitniejszym polskim muzykiem rockowym.

pamiętasz...

/N NAGRANIE EPOKI

„Gdy on to zaśpiewał, po prostu jakby wmurowało nas w ziemię. W studiu nastąpiła długa cisza, nie mogliśmy się pozbierać, to był nieprawdopodobny wstrząs, w jaki sposób on to mógł zaśpiewać, perfekcyjnie. Ktoś powiedział, że to jest za głośno, że nie można tak głośno śpiewać, bo aparatura tego nie wytrzyma” -tak nagranie piosenki Dziwny jest ten świat wspominał muzyk Akwareli, Paweł Brodowski.

Niedoszły rekrut Armii Czerwonej

Urodził się w 1939 roku w białoruskiej wsi Wasiliszki Stare (65 kilometrów od Grodna).

Rodzina Wydrzyckich znalazła się na liście osób przeznaczonych do wywózki w głąb Rosji. „To paradoksalne, ale uratował nas Hitler. Nim Rosjanie zdążyli nas wywieźć, zaatakował Związek Radziecki” - wspominał Niemen. Po wojnie, kiedy zainstalowano tam kołchoz, głód często zaglądał im w oczy. Czesław na naukę muzyki dojeżdżał do Grodna, ale kariera się przed nim nie otwierała, bo nie chciał się zapisać do Komsomołu. Chętnie natomiast spędzał czas w chórze kościelnym.

„Specjalnym uczuciem darzę muzykę cerkiewną, która jest chyba najbogatsza w formie i w kolorze. Pasjonuje mnie również muzyka kantorów synagogałnych. Zachwycają mnie także śpiewy muezinów, muzyka mauretańska i jej pochodna -flamenco” - wyznawał po latach. W wieku 19 lat Czesławowi zaczęło grozić wcielenie do Armii Czerwonej. Nalegał, by rodzina

skorzystała z chrusz-czowowskiej odwilży i wyjechała do Polski. Rodzice zgodzili się. Niebawem Wydrzyccy osiedli w Białogardzie.

Debiut za kratkami

Czesław mógł się wreszcie uczyć muzyki. Poszedł do średniej szkoły muzycznej w Gdańsku, do klasy fagotu, a na życie zarabiał wyładunkiem wagonów w porcie. Do czasu występu na Festiwalu Młodych Talentów w Szczecinie w 1962 roku, gdzie zakwalifikował się do „złotej dziesiątki”. „Co tam się dzieje w tym Szczecinie?!” - walił pięścią w stół Władysław Gomułka, kiedy doniesiono mu o big-bitowej imprezie. Nic dziwnego, że po dwóch edycjach konkurs skasowano. Wydrzycki był już wtedy wokalistą Niebiesko-Czarnych. Jako solista zadebiutował w 1962 roku w zakładzie karnym dla kobiet w Grudziądzu. Wypchnięto go przed publiczność w przerwie występów. Zaprezentował kilka latynoskich romansów. Więźniarki zaczęły szlochać. Podobnie zareagowała Marlena Dietrich, słysząc piosenkę Czy mnie Jeszcze pamiętasz, którą Czesław wykonał przed jej koncertem w Sali Kongresowej. Poprosiła o prawa do melodii i zaśpiewała ją z dedykacją dla własnej matki.

1 32

Blask

estrady

Młynarski podsuwa Norwida

Po nagraniu pierwszej płyty Dziwny jest ten świat w 1967 roku - teraz już nie Wydrzycki, lecz Niemen - stał się czołowym polskim muzykiem rockowym. Z występów w paryskiej Olimpii przyjechał w modnym stroju dzieci kwiatów. Muzycznie także był dalej niż krajowa czołówka. Płyta Sukces (1968) to polski odpowiednik modnego na Zachodzie stylu soul. Niemen Enigmatic (1969) zaś stanowi przykład udanego przeszczepienia jazz-rocka na krajowy grunt. Ten krążek uchodzi do dziś za najlepszy polski album rockowy. W 1968 roku Wojciech Młynarski podsunął Niemenowi tomik poezji Norwida z sugestią, że prawdziwym wyzwaniem byłoby napisanie muzyki do poematu Bema pamięci żałobny rapsod. Muzyk pomysłu pod-

Kiedyś dyrektor Pagartu zaprosił mnie na rozmowę i spytał „Panie Czesławie, czego pan cince od tego Horwida?”. Ja zgłupiałem i odpowiedziałem mu: „Panie dyrektorze, brak mi słów” - Czesław ȩliemen

śpiewanie poezji jest dla mnie uzasadnione, kiedy z połączenia muzyki i tekstu powstaje nowa wartość, nowe dzieło. Poezja jest dla mnie wielką inspiracją” - mówił Niemen w 1974 roku.

Niemen bez kontekstu

W swej karierze Niemen natrafiał na wiele przeszkód. W 1971 roku lokalna prasa zarzuciła mu, że po koncercie w Radomsku pokazał publiczności goły tyłek. Artysta wniósł sprawę do sądu. Wygrał z oszczercami, ale stracił na popularności. Po ukazaniu się płyty Sukces Marek Piwowski nakręcił o muzyku film pod takim właśnie tytułem. Przedstawił go w nim jako pyszałka i egocentryka. Kiedy Niemen zagroził procesem, film wycofano z kin. Z kolei w stanie wojennym wycięto z kontekstu jego wychwycił i powstała suita, która świetnie zespala powieź o Norwidzie i zachętaĥ poety do pracy, muzykę słowiańską z elementami średniowiecz- W takiej formie nadano ją w telewizyjnym Dziennym oraz współczesnym rockiem. „Tylko wówczas niku. Sugerowano, że artysta wzywa do przerywania solidarnościowych strajków. Kosztowało to Niemena bojkot w środowiskach polonijnych. To był cios, po którym muzyk nigdy już nie wrócił do dawnej formy.

Fama niesie

„Kiedyś wpadło na mnie kilku chuliganów. Zrzuciłem ich z siebie i pytam: - Czego chcecie właściwie? - A jak ty chodzisz ubrany? - To moja sprawa! - A co o tobie mówią? -

Dowiedziałem się, że jestem pijakiem, dziwkazem i jeszcze gorzej. A ja na przykład w ogóle

nie piję. Rozsiewa się o mnie niezwykle plotki. Ze na przykład Niemen ma na koncie pięć milionów złotych. A to nieprawda! Znajomi mówią: - Stary, ty masz pozycję, ty masz chody! - A ja nie mogę dostać zameldowania w Warszawie" - zwierzał się artysta w wywiadzie dla „Argumentów” w 1970 roku.

1 33

Przy piosenkach tego zespołu wyznawały sobie miłość pokolenia dzisiejszych 60-, 50- i 40-latków. Czerwone Gitary wyswatały ówczesną Polskę.

SPOCZJlien^

Seweryn Krajewski

Ameryka w Trójmieście

I f espół zawiązał się w Trójmieście, gdzie naj-eJ^szybciej docierały zachodnie mody muzyczne i styl życia. Po ulicach Sopotu jeździło najczęściej samochodów Mini Morris i skuterów marki Lam-bretta. W klubach studenckich - Żaku, Rudym Kocie czy Bursztyнку - najwcześniej grano rock and rolla. Czerwowo-Czarni, Niebiesko-Czarni czy Pięciolinie naśladowali Elvisa Presleya i Списка Berry'ego. Dobrym duchem tych zespołów był Franciszek Walicki, trójmiejski dziennikarz, który wspierał młodych muzyków. A kiedy partyjne instrukcje zakazywały pisania o polskim rock and rollu, podsunął mu nową nazwę: bigbeat.

1500 gardeł

W tej atmosferze ciążyły ku sobie dwie indywidualności muzyczne: Seweryn Krajewski i Krzysztof Klenczon. „Krajewski już wtedy miał wielkie umiejętności - wspominał Jerzy Skrzypczyk, perkusista zespołu - na przerwach między lekcjami siadał do fortepianu i cudownie grał i śpiewał. Krajewski nie był orłem z WF-u i profesor mówił: »Seweryn, zaśpiewaj nam coś, a postawię ci czwórkę«. Klenczon na każdym kroku podkreślał swoją niezależność. „Zawsze toczyłem z nim walki - wspominał Walicki - raz wychodził na scenę w brudnych butach, raz w podartych ubraniach, coś na nim wisiało. Wszyscy starali się być bardzo elegancy, a on nie". Po licznych przetasowaniach personalnych (członkiem zespołu bardzo chciał zostać m.in. Czesław Niemen) grupa ukonstytuowała się 3 stycznia 1965 roku. Wybrano nazwę Czerwone Gitary, muzykom podobała się bardziej niż kontrpropozycja: Maskotki. Pierwszy koncert zespół dał w Elblągu w dwa tygodnie później - bez plakatu, ponieważ drukarnia nie zdążyła. A na afiszu figurowało hasło, które niebawem podbiło serca nastolatków: „Gramy i śpiewamy najgłośniej w Polsce". „Wyciszenie Czerwonych Gitar i 1500 gardeł na sali - to przerasta możliwości przeciętnego śmiertelnika" - pisało kieleckie „Słowo Ludu".

Niezależni, samorządni

W zespole od początku panował samorząd. Najwyższą instancją był tzw. ZOC, czyli Zebranie Ogólne Członków, które wyznaczało kary, np. „za przybycie członka zespołu w stanie nietrzeźwym na imprezę mniej ważną - 300 zł, za brak krawata na imprezie mniej ważnej - 25 zł". Rok później dzięki takiej samodyscyplinie z nagraniem piosenek na pierwszą płytę grupa uwinęła się

1 34

Blask estrady

w narzuconym jej morderczym terminie trzech dni. Historii jednej znajomości świetnie się słucha do dziś. Takie przeboje już po dwóch latach od powstania uczyniły Czerwone Gitary najpopularniejszym zespołem w kraju.

Stawka krawcowej

To powodzenie nie przekładało się jednak na zarobki. Ministerstwo Kultury nie chciało przyznać Czerwonym Gitarom kategorii „S", zarezerwowanej dla najlepiej opłacanych artystów. Mimo iż grupa odprowadzała gigantyczne podatki. W 1969 roku na targach płytowych MIDEM w Cannes odebrała międzynarodową nagrodę Trofeum za największe

sukcesy płytowe w Polsce. Najwięcej muzycy zarabiali na koncertach zagranicznych. Gdy w Moskwie grali dla pełnego stadionu, otrzymywali nawet równowartość ośmiu dolarów. „Ale i tak mieliśmy lepiej niż na przykład krawcowa w Skierniewicach” -oceniał po latach Seweryn Krajewski.

Gitary przed sądem

Zespół rozpadł się na przełomie 1969 i 1970 roku, najprawdopodobniej właśnie przez pieniądze. Ale nie te, które zarabiali muzycy, lecz tekściarze. To oni skalkulowali, że bardziej im się opłaca, gdy będą pisali osobno dla Klenczona i Krajewskiego. Wówczas kasowych przebojów będzie po prostu dwa razy więcej. Klenczon wyemigrował wkrótce za ocean po wymarzoną karierę, która nigdy się nie rozwinęła. A Krajewski komponował kolejne hity dla grupy. W końcu podczas którejś wizyty w Stanach dogadał się z Krzysztofem. Znowu mieli grać razem. I wtedy właśnie Klenczon zmarł skutkiem powikłań po wypadku samochodowym. A Czerwone Gitary po udanym powrocie na estradę ze starymi przebojami na początku lat 90. spotkały się przed sądem, procesując się o prawo do nazwy. I to był prawdziwy koniec zespołu.

^ TAK BARDZO SIĘ STARALI

Popularność Czerwonych Gitar wśród nastolatków graniczyła ze zbiorowym obłędem. Czasami prowadziła do groteskowych incydentów. W 1968 r. „Goniec Górnośląski” donosił: „Osiemnastoletni Ireneusz P. z Siemianowic pod wpływem piosenki Tak bardzo się starałem, dla udokumentowania swojej dziewczynie, że ją kocha - usiłował potknąć żywą żabę. Chłopak był bliski uduszenia i tylko szybka pomoc zdołała go uratować”.

Wiązanka dla władzy ludowej

Czerwone Gitary nie odczuwały szczególnie silnych nacisków politycznych. Z pierwszej płyty cenzura radziła im wycofać piosenkę Byle co z refrenem: „Nie daj się nabrać na byle co / na byle ubaw, chatę i szkło”. W 1969 roku na fali gomułkowskiego patriotyzmu po wykonaniu w Opolu „partyzanckiej” ballady Biały krzyż Klenczon złożył przed wystylizowanym krzyżem wiązanek biało-czerwonych kwiatów.

Atak na top

Wyniki plebiscytu „Sztandaru Młodych” na przebój roku 1965:

1. Bo ty się boisz myszy - Czerwone Gitary
2. Niedomówienia - Piotr Szczepanik
3. Taka jak ty- Czerwone Gitary
4. Zabawa w ciuciubabkę - Czesław Niemen
5. Goniąc kormorany - Piotr Szczepanik
6. To nie grzech - Kasia Sobczyk i Czerwono-Czarni
7. Przyjdzie taki świt - Wojciech Gąssowski
8. Dzień niepodobny do dnia - Piotr Szczepanik
9. Żółte kalendarze - Piotr Szczepanik 10. Nigdy więcej - Piotr Szczepanik

1 35

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Dla Rodowicz nie ma miejsca na polskiej scenie, wyrokowali „znawcy piosenki”. Kiedy startowała w 1968 roku, śpiewali już i Marek Grechuta, i Mira Kubasińska, i Urszula Sipińska. Nie znali Marylki. W dzieciństwie pogryzł ją wściekły pies. Dziewczynkę kosztowało to serię bolesnych zastrzyków. Ledwo ukłucie przestało boleć, już lazała do budy następnego psa.

iezatapialna

Sta w płomieniu

Jej biografia mogłaby zostać uznana za dobro narodowe PRL-u. Nie miała własnego mieszkania - za szafę służył jej foliowy worek - ale za to jeździła porsche. Wozila nim Daniela Olbrychskiego, ówczesnego Kmicica, którego jednak stać było tylko na trabanta. Za

to Marylę lanią wozili Andrzej Jaroszewicz, syn premiera. Ten wy- Maryla Rodowicz na festiwalu w Opolu (1970)

rażał swoje uczucie do piosenkarki, wyscietając jej pokazała jej sopocki występ z Kolorowymijar-

hotelowe apartamenty płatkami róż. Kiedy przyjechała na występy do Poznania, amant zrzucił z samolotu na jej powitanie bukiet kwiatów. Romans, o którym plotkowała cała Polska, połączył ją z reżyserem Krzysztofem Jasińskim. „Lazłam do niego, jak każda inna, nie widząc jeszcze, że wkrótce ćmą bez skrzydeł opadnę wprost w płomień kuchenki, jak sama sobie przepowiadałam w piosence” -wspominała w autobiografii Niech żyje bal.

Faworytka demoludów

Agnieszka Osiecka mawiała o niej: „Madonna RWPG”. Jak najśluszej! W Moskwie Wołodia Wysocki odstąpił jej i Olbrychskiemu łóżko,

markami, w ZSRR pisano o nim prace doktorskie. W NRD zdobywała tytuł „piosenkarki roku” i do dziś pozostaje w Niemczech najbardziej znaną Polką. Jeździła tam na tournée, nawet kulejąc, z nogą ledwo zrosniętą po złamaniu. W pokoju hotelowym wydfubywała z kolana resztki chirurgicznych szwów. W Bułgarii tańczyła ze swymi wielbicielami na ulicach choro, tamtejszy taniec narodowy. Nie pobłażała sobie nawet w polonijnych klubach za oceanem. Koncertowała w Ameryce w ostatnim miesiącu ciąży, zasłaniając brzuch gitarą. „Jeździłam z koncertu na koncert. Rzygałam i śpiewałam” - wspomina. Jak magnes przyciągała ludzi utalentowanych.

w którym sypiał z Mariną Vlady. Kiedy Interwizja Osieckiej nieraz „z gardła” wrywała najlepsze

1 36

Blask

estrady

teksty. Na Sewerynie Krajewskim wymuszała najbardziej przebojowe melodie. Do duetów dobierała sobie najwybitniejszych kolegów: od Staną Borysa po Marka Grechutę.

Zdjęcie z Wałęsą

We flirtach z władzą nie posuwała się za daleko. Znajomości z komunistycznymi dygnitarzami pomagały - przykładowo - odzyskać prawo jazdy następnego dnia, po tym jak wydmuchała 0,7 promila. Albo błyskawicznie zdobyć paszport i polecieć do Wiednia na zakupy. Premier Józef Cyrankiewicz nie mógł się doczekać, kiedy da mu swój prywatny telefon. Podchmielony Mieczysław Moczar, minister spraw wewnętrznych, śpiewał zalotnie w jej stronę: „Daj, co masz najlepszego, daj...”. W Bułgarii balangowała z Jerzym Urbanem, na Kubie fotografowała się z Fidelem Castro. Ale pozostała elastyczna - wspólne zdjęcie z Lechem Wałęsą zrobiła sobie już jesienią 1980 roku. Stan wojenny odchorowała. Z jednej strony chciała występować jak dawniej, z drugiej wolała nie przełamywać bojkotu telewizji. Z trzeciej - bała się, że ogromna popularność nowych zespołów rockowych skaże ją na zapomnienie. Postanowiła walczyć. Zorganizowała supergrupę Różowe Czuby. Muzycy wykonywali ostre rockowe kawałki, nosząc maski i monstrialne peruki. Maryla popełniła jeden błąd. Na maskę nałożyła czarne okulary. Zapomniała, że w telewizji czarne okulary może mieć tylko generał Jaruzelski. Padł rozkaz: „Zdjąć Różowe Czuby z anteny!”.

Ladies and Gentleman, miss Rodowicz!

Dlaczego Rodowicz nie próbowała zrobić kariery na Zachodzie? „Była tylko jedna droga - mówiła piosenkarka - ucieczka, nielegalny wyjazd i pukanie do drzwi wytwórni płytowych. I co ja miałam powiedzieć? Dzień dobry, nazywam się tak i tak, jestem z Polski, umiem śpiewać, sprawdźcie mnie. A z czego żyć? Musiałabym pójść tam do pracy, byłoby jakiej prawdopodobnie, i próbować, próbować. Jakoś wydawało mi się to poniżej godności”.

/4 PRZEBOJE HURTEM

Maryli stawę pomogły zdobyć piosenki z tekstami Agnieszki Osieckiej, takie jak Ballada wagonowa czy Diabeł i raj. U szczytu kariery piosenkarka śpiewała Małgoškę- również napisaną przez poetkę. A w latach 80. jej popularność ugruntowały przeboje Polska Madonna i Niech żyje bal. Także autorstwa Osieckiej.

Bananowa na bosaka

Na estradzie Maryla błyszczała - także dzięki kostiumom. Jada wozy kolorowe śpiewała w Sali Kongresowej na bosaka. Kiedy zaprezentowała w Opolu Małgoškę bananowie, dziewczęta oszalały na punkcie spódnicy o takim fasonie. Gdy deklarowała: „Nie ma jak pompa”, odkurzyła całą XIX-wieczną garderobę. Śpiewając w Sopocie Kolorowe jarmarki, wciągnęła na szyję końskie chomąto. Projektantka Barbara Hoff przyznała jej nawet nagrodę za inwencję kostiumologiczną.

Kariera nie do zdarcia

Maryla trzyma się na estradzie znacznie dłużej niż jej rywalki z demoludów. Helena Vondračkova przypomina głównie stare piosenki i popisuje się na nostalgicznych imprezach. Ała Puga-czowa zajęła się bez zbytniego powodzenia polityką. Ale i Maryla lata największej popularności ma za sobą. Romantyczka z gitarą przestała się podobać już w latach 70. Gdy w 1973 roku na bułgarskim festiwalu Złoty Orfeusz wykrzyczała piosenkę Kiedy s/ę dziwić przestanę, jury zignorowało jej występ. Z końcem dekady odeszła od łatwego repertuaru festiwalowego, przez co straciła miliony fanów w Czechosłowacji. Z kolei dla publiczności węgierskiej okazała się, mimo występów z grupą Lokomotiv GT, za mało ekspresyjna.

1 37

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

me może siecznie

W polskiej piosence pojawiła się nagle. I równie nagle zabrakło jej na estradzie. Zdażyła jednak wyśpiewać całe lata 70.

trwać

Podchody do estrady

Ж azwisko Szmeterling musiała zmienić, bo • było zbyt trudne, by zapamiętała je masowa publiczność. Miała talent do fortepianu, ale w pia-nistyce nie mogła zrobić kariery - przeszkadzał zbyt mały rozstaw palców. Pozostawała piosenka - jej ciepły, pełen wrażliwości głos pasował do prostych, sympatycznych melodii. W 1968 roku spróbowała swoich sił na Festiwalu Piosenkarzy Studenckich w Krakowie, choć jako uczennica liceum nie miała do tego prawa. Jury jednak to nie przeszkadzało - zdobyła pierwszą nagrodę. Piosenkę usłyszał Jarosław Kukulski. Muzyk właśnie dobierał skład zespołu Waganci, poszukiwał solistki. Zaproponował młodej piosenkarce współpracę. Tyle że ta musiała tymczasem zdać maturę. W klasie maturalnej zaśpiewała z dużym sukcesem w poznańskim Radiu Merkury piosenkę Po ten kwiat czerwony. Tuż po maturze pojechała na świnoujski festiwal studencki FAMA. Wróciła z nagrodą i przekonaniem, że właśnie zaczyna się jej ogólnopolska kariera. Waganci zabrali 19-letnią Anię w pierwszą w jej życiu trasę koncertową. Do autobusu, którym mieli jechać, odprowadziła ją babcia. Prosiła Jarosława

Nic nie może wiecznie trwać

Nic nie może przecież wiecznie trwać Co zesłał los, trzeba będzie stracić Nic nie może przecież wiecznie trwać Za miłość też przyjdzie kiedyś nam zapłacić

Kukulskiego, by zaopiekował się jej wnuczką. Zaopiekował się tak serdecznie, jak tylko potrafił. 15 sierpnia 1970 roku, w wieku 20 lat, Anna Maria Szmeterling wzięła z nim ślub.

fragment piosenki

/% GŁOS DEKADY GIERKOWSKIEJ

W 1975 r. głównym wydarzeniem muzycznym lata był występ Anny Jantar na festiwalu w Sopocie. Staruszek świat okazał się wielkim hitem. To był czas największych triumfów

piosenkarki. Gdziekolwiek się pojawiła - zawsze przyciągała tłumy fanów. Mawiano, że jest „głosem gierkowskiej belle époque”.

1 38

Blask

estrady

Melodyjna optymistka

Na powodzenie nie trzeba było długo czekać. Kukulski zajął się komponowaniem piosenek dla żony, odnoszącej coraz większe sukcesy. Napisał muzykę do utworu Najtrudniejszy pierwszy krok, którym solistka zabłysnęła w roku 1973 na Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. Wtedy właśnie zaczęło się zjawisko nazwane później przez krytyków muzycznych „fenomenem Anny Jantar”. Przeboje młodej gwiazdy od razu wpadały w ucho, teksty były nieskomplikowane, refreny łatwe do zapamiętania. A piosenki optymistyczne - takie jak ich wykonawczynie.

Jantar błyszczący

A był to dopiero początek sławy. Latem 1974 roku w Opolu Anna Jantar wystąpiła z piosenką Tyle słońca w całym mieście. To był przebój lata. Śpiewała go cała Polska.

W 1979 roku wylansowała kolejny hit - tym razem z Budką Suflera: Nic nie może wiecznie trwać. Nikt nie przypuszczał, jak okrutnie proroczy okaże się ten tytuł. W listopadzie 1979 roku dała się namówić na wyjazd do Stanów Zjednoczonych, gdzie dawała koncerty dla Polonii w Chicago i New Jersey. Największą furorę zrobiła właśnie piosenka Nic nie może wiecznie trwać. Mogła za oceanem śpiewać dłużej, ale do Polski ciągnęła ją tęsknota za córeczką, która w czasie jej pobytu w Stanach skończyła cztery lata.

Kwiaty dla nikogo

Anna Jantar miała przylecieć z Nowego Jorku do Warszawy 14 marca 1980 roku. „Od rana wiał taki silny wiatr, który nie wiedzieć czemu bardzo mnie niepokoił” - opowiadał po latach Jarosław Kukulski. Tego dnia wraz z dzieckiem wyjechał po żonę na Okęcie. Mała Natalia trzymała bukiet kwiatów, który chciała wręczyć mamie. W południe samolot podchodzący do lądowania uległ awarii i runął na ziemię. Nikt z pasażerów nie przeżył. Anna Jantar zginęła, mając niespełna 30 lat. Nie zobaczyła już bukietu Natalii.

^ CÓRKA-NOWY ŚWIAT

3 marca 1976 r. Anna Jantar urodziła córeczkę. Stata się mniej beztroska, znacznie bardziej poważna. Mata Natalia była dla niej całym światem. Piosenkarka spędzała z nią każdą wolną chwilę. Takich chwil było jednak coraz mniej, ponieważ artystka została jedną z najpopularniejszych gwiazd estrady.

Tyle słońca...

W 1974 roku Anna Jantar wydała swój pierwszy album Tyle słońca w całym mieście. Tytułowy utwór stał się piosenką roku. Ogromną popularność zdobyła wtedy też polska wersja przeboju Jambalaya w jej wykonaniu. Nie tylko w Polsce. W tym samym roku piosenkarka wzięła udział w festiwalu Cisco w Irlandii, na którym dostała nagrodę za piosenkę Tak wiele jest radości.

Motyle, gondolierzy, kawiarenki

Wielką rywalką Anny Jantar była Irena Jarocka. Obie piosenkarki dysponowały ciepłym głosem i melodyjnym repertuarem. Jarocka wydała w Polsce aż siedem płyt. Jej przeboje: Gondolierzy znad Wisty, Motylem jestem czy Odpływają kawiarenki, podobnie jak piosenki Jantar, śpiewała cała Polska. Jarocka była jednak bardziej stonowana, stawiała na większą dystynkcję i elegancję.

1 39

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

I ja też

cfcciaiem grać...

„Miałem dziesięć lat / gdy usłyszał o nim świat / W mej piwnicy był nasz klub" - Autobiografia Perfectu stała się hymnem pokolenia „Solidarności". Kiedy paczka przyjaciół zakładała zespół, nie śniło jej się nawet, że stworzą najbardziej kultową polską grupę rockową.

Ekipa do kotleta

Skrzyknęli się w 1977 roku w Warszawie. Byli rozbitkami z różnych zespołów - jedna z nich, Basia Trzetrzelewska, śpiewała nawet w Alibabkach. Ostatni dołączył do ekipy Zbigniew Hołdys. Miał najbogatsze doświadczenie muzyczne. Już jako 16-letni hipis pisał piosenki dla under-groundowej grupy Dzieci Warszawy. Później trafił do formacji gitarzystów Maryli Rodowicz. Rok 1976 zastał go już w Stanach Zjednoczonych. Tam Hołdys grał w polonijnych klubach, komponował i wypowiadał się nieprzychylnie o polskich władzach. To bardzo zaszkodziło jemu oraz zespołowi, gdy muzyk wrócił już do kraju. Perfect zamaskował się więc jako Perfect Super Show And Disco Band i grywał do kotleta w warszawskich restauracjach. W roku 1980 grupa straciła już nadzieję

Grzegorz Markowski i Zbigniew Hołdys (1987)

na większą karierę. Trzetrzelewska wyjechała próbować szczęścia w USA. Zamiast niej śpiewać zaczął Grzegorz Markowski, 27-letni rockman o mocnym, chrapliwym głosie.

Rozpęd limitowany

Pierwszą płytę uskładali z przypadkowych nagrań radiowych. Wyszła pod koniec 1981 roku i sprzedała się w astronomicznej, jak na Polskę, liczbie 720 tysięcy egzemplarzy. Piosenki: Nie płacz Ewka, Chcemy być sobą, Niewiele ci mogę dać, stały się przebojami. Młodzieży podobały się teksty Hołdysa i Bogdana Olewicza, jakby wzięte wprost z ulicy. Perfect zaczął być rozchwytywany. Grał w nieustającej trasie we wszystkich ważniejszych ośrodkach akademickich i festiwalach rockowych - od Rock Arena w Poznaniu po Jarocin. Koncert, który zespół dał w warszawskiej Stodole, znalazł się na ph/cie Live. Stan wojenny zastał muzyków w największym rozpędzie. Bardzo źle go znosili. Musieli zawiesić działalność na parę miesięcy. Kilku z nich odeszło. Pojechali uprawiać muzykę zarobkowo na Zachód. W kraju, mimo milczenia, ciągle pozostawali legendą.

Z WŁADZĄ NA UDRY W zatargach z władzą zespół wielokrotnie przeciąga) strunę.

Markowski np. zamiast „Wiatr odnowy wiat" śpiewał często „Wujek Józek zmart". Z kolei Hołdys na festiwalu w Opolu w 1981 r. wystąpił w koszulce z napisem CCCP. Reżyser koncertu wychodził z siebie, żeby kamery tej koszulki nie pokazały.

1 40

Blask estrady

konkurencja} do kultowości

Perfect miał w latach 80. sporo konkurentów. Kiedy zespół Maanam nagrał w 1980 r. pierwszą płytę, odebrał ekipie Hołdysa wielu fanów o korzeniach punk-rockowych. Z kolei Republika podobała się miłośnikom ówczesnej nowej fali i czytelnikom George'a Orwella z racji nawiązywania do jego twórczości.

Perfect podczas konferencji prasowej (1967)

Schodzenie ze szczytu

Publiczność traktowała piosenki zespołu nie jak kolejne rockowe kawałki, ale jak młodzieżowe hymny. Zmieniała i dopowiadała ich słowa. „Chcemy być sobą" skandowano jako „Chcemy bić ZOMO". Zamiast „Nie bój się tego wszystkiego" śpiewano „Nie bój się tego Jaruzelskiego". Cenzura mocno pilnowała, by teksty Perfectu nie przekraczały dopuszczalnej granicy swobody. Jednak czasami dawała się wywieść w pole. Kiedy zespół swój album z 1982 roku nazwał UNU - od rejestracji samochodów wojskowych, jeżdżących po ulicach w stanie wojennym - cenzor domagał się wyjaśnień. Hołdys wytłumaczył więc, że unu to staroegipski ptak wolności. Urzędnik musiał przyjąć to do wiadomości. Autobiografia, zarejestrowana na tej płycie, została uznana za rockowy hymn generacji. I właśnie w tym

momencie - w marcu 1983 roku -Hołdys podjął decyzję, aby rozwiązać Perfect. To było szokujące posunięcie, ale muzyk uznał, że grupa już wyżej zajść nie może i że powinna zakończyć działalność, gdy jest na szczycie. Poza tym epoka buntu skończyła się, trzeba było zacząć dbać o siebie w ramach półlegalnego „drugiego rynku”. Markowski zajął się prowadzeniem firmy budowlanej. Codziennie wstawał o szóstej rano i ruszał na budowę. Zaświadczenie o długowieczności

Perfect wrócił na scenę w 1987 roku, ale zaledwie na trzy koncerty. Najważniejszy z nich, pod nazwą Perfect Day, odbył się na warszawskim Stadionie Dziesięciolecia. Zjawiło się na nim przeszło 40 tysięcy fanów. W trakcie imprezy można było nabyć wejściówkę, która gwarantowała wstęp na koncert zespołu w roku 2000. Perfect zobowiązał się do zagrania w tym samym składzie, co podpisami poświadczyli jego członkowie. Z dotrzymania słowa zwalniała ich jedynie śmierć. Pieniądze z certyfikatu miały zasilić konto fundacji „Na zawsze”, wspomagającej muzyków w trudnej sytuacji życiowej. Niestety, nie zgodził się na to ówczesny minister kultury, Aleksander Krawczuk.

Hołdys fenomenalny

Zbigniew Hołdys po Perfect Day tylko sporadycznie wracał do tworzenia muzyki. Przed wyborami w 1989 roku został szefem kampanii warszawskiej „Solidarności”. Wkrótce potem dał w USA głośne koncerty, entuzjastycznie przyjęte przez amerykańskie media. O fenomenie Hołdysa pisał „New York Times”, „Newsweek” i „New Yorker”. Po kilku latach muzyk powrócił do kraju. W wywiadach powtarza, że z wiekiem zaczął cenić życie rodzinne.

Strajk fanów

„Kilka godzin przed wprowadzeniem stanu wojennego przyjechaliśmy na sobotni koncert do Malborka. Sala nieogrzana, wiszą sople, palce nam kostnieją. Mówimy, że w tych warunkach nie możemy grać, ale na wiosnę zagramy za darmo. Wtedy jeden z fanów zakłada białoczerwona opaskę, mówi: «Robimy komitet strajkowy, podłóżcie podpałkę pod ich autobus, jak będą chcieli odjechać, to podpalamy». I zaczynają rzucać kamieniami w nasz sprzęt” - wspominał po latach Zbigniew Hołdys.

1 4 1

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

rowa

generacja

Pokolenie bigbitu było pierwszą generacją, która miała własną muzykę. Z nową muzyką przyszła nowa moda i nowe obyczaje.

Krzysztof Klenczon

Bitwa o włosy

! A o legendy tych lat przeszło słuchanie za-<AJr granicznych rozgłośni. „Z zapartym tchem i bijącymi sercami słuchaliśmy w nocy, przez słuchawki, Radia Luksemburg” - wspominał Trubadur, Ryszard Poznakowski. Powszechny był też udział w kampanii o długie włosy.

Szczególnie ucierpiał na tym zespół Breakout. „Groźny był rok 1970, kiedy zdjęto nas z Telewizyjnej Giełdy Piosenki - opowiadał lider grupy, Tadeusz Nalepa. - Chodziło o włosy, za długie oczywiście. Nie istnieliśmy w telewizji przez jakieś dziesięć lat, zostaliśmy wpisani na jakąś listę...”. Szykany pojawiały się z najmniej spodziewanej strony. Nastolatków Seweryna Krajewskiego i Jerzego Skrzypczyka, późniejszych muzyków Czerwonych Gitar, ukarano naganą na szkolnym apelu

za „granie za pieniądze w nocnym lokalu”. Za taki bowiem uchodził wówczas sopocki klub Non Stop. Wszystkie zespoły miały też problemy z publicznością, która zbyt żywiołowo reagowała na ich występy. „Tłumy przychodziły na stadiony. Wrzaski, wiwaty, czasem połamane ławki. W Gdańsku zdemolowano jakiś tramwaj, gazety o tym pisały - wspominał Jacek Zieliński, lider Skaldów. - To była muzyka mocnego uderzenia, a więc ekspresja. Ponieważ widzowie nie mieli instrumentów, łapali krzesła”.

Szczupaki w stawie

Rewolucję w polskiej muzyce młodzieżowej przyniosło radio. W Trójce ogromną popularnością cieszyło się Studio Rytm, dla którego nagrywali wszyscy najważniejsi artyści ówczesnej estrady: od Czesława Niemena, przez Czerwone Gitary, po Trubadurów. Ze Studiem Rytm konkurowało nadawane również w Programie III Radiowe Studio Piosenki, prowadzone przez Agnieszkę Osiecką i Wojciecha Młynarskiego. Wykonawcy, których grupowało, zwracali szczególną uwagę na literackość tekstów. Audycja wylansowała m.in. Skaldów. Mawiano, że do lat 60. polską muzyką rozrywkową rządziło najwyżej 15 osób. Wejście na rynek nowej generacji powodowało spięcia z kompozytorami starej daty. Młodzi nie korzystali z pomocy starszych - sami pisali sobie piosenki i sami je wykonywali. „Do spokojnego stawu z karpiami wpuszczono młode i głodne szczupaki, na dodatek bez kompleksów” - wspominał

1 42

Blask estrady

Nie można mi zabrać muzyki, najwyżej płyty, nagrania. Muzyka jest we mnie. Szachista nie potrzebuje ani szachów, ani szachownicy. Może wszystko rozgrywać w głowie — Piotr Kaczkowski

Witold Pograniczny, dziennikarz radiowy. Do Studia Rytm przychodziło miesięcznie 30 tysięcy listów z głosami na listę przebojów. Zamknął je w 1973 roku nowy prezes Radiokomiteu, Maciej Szczepański. Muzyka „mocnego uderzenia” przestała być władzy potrzebna - w rozrywce zaczął się styl festiwalowy.

Do Programu I Polskiego Radia piosenka młodzieżowa weszła kuchennymi drzwiami. Szefostwo zgodziło się nadawać Rytm młodych o godzinie 18.00 tylko dlatego, że 10 minut później analogiczna audycja zaczynała się w Radiu Wolna Europa. Często dochodziło do starć z cenzurą. Ta patrzyła podejrzliwie na zupełnie niewinne utwory, np. Powiedz, kim jesteś Trubadurów czy Dni, których nie znamy Marka Grechuty. Ostatecznie w socjalizmie przyszłość musiała być jasna i świetlana dla wszystkich.

Balast magnetofonowy

Praca dziennikarza muzycznego w latach 60. była pionierskim przecieraniem szlaków. Prezenter radiowy, Piotr Kaczkowski, wspominał próbę nagrania wywiadu z Cliffem Richardem w 1965 roku. „Zabieram magnetofon L2 B, który waży co najmniej 18 kilo, ma małą, 15-minutową szpulkę, nie przewija, nie odczytuje. Tylko nagrywa. Wygląda jak połowa dużej skrzynki na kwiaty, w takim samym pięknym zielonym kolorze. Mikrofon do niego jest podobny do hitlerowskiego granatu, ma mniej więcej 30 cm długości. Ja z tym wszystkim jadę autobusem 114 na lotnisko. Wbiegam na płytę i w tym momencie widzę, że taśma ciągnie się za mną dobre 40 metrów. Oczywiście żadnego wywiadu nie było”.

Po standard do USA

Wielu muzyków wybierało emigrację zarobkową. Andrzej Olechowski, ówczesny menedżer Krzysztofa Klenczona, opowiadał o artyście: „To był człowiek niezwykle popularny w Polsce, jak szedł ulicą, wszyscy go rozpoznawali, pozdrawiali, prosili o autografy. Był bardzo lubiany. I przy tej sławie on musiał cały czas niezwykle się zwijać i kombinować, żeby utrzymać rodzinę na przyzwoitym poziomie, żeby, np. kupić sobie nową gitarę... itd. A w Stanach Zjednoczonych prowadził firmę, która sprzątała biura, i to mu dawało dużo większe pieniądze, lepsze warunki życia. W nim był pewien konflikt -dylemat ojca, męża, który chciał rodzinie dać standard, a w Polsce przy tych kretyńskich zwyczajach i przepisach, jakie wtedy panowały, absolutnie nie mógł im tego standardu zapewnić”.

Rock and roli przeciw Prymasowi

Muzyka młodzieżowa niekiedy boleśnie ocierała się o politykę. Ryszard Poznakowski wspominał: „W roku 1965 kardynał Wyszyński, ówczesny Prymas Polski, jeździł z cyklem kazań po miejscach kultu. To była wielka pielgrzymka tego wspaniałego kapłana i męża stanu

po całym kraju. Ktoś wpadł na pomysł, żeby urządzić konkurencyjną imprezę, która miałaby odciągać młodzież od tych wielotysięcznych zgromadzeń. Czerwo-no-Czarni byli do tego celu idealni. Mieliśmy występować dokładnie tam, gdzie Kardynał, tylko z kilkugodzinnym wyprzedzeniem. Kiedy wiadomo było, że on zacznie o jedenastej, myśmy o dziewiątej już grali, oczywiście w ramach «wielkiego ludowego festynu»".

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Takie koncerty przechodzą do historii. Nie dlatego, że występują na nich gwiazdy z muzycznych szczytów. Ale dlatego, że dochodzi do nich w czasie i miejscu, w których teoretycznie dojść do nich absolutnie nie powinno. Tak jak do koncertu The Rolling Stones 13 kwietnia 1967 roku w warszawskiej Sali Kongresowej.

Satjrsfakcja

dla t-Orbrattjrcfc

Stonesi uciekają przed policją

ГУ espół The Rolling Stones zjawił IIIrX> się w Warszawie nieprzypadkowo. Ale nie z tego powodu, że muzykom zależało na koncertach za żelazną kurtyną. Wiosną 1967 roku wyruszyli w europejską trasę, żeby uciec przed sprawą sądową, która groziła im za posiadanie narkotyków. Kilka miesięcy wcześniej policja zrobiła nalot na dom Keitha Richardsa i znalazła tam marihuanę. To mogło poważnie zaszkodzić świetnie rozwijającej się karierze grupy.

Stonesi woleli wprawdzie zagrać w Moskwie, ale władze radzieckie nie zgodziły się na ich koncert. Jaggerowi i kolegom musiała zatem wystarczyć stolica Polski. Zezwolono na występ rockandroUowców, choć Gomułka nie lubił muzyki młodzieżowej. Miał jednak wnuczkę, która słuchała bigbitu. Machnął więc ręką i zawyrokował: „Niech będzie”.

Przez dwa szpalery

O nabyciu biletu na koncert w kasie - bardzo drogiego, bo kosztującego aż 120 złotych - nie można było nawet marzyć. Pozostawało kupno u koników, oferujących wejściówki w cenie kilkukrotnie

'İM? ^ ?w Γ

Lłbrn t

^ STONESI NA WIERZCHOŁKU

W1967 r. zespół The Rolling Stones był gwiazdą, która dorównywała Beatlesom. A scenicznym temperamentem przewyższa! nawet chłopców z Liverpoolu. W dodatku w tym właśnie roku wydał pierwszy w historii singiel, który miał dwie strony „A” - obie piosenki na płycie: LetiSpendtheNightTogetheri RubyTuesdaybyły superprzebojami.

wyższej. W dodatku gruchnęła plotka, że sprzedają oni sfałszowane bilety, z którymi obsługa nie będzie wpuszczać. Ale fani mimo to pożyczali pieniądze skąd się dało i z drzeniem serca kupowali przepłacone bilety.

Stonesi dali w Warszawie dwa koncerty: o 18.00 i 20.30. Okolic Sali Kongresowej strzegł podwójny szpaler milicjantów. Bilet należało okazać funkcjonariuszowi z pierwszego kordonu u stóp schodów. Potem trzeba było podejść do szeregu, który stał wyżej - znowu z wejściówką w wyciągniętej

1 44

Blask estrady

dłoni. I dopiero, kiedy drugi szpaler milicjantów przepuścił delikwenta, czekała go prawdziwa weryfikacja biletu. Następnego dnia Polska Agencja Prasowa podała, że zakwestionowano 200 podrobionych wejściówek.

W pierwszych rzędach Sali Kongresowej zasiadła śmietanka artystyczna i prywatna inicjatywa. Obecni byli m.in.: Wojciech Młynarski, Krzysztof Teodor Toeplitz, Lucjan Kydryński, a obok nich najbardziej wzięci producenci krawatów. Wreszcie na estradę weszli

Stonesi. Grali zaledwie 40 minut, jednak zaprezentowali swoje najważniejsze przeboje: Satisfaction, Lady Jane czy Lets Spend the Night Together. Publiczność przyjęła ich owacyjnie, ale bez ekscesów.

Legenda na zamówienie

Tyle fakty. Jednak wokół koncertu zapanowała taka euforia, że potrzebna była legenda. I taka legenda szybko powstała. Zachodnia prasa pisała, że występ The Rolling Stones odbył się w atmosferze skandalu politycznego. Podawano, że pierwsze rzędy na widowni zajęli kacykowie partyjni i państwowi. Kiedy Jagger ujrzał oficjeli, miał kazać im się wynosić, a na ich miejsce wpuścić prawdziwych fanów zespołu. Milicja rzekomo rozpędzała tłumy miłośników zachodniego rocka za pomocą gazu i pałek. Wszystko to było wysrane z palca. ZAPŁON ENTUZJAZMU ^ The Rolling Stones od czasu wydania pierwszej płyty w 1964 r. dołączyli do światowej czołówki rocka. Ich koncerty często przeradzały się w awantury z policją, która nie potrafiła zapanować nad rozentuzjanzmowanymi fanami. Na tym tle występy w Warszawie należały do wyjątkowo spokojnych.

Fani za średnią krajową

Zostać fanem rocka nie było łatwo. Radio nadawało najwyżej kilkadziesiąt minut muzyki młodzieżowej dziennie - w programach prezenterów: Marka Gaszyńskiego, Romana Waschko czy Piotra Kaczkowskiego. Stonesi znani byli więc głównie z kultowego Radia Luksemburg. Stamtąd nagrywano ich przeboje na magnetofon, choć jakość takiego nagrania była opłakana. Oryginalne płyty posiadali tylko szczęśliwcy, których rodzice pracowali w placówkach dyplomatycznych lub na statkach zawijających do zachodnich portów. Nie sposób było je zdobyć, nawet w warszawskich komisach czy „sklepach z towarami pochodzenia zagranicznego”. Czasami zagraniczna płyta pojawiała się na bazarze. Ale kosztowała od 1200 do 1500 złotych, czyli tyle, ile wynosiła miesięczna pensja. Stonesów słuchano zatem z magnetofonów - w nieskończoność przegrywano piosenki z taśmy na taśmie - aż do zupełnego zatarcia dźwięku.

Koncert w gułagu

Swoją wizytę w Polsce Ludowej koloryzowali sami Stonesi. Basista, Bill Wyman, we wspomnieniach pisał, że Warszawa przywitała zespół w nastroju depresyjnym. Lotnisko przypominało rząd baraków. W Hotelu Europejskim dostał pokój z kolumną pośrodku, o którą walił głową, spiesząc się rankiem do łazienki. Telewizora nie było, a radia nie dało się słuchać, bo stacje - jak twierdził - zagłuszano. Stonesi nie mogli wyjść na spacer, ponieważ zakazali im tego tajni agenci, którzy czaili się w budynku za każdą kolumną. W dodatku po występie przed salą koncertową doszło do zamieszek. „Była masa policji i wojska - pisał Wyman. - Policjanci na koniach rozganiali fanów, a wspierały ich wozy opancerzone z karabinami maszynowymi”.

Koncert The Rolling Stones w warszawskiej Sali Kongresowej (13.04.1967)

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Relacje międzyludzkie bywały w PRL-u zgrzebne i surowe. Ale mimo to miliony rodaków były gotowe na wszystko, byle nie popełnić gafy.

pavx

ipofc

^05II-

Pierwszeństwo w drzwiach

Problemy mnożyły się na każdym kroku. „Jeżeli kobieta częstuje cukierkiem z pudełka czy torebki, lub papierosem z paczki, to czy mam po prostu wziąć, czy też odebrać paczkę względnie pudełko i poczęstować częstującą, następnie dopiero wziąć sobie po czym paczkę jej oddać?” - zastanawiał się czytelnik „Przekroju”. Inny obawiał się kompromitacji w trakcie spotkania towarzyskiego: „Przy kolacji w gronie rodzinnym, u wujostwa, do wytrawnej

wódki podano kieliszki 40-gramowe. Wypijałem na raz, podczas gdy reszta piła na dwa razy. Czułem, że wyglądam na kogoś nadmiernie lubiącego alkohol. Czy popełniłem nietakt?"

Tradne sytuacje zdarzały się wszędzie, także w sanatorium: „Proszę o wyjaśnienie, czy pacjenci sanatorium, przebywający tam razem od trzech tygodni, powinni kłaniać się sobie, pozdrawiać, czy też mogą, jak to teraz jest w zwyczaju, spotykać się na terenie sanatorium bez żadnej reakcji, jak nieznajomi?”. Jeszcze bardziej nabrzmiały problem stanowiło otwieranie drzwi. „Czy do kawiarni, względnie restauracji, wchodzi pierwszy mężczyzna, otworzywszy drzwi, czy też powinien przepuścić towarzyszącą mu panią?”. Do kącika porad „Przekroju” trafiło nawet pytanie dotyczące mebla: „Dostaliśmy od rodziców męża piękną starą szafkę, cóż kiedy jest oszklona, widać aż cztery półki. Jak ją zagospodarować, by prezentowała się jak należy i była pożyteczna?”

Jak odstraszyć koleżanki od brania grzebień, bo na „Mara łupież” dopowiadają „Ja też”? - czytelniczka „Przekroju”

Czekałam dwie godziny, nie przyszedł

Wiele kłopotów z zakresu dobrego wychowania przynosiło życie miłosne. Amanci obojga płci najczęściej pytali redakcje czasopism, jak prawidłowo ocenić zaangażowanie drugiej strony. „Osobiście się nie znamy, ale często widzimy się w szkole i na ulicy. On bardzo mi się podoba. Na jego widok robię się czerwona. Co robić?” - prosiła o radę zrozpaczona dziewczyna. Jej rówieśnice doznawały znacznie bardziej dojmujących przeżyć. „Po krótkiej rozmowie zaprosił mnie na kawę. Czekałam w kawiarni dwie godziny, nie przyszedł. W dwa dni później spotkałam go z dziewczyną. Podeszedł do mnie i powiedział, że bym go odwiedziła o 16.00, więc zapytałam o adres i o 16.00 zapukałam do drzwi. Otworzyła jego matka i zaraz na progu powiedziała: »To już piąta dzisiaj«. Jak postąpić?”. Podobne perturbacje nie ustępowały nawet po ślubie: „Jesteśmy młodym małżeństwem. Co mam myśleć o mojej serdecznej przyjaciółce, niezamężnej, która w czasie mojej nieobecności odwiedza mojego męża w naszym domu, umawia się z nim do kina, zaprasza na obiady? Gdy jestem na miejscu, ciągle mnie pyta, kiedy wyjadę”. Bardzo wiele pytań dotyczyło tego, jak zachować bon ton w kontaktach z teściową: „Matka mojej żony, która niepodzielnie króluje, zwłaszcza w kuchni, ma zwyczaj pytać się gości, czy coś zjedzą. Goście najczęściej odpowiadają, że nie, 1 4B

Kraj na co dzień

wskutek czego wychodzą bez najmniejszego poczęstunku. Wiem, że nieraz są głodni. Kto tu jest nie w porządku: teściowa czy goście?”

Ziewanie lwicy

Zasad *savoir-vivre*'u trudno było przestrzegać także w urzędzie. „Jest nas w biurze osiem pań, z których jedna po czterdziestce ziewa przez prawie osiem godzin pracy. Proszę nie myśleć, że dyskretnie. Przypomina to ziewanie lwicy zamkniętej w klatce. Ryzykujemy czasem uwagę, lecz ani to, ani dyskusje na ten temat prowadzone w jej obecności, nie odnoszą skutku. Ziewanie okropnie na nas wpływa, prosimy o wypowiedź”. Niekiedy sytuacja w biurze komplikowała się ponad miarę. „Czy dobrze zrobiła nasza koleżanka w wieku emerytalnym, dobrze zakonserwowana, żądając od młodszego trochę kolegi, aby jej podniósł spod stołu karteczkę, która tam upadła, ponieważ ona (ta pani) jest starsza i trudno jej się schylać. To miała być dla kolegi lekcja grzeczności. Podniósł bez słowa, choć jest inwalidą”.

Wizytówki były w PRL-u zjawiskiem tak rzadkim, że nie

Rodzina uroczystość jubileuszowa

bardzo wiedziano, jak ich używać. „Czy przy składaniu wizyt w urzędach, w sprawie osobistej lub służbowej, gdy chcemy widzieć się z dyrektorem, prezesem, przewodniczącym, należy za pośrednictwem sekretariatu podać swoją wizytówkę?” - brzmiało jedno z wielu podobnych pytań. W biurze najtrudniej było rozstrzygnąć, kto komu powinien okazać szacunek i jak daleko posunięty. „Jak powinien zachować się kierownik pracowni instytutu

naukowego - czytaliśmy w prasie - kiedy wchodzi tam kierownik (bezpośredni przełożony) i prosto od drzwi podchodzi do jednego z laborantów: a) siedzieć i nie przerywać sobie pracy, b) wstać i podejść do kierownika, c) zrobić jeszcze coś innego?".

Sztywność i elegancja

Mnóstwo problemów z zakresu dobrego wychowania wywoływał strój. „Mój wybrany bardzo nieporządnie się ubiera. Potrafi chodzić w spodniach z wyraźną dziurą. Rodzice twierdzą, że ważny jest charakter, a ubrać się zawsze można". W latach 60. kontrowersje budziło noszenie spodni przez dziewczęta. „Koleżanka twierdzi, że popełniłam wielką gafę idąc na spotkanie z chłopcem w spodniach. Dodam, że są to eleganckie spodnie elastyczne, wyprasowane i wyczyszczone, a poza tym, jak sądzę, tej zimy modne. Czy miała rację?". Nie mniejsze dylematy związane z ubiorem mieli chłopcy. „Czy wypada na zabawę szkolną włożyć niemnącą koszulę, gdy nikt inny z kolegów podobnej nie będzie miał? Czy nie będę się czuł za bardzo sztywno i elegancko?".

PROCENTY W CELOFANIE Co wypada, zastanawiano się także przy okazji wystawnych konsumpcji: „Mąż postawił na stole »Czystą eksportową« wraz z celofanem twierdząc, że to elegancko wygląda, ja uważam, że trzeba celofan zdjąć. Najgorsze, że w ślad też znajomi zaczęli tak podawać" - pisała czytelniczka „Przekroju". Redakcja stwierdziła, że celofan nie jest niezbędny.

1 47

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

Zadzierane nosa

Snobować można się było na wszystko: od wyszukanego imienia, po domową biblioteczkę. Byle tylko sprawić wrażenie, że jest się z wyższej sfery niż sąsiad.

Władysław Gomułka

Rolandy i Narcyzy

Z dobrym tonem należało się liczyć przy nadawaniu imion pociechom. Z początkiem lat 70. popularne stały się imiona zgrzebne, o wiejskim rodowodzie. Rodzice przeprowadzili się do miast, poczuli się inteligencją i nazywali dzieci imionami własnych wiejskich dziadków. Powodzeniem cieszyli się: Michał, Mateusz, Maciej, Wojciech, Bartek, Antek oraz Agata, Magda, Katarzyna. Po kilku latach ta swojszczyzna się przejadła. W modzie było nazwać chłopca: Artur, Robert, Raul, Roland, Hubert, Olaf, Igor, a dziewczynkę: Narcyza, Mariola, Violetta, Edyta, Daria. Gdy i ten trend przeminął, pozostała nieśmiertelna Agnieszka i kilka imion „banalnych": Tadeusz, Adam, Zofia. Często też wracały imiona prasłowiańskie: Sławomir czy Jarosław. Zdarzali się rodacy, którzy nazywali swoje dzieci w sposób wyszukany: Aida (jak bohaterka opery Verdiego), Blandyna, Dragomira, Dioniza, Emma (jak pani Bovary), Gerda (jak postać z bajki Andersena), Kwiryna, Lilia (jak Weneda), Nora (jak ta z dramatu Ibsena) czy Arseniusz (jak włamywacz Łupin), Alvaro, Apolinary, Miron (jak Białoszewski), Orest (jak bohater antycznej tragedii).

SAMOCHÓD USPOŁECZNIONY[^] I Władysław Gomułka nie był zwolennikiem komunikacji indywidualnej. Uważał, że ludność powinna się poruszać autobusami i pociągami. Był zdania, że kraju nie stać jeszcze na produkcję „samochodu dla Kowalskiego". Jego otoczenie próbowało mu zasugerować, że skutkiem takiego myślenia Polska oddala się od Europy.

Byle wyżej

Snobizmy uderzały w najróżniejsze ludzkie słabości. W samej tylko Warszawie codziennie blisko 100 tysięcy osób telefonowało do zegaryni, bo zegarki nieustannie podawały niedokładny czas. Choć punktualność nie była wymagana praktycznie nigdzie - ani na wykładach uniwersyteckich, ani na kolei. Dzwoniono z czarnych telefonów, ponieważ przyjęło się, że aparat powinien być w tym właśnie kolorze. Kiedy w Katowicach na początku

lat 70. eksperymentalnie wyprodukowano partię kolorowych telefonów (kremowych, żółtych, czerwonych i zielonych), abonenci nie chcieli ich używać, uważając je za mało poważne.

nowy modeli taksówki (25.05.1964)

1 48

Kraj na co dzień

Kurs wsiadania do taksówki

Snobizm panował się nawet w elitarnym gronie kierowców taksówek i ich klientów. „Trzech kolejno taksówkarzy z Chrzanowa odmówiło wiezienia pana mającego ze sobą muszlę klozetową - relacjonowała „Polityka”. - Taksówkarze wyjaśniali, że honor nie pozwala im ekspediować tak mało wytworny przedmiot. Czwarty taksówkarz pojechał, ale zajechawszy na miejsce zażądał potrójnej zapłaty: »to za śmieszność, panie«. Z kolei w Lubawce (województwo jeleniogórskie) pijany pasażer w taksówce wyciągnął granat i kazał wieźć się w kierunku Kamiennej Góry. Po unieszkodliwieniu napastnika okazało się, że granat jest prawdziwy i uzbrojony. Prasa żartowała, że w czasach kiedy taksówkarze domagają się wyższej opłaty, niż wskazuje licznik, ta metoda może się upowszechnić. Nic więc dziwnego, że Wydział Komunikacji Prezydium MRN W Kłobucku urządził publiczny w nowej centrali

kurs dla obywateli, który kształcił w sztuce wsiadania do taksówki.

Elegant z lamusa

Rodacy często nie radzili sobie z pozowaniem na elegantów. Obszerny katalog zagadnień związanych z kwestią dobrego smaku zawierała skrzynka pytań i odpowiedzi tygodnika „Przekrój”. „Nasz znajomy, 40, eksponowane stanowisko zjawiał się na dwóch kolejnych balach w białych skórkowych rękawiczkach, nie zdejmując ich ani razu. Witął się, tańczył, palił papierosy, jadł, słowem wszystko robił w rękawiczkach, budząc zdumienie i uśmiechy”. Redakcja komentowała: „Znajomy zastosował elegancję z lamusa. W każdym razie nigdy się w takich rękawiczkach nie jadało, służyły do tańca, by spoconą ręką nie skalać sukni ani dekoltu danserki”.

Kuchnia wszechpolska

Snobizmem obyczajowym PRL-u było przechowywanie w domu na eksponowanym miejscu książki Kuchnia polska. Kiedy w 1954 roku pierwsze wydanie w liczbie 55 tysięcy egzemplarzy opuściło drukarnię, zniknęło z księgarń już po kilku dniach. Do początku lat 60. rozszedł się półmilionowy nakład Kuchni polskiej. A dodruki produkowano od tego czasu regularnie. Ta książka kucharska świetnie sprzedawała się nie tylko w kraju, ale i w Związku Radzieckim, na dawnych Kresach, oraz wśród amerykańskiej Polonii.

Wywiad z golarką

Do niewielkiej miejscowości w Kieleckiem przyjechał na zjazd szkolny były licealista, który zapragnął zaimponować koleżankom. Doskonale wiedział przy tym, że uwielbiały one pokazywać się w „wielkim świecie”, kiedy tylko miały ku temu okazję. Przedstawił się więc jako dziennikarz radiowy i na dowód tego przeprowadził z nimi wywiad. Rozmowa była długa, panie bardzo starały się zaprezentować z jak najlepszej strony. Kolega dziennikarz roztaczał przed nimi miraż sławy, która już niebawem miała się stać ich udziałem. Dopiero po jakimś czasie ktoś uświadomił naiwnym kobietom, że mówiły nie do mikrofonu, lecz do golarki.

telefonicznej na warszawskim Mokotowie (20.09.1947)

A\ DEFICYT SŁUCHAWKOWY

Telefon był dobrem dla uprzywilejowanych, ponieważ centrale miały ograniczoną przepustowość. Poza tym brakowało monterów, którzy doprowadzali kable do mieszkań. Dlatego na przydział numeru telefonicznego czekało się kilka lub nawet kilkanaście lat. Powszechną praktyką było więc telefonowanie z pracy w sprawach prywatnych.

1 49

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

1A.05 kawałek

*<*U:«

m

Otrzymanie własnego mieszkania nie mogło się obyć bez pompy. „Pierwszych lokatorów Osiedla na Ratajach przyjęto powitalnym listem i kwiatami na klatkach schodowych” - entuzjasmował się w 1968 roku „Express Poznański”. Wraz z kluczami użytkownicy dostali specjalnie wydaną przez spółdzielnię książeczkę, zawierającą szereg pożytecznych informacji, co robić w przypadku usterek i ukrytych wad.

Z punktu widzenia portiera

Mieszkanie, a zwłaszcza przyjmowanie gości, było niezwykle skomplikowanym i delikatnym przedsięwzięciem; co potwierdzał np. Regulamin Spółdzielni Mieszkaniowej „Oświata” w Warszawie z 1970 roku. Zabraniano w nim m.in.: karmienia ptactwa na parapetach oraz prowadzenia głośnych rozmów między godzinami 22.00 a 6.00. Osoby przebywające w budynku w porze nocnej, a niezamieszkujące w nim, wpuszczane mogły być po wyjaśnieniu portierowi celu przybycia i okazaniu mu dowodu osobistego. Z kolei za dnia portier sprawdzał tożsamość wchodzących, co do których istniało uzasadnione przypuszczenie, że ich obecność nie była w budynku pożądana. Osoby niezamieszkujące w danym budynku, a wychodzące z niego z przedmiotami i bagażami, powinny być legitymowane przez portiera. W Gdyni lokatorom bloku przy ulicy Kordeckiego na wiosnę zaklejono okna papierem, aby zabezpieczyć je przed pracami remontowymi. Tymczasem remont nie ruszał. Mieszkańcy spędzili więc kilka miesięcy w ciemnościach. Z kolei jesienią, kiedy robotnicy ciągle się nie zjawiali, a wiatr zerwał papier, szyby po prostu zamalowano.

Pamiętaj, współżycie to piękna rzecz! — napis urzędowy umieszczony w windach falowca w Gdańsku przy ulicy Lumumby

Sublokator z kozą

Nic dziwnego, że w kwestii mieszkalnictwa dochodziło do ciągłych nadużyć. Pewien obywatel Gorzowa Wielkopolskiego wynajął sublokatorowi pokój i wziął zadatek. Nie uprzedził go jednak, że obaj będą zajmowali to samo pomieszczenie. W dodatku pechowy sublokator zastał w pokoju: dwa koty, dwie kotki oraz dwie kozy. Czytelniczka „Przekroju” pytała, jak reagować, gdy znajomy, przyjeżdżając do jej miejscowości w delegację raz na tydzień, załatwia sprawy służbowe w godzinę, a potem przesiaduje u niej w domu resztę dnia. „Cały tryb zajęć naszej sporej rodziny w ciasnym mieszkaniu jest sparaliżowany- skarży się umęczona kobieta. - Znajomy jakby o tym nie wiedział, często nadmienia, że pewnie nudzimy się na prowincji”.

150

Kraj

na co dzień

Psychiczni we wspólnej kuchni

Jeszcze gorsza do zniesienia była sytuacja osób latami oczekujących na mieszkanie. Marian K. z Łodzi kupił wersalkę. Po 14 przespanych na niej nocach odwiedziła go sprzedawczyni ze sklepu meblowego, oświadczając, iż kanapę zabiera, gdyż obywatel K. nabył ją nieprawnie. Wersalki przeznaczone były bowiem wyłącznie dla młodych małżeństw, w dodatku mieszkających w nowym budownictwie. W warszawskiej Główniej Poradni Zdrowia Psychicznego na blisko 8000 zarejestrowanych stałych pacjentów znaczna część uskarżała się na dolegliwości psychiczne związane z brakiem własnego „M”. „Większość pacjentek mieszka w warunkach, o jakich przed wojną żony robotników nawet nie śniły - komentowało „Zwierzciadło”. - Tyle że... w mieszkaniu dzielonym z inną rodziną. I zaczyna się od pyskówki, a kończy w poradni albo nawet w zakładzie psychiatrycznym”.

LOKATOR ZA MUREM ^ „Gdy do nadmiernie dużego (2 pokoje na dwie osoby) mieszkania służbowego, które zajmował Józef M. we Wrocławiu, dokwaterowano mu w jednym pokoju sąsiadów, gospodarz zdenerwował się i... zamurował drzwi, odcinając ich pokój od reszty mieszkania. Wtedy zdesperowany sąsiad wkroczył do jego części mieszkania i młotkiem jął rozbijać ów mur. Doszło do awantury zakończonej sprawą sądową" - „Kulisy" (1980).

1 5

Cierpienia mieszkańca mrowiskowca

„Warycha nie lubił tego domu. Maszyna do mieszkania. Mro-wiskowiec. To atmosfera całego tego domu wydawała się Andrzejowi nieznośna i przytłaczająca, nie do wytrzymania w gruncie rzeczy - jeżeli pomyśleć, że miałby spędzić tutaj całe swoje życie, wiele lat. Nie znał właściwie nikogo spośród mieszkańców domu, nie kłaniał się, nie rozpoznawał twarzy nawet najbliższych sąsiadów. O ile łączyło go cokolwiek z tymi ludźmi, mijanymi codziennie w potwornej długości korytarzach, w drzwiach wejściowych i w windzie - to uczucie wrogości, niechęci przynajmniej. To oni właśnie, ci obcy, powodowali nieustające wycie dźwigów, łoskoty zsypów, hałaśliwy rezonans instalacji wodociągowej i ciepłowniczej" - fragment powieści *Ukradzione twarze* Władysława Huzika.

Królewskie pędzenie

W łazienkach ciasnych mieszkań można jednak było wygospodarować nieco miejsca na zainstalowanie urządzeń do produkcji alkoholu. Jeżeli samemu nie dysponowało się odpowiednim lokalem, należało przenieść się z tym procederem do kogoś, kto miał większy metraż. Jak pewien hydraulik, który założył stosunkowo dużą bimbrownię w pałacu króla Stanisława Augusta Poniatowskiego w warszawskich Łazienkach. W trakcie rutynowej kontroli milicja znalazła w historycznych pomieszczeniach 40 kilogramów zacieru.

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Jffa

Gnieździliśmy się na niewielu metrach kwadratowych. Nic dziwnego, że robiliśmy wszystko, by było nam tam tak swojsko, jak to tylko możliwe.

III

©Ijrsk i

Wystawa mebli (1982)

Kariera sklejki

Prasa piętnowała modę lat 60. - ciężkie, poli-turowane meble. Był to tak elegancki wystrój mieszkania, że służył niemal wyłącznie na pokaz: „Do nowego domu zakupujemy meble - ciemne i na wysoki połysk, koniecznie pod sam sufit, nie zastanawiając się, jakie w naszym domu będą miały zastosowanie szafki pod sufitem. Nie dość, że okna zasłaniamy ciężkimi zasłonami, to na parapetach stoi masa brudnego kwiecica. Nie dość, że mało światła wpada przez okno, to ciemne meble z jaskrawym dywanem tworzą wewnątrz ciemne i ponure. Do takiego pokoju oczywiście nie ma wstępu na co dzień. Cała rodzina gnieździ się w kuchni, a nawet i sąsiada tak się przyjmuje. Pokój jest tylko na pokaz, przy tym troskliwie strzeżony". Mieszkania średnio zamożnych Polaków wyglądały w latach 70. przygnębiająco podobnie. Użalał się

[ODZYSK MEBLOWY „Szczęśliwi posiadacze NRD-owskiego segmentu »Butzow 73«, zakupionego w jednym z gdańskich sklepów meblowych po 14 700 zł za komplet, kiedy już postawili, dopasowali, poskręcali owe kombinaty meblowe, zostali jak jeden mąż wezwani w trybie pilnym do sklepu. Okazało się, że meble kosztują o 3500 zł więcej, w związku z czym sklep prosi o zwrot mebli lub doptatę brakującej kwoty" - „Kulisy" (1974).

na to „Zielony Sztandar" w 1975 roku: „Meble fabryczne, efektowne, najczęściej połyskliwe, regatowe wyparły z naszych mieszkań solidne stoły, szafy, kredensy będące dziełem rąk dobrych rzemieślni-ków-stolarzy. Z wielu domów pozbyto się starych sekretarzyków, biurka,

szaf, łóżek z czystego drewna, a nie jakiejs tam sklejki, aby na ich miejsce wstawić mebleścianki, tapicerskie kanapy i ławy. I oto okazało się, że w pogoni za pseudonowoczesnością zatraciliśmy troskę o wygodę i oryginalność. Mieszkania straciły swój indywidualny charakter, monotonia ich wystroju zaczęła nużyć". Na łamy jak echo powracał temat braku estetycznych mebli. Teresa Kuczyńska w książce Mieszkanie z wyobraźnią tłumaczyła: „Ograniczony wybór wyposażenia dla domu jest chyba główną przyczyną, która sprawia, iż mieszkania współczesnych Polaków wyglądają dość monotennie, jakby z kalki, urządzone są bez polotu. Przytłaczająca większość wyposażenia polskich mieszkań sprowadza się do mebleścianki, maksymalnie rozbudowanej oraz towarzyszących jej foteli, kanap i niskiego stolika »do kawy«".

1 52

Kraj na

co dzień

Sztuczne palenisko

Właściciele własnych domków prześcigali się w pomysłach na aranżację wnętrza.

Czytelniczka „Kobiety i Życia" prosiła w 1962 roku o radę: „Kończymy już budowę naszego małego własnego domku. Pozostało tylko wykończenie wnętrza. Kupiłam okazji kompletnie urządzenie łazienki, a ponieważ wcześniej miałam już starą wannę, mam teraz dwie. Bardzo lubię kwiaty. Myślałam więc o wstawieniu wanny do pokoju (oczywiście po odpowiednim obudowaniu, ładnie fornirowanej) jako kwietnik. Poradźcie, jak obudować wannę, żeby nikt nie poznał jej właściwego przeznaczenia i jakie dać kwiaty, żeby było efektownie i ładnie?". Wielu posiadaczy własnego „M" marzyło o kominku. Jeden z książkowych poradników podpowiadał: „W budynkach wielorodzinnych wznoszonych po roku 1950 można jedynie wykonać kominki-atrapy. Nie wyklucza to jednak zainstalowania w palenisku np. oświetlenia elektrycznego imitującego płomień i w konsekwencji wytworzenia efektu zbliżonego do naturalnego kominka z czynnym paleniskiem".

Ekspozycja na Targach Meblowych w Kalwarii Zebrzydowskiej (1972)

Kuchnia w piwnicy

„Zielony Sztandar" w roku 1975 zwiedzał rodzime dacje usytuowane na obrzeżach miast.

Inspekcja nie wypadła zachwycająco. Reporter sprawozdawał: „Gospodarze z dumą pokazują mi wnętrza - pokoje również jak wille do siebie podobne. Te same mebleścianki na wysoki połysk, te same kanapy, fotele, dywany, nawet... »święteczne« naczynia i szkło. Taka jest rzeczywistość standardowa. Oglądam również kuchnie. Małe, czyściutkie, ładnie umeblowane. Ale... w tych kuchniach od wczesnej jesieni do wczesnej wiosny aż do późnej jesieni nie gotuje się, nie jada, nie przebywa. One są. Czyściutkie, oszczędzane. Gotuje się, jada, odpoczywa po pracy w ciągu dnia w letniakach, czyli kuchniach letnich. Niezręcznie opisywać wygląd tych pomieszczeń, stan ich higieny i wystrój ogólny. W niektórych willach funkcje takich kuchni spełniają piwnice, garaże, magazyny na opał".

Cmentarzysko birbanta

Często spotykaną ozdobą mieszkań w czasach realnego socjalizmu były szeregi pustych butelek i puszek po zagranicznych napojach. Prasa pokpiwała z nich nieustannie: „Baterie butelek z atrakcyjnymi obcojęzycznymi nalepkami na półkach mebleścianek czy nawet specjalnie do tego celu zbudowanych regałach, jak w barze hotelowym pierwszej klasy. Tyle że - niestety - puste. Spotykamy je w ten sposób wyeksponowane w mieszkaniach najbardziej od siebie odległych środowisk. Najczęściej stanowią wspomnienie po alkoholach egzotycznych na naszym gruncie, którymi się przy jakiejś okazji raczyliśmy. Tyle, że nie wygląda to ładnie, bo butelki pokrywa brud i stają się smutnym cmentarzyskiem birbanta".

MASZYNA DO MEBLOWANIA „Mebel-maszyna. Wielu ludzi pragnie posiadać ten coraz wspanialszy mebel, tę superszafę z lustrzanym barkiem, półką na telewizor, na radio i magnetofon i na wystawienie w niej wszystkiego najlepszego, co mają w domu. Kupując taki

mebel podporządkowujemy się z góry zaplanowanemu przez konstruktora stylowi życia" - pisała o meblościance Teresa Kuczyńska w książce Mieszkanie z wyobraźnią.

1 53

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Pierwsi

baust

lufcsusu

W latach 50. Polacy doświadczyli pierwszych przejawów dobrobytu. Nazwano je matą stabilizacją. I od razu zaczęły się z nią kłopoty.

W bamboszach do syrenki

Objawem zamożności był wtedy samochód. Nieraz padał łupem złodziei. Jednak aut było tak niewiele, że milicji bardzo często udawało się odzyskać wóz. W 1966 roku w Warszawie skradziono wprawdzie 346 samochodów, ale nie odnaleziono tylko siedmiu. Zazwyczaj wówczas, kiedy złodziej okazał się trochę bardziej inteligentny. Kupował grata, kradł pojazd tej samej marki w dużo lepszym stanie, a następnie przerabiał papiery ze starego wozu na nowy. Auto stawało się często dobrem kłopotliwym. „Od kilku miesięcy mam samochód, który chciałbym swobodnie używać według swoich i żony potrzeb - pisał czytelnik „Przekroju”. - Tymczasem jestem skrępowany nagabywaniem ze strony sąsiadów, którzy stale chcą z nami jeździć wraz z dziećmi na niedzielne wycieczki albo w swoich prywatnych sprawach. Jak utrzymać dobre stosunki, a jednocześnie dać odczuć, że ich towarzystwo nie zawsze jest mile widziane, chociażby z uwagi na koszt?”. Wyjątkowe przejawy szacunku dla samochodu zademonstrował czytelnik „Słowa Ludu”. „Właściciel limuzyny »Syrena« z Kielc raz na tydzień w niedzielę udawał się nią wraz z rodziną i gośćmi na przejażdżkę dwudziestokilometrową. Przed wejściem do samochodu pasażerowie i kierowca zdejmowali buty i wkładali przygotowane w wozie bambosze”.

Tranzystor w płomieniach

Obiektem marzeń było też radio tranzystorowe. „Kulisy” odnotowały, że Stefan M. od kilku miesięcy oczekiwał na imieninowy prezent w postaci miniaturowego odbiornika. W dniu imienin żona wręczyła mu paczuszkę, informując, że w środku jest koszula. Solenizant poczuł się tak zawiedziony, że nie rozpakowując podarunku, cisnął nim w otwarte drzwiczki kuchennego pieca. „Kiedy po paru minutach złowrogiej ciszy małżonka odważyła się zapytać, czemu nie wypróbował nowego radia - z pieca zaczął się wydobywać swąd plastiku i syczenie płonących instalacji radia”.

KOLEJKA DO TELEWIZORA W latach 60. znamieniem luksusu było posiadanie telefonu i telewizora (czarno-białego). Właściciele tych urządzeń byli nieustannie nagabywani przez sąsiadów o zgodę na zatelefonowanie lub obejrzenie ciekawego programu. Młodzież marzyła zwłaszcza o radiu tranzystorowym lub adapterze.

1 54

Kraj na co dzień

Sam fakt przeniesienia się do nowego mieszkania...

Ożywiło się znacznie życie towarzyskie, czemu sprzyjało otrzymywanie pierwszych własnych mieszkań. „Obecnie, kiedy większość z nas posiada choć niezbyt przestronne, ale miłe nowe mieszkania, chcemy od czasu do czasu dać upust naszej wrodzonej gościnności - pisała Maria Laskowska w poradniku Przyjmujemy gości. - Już sam fakt przeniesienia się do nowego mieszkania stwarza okazję do zorganizowania spotkania towarzyskiego. I choć nadal uznajemy kawiarnię jako miejsce spotkań, co potwierdza brak miejsc w pewnych godzinach w tych lokalach, ale spotykamy się tam raczej na krótko -dla omówienia konkretnych spraw przy małej czy dużej czarnej”.

Na stoku Szrenicy

III i

/N SYRENA MARZEŃ

Samochód marki Syrena wywołał tak ogromną sensację na Targach Poznańskich w 1955 r., że władza zdecydowała się w końcu skierować go do produkcji. Chociaż auto miało przestarzałą konstrukcję, i tak przez całe lata 60. stanowiło przedmiot marzeń milionów Polaków.

Rozwód dla każdego

Z matą stabilizacją wiązała się też rosnąca liczba rozwodów. W 1968 roku notowano już 7,7 rozwodu na 10 tysięcy obywateli. Socjologowie zwracali uwagę, że małżeństwa rozstają się w sposób coraz bardziej kulturalny: bez kłótni i awantur. Z zasady bez orzekania o winie. O rozwód występowali nie tylko młodzi małżonkowie, którzy się do siebie rozczarowali, ale także mężczyźni po czterdziestce, przeżywający drugą młodość. W tym przypadku adwokaci starali się tak manewrować terminami, by trafić na wyrozumiałego sędziego, który nie przeciągał procedury.

Luksus na marne

„28-letni Stanisław S. z Łodzi metodycznie zdemolował własne mieszkanie: potłukł telewizor, rozbił lodówkę, zniszczył maszynę do szycia, połamał wszystkie meble, podarł odzież. Sąsiedzi zaniepokojeni odgłosami zniszczeń, wezwali milicję. Okazało się, że młody człowiek nie jest, jak podejrzewano, pijany, wprost przeciwnie - spokojny jak puls nieboszczyka. Rozchodzę się z żoną - powiedział - więc już nic nie będzie mi potrzebne” - relacjonowały „Kulisy” w 1974 roku.

[NARCIARSKI PARAGRAF

W latach 60. popularnością zaczęły cieszyć się sporty, wówczas elitarne, z narciarstwem na czele. W 1968 r. opracowano nawet pierwszy kodeks narciarski. Instruktorzy jazdy i przewodnicy górscy stworzyli zestaw przepisów, który miał być trzy lata testowany przez narciarzy, a następnie przedłożony rządowi, by nadać mu moc prawną.

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

yoJ>

ponad

Nic nie zmienia się tak szybko jak moda. Nic też nie trwa dłużej niż moda - w naszych wspomnieniach. Zwłaszcza jeżeli jest to moda lansowana przez Barbarę Hoff.

%

Inwazja na modę

Przed warszawskimi Domami Centrum od samego rana ustawia się gigantyczna kolejka. Tłum napiera na szklaną witrynę sklepu. Ta pęka i masa klientów wlewa się do środka. Tratowane kobiety mdleją. Ci, którym udało się jako pierwszym dopaść półek, ściągają z nich co popadnie i uciekają w popłochu. Ekspedientki są bezradne. Dzwonią po milicję. Tej z trudem udaje się zaprowadzić porządek” - tak prasa relacjonowała pierwszy dzień sprzedaży ubrań z kolekcji zaprojektowanej przez Barbarę Hoff pod marką Hoffland.

Burżuazyjny lans

Klienci doskonale wiedzieli, o co się zabijają. Bo Barbara Hoff to było wówczas największe nazwisko w świecie polskiej mody. Wylansował ją „Przekrój”, któremu w 1954 roku jako absolwentka historii sztuki zaproponowała felietony o strojach. Pismo stanowiło najlepsze miejsce na debiut. Jego nakład przekraczał bowiem milion egzemplarzy. Projektantka od razu poszła na całość. W ciągu kilku lat stworzyła na łamach tygodnika jedyną w swoim rodzaju „akademię mody”. Kreacji ze znakiem Hoff nie można było pomylić z innymi. A ich autorka stała się pierwszym dyktatorem mody w powojennej Polsce. To nie podobało się partyjnym zwierzchnikom Mariana Eilego, redaktora naczelnego „Przekroju”. Zarzucano mu, że pozwala jakiejś nieznannej panience krzewić w społeczeństwie burżuazyjne wzorce. Eile nieraz bywał wzywany na dywanik.

Tłumaczył się mętnie, ale drukował dalej porady Hoff, bo wiedział, że lawiny zachodnich trendów nie da się już powstrzymać.

Tanio i efektywnie

Hoff wykonała kolejny krok naprzód. Pomyślała, że skoro była w stanie podyktować milionom rodaków, co mają na siebie włożyć, to dlaczego nie spróbować uszyć i sprzedać zaprojektowanych przez siebie ubrań. W sprawie produkcji doszła do porozumienia z zakładami dziewiarskimi Córa,

^ PRZEBOJOWA DORADCZYNI

Barbara Hoff dokonała rewolucji w poradnictwie z zakresu mody. Nie wmawiała nastolatkom - jak robity to wówczas tygodniki „Przyjaciółka” czy „Kobieta i Życie” - że idealne ubiory dla nich, to te, które noszą amerykańskie matrony. Hoff szukała w zachodnich żurnalach propozycji najbardziej przebojowych i od razu informowała o nich zainteresowane modą młode Polki.

1 56

Kraj na co dzień

ŚMIERĆ FUTROM! ^ W 1958 r. Barbara Hoff wraz z koleżanką z redakcji „Przekroju”, Janiną Iphorską (pseudonim Jan Kamyczek), wydały książkę Jak oni mają się ubierać. Autorki bezlitośnie skrytykowały gust mieszczański, bure płaszcze, lisy i futra. W zamian zaproponowały pełny luz: wyciągnięte swetry, szerokie spodnie oraz niedbale narzucone płaszcze. Książkę młodzież omawiała na godzinach wychowawczych. Dla milionów nastolatków stała się biblią mody.

z kolei Centralne Domy Towarowe na warszawskiej „ścianie wschodniej” udostępniły miejsca na Hoffland, czyli stoisko z jej kolekcją. Hoff bardzo się zaangażowała w przedsięwzięcie: projektowała, patrzyła na ręce krawcowym, doglądała sprzedaży, przygotowywała ekspozycje na witryny sklepowe, a nawet pakowała klientkom sukienki do siatek. Polki były zadowolone, ponieważ Hoffland oferował rzeczy nie tylko najmodniejsze, ale i w stosunkowo przystępnej cenie. Projektantka wyklócała się bowiem z producentami o koszt każdego guzika. Poza tym najchętniej używała lnu, bo był bardzo tani, a w kraju wytwarzało go blisko 40 fabryk. Ta niedroga i gustowna produkcja opłaciła się. W latach 70. i 80. po ubrania Hoff do Centralnych Domów Towarowych zjeżdżali się klienci z całej Polski. I nic dziwnego, bo wówczas wystarczyło pokazać się na ulicy w bluzie z napisem Hoffland, by przechodnie oglądali się z podziwem i zazdrością. W kolejkach pod Hofflandem stało się po kilka godzin, a mdlało w nich tak wielu oczekujących, że obsługa sklepu zawsze w pogotowiu trzymała nosze.

■MHMH

Pokaz kolekcji Barbary Hoff w warszawskim Domu Towarowym Sawa (1991)

Cios w socjalistyczną gospodarkę

Bomba wybuchła w roku 1970, kiedy Hoff na łamach „Przekroju” ogłosiła, że era tili skończyła się definitywnie i nadchodzi czas na modę maxi. Ta deklaracja okazała się ciosem wymierzonym w socjalistyczną gospodarkę. W sklepowych magazynach bowiem błyskawicznie zaczęły zalegać stosy króciutkich spódniczek i płaszczy. Co więcej - do szycia strojów w wersji maxi potrzeba było dwa lub trzy razy więcej materiału, a tego w fabrykach brakowało. Sprawa oparła się aż o Komitet Centralny, który zakazał pokazywania w telewizji modnych pań noszących ubrania maxi.

Frąckowiak w blachach

Hoff odmawiała projektowania dla gwiazd show-biznesu. Zrobiła wyjątek raz i to odstępstwo okazało się niezbyt szczęśliwe. O wykreowanie wizerunku scenicznego poprosiła ją młoda piosenkarka Halina Frąckowiak. Projektantka podjęła wyzwanie i artystka wyszła na estradę festiwalu w Opolu w spódniczce mini, skąpym gorsecie ze złotej blachy, butach z łańcuchów oraz z kłami w włosach. Publiczność na widok seksownej Frąckowiak oniemiała, a

fotoreporterzy tak się tłoczyli, że piosenkarka dłuższy czas nie mogła zacząć występu. A kiedy zeszła ze sceny, przywoływali ją do porządku wszyscy: decydenci polityczni, organizatorzy imprezy, nawet koleżanki. Stylistka dostała naganę od władz festiwalowych.

1 57

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

czki z fearcer

W Polsce Ludowej zarabialiśmy zbyt mało, aby nadażać za modą. Zastępowały ją dziwactwa odzieżowe albo „szyk”.

ej krajki

Odlegiwanie PO Szpilkach że posiadaczki szpilek kuleją, potykają się, a po po-
Mody niby nie było, ale kłopotów z nią mieli- wrocie do domu muszą odleżeć kilka, a
nawet kil-

śmy sporo. „Ostatnio mam trochę czasu dla kanaście godzin. Co na taką modę mówią
lekarze?*

siebie, chciałbym wejść w życie towarzyskie i w tym W latach 80. te problemy - na fali
powszechn-

celu sprawiłem sobie smoking. Na które z uroczy- go niedostatku - jeszcze się pogłębiły.

„W Kaliszu

stości strój ten będzie aktualny?" - pytał czytelnik „Przekroju" w 1963 roku. „Radzimy
spieniężyć w komisie i sprawić sobie normalny wizytowy garnitur" - odpowiedziała redakcja.

„Obecnie znowu powróciły do łask szpilki i to jest cze wyższe. No, i oczywiście nasza
młodzież, a na

Modnie i schludnie wygląda młodzież, gdy się ubiera w naszą odzież — reklama Zakładów
Przemysłu Odzieżowego „Odra”

furorę robią spodniczki sprzedawane w Składnicy Harcerskiej - pisała „Polityka”. - Materiał:
sześć krawatów ZSMP. Dlatego aż sześć, że wykorzystuje się jedynie ich szersze części,
szyjąc »z klina«. W tej dekadzie trudności przysparzała nawet moda pogrzebowa. „Mieliśmy
Moda lat 60.

wet starsze panie niewolniczo trzymają się szpilek, dla nieboszczyków bardzo ładne
mokasyny, na-bo to modne - ubolewał czytelnik „Expressu Wie- wet koszule z importu. Gdy
akurat nie mieliśmy czarnego" w roku 1980. - Obserwacja wykazuje, ciemnych garniturów,
klienci, rodzina znaczy się,

brali jasne. Nawet woleli" - relacjonowała w 1983 roku ekspedientka lubelskiego sklepu z
odzieżą dla zmarłych.

Bank odzieżowy

Sposób, jak być modną, znalazło w 1975 roku grono pań z Kielc. „Zorganizowały prywatny
klub, którego działalność polega na tym, aby doprowadzić niewtajemniczone koleżanki do
takiego stanu, żeby zzieleniały z zazdrości - relacjonowało

BŁĘDNA PODAŻ

„Jaskrawym przykładem niewłaściwego przejmowania ubiorów miejskich przez wieś mogą
być sprzedawane w sklepach Samopomocy Chłopskiej dyplomatki w jodełkę zamiast np.
praktycznych kurtek czy krótkich palt o modnym kroju, swobodnych i wygodnych,
cieszących się w miastach dużym popytem" - pisała Stefania Zbyszewska w książce Jak się
ubierać.

tamtejsze „Słowo Ludu". - Każda z członkiń ma obowiązek ubierać się codziennie w inną
bluzkę lub sweterek tak, aby w ciągu miesiąca żadna z kreacji nie powtarzała się. By sprostać
statutowemu zadaniu, przyjaciółki utworzyły rodzaj banku odzieżowego, do którego każda
wniosła po trzy sztuki damskiego ubioru. Dysponując 30 fatałasz-kami wypożyczały je sobie
wzajemnie każdego dnia według harmonogramu".

Niemen przesuwa granice

Gdy nie można było sprostać najnowszym trendom, uprawiano „szyk”. Ten czasem narzucała telewizja. Kiedy w jednym z programów aktor pokazał się w marynarce z łątami na łokciach, „Przekrój” musiał wyjaśniać: „Owszem, od szeregu lat jest taka moda, wylansowana i uprawiana głównie przez architektów. Dzięki tej modzie, niewątpliwie praktycznej, łąty na łokciach w ogóle zaawansowały: przestały być wstydlive, odwrotnie - dają swoisty szyk”. Granice tego, co w ubiorze dopuszczalne, często przesuwają znane osoby ze świata estrady. „W czasie niedawnych występów w Cannes Czesław Niemen otrzymywał brawa publiczności już na wejście - relacjonowała prasa w 1968 roku. - Oklaskami nagradzano jego ubiór. Piosenkarz występował w dwu strojach: kożuszkę zakopiańską bez rękawów, pięknie haftowanym, w koszuli w kwiaty i żółtych spodniach; drugi ubiór był czarnym garniturem mundurowym ze stójką, mankiety zdobił haft ze złotej nitki”.

„Chłopcu do ubrania wystarczy świeża koszula z modnym małym kołnierzykiem i nowy krawat oraz stosowne do tańca lekkie obuwie. Z dziewczętami więcej kłopotu, bo więcej możliwości. Chociaż... uważam, że dziewczyna może być dobrze ubrana na każdą okazję, jeśli ma w garderobie choćby dwie dobre bluzki i spódnicę” - „Zielony Sztandar” (1980).

Blondynka na czarno

„Moda na «matą czarną» przyjęła się w tegorocznym karnawale natychmiast - zawiadamiała czytelniczki prasy kobiecej krawcowa z Warszawy. - Wszystkie moje klientki zamówiły sobie identyczne małe czarne sukienki z rypsu lub brokatu, wykończone lamą, przód gładki, z tyłu duży dekolt, dół wąski na spódnicy z lśniącej podszewki. Kolor czarny odmładza, jest szczególnie twarzowy dla blondynek. Ale co będzie, jeśli na którymś balu spotkają się wszystkie moje klientki?”.

Wdowy z zawodówki

Problem z ubraniem mieli także uczniowie. „Dyrekcja ZSZ w Kielcach wydała zarządzenie, by uczniowie chodzili do szkoły w czarnych lub granatowych paltach - żaliła się czytelniczka „Kobiety i Życia”. - Po lekcjach młodzież też obowiązana jest chodzić na czarno lub granatowo. Chodzą więc dziewczęta w paltach ufarbowanych na czarno, w czarnych chustkach, jak żałobne wdowy. Nawet biała czapeczka - a przecież biały to chyba kolor odpowiedni do szkoły - jest niedozwolona”.

◆◆-\$3C

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Niewiele zdarzało się okazji, żeby błysnąć elegancką fryzurą. Ale w prasie popularnej była to kwestia paląca.

^ "fca»c

U fryzjera (1979)

Spuchnięcie na czubku

Pisma dla pań tworzyły nawet kąciki porad w tym zakresie. „Mam krótką i dosyć tęgą szyję. Ostatnio ostrzyżono mnie w tzw. kancik - ubolewała czytelniczka „Kobiety i Życia”. - Wyglądam tak okropnie, że o włożeniu wieczorowej sukienki z dekoltem z tyłu nie może być mowy”. Mistrz grzebienia odpowiadał: „Czemu Pani pozwoliła ostrzyżać się w taki sposób, który dla kobiet o tęgawej krótkiej szyi jest absolutnie niewskazany? Jeśli zdecydowana jest Pani nosić krótko ostrzyżone włosy, muszą one z tyłu mieć linię w szpic, z lekkim spuchnięciem na samym czubku, co wysmukła rysunek głowy”. Nowe kłopoty pojawiały się na wiosnę. „Skąd, miłe panie, mamy wziąć tyle włosów na bujne pukle i fale, na przebogate i obfite puszystości na głowie, którymi uraczyła nas wiosenna, fryzjerska moda? Peruczki? Wtedy, gdy moda chciała nas widzieć w peraczkach, dostawkach i treskach - mówiła o tym głośno i bez osłonek. Teraz wyraźnie żąda włosów własnych, a nie pożyczanych, żywych, a nie nakładanych jak wizytowy kapelus - od święta

OBWISŁE LOKI

Oszczędne panie czasem braty sprawy we własne ręce. „Mam modną, krótką tryzurkę z grzywką i «haczykami, zachodzącymi na policzki. Strzygę się sama nożyczkami. Zauważyłam, że po stryżeniu u fryzjera boki włosów ładnie i lekko zawijają się ku policzkom, a po moim - wiszą smętnie ku dołowi. Czemu?» - pytała czytelniczka prasy kobiecej.

do teatru. Jak wybrniemy z takiego impasu my, biedne męczenniczki krajowych »wiecznych«, w ogromnej większości albo wysuszonych na siano, albo skręconych jak sztuczny karakuł?". Zdarzały się i sytuacje odwrotne: niektórzy obywali się bez fryzjerów. „Przekrój” donosił w 1961 roku: „Fryzjerski SAM zorganizowała Wrocławska Spółdzielnia Fryzjerów, oddając do dyspozycji klientów brzytwy, maszynki do golenia, wody kolońskie, kremy itp., za których użycie uiszcza się niewielkie opłaty”.

Peruka porwana przez pudła

O uczesanie dbały nie tylko elegantki wybierające się na bal. Włosy lub ich brak były problemem dnia powszedniego. „Pewna łodzianka, przechodząc ulicą, nachyliła się, aby zasnurować bucik - relacjonowały „Kulisy”. - W tym momencie przebiegający obok duży czarny pudel strącił jej z głowy perukę. Następnie porwał fryzurę i popędził z nią, ginąc w ulicznym tłumie. Dobrze chociaż, że w dzisiejszych czasach utrata peruki nie oznacza dla kobiety utraty honoru”. Utrata fryzury groziła także panom. „18-letni Franciszek P. z Rudy Śląskiej - donosiła prasa - został w czasie zabawy okrutnie doświadczony przez swych

1 60

Kraj na
co dzień

kolegów: zniewolono go i obcięto mu długie, sięgające ramion loki. Chłopiec tak przejął się swą stratą, że doznał szoku nerwowego i niezbędna okazała się pomoc lekarska. Po dziesięciodniowym pobycie w szpitalu Franciszka F powitało grono skruszonych przyjaciół, którzy wręczyli mu na przeprosiny perukę”.

Brodaci bokserzy

Męskie fryzury stawały się tematem dyskusji zazwyczaj wtedy, gdy włosy były za długie. Szykany z powodu hipisowskich fryzur dotykały najrozmaitsze grupy zawodowe. Muzyków zespołu Breakout za karę nie pokazywano w telewizji. Z kolei prezes Związku Bokserskiego, Jan Niwiński, zaapelował w 1975 roku o większą troskę w kwestii „estetycznej strony zawodów” oraz oświadczył: „W nowym sezonie wyeliminujemy zawodników, którzy wyróżniać się będą zbyt długimi włosami i brodami”. Czytelnik „Zielonego Sztandaru” zastrzegał natomiast: „Nie jestem zwolennikiem długich włosów, lecz jeśli ktoś je nosi, to jego osobista sprawa. Jednak długich włosów nie powinni nosić pracujący tam, gdzie jest duży kurz, gdzie smary i oleje kapią na głowę (np. mieszalnie pasz, młyny, warsztaty samochodowe), gdyż beret głowy nie chroni i aby wyglądać schludnie, trzeba by myć głowę co najmniej 3 razy w tygodniu”. Niekiedy wybór długiej fryzury skutkował przykrymi konsekwencjami. „Polityka” informowała: „W Starachowicach miejscowe czasopismo urządziło plebiscyt na Człowieka Roku. Głównego kandydata nie można jednak było wystawić, ponieważ prócz zasług miał brodę i długie włosy. Poparcie jego kandydatury miejscowe czynniki uzależniły od poddania się przez aktywistę fryzjerowi”.

Orlątko z loczkami

„Kulisy” w sezonie 1975 pytały mistrza fryzjerskiego Janusza Szymańskiego:

„- Jest pełnia karnawału, jaką więc fryzurę lansuje pan wśród swoich klientek?

- Muszę przyznać, że warszawianki są mało odważne, jeśli chodzi o balową fryzurę. Np. na Zachodzie modne są w tej chwili wplatane we włosy świecące pasma z brokatowych nitki oraz różnego rodzaju brokatowe kokardy i kwiaty. Moje klientki trudno do tego namówić.

Nawet tak modny styl babuni przyjmuje się dość opornie, mimo że jest wdzięczny i pełen romantyzmu.

- A jeśli chodzi o fryzury codzienne?

- Uczesanie »na pazia« wyszło już z mody. Teraz najpopularniejsza na co dzień jest fryzura Orlątko z włosów krótkich, zwiniętych w loczki, i z grzywką na czole".

Nacieranie na gładko

Ci, którym natura poskąpiła owłosienia, imali się wszelkich środków. W 1988 roku „Zielony Sztandar" donosił: „Krakowski oddział Gromady organizuje czterodniowe wycieczki dla łysych do Budapesztu. Węgrzy bowiem wynaleźli ponoć arcyskuteczny lek przeciwko łysinie. W programie wycieczki przewidziano konsultacje w wyspecjalizowanym zakładzie kosmetycznym, nacieranie łysiny cudowną maścią oraz nabycie pewnych jej ilości.

Wycieczka kosztuje B3D0 zł".

Zakład fryzjersko-perukarski w Gdańsku (1972)

1 61

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

Od kiedy w Polsce pojawił się telewizor, życie rodaków stanęło na głowie.

oB*a* t^®^

t©

Terror telewizyjny

Całe lata 60. i 70. autorzy poradników dobrego wychowania utrzymywali, że grubym nietaktem jest telefonować do kogoś w czwartki po godzinie 20. Wtedy bowiem telewizja nadawała Kobrę, a było niemal pewne, że ten, do kogo dzwoniemy, ogląda spektakl.

Odwiedziny u znajomych o tej porze relacjonowała czytelniczka „Przekroju": „Gdy wchodzę, w domu panuje mrok - nie wolno świecić światła. Osoba, która mi otworzyła drzwi, szybko znika, mówiąc coś tam na przeproszenie, co ma oznaczać: «zdejmij sama płaszcz, powieś go na wieszaku i wejdź dalej, ale nie przeszkadzaj*. No więc wchodzę, potykam się o czyjeś nogi, o jakiś stoliczek. Z nikim nie mogę rozmawiać - wszyscy oglądają telewizję. Po godzinie przerwa, kilka wyrzykowych zdań i wtedy narzekanie: »jaki nudny program, jakiś odczyt, co to kogo obchodzi?«".

Odsiadanie programu

Posiadacz telewizora był skazany na wielogodzinne, niechciane wizyty. „Jak reagować na gości, którzy przychodzą na telewizję, gdy gospodarze nie mają na nią czasu ani ochoty? Są z tych, co oglądają cały program jak leci. Gdy sugerujemy, by przyszli we wtorek o 19.00 na teatr telewizji, przychodzą już o piątej po południu i zmuszają do siedzenia z nimi" - takie skargi „Przekrój"

^ZYCHYMY DOBREGO ODBIORU!

Produkcja polskich telewizorów ruszyła w 1956 r. Przebojem rynku były kolejno: Wista, Belweder, Neptun i Szmaragd. W Poznaniu, w przedsiębiorstwie naprawczym ZURiT, od początku lat 60. można było wypożyczać telewizor na dni i godziny.

drukował co najmniej raz w miesiącu. I odpowiadał w poczuciu bezradności: „Pocieszajcie się, że gościom wkrótce przejdzie, względnie sami kupią sobie aparat. Co prawda, potem przypina się następny entuzjasta".

Abonament za nic

W 1968 roku w Polsce działały już 3 miliony telewizorów. Statystycznie telewizję można było oglądać w co trzecim domu. Już w 1962 roku wyprodukowano trzy razy więcej odbiorników, niż zakładał plan. Pierwszy ich milion sprzedano w lutym 1963. Na zbycie drugiego miliona trzeba było

1 62

Kraj na co dzień

czekać tylko do listopada 1965 roku. Jerzy Urban w „Polityce” ocenił telewizję jako przedsięwzięcie: „W ubiegłym roku (1961) wpływy z tytułu abonamentu wyniosły 390 mln zł. Po odliczeniu wszystkich kosztów - 173 mln czystego dochodu dla państwa, do tego zysk ze sprzedaży telewizorów. Przyzwoitość wymaga, żeby wpłacający abonament (2,4% średniej miesięcznej płacy) otrzymał, co mu się należy w tym towarze, za który płaci. To znaczy w postaci jak najlepszego programu. Tymczasem w 1962 r. z powodu cięć budżetowych TV nie tylko nie mogła ulepszyć programu, ale musiała zrezygnować z VI godziny emisji dziennie. M.in. wypadło z planu 18 własnych inscenizacji teatralnych, 26 spektakli »Kobry«, 26 Tele echa, 26 programów O wsi dla wszystkich, 12 programów młodzieżowo-rozrywkowych”.

Promienie śmierci

Telewizor szybko stał się domowym ołtarzem. Przed jego kupnem rodzina spotykała się przy „okrągłym stole”. Później wszyscy siadali już amfiteatralnie wokół aparatu. Rozmowy rodzinne zanikały. A jednak ten adorowany sprzęt pozostawał wysoce podejrzanym. „Przed świętami mąż wziął na raty telewizor - pisała czytelniczka „Kobiety i Życia”. - Wielką była radość, zwłaszcza dzieciaków. Sąsiadki powiedziały mi ostatnio, że bardzo źle zrobiliśmy, że telewizja jest bardzo niezdrowa na oczy i dla całego organizmu, bo wydziela jakieś promienie, które powodują choroby. Jedna znajoma mówiła nawet, że telewizja powoduje bezpłodność. Wydać tyle pieniędzy (parę miesięcy oszczędności) i ubrać się w raty po to, żeby mi się rodzina pochorowała, to naprawdę okropne”.

NAPRAWA NA 120 PROCENT ^ W potowie lat 60. na sto sprzedanych telewizorów do punktów naprawczych wracało w ciągu pół roku 120 egzemplarzy, a więc nowy odbiornik psuł się na ogół częściej niż raz na sześć miesięcy.

TV - bez prądu

Na początku lat 60. telewizory zainstalowano eksperymentalnie w 20 warszawskich kawiarniach. Goście - chcąc nie chcąc - musieli oglądać program „jak leci”. Zdarzały się przypadki, że kupowano telewizor dla podniesienia prestiżu. Nadleśnictwo w Błogim Rządowym (woj. kieleckie) zakupiło odbiornik do świetlicy, chociaż w jego siedzibie nie było elektryczności. Kierownictwo zdecydowało się nabyć telewizor, żeby „nie być w tyle”.

Dookoła telewizora

Na telewizji znali się wszyscy, a dyskusje o jej poziomie były żelaznym tematem w prasie kulturalnej. „Polska telewizja ma zbyt wiele programu typu słownego, a zbyt mało audycji typu wizualnego - pisał do „Przekroju” Stanisław Dobrzański, pracownik umysłowy z Łodzi. - Wszakże na wysłuchanie audycji słownej wystarczy radio. Radio nawet lepiej spełnia to zadanie. Poważniejsze rozważania na pewno z większym pożytkiem czytałoby się w prasie. Poza tym: brak punktualności, zbyt mało rozrywki”.

Kolor na baterie

W produkcji telewizorów rekord gonił rekord. W 1962 roku polskie media zachłystywały się sukcesem. Zakłady Diora wyprodukowały pierwszy polski aparat z dużym, jak na owe czasy, ekranem o 23-cm-owej przekątnej. Otrzymał nazwę Szeherazada. W tym samym czasie japońska firma Yaabu wypuściła na rynek walizkowy odbiornik kolorowy. Ważył 7 kilogramów i działał na tranzystorach. Zużywał około 30 watów z sieci lub 20 watów przy zasilaniu z baterii.

1 63

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Pociąg u®

&o>X%

«^^φφφ

„Po maratonie filmów krajów bloku wschodniego w kieleckim kinie Moskwa sprzątaczkę znalazły 33 butelki po winie i wódce” - grzmiało tamtejsze „Słowo Ludu”. Dylemat polskiego

widza przedstawiał się następująco: wydać duże pieniądze na bilety u konika i obejrzeć dobry film zachodni czy kupić wódkę i pójść na słabą produkcję radziecką.

Projektor na bocznicę

Polskie kino uwielbiało pokazówki. Projekcja pierwszego filmu panoramicznego odbyła się w lipcu 1955 roku w warszawskim kinie Śląsk. W miesiąc później ruszyło w Polskę pierwsze kino zainstalowane w wagonie kolejowym. Seans mogło oglądać 60 widzów. Z początkiem 1956 roku w stołecznym hotelu Warszawa filmy wyświetlało już pierwsze w kraju kino hotelowe. A od 1974 roku zaczął funkcjonować w Warszawie Gerard - „kino pożegnań z filmami”. Większość tych obiektów była po prostu niebezpieczna dla życia. Kiedy w maju 1955 roku w Wielopolu (Małopolska) wybuchł pożar, spłonęło lub zatratowało się na śmierć aż 58 osób.

Film według konika

Biletami na chodliwe premiery handlowały (z kilkakrotnym przebicciem) koniki. Podrywacze; Ciao, ciao bambina-, Noc szpiegów-, Kobiety czekają -to tytuły z lat 60., które (według relacji pisma „Dookoła świata”) zapewniały najlepszy zarobek. „Opinia publiczna m. Łodzi ze smutkiem przyjęła wiadomość o chorobie popularnego konika kinowego pseudo »Szpak«, który zapadł na chorobę zawodową. Mianowicie w trakcie milicyjnej obławy pan konik »Szpak« poczuł się zmuszony połknąć duży pakiet biletów na film pt. Człowiek, który zabił Liberty Valance'a o wartości rynkowej 50% wyższej niż normalna. Nadmiernie kosztowna przekąska spowodowała w końcu niestrawność” - donosiły „Kulisy” w 1966 roku.

Towarzysz Wiesław poucza

W przełomowym październiku 1956 roku podpisano pierwszą po wojnie umowę międzynarodową, pozwalającą na zakup filmów amerykańskich. Żeby się jednak widownia zbyt nie zapatrzyła na Zachód, już w 1961 roku minister kultury zarządził, że repertuar kin ma składać się co najmniej w połowie z produkcji krajów socjalistycznych. A jeżeli w miejscowości jest jedno kino - minimum w 60 procentach. „Nasza kinematografia musi przede wszystkim zaspokajać kulturalne i rozrywkowe potrzeby milionów ludzi pracy oraz spełniać odpowiedzialne zadania wychowawcze” - pouczał w 1963 roku Władysław Gomułka. Impreza „Lenin i jego dzieło w twórczości filmowej” na stulecie śmierci twórcy Związku Radzieckiego w 1970 roku trwała 10 miesięcy. Wcześniej w Tatrach nakręcono polsko-rosyjski pomnik filmowy Lenin w Polsce. Wodza rewolucji grał wyspecjalizowany aktor radziecki Maksym Starach, głosu w polskiej wersji użyczał Włodzimierzowi Iljiczowi Tadeusz Łomnicki.

Szklanka w zębach

Rodzima kinematografia porywała się na kręcenie superprodukcji o hollywoodzkim rozmachu. Na plan Krzyżaków (1960) zwieziono całą broń, jaka była w rekwizytoriach. W rezultacie rycerstwo walczy pod Grunwaldem orężem, które miało zostać wynalezione sto lat później. Do ról Stasia i Nel w ekranizacji W pustyni i w puszczy (1973) było 2046 kandydatów - wybrano ich z 10 tysięcy zgłoszeń listownych. W postać Nel chciały się wcielić nawet

1 64

Kraj na co dzień

30-latki. Problemów przysparzali również statyści z Afryki. Murzyni uciekali od obiektywu, sądząc, że to lufa karabinu. Afrykańskiego słonia zagrała słonica indyjska, występująca w czeskim cyrku. Zdjęcia z jej udziałem wykonano w Bułgarii, która udawała Sudan. Mimo tych niedoróbek w ciągu dwóch pierwszych tygodni wyświetlania W pustyni i w puszczy obejrzało dwa miliony widzów. Taka amatorszczyzna wyglądała z każdej polskiej premiery. W filmie Ogniomistrz Kaleń (1961) jest scena, w której żołnierz w kasynie zjada dla zgrywy szklankę. Żadna cukiernia nie podjęła się wyprodukowania atrapy szklanki, więc Sylwester

Przed-wojewski musiał pałaszować szkło. Uważał się za niezłego aktora, bo drasnął się tylko raz.

Gwiazdy umierają młodo

Zbigniew Cybulski (1927-1967) - na peronie wrocławskiego dworca, pod kotami pociągu pośpiesznego do Warszawy.

Bogumił Kobiela (1931-1969) - tyse opony samochodu podczas jazdy w lipcowej ulewie.

Zdzisław Maklakiewicz (1927-1977) - pobity przez chuligana na ulicy. Pogotowie nie rozpoznało cukrzycy, nie podano na czas insuliny.

Seans w remizie

Z listów czytelników „Nowej Wsi” (1961) na temat kina objazdowego:

„Przyjadą na dwie godziny przed wyświetleniem seansu, powieszą jeden afisz i ekipa kina objazdowego idzie sobie do sklepu i dalejże ćwiartka po ćwiartce, ludzie nieraz się poschodzą, a oni nawet nie zdążyli przygotować aparatu”. „Mąż nie pozwala. Twierdzi, że kobieta mająca czworo dzieci powinna się zajmować garnkami. Uważa, że do kina chodzą tylko kobiety zepsute i tam psują się jeszcze bardziej. Dlatego mani przykrości albo dostaje lanie, albo muszę stać do późnych godzin pod zamkniętymi drzwiami”.

Proboszcze kinematografii

Fragmenty „recenzji” publikowanych przez Komisję do spraw Filmu, Radia, Telewizji i Teatru, działającą przy Episkopacie Polskim: Popiół i diament (1958) w reż. A. Wajdy:

„Zawiera brutalne sceny krwawego dramatu rozgrywek politycznych na tle przemyślnie podstawionych przedmiotów i miejsc kultu religijnego”. Miasteczko (1958) w reż. R.

Drobaczyńskiego, J. Dziedziny, J. Łęskiego: „Księdza widzimy najczęściej między straganami i na przyjęciu weselnym. Film dla ludzi o dojrzałym poglądzie na życie”.

Zaduszki (1961) w reż. T. Konwickiego: „Kapłan poza kiepskim dowcipem oznaczony

zamiłowaniem do kart i kieliszka”. Nóżwrodzie (1961) w reż. R. Polańskiego: „Przy swej płytkości ma wyraźną tendencję do usprawiedliwiania wolnej miłości”.

Bitwa pod „Krzyżakami” (...)

I za chwilę ubrany znajdowałem się w tłumie.

Przed tym kinem, gdzie idą Krzyżacy.

(...)

No więc stałem przed tym kinem. Efekt stania był taki:

But rozdarły,

Ząb wybity,

Dłoń zwichnięta,

Akt w siniaki.

Oczka wąskie mam jak szparki,

Guzik znikł od marynarki,

Nos skrzywiony.

Guz na głowie,

A obojczyk - niech rentgen powie...

Ja dziękuję, z takim saldem

Do historii się wchodziło pod Grunwaldem.

fragment wiersza Miły wieczór

Ludwika Jerzego Kerna („Przekrój”, 1960)

1 65

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Mała czarna,

duże piwo

Pierwszy flirt, pierwszy papieros, pierwszy tyk kawy - tego wszystkiego młodzież kosztowała w kawiarniach. Ich ojcowie podobnych doznań musieli szukać pod budką z piwem.

Wtajemniczenia przy kawiarnianym stoliku

Moda na bywanie w kawiarni zapanowała w Polsce w latach 60. Pod koniec tej dekady działało w kraju przeszło 2000 tego typu lokali gastronomicznych. Miało to związek z faktem, iż sama kawa z napoju niemal niedostępnego na początku lat 50. zmieniła się 10 lat później w używkę stosunkowo łatwo osiągalną. Statystyczny Kowalski za swoją pensję mógł wtedy kupić około 8 kilogramów kawy. W dobie gierkowskiego dobrobytu stać go już było na blisko 10 kilogramów. Socjologowie ustalili, że młodzież szkolna w kawiarniach spędzała za jednym razem od dwóch do trzech godzin. Czas upływał na beztrudnych pogawędkach i flirtach. Odnotowano też, iż w trakcie tych spotkań młodzi ludzie, niestety, po raz pierwszy sięgają po papierosy i alkohol. Dlatego kawiarnie, zwłaszcza w małych miejscowościach, wizytowali nauczyciele lub tzw. trójki, wyłonione przez komitety rodzicielskie. Uczniom przyłapanym na picciu wina czy piwa groziło obniżenie oceny ze sprawowania bądź nagana udzielona na szkolnym apelu.

W FUTRZE, Z FILIŻANKĄ[^] „Kobieta nie ma obowiązku zdejmowania i zostawiania w szatni wierzchniego okrycia. Jej ptaszcz, kozuch czy futro to przecież nie tylko odzież, ale i ozdoba. Wypada zatem kobiecie usiąść przy kawiarnianym stoliku w tej kreacji" - objaśnia Edward Pietkiewicz w poradniku Dobre obyczaje.

Placówka dla aktywistów

Wynalazkiem polskiej wsi były tzw. klubokawiarnie. Niektóre z nich funkcjonowały w oparciu o karty wstępu. Zasłużeni członkowie Związku Młodzieży Socjalistycznej otrzymywali je jako nagrodę za szczególnie aktywną działalność. „Dwadzieścia kart daliśmy do MO, żeby milicjanci rozdali, komu uważają - objaśniał pewien przewodniczący Zarządu Powiatowego ZMS. - Nie chodzi o to, żeby wstęp do klubu zapewnić tylko wzorowym, ale w pierwszym okresie trzeba wiedzieć, kto z placówki może korzystać. Dopiero po pewnym czasie, gdy w klubie skryształizuje się już jakiś zespół ludzi i wytworzy odpowiednią atmosferę, będzie można otworzyć drzwi dla wszystkich. Bo wtedy ci, którzy przyjdą, będą musieli podporządkować się już panującym w klubie zwyczajom”.

Para studentów w warszawskiej kawiarni, lata 60.

1 66

Kraj na co dzień

/4 KAWIARNIA WERBUNKOWA

W kawiarniach młodzi ludzie nie tylko flirtowali, ale i dyskutowali na tematy polityczne. Dlatego też często pojawiali się w nich agenci Stuzby Bezpieczeństwa. Klerycy mieli wręcz zakaz bywania w kawiarniach. Ich przełożeni obawiali się, że mogą tam zostać zwerbowani na współpracowników SB.

Kamieniem w szybę

Zdarzało się, że klubokawiarnię otwierano po to, by wykazać się na papierze, „Polityka” notowała: „We wrześniu 1964 otwarto wiejskie Kluby »Ru-chu« w Siennicy Małej i Tarnawie pow. Krasnystaw. Jednocześnie we wsiach tych zabłysło światło elektryczne i włączono telewizory. Zaraz po zakończeniu uroczystości doprowadzenie elektryczności zostało zlikwidowane”. Działalność klubokawiarni przysparzała samych kłopotów. Prasa donosiła np., że powiatowy klub Puchatek przestał istnieć w dniu, w którym powstał. „Otwarcie klubu zrobili w poście. W miasteczku huczało od plotek, życzone im wszystkiego najgorszego i czekano na karę z niebios”. Przyczyną niepowodzenia innego klubu był alkohol. „W winie roztopiła się inicjatywa” - czytaliśmy. „Pijaństwo? Wręcz przeciwnie! Ich zgubiły tendencje antyalkoholowe. Chcieli urządzać zabawy bez wina. To w miasteczku nie jest przyjęte. Przychodzi taki chłopak, już podpity i chce wejść na zabawę. Nie chcą go wpuścić, to kamieniem w szybę...”. W kolejnym przypadku do zamknięcia klubu przyczyniło się kłopotliwe sąsiedztwo: „Klub mieścił się nad gospodą. Ludzie, którzy

w gospodzie pili po kolacji nie tylko wodę mineralną, mieli życzenie klub odwiedzać. Jeżeli ich wpuszczono, to na drugi dzień po miasteczku szła wieść: w klubie pijaństwo. Jeżeli bywalców gospody nie wpuszczono, to nazajutrz krążyły plotki: Klub nie chce widzieć u siebie ludzi pracy, izoluje się od mieszkańców". Zdarzało się, że klub miał problemy z organizatorami. „Po zawarciu umowy z »Ruchem« znalazły się kolorowe stoliki i także krzeselka - dowiadaliśmy się o jednej z inicjatyw. - Można było przyjść, usiąść. »Ruch« chętnie widziałby, żeby nie tylko usiąść, ale i zrobić zakupy. Kiedy zorientował się, że handel źle idzie, zabrał swoje stoliki i zdjął z okien zasłony".

Autodewastacja

Kluby prasy i książki przeżyły swój zmierzch w latach 80. „Jednoizbowe pomieszczenie z kioskiem, trzema stolikami i telewizorem z matym ekranem nie pasuje do lat 80-tych - ubolewa! „Zielony Sztandar". - Niestety, takich marnych klubów mamy jeszcze dużo, a niektóre znajdują się w tak opłakanym stanie, że musimy je zamykać. W ostatnim roku straciliśmy ok. 150 placówek, głównie z powodu dewastacji lokali i zniszczenia wyposażenia - mebli, sprzętu audiowizualnego itd. Sytuację pogorszył fakt, że znaczna część klubów była przez kilka miesięcy zimowych zamknięta z powodu braku ogrzewania".

Lokale na powietrzu

W latach 50. dużą popularnością cieszyły się budki z piwem, które było wówczas o wiele tańsze od kawy. W 1950 roku przeciętna pensja wystarczała na kupno zaledwie 1,5 kilograma kawy. W tym okresie statystyczny Polak wypijał mniej niż pół litra kawy rocznie.

Tymczasem klienci budek z piwem nie narzekali na zaopatrzenie. Zwłaszcza że oprócz piwa znajdowało się tam w stałej sprzedaży wzmocnione, 18-procentowe wino marki „Tur". Do powszechnego zwyczaju należało też picie pod chmurką. Każde miasto mniejszej i średniej wielkości miało takie miejsce stałej konsumpcji - parki, powojenne ruiny, bramy, zaułki, w które niebezpiecznie było się zapuszczać po zmroku.

1 67

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

Żart

2, parteru

Tymi dowcipami przez dziesiątki lat zadrukowywano szpalty gazet. Ich książeczkowe zestawy zalegały na półkach w kioskach. Nikt się z nich nie śmiał, ale wszyscy je znali.

Kelner na widelcu

l\ owcip prasowy miał żelazny repertuar te-^J matów. Utrwaloną bohaterką kawałów była teściowa. Gdy zjawiła się u córki, zięć wybrał się do weterynarza, by obciąć psu ogon. Wyjaśniał, że dzięki temu na czas jej wizyty nie będzie w domu nawet najmniejszych przejawów radości. Kiedy indziej dwaj kumple w trakcie libacji przypomnieli sobie, że teściowa jednego z nich ma imieniny. Zdecydowali, że kupią jej kolczyki. Okazało się jednak, że wydali wszystkie pieniądze. Nie było wyjścia: w tym roku zięć każe jej tylko przekłuć uszy. Kolczyki, ewentualnie, dostanie w przyszłym. To wersja ugodowa. Zdarzało się jednak, że mężczyzna wchodził z matką swej żony w ostry konflikt. Kiedy pewnego razu, wróciwszy po zakrapianej kolacji, zastał teściową w przedpokoju z miotłą, spytał uprzejmie: „Mamusia zamiata czy odlatuje?". W gazetowych rubrykach humoru z teściową sąsiadował kelner - synonim lenia, bałaganiarza i naciągacza. Miało to, niestety, oparcie w doświadczeniu milionów Polaków. Kiedy konsument wnosił pretensje, że podano mu brudną szklanę, kelner był oburzony. Poprzednio z tej szklanki piło pięciu gości i żaden się nie uskarżał. Zupełnie podobnie działało się, gdy klient pytał zjadliwie, czy w lokalu w ogóle nie zmienia się obrusów. Kelner nie był w stanie mu odpowiedzieć, ponieważ sam pracował tu dopiero trzy miesiące.

DOWCIP JEDNYM ZDANIEM^ Mistrzem lapidarnego żartu był Stawomir Mrozek. Pisat: „Śnieg: woda w proszku"; „Światowiec, gdy umrze: zaświatowiec"; „Człowiek myśli sobie to

i owo, ale jednak najczęściej to". Takie dowcipy zamieszczał satyryk przez wiele lat w „Przekroju”.

PR ZBDI-II SrOR VC 'Z U €

aeosv - tR0DhsM wieozy-0 Л/Д-Гтґсн PKTCDKACI-f OГО ODKO&>/VIE -3eімС6"

"й- «сіп рштег веьре исгь-JfcAUWJ POLACH

з/

Кло-ьивек

Ł17

ŁI4< ML/T* UASTffl

1 68

Negatywnym bohaterem żartów publikowanych w prasie został również urzędnik. Kiedy wracał późno z biura, tłumaczył się w domu: „Zaspałem dzisiaj”. Przełożony komplementował referenta, że byłby z niego przestępca idealny - w pracy nie zostawiał bowiem najmniejszych śladów swojej działalności. Innej pracownicy urzędu kierownik kadził, że nie zastąpiłaby jej żadna maszyna. Bo nie wynaleziono jeszcze takiej maszyny, która by nic nie robiła.

Sottys i jego Wąchock

Nieustannie powtarzano żarty na temat polskiego „Przygłupowa” - miejscowości, której mieszkańcy słynęli z ograniczenia umysłowego. Tradycyjnie za taką miejscowość uchodził w PRL-u Wąchock. O jego sołtysie opowiadano, że orze pole na okrągło, ponieważ kupił sobie konia z cyrku. Kiedy zaś znalazł 10 centów, zdecydował, by w Wąchocku otworzyć Pewex. Mawiało się też, że pochodz pierwszomajowy chodzi tam do tej pory - manifestanci trafili na rondo. Z kolei Le-oncio, pamiętny amant z popularnej w Polsce w latach 80. brazylijskiej telenoweli Niewolnica Isaura, popełnił samobójstwo, gdyż dowiedział się, że Isaura pochodzi z Wąchocka. Wielkim tematem gazetowego humoru byli pijacy. Na przekór biadolącym na nich towarzyszkom życia mieli swoją filozofię. „Życie zaczyna się po pięćdziesiątce” - utrzymywał jeden. Drugi tłumaczył żoncy, że wprawdzie - na jej prośbę - stał się innym człowiekiem, ale ten inny też lubi wypić. Kolejny pił z zamkniętymi oczami, bo obiecał swojej połowicy, że już więcej do kieliszka nie zajrzy. Jeszcze inny przysięgał małżonce, że już więcej pił nie będzie. Ale mniej też nie. Wreszcie następował moment, w którym zdesperowana żona stawiała sprawę na ostrzu noża: jak nie przestanie pić, to go zostawi. Co na to pijak? „Będzie mi jej brakowało...” - stwierdzał.

l\ BACA NA ZDROWY ROZUM

Wzięciem cieszyły się dowcipy o bacy, chtopku-roztropku, który swoje sądy o świecie czerpał ze zdroworoządkowej obserwacji. Ten syn Tatr wystawi! na sprzedaż psa za 100 rys. zł. Przechodzący turysta wyraził powątpiewanie, czy za tak wysoką cenę ktokolwiek psa zechce. Wieczorem dowiedział się od bacy, że ten jednak psa sprzedał: za dwa kocury, każdy po 50 tys.

Masztalscy ponad podziałami

W drugiej połowie lat 80. ogromną karierę zrobił Klub Maształ-skich. Była to grupa śląskich kawalarzy, którzy dawali występy składające się z prostych, ludowych żartów. Niebawem zaczęli opowiadać je w radiu. Szybko dorobili się własnego kącika w telewizyjnej Panoramie. „Branżowe” dowcipy drukowali w „Żołnierzu Wolności” i w katowickim „Sporcie”, Masztalscy swoje recitale wydawali także na kasetach wideo. Źródłem dostarczającym coraz to nowe żarty byli słuchacze, którzy nadsyłali własne zbiorki. Rekordzista podzielił się zbiorem 10 tysięcy kawałów. Maształ-skich wspomagała Polonia. Wiele dowcipów nadchodziło ze Związku Radzieckiego, z USA, Niemiec Zachodnich i innych krajów, gdzie istniały większe skupiska Polaków. Masztalscy jeździli tam na długie, owacyjnie przyjmowane tournée.

Baba, która przychodzi

W latach 70. karierę zrobił dowcip abstrakcyjny. Ten najbardziej popularny zaczynał się zawsze od słów: „Przychodzi baba do lekarza”. Kiedy tytułowa „baba” wjechała do gabinetu na rowerze z karabinem, nazywała się „wyścig zbrojeń”. Innym razem doktor zapytał ją, czy przechodziła odrę. Baba wówczas odpowiedziała: „Nie, my z za Buga”. Gdy z kolei zjawiła się u lekarza z telewizorem i paczką kawy, okazało się, że to Teleexpress.

1 B9

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

*o t©

Wódka była zmorą polskiego życia. W połowie lat 60. mieliśmy 1,5 miliona alkoholików, w 10 lat później dwa razy więcej. Jak wykazała ankieta przeprowadzona w 1965 roku wśród uczniów szkół warszawskich, wódkę pili chłopcy już w wieku 17 lat, wino - 14, a po piwo sięgali od 11. roku życia. Ale nawet ta z mora miała zabawne oblicze.

Proszę dmuchać!

Vojna między milicją drogową a pijanymi kie rowcami toczyła się od zawsze. Warszawscy taksówkarze znali na pamięć miejsca, w których milicyjne patrole czatowały na podchmielonych taryfiarzy. Do dziś ci starsi dzielą stołeczne ulice na „czyste” i „patrolowe”. Pijaństwo kierowców zwalczała dzielnie również powiatowa drogówka. Czasami z zabawnym skutkiem. „We wsi Bogdanowo skończyła się wiejska zabawa. Sala opustoszała, zgasły światła, organizatorzy liczyli kasę - snuje opowieść tygodnik „Kulisy” w roku 1966. - Uwagę przechodniów przykuwał niecodzienny widok: na placu przed tancbudą stało 200 motocykli uczestników zabawy, których nikt nie ruszał, do których nikt się nie zbliżał.

Właściciele trwali w opłotkach. Motocykle na parking. Czas zamarł. Sprawcą okazał się być milicjant z kompanii ruchu, który stał sobie opodal parking. Widocznie ani jeden właściciel motoru nie był trzeźwy, a wszyscy dwustu zamierzali po pijanemu dosiąść motocykli i ruszyć do domu”.

Zagorzali strażacy

Wódka lała się wszędzie. Latem 1967 roku koło Głogówka spieszący do pożaru samochód straży pożarnej uderzył w barierę mostu i wpadł do rzeki. Pogorzelnicy rzucili wiadra i wyłowili z toni siedmiu kompletnie pijanych strażaków oraz kierowcę.

Obywatel Julian K. z Łodzi zgłosił do opatentowania pastę do zębów o zapachu wódki MO w Koszalinie aresztowała 18-letnich Zdzisława T. i Józefa R. - będąc w stanie nietrzeźwym, usiłowali rozebrać drewniany most. W czasie występów na scenie dolnośląskiego domu kultury Jarema Stępowski wezwał milicję. Pijany dyrektor placówki głośno ogłaszał, gdzie ma pana Stępowskiego i towarzyszących mu artystów.

Nasiadówka w denaturacie

Niekiedy kontakty z alkoholem przybierały nieoczekiwanie komiczny obrót. 16-letnią Annę N. ze Świętochłowic zabrało pogotowie, stwierdzając u niej ciężkie zatrucie alkoholowe. Po przyjeździe do siebie dziewczynka zaklinała się, że nigdy nie wzięła wódki do ust. Jak się okazało, koleżanki

/JI PIES - PRZYJACIELEM PIJAKA

„Specjalnie tresowane w tym kierunku psy pojawiły się w Poznaniu. Chronią one pijących przed okradaniem, bo pilnują zasklepień na ulicy czy w parku, potrafią sprowadzić żonę w miejsce, gdzie mąż zleżł po drodze do domu, nie pozwalają pana pobić czy wykopać z knajpy. Ten kierunek wyzyskania psów ma u nas wielką przyszłość” - „Polityka” (1975).

1 70

Kraj na co dzień

IIIIIIH

JAK PIĆ? ^ „Czy jest w dobrym tonie dolewać sąsiadom z własnej szklanki? - pytała czytelniczka „Przekroju”. - Na imieninach solenizantka siedziała obok mojego męża i po

każdym napełnieniu szklanki winem odlewała część do szklanki męża. On po małym »Ależ...« wypijał. Czy zachowali się taktownie? Oboje są z wyższym wykształceniem". poradziły jej, żeby zrobiła tzw. nasia-dówkę w denaturacie, ponieważ działa to zbawiennie na skórę. W witrynie sklepu monopolowego w Katowicach przy ulicy Dyrekcyjnej 7 znajdował się napis: „Przyspiesza budowę kraju i stolicy". Obok biegła strzałka wskazująca na wejście do sklepu.

Kilka kolejek kawy

Mieszkańcy PRL-u mieli do pijaków stosunek pobłażliwy. „W jednym z nowo otwartych wiejskich klubów »Ruchu« goście kilka razy pod rząd zamawiali kolejkę kawy, aż zabrało ich pogotowie" - żartowała „Polityka". W związku z tym miejscowa gazeta przypomina, że to kawa, a nie wódka, szkodzi w nadmiarze. Czasami wyjątkowo dojmująco. Prasa donosiła: „Lucjan R ze Świętochłowic wygrał poważną sumę w Totolotka. Urządził duże przyjęcie, na którym sam wypił 5 litrów wódki. Właśnie wyszedł ze szpitala po 6-tygodniowej kuracji z trwałą ślepotą i głuchotą".

KROKI KU TRZEŻWOŚCI ^ Władze oficjalnie prowadziły kampanię antyalkoholową, ale nie kwapiły się z wprowadzaniem rozwiązań sprawdzonych na Zachodzie. Informacje o ruchu Anonimowych Alkoholików dotarły do Polski w 1957 r. Jednak pierwsza grupa kierująca się zasadą 12 kroków ukonstytuowała się dopiero w 1974 r. w Poznaniu.

Trzeźwy, a śpiewa

W PGR w Strzelnie (powiat bydgoski) młody owczarz przyszedł do pracy na nocną zmianę, ale przełożony odesłał go do domu, zarzucając mu, że jest nietrzeźwy. Młodzieniec udał się na posterunek MO, dmuchnął w balonik i udowodnił, że nie pił. Dyrekcja PGR złożyła stosowne wyjaśnienie: „Owczarz stał się podejrzany o to, że jest pijany, nie bez powodu, ale z tej przyczyny, że szedł do pracy z wesołą twarzą i podśpiewując, co na trzeźwo przecież się nie zdarza".

Gorliwi trzeźwiacy

Działacze antyalkoholowi gotowi byli na wszystko, byle ukrócić spożycie. W rzeszowskiej izbie wytrzeźwień delikwent po dojściu do siebie miał otrzymywać nagrany na taśmie swój pijacki bełkot oraz serię zdjęć przedstawiających go w stanie zamroczenia alkoholowego. Kiedy jednak do łódzkiej izby wytrzeźwień sam zgłosił się podchmielony obywatel, prosząc o nocleg, został odprawiony z kwitkiem. Dlaczego? Bo się nie awanturował.

1 71

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Pani domu miała jedno zmartwienie: czym zastąpić mięso, którego ciągle brakowało. A niekiedy brakowało nie tylko mięsa, ale i kości.

Obtoczyć i formować

Gazety pełne były porad, jak rozwiązać problem braku mięsa domowymi sposobami. „Myliłby się ten, kto by sądził, że kaszankę można podać jedynie do chleba czy kiszzonej kapusty" - przekonywała „Kobieta i Życie". - Przyrządzić z niej można wiele różnorodnych dań, które wzbogacone świeżą, zawsze inną surówką, można na pewno wpisać w rejestr codziennych obiadów". Redakcja polecała: kaszankowy przekładaniec, kaszankę w pikantnym cieście, pierożki z farszem kaszankowym, kotleciki z kaszanki. Na kotleciki podany był nawet przepis: „Z kaszanki zdjąć osłonkę, rozdrobnić widelcem. Na patelni rozgrzać tłuszcz, zeszklić w nim drobno pokrajaną cebulę, po czym dodać do kaszanki wraz jajkiem i przyprawami. Bardzo dobrze masę wyrobić drewnianą łyżką, formować kotleciki, ob-taczać w tartej bułce i smażyć na patelni jak normalne kotlety".

Rodzinne śniadanie (1982)

Nieopłacalne podroby

Jeżeli na pewien czas zniknął problem mięsa, to pojawiały się kłopoty z zakupem kości. „Do niedawna kobiety częściej znajdowały w placówkach handlowych importowany kawior niż rodzime kości, przydające smak krupnikom i kapuśniakom - pisał milicyjny organ „W służbie narodu”. - Nieraz pytały: - Co się dzieje z kośćmi? Dlaczego ich nie ma, skoro jest mięso? Niektóre ekspedientki kwitowały takie pytania żartem: - Kości kupowało się przed wojną, gdy ludzie pracy czerpali biedę. Teraz jest szynka, polędwica, schab”. Podobne trudności występowały z nabyciem podrobów. „Wiadomo, jak są one poszukiwane - czytaliśmy. -1 ze względów smakowych, i z uwagi na cenę. Podrobów także nie było. To znaczy »rzu-cano« je czasem w niewielkich ilościach. I nad tym stanem rzeczy ciążyła kalkulacja, wyrażona w poglądzie: dużo papraniny, a niewielki wkład do obrotu. Powszechny był taki obrazek: w sklepie MHD wiszą na hakach drogie polędwice, szynki, suche kiełbasy. Natomiast z reguły brak salcesonów, kaszanek i innych wędlin podrobowych”.

Z TALERZA PRZODKÓW „W obecnej trudnej sytuacji żywnościowej warto sięgnąć do dobrych tradycji żywieniowych dawnej wsi. Od czasu, gdy tak trudno o cokolwiek do chleba, nawet o masło, smalec czy dżem, wróciliśmy do gotowanych śniadań. Najbardziej lubianą potrawą na śniadanie jest żur ze śmietaną oraz ziemniaki omaszczone skwarkami” - pisał „Zielony Sztandar” w 1982 r.

1 72

Kraj na
co dzień

KURCZAK POD KAPELUSZEM Na fali trudności spożywczych w 1980 r. „Kulisy” przytoczyły zabawny fakt. W warszawskim SAM-ie zemdlata pewna klientka. Jak się okazało, kobieta, chcąc ukraść kurczaka, włożyła go pod kapelusz. Okład ze zmrożonego drobiu spowodował zaburzenia krążenia i omdlenie, które zdemaskowało przedsiębiorczą gospodynię.

Posiłki głodne

Prawdziwy kryzys zaopatrzeniowy przyszedł w czasie stanu wojennego. „Wydatki na mięso i wędliny, nawet w ilościach wynikających z reglamentacji, znacznie wzrosły - alarmowała czytelniczka „Przyjaciółki”. - Tym bardziej więc staje się konieczne racjonalne wykorzystanie każdego kawałka. Obiady bezmięsne traktowane są jako posiłki »głodne«. Na każdą kartkę mięsą kupuję 1,6 do 1,7 kg mięsa, reszta to wędliny. Czasem i te relacje zmieniam, wprowadzając do posiłków wędlinę zamiast mięsa. W ten sposób na 16 lub 17 obiadów w miesiącu mogę podać mięso. Raz w tygodniu są to obiady z pełną jego porcją, wynoszącą ok. 12 dkg”.

Schab co drugą niedzielę

W latach 80. w prasie mnożyły się porady w kwestii taniego gotowania. „»Tanie gotowanie? Jak można tanio gotować, gdy wszystko drogie?» - oburzała się czytelniczka „Kobiety i Życia”. - Ostatnio zrobiła zupę na kryzys. Ugotowała na wodzie, bez oka tłuszczu, jarzyny i ziemniaki. Zabieliła śmietaną. Nikt nie chciał jeść. Ma sobie za złe pomysł na tę zupę. Mąż chłop wielki, taka strawa nie do smaku i siły nijakiej. Lepiej dać piekarzowi niż lekarzowi - przypomniała sobie przysłowie. Postanowiła - nie będzie oszczędzać na żołądku. I kupuje - butelkę śmietany na dwa dni. I kupuje -schab co drugą niedzielę”.

Major Downar podchodzi do szwedzkiego stołu

W dobie kryzysu lat 80. na rodakach, którzy wyjechali na Zachód, ogromne wrażenie wywierało bogactwo tamtejszych kuchni: „Dotychczas «szwedzki stół» był dla Downara pustym, pozbawionym jakiegokolwiek treści dźwiękiem. Dopiero kiedy (...) znalazł się po drugiej stronie szklanych drzwi, zorientował się, co to znaczy. Dookoła ogromnej sali poustawiano długie stoły, uginające się pod najrozmaitszymi specjałami. Wszelkiego rodzaju sałatki z krabów, z ośmiornic, z ananasów, z bakłażanów, rozmaite gatunki ryb w pikantnych sosach, warzywa, oliwki, pomidory. Kucharze w białych kitlach kroili smakowite mięsiwa,

ogromne plastry rostbefów, cielecinę i pieczony drób. (...) Przybysze z Polski byli tak oszołomieni tym zaopatrzeniem, że w pierwszej chwili nie wiedzieli, co brać" -fragment powieści Major Downar przechodzi na emeryturę Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego.

„Garmaż zdrożał straszliwie"

Po dużej podwyżce, nawet sześciokrotnym wzroście cen niektórych towarów na początku stanu wojennego, prasa notowała głosy oburzenia Polaków, których teraz nie było stać nawet na najtańsze gatunki mięs: „- Mój Boże! - wzdycha pewien pan, który przed podwyżką szalał za flakami. Garmaż zdrożał straszliwie. Leży obok niesprzedanych jajek i żółtych serów. Gulasz, bigos, cynadry, sałatki, flaki. Dawniej wielka atrakcja". Ekspedientki również bywały zdumione: „- A w ogóle - zastanawia się pani Ela z nabiału - co ludzie jedzą po podwyżkach? Nawet pieczywo zostaje. A może przed podwyżką za dużo jedli? Mozę śmietanę wypijali?".

1 73

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Cerata drugiej

świeżości

W PRL-u przedmioty codziennego użytku wiodły długi i pracowity żywot. Aby te wysłużone zastąpić nowymi, należało mieć pieniądze i znajomości. O jedno i drugie wcale nie było łatwo.

Z żyletką na szminkę

W tych warunkach trudno było pielęgnować kobiecą urodę. Ale też domowych patentów na jej utrzymanie wymyślono bez liku. Pod koniec epoki gierkowskiej redakcja „Sztandaru Ludu" polecała: „Świeżo umyte, wytarte, ale wilgotne pasma włosów nawińmy na pasemka papieru toaletowego. By w papilotach wyglądać estetycznie, radzimy używać barwnego papieru".

Nawet ze szminką trzeba było postępować w specjalny sposób. „Jeśli pomadka do ust nie ma wyraźnie ostrego kantu, co utrudnia nam staranne malowanie się, włóżmy ją na kilka minut do zamrażalnika - zalecała „Przyjaciółka". - A gdy będzie już bardzo twarda, zatemperujmy zakończenie żyletką, tak, by miała kant".

Ślizg do buta

Przez dziesięciolecia Polacy zmagali się z problemem czystego obuwia. Gazety pęczniały od porad. „Białe obuwie płócienne można malować papką z kredy i mleka o gęstości śmietany. Po wyschnięciu farba nie odpada" - zapewniał „Zielony Sztandar". Lakierki wymagały już staranniejszej pielęgnacji: „Gdy ich nie nosisz, przetrzyj od czasu do czasu ściereczką umaczaną w mleku. Jeżeli zmatowiały - przetrzyj przepołowioną cebulą, a następnie wypoleruj miękką szmatką". Wzucie wyczyszczonego buta też nastęczało trudności. „Wkładanie i zdejmowanie butów-kozaczków zajmowało mi sporo czasu i energii - ubolewała jedna z pań na łamach prasy. - Trzeba stworzyć stopie poślizg, którego nie dają elastyczne lub bawełniane pończochy.

/N PULPA ZIEMNIACZANA

„Wyświecenie na spodniach czy spódniczce można usunąć nakładając na nie lekko odcisniętą pulpę ze świeżo utartych ziemniaków, a następnie energicznie wyszczotkować, wysuszyć, wytrzepać i zlikwidować ślady twardą szczotką" - radzita „Kobieta i Życie" w 1982 r.

Przed włożeniem buta na grubą pończochę wkładam więc do pół łydek stare stylony i nogi w mig »wjeżdżają« do buta".

Po occie jak nowa

Miejsce, gdzie powstawało najwięcej oryginalnych pomysłów, była kuchnia. Sposobem radzono sobie np. ze skubaniem drobiu. „Zabitą kaczkę, kurę, indyczkę czy gęś owijam dokładnie czystą szmatką płócienną i prasuję czystym żelazkiem - chwaliła się czytelniczka „Przyjaciółki". - Podczas skubania opierzenie łatwo i szybko odpada i otrzymuje się ładne pierze". Gazety instruowały, jak konserwować ceratę. „Należy ją możliwie codziennie

przemywać ściereczką zwilżoną w wodzie z octem lub pół na pół z mlekiem - czytaliśmy. - W ten sposób będzie długo jak nowa. Nigdy nie myć ceraty wodą

1 74

Kraj na

co dzień

z proszkiem do prania lub mydłem". Ale i tu zdarzały się metody konkurencyjne. „Cerata dobrze się konserwuje, jeśli się ją od czasu do czasu przetrze mieszaniną octu, spirytusu i oleju lnianego". Z kolei „miotła będzie trwalsza i mniej łamliwa, jeśli przed użyciem namoczyć ją na 2-3 godziny w słonej wodzie", a „gąbki stają się jak nowe po wymoczeniu ich w occie przez 24 godziny".

Cebula na ból zęba

W latach 80. doczekaliśmy się domowych sposobów na wszystko. „W wywarze z kwiatu lipowego można farbować firanki, aby osiągnęły piękny, lekko kremowy kolor. Barwa będzie ciekawsza niż po farbowaniu w esencji herbacianej" - zapewniała czytelniczka prasy kobiecej. „Kiedy jestem na spacerze za miastem w lecie, zbieram końce gałązek świerkowych. W domu kroję je i zalewam wrzątkiem. Zostawiam na 24 godziny, następnie odcedzam przez sitko, wlewam do butelki. Do kąpieli dolewam łyżkę lub dwie, woda ma naprawdę ładny zapach" - sprawozdawała inna gospodyni. Gdy w aptekach zabrakło tabletek przeciwbólowych, czytaliśmy: „Ból zęba minie, jeśli kawałek waty nasyczonej sokiem świeżej cebuli włożymy do ucha po stronie bolącego zęba". Ból ustępował szybciej niż ustrój, w którym niezbędne były takie metody.

Koszule retro

Aby uporać się z PRL-owskim niedostatkiem, trzeba by to niekiedy cofać się aż do wzorców sprzed kilkudziesięciu lat. „By wyjść naprzeciw naszym czasom, proponuję wznović powojenne praktyki sprzedaży koszul męskich z zapasowym kołnierzykiem i mankietami. Gdy jeszcze dobra męska koszula ma sfatygowany kołnierzyk i mankiety, wtedy się ją wyrzuca. Myślę, że warto zaproponować przemysłowi, by przynajmniej część obecnie szytych koszul wyposażył w takie dodatki" - proponowała czytelniczka „Przyjaciółki" w trudnych latach 80.

Barbara pończoszniczką

W kraju wiecznego braku towarów na rynku robiło się wszystko ze wszystkiego. „Pończochy przetwarzam na wiele pożytecznych drobiazgów, a nawet ozdób - pisała Barbara Jaworska z Rzeszowa. - Otóż każdą taką pończochę zamieniam w długie, wąskie pasemka stylonowych nici. Z tak przygotowanej »przędzy« robię grubszym szydełkiem różne drobiazgi: małe prostokątne łapki do chwytania gorących przedmiotów (do każdej łapki przyszywam pętelkę i wieszam je w pobliżu kuchni). Z pończochowej przędzy ufarbowanej na różne kolory zrobiłam też ostatnio kilka niewielkich okrągłych serweteczek wykończonych ząbkami, które zawieszane na ścianie nad dziecięcymi tapczanikami wyglądają bardzo ładnie i ciekawie".

Mydło domowe

Gdy w latach 80. sklepowe półki świeciły pustkami, w domach instalowano nawet niewielkie fabryczki chemiczne. „Drobne kawałki mydła, które gromadzę, zamieniam na duże »nowe« mydło" - chwaliła się prasie wiejska gospodyni. - 50 dkg odpadków zalewam 4 szklankami zimnej wody i gotuję na małym ogniu. Garnek powinien być dość duży (ja mam 4-litrowy). Płyn trzeba często mieszać. Po upływie ok. 2 godzin powstaje gęsta masa, którą nakładam do formy. Otrzymuję w ten sposób mokre, bardzo mocno pieniące się mydło. Po 2-3 dniach wyjmuję z formy, tnę na kawałki i suszę w jakimś przewiewnym miejscu".

PODŁOGA DO TAŃCA „Zamiast niewygodnego parkietu - płytki PCW. Na czyste, umyte płytki bez pastowania - najlepsza jest wykładzina dywanowa. Unikniemy wydatku na drogi dywan, a kiedy będziemy chcieli potaćzyć, to wykładzinę zwiniemy w rulon, a po tańcach

umyjemy płytki i ponownie rozłożymy wykładzinę na całą podłogę" - zalecał „Zielony Sztandar” w 1975 r.

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

PRL to byto je

- materialnych.

*i'Φrr\ Tj O ty|e. ile dzied;

**a słom..

Czas na przemiał

Polska Ludowa miała niebagatelne osiągnięcia w marnotrawieniu ludzkiej energii. „Kulisy” donosiły w 1975 roku: „We Wrocławiu znajduje się sklep zaopatrzonej w dużą i bezsensowną tablicę informacyjną: »Wrocławskie Przedsiębiorstwo Artykułami Codziennego Użytku. Oddział Obrotu Artykułami Mięsnymi, Sklep nr 147«. Pod tą biurokratyczną prezentacją jakaś roztropna ekspedientka dopisała ręcznie na kawałku tektury: »Sklep podrobowy«. Z kolei w Kielcach zainstalowano automatyczną myjnię samochodową. Samo mycie auta zajmowało 3 minuty. Natomiast załatwianie formalności i wpłacanie należności nawet półtorej godziny.

Niekiedy pracownicy starali się odzyskać stracony czas. We Wrocławiu Przedsiębiorstwo Budownictwa Uprzemysłowionego przysłało ekipę do mycia okien. Robotnicy myli trochę zakurzone szyby, brudniejsze zaś wytłukiwali młotkiem i wstawiali na ich miejsce nowe, czyste szkło.

dno wielkie marnotrawstwo czasu i dóbr Rodzajów marnotrawstwa spotykało się in życia.

^ GOSPODARKA BEZPAŃSKA

Po 1976 r. zaczęto wprowadzać tzw. ciche podwyżki, stosując „ceny komercyjne” i „eksport wewnętrzny”, gdyż obywatele mieli coraz więcej pieniędzy, za które nie mogli nic kupić.

Jednocześnie dla każdego stawało się jasne, dlaczego brakuje towarów w sklepach:

gospodarka była fatalnie zarządzana i z każdym rokiem coraz bardziej rozregulowana.

Samochody skręcają na lewo

Wiele dóbr przepadało w trakcie transportu. „Życie Gospodarcze” podawało, że w roku 1979 z mleczarni na warszawskiej Woli wywieziono 53 miliony litrów mleka w torebkach foliowych. Z czego 4 miliony „zaginięło” po drodze. Obliczono natychmiast, że „na boku” upłynniono tyle mleka, ile rocznie daje 560 krów. Z tego powodu milicja ostro kontrolowała transportowców. W roku 1980 Komenda Główna MO zorganizowała akcję „Licznik”.

Jednego dnia sprawdzono 81 tysięcy samochodów należących do najrozmaitszych przedsiębiorstw. Okazało się, że w wyniku lewych kursów, bezpodstawnego dopisywania spędzonych za kierownicą godzin czy przejechanych kilometrów, kraj stracił benzyny za półtora miliona złotych. Jeden tylko warszawski kierowca miał przy sobie 42 karty drogowe podstemplowane in blanco. Do Rzeszowa drewno na podpałkę całe lata dostarczano z odległych o 150 kilometrów Ustrzyk Dolnych. Natomiast ogromne ilości drewnianych palet z rzeszowskich zakładów trafiały na wysypisko śmieci. Również do Rzeszowa wysyłano - alarmowało „Życie Gospodarcze” w 1980 roku - ryby aż z Gdyni, ponieważ na Wybrzeżu chłodnie były przepełnione, a na Podkarpaciu - puste. Jednak te same ryby po pewnym czasie przewożono do przetwórni w Gdyni. Aby już w postaci filetów wróciły

1 7B

Kraj na co dzień

Etykieta na pudełku zapatek

do Rzeszowa. Ale i taki transport nie był w stanie zahamować marnotrawstwa. Obliczono, że latem na Wybrzeżu z powodu braku lodu w chłodniach psuje się do 100 ton ryb dziennie. W tej sytuacji nie dziwiło, że nasz handel zamawiał dziesiątki tysięcy drewnianych sanek u Bułgarów, w Polsce bowiem nie znalazł się producent, który mógłby wykonać ten nieskomplikowany sprzęt. Mało tego, kiedy Radomskie Przedsiębiorstwo „Las”

wyprodukowało kije do szturmówek za przeszło pół miliona złotych, okazało się, że połowa z nich jest niezdatna do użytku.

Śmierć ztotych rybek

Kraj dławiała bezmyślność urzędników. Podczas inwentaryzacji biur w Ostrowcu Świętokrzyskim wykazano się najdalej idącą skrupulatnością. Nie dość, że spisano wszystkie rybki w akwarium, to każdą z osobna wyławiano, by nie było pomyłki. W trakcie liczenia kilka rybek zdechło. W jednym z krakowskich przedsiębiorstw komisja inwentaryzacyjna zleciła zniszczenie i spisanie na straty jednej pary zużytego obuwia gumowo-filcowego. W skład komisji wchodziło: dwóch inżynierów magistrów oraz po jednym zwykłym inżynierze i magistrze. Z kolei w Grodzisku Mazowieckim w miejscowej garbarni co kilka tygodni palono buty zareklamowane przez klientów. Dyrekcja rozważała więc, czy bardziej nie opłaca się spalić obuwia jeszcze przed sprzedażą.

Wizyta na papierze toaletowym

Marnotrawstwu podlegała także godność pracownika. „Głos Koszaliński” odnotował w 1975 roku: „W jednym z koszalińskich zakładów pracy każdą wizytę robotnika w dyrektorskim gabinecie poprzedza osobliwy ceremoniał: nim robotnik w kombinezonie zasiądzie naprzeciw dyrektora, wbiega tam sekretarka i wyściełane krzesło pokrywa warstwą papieru toaletowego, aby się od zetknięcia z klasą robotniczą nie ubrudziło”.

Odzysk ze złomowiska

Niekiedy na państwowym marnotrawstwie można było skorzystać. „Synkowie moi zobaczyli na punkcie skupu GS pociętą na kawałki rolniczą przyczepę ciągnikową- pisał czytelnik „Gromady - Rolnika Polskiego”. - Po dokładnym obejrzeniu zaryzykowali je kupić. Przez kilkanaście dni spawali i nitowali te kawałki, wzmocnili ramę i dokupili koła oraz przewody oświetleniowe. Teraz bardzo się cieszymy, bo od kilku tygodni mamy dobrą przyczepę, której tak nam brakowało”.

W kolejce do punktu skupu zboża w Nidzicy (1986)

/4 MECHANIZACJA W BŁOCIE

Ogromne straty generowało rolnictwo. W 1980 r. pod hasłem „Bizon” skontrolowano PGR-y w 18 województwach. Obraz był przerażający. Siewniki, kombajny czy koparki jesienią po prostu porzucono w błocie.

1 77

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Cygani e

Nad ojczyzną mową znęcali się
niemal wszyscy rodacy.

Z tym że każdy nieco inaczej.

Proszę wstać, sąd mówi!

Język polski katowano w protokołach sądowych: „Żona wyżej wymienionego jako robotnica prowadziła się niemoralnie, gdzie zaszła w ciążę”. Podczas procesu można też było usłyszeć: „Po wyjściu z wojska zmuszony byłem pracować w PGR na skutek likwidacji ochoty do pracy w wojsku” lub „Pozwana nigdzie nie pracuje, jest narodowości cygańskiej i żyje z cyganatu”. Docierające do sądu sprawozdania milicyjne wcale nie prezentowały wyższego poziomu językowego: „Gdy przystąpiłem do rewizji obywatela X, namacałem coś miękkiego w spodniach. Kazałem mu wyciągnąć, lecz on nie chciał, tylko się upierał. Po zważeniu okazało się, że waży 440 gram”.

Gadane pod muchą

Z trudem wysławiały się sfery menedżersko-kelner-skie. Ogłaszano więc w prasie: „Zatrudnimy muzyków: pianistę i skrzypka z długim instrumentem - Komisja Zdrojowa Długopole Zdrój, pow. Bystrzyca Kłodzka”. Redakcja „Przekroju” komentowała: „W

Długopoli skrzypek z krótkim instrumentem jest nie do pomyślenia". W jednym z kieleckich sklepów kontuar, z za którego sprzedawano wódkę, otrzymał nazwę „stoisko tradycyjne". Zdarzało się również, że w karcie dań figurowała egzotyczna potrawa „Harmonogram po grecku". Z protokołów pokontrolnych dowiadujemy się: „Za kontuarem znajduje się beczka ze śledziami, odkryta, gdzie jest odrobina higieny", „Został wysłany monter w celu dokonania powtórnego inkasa lub wyłączenia opornych płatników z sieci" czy też „Po otrzymaniu dokumentów zostanie obciążony sklep obciążony towarami, które uległy zepsuciu".

Mowa oborowa

Problem z wyrażeniem myśli słowami mieli zwłaszcza działacze rolnicy. Na zebraniach mówili: „Mleko, które dają nasze krowy, nie sprzyja wzrostowi autorytetów pracowników gospodarstwa" albo „W naszej wsi nie ma już młodzieży rasy baran francuski, ale belgijskie i krajowe jeszcze się zdarzają". Z kolei pewien rolnik, cytowany przez „Trybunę Mazowiecką", tak zaczął swój życiorys: „Urodziła mnie moja matka". „Emery-ta(tkę) zatrudnię od zaraz na stałe do hodowli" -ogłaszał natomiast przedsiębiorca rolny w „Dzienniku Bałtyckim".

Język z łamów

Nawet dziennikarze nie najlepiej radzili sobie z językiem ojczystym. Mimowolnie śmieszni bywali początkujący sprawozdawcy prasowi. „Mistrzowi czarnej magii asystują efektowne i estetyczne »Mambo-girls«, które wykonują - nieszkodliwe dla programu - przerywniki taneczne. Tu czarodziejska pałeczka mistrza Salvano ma jeszcze duże pole do popisu" - relacjonował reporter „Expressu Wieczornego". Uzupełniała dziennikarka „Głosu Wielkopolskiego": „Kierowca poczuł nagle, że jego maluch stanął". Redaktor „Głosu Robotniczego" prorokował: „Masowa turystyka zagraniczna będzie naturalną kontynuacją spożywania turystycznego w ogóle". Krytycy snobo-wali się na polszczyznę wysoką: „A.L. zagrała też

1 78

/JI MOWA BEZ KOŃCA

Reklama powinna być zwięzła i zrozumiała. Ale mówienie o niej już niekoniecznie. „Dążenie do coraz lepszego zaspokajania potrzeb wsi, a zarazem do prawidłowego oddziaływania na procesy kształtowania tych potrzeb - daje szerokie pole działalności reklamowej jednostek podległych centrali" - pisała prasa w 1975 r.

nienaturalistycznie córkę Horodniczego - czytaliśmy - ale był to abstrakt pokwitającej naiwności i śmiało pączkującego erotyzmu".

Firmidła

Nieopisany galimatias panował w nazewnictwie firm. Próbowano zawrzeć w nazwie dwa słowa polskie: Zaprzem, Wyszkolin, Rodrób, Zakłamięs. Łączono wyrazy rodzime z obcymi: Bistyp, Mini-łącz, Cenzatyt, Zakładspir. Jeśli w przypadku tak nazwanych przedsiębiorstw można się było jeszcze domyśleć, czym się one zajmują, to już zupełnie nie wiadomo było, co produkuje zakład Ma-gilprzek lub Perkasiedem. Metki produktów stanowiły natomiast temat do żartów. Zamek błyskawiczny określano na nich „zsuwakiem rozporkowym", łapkę na muchy „mu-chobijką", pokrywkę „kipichronem", a filiżankę „stawką z podstawką".

Masowe ucłonkowanie

Rozrywki dostarczały też materiały z konferencji naukowych. Prostego chłoporobotnika nazywano w nich „dwiśrodo-wiskowcem". Śladem naukowców podążali spece od propagandy, formułujący hasła, takie jak to w poznańskiej restauracji Piast: „Każdy członek spółdzielni członkiem komitetu członkowskiego". Na tablicach ostrzegawczych w zakładach pracy pojawiły się napisy w takim stylu: „Pijaństwo, brakoróbstwo i żarty na zakładzie pracy to wrogowie twojej rodziny".

Polszczyzna skarg i zażaleń

Odrębną gałąź polszczyzny wytworzyły z czasem wpisy rozżalonych klientów do ksiązek skarg i zażaleń oraz odpowiedzi personelu. W restauracji Popularna w Legnicy kierownictwo placówki odpowiadało na skargę konsumentki: „Podany obywatelce kapuśniak był ostatnią porcją i sprzedaż jego była już zakończona a kelner wyprosił jego u kucharki czego nie powinna była uczynić. Znajdujący się makaron w tejże zupie był jedynie wynikiem tego że kucharka wzięła nabierkę z innej zupy - rosółu. Kapuśniaku więcej w sprzedaży nie było, dlatego kelner podał Ob. inną zupę lecz wyjaśnił to nie właściwie”.

Prezentacja matrymonialna

Niełatwo było pokazać się z jak najlepszej strony w jednozdaniowym ogłoszeniu matrymonialnym: „Robotnik lat 35 z pięknymi właściwościami i nieukończonym wyższym wykształceniem pozna odpowiednią pannę”. Już lepiej było napisać: „Wdowa poważna, lat pięćdziesiąt, chętnie zawrze znajomość z poważnym panem. Wszystko inne ustnie”. „Goniec Górnośląski” cytował anons, który zawisł na przystanku autobusowym na ulicy Dąbrowskiego w Chorzowie: „Pana, który w dniu 12.11 o godzinie 16 minut 5 pomógł mi dostać się do przepełnionego autobusu linii 48 proszę o stawienie się w tym miejscu w dniu 15.11 o godzinie 18.00 - Dziewczyna ze złamanym obcasem”.

1 79

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

Odpór

mistrzowi

Narady, kursokonferencje, zjazdy używały własnego języka. Była to polszczyzna sztuczna, niezrozumiała i napuszona. Ale dla osób na stanowiskach stała się obowiązkowym sposobem komunikacji.

Stosunki międzyludzkie u nas są, a kto mówi, że nie ma, ten sieje wrogą robotę - z zebrania pracowniczego

Ulekcyjnienie nauczyciela

Mowa biurowa uwzględniała najdziwniejsze czynności. „Odkład ziemi z rowów powinien być usunięty z uwagi na bezpieczeństwo zaśnieżania jezdnii i usuwanie śniegu pługami” - brzmiał urzędowy nakaz. W dodatku: „właściciele przyległych do rowu posesji powinni wykonać płytkie ciekii”. Innym razem podkreślano, że „istnieje sprawa zamaszynowienia zakładów” czy „uza-wodowienia młodzieży”, a „zausterkowane zabezpieczenia mienia w zakładach zostały uzupełnione”. Nawet w szkole „ulekcyjnienie odbywa się zgodnie z planem i siatką godzin na każdego nauczyciela”.

Maciory kierunkiem nadziei

Prezentacja własnych osiągnięć również dokonywała się w nowomowie: „Przekrój urazowy chorych na naszym oddziale wykazuje pogłębienie”. Czytaliśmy: „W przyszłym roku kółka rolnicze jako organizacja samorządowa będą mieć większą siłę kombajnową”. Doszło do tego, że „potrzeby rynkowe kapusty były w zeszłym roku całkowicie pokryte”. A tak w ogóle, to „zwiększyła się liczba macior, które są dobrym kierunkiem nadziei na przyszłość”.

Wytyk leśniczemu

W poważnym tonie rozstrzygano nawet zwykłe pyskówki: „W wyjaśnieniu skargi obywatela stwierdzono brak dyscypliny wśród traktorzystów, jak również nazbyt ostrą polemikę słowną kierownika z interesantem”. To mogło się zdarzyć, zwłaszcza gdy „skarżący pomylił pomieszczenie pojęć i bez zdania racji wysuwa zastrzeżenie pod adresem naszego zarządu”. Dyrekcja czuwała: „Wpływanie na załogę w sposób rozrabiacki jest przez nas dokładnie notowane, czego dowodem może być odpór udzielony mistrzowi”. Innemu mistrzowi „zwrócono uwagę, aby się nie wyrażał z zagrożeniem ostrzejszych sankcji”. Z kolei leśniczy „za nierozważne podejście otrzymał wytyk służbowy i zwrócono uwagę, aby na przyszłość w miejscach o walorach turystycznych i krajoznawczych postępować bardziej rozważnie”.

Spirytus aż do wytrzeźwienia

Także o alkoholu obradowano podniosło. „Towarzysz ten ma brzydki oportunistyczny i aspołeczny zwyczaj konsumowania napojów alkoholowych w przeliczeniu na czysty spirytus aż do całkowitego wytrzeźwienia, czym wprowadza w błąd i denerwuje naszą załogę” - brzmiała uchwała rady zakładowej. Tymczasem walka z alkoholizmem nabierała tempa. „W obecnej

1 80

Kraj na
co dzień

chwili - mówiono na jednej z zakładowych narad - szeroko rozwija się u nas walka o wykluczenie z naszego życia pijaństwa i alkoholizmu. Ta walka trwa również w naszym powiecie. Ale mimo to książka zapisów pacjentów w naszej izbie wytrzeźwień nie jest uzupełniona do końca. I dlatego na nas wszystkich spoczywa obowiązek wypełnienia jej do ostatniego słowa”.

Sprawa szafki otwarta

W języku narad tłumaczono, dlaczego pewnych zadań absolutnie nie można wykonać. „Sprawę powyższą rozpatrzono w pierwszym dniu miesiąca, a następnie z powodu wyjazdu na urlop zleceniodawcy, w ostatnim dniu miesiąca doprowadzono do ostateczności” - czytaliśmy w sprawozdaniu. Niekiedy ze sprawą borykano się znacznie dłużej niż miesiąc. „Jest to problem, z którym już dwa lata przekomarzamy się w zakładzie i od roku napastujemy natrętnie MPGK” - stwierdzało pismo urzędowe. Dłuższego przewodu urzędniczego wymagała nawet sprawa szafki na ubrania. „Ponieważ magazynier, który w czasie pracy nie przebiera się w inne ubrania, a tylko nakłada fartuch i nie chce szafki na odzież, czemu dał wyraz na piśmie, przeto sprawę szafki uważam za otwartą”.

Uroczystość barbórkowa w Rudzie Śląskiej (1949)

Zmiana stosunku bufetowych

Książki skarg i zażaleń pęczniały od wniesionych odpowiedzi na proste skargi: „Odnosnie zimnych posiłków uprzejmie wyjaśniamy, że w związku z nadmiernym upływem czasu, miały prawo wystygnąć”. I dalej: „Kelner nie powinien traktować konsumenta jako zło konieczne, kiedy przychodzi i siada na rewir odpowiedniej kelnerki”. Najbardziej konfliktowe sytuacje zdarzały się w barach. „Obecne grono konsumentów w przypadku odmowy sprzedania im piwa, dobrze jest gdy ograniczy się do wulgarnych przewisk, bo spotyka się i z groźbami, a nawet z ich realizacją (oplucie bufetowej i chęć pobicia). To jest też przyczyna systematycznej obserwacji przeze mnie zmiany stosunku bufetowych do konsumentów na niegrzeczny i opryskliwy”.

Bazując na etapie

Najbezpieczniejsze były takie wypowiedzi, których sens pozostawał mocno zakamuflowany - „Generalnym kierunkiem będzie dążenie do koncentracji zabudowy i usług w takim stopniu, aby wszystkie ośrodki rozwojowe zapewniały ludności realizację pełnego wachlarza potrzeb” albo „Bazując na etapie naszych stosunków dzisiejszych, musimy nadal aktywizować nasze kontakty”. Słyszeliśmy też: „Zaprogramowane plany budownictwa dopiszą nowe obiekty mieszkaniowe”.

Oświadczenie z powodu spaceru

Szczególnie oryginalnie wypadały oświadczenia składane w zakładach pracy na okoliczność codziennych zdarzeń. „Piszę oświadczenie z powodu mojego spaceru. Zbudziwszy się rano, zabolął mnie żołądek, na co dałem mu jeden mały ponczyk i potem poszedłem do pracy. Naprzeciw mnie szedł samochód. Zacząłem lawirować, szofer również. Potem on wyszedł z wozu i dał mi w łeb krzywym starterem. Od tego dania mi w łeb straciłem kierunek i wróciłem do domu”. Inny bumelant żalił się w piśmie do pracodawcy: „Przechodząc ulicą, zapytałem milicjanta, która godzina, a kiedy zaczął mnie podejrzewać, że znajduję się w

nietrzeźwym stanie, zacząłem zatrzymywać kierowców taksówek. Jeden z nich nie zrozumiał mnie i zderzył się z autobusem".

NA IMPORT

„Stwierdzamy autorytatywnie, że dla naszego przedsiębiorstwa nie ma większego znaczenia, czy będziemy wykonywać produkcję na eksport czy na import - ważne, że cała załoga chce pomóc" - z przemówienia cytowanego przez „Dookoła świata" (1975).

1 81

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

•Aaaaby-

kupić...

Nie było wolnego rynku, więc kupowaliśmy nie w sklepach, lecz za pośrednictwem gazet. Ogłoszenia drobne stanowiły połączenie giełdy z targowiskiem.

Oddam białego lisa

Za pomocą anonsów kontaktowano się w celu oddania rozmaitych dóbr we właściwe ręce: „Białego lisa złapano. Odebrać w ciągu 7 dni" („Ilustrowany Kurier Polski"); „W sprawie zamiany butów w pociągu proszę zgłosić się..." („Express Wieczorny"); „Właściciel psa wilczura, ciemnoszarego, pod brzuchem biały, proszony jest o odbiór" („Dziennik Bałtycki"). Do sprzedaży oferowano, co tylko dawało się upłynnić. „Sprzedam gruz oraz dobrego konia lub zamienię na dobrą, młodą, dojną krowę" („Nowiny Rzeszowskie"); „Tapczan dwuosobowy w dobrym stanie, dywan, książkę telefoniczną przedwojenną, rok 1939, sprzedam" („Życie Warszawy"); „Sprzedam w Przemysłu dom (7 ubikacji) z ogrodem. Pokój z kuchnią wolny" („Słowo Polskie"); „Atrakcyjny komplet rogów jelenich" („Życie Warszawy").

Warsztat samochodowy (1947)

Agroma - informuje - doradza -zaopatruje - .Dojarki Meckaniczne! - ogłoszenie prasowe Łowy na księcia

W rubryce „matrymonialne" panoszyły się oferty tych, którzy szukali nowego partnera, aby ułatwić sobie życie: „Oficer marynarki handlowej, inżynier, lat 40, pozna w celu matrymonialnym panią muzykującą, uprawiającą sporty zimowe i letnie, władającą angielskim lub niemieckim, która pozostałe wolne chwile poświęca pielęgnacji ogródka przydomowego" („Słowo Polskie"); „Intelektualista pozna partnerkę, lat około 50, szlachetną, wielkiego charakteru, o uzdolnieniach artystycznych lub aktorskich, w celu urządzenia «artystycznej oazy ciszy» i stworzenia idealnych warunków dla całorocznej pracy twórczej w letnim domku na granicy miasta Warszawy. Do urządzenia dwa pokoje, kuchnia, garaż, ogród" („Kurier Polski"); „Pan z autorytetem, wiek średni, niezamożny, pozna panią zamożną, dom, samochód, również innej narodowości" („Głos Szczeciński").

NAPRAWY PRZYPADKOWE Sporym wzięciem cieszyły się samochody z ogłoszenia. Nawet uszkodzone. „Kierownictwo produkcji filmu wynajmie do zdjęć samochód marki Syrena poważnie uszkodzony po wypadku, najchętniej ze zgniecionym dachem" („Życie Warszawy"). „Fiat 125 po poważnym wypadku kupię" („Życie Warszawy"). „Auto naprawa, specjalność trabant. Naprawy przypadkowe" („Życie Warszawy").

1 82

Kraj na co dzień

Dobór w pary dokonywał się według najdziwniejszych kryteriów: „Lekarka o miłej powierzchowności pozna kawalera z wyższym wykształceniem. Najchętniej turystę" („Dziennik Zachodni"); „37-letnia pozna w celu matrymonialnym pana grającego na akordeonie" („Kurier Polski"). Niekiedy tematyka matrymonialna brzmiała w anonsach desperacko: „Dla mojej mamy, sześćdziesięcioletniej wdowy, poznam odpowiedniego pana" („Echo Krakowa"); „Samotna - lat 35 - pozna pana. Może być po przebytej chorobie lub wypadku. Cel matrymonialny" („Kurier Lubelski").

Panienkę przyjmę od zaraz

Zdarzały się też ogłoszenia przypominające jawne propozycje erotyczne. Na miniaturce tapczanu, umieszczonej na wystawie toruńskiego zakładu tapicerskiego, widniał anons: „Młodą panienkę przyjmę od zaraz na pokój”. W prasie natomiast czytaliśmy: „Mistrz lakiernik, samotny, lat 47, weźmie w dzierżawę odpowiednią pracownicę, poprowadzi zakład lub przystąpi do spółki” („Dziennik Bałtycki”); „23-letni, wykształcenie zawodowe, raczej brzydki, jakby dziwak, pozna panią zdecydowaną nawet na małżeństwo” („Kurier Polski”); „Samotny, młody poszukuje pokoju, najchętniej przy samotnej pani” („Echo Krakowa”).

Polszczyzna na krawędzi

Niektóre ogłoszenia wydawały się dziwaczne, ponieważ ich autorzy mieli trudności z językiem polskim: „Sprzedam suknię ślubną długą, nową, zagraniczną, dla szczupłej osoby z długim welonem” (spisane ze słupa przez „Dookoła świata”);

Gablotka do wynajęcia

„Ogródek działkowy we Wrocławiu zamienię na Kraków” („Echo Krakowa”); „Kamienicę, wolny pokój, przynależności, perspektywy, centrum Poznania, sprzedam” („Głos Wielkopolski”); „Zamienię 2-pokojowe mieszkanie z kuchnią w centrum miasta oraz posesję brakarza w fabryce na takich samych warunkach lub podobnych” („Słowo Ludu”); „Szewca do naprawy zatrudnię natychmiast” („Życie Warszawy”); „Szczęśliwe małżeństwa kojarzy psycholog z komputerem” („Głos Wielkopolski”).

Oglądacze mięsa

Pojawiały się anonse wysoce specjalistyczne: „Amatorska hodowla kur rasowych (wybitne nioski) - poleca po kogutach importowanych jaja wylęgowe” („Dziennik Zachodni”); „Sprzedam rączkę do pokulywadła lub części do grajstopera do mierzenia dygresji w inkubatorach” (spisane ze słupa przez „Głos Wybrzeża”); „Wiatrak kupię lub wydzierżawię” („Express Wieczorny”); „Jeleniogórskie zakłady farmaceutyczne »Polfa« w Jeleniej Górze wstrzymują aż do odwołania zakup kotów domowych” („Gazeta Robotnicza”); „Pierzemy bieliznę fasonową i płaską” (spisane z okna pralni przez „Gazetę Robotniczą”); „Chcesz zdobyć zawód, zgłoś się do Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii, gdzie otrzymasz skierowanie na kurs oglądaczy mięsa” („Głos Szczeciński”).

Cwaniak na zbyciu

W prasie można się było natknąć na ogłoszenia o najwyższym stopniu wtajemniczenia. Jedno z warszawskich przedsiębiorstw zawiadaniało potencjalnych klientów za pośrednictwem „Życia Warszawy”, że ma na zbyciu następujące artykuły: „1. Forma wtryskowa «warszawski cwaniak» część przednia, 2. Forma wtryskowa «chłopiec» część przednia, 3. Forma wtryskowa »dziewczynka« część przednia, 4. Forma wtryskowa część tylna”.

1 83

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

>f

Podobno wczoraj...»

Kiedy zwyczajowe drogi komunikacji społecznej zawodzą, rodzą się plotki. PRL był rajem dla wszelkich niesprawdzonych wiadomości.

Żydowska rzeźnia

Wydarzenia marcowe 1968 roku inspirowała plotka, że zdjęcia z afisza Dziadów domagała się ambasada radziecka. Warszawska ulica przyjęła to jako wyjątkowo niegodziwą ingerencję w polskie sprawy. Po Polsce rozeszła się także wieść, jakoby wśród pobitych studentów Uniwersytetu Warszawskiego były ofiary śmiertelne. W trakcie nagonki antysemitycznej, do której doszło po wystawieniu dramatu Mickiewicza, SB rozsiewała najbardziej wydumane antysemityczne pogłoski. Szeptano, że w Szczecinie funkcjonuje żydowska rzeźnia trudniąca się mordowaniem dzieci. Ich krew miała służyć do wyrobu macy. Plotka towarzyszyła też

ustąpieniu Władysława Gomułki i przejściu władzy przez Edwarda Gierka. Mawiano, że po krwawych wydarzeniach na Wybrzeżu w 1970 roku do Polski przybył Leonid Breżniew, aby kierować osobiście rozwojem wypadków z zakonspirowanej leśniczówki pod Olsztynem. Gomułka w obawie przed utratą stanowiska podobno próbował aresztować Gierka, ale willi następcy w Katowicach broniły zwarte oddziały milicji.

Ekspozytura masonerii

Plotka towarzyszyła także raczkującej opozycji lat 70. UB kolportowało kłamliwą wiadomość, że Adam Michnik i Jacek Kuroń oraz środowisko KOR-u to ekspozytura „światowego żydostwa”. A postacie takie, jak Stefan Kisielewski, są marionetkami w rękach masońskich spiskowców. Kiedy po stronie KOR-u opowiedział się Jerzy Andrzejewski, służby rozpowszechniły informację, że zależy mu przede wszystkim na równouprawnieniu mniejszości seksualnych. A cała działalność polityczna stanowi tylko przykrywkę. Opozycję obwiniano też za wybuch gazu pod warszawską Rotundą w lutym 1979 roku. Mawiano również, że eksplozja to efekt napadu rabunkowego - sprawcy rzekomo źle obliczyli moc materiału wybuchowego. Miało też dojść do innej pomyłki. Podobno materiał wybuchowy zamierzano odpalić w okolicach KC, ale zainstalowano go w kanałach o jedno skrzyżowanie Edward i Stanisława Gierkowie podczas czynu społecznego (1978)

WILLE ZE ZŁOTYMI KLAMKAMI ^ Edward Gierek podobno rezydował na przemian w licznych ekskluzywnych willach rozsianych po całym kraju. Klamki były tam ze szczerego złota. Jego żona zaś miała zwyczaj na zakupy i do fryzjera latać czarterowymi samolotami do Paryża.

1 84

Kraj na co dzień

Masówka w Hucie Warszawa (1968)

^ UNIWERSYTET W KOSZARACH

Podczas Marca 1968 plotkowano także, że studenci zostaną karnie przesiedleni poza miasta uniwersyteckie i będą odbywać naukę w koszarach na prowincji.

za daleko. Posłuch znajdowała nawet bardziej fantastyczna wersja tego wydarzenia.

Niektórzy utrzymywali, że pod Rotundą przebiegał tunel kolejowy łączący Moskwę z Berlinem. A wybuch to nic innego jak zamach na Breżniewa, który akurat tamtędy się przemieszczał.

Anna Jantar na wagę złota

Koniec epoki gierkowskiej zaowocował mnóstwem plotek na temat życia partyjnych bonzów. Powtarzano, że sekretarz z Katowic, Zdzisław Grudzień, zbudował na Śląsku luksusowy „dom partyjnego rencisty”, gdzie jesień życia mieli spędzać towarzysze z wyższego szczebla aparatu. Sam Grudzień zgromadził rzekomo w swojej rezydencji w Pszczynie najcenniejsze okazy muzealne z całego Śląska. W specjalnych magazynach natomiast znajdowały się ponoć ogromne zapasy deficytowej żywności - z bananami na czele. Miejscem wyjątkowo wystawnych uczt z udziałem panienek lekkich obyczajów był podobno rządowy ośrodek wypoczynkowy w Arłamowie. Sprzyjać temu miało jego dyskretne położenie wśród bieszczadzskich wzgórz. Mówiło się też,

że partyjna elita pośredniczyła w sprzedaży Anny Jantar arabskiemu szejkowi. Cena: tyle kilogramów złota, ile ważyła piosenkarka. Plotkowano, że katastrofa samolotu, w której zginęła Jantar, była dziełem porywaczy, chcących w ten sposób ukryć swój proceder.

Pogłoski antypapieskie

Różne niesprawdzone wieści krążyły również w związku z pierwszą pielgrzymką Jana Pawła II do Polski w 1979 roku. W gremiach partyjnych szeptano, że podczas papieskiej wizyty dojdzie do wybuchów fanatyzmu religijnego, a komuniści zostaną publicznie napiętnowani. Po pielgrzymce natomiast uporczywie powtarzano, że tłum gromadzący się wokół papieża stratował dziesiątki, a nawet setki osób. Fałszywe wiadomości obiegały kraj

także w trakcie strajków na Wybrzeżu w 1980 roku. Raz po raz mówiono, że już zaczęła się interwencja ZSRR. Podobno radioamatorzy odbierali sygnały na częstotliwościach wojskowych o ruchach oddziałów radzieckich. Służba Bezpieczeństwa zaś fabrykowała niepochlebne opowieści o strajkowym życiu stoczniowców. Część robotników strajkowała rzekomo pod przymusem - została niby uwięziona przez przywódców strajku i lada dzień miała się uwolnić. Jednak im bardziej umacniała się wiara w zwycięstwo, tym wyraźniej gasła wiara w plotkę.

Mówi Józef Światło

W latach 50. najwięcej plotek dotyczyło stylu życia przedstawicieli władzy. Wiele z nich inspirował podpułkownik Józef Światło, który po ucieczce na Zachód na falach Radia Wolna Europa opisywał luksusy, jakimi otaczali się partyjni dygnitarze: „Albo jadalnia w Belwederze. Hebanowe, ciemne meble i obicia z ciemnej skóry. Cicho jak cienie, snują się wytworne kelnerki, które w takich wypadkach dyżurują z kucharzami całą noc. Przy jednej ścianie, na niskim kredensie, wyszukane owoce południowe importowane z zagranicy. Najrozmaitsze słodczyce, zagraniczne papierosy i wyszukane owocowe soki. Pod drugą ścianą na większym kredensie wódki, koniaki, likiery, zagraniczne wina”.

1 85

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Zazd

* *

rosc

medycyna

Miłość to uczucie powszednie. Ale z lektury starych gazet wynika, że zakochani w PRL-u przeżywali zupełnie niezwykłe perypetie.

Wdowa z drutem

Trudności mnożyły się już na etapie dobierania się w pary. „Kawaler lat 50, luksusowe mieszkanie w Warszawie, przystojny, wyższe wykształcenie, pozna przystojną o nieprzyjemnym rozumowaniu panią” - czytaliśmy w „Dzienniku Bałtyckim”. Zdarzały się anonse o wysokim stopniu specjalizacji: „Literat poślubi inteligentną panią, najchętniej maszynistkę”. „Lekarz specjalista - ogłaszały z kolei „Kulisy” - kawaler, dobrze sytuowany, własne mieszkanie (miejscowość uzdrowska), samochód, pozna lekarkę (chętnie neurologa, laryngologa, pediatrę) do lat 32 celem założenia ogniska domowego”. W biuletynie koncesjonowanego Biura Matrymonialnego „Venus” znalazło się m.in. ogłoszenie: „Mam drut aluminiowy spłaszczony na girlandę i lametę choinkową. Szukam męża z interesem w odpowiednim punkcie. Oferty pod »Młoda Wdowa«”.

Złamana przyszłość narzeczeńska

Zakochani musieli uporać się z uczuciem dojmującej zazdrości. Kiedy patrol drogówki zatrzymał młodego gdańszczanina za zbyt szybką jazdę, ten spóźnił się o kwadrans na randkę z narzeczoną. Skutkiem czego całkiem się załamał.

^ ŻONA DOPASOWANA

„Kulisy” w 1965 r. donosily o Robercie M., 24-letnim techniku z Oświęcimia, który będąc chorobliwie zazdrosny o żonę, skonstruował nowoczesny pas cnoty. Było to płaskie urządzenie wielkości papierosnicy, zasilane baterijką. Pani M. nosiła je pod sukienką na łańcuszku zamykanym na kłódeczkę. Wynalazek rejestrował każde dotknięcie przez nią innego człowieka.

„A u narzeczonej był od kwadransa już ten jej poprzedni chłopak - tłumaczył pechowy amant. - Złamano mi przez to przyszłość narzeczeńską”. „Sympatia jest ekspedientką w narożnym sklepie winno-cukierniczym - pisał młodzieniec do „Przekroju”. - Gdy spytałem ją, kim jest wysoki blondyn, z którym zaglądamy sobie w oczy i z którym widziałem ją na motorze, odparła z rumieńcem na policzku, że to taki sam klient jak inni, tyle że bardziej natrętny”.

Kraj na co dzień

Ludwik z Gdańska był nawet zazdrosny o umarłego: „Ożeniłem się z wdową i nic nie miałbym przeciw pierwszemu jej mężowi, gdyby nie fakt, że żona trzyma w domu na widocznym miejscu 17 jego portretów i fotografii. Napiszcie, że skoro ma się drugiego męża, to portrety pierwszego powinny pójść w odstawkę. Przy tym co chwila: »Wacuś (nieboszczyk) to, Wacuś tamto«. Nie chciałbym, żeby doszło do draki”.

Twierdzisz, że 5ą kockasz, a czy kupiłeś Już odkurzacz marki Żuczek z wymiennym wężem?
- reklama Eldomu

Małżonkowie po kursie

Samo wstąpienie w związek również nie było proste. W Poznaniu zorganizowano więc „szkołę dla narzeczonych”, gdzie wykładawcami byli specjaliści z Akademii Medycznej i Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Że taka szkoła była potrzebna, świadczył przykład Rzeszowa. Tu jednego roku aż 50 par zrezygnowało z małżeństwa w trakcie ustawowego miesiąca oczekiwania na ślub. Ci, którzy zdecydowali się powiedzieć „tak”, także bywali rozczarowani. W żargonie załogi Batorego określenie „żywy eksport” oznaczał rodaczki, które narzeczonego z Ameryki poznawały przez ogłoszenie matrymonialne. Pływały za ocean po nowe, lepsze życie. Tam często przeżywały zawód. Bo przyszły mąż z ogłoszenia nie przypominał wyglądem Gregory'ego Pecka, nie przyjeżdżał po wybrankę do portu najnowszym modelem cadillaca, a jego konta w banku nie zdołał ciągnąć zer. W kraju też można było się poczuć rozczarowanym po ślubie. Warszawskie biuro zleceń telefonicznych otrzymało niecodzienne polecenie od abonentki udającej się na 14-dniowy urlop. Miało codziennie rano przypominać mężowi wczasowiczki, że powinien wracać do domu przed 11 wieczorem, a następnie dzwonić do niego ponownie parę minut po tej godzinie. Kosztowało to abonentkę 2 złote dziennie. Inna małżonka pytała „Przekrój”: „Mój mąż uznaje tylko wyższe wartości. Co robić?”. „Uznawać wraz z nim, trudno” - odpowiedziało pismo.

Gorączkowy bigamista

Zdarzali się i tacy, którym małżeństwo podobało się nawet za bardzo. Przed warszawskim wymiarem sprawiedliwości stanął Alojzy B. oskarżony o bigamię. Ku zdumieniu sądu z akt sprawy wynikało, że posiadający dwie żony podsądny w ciągu ostatnich 17 lat dziewięciokrotnie się rozwodził. Łącznie miał więc w życiorysie 12 żon (dziewięć rozwiedzionych, dwie bigamiczne, jedna zmarła). Zapytany, czemu popełnił bigamię, skoro był tak wprawiony w uzyskiwaniu rozwodów, Alojzy B. odparł, że stało się tak, ponieważ jego uczucia zmieniają się szybciej niż pracuje sąd.

Rozwód traktorzysty

Kielecki sąd oddalił pozew męża, który domagał się rozwodu, podając jako powód dysproporcje poziomu intelektualnego i wykształcenia między nim a żoną. Oboje ukończyli, co prawda, szkołę podstawową, ale on zrobił dodatkowo kurs dla traktorzystów. Odmowę udzielenia rozwodu sąd uzasadnił tym, że jego wyobrażenia o kursach traktorzystów nie są równie wysokie, jak powoda.

Rozwód nad trumną

„Kulisy” wytropiły w 1975 roku rzadki przypadek matrymonialny: „Państwo Ewaryst i Anna R, rolnicy z Poznańskiego, postanowili się rozwieść w wieku - oboje - około osiemdziesiątki. W czasie pierwszej polubownej rozprawy słyszeć nie chcieli o pogodzeniu i szczegółowo relacjonowali wszystkie pretensje sięgające jeszcze przedmałżeńskich czasów: a to, że Anna R zmusiła mężczyznę do ożenku udając ciążę, której nie było, a to że Ewaryst R zaraz w pierwszych miesiącach małżeństwa zdradzał ją z inną itd. Państwo R przed trzema laty przestali niańczyć kolejnego, szóstego z rzędu wnuka i odesłali chłopca do rodziców (rodzice bowiem - na stanowiskach, mieszkają w mieście) i uznali, że wreszcie na koniec mogą sobie

pozwoić na luksus rozstania, o którym marzyli przez całe wspólne życie. Personel sądu twierdzi, że jest to najoryginalniejsza w ich praktyce sprawa rozwodowa".

1 87

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

^@^

d.©tw

©M*

Związek kobiety i mężczyzny był polem niekończących się zmagania. Przenosiły się one do urzędów, magazynów fabrycznych, a nawet na szosy.

„Nie mam jasności w temacie Marioli"

Kobieta pozostawała dla mężczyzny istotą tajemniczą. „Znajoma chętnie się ze mną widuje plus minus raz na pół roku - uskarżał się amant na łamach „Przekroju". - Pochodzimy dwa, trzy dni i koniec. Potem sama dzwoni i znów chodzimy parę dni. Machnąłbym ręką, ale intryguje mnie ta sprawa. Co myśleć?" - pytał. Inny adorator na randkę przyprowadził własną babkę i wyraził nadzieję, że obie panie, mimo różnicy wieku, zaprzyjaźnią się. „Chłopiec jest utopistą" - oceniła dziewczyna. „Życzenie, by bliskie sercu kobiety dobrze ze sobą żyły, piastuje, niestety, wielu mężczyzn" - skomentowała redakcja „Przekroju". Niekiedy usilne starania o kobiece względy przynosiły opłakane efekty. „Na szosie pod Kielcami doszło do ogromnego karambolu samochodów - podawało „Echo Dnia" w 1975 roku. - Przyczyną zbiorowej kraksy było to, że pasażer jednego z samochodów łaskotał kierowcę, Weronikę K., w trakcie jazdy. Traktował to jako pomyslową formę zalotów". Gazeta wyciągnęła stąd wniosek, iż należy przyspieszyć budowę przydrożnych moteli. Sentymentom chętnie ulegały także panie. „Przekrój" zbadał, że w latach 60. w więzieniach kobiecych największym wzięciem cieszyły się powieści, w których bohaterowie zmagają się z przeciwnościami losu, aby tylko połączyć się z ukochaną.

Zony od zaplecza

Kiedy mężczyzna zdobył już wybrankę serca, okazywało się często, że to on sam został zdobyty. Kobieta żerowała na jego stanowisku. „Znam żonę człowieka na wysokim urzędzie, przed którą otwierają się zaplecza sklepowe, a nawet magazyny zakładu produkcyjnego. Mąż spełnia swe obowiązki uczciwie i być może nawet nie wie, jak małżonka wykorzystuje jego stanowisko" - pisał czytelnik „Polityki" w 1980 roku. Niekiedy wystarczało tylko udawać, że ma się wpływowego męża. Takie wrażenie robiła sprzątaczką Urzędu Dzielnicy Warszawa Żoliborz. Z łatwością naciągnęła więc - jak podawał „Zielony Sztandar" w 1980 roku - 10 interesantów na 200 tysięcy złotych. W prasie nie zaskakiwały ogłoszenia: „Pana w wieku 37-50 lat, po studiach, najchętniej z samochodem, pozna subtelna, niepoprawna idealistka".

1 88

Kraj na co dzień

MAŁŻEŃSTWO, KTÓRE NIE KONWENIUJE ^ W1974 r. „Kulisy" pisaty o pewnej kobiecie, która wniosła pozew o rozwód, ponieważ mąż po ukończeniu studiów zbyt rozwinął się intelektualnie. A ona przez to nie mogła już znaleźć z nim wspólnego języka. Sąd doprowadził do ugody zwaśnione strony. Ostatnie słowo należało jednak do męża:

„Wprawdzie mi to zbyt niekonwieniuje, ale propublico bono- niech już będzie".

Niekiedy panie w dyrygowaniu własnym małżonkiem przekraczały wszelką miarę. W połowie lat 60. opinia publiczna zatrzęsła się z oburzenia na Magdalenę M., gospodynię wiejską z powiatu myślenickiego. Została ona aresztowana pod zarzutem ugotowania we wrzątku swego sparaliżowanego męża. Tego wymyślnego mordu dopuściła się po tym, jak ślubny zagroził, że zapisze w testamencie ziemię Skarbowi Państwa.

Leniwe, próżne, lekkich obyczajów...

Nic dziwnego. Ciągłe żywy był problem miejsca, jakie u boku mężczyzny ma zajmować kobieta. Zaczynało się od drobiazgów. „Mąż prowadził mnie tylko do ołtarza, potem przez 10 lat zawsze ja jego - skarżyła się „Przekrojowi” czytelniczka. - A jeśli nie wezmę go pod ramię, to idiemy obok siebie, jakbyśmy się gniewali, co wygląda sztucznie. Czuję się głupio przy koleżankach, które zawsze są prowadzone przez mężczyzn”. Panowie mieli z reguły własne pomysły na odpowiednie miejsce dla płci pięknej. „Uważam, że kobiety, które tak żarliwie opowiadają się za pracą zawodową, to kobiety leniwe, próżne, a nawet - nie zawaham się użyć tego słowa - lekkich obyczajów - diagnozował „mąż, ojciec, statystyczny Polak” na łamach „Kobiety i Życia”. - Matka wychowywała dzieci, wychowuje i będzie wychowywała. My, mężczyźni, chcemy mieć w domu żony i matki, a nie kierowniczkę, księgową, panią redaktor i cholera wie, co jeszcze!”.

Kobieta szlaban

„U nas w gminie za mojej pamięci zmieniło się pięciu naczelników i tylko ona się nie zmienia - skarżył się na kobietę czytelnik kieleckiego „Słowa Ludu”. - Znaczą, urzędniczka, sekretarka, czy nie wiem jak ją zwać. Siedzi i do naczelnika nie dopuszcza. Ton ma jaśniepań-ski, wymalowana jak jajo wielkanocne, perfumami to się zleje tak, że śmierdzi - nie daj Boże. Względem czego? - pyta. Mam sprawę - odpowiadam. Mnie ją musicie zreferować, bo ja tu decyduję wstępnie, czy będziecie mogli wejść do naczelnika, czy nie”.

Królewna wraca z pracy

„Wracamy z pracy. W modnych kozuchach, w lisich czapach, z torbami z fantazją przewieszonymi przez ramię. W kozaczkach z »Syreny«, tych na szpilkach, niełatwo przemierzać miasto, a jednak potrafimy w nich chodzić. Rzut oka w szybę wystawową i męskie spojrzenia upewniają, że wygląda się dobrze. Dobrze się do domu, zamieni wyjściową spódnicę na znoszony ciuch, obcisły golf na rozciągnięty sweter z anilany. Po zdjęciu czapy włosy sterczą, ale już nie trzeba poprawiać fryzury, makijażu, jak rano po przyjeździe do biura. Skończył się »bal« - pora zmienić się w Kopciuszka” - tak brzmiała współczesna wersja znanej bajki według czytelniczki „Kobiety i Życia”.

Te fatalne kopytka

Panowie znali się świetnie nie tylko na kobietach, ale i na modzie damskiej. We wczesnych latach 70. kontrowersje wywołało upowszechnienie się drewnianych chodaków, zwanych kopytkami. „W mojej okolicy dużo dziewcząt chodzi do szkoły w kopytkach. W takich kopytkach to się nogi dzieciom deformują. A co najważniejsze, dzieciom się w głowach przewraca. Czy nie lepiej byłoby zwrócić uwagę na stopnie niż na suknie i kopytka?” - pytał czytelnik „Zielonego Sztandaru” spod Grójca.

1 89

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

W PRL-u nagości spotykało się tyle, co kot napłakał.

Ale za to reakcja, jaką wywoływała, bywała bardzo głośna.

I Ogólnopolski Salon Fotografii Artystycznej Akt „Wenus 70”

Pół kilometra ciekawskich

W 1970 roku ruszył Ogólnopolski Salon Fotografii Artystycznej Akt „Wenus 70”. Kolejki liczyły pół kilometra długości. W księdze pamiątkowej pojawiły się wtedy pierwsze interesujące wpisy w rodzaju: „Wystawa rozwija niskie instynkty, a w związku z tym choroby weneryczne”. W materiale wspomnieniowym z 1994 roku „Gazeta Wyborcza” notowała: „W roku 1972 cenzura zakazuje druku zaproszeń, prasa nie może opublikować wyników obrad jury. W ciągu 22 lat z wystaw ukradziono 1200 fotogramów. W roku 1974 - duże włamanie: złodzieje z wielkim artystycznym smakiem wybierają najlepsze zdjęcia. Milicja odnajduje je po roku na ścianach pijackiej meliny. Ukradli: mechanik, elektryk i absolwent wyższej uczelni. Mówią w sądzie, że takich prac nie mogli w Polsce kupić, a chcieli na nie ciągle

^PEKAJĄ TAMY

„Kto by się spodziewał. Robili takie dobre wrażenie, a co oni tam nawypisywali i wymalowali! Szkoda gadać...” - opowiadała prasie po przeczytaniu wpisów grupy nobliwie wyglądających lekarzy ze stolicy oburzona pani Ela, która na wystawie „Wenus” pracowała od 10 lat jako kasjerka.

patrząc. W 1975 roku pewnego wieczoru na wystawie trwa wykład o światowej sztuce erotycznej, 200 osób zapatrzonych w prelegenta nie zauważa, że do galerii wchodzi elegancka dama w trenczu. Idzie do ostatniej sali, z której za chwilę dochodzi przeraźliwy smród. Kobieta oblewa prace mieszanką kwasu solnego i lizolu. Płyty październowe, na których umieszczono zdjęcia - palą się, szkło się topi. Kobieta zauważa Władysława Klimczaka; »Zaraz ci wypalę ślipki« - krzyczy. Mieszanką spala biurko, publiczność ucieka. Wzywa się wojska chemiczne. Sprawczyni dostaje półtora roku z zawieszeniem, jest bowiem matką małego dziecka”.

Salon jest czynny 12 godzin. Wieczorami masowo przychodzą ekshibicjoniści i onaniści. W 1976 roku złodziej, który wojskowym bagnietem podważa szkło chroniące fotogramy, drze sukienkę

1 90

Kraj na
co dzień

na sekretarce, pani Frączak, i ucieka. Pani Frączak goni go po ulicy. Sprawa nie trafia do sądu, bo złodziej jest synem jednego z dygnitarzy.

Stary Sącz protestuje

Na wystawę „Wenus” trzeba się było pofatygować do Krakowa. W telewizji zaś nagość bywała dostępna dla wszystkich. Niestety. W listach adresowanych na ulicę Woronicza w Warszawie regularnie przewijał się protest przeciwko pokazywaniu nagości. „My, mieszkańcy Starego Sącza - pisano w 1972 roku - protestujemy przeciwko wyświetlaniu przez Telewizję warszawską filmów takich jak w dniu 29 sierpnia o godz. 20.05 pt.

Dziewczyny do wzięcia, w którym był pokazany, bez żadnego owijania w bawełnę, stosunek seksualny. To jest demoralizacja młodzieży i publiczna zniewaga widzów. To świadczy o zwyrodnieniu pewnych warstw, które sobie życzą, aby ogół ludności był też zwyrodniały”.

Potępiano nie tylko frywolne produkcje współczesne, ale i klasykę: Pewna widzka wystosowała list: „Uprzejmie informuję, że zostałam oburzona urywkiem filmu Chłopi pod tytułem Gody, a to dlatego, że pokazano w nim sceny erotyczne w sposób nieprzyzwoity i rubaszny. Dziwię się, że tracono cenny czas na reżyserowanie tego rodzaju scen i pytam, na czyje zapotrzebowanie? Moje dzieci w czasie tych scen oblały się rumieńcem, a wydaje mi się, że przede wszystkim powinni się rumienić odpowiedzialni pracownicy Telewizji, iż dopuścili, że przekazano takie sceny do masowego odbioru. Bez podpisu”.

Przychodzi przystojny elektromonter...

Korespondenci zagraniczni donosili w tonie sensacji, jakie to erotyczne bezceństwa dostępne są na zachodnim rynku. Jan Kalkowski w 1975 roku pisał na łamach „Przekroju” ze Sztokholmu: „Liczne sklepiki (sex-shopy), w których sprzedaje się wszystko co ma coś wspólnego z seksem dla pań i panów, wszystko do oglądania, słuchania i stosowania. Wiele zobaczyć można i w sklepowych witrynach, toteż - jak mówił znajomy Polak - trudno się dziwić, że ci Szwedzi często miewają kompleksy. Na jednym z tych sklepików znalazłem zachęcający napis: »Tu mówi się po polsku«. Są oczywiście i specjalne kina, w których za 11 koron szwedzkich ogląda się seanse krótkich i średniometrażowych filmów, pokazujących wszystko, co może się zdarzyć między ludźmi, na przykład wtedy, gdy przystojny elektromonter przyjdzie naprawić światło w mieszkaniu, w którym jest sama (państwo wyszli) fertyczna pokojówka. Potem może jeszcze przyjść jej koleżanka albo jeszcze i strażak z życzeniami noworocznymi itd. Nie miałem odwagi iść na nocne porno-

rewie, ponieważ są to już rozrywki dość kosztowne, a ponadto czasem wymaga się tam także od publiczności aktywnego udziału w spektaklu. Jedno jest wszakże pewne - moda na porno przemija. Wszystkie wspomniane wyżej instytucje w służbie bogini Wenery są jeszcze atrakcyjne głównie dla cudzoziemców. Szwedom się opatrzyły".

Radzieckie seriale - naszym wzorem

Z listu do telewizyjnego programu Monitor Rządowy r roku 1987: „Szanowny Panie Redaktorze. Zwracam się do Pana w sprawie masowego przekazu na ekranach filmowych. Czy jest kulturą pokazywać gołe kobiety. To obrzydliwe przyglądać się nagim ludziom. Nie tylko ja, ale większość kobiet z oburzeniem protestuje przeciwko takim wyświetleniom. To są dziwki psujące nam godność kobiecą. W serialach ze Związku Radzieckiego się tego nie spotyka. Oni są narodem kulturalnym. Jeżeli to możliwe, prosimy o zlikwidowanie tych nagości. S.P z Radomia".

Zasłużony, nieświadomiony

Na łamach prasy raz po raz pojawiały się doniesienia o próbach przemycania do Polski pornografii. „Kulisy” informowały w 1974 roku: „Do Głównego Urzędu Ceł wpłynęło odwołanie w sprawie konfiskaty broszur pornograficznych przewożonych przez pewną panią do kraju. Sprawczyni zdarzenia, zarazem autorka odwołania, osoba 60-letnia, tak przekonuje zarząd o niesłuszności jego decyzji: »Mąż jest zasłużony, ma order i nigdy takich rzeczy nie oglądał«".

1 91

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Ckałupy^ we 1 c orne to...

Kąpanie się bez strojów kąpielowych, wybory Miss Natura czy nagie pikniki musiały wywołać w katolickiej Polsce spore protesty. Niespodziewanie stały się także poważnym problemem politycznym.

Nagusy importowane

Жашурт przywieźli do Polski turyści z Niemiec i Francji, którzy przyjeżdżali nad Bałtyk na tańsze wakacje. Polacy szybko zaczęli brać z nich przykład. Pierwsze kluby naturystów powstały w Kołobrzegu i Sopocie. I od razu pojawiły się głosy, że publiczna nagość to symbol wolności. A od początku lat 80. żadne manifestowanie wolności nie mogło się władzy podobać. Tymczasem raczkujący naturyzm już w 1977 roku znalazł swego lidera. Był nim Sławomir Marczak - kierownik sieci lokali gastronomicznych w nadmorskich kurortach, a także człowiek z opinią artysty wpadającego na najbardziej szalone pomysły. To właśnie on wymyślił, aby w Polsce zorganizować ogólnokrajowy zlot nagusów.

Katuryzm to więź

towarzysko-

-społeczna ludzi

spokojnych

i szczęśliwych —

z manifestu

naturystów

polskich

W miastach całego kraju - nawet tych tak odległych od morza, jak Warszawa, Łódź czy Poznań - powstawały kolejne nieformalne organizacje zrzeszające ludzi uprawiających nagie kąpiele słoneczne. Władze bowiem konsekwentnie odmawiały rejestracji stowarzyszeń „nagusów”. Jednocześnie zaczęły się ukazywać pierwsze w Polsce pisma naturystyczne.

Golizna intymna

Wydzielono wreszcie plaże dla naturystów. Najsłynniejszą z nich była plaża w Chałupach - miejscowości położonej na Półwyspie Helskim, kilka kilometrów za Władysławowem.

Dlaczego właśnie ta? Bo Chałupy oferowały naturystom idealną ochronę przed wzrokiem

ciekawskich. Plaża długości 3-4 kilometrów znajdowała się w podobnej odległości od Władysławowa i Kuźnicy. Dojście do niej z przystanku PKP zajmowało 30-40 minut. W tym miejscu Półwysep Helski jest bardzo wąski - ma tylko 60 metrów szerokości. Z tego powodu nie zrobiono tam żadnych parkingów, a więc turyści

^ NADZY PEŁNYM GŁOSEM

W jednej z gazet dla naturystów napisano, że „główną zaletą rozbierania się na plaży jest możliwość wypoczynku w dość hermetycznym środowisku bezpruderyjnych osób, zwykle dobrze się nawzajem znających”.

1 92

Kraj na co dzień

[BEZ LISTKA FIGOWEGO Nieodłącznym elementem każdego letniego zlotu były wybory Miss Natura. Ta najpiękniejsza dostawała pamiątkowy dyplom, koronę i symboliczną nagrodę pieniężną. W późniejszych latach, gdy naturyzm stał się już bardziej popularny, najpiękniejszą natu-rystkę wybierano kilka razy w sezonie. Kandydatki prezentowały się zupełnie nago, najczęściej w nadmorskich barach i knajpach.

Zmotoryzowani nie mieli gdzie zostawiać samochodów. Naturyści mogli zatem opalać się we własnym towarzystwie, niepodglądani przez nikogo.

Inteligenci bez majątek

Nic zatem dziwnego, że to właśnie Chałupy wybrał Marczak na pierwszy ogólnokrajowy zlot naturystów w lipcu 1977 roku. Liczba zainteresowanych, którzy odpowiedzieli na zaproszenie, zaskoczyła nawet samego organizatora. Łącznie zjawili się bowiem aż 8000 ludzi ze wszystkich warstw społecznych i z różnych zakątków Polski. Ponieważ amatorów nagiego opalania się przybywało, zlot organizowano corocznie. Szacuje się, że wśród kilkunastu tysięcy naturystów regularnie przyjeżdżających wtedy do Chałup największą część tworzyły osoby z wyższym wykształceniem. Tylko 20-25 procent stanowili robotnicy. Dominowali mężczyźni - 70-80 procent.

Nudystom nie zezwala się...

W 1982 roku doszło do największych spięć między „tekstylnymi” a „golasami”. Naturyści zorganizowali marsz na Chałupy. Kilkaset osób przeparadowało bez ubrania przez wioskę. Wzbudziło to skrajne reakcje. Zgorzseni mieszkańcy wezwali Milicję Obywatelską. Patrole zaczęły siłą usuwać nagich

turystów z powrotem na plażę. Ci jednak nie ustąpili i urządzali takie manifestacje coraz częściej. Polityczny skandal nastąpił w 1984 roku. „Tekstylnym” coraz bardziej nie podobały się ekscesy naturystów i ich nagie parady. Mieszkańcy Chałup oraz kilku innych nadmorskich miejscowości ogłosili, że zbojkotują zbliżające się wybory do rad narodowych, jeśli władze nie zabronią naturyzmu. Decydenci nie wahali się ani chwili. W oficjalnym piśmie ogłoszono, że: „Ze względu na duże zagrożenie środowiska naturalnego Półwyspu, wyklucza się możliwość plażowania naturystów na obszarze Półwyspu Helskiego”. Wdzięczni autochtoni gremialnie udali się do lokali wyborczych. Frekwencja wyniosła wtedy rekordowe 95 procent. Tymczasem naturyści przenieśli się gdzie indziej. Nagich amatorów opalenizny spotykano od tej pory w Dąbkach, Rowach i na wielu innych plażach rozsianych po Polsce. Chałupy jako stolica polskiego naturyzmu przestały odgrywać jakąkolwiek rolę.

Paparazzi czuwają

Fotoreporterzy przyczajeni w gęstym lasku sosnowym przy plaży w Chałupach próbowali wśród tłumu nagusów odnaleźć znane postacie. W ten sposób odkryto, że naturystami są: autorka tekstów piosenek Agnieszka Osiecka, malarz Franciszek Starowieyski czy pisarz Janusz Głowacki. Ten ostatni zresztą stanął za to później przed sądem. Owocem popularności Chałup była piosenka Chałupy welcome to, wykonywana przez Zbigniewa Wodeckiego. W roku 1983 została przebojem lata. Śpiewała go cała Polska.

1 93

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

osiadaj

Mówiło się, że to zawód dla niespokojnych duchów. Czasami aż zanadto

Taryfa ulgowa

V taksówkach dochodziło do najbardziej nieprawdopodobnych zdarzeń. „Pewna pasażerka z Zielonej Góry użyła nie lada emocji korzystając z usług miejscowej taksówki - donosiła miejscowa prasa. - Samochód prowadziła bowiem... 9-letnia dziewczynka, trzymana na kolanach przez troskliwego tatusia-kierowcę". Można też było przeczytać: „Szczeciński taksówkarz doznał obrażeń w czasie wykonywania pracy. Został on mianowicie dotkliwie pogryziony przez pijanego hiszpańskiego marynarza, kiedy zażądał od niego opłaty za przejazd. Taksówkarza opatrzyło pogotowie". „Kulisy" w 1974 roku pisały: „Do jednego z warszawskich komisariatów MO wpłynęła skarga od pewnej pani na taksówkarza, iż usiłował wyłudzić od niej 12 zł, a nawet straszył

/4 PASAŻER DO BICIA

Pewien łódzki taksówkarz wiozący jednym kursem dwóch pasażerów zażądał od każdego z nich osobno należności za przejazd. Gdy ci twardo odpowiedzieli, że zapłacą po połowie, taryfiarz poczuł się obrażony jako „gospodarz samochodu". Obezwładnił jednego z mężczyzn, włożył do bagażnika i jechał po wybojach, aby ten „zmiękł". Uległ dopiero po pościgu milicyjnym.

milicją, nie chciał zaś przyjąć od niej należnej mu kwoty za przejazd w wysokości 50 gr stosowanej w tej sytuacji, gdyż skarżące się przysługuje prawo do biletów ulgowych. Do pani owej poszedł milicjant, żeby jej wytłumaczyć, jak to jest z opłatami za przejazd taksówką. Nie dała ona jednak wiary wyjaśnieniom twierdząc, że milicjant jest w zмовie z taksówkarzem. Pani owa ma 60 lat, całe życie mieszka w Warszawie". Nieporozumień z taksówkami było bez liku. W 1978 roku lokalna gazeta odnotowała, iż pijany Józef T., 23-letni kierowca z Międzyrzecza Dolnego po wyjściu

1 94

Kraj na

co dzień

z gospody podszedł do prywatnego samochodu i kazał się zawieźć do domu. Po czym, gdy kierowca wozu odmówił, pobił go... parasolką.

Halinka, otwórz, mam wino

Szczególne zainteresowanie budziły panie prowadzące warszawskie taksówki, zwane fachowo kierow-czyniami. Pod koniec lat 70. było ich 70. Jedna z nich zwierzała się w 1978 roku „Kobietcie i Życiu": „Ludzie? Bardzo różni. I upokorzeń, i przyjemności od nich doznałam. Młoda byłam - kwiat do samochodu przynosili, umawiać się chcieli. Teraz już nie. Ile razy mnie oszukano? Nie liczyłam. Pamiętam przygodę sprzed kilku lat: w alei Wilanowskiej wsiadła para po kilku kieliszkach. Podjechaliśmy pod rotundę PKO. On wysiadł, żeby podjąć pieniądze, ona została. Czekamy, czekamy, on nie wraca. W końcu babka zostawiła torebkę z dokumentami i wyszła go szukać. Czekałam jeszcze godzinę i odjechałam. Na drugi dzień idę do prezesa i pytam, co robić. Doradził, żeby do niej jechać, oddać dokumenty i wziąć pieniądze. Pojechałam z samego rana. Ona była już podpita. Meble owszem, kryształ, ale zakurzone. Mówi, że pieniędzy to ona przy sobie nie ma, ale pójdziemy pożyczyć od koleżanki. Ubrała się, poszłyśmy. Ona puka, woła «Halinka, otwórz», a za drzwiami cisza. Kiedy zawołała »Halinka, otwórz, mam wino« - Halinka otworzyła. Na tapczanie leżał w ubraniu ten facet, którego wiozłam. Był już pijany. Powiedział, że nie ma pieniędzy i dokumenty poprosił. Oddałam pod warunkiem, że w ciągu dwóch dni przyniesie mi należność do kawiarenki na Solcu, a jeśli nie przyniesie, oddam sprawę do sądu, a pieniądze przekażę na Centrum Zdrowia Dziecka. Przyniósł na drugi dzień".

Taksówkarz warszawski

Taksówkarze byli częstymi bohaterami literatury popularnej. Autor powieści kryminalnych, Zygmunt Zeydler-Zborowski, tak przedstawiał scenę podróży taksówką w powieści Zbrodnia na Cyrhli Toporowej:

„Na przystanku stał tylko jeden wóz. Tęgi taksówkarz krytycznym wzrokiem obrzucił kandydata na pasażera. - Dokąd mam jechać?

- spytał niezachęcająco. - Na Pelcowiznę, na Toruńską. - Na Pel-cowiznę nie jadę. Mogę jechać na Ochotę. Odpowiada panu? - Jeżeli mam interes na Pelcowiznie, to nie mogę jechać na Ochotę, tłumaczył łagodnie Jacek, nie chcąc rozdrażniać niezadowolonego kierowcy. (...) Dopiero czwarty kolejny szofer zgodził się jechać na Pelcowiznę. Jacek starał się mu przypochlebić, poczęstował go papierosami, zabawiał dowcipną rozmową. Bał się, żeby człowiek za kierownicą nie rozmyślił się po drodze i nie nabrał chęci, żeby zawieźć go na Wolę”.

Szofer w białych rękawiczkach

Rozmowa z dyrektorem stołecznego Miejskiego Przedsiębiorstwa Taksówkowego opublikowana w 1978 roku w „Kulisach”: „- Dlaczego pana zdaniem w ostatnich latach obserwujemy zanik tradycyjnego typu warszawskiego taksówkarza, który może i czasami naciągnął pasażera na kilka złotych, ale przy okazji pożartował, pośmiał się i w rezultacie bardzo był przez warszawiaków lubiany. Skąd się wziął wymyślający nam zza kierownicy gbur?

- Jeśli odpowiem pani, że przyczyna to najniższe w całym kraju zarobki, będzie to tylko część prawdy, ale bardzo istotna. Warszawska taryfa została ustanowiona 20 lat temu i od tamtej pory nie było żadnych zmian.

- Jaką funkcję powinny w przyszłości pełnić warszawskie taksówki? Pojazdu w miarę masowego czy elitarnego?

- Trzeba, żeby były uzupełnieniem komunikacji masowej, ale nie mogą jej zastępować np. w dowożeniu ludzi do pracy. Taksówka jest dla osób, które muszą czy chcą z niej korzystać z uwagi na pośpiech, chorobę, bagaż czy po prostu uroczystość sytuacji.

- W jaki sposób dbacie o estetykę ludzi i wozów?

- Kierowcy jeszcze w tym roku zostaną umundurowani. Tak samo jak w komunikacji miejskiej. Każdy wóz myty jest codziennie przed wyruszeniem na miasto. Wymieniliśmy również wszystkie pokrowce na siedzeniach. A kierowcy jadący na kurs do ślubu mają nawet białe rękawiczki. -I wkładają je?

- Nie. Trudno byłoby nadażyć z praniem. Ale leżą obok...”.

600 stron liczy dziennik pokładowy kieleckiego taksówkarza, który codziennie zapisuje, kto, z kim i co robił we wnętrzu jego wozu — „Polityka” (.1965)

1 95

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

Mówi siei

Posiadacz telefonu był szczęśliwcem. Do czasu pierwszej awarii lub pierwszej wizyty sąsiadów z prośbą o udostępnienie aparatu. A korzystanie z cudzego telefonu rodacy opanowali do mistrzostwa.

Zięć nie życzy sobie

Zmorą było telefonowanie z jednego numeru przez wielu chętnych. „Z mojego telefonu korzysta sąsiadka, by dzwonić do córki - żali się czytelniczka „Przekroju”. - Ile razy zgłasza się zięć, odkłada słuchawkę i czyni to aż do skutku, tj. dopóki córka nie podejździe do telefonu. Mnie to o tyle dotyczy, że zięć zadzwonił do mnie z wymyślaniami i powiedział, że nie życzy sobie, by dzwonił do niego z mojego aparatu”. Również pomysłowość w wyłudzeniu rozmów na cudzy koszt nie miała granic. Na trop takiej afery milicja wpadła w 1975 roku. Najpierw schwytano włamywacza, który co niedzielę wieczór dostawał się do sklepu spożywczego i wypijał coca-colę. Wcześniej jego dziewczyna zamawiała z budki

telefonicznej rozmowy zagraniczne na numer portierni znajdującego się obok zakładu. Portier, nie podejrzewając niczego, przyjmował połączenie, za które płaciło jego przedsiębiorstwo. A narzeczony gadał, aż mu w gardle zaschło. Stąd włamanie po cołą. Zdarzali się jednak portierzy zabraniający korzystać ludności ze służbowych aparatów. Czytelnik „Trybuny Ludu” skarżył się, że jeden z nich nie pozwolił mu wezwać pogotowia do siostry. Wytłumaczył, że z samej nazwy „telefon służbowy” wynika, iż nie jest on przeznaczony dla szarych obywateli.

Konia za telefon

Wieś - w sensie telefonicznym - była praktycznie odcięta od świata. Na jednej z komisji sejmowych obliczono, że koszty założenia telefonu na wsi są tak wysokie, że chłop dla jego zainstalowania musiałby

ЛЧ TELEFON W PORZE DZIENNIKA

„Decydując się na zatelefonowanie, bierze się pod uwagę, czy w tym czasie rozmówcy są wolni i czy nie będzie się im przeszkadzać. Nie telefonujemy w czasie przypuszczalnych posiłków, meczów międzynarodowych i koncertów, w których występują artyści cieszący się dużą stawą, oraz podczas dziennika telewizyjnego” -pisał Edward Pietkiewicz w książce *Dobre obyczaje*.

sprzedać konia. W roku 1980 jeden numer przypadał na 40 mieszkańców wsi. W tym czasie w Szwecji telefon miał w domu co drugi rolnik, a w Czechosłowacji - co siódmy. Władza znalazła na to sposób -premier nakazał odebrać instytucjom państwowym blisko 50 tysięcy aparatów i przekazać je ludności, w pierwszej kolejności wiejskiej. Prawo pierwszeństwa otrzymania takiego telefonu przypadło tym rolnikom, którzy sprzedawali państwu najwięcej płodów. Ale nawet wtedy dodzwonić się ze wsi było niezwykle trudno, ponieważ aparaty łączyły z centralą druty bardzo kiepskiej jakości. Zimą kurczyły

1 95

Kraj na

co dzień

się i pękały, a latem rozmowy przerywały wyładowania atmosferyczne. Z kolei jesienią łącza wilgotniały i też nie przekazywały sygnału.

Telefon nadmiernego zaufania

Zdarzały się telefony zaufania, do których dzwoniący mieli zaufanie nadmierne. W 1970 roku we Wrocławiu panie odbierające połączenia pod numerem 911 były zobligowane odpowiadać na każde pytanie. Do najczęściej poruszanych kwestii należały sprawy rodzinne Kennedych. Pytano: „Czy to prawda, że jeden z Kennedych zmartwychwstał?” lub „Czy Jacqueline jest zdeklasowaną księżną Radziwiłł?”. W Łodzi Komitet Dzielnicowy ZMS uruchomił telefoniczne pogotowie lekcyjne. Konsultanci udzielali pomocy w zakresie matematyki, fizyki i chemii. Przeciętny dialog z uczniem brzmiał następująco: „- Czy to pogotowie lekcyjne? - Tak.

- Czy możecie mi pomóc w rozwiązaniu zadania?

- Oczywiście, proszę podyktować”. Nieuk więc dyktował, a konsultant podawał rozwiązanie.

Numer do tej deski ratunku uczniowie wpisywali w budkach telefonicznych pod numerem straży pożarnej i pogotowia ratunkowego. Zdarzały się przypadki wzywania przez przechodniów pogotowia lekcyjnego do wypadku ulicznego.

Film na linii

Do perturbacji telefonicznych dochodziło też w polskim filmie. W *Lekarstwie na miłość* (1965) Kalina Jędrusik oczekuje na telefon od ukochanego. Pech chce, że jej aparat jest źle podłączony do centrali. Zamiast ukochanego wydzwanianą więc do niej gangsterzy. Gdy zirytowana kobieta ma dosyć tajemniczych komunikatów w słuchawce, podaje się za sekretarkę szefa gangu. Niechcący trafia w sam środek wielkiej afery, z której ratuje ją Andrzej Łapicki w randze kapitana MO. Z kolei w *Podróży za jeden uśmiech* utrwalił się

proroczy żart telefoniczny. Jeżdżącym autostopem po Polsce dwóm chłopcom bardzo zależy na skontaktowaniu się z rodzicami. „Stary, a czy ty nie masz w kieszeni przypadkowo telefonu bez drutu?” -pokpiwa cwaniaczek Poldek. „Tylko nie fantazuj, proszę cię” -słyszy w odpowiedzi od ułożonego Dudusia. Jest rok 1971.

Ratunek według grafiku W latach 80. uruchomiono tzw. telefon na ratunek. W założeniu przeznaczony był dla osób w ciężkiej sytuacji życiowej. Praktyka wyglądała tak, że linia funkcjonowała tylko w Warszawie. W dodatku zamiast wszechstronnej pomocy zarządzono „branżowe” dyżury przy aparacie. W poniedziałki - Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, we wtorki - Polski Związek Katolicko--Społeczny itd. Ludzie w trudnym położeniu nie chcieli czekać na właściwy dzień tygodnia. Dlatego też na linii dochodziło do niekończących się awantur.

V/KWIATKI Z RADOMIA

Projekty krajowych designerów najczęściej nie trafiały do produkcji. Sytuacja zmieniła się dopiero w latach 70. Radomska Wytwórnia Telefonów wprowadziła wówczas na rynek kilka nowoczesnych polskich wzorów, których nazwy zapożyczono od kwiatów - Irys, Chaber, Jaskier, Tulipan, Bratek.

1 97

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

Itfs

e**iaat

orzjr

dla żartu

D

Wyjście do pracy przypominało często wyprawę w nieznane. Czasem grę w ruletkę albo nawet wymarsz na wojnę.

Przerwa w pracy (1964)

Dozorca z nazwiska

o wykonywania niektórych zawodów trudno było dobrać odpowiedzialne kadry. Jeden z takich przypadków „Kulisy” opisywały w połowie lat 70.: „Kierowca kieleckiego przedsiębiorstwa transportowego, przyjechawszy z ładunkiem na teren budowy, chciał się upewnić, czy trafił dobrze, zapytał więc dozorcę, czy jest to budowa numer taki a taki. Dozorca nie wiedział. Stanisław W. zapytał wtedy, jak się nazywa to przedsiębiorstwo. Dozorca nie wiedział. - To chyba i nazwiska swego pan nie zna - spytał nie bez złośliwości szofer. To dopiero dozorcę »raszyło«. - Jakbym nazwiska nie znał, to by mi nie powierzyli stanowiska - odpowiedział”. Podobnego zajęcia dotyczył list, jaki słuchacze Matysiaków wystosowali do Klemensa Kolasińskiego, jednej z postaci słuchowiska: „Kochany Panie Klemensie! Po wysłuchaniu wczorajszej propozycji odnośnie przyjęcia przez Pana stanowiska magazyniera w fabryce, postanowiliśmy przestrzec Pana przed przyjęciem tak bardzo odpowiedzialnego stanowiska. Pan, drogi Panie Klemensie, jest bardzo łatwowierny i proszę się nie obrażać za szczerość - ale trochę za mało energiczny, a tymczasem nie brak u nas jeszcze ludzi wykorzystujących właśnie takie osoby. Pracownicy księgowości”. Z kolei „Gromada - Rolnik Polski” donosiła, że we wsi Sochy, w województwie zamojskim, na zebraniu w sprawie inseminacji krów zgłosiło się dwóch kandydatów do pełnienia funkcji inseminatora. Później oświadczyli jednak, że były to tylko żarty.

^ NIEZDOLNOŚĆ ALKOHOLOWA

„Jeżeli niezdolność do pracy została spowodowana nadużyciem alkoholu, zasitek chorobowy nie przysługuje za pierwsze trzy dni okresu niedyspozycji pracownika” - tak brzmiała porada prawna opublikowana w „Stowie Polskim” w 1974 r.

Delegowany do stodoły

Wielu niecodziennych sytuacji dostarczały wyjazdy delegacyjne. Sąd w Bydgoszczy - informowała „Polityka” - niewinnie Henryka K., oskarżonego o to, że w czasie wyjazdów służbowych brał od instytucji wysyłającej go po 18 złotych na opłacenie noclegów u chłopów. Przywłaszczał pieniądze, a sypiał w stodołach. Na ogół jednak pracownicy w delegacji wykazywali upodobanie do komfortu, co rodziło poważne trudności w branży hotelarskiej. Kierowniczka stołecznego hotelu Warszawa ubolewała: „Większość gości domaga się pokoi 1-osobowych, Ponieważ hotel nie rozporządza odpowiednią ilością takich pokoi, proponuje się gościom pokoje

1 98

Kraj ima

co dzień

2-osobowe, które przeważnie gość zajmuje sam, płacąc za dwa łóżka. Hotele posiadają specjalne pieczątki, którymi stempluje się delegacje służbowe: »Z powodu braku pokoi jednoosobowych przydzielono dwuosobowy«. Jaki jest rezultat? Hotel ma plan wykonany, wszystkie łóżka opłacone. Ale instytucje płacą niepotrzebnie za pokoje dwuosobowe, a kilkadziesiąt osób wyszło z hotelu wściekłych i zawiedzionych, mimo że w hotelu tej nocy było kilkadziesiąt łóżek niezajętych”.

Z pięściami do kierowcy

Zetknięcie pracownika instytucji z klientem mogło zakończyć się w nieoczekiwany sposób. W 1962 roku prasa odnotowała, że: „Barbara Z. kupiła w kiosku Ruchu w Białymstoku otwieracz do puszek, który rozleciał się jej w rękach już w czasie próby otworzenia pierwszej puszki. Jako osoba z charakterem wróciła do kiosku i pokazała sprzedawczyni felerny zakup. Ekspedientka nie zdziwiła się i podniesionym głosem potwierdziła, iż otwieracz jest do..., po czym przedmiot ów wyrzuciła przez okno, a niefortunną klientkę z kiosku”. Z kolei „Polityka” w 1981 roku cytowała apel poznańskich tramwajarzy i kierowców autobusów do mieszkańców Poznania, aby ci przestali ich maltretować: „Na przestrzeni ostatnich miesięcy coraz częściej powtarzają się przypadki pobicia kierowców, motorniczych i pracowników nadzoru WPK”. Wyjaśniali, że jeśli autobus nie przyjeżdża, to nie z ich winy. „Nie chcemy być bici za to, że nie mamy czym jeździć” - oświadczali kierowcy i motor-niczowie, zwracając uwagę, że nikt nie znęca się nad kioskarkami, którzy nie mają papierosów i zapatek. NSZZ „Solidarność” zapowiadał nawet zawieszenie tych linii, na których pasażerowie biją.

Przyszedłem do pracy lekko wypity z okazji moich urodzin. Proszę o nieprzypominanie mi więcej o tej wypitce, bo nie dodaje mi to wcale animuszu -z odwołania do kadrowej

Ranking prestiżu

W 1980 roku tygodnik „Razem” opublikował listę najbardziej prestiżowych zawodów. Trafili na nią: agent na stacji CPN, działacz sportowy, likwidator szkód w PZU, biegły-rzeczoznawca, kasjer walutowy, urzędnik skarbowy, robotnik niewykwalifikowany na budowie eksportowej, taksówkarz. Sekretem powodzenia tych profesji był dostęp do trudno osiągalnych dóbr lub możliwość brania łapówek. Przykład łapówkarstwa podawało pismo „Odgłosy”: „Łódzki lekarz brał łapówki i wystawiał akty zgonu, nie oglądając zwłok. Na pytanie, dlaczego tak postępował - lekarz wyjaśnił: «Potrafię zawsze określić z dokładnością do kilku godzin, kiedy chory umrze. Zawsze wcześniej widziałem zmarłego. Mówiłem: on do rana nie doczeka. I rano przychodziła rodzina po akt zgonu»”.

Kolejka po prasę

A\ BRUTALNIE DO KIOSKARZA

„Polityka” odnotowała w 1962 r. wypowiedź kioskarka: „Klientów podzieliłbym na dwie kategorie. Mianowicie klient, który wie, czego chce i żąda tego, co go interesuje i klient, który nie wie, czego chce i nieraz w sposób brutalny zachowuje się w stosunku do sprzedawcy”.

Mogło się wydawać, że dyrekcje zakładów robią wszystko, byle tylko ulżyć kobietom w pracy Tak było - przed 8 marca.

Masaż produkcyjny

Pismo „Przekrój” tryumfalnie donosiło, iż „tkaczki z łódzkich zakładów im. Marchlewskiego, obsługujące po 32 maszyny, jeżdżą na wrotkach, co zabezpiecza je przed zmęczeniem nóg i żyłakami”. Również w Łodzi, w Zakładach im. Obrońców Warszawy, działał z kolei pierwszy w Polsce przyzakładowy gabinet kosmetyczny. Był to niewielki pokój, który wyposażono w lampę soluks, stół do masażu, przybory do manikiuru oraz kosmetyki. Dziennie obsługiwano w nim po 10 pań. Dyrekcja podkreślała, że gabinet ma także aspekt „produkcyjny”. Chodziło o to, by pracownice zatrudnione przy wyrobie pończoch miały delikatne i wypielegnowane dłonie. Natomiast kobiety, które pracowały stojąc, powinny dbać o nogi za pomocą naświetlań i masażu. Troska szczebla kierowniczego obejmowała też kolejną kobiecą zmurę - ogonki przed sklepami. „Kolejki - małe, średnie i większe - zabierają nam czas. Tu także kryją się cenne godziny, które można by przeznaczyć na odpoczynek i tzw. «wychodne dla mamy» - uświadamiało „Dookoła świata” w 1975 roku. - Ostatnio w Łodzi Powszechna Spółdzielnia Spożywców »Społem« w sześciu wielkich «babskich fabrykach» spróbowała nowego sposobu na kolejki. Pracownice w domu wypisują na kartce, co chciałyby kupić. Kartkę zaopatrzoną w numer zamówienia wrzucają do specjalnej skrzynki, Każda praca uszlachetnia kobietę - napis w hali produkcyjnej przedsiębiorstwa Telpod w Szczucinie

zawieszanej w portierni fabryki. Po pracy odbierają przygotowane już paczki w sklepie patronującym zakładowi”.

Kobietę zatrudnię

Jednocześnie władze nieustannie dbały, aby kobiety nie pozostawały bezczynne. Dlatego przedsiębiorstwo „Las” organizowało im w Bieszczadach wczasy zarobkowe. Panie, zbierając jagody, mogły -jak głosiła reklama - zarobić dziennie nawet 120 złotych. Wyjątkowo pracowite okazywały się aktorki. Wykryto, że na warszawskich scenach pracowało kilka artystek, które dawno powinny przejść na emeryturę. Odmłodziły się jednak przy rekonstrukcji zniszczonych metryk o 5-8 lat i występowały, póki starczało sił. W tym samym czasie media

200

Kraj na

co dzień

z entuzjazmem informowały o każdym przypadku, kiedy to płeć piękna wyręczała z sukcesem mężczyzn na rynku pracy. Rozpisywano się o Helenie Borucie z Siemianowic Śląskich, która była jedyną w Polsce kobietą kierowniczką Urzędu Stanu Cywilnego. Udzieliła przeszło 2000 ślubów. Niestety, nie zawsze panie chciały pracować na zwyczajowo kobiecym stanowisku. W rzeszowskiej restauracji Bałtycka w połowie lat 70. wprowadzono bilety wstępu do WC. Udało się zatrudnić sprzedającą je kasjerkę, ale bezskutecznie poszukiwano bileterki, która weryfikowałaby wchodzących. W latach 80. było jeszcze gorzej. Jedna ze śląskich kopalń w żaden sposób nie mogła zaangażować pokojówek do swego domu wypoczynkowego. Próbowano więc zwerbować szczególnie kuszącą na tamte czasy płacą: 6500 złotych na rękę, do tego 8 ton węgla rocznie, a także kartki na zwiększone racje żywnościowe. Po roku pokojówka mogła się nawet spodziewać rarytasu - Karty Górnika!

Urząd Patentowy w Warszawie (1969)

Blokada paznokci

W gazetach można było wyczytać mnóstwo zaleceń dla pań, jak radzić sobie z „brudną robotą”. „Odrobinę sproszkowanej kredy zmieszać z jakimkolwiek tłustym kremem i przed pracą, która brudzi ręce, nałożyć tę papkę na palce tak, aby weszła pod paznokcie. Masa szybko stwardnieje. Po skończonej pracy papka rozpuści się przy myciu rąk w ciepłej wodzie, a paznokcie pozostaną bez »żałoby«” - taki domowy przepis podawał „Express Ilustrowany” w 1982 roku.

Dama autobusowa

Prasa bulwarowa odnotowywała także nowinki ze świata kobiet pracujących na marginesie społecznym. „We Wrocławiu odbyła się - donosiły „Kulisy” w połowie lat 60. - skromna uroczystość ku czci seniorki reprezentantek nocnego życia. Zabytkowa jak miasto niewiasta święciła 50-lecie działalności zawodowej uprawianej ostatnio na odcinku: hotel Piast - dworzec PKS. Dama ta debiutowała w 1915 roku wśród wiarusów 37. jekaterynoburskiego pułku piechoty w Warszawie. Po II wojnie przeniosła się do Wrocławia i objęła swój, dzierzony po dziś dzień, odpowiedzialny posterunek. Seniorka oświadczyła, że nie zamierza wycofać się z czynnego życia zawodowego”.

Żniwo z całego globu

W latach 80. kobiety pracujące coraz częściej pojawiały się w rubrykach kryminalnych. Panie po prostu dochodziły do sporych zarobków na skrótach. W 1982 roku głośna stała się sprawa jednej z pracownic rozdzielni listów zagranicznych Urzędu Przewozu Poczty w Jeleniej Górze. Milicja znalazła u niej w domu 7 kilogramów listów zagranicznych, 500 pocztówek z różnych stron świata, a także 1120 dolarów oraz mnóstwo banknotów w najrozmaitszych walutach. Poza tym zarekwirovano 61 butelek spi-

ii i « rytusu, 20 koniaków, 100 paczek kawy, 3 dywa-i . » J

" „, ny, 10 kilogramów wełny. Uznano to za wykrycie

.. " jednej z najlepiej zaopatrzonych nielegalnych hurtowni w skali kraju.

k REFERENTKA W FALBANKACH W PRL-u trwała niekończąca się dyskusja, w co ma być ubrany damski personel urzędów. Klientom nie odpowiadały ani falbanki, ani wytarte sweterki. „A co robić, kiedy rano trzeba pójść do pracy, po szybko zjedzonym w stołówce obiedzie stenografować konferencję, a wieczorem prosto z biura iść do teatru lub na spotkanie z najdroższym?” - pytała „Kobieta i Życie”.

201

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

>*W3rszłam

d@ dyrekcji*

Dżungla formularzy

A było przy czym urzędować. W połowie lat 60. po polskich biurach kursowało co roku przeszło 8 miliardów formularzy. Do tego na powielaczach odbijano 70 tysięcy blankietów obowiązujących lokalnie. Samych wzorów biletów kolejowych było 177. W tej sytuacji powołano specjalną komisję przy Polskim Komitecie Normalizacyjnym, która miała zająć się ogólnym uproszczeniem druków biurowych. Komisja orzekła, że np. w resorcie górnictwa będzie można zmniejszyć liczbę formularzy do wypełnienia z 1900 do 253, ale na tym stwierdzeniu sprawa utknęła. Nieraz jednak w walce z biurokracją notowano pewne osiągnięcia. „U nas na trzech dyrektorów przypada tylko jedna sekretarka. I nie ma tak, że gdy któryś z nas chce dzwonić na miasto, to potrzebuje do tego zaraz sekretarkę” - chwalił się prasie w 1980 roku dyrektor naczelny Zakładów Przemysłu Cukierniczego „Wawel” w Krakowie. Tymczasem procedura przyjmowania nowego pracownika trwała od pięciu do dziewięciu dni. Musiał on odwiedzić 27 komórek zakładowych i złożyć tyleż dokumentów. Oszacowano, że skrócenie tych zabiegów o jeden tylko dzień przyniosłoby dodatkową produkcję wartości pół miliarda złotych rocznie.

Akcja „Imieniny” rusza

Była jednak działalność, której urzędy oddawały się z pełnym zaangażowaniem - świętowanie imienin pracowników. Czytelnik „Gromady - Rolnika Polskiego” krytykował Polskie Radio za to, że w Sygnałach

Urząd był państwem w państwie. Obsługiwał głównie sam siebie. Petenci tylko przeszkadzali w przyjemnym spędzaniu czasu.

^ ŚWIĘTO BETLEJEMSKIE

„Obywatelu prezesie! Ludzkość istnieje niejedno tysiąclecie i w całym tym okresie obchodzi ona dzień Narodzenia Chrystusa. Chociaż jestem niewierzący w te księżę bajki, ale żyję przecież pomiędzy ludźmi i stąd jasne jest, dlaczego nie przyszedłem do pracy” - wyjaśnienie absencji w pracy, cytowane przez „Kulisy” w 1975 r.

dnia podawało, jacy solenizanci obchodzą danego dnia imieniny. Jego zdaniem to dezorganizowało pracę biur już od rana. Nie był daleki od prawdy, choć redakcja uważała, że biura świętowałyby je nawet po zlikwidowaniu wszystkich kalendarzy. Obliczano, że urzędnicy fetują co najmniej 200 najbardziej znanych imion. W tym tych najpopularniejszych - Janów, Marii czy Stanisławów - po kilka razy do roku. Oficjalnie nazywano to „zacieśnianiem więzów kolektywu pracowniczego”. Akcja „Imieniny” miała odpowiednią celebrę, ustaloną wieloletnią praktyką. Rozpoczynało ją powołanie organizatora, który wyruszał na zbiórkę funduszy. Datki ustalano zwyczajowo, z tym że na imieniny zwierzchników składka była zawsze wyższa. Uzbierawszy pieniądze, organizator na dzień lub dwa zwalniał się z zajęć biurowych i wybywał na zakupy. Jego zadaniem było znaleźć prezent dostosowany do stanowiska solenizanta. „Dawniej kupowano solenizantom różne koszarne

202

Kraj na co

przybory na biurko, składające się z kilku kałamarzy wykutych w marmurze - przypominała „Polityka”. - Miały one symbolizować wysoką rangę pracy umysłowej i niewzruszoność podstaw instytucji”. W latach 70. zwyciężyła moda na luksusowe dobra konsumpcyjne: drogie wody toaletowe czy pończochy. Do dobrego tonu należało nabywanie ich w Peweksie. Do szefa szła delegacja załogi z butelką markowego alkoholu, a ten zezwalał, by w jego imieniny pracowano jeszcze wolniej niż zwykle. „Zwykły” solenizant wywieszał w okienku kartkę: „Wysłałem na chwilę”, „Jestem na gmachu”, „Śniadanie” czy „Pracownik na chorobie” i, po odebraniu życzeń, rozpoczynał libację. „W instytucjach, które mają już pewną tradycję imieninową - kontynuowała swoje sprawozdanie „Polityka” - nie brak własnego szkła ani plastikowych talerzy, uczujemy zatem w komfortowych warunkach wśród zakurzonych palm i fikusów”.

Goździk, rajstopy, podpis

Odmianą świąt biurowych był Dzień Kobiet. Cała urzędowa Polska zamierała wówczas zupełnie. Prasa odpowiednio wcześniej przypominała o „pозdrowieniach, upominkach, kwiatach dla kobiet”. Tym razem podarunki wręczali oficjalnie przedstawiciele zakładów pracy. Były symboliczne: goździk lub tulipan, do tego rajstopy, ręcznik lub ścierka.

„Pobraniu” musiało towarzyszyć pokwitowanie, potwierdzone uściskiem dłoni kierownika wydziału kadr. Całkowicie nieformalnym zwieńczeniem obchodów bywał bankietek

urządzany przez współpracowników. Panowie tak ochoczo świętowali ze swoimi koleżankami, że nie zawsze starczało im sił, by po pracy honorować własną małżonkę.

OD CENTRALI-DLA EWY ^ Dzień Kobiet trafiał nawet do reklamy: „W dniu Święta Kobiet życzenia pomyślności miłym klientkom składa Centrala Tekstylno-Odzieżowa z Łodzi w imieniu własnym i wszystkich uspołecznionych sklepów odzieżowych, tekstylnych i galanteryjnych. Pragniemy zarazem przypomnieć panom, że prócz kwiatka każdą Ewę ucieszy także prezent tekstylny”-„Przekrój” (1971).

Urząd Patentowy w Warszawie (1969)

Magister i woda sodowa

Biuro tworzyło własne hierarchie, co niekiedy stwarzało zupełnie nowe problemy. Jeden z nich próbował rozwiązać czytelnik „Przekroju”: „Od lat mieszkamy w sąsiedztwie. Stosunki między nami (dwa starsze małżeństwa) były bardzo dobre. Razem pracujemy. Rok temu ten pan ukończył zaoczne studia i został magistrem. Odtąd pomału, ale stale zaczęła mu uderzać do głowy woda sodowa. Stopniowo, lecz konsekwentnie zaczęli nas unikać i szukać sobie nowego towarzystwa. Zaznaczam, że nie tytułuję go panem magistrem, choć część kolegów robi to. Czy ustąpić i nazywać go magistrem?”.

203

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

liczydła

W przeciętnym polskim biurze obliczeń dokonywano na liczydłach, ale gazety pełne były tekstów o perspektywach komputeryzacji kraju.

¥ kinie Kujawiak w Izbicy Kujawskiej na filmy Tideo wpuszczają tylko osoby, które ukończyły 25 lat - „Gazeta Młodych” C1987)

Komputery na kartki

Prasa nieustannie zajmowała się prorokowaniem wynalazków przyszłości. „Jak będziemy się uczyć? - pytały „Kulisy” w 1975 roku.

- Nauczycielem będzie najprawdopodobniej telewizja. Z kilkunastu transmitowanych równocześnie programów każdy wybierze niezbędne dla siebie audycje; ponadto domowa aparatura telewizyjna pozwoli w każdej chwili połączyć się z dowolnym archiwum, biblioteką czy konsultantem, udzielającym dodatkowych informacji. Trudniejsze partie materiału nagra się na domowym wideomagne-tofonie i potem odtworzy na ekranie własnego telewizora”.

Takie prorocтва 10 lat później zmaterializowały się w telewizyjnej reklamie. Tygodnik „Polityka” nie mógł się nadziwić obecności komputera na ekranie telewizora w kraju, gdzie najprostsze artykuły żywnościowe były na kartki. „Od czasu do czasu na ekranach naszych telewizorów pojawiają się urocze panienki zachwalające

- głównie urokiem swego ciała - mikrokomputery, koniecznie stuprocentowo kompatybilne z IBM. Cudzoziemcy, którym zdarzyło się przypadkowo zobaczyć taką reklamę w polskiej telewizji, nie posiadają się ze zdumienia. Oto w kraju, w którym ciągle jeszcze dominuje kalka i ołówek kopiowy (a w najlepszym przypadku ręczna i zdezelowana maszyna do pisania) - w takim właśnie kraju mikrokomputery wypełniają znaczącą część czasu reklamowego w telewizji”.

Na telewizję - odmaszerować!

Korzystanie nawet z prostych urządzeń technicznych wymagało niekiedy wyższego wtajemniczenia: „Jeśli chcemy, aby odbiornik służył nam codziennie, powinniśmy umieć obchodzić się z nim - pouczał Eugeniusz Banaszczyk w podręczniku Grzeczność w mundurze z 1971 roku. - Najlepiej jeśli znajduje się on pod stałą opieką jednego czy dwóch kolegów, znających się trochę na tym. Korzystać z telewizora lub radia powinni umieć wszyscy, a jeśli tego nie potrafią, należy ich nauczyć. O ile w przypadku radia sprawa jest stosunkowo łatwa, to przy pewnych typach odbiorników telewizyjnych obsługa jest dość trudna i łatwo o ich uszkodzenie”.

^ MASZYNA Z METALOWYMI ŁOKCIAMI

„Anglicy mówią o niej computer. U nas rozpowszechniła się nazwa: elektroniczna maszyna cyfrowa. Weszła najpierw w nasze życie nieśmiało, jakby na próbę. I oto po kilku latach pcha się już zwycięsko swoimi metalowymi łokciami i wielce skomplikowanym sercem” - objaśniało pismo „W służbie narodu” w 1974 r.

204

Kraj na co dzień

ELEKTRONICZNA RODZINA[^] „Nazywają się Odra 1003, ZAM-2, UMC-1, Emma - powstała cała rodzina polskich maszyn elektronicznych. Są one dziełem naszych naukowców. ZAM-3 potrafi np. wykonać w ciągu sekundy 14 tys. dodawań lub odejmowań, cztery tysiące mnożeń, tysiąc dzieleni” - pisał „Ptomyk” w 1965 r.

Kłótnia z maszyną

Straszakiem na leniwych pracowników był w PRL-u komputer. „W jaki zatem sposób ta nie tylko »mądra«, ale i «nieskończenie cierpliwa» maszyna może zaszkodzić człowiekowi? - pytało w 1978 roku milicyjne pismo „W służbie narodu”. - Okazuje się, że może, i to bardzo. Oczywiście, nie pod postacią «zbuntowanego robota» walczącego z rodzajem ludzkim. Czyni to mniej teatralnie, ale bardziej skutecznie. Po prostu komputer i kompu-teropodobne urządzenia zaczynają eliminować z pracy ludzi o niezbyt wysokich kwalifikacjach. Dzieje się to za przyczyną zintegrowanych obwodów”. Jeżeli kogoś dopuszczano to tej ultranowoczesnej maszyny, traktowano to jak wielki zaszczyt. „Sztandar Młodych” relacjonował w 1976 roku: „Komputery MERA 303 na Poczcie Głównej w Warszawie obsługiwał aktyw ZSMP - najstarszy z zespołu miał 25 lat. Przeszkolenie trwało pół roku. Starsze kasjerki »kłóciły« się z komputerami, obawiając się, że pogubią im ich kwitki. Komputery »chodzą« 24 h na dobę - to było chyba połączenie maszyny do pisania z maszyną obliczeniową, wychodziła z tego perforowana taśma, kwity z okienek były przekazywane młodzieży, młodzież na tych maszynach do pisania wprowadzała kwoty i podliczała - zresztą cholera wie!”.

Młodzież automatyczna

„W służbie narodu” w 1981 roku piętnowało nową modę: spędzanie czasu przy automatach do gry. „Pomieszczenie nie musi być specjalnie ekskluzywne. I tak młoda klientela wypełni je do ostatniego centymetra. Maszyn do gier automatycznych i telewizyjnych ustawia się tyle, ile się zmieści. A do tego efekciarska, z cudzoziemska brzmiąca nazwa i tani blichtr migocących, kolorowych światełek, którymi jarzą się automaty. Mocna muzyka. (...) Z obserwacji i danych funkcjonariuszy pionu prewencji wynika, że nieletni i małoletni dopuszczają się kradzieży znacznych sum pieniężnych (np. opróżniając skarbonki kościelne), po to by je móc przepuścić we »flipperze«. Tamże nawiązują kontakty ze zdemoralizowanymi rówieśnikami”.

Polska kompaktowa

Tygodnik „Polityka” w 1988 roku usiłował złamać tabu, jakim była w Polsce płyta kompaktowa. „Próbowałem dociec - wywodził publicysta pisma - ile odtwarzaczy CD jest dziś w Polsce. Nikt nie potrafił mi odpowiedzieć na to pytanie. My, Polacy, jesteśmy ciągle zafascynowani magnetowidami, których podobno już mamy około miliona. A płyta kompaktowa? Jedni mówią, że może być około 100 tys. odtwarzaczy, inni że 10 razy mniej. W połowie grudnia ub. roku telewizja nadała program poświęcony w całości Polskim Nagraniom. Pokazano budowaną od kilku lat wytwórnię płyt gramofonowych. Podczas półgodzinnej rozmowy ani razu nie wymieniono określenia »płyta kompaktowa«”.

205

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

eracze

Życie w PRL-u nie oferowało zbyt wielu rozrywek. Należało zorganizować je sobie samemu. Najprościej było poświęcić się hobby.

Milimetrowy Lenin

Większość hobbystów była kolekcjonerami. Bydgoszczanin, Mi-Rega, zbierał 150 cennych arty-^{^^^}apalniczek. Do zapalania «al jednak zapalek, by Wie zniszczyć ekspona-

iksta stał się

ij kolekcji

graniczne.

Iził 2000 etykiet z 24 krajów.

Emerytowany mechanik Tadeusz Miodoński z Krakowa miał w domu zbiór

li. Chwytał

anego

trochę uzupełniał. Uzbierał Piekacz

1500 kaktusów. A był i wielu członków tamtejszego

„ow tych roślin. Stanisław Kie

/X KOLEKCJA HOBBYSTÓW

raturę o hobby i hobbystach. Zarejestrował 1182 rodzaje hobby, wśród których znajdowało się kolekcjonowanie arrasów, bumerangów, cukru w kostkach, wiejskich tyżek oraz starych szyldów.

formacji. Najstarszy pochodził z czasów Kazimie-

щм щцозщкам ску ищпг гезщг^эм кие- (.oiшзсiг ифгжгхX bosnoąsu, s схзгом дохiше-u

v /лиц|п cs(OUKQM гзшгеiгхе-

зшггом- у рл

zebra/ zbierał kaktusów. A był

гкiер |Лхек 0L3x 2;3lAcj ss^cm

X^л

,oi;;, zdotat nabyć niema! 3000 egzemplarzy - Л<*-^*

:ród nich było blisko 40 odznak z podobizną - nił sobie figurki jezdli ma, wydanych w 20

krajach. kirasjerów, strzelców i

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

Zbi

eracze porożyr

Życie w PRL-u nie oferowało zbyt wielu rozrywek. Należało zorganizować je sobie samemu.

Najprościej było poświęcić się hobby.

Milimetrowy Lenin

Większość hobbystów była kolekcjonerami. Bydgoszczanin, Michał Rega, zbierał 150 cennych artystycznych zapalniczek. Do zapalania papierosa używał jednak zapalek, by - broń Boże! - nie zniszczyć eksponatów. Pewien lubelski licealista stał się w latach 70. sławny dzięki swej kolekcji nalepek na sery polskie i zagraniczne. Zgromadził 2000 etykiet z 24 krajów. Emerytowany mechanik Tadeusz Miodoński z Krakowa miał w domu zbiór 6000 zasuszonych motyli. Chwytał je na przynętę z miodu zmieszanego z winem. „Czasem można dodać trochę piwa” - uzupełniał. Lechosław Piekacz z Łodzi zbierał 1500 kaktusów. A był to jeden z wielu członków tamtejszego klubu miłośników tych roślin. Stanisław Kie-resiński, aktor Teatru Polskiego w Bielsku-Białej, pasjonował się kolekcjonowaniem odznak. Przez 10 lat zdołał nabyć niemal 3000 egzemplarzy. Wśród nich było blisko 40 odznak z podobizną Włodzimierza Lenina, wydanych w 20 krajach. Rarytasem okazał się znaczek z wodzem rewolucji o wymiarach 3x3 milimetry. Leśniczy Stanisław E z Głuchej Puszczy w powiecie Mogilno gromadził zabytki piśmiennictwa, dotyczące historii Polski. Udało mu się zdobyć dokumenty nawet z XIII wieku - z tego stulecia pochodził mszał benedyktyński. Stanisław E, mieszkaniec Nowej Soli, zbierał guziki od wojskowych mundurów.

/N KOLEKCJA HOBBYSTÓW

Bywato, że hobby stawato się hobby. Poznaniak Edward Gaziński gromadził literaturę o hobby i hobbystach. Zarejestrował 1182 rodzaje hobby, wśród których znajdowało się kolekcjonowanie arrasów, bumerangów, cukru w kostkach, wiejskich tyżek oraz starych szyldów.

formacji. Najstarszy pochodził z czasów Kazimierza Jagiellończyka. Mieczysław Boczar z Krakowa zgromadził ponad 5000 figurek żołnierzy wielu armii świata - także historycznych.

Szczególnie cenił sobie figurki jezdnych różnych sił zbrojnych: kirasjerów, strzelców konnych, ułanów, huzarów czy jazdy litewskiej.

Zapałkarze i modelarze

Niektórzy hobbyści nie kolekcjonowali rzeczy gotowych, lecz robili nowe. Jerzy B. z Warszawy spędzał czas na konstruowaniu słynnych budowli z zapalek. Na replikę Zamku Królewskiego w Warszawie zużył 25 tysięcy zapalek. To, jak obliczył, 520 pudeł w jego kolekcji znajdowały się guziki ponad stu tysięcy zapalek za ówczesnych 208 złotych.

Konstrukcja

206

Kraj na

co dzień

zajęła mu półtora roku. Inżynier Jerzy Gąsiorowski z Lublina, zbieracz zegarów, miał w swej kolekcji czasomierz z 1473 roku. Samodzielnie go odnowił. Renowacja trwała aż trzy lata, ale zegar okazał się bardzo punktualny. Janusz Jantoch z Warszawy odtworzył na podstawie planów i rysunków w piśmie „Modelarz” legendarnego Forda T. Wyposażył go we współczesny silnik. Najwięcej problemów przysporzyło mu wykonanie kół ze szprychami. Samochód budował po to, by się nim udać na własny ślub. Tacy hobbyści zdolni byli do skrajnych poświęceń. Kiedy w 1975 roku na targach staroci w Lublinie wystawiono młynek do kawy z XVII wieku, właściciel zażądał w rozliczeniu małego fiata. Kilka osób podjęło z nim rzeczowe negocjacje.

Apostołka poezji

Zdarzało się, że kolekcjonerstwo miało ukryty cel. „Słowo Ludu” wytropiło w Kielcach Kazimierza W., który obwieszał ściany swego domu pięknymi porożami, choć na polowaniach nigdy

nie bywał. Rogi upamiętniały jego liczne romanse z mężatkami. Z kolei jako dowód kłęk miłosnych przechowywał jelenie zęby. Nie wszystkich jednak interesowało zbieractwo.

Stanisław L. z Żagania notował w okazałym zeszycie numery wagonów towarowych. Jako wytrwały gracz w totolotka na podstawie kombinacji tych cyfr typował wyniki zakładów.

Wcześniej spisywał rejestracje samochodów oraz wyśnione liczby. Po osiedlu 25-lecia PRL-u w Chorzowie spacerowała wieczorami starsza pani, której ulubionym zajęciem - jak donosił „Goniec Górnoląski” - było recytowanie na głos wierszy, zwłaszcza Tuwima i

Gałczyńskiego. Inni spacerowicze chętnie się do niej przyłączali. Kobieta czerpała dużą satysfakcję z upowszechniania poezji. Emerytowany górnik z Rudy Śląskiej był miłośnikiem psów. Chodził więc na spacer z czworonogami sąsiadów. Nie pobierał za to pieniędzy.

Dziennie wyprowadzał średnio 30 psów.

Ogródek działkowy w Warszawie (1982)

Wino zbiorowe

Zdarzały się też przypadki hobby zbiorowych. W jednym ze starych fortów w Toruniu Centralne Piwnice Win Importowanych założyły „królestwo Bachusa”, czyli składnicę wszystkich dostępnych w Polsce roczników wina. Każdy reprezentowała jedna butelka. Dało to w sumie około 1000 butelek.

Hotdownik syrenki

Jeden z mieszkańców Kielc - jak donosiła tamtejsza prasa - miał oryginalne hobby samochodowe. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni trzy razy w tygodniu wyprowadzał na podwórko swoją syrenkę i kazał ją rodzinie gruntownie pucować. Przy tym w ciągu trzech lat samochód przejechał zaledwie 420 kilometrów, wliczając w to fabryczne jazdy próbne.

Uznanie Japończyków

Polscy hobbyści wzbudzali niekiedy zdumienie za granicą. Pewien mieszkaniec Rudy Śląskiej w ciągu kilkunastu lat zebrał przeszło 1000 pocztówek przedstawiających zachód słońca.

Kolekcja podobała się na wystawie pocztówek tematycznych w Osace. Japończycy nie podejrzewali, iż Polacy są zdolni do takiej cierpliwości.

III UI' 11 i I III IIIIII!

JI DZIAŁKA KONSPIRACYJNA

„Pewien namiętny działkowicz z Rudy Śląskiej od dłuższego czasu uważał, że ktoś okrada go z pieczolowicie wypielęgowanych płodów. Zaczaił się więc pewnej nocy - i spotkała go niespodzianka. Nad ranem na działkę przyszedł jakiś obcy mężczyzna w towarzystwie... jego własnej żony, która sprzedała mu kilkanaście kilogramów owoców" - „Kulisy" (1980).

207

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

U<* bialeq©

rana

Realny socjalizm nie przewidywał dla „ludzi pracy" rozrywek po 22. Rodacy organizowali je więc sami - jak umieli.

Dobrze urządzony wieczór

Warszawski czytelnik „Przekroju" ubolewał z początkiem lat 60.: „Miło jest po wyjściu z kina pogawędzić »na świeżo« o oglądanym filmie. W Warszawie są z tym, niestety, kłopoty. W Śródmieściu kawiarni jest mało. Te, które po ostatnim seansie filmowym są jeszcze otwarte, są przepelnione. Druga trudność. W stolicy, praktycznie rzecz biorąc, tramwaje ok. godziny 22.00 zaczynają już tak masowo zjeżdżać do zajezdni, że na ulicach zaczyna być pusto. Nasza Warszawa nie ma jeszcze dobrze urządzonego życia wieczoru".

Ci, którzy mieli pieniądze na nocne życie, rzadko jeździli tramwajami. Kierownik hotelu Wrocław w tym właśnie mieście narzekał dwie dekady później: „A jeśli usunąć wszystkich cinkciarzy, damy z półświatka, niebieskich ptaków, którzy nie sieją, a zbierają gruby szmal, to kto będzie

Warszawa nocą (1970)

zamawiał befsztyki z polędwicy za 217, pół litra wódki za 1700 lub piwo za 100 zł? Urzędnik z płacą 9 tysięcy zł miesięcznie, robotnik zarabiający 12 tysięcy?".

Zagrycha w GS-ie

Jeszcze inne trudności napotykali bywalcy lokali na prowincji. W gospodzie w miejscowości Gracze (podległej GS Niemodlin), aby kupić pół litra wódki, należało zamówić 10 kotletów albo 20 jaj. Inaczej gospoda nie odnotowałyby wyznaczonego jej obrotu. „Jak widać w Graczach głodu nie ma, jest pragnienie" - podsumowała „Polityka". Z kolei w barze GS w Bolesławcu wódkę podawano w kufkach od piwa, a w innym tamtejszym lokalu w słoikach po ostroboku w zalewie. Takie punkty gastronomiczne miały też swoje legendarne bufetowe. Najbardziej znaną z nich w Chorzowie była Jadwiga W - raportowało milicyjne pismo „W służbie narodu". Mawiano: „W restauracji, gdzie bufetową jest Jadwiga W, nie można się upić. Choćbyś chciał, choćbyś wypił nie wiadomo ile, wyjdiesz trzeźwy". To powodowało zrozumiałe oburzenie klientów: „Dosyć już tych

EKWIWALENT ZA SZMATĘ „Klient wrocławskiego »Monopolu« pewnego wieczoru pomimo chłodu opuścić musiał lokal w samej marynarce, bowiem kozuch, w którym przybył, wydany został przez szatniarkę komu innemu. Kiedy zdenerwowany zażądał od szatniarki ekwiwalentu za stracone okrycie, usłyszał, że »To była zwykła szmata, poplamiona i podarta«" - pisała prasa w 1974 r.

208

BABCIA NA STRAŻY^ „W sopockim Ermitageb w nocnym programie uwagę zwracają dwie damy - jedna z nich to striptiserka ze swym »numerem«, druga to babcia klozetowa w niebieskim fartuchu, która zawsze towarzyszy jej występom z wielkim aplauzem, zajmując wszakże strategiczną pozycję umożliwiającą wgląd »w zaplecze«, by przeciwdziałać

ewentualnemu wykorzystaniu przez konsumentów okazji do siusiania za darmo" - „Kulisy” (1980).

świństw! Dla niej nie było wyjątków. Nawet mojemu chłopakowi podała dwukrotnie po 100 gram czystej z 25-gramową domieszką »wyborowej-studziennej«. Gdy zapytałam: »Co pani robi, przecież to mój facet«, nie speszona odparła: »Jak mniej wypije, będzie z panią rozsądniej gadał. Trzeba walczyć z alkoholizmem«.

Mewki na kartę

Specyfiką Wybrzeża były restauracje, w których pojawiały się mewki, czyli prostytutki obsługujące marynarzy. Tu sprzedawano karty wstępu z opłaconą konsumpcją. Do rachunku wliczano dopłatę za działalność rozrywkową. Tu też można było u szatniarza, bramkarza czy kelnera dokonywać wymiany waluty po kursie czarnorynkowym. Do legendy przechodziły oszustwa, jakich personel dopuszczał się zwłaszcza wobec obcokrajowców. Nagminnie podawano rozcieńczoną kawę, dopisywano fikcyjne sumy do rachunków, a przede wszystkim handlowano własnym alkoholem. Z kolei w Łodzi przyjęło się spędzać noc, wędrując od lokalu do lokalu - wzdłuż ulicy Piotrkowskiej. Na tym szlaku spotykało się wielu stałych bywalców. Jednym z nich był niezamożny pan ze szklanym okiem, który zwykł wrzucać je gościowi do kufla, co kończyło się przejściem przez niego napoju. Zjawiał się tam także muzyk, śpiewający ballady przy akompaniamencie gitary. Kiedy jednak nie był w formie, obchodził klientów, nadstawiając kapelusz: „Mój repertuar znacie, więc pozwólcie, że tylko zainkasuję...”.

Góralskie tańce o północy

Nocny dancng często trafiał na karty literatury popularnej. „Orkiestra przestała grać. Nie pomogły gorące brawa i okrzyki »Mało jeszcze«. Muzykanci demonstracyjnie składali instrumenty i podnosili się ze swoich miejsc. Wiadomo, dla orkiestry najważniejszym momentem w jej występie jest kolacja. A właśnie przed chwilą, kiedy artyści kończyli grać starego walczyka, kelner, pan Mie-cio, dał im znak ręką, że już przygotował dla nich jedzenie na stoliku znajdującym się w głębi sali. Nic też dziwnego, że muzykanci nie zamierzali nadal się »męczyć«. Przecież »góralskie tańce« zaczynają się dopiero po godzinie dwunastej w nocy. (..) Zresztą na »górala«, a właściwie na »Kościuszkę«, bo pięćsetzłotów-ki z »góralem« zostały przed kilkunastu laty wymienione na nowe banknoty z portretem Tadeusza Kościuszki - nie było co w dzisiejszy wieczór liczyć. (...) A wiadomo, taki wczasowicz z »Polany« czy »Sienkiewiczówki« długo się będzie namyślał, zanim wyciągnie z portfela te marne pięć stówek, aby swojej dziewczynie zafundować ekstra taniec i to z wymienieniem dla kogo i kto płaci” - fragment powieści Jerzego Edigeja Wycieczka ze Sztokholmu.

Nocne życie po kielecku

Nocne życie rodaków miewało niekiedy zupełnie nieoczekiwany finał. „Pewien kielczanin wróciwszy do domu dopiero nad ranem uniknął żoninej połajanki powołując się na przekonywające alibi - donosiły „Kulisy”. - Żona postanowiła je sprawdzić i udała się w tym celu do restauracji, w której spędził on noc onegdaj. Rzeczywiście portier zaświadczył, że jej mąż zgubił numerek z szatni i wobec tego, aby odzyskać okrycie zmuszony był poczekać aż do końca urzędowania i wyjść jako ostatni z gości”.

209

PRL - jak cudnie się żyło!

Wolne soboty byty jednym z dobrodziejstw Polski gierkowskiej Łatwiej było jednak je zadekretować, niż zorganizować wypoczynek milionom obywateli.

ÓstR^

dfcfeu *yS

odjaia

Zielony autobus na zakręcie

Prasa ostrzegęła: „Podmiejskie miejscowości wypoczynkowe nie są jeszcze aż tak pakowne, żeby przyjąć wszystkich, którzy by się tego dnia zdecydowali wyjechać za miasto. I transport. Z miasta, z końcowej stacji jest jeszcze szansa wyjechać, dostać się do «zielonego autobusu». Ale w drodze powrotnej? Jeśli autobus tylko przejeżdża przez wybraną na wypoczynek miejscowość? Koniec świata. Przetłoczone autobusy nie zawsze się zatrzymują i trzeba czekać, czasem bardzo długo. Nie każdy na takie ryzyko chce sobie pozwolić”. Pismo „Relaks” sprawdziło, jak Polacy spędzali wolne soboty w roku 1974. Pracownica umysłowa w Komitecie ds. Radia i Telewizji relacjonowała: „Wyjeżdżamy. Już w piątek wieczorem. Mamy domek campingowy pod Warszawą. W ten sposób spędzamy każdy weekend od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Wolna sobota przedłuża nasz pobyt za miastem o jeden dzień. Oczywiście posiadanie bazy docelowej na taki wypoczynkowy wypad wiele ułatwia. I jest obiektem zazdrości przyjaciół”. Z kolei urzędniczka w instytucie naukowym opowiadała: „Przed południem sprzątam, piore, robię zakupy. Mąż trochę pomaga w domu, trzepie dywany,

^ SOBOTA KROCZĄCA

Wolne soboty wprowadzano ostrożnie. W 1973 r. były tylko dwie, i to „za odpracowaniem”. Z tym, że pierwsza wypadła 21 lipca, dzień przed Świętem Odrodzenia Polski. Rok później było ich już sześć, a w 1975 r. - 12. Od 1981 r. w co drugą sobotę Polacy nie chodzili do pracy, ale „Solidarność” domagała się wolnych wszystkich sobót.

przy samochodzie. Wieczorem idziemy do kina, rzadziej do teatru”. A zastępca dyrektora instytutu naukowego podsumowywał: „Dwukrotnie podejmowaliśmy próby zespołowego spędzenia tego czasu, niestety nieudane. Wybraliśmy się mianowicie całą rodziną na zakupy. Mieliśmy nadzieję, że nie będzie trzeba się spieszyć, że każdy będzie mógł poszukać, co mu odpowiada, że wspólnie pomyślimy, co by nabyć sensownego na potrzeby domowe. Te ekskursje handlowe były nieudane, ponieważ bardzo wielu ludzi wpadło na ten sam pomysł. Zamiast spokoju - był pośpiech, przepychanie się, jeden drugiego poganiał. Widzę w tym zarzewie sprzeczności inte-

robi małe naprawy. Ale przede wszystkim grzebie reszów różnych grup społecznych”.

21 O

Kraj na

co dzień

Sobota w Peweksie

Paradoksem wolnych sobót było to, że - przynajmniej początkowo - nie dotyczyły one młodzieży szkolnej. „Dlaczego nie wyjeżdżamy w sobotę za miasto, a dopiero w niedzielę? Przecież dziecko nie ma wolnej soboty, musi iść do szkoły - tłumaczyli rodzice. - Więc i my musimy zostać w mieście. Poza tym wygodniej i taniej zanoć w domu”. W tej sytuacji prasa doradzała obłudnie: „Nareszcie można znaleźć czas na reaktywowanie prawdziwie domowej atmosfery. Celebrować rodzinne obiady i popołudniowe herbatki. Rodzinno-przyjacielskie sobotnie spotkania. To forma relaksu dawno u nas zapomniana, a warta przypomnienia”. Wolne soboty celebrowano także w latach 80., choć wtedy trudno było zmęczyć się pracą w dychawicznej gospodarce. „Kobieta i Życie” mnożyła zastrzeżenia: „Nasze realia, podejmowanie decyzji z dnia na dzień, narastający kryzys i rozprężenie gospodarki pomnożyły ujemne skutki decyzji o dodatkowych dniach wolnych od pracy. Zwłaszcza, że upomnieli się o nie właściwie wszyscy, nie oglądając się na społeczne skutki. Rezultat jest więc taki, że miało nam być wygodniej, a wygodniej nie jest”. Czytelniczki podawały przykłady: „Nasze życie jest tak pełne niedorzeczności i paradoksów, że już właściwie nic nie powinno nas dziwić ani zaskakiwać. Ja jednak, naiwna jak niemowlę, nie mogę pogodzić się z faktem, że w każdą sobotę - gdybym oczywiście miała dolary - mogę kupić perfumy Diora, szminkę Yardleya, a nawet węgierskie salami w Peweksie, trudno jest

mi natomiast kupić chleb, a w większość sobót absolutnie niemożliwie - wykupić wołowe czy nabyć proszek do prania".

Stewardesa z PKS-u

Wolna sobota zaowocowała nowymi inicjatywami w turystyce. Prasa donosiła z dumą, iż w autobusie pospiesznym na trasie Łódź-Dzierżonów zainstalowano bufet. Z lodówki sprzedawano kanapki i napoje. Autobusowa stewardesa zaopatrywała pasażerów także w słodczyce i papierosy. Skawińskie Zakłady Koncentratów Spożywczych wyprodukowały natomiast zestaw turystyczny: śniadanie, obiad, kolacja, o zawartości 3600 kalorii. Mieścił się w małej kieszeni plecaka. Przy wielu oddziałach PTTK powstały Poradnie Świadomego Turysty.

Absurd handlowy

Prasa raz po raz drukowała głosy czytelników opisujących bałagan organizacyjny w wolne soboty: „Przecież to kompletna bzdura. Najpierw muszę przyspieszyć tempo biegów po sklepach w piątek. Jest regułą, że w piątek biegają wszyscy, a ponieważ handel, przy wszystkich brakach towarów, jest do tego jeszcze wyjątkowo niemrawy, więc po co podbiegnę, to później długo postoję w kolejce. Wracam do domu dodatkowo zmęczona. Przed wolnymi sobotami z reguły trzeba polować na świeży chleb - bo piekarze także przygotowują się do wolnego dnia i dostarczają pieczywo z jakichś swoich własnych harmonogramów, czyli czerstwe, więc odkładam zakup na sobotę. W jednym dyżurnym sklepie, jeśli nie stawię się przed ósmą, to odstoję godzinę".

% • SOBOTYNKA CZY BEZWŁADNIK?

Wolny od pracy koniec tygodnia próbowano uczcić polską nazwą. „Sztandar Młodych” ogłosił plebiscyt na rodzimy odpowiednik angielskiego słowa weekend. Oto niektóre propozycje czytelników: beztroszcze, bezwładnik, chwilowczasy, czarczas, łonna (od tona natury), nierobie, sobotynka, swobodek, waltraw-ka, ziewka, zmiastka.

21

1

gór al siei cłu

lasack...**

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Pobyt na wczasach wymagał solidnego wypoczynku. Po powrocie.

::: .

Domki kempingowy PTTK na Półwyspie Helskim (1966)

Obowiązki pozaregulaminowe

Wczasowicze skarżyli się nieustannie na poziom usług: „Gościowi oddaje się do dyspozycji wydzieloną czytelnię z 30 fotelami, ale książki w czytelnii ani jednej, a z gazet leży jeden, wciąż ten sam egzemplarz dziennika sprzed trzech dni. Oddaje mu się kawiarnię na 100 foteli, ale wypić w niej można tylko kawę, i to czarną, piwo albo wino, bo brak lodówki uniemożliwia sprzedaż czegokolwiek poszukiwanego. To fakt, że na terenie tego ośrodka każdy, gdzie i kiedy zechce może się rozsiąść jak ordynat w klubowym fotelu za 2500, ale bądźmy szczerzy - po co ma się rozsiadać? Po to, żeby dłużyć w nosie albo pić piwo? Ile razy w ciągu dnia i przez ile dni z rzędu może cieszyć picie piwa w pustej, choć

' DACZA CZĘŚCIOWA

Domki letniskowe stały się nieoczekiwanie powodem kłopotów w 1981 r., kiedy rozliczano decydentów z dacz. „Życie Gospodarcze” donosiło, że w województwie radomskim kontrola zakwestionowała legalność budowy aż 700 takich domków. W większości należały do warszawiaków. Właściciele rozbierali je co prędzej i w częściach uwozili w nieznanym kierunku.

wytwornej sali? A jednocześnie dając gościowi 200 foteli za 2500 zł, nie daje mu się noża do żeberek, bo noży tak mało, że na sześć osób do żeberek przypadają 4 noże". Te dysproporcje

próbowali wyrównać twórcy regulaminu wczasowego. Z reguły składał się on z 50 punktów, które określały, co wczasowiczowi wolno, a co jest zabronione. Do odpoczywającego kierowano także pewną liczbę próśb pozaregulaminowych, np. by po posiłku zsuwał naczynia na krawędź stołu, by zdejmował i składał pościel na zakończenie turnusu, by sprzątał własny pokój w zastępstwie sprzątaczkii oraz by „nie bawił się papierem toaletowym”.

Hydraulik naprawi radio

Każdy porządny dom wczasowy prowadził książkę skarg i zażaleń. Wpisy, jakie się tam znalazły, najlepiej oddają realia wypoczynku. „Kiedy zająłem pokój, stwierdziłem, że zapchana jest umywalnia, o czym poinformowałem sprzątaczkę - skarżył się pewien wczasowicz. - Wyjaśniła ona, że zapchaną umywalnię powinienem zgłosić w recepcji, gdyż do umywalni są instalatorzy. W recepcji zgłoszenie moje zapisano w odpowiedniej książce, informując mnie, iż instalator przyjdzie w poniedziałek około południa. Nadmieniam, że była sobota godzina 12.30. Kiedy

21 2

Kraj na

co dzień

poprosiłem o jakiś drut albo gumę do przepchania umywalki, poinformowano mnie, że gumę zabrał instalator, gdyż jest jego własna”. Czytaliśmy dalej: „Recepcja poinformowała mnie, że ręczników gościom nie daje, bo goście kradli. Kiedy pytałam, czy jest w mieście jakiś otwarty sklep tej branży, bo się chciałam umyć po podróży, a do poniedziałku miałam dwa dni przed sobą, wyjaśniła, że nie, bo jest wolna sobota. Ponieważ recepcja była bezradna, udałam się do magazynu i jedna pani dała mi 6 ręczników, a fakt, że na regałach leży ich około tysiąca, wyjaśniła w ten sposób, iż niewydawanie bardzo ośrodkowi upraszcza”.

Inny z kolei wczasowicz wpisał: „W moim pokoju przestało grać radio. Kiedy się zwróciłem do recepcji o wymianę na inny odbiornik z nieczynnych pokoi, powiedziano mi, że nie jest to możliwe, mogę natomiast zgłosić uszkodzenie, lecz - uprzedzają mnie - to potrwa dwa tygodnie, gdyż naprawy wykonuje ZURiT. Zapytano mnie, czy zgadzam się na te warunki, na co ja wyjaśniłem, że nie, bo za dwa tygodnie już mnie nie będzie, co ich zasmuciło. Pewnie dzięki temu jednak mi przysłano instalatora do naprawy radia. Instalator miał półmetrowy klucz francuski i gumę do przepychania zlewów i wyraził wątpliwość, czy uda mu się naprawić radio, zwłaszcza, że o radioaparatach nie ma pojęcia”.

Przeładowani rozrywką

Na wczasy narzekali także ci, którzy wypoczywali w znacznie lepszych warunkach niż przeciętni obywatele. Milicyjne pismo „W służbie narodu” ubolewało: „Powtarzają młodzi i starzy słowa popularnej piosenki Wojciecha Młynarskiego. Nie wiem, czy zastanawiają się nad tym, ile w niej jest kpiny z wczasowiczów, dla których najważniejszą rzeczą podczas pobytu są «zyczenia dla uroczej panny Krysi z turnusu III»... Utalentowany autor i piosenkarz uchwycił świetnie klimat nudy i sztampy wczasowej, przekreślającej nierzadko właściwy wypoczynek. Nasz wypoczynek na wczasach jest z reguły zbyt bierny i przeładowany rozrywkami typu kawiarniano-lokalowego, (...) W ośrodkach stosowane są z reguły stare, sztamkowe formy życia k-o, nie odpowiadające już dzisiejszym potrzebom i wymaganiom. Nasi instruktorzy k-o rekrutują się zazwyczaj z ludzi przypadkowych. Nic więc dziwnego, że ograniczają się oni do tradycyjnych form rozrywek w rodzaju wieczorku tanecznego, jakiejś imprezy itp.”.

Bach zamiast ping-ponga

Niekiedy sami wczasowicze trafiali na zupełnie inny turnus, niż się spodziewali. Prasa pełna była ostrzeżeń: „Do wszystkich biur na terenie kraju rozsyłane są prospekty, które informują, czego ma oczekiwać wczasowicz, kupujący skierowanie na wczasy językowe: że mówi się tam w obcym języku, słucha wykładów, koncertów muzyki danego kraju itp. I oto na takich

wczasach zjawiają się ludzie, którzy w obcym języku ani be ani me, którzy nie chcą po południu słuchać taśm z nagraniami Bacha, lecz grać w ping-ponga, którzy od pierwszego dnia mają pretensję, w co się ich tu wplątało. Przy zakupie skierowania nikt im nie powiedział, że to są jakieś specjalne wczasy".

Plaża w Sopocie (1960)

ŻADNEGO LEŻAKOWANIA! ^ „Na balkonie był zepsuty leżak, ale kierownictwo innych nie miało. W związku z tym poprosiłam o zamianę na leżak z sąsiedniego balkonu, przy pokoju niezajętym, na co mi wyjaśniono, iż jest to niemożliwe, gdyż leżak ten należy do tamtego pokoju i kiedy goście przyjadą też będą chcieli. Wyjaśniam, że goście nie przyjechali do końca turnusu" - z książki skarg i zażaleń.

21 3

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Kraj

t daleko) aa miastem

Chłop zhardział

t) o zwyczaju należało lekceważenie wiejskich 'U petentów. Mieszkaniec jednej z podrzeszow-skich wsi musiał poświęcić cztery dni na zakup i przywóz 400-litrowej beczki do gnojówki. Rolnik z podkrakowskiej gminy Liszki, który nie dał łapówki gminnemu inspektorowi do spraw geodezyjnych, był w swojej sprawie wzywany do urzędu 40 razy.

„Miejscowy lekarz skierował mnie do poradni. Ja: Nie przychodzę po zwolnienie, jestem ze wsi, chcę być zdrowa, bo w gospodarce muszę pracować. A lekarz: Jak pani ze wsi, to powinna pani przynieść dobrego koguta. Wysłałam z gabinetu i zapłakałam. Pacjentki w poczekalni «pocieszały* mnie, że ten lekarz dobrze leczy, ale trzeba mu zapłacić 200-300 złotych, a nawet i więcej" - czytaliśmy w liście gospodyni wiejskiej do „Gromady - Rolnika Polskiego". „Zachodzę ja niedawno do PZU. Urzędniczki akurat piją herbatę. Czekam przy okienku kwadrans, pół godziny, ale w końcu grzecznie im mówię, że czas to pieniądz. To obrażały się jeszcze i po-gadywały między sobą, jak to ci chłopci zhardzie-li dzisiaj" - zapisał chłopską skargę reporter. Wieś była rodzajem skansenu dla urzędników wysokiej rangi. W 1985 roku odkryto na terenie nadleśnictwa Opoczno luksusowe ambony dla prominentów oddających się łowiectwu. Domki były wyłożone boazerią, na podłogach leżały dywany, a myśliwi mieli oczekiwać na zwierzynę

Życie na wsi nie miało wiele wspólnego z „produkcją rolną". To było użeranie się o wszystko z każdym urzędnikiem, który miał choć odrobinę władzy.

/4 TURYSTYKA ŻNIWNA

Wiejska biurokracja wprowadzała do życia rolników mnóstwo nieoczekiwanych udziwnień.

„Z początkiem sierpnia w Drohiczynie odbył się Ogólnopolski Zlot Turystów Wiejskich" - informowała „Polityka" w 1981 r. I komentowała: „Kiedyś rolnicy w czasie żniw zajmowali się pracami polowymi...".

w wygodnych fotelach - podawał „Dziennik Ludowy". Jednocześnie „Express Wieczorny" prowadził akcję, w której poddawano ostrej krytyce używanie dzieci do prowadzenia nagonki w ramach działalności kół łowieckich. Nazywano to „lekcjami przyrody".

Gazety dla nikogo

Wieś pozostawała faktycznie Polską „B". Brakowało tu wszystkiego. Prasa podawała niekończącą się listę dóbr i usług niedostępnych dla obywateli wsi. Dojazdy do miasta były utrudnione, bo „występują trudności w usprzętowieniu przystanków" - pisała

V latacM 70. co roku marnowało się 3 0 procent zebranych warzyw i owoców. Gniły, bo przemysł nie był w stanie icM przerobić

21 4

Kraj na

co dzień

FARSA WYBORCZA[^] I „W celu zachowania pełnej konspiracji Bierut wraz z kierownictwem PPR zarządził (...) zamianę urn wyborczych w niektórych obwodach, podrzucanie do urn kart do głosowania, a w niektórych komisjach, gdzie nie było mężów zaufania z partii Mikołajczyka, przygotowanie dwóch egzemplarzy protokołów” - tak wybory w 1947 r. podsumowywało PSL.

„Trybuna Robotnicza”. „Jeśli jest podrobowe, na które rolnik ma ochotę, to wystarczy go tylko dla urzędników. To samo jest z herbatą i innymi tego rodzaju artykułami” - ubolewało „Słowo Ludu” nad zaopatrzeniem wiejskich sklepików. Ale nawet to ubolewanie chybiało celu. Wieś po prostu nie czytała prasy. W latach 80., w dobie ogromnych problemów z papierem, gazety docierały tam z takim opóźnieniem, że właściwie nie było sensu ich wydawać. Pismo „Plon” przygotowane na Boże Narodzenie trafiło do czytelników w połowie stycznia. Podobnie jak numery „Agrochemii” i „Gospodyni”, które powinny być znaleźć się w sprzedaży już w listopadzie.

Brukowanie kurhanem

Wieś zarabiała i na niej zarabiano na najdziwniejsze sposoby. Na początku lat 80. w Olsztyńskim dwaj agenci skupowali, łupali, sortowali i wysyłali ze wsi do miasta lokalny kamień polny. Przy okazji oszukali chłopów na ówczesne 2 miliony złotych. W trakcie procesu zeznawało aż 600 świadków. Mieszkańcy wsi Świątniki Górne w Krakowskim trudnili się produkcją galanterii metalowej. Właściciele sklepów żądali od nich jednak łapówki w wysokości 3-5 procent wartości towaru za umieszczenie produktów w ofercie handlowej. Zrobiła się z tego jedna z największych afer łapówkarskich lat 80. Oskarżeniem objęto ponad 700 osób. I jak tu się dziwić, że w jednej z gmin wiejskich w Ku-jawskim systematycznej dewastacji ulegały grobowce sprzed 5000 lat. Kamienie wybierano z kurhanów, ponieważ świetnie nadawały się na podmurówki, fundamenty oraz jako tłuczeń na lokalne drogi.

Przydział na przetrząsacz

„Jest pięć rodzajów sprzedaży maszyn rolniczych. Niektóre maszyny np. »Bizony« kupuje się mając przydział Ministerstwa Rolnictwa, żeby nabyć inne, np. kosiarkę rotacyjną, wystarczy mieć zlecenie od wojewody, a dla kupienia jeszcze powszechniejszych, jak przetrząsacz widłowy, ciągnik, wiązalka, rozrzutnik do obornika, trzeba mieć już tylko zlecenie od naczelnika gminy. Im droższa, bardziej wydajna i poszukiwana maszyna, tym wyższy szczebel decyzji” - pisało „Życie Gospodarcze” w 1985 roku.

^ SKANSEN DOBRY NA WSZYSTKO

Prasa donosiła w 1980 r. o powstaniu Białostockiego Muzeum Wsi. „Wszystkie obiekty, jakie zostaną zgromadzone, będą czynne. A więc olejarnia, wiatrak, kuźnia itp.”. Czytelnicy komentowali z ironią, że jeszcze kilka takich skansenów i rozwiązany zostanie problem usług na wsi.

2

1

5

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Iwperium

Mieszkańcy PRL-u mogli co dzień przeczytać w gazetach dziesiątki haseł propagujących higienę, ale zmuszeni byli żyć w brudzie.

brudas

©w

Myj się rano i wieczorem, a dla innjrck będziesz wzorem hasło prasowe

Prysznic w szafie

V latach 60. nowością była kabina z natryskiem. Reklamowano ją jako „prysznic w szafie”.

„Szafę z prysznicem można ustawić nawet w jednopokojowym mieszkaniu. Wchodząc do

szafy pobiera się natrysk. Takie szafy--prysznicze zainstalowano już w poznańskim hotelu "Bazar" - chwaliła się miejscowa prasa. Nic dziwnego, że taka kabina robiła furorę, skoro, przykładowo, projektanci Domu Studenta przy ulicy Radomskiej w Warszawie nie przewidzieli natrysków, a do skromnych umywalni na poszczególnych piętrach ciepła woda nie docierała w ogóle. Zachowanie higieny bywało nieraz bardzo kłopotliwe także dla mieszkańców bloków. „W porze nocnej między godz. 22.00 a 6.00 należy unikać kąpieli. Jeśli jednak ze względu na czas pracy bądź z innych uzasadnionych przyczyn kąpiel w porze nocnej jest niezbędna, przy napełnianiu wanny należy stosować urządzenia wyciszające plusk" - głosił regulamin warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Oświata".

Z receptą do łaźni

W tym czasie krakowskie gazety były na alarm -z roku na rok poważnie zmniejszała się frekwencja w łaźniach miejskich. Pół biedy, jeśli był to efekt korzystania z łaźni w nowym budownictwie. Gorzej, jeżeli krakowianie przestali się myć. Jak ów obywatel Sokołowa Mazowieckiego, który do łaźni zgłosił się z receptą lekarską na kąpiel. Odwrotnie miała się sprawa higieny w Białostockiem. Tam funkcjonowało jeszcze w latach 70. aż 50 wiejskich bani. Tradycja zbiorowego pielęgnowania czystości utrzymała się na tych terenach jeszcze od czasów zaboru rosyjskiego. Za region najczystszy w kraju uchodziło Suwalskie. Gdzie tu się można załatwić?

Równie krępująca była kwestia ubikacji, zwłaszcza w miejscach publicznych. Przez cały okres istnienia PRL-u po prostu nie było się gdzie załatwić. W Zakopanem przed narciarskimi mistrzostwami świata w 1963 roku wybudowano siedem zakładów gastronomicznych i ani jednej ubikacji. „Tysiące turystów błąkają się tam w każdą niedzielę,

Kraj na co dzień

Pralnia publiczna (1964)

^ BĘBNI W RZĄDKU

Pierwszą publiczną pralnię - na 13 prałek - uruchomiono w Łodzi w 1961 r. Pranie z suszeniem zajmowało 2 godz. i kosztowało 21 zł. Jednak do takiej pralni można było nosić tylko rzeczy, na których właścicielowi zależało najmniej, istniało bowiem spore ryzyko, że odzież zostanie gruntownie zmacerowana.

na próżno poszukując publicznego ustępu. Na szosie do Morskiego Oka wszystkie krzaczki wokoło są nie do przebycia. To samo jest w Krynicy i innych uzdrowiskach, to samo w całym kraju. Stan istniejących ubikacji, np. przy restauracjach w małych miastach, jest z reguły przerażający" -grzmiał „Przegląd Kulturalny".

Szalet dla milionów

Jedna wielkowiejska ubikacja kosztowała aż pół miliona złotych. Dlatego w latach 60. w Warszawie działał tylko tuzin ustępów, czyli jeden na 100 tysięcy mieszkańców. W największych miastach planowano budować ich 12 rocznie, ale skończyło się na sześciu. Choć i na tym polu zdarzały się działania odkrywcze. „Polityka" donosiła: „Kierownictwo ubikacji miejskiej m. Radomia w celu zwiększenia rentowności swojej placówki zlikwidowało w kabinach haczyki do zamykania się. Proste to posunięcie znakomicie zwiększyło przepustowość zakładu".

Instrukcja prania

Pranie nastroczało mnóstwo trudności. Producent fig damskich marki UNIA instruował: „Zaleca się czyścić chemicznie. Dopuszczalne jest pranie ręczne przez wygniatanie w wodzie z dodatkiem kokosalu. Temperatura roztworu 30 stopni C Płukać w letniej wodzie. Do ostatniego płukania dodać octu. Nie wykręcać. Wycisnąć w ręczniku. Do suszenia rozłożyć. Nadać pierwotny kształt. Prasować przez wilgotne płótno".

Redakcjo, pomóż się umyć!

„Mieszkam w samodzielnym niewielkim pokoiku. Łazienki nie mam, tylko umywalkę. Szpeci ona straszliwie pokój. I jeszcze jeden kłopot. Co prawda chodzę się stale kąpać do jednej z

moich przyjaciółek, ale codzienna toaleta jest bardzo utrudniona. Jak to rozwiązać?" - pytała czytelniczka „Kobiety i Życia”. Redakcja nie zostawiła jej bez ratunku: „Umywalkę trzeba obudować sza-feczką, najlepiej z płyt spilśniionych. Po opuszczeniu wieka otrzyma Pani wcale zgrabny mebelek, na którym można spokojnie postawić np. wazon z kwiatami. W dolnej części szafeczki zmieści się emaliowany bidet na składanych nóżkach. Jest to, niestety, sprzęt rzadko u nas spotykany, niedoceniony. Przy odrobinie szczęścia można go czasem »przydybać« w sklepach. Jeśli się to Pani nie uda - w dolnej części trzeba ustawić miednicę lub małą plastikową wanienkę na stołeczku”.

/% BRUDNE, JESZCZE BRUDNIEJSZE

„W pralni przy ul. Pocztovej w Nowej Soli rejestratorka przyjmując od klienta bieliznę do prania oceniła ją jako »bardzo brudną« i podwyższyła cenę usługi o 25%. Gdy klient przyszedł odebrać pranie i stwierdził, że bielizna jest brudna, wyjaśniła, że tego się należało spodziewać, skoro była bardzo brudna” - „Kulisy” (1974).

21 7

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

to sf*e4r

Wszystko, co krajowe, było niskiej jakości. Jeżeli jakość produktu była trochę niższa niż niska, nazywaliśmy go bublek.

Rajtki dla Yeti

Żeby wszyscy doskonale wiedzieli, jak powinien wyglądać towar pełnowartościowy, ale takiego w żaden sposób nie można było wyprodukować. Jan Karolkiewicz, pracownik umysłowy, tłumaczył na łamach „Przekroju”, iż „materiał na koszule męskie nie jest przed wykonaniem koszuli dekatyzowany. Od kilkunastu lat nie udało mi się kupić koszuli odpowiedniej mi numerem, która by się po praniu nie skurczyła o numer, o dwa, o trzy”. Tuż obok inny czytelnik ubolewał: „Damska bielizna produkowana jest u nas w olbrzymich rozmiarach, całe szczęście, że trochę ratuje tu sytuację import. W konfekcji męskiej natomiast panuje odwrotna sytuacja -wszystko jest małe, na wzrost 165-170 cm. Od kiedy to 180 cm jest nietypowym wzrostem dla mężczyzny?”. Pretensje do odzieżowców ciągnęły się w nieskończoność: „Sądząc po rajtkach będących w sprzedaży, mamy w Polsce dzieci potwornie pokraczne: nóżki trzyletniego maleństwa, a stopa wielkości łapy Yeti. Łydki i uda pięcioletniego człowieka, a pupa dorosłej, otyłej kobiety”.

Kariera słuchawki telefonicznej

W takiej sytuacji nie dziwiła kariera telewizyjnego programu Adama Słodowego Zrób to sam. Wielu widzów wprowadzało jego zalecenia w czyn zupełnie spontanicznie. Producenta samochodu ciężarowego

Star w Starachowicach dziwiło, że w autach giną migacze. Sprawa wyjaśniła się szybko.

Szkiełka od migaczy chłopcy nakładali na klamry pasów, a pod nie wsuwali zdjęcia ulubionych aktorek. Podobny rodowód miały notoryczne kradzieże słuchawek telefonicznych. Okazało się, że młodzi ludzie robią z nich mikrołośniki do gitar elektrycznych.

Wentylator elektryczny Zefir

Przyciąć, skrócić, przerobić

Z braku podstawowych produktów na rynku i z powodu panującej drożyzny przerabialiśmy wszystko na wszystko. Czytelniczka „Kulis” przechwalała się swą zaradnością: „Uszyłam sama ażurowe pończochy. Uszyte są z białej podkoszulki męskiej (w cenie 30 zł), ufarbowanej na kolor brązowy. Szew jest z boku po wewnętrznej stronie nogi, prawie niewidoczny (szyty ręcznie). Stopki są ze skarpetek. Są bardzo mocne, oczka nie lecą. Założone na gołe nogi, o dziwo, grzeją; gdy jest bardzo zimno, można włożyć stylony pod spód. Można również nosić pod nie kolorowe pończochy, np. zielone i otrzymać dwukolorową kratkę. Pończochy budzą zainteresowanie na mieście”. W sukurs przychodziła jej pani redaktor z „Kobiety i Życia”: „Dobrze ubrana gospodyni podnosi estetykę całego

wnętrza. Strój domowy powinien być tani i praktyczny. Ładną bluzę można przerobić ze starego puloweru, obcinając dół rękawów i skracając je do 3A. Jeżeli

21 8

Rynek socjalistyczny

pulower jest zrobiony z grubszej wełny, to z nici otrzymanych po spruciu odciętych rękawów zrobimy frędzle, którymi wykończymy rękawy i dół". W ogłoszeniach gazetowych robiły furorę rozmaite podróbki: „Nutrie w różnych kolorach, imitujące skórki łasicy, wydry oraz nutrie epilowane (włos skubany szorstki), a także nutrie barwione na różne kolory od 9700 do 13 400 zł". „Przekrój" donosił w 1962 roku: „Lubelski Wydział Komunikacji zarejestrował SAM-SAMOCHÓD Karola Rajmunda Wal-kiewicza ze wsi Łucka: karoseria z płyty pilśniowej, motor - własna konstrukcja".

Rolnik dynamit

Niekiedy pomysłowość ludzi w zastępowaniu deficytowych maszyn przekraczała najśmielsze wizje. Rolnik Edmund Sz. pytał w 1977 roku redakcję „Zielonego Sztandaru", gdzie prowadzona jest wolna sprzedaż dynamitu dla ludności. Chęć kupienia materiału wybuchowego tłumaczył tym, że zamiast roztrząsać obornik widłami, byłby rad kupy gnoju wysadzać w powietrze. Redakcja była zdania, że dla potrzeb wiejskich wystarczy biała broń, jaką są widły.

RYZYKOWNE NADRUKI ^ W latach 70. po raz pierwszy nastąpiła moda na koszulki z nadrukami. Napisy reklamowały marki zachodnie, których Jednak próżno byto szukać na krajowym rynku. Polskie firmy unikały tej formy reklamy jako niepoważnej. Śmielsze próby w kreowaniu trendów - np. garsonki ozdobione repliką gazety - nie przyjęły się.

Bubel milicyjny

Obecność bubli na rynku dotykała nie tylko zwykłych obywateli, ale też funkcjonariuszy władzy. Jeden z nich skarżył się na łamach milicyjnego pisma „W służbie narodu": „Drogi Redaktorze! Poradź, co zrobić, aby ulżyć cierpieniom, których przyczyną jest nowy typ obuwia zimowego. Nie mogę przyzwyczaić się do noszenia trzewików ze spinaczami. Są one tak sztywne, że każdy ruch nogą wyciska łyżę z oczu. Ostatnio już trochę mniej cierpię, gdyż moczyłem je w różnych płynach, tak że nieco zmiękły. Pozostały jednak nieszczęsne spodnie. Grube zakończenie nogawek uwiera i kaleczy kostki, sprawiając ogromny ból. Kiedy idę do pracy, to stale oglądam się za siebie, czy ktoś za mną nie idzie, a kiedy nikogo nie ma, wtedy podciągam nogawki do góry, aby ulżyć cierpieniu. Rozmawiałem z wieloma funkcjonariuszami. Zapytywałem ich, jak się czują w nowym obuwiu. Otrzymałem odpowiedź, że tak samo jak ja. Nie wiem, czym się kierowano, wydając taki wzór obuwia, ale chyba nie tym, aby ograniczyć sprawność funkcjonariusza".

Bańki dla Matysiaków

W PRL-u produkcję podejmowano często nie w oparciu o zapotrzebowanie rynkowe, lecz o hasło. Niekiedy takie hasło pochodziło nawet z radia. Do redakcji lubianego słuchowiska Matysiakowie napłynął list: „W jednej z poprzednich audycji słusznie zwróciła Pani uwagę na brak w handlu baniek felczerskich jako popularnego środka przeciw zaziębieniu. Wobec tego Huta nasza postanowiła zaradzić temu brakowi i wyprodukujemy w I kwartale b.r. pół miliona wspomnianych baniek. Na dowód tego pozwalamy sobie równocześnie przesłać Pani 100 sztuk baniek felczerskich z pierwszej produkcji".

21

9

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Af ro**tem klienta

Sklep był instytucją, która miała kłopoty ze wszystkim. Na przykład z najazdem insektów. Dlatego do kilku lubelskich placówek handlowych sprowadzono eksperymentalnie jeże. Ich

zadaniem było zjadanie karaluchów, gdyż tamtejsze sklepy nie radziły sobie z robactwem zupełnie. Inne też sobie nie radziły. Jednak każdy z czym innym.

Nie dotykać

Eksperymenty w handlu kończyły się katastrofą. W 1979 roku w Szczecinie wprowadzono tzw. mleko samoobsługowe. Innowacja miała polegać na tym, że klient sam bierze butelkę na wszystkich sukienkach umieszczono karteczki z napisem: „Nie dotykać”. Równocześnie te same sukienki można było przymierzać do woli.

Rezerwa dla zmarłych

kę ze skrzynki i wrzuca należność. Tylko w ciągu W okresach niedoboru towarów - a więc niemal za-pierwszych 12 miesięcy funkcjonowania takiej for- wsze - obsługa sklepów zdawała się na improwi-my sprzedaży straty wyniosły 122 tysiące złotych, zację. Gdy w miasteczku Barcin w latach 80. bra-

W magazynie Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa ARGED w Katowicach pracownicy podczas remanentu sporządzali sobie z radioodbiorników schodki, po których wspinali się do wyżej znajdujących się półek. Zdeptane radia zemściły się wiele

Zabrania się tworzenia kolejek - napis na witrynie sklepu przy ulicy Jedności 11arodu w Tczewie w 1975 roku

kowało wina na kartki, klientom przysługiwały dwie butelki denaturatu za jedno wino. Jeśli miało się natomiast za dużo kartek bez pokrycia, mogło się nabyć portmonetkę specjalnie przystosowaną do przechowywania 20 rodzajów takich kartek.

tysięcznymi stratami. W warszawskim Cedecie Rozdział dóbr deficytowych obrastał specjalny-obniżka cen (1972) mi ceremoniami.

Gdy w sklepie z odzieżą w Graje-

wie zabrakło towarów dla wszystkich, postawiono na specjalne grupy klientów. Pojawiły się wywieszki: „Rezerwa dla małżeństw” czy „Rezerwa dla zmarłych”. Z kolei w Brzegu sprzedawano biustonosze na kartki, ale „jak leci”, bez możliwości dobrania właściwego rozmiaru. Czasami dochodziło do zaskakujących sytuacji. „Do rzeszowskiej piekarni wpadł obywatel pokazując chleb z paczką Giewontów

^ ZAKUP DALEKOMORSKI

„Pewien klient zakupi! w sklepie MHD w Wolsztynie parę kalesonów, które okazały się świecić na kolanie dziurą o średnicy ok. 15 cm. Na pociechę do tego tak udanego produktu dołączona była metka z napisem: KALESONY ZIMOWE MARYNARZA. Jak już wyruszy w rejs, to nie ma okazji reklamować...” - „Kulisy” (1974).

{ NA WOJNĘ Z KURZEM

„Kurz wrogiem Twojego mieszkania. Odkurzacz i froterka wrogiem kurzu. Nowość! Odkurzacz »Elektor« prosty i wygodny w użyciu” - tak reklamowano sprzęt AGD w 1965 r. zapieczoną wewnątrz - podawały „Kulisy” w 1966 roku. - Kiedy kierownik zbladł z przerażenia i szykował się do składania usprawiedliwień, klient zawołał: »Panie, gdzieście kupili te Giewonty?«”.

Pa, kochanie...

Należy jednak odnotować także zjawiska pozytywne. Kierowniczką jednego ze sklepów pytała „Przekrój”, czyjej sprzedawczyni nie przekracza norm handlowych, gdy zwraca się do klientów per: „Kochanie”. A zamiast: „Do widzenia” mówi: „Pa!”. Redakcja odpowiedziała, że nie jest to zachowanie rażące, a jedynie rzadkie. Jak mandarynki. Nieuzasadniona okazała się też opinia, że w samach klienci kradną. Kiedy w 1956 roku utworzono w Białymstoku - drogą eksperymentu -pierwszy taki sklep, przynosił on regularne straty. Ustały one jednak natychmiast, gdy tylko wymieniono personel.

Wdrażano także szereg pomysłowych rozwiązań. Poznańskie delikatesy wypożyczały za kaucją siatki na zakupy. Częstochowska PSS „Jedność” doszła do wniosku, że wysokość

utargu zależy od prezencji ekspedientek. Aby podnieść ich atrakcyjność, uruchomiono sklepowy punkt kosmetyczny.

Gruchą do klienta

W Warszawie jeden z wydziałów architektury odmówił zatwierdzenia projektu szyldu sklepu warzywnego. Widniała na nim wyeksponowana apetyczna gruszka. Wyjaśniono, że umieszczanie na szyldach gruszki jest niestosowne, gdyż przypomina ona zarys siedzącej tyłem nagiej kobiety o wyeksponowanych pośladkach. Inne owoce nie wzbudziły zastrzeżeń urzędników.

Również w stolicy dyskutowano nad koncepcją reorganizacji handlu detalicznego, polegającą na stworzeniu ulic branżowych. Na przykład na Nowym Świecie znajdowałyby się wyłącznie sklepy obuwnicze, inna znów ulica miałaby gromadzić same pasmanterie. Pomysł jednak zarzucono.

Pat handlowy

Jeżeli nawet w sklepie był towar, a klient miał pieniądze, to i tak zakup często nie mógł się dokonać. Taki przypadek odnotowała „Polityka” w 1975 roku: „Z okazji Dnia Nauczyciela każdy członek grona pedagogicznego Szkoły Zbiorczej w Wieliczce dostał 50 zł pod warunkiem, że w zamian dostarczy rachunek ze sklepu, stwierdzający na co tę sumę stracił. Warunki zachowania nagrody były tak trudne do spełnienia, że mogła być ona śmiało wyższa. 50-złotówki wróciły do ofiarodawców, gdyż, jak się okazało, sklepy dzielą się na te, które nie wystawiają rachunków i te, które nie mają żadnego towaru kosztującego równo 50 zł”.

Bluzka za zaświadczeniem

Zakupy nieraz mogły zakończyć się rozruchami. W 1981 roku w łódzkim domu handlowym Universal tłum szturmował stoisko z bluzkami firmy PAFINO. Gdy rozeszło się 980 sztuk konfekcji przeznaczonych na ten dzień do sprzedaży, klienci, którzy nie zdążyli się zaopatrzyć, nie chcieli się rozejść. Na negocjacje przybyli przedstawiciele prezydenta miasta. Niezadowolonym kolejko-wiczom wystawiono gwarancje na piśmie, że będą mogli nabyć bluzki nazajutrz. Mimo to grupa młodzieży podjęła nocną okupację budynku. Z kolei załoga domu towarowego wystosowała protest przeciwko terroryzowaniu handlowców przez klientów.

221

- 7,50 zł”. Ale już dwa lata później czytaliśmy o kolejnej innowacji: „Jak nie wychodząc z domu oddać do pralni garnitur? Nowość: przyjedzie samochód, przychodzi pracownik, legitymuje się, zabiera garnitur i po wypraniu odwozi go. Dzwonić 8-44-95 i umówić dzień oraz godzinę. Pranie zwykłe -12 dni, ekspresowe - 3 dni. Miejskie Pralnie i Far-biarnie. Punkt ruchomy”. Ale to nie koniec. Lata 70. przyniosły w Łodzi sensację. „Kurier Polski” donosił: „Jaśminem, jałowcem lub rumiankiem może pachnieć bielizna odbierana przez klientów miejskich pralni i farbiarni w Łodzi. Perfumowanie bielizny wykonuje się na życzenie klienta”.

Kożuchy w konspiracji

Pralnie - jak setki innych punktów usługowych

- zmagaly się z klientem legalnie. Istniały jednak takie sektory usług, które świadczone w gospodarczym podziemiu. Należała do nich produkcja kożuchów. Wytropiły ją „Kulisy”: „Nielegalne punkty garbowania i wyprawiania skór odstawiają materiał do równie podziemnych punktów konfekcyjnych, a stąd gotowe już kożuchy trafiają do oczywiście także nielegalnych punktów sprzedaży. Takich łańcuchowych spółek istnieje jctiywum

Pralnia objazdowa

Usługi pralnicze wywoływały szeroki rezonans społeczny. Pismo „Tydzień” w 1975 roku udało się na zwiad. „W punkcie usługowym przy Armii Czerwonej w Poznaniu, przytroczony sznurkiem do deski stołu, wisi zeszyt, który nazywa się książką życzeń i zażaleń - czytaliśmy.

- Nie znalazłem tam żadnego zapisu, książka od dwóch miesięcy jest czysta i nietknięta, jak gdyby wszyscy opuszczali punkt w najlepszym nastroju. - Klienci są zniechęceni długo utrzymującymi się trudnościami w pralnictwie i już nie wierzą w skuteczność żadnych interwencji? - pytam kierowniczkę punktu. - Nie jest tak dobrze, aby klient w ogóle zaniechał interwencji. Jeżeli przychodzi raz jeden, potem drugi i trzeci, i mimo upływu terminu garderoba nadal jest niewyczyszczona, sięga po książkę".

Prasa raz po raz przypominała, że „pralnictwo” polskie legitymuje się znaczącymi sukcesami. „Przekrój” w 1961 roku informował o łódzkiej rewelacji: „Pranie męskich koszul - Nowość! Express - pranie w ciągu 3 dni i prasowanie w punkcie odbioru

222

Rynek socjalistyczny

dziesiątki, powstały całe kozusznicze gangi. Wytworzyła się w związku z tym nowa profesja - pół setki, a może i więcej »koników«, zwanych też naganiaczami. Często stoją oni przed progiem legalnych zakładów kuśnierskich, «podrywając» szyldowym firmom klientelę. Zdarzyło się nawet raz, że jedna z kobiet, trudniąc się procederem naganiania, zaczepiła kierownika wydziału przestępstw gospodarczych nowotarskiej KP MO z propozycją «załatwienia kozucha». Funkcjonariusz będący w cywilu został jednak rozpoznany, »cynk« poszedł po całej ulicy, a usłudzej przewodniczącej nie można było niczego udowodnić, bowiem z przymilnym uśmiechem stwierdziła, iż z czystej życzliwości chciała wskazać drogę do najbliższego warsztatu z szyldem".

Żona dla technika

Do specyficznych usług należały te, które świadczyły swatki. Dziennikarze dzięki „obserwacji uczestniczącej” mogli przekazać czytelnikom prasy lat 70., jak się takie swaty odbywają: „Zainka-sowała 60 zł i zapytała o wiek i stan majątkowy. O upodobania nie musiała pytać, bo sam dokładnie zreferował swoją ofertę, która wyglądała tak: młody, ambitny, z warszawskim meldunkiem, pozbawiony cech ujemnych, ale mający małe wady, szuka dziewczyny wysokiej, czarnowłosej, w miarę porządnej, o wykształceniu przynajmniej średnim. Majątek nie był dla niego wszystkim, ale działał jakoś uspokajająco, więc wspominał o nim na końcu oferty. Swatka pokręciła głową (widocznie żądał zbyt wiele), ale kazała przyjść za dwa dni. Przyszedł. Nie miała nic godnego uwagi, tylko panienkę po SPR (podstawówka plus dwa lata), w dodatku wybredną. Posłała już tam ze trzech chłopaków, ale bez skutku - nawet technika odrzuciła. Próbował coś jeszcze wyciągnąć, ale uznała, że jak za 60 zł to i tak zrobiła dużo. Adres dziewczyny po SPR zapisała na kartce i życzyła powodzenia".

Przyszłość za pół miliarda

„Kulisy” podjęły się w 1962 roku oszacowania trudnego rynku usług wóźbiarskich. Gazeta podsumowała: „W Polsce działa 500 wóźbitów zawodowych stacjonarnych, 12 tys. tzw. nałogowych i 15 tys. wędrownych. Ci pierwsi mają stałe siedziby, w których przyjmują klientów. Zarobki dzienne do 1500 zł. Zyski roczne tej grupy 150 milionów. Druga grupa wóży dorywczo. Ich zyski dzienne 100 zł. Rocznie grupa wyludza 240 mln zł. W trzeciej grupie przeważają Cyganki. Zarobki tej grupy szacowane są rocznie na ok. 250 mln zł. Suma wyludzonych pieniędzy sięga rocznie ponad pół miliarda zł".

Encyklopedia rarytasów

Wyjątkowo wyspecjalizowaną usługę zaproponowały w latach 70. władze Gdańska. Była to „encyklopedia na telefon”. Kiedy ktoś spragniony wiedzy wykręcił numer 919, mógł oczekiwać, że dyżurujące tam panienki zaspokoją jego ciekawość z rozmaitych sfer życia. Zadawano najdziwniejsze pytania: Jaka jest średnica zegara na ratuszu Głównego Miasta? Ile kosztowały przed wojną papierosy „Rarytas”? Gdzie w Polsce znajduje się źródło „męskiej wody”, która dodaje witalności? Kto wynalazł widelec i kiedy? Kiedy urodził się syn Lucjana Kydryńskiego? Ile razy podczas snu człowiek zmienia pozycję?

U krawca (1950)

/4 ODOBINA GUSTU

„Jak ryba bez wody, tak człowiek bez mody, mówi się tu i ówdzie. Moda jest dla ludzi. Jest oczywiście wiele spraw ważniejszych. Ale i ta sprawa też odgrywa niemałą rolę. Dzięki modzie i odrobinie gu-stu podobamy się jeden drugiemu, wyglądamy elegancko" - tak modę definiował czytelnik „Zielonego Sztandaru" w 1980 r.

2

3

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Kelner restauracji Spółdzielni Inwalidów przy ulicy Targowej w Warszawie pobił do krwi gościa, który nie chciał zapłacić rachunku. Stało się to na oczach milicjanta w cywilu, dyżurującego w restauracji dla ochrony konsumentów. Wobec takich incydentów fakt, iż zakład gastronomiczny w Lubsku pieczętował się „Restauracja Zacisze", to już zupełny drobiazg.

K©BSU**Pc5a

pałka, gaz.

Posiłek drogą administracyjną

to szafu doprowadzały konsumentów pró-U by administracyjnego sterowania gastronomią.

Jeden z nich skarżył się, że kierownik lokalu przegonił go wraz z partnerką z parkietu, gdy czekali, aż orkiestra rozpocznie następną melodię. „Oświadczył, że na parkiecie stać nie można. Zaznaczam, że wódki nie piłem, a konsumpcję miałem opłaconą" - żalił się bankietowicz. Na kierownika sali narzekała też dama, która w czasie trwania targów poszła na kolację do poznańskiej restauracji Wielkowiejska. „Po zamówieniu kolacji - pisała do lokalnej prasy - wyjęłam czasopisma i zaczęłam je przeglądać. Aż podszedł do mnie kierownik restauracji i zwrócił mi uwagę, że w tym lokalu czytanie gazet nie jest przyjęte".

Lux za drutem koleczastym

Na polski grunt próbowano przeszczepiać zachodnie obyczaje konsumpcyjne. W „gospodzie ludowej" w Rawie Mazowieckiej wprowadzono sprzedaż wódki „systemem szwedzkim", czyli -jeden obiad, jedna wódka. Obok funkcjonował jednak barek oferujący alkohol „po polsku", czyli - setka pod śledzika. W tym samym czasie prasa wrocławska informowała, że w mieście pojawił się nowy zawód: zjadacz zakąsek. Menele chodzili od restauracji do restauracji i zjadali przystawki, które goście zmuszeni byli zamawiać do każdej wódki, choć na ich konsumpcję

nie mieli najmniejszej ochoty. Im wyższej klasy restauracja, tym pomysły bywały bardziej radykalne. Dyrekcja restauracji Lux w Białymstoku kazała obić drzwi wejściowe drutem koleczastym, aby - jak tłumaczyła - klienci czuli się bezpiecznie.

Panie starszy, pan pozwoli!

Jeżeli konsument nie był zadowolony z restauracji, karano najniższą instancję, czyli kelnera.

Stanowił on ulubiony temat kącików humoru

■ II HI '-<rvv Я ■ №* -JSf u.JBP '■ . .V; ^:A \N&~, .-^ 'Vii ^*L* l;*:fc"
J*fc ' "li, T U. ::B f "■ ■% '■

^ KELNER PRZED ALKOMATEM

Krakowska milicja - uzbrojona w alkomat - zrobila nalot na kelnerów przy pracy. „Na 11 kontrolowanych 10 było pod muchą" -sprawozdawał „Przekrój". Z kolei kontrolerzy, którzy (incognito!) mierzyli stoperem czas występów orkiestry, podkreślali w raportach, że goście są notorycznie okradani z melodii.

224

Rynek soc

JALISTYCZNY

PRL-owskiej prasy. „Kulisy” donosiły: „Wysokie poczucie godności zawodu zaprezentowała ostatnio kelnerka wrocławskiej kawiarni Dorotka, która w odpowiedzi na powtórne zamówienie przez klienta następnej kawy odrzekła: »Nie jestem gońcem. Trzeba było od razu dwie zamówić* i poświęcić się konwersacji towarzyskiej”. Sam kelner wypowiadał się rzadziej. „Uważam, że jakieś 40% kelnerów bierze gości za gardło. Rachunek powinien być wystawiony przez kalkę. Oni tego nie robią. Dziwię się, że często konsument nie zwraca na to uwagi” - samokrytycznie ubolewał przedstawiciel tego zawodu na łamach „Dookoła świata”. „Niechby i konsument uznał zasadę: jak cię widzą, tak cię obsłużą” - dodawał jego kolega. Regulamin Powszechnej Spółdzielni Spożyców w Brzegu Dolnym przewidywał, że „w razie nie-podania przez kelnera zamówionego obiadu w ciągu 15 minut - koszty pokryje kelner”. Kucharzy krytykowano rzadko. Wyjątek odnotowała „Polityka” w 1967 roku. Warszawski urzędnik na delegacji w Białymstoku wpisał tam do książki skarg i zażaleń: „Jeżeli chodzi o rosół, należy stwierdzić, że zawartość soli w tej potrawie przekraczała przyjęte przez konsumentów normy. Ponadto należy dodać, że umakaronowanie rosółu było zbyt wysokie”.

Odpór odgórny

A obsługiwano rozmaicie. Kiedy w Rzeszowie zaczęły się mnożyć skargi na „pieluchowe zapachy” w barach mlecznych, kierownictwo tamtejszych placówek nakazało umieścić wywieszki: „Tu się przychodzi jeść, a nie oddychać”. Szerokim echem odbiła się w kraju sprawa sądowa, jaką wytoczono kierownikowi restauracji Europa w Międzyzdrojach. Pani „toaletowa” zeznawała: „W lokalu stosowana była pałka i gaz łzawiący, którymi poskramiano konsumentów”.

/X MODNY „SZATAN”

PRL-owska gastronomia miała lokalne mody. Kierownicy wrocławskich restauracji pilnowali, by na każdym stoliku stały trzy butelki wody mineralnej. W Olsztynie zaś na stolikach musiały znajdować się syfony z wodą sodową. A w Warszawie kawiarnie zobowiązano do umieszczenia w karcie słodzonej kawy „Szatan” w kostkach.

Nóż na łańcuch!

Na osobną epopeję zasługuje gastronomiczna zastawa stołowa. Restauracja w Kuźnicach pod Zakopanem jeszcze w czasach go-mułkowskich pobierała 10 złotych kaucji za wypożyczenie noża. „Kaucję - informował „Przekrój” - wprowadzono od «czarnej niedzieli», kiedy to w ciągu kilku godzin zginęło ponad 200 noży. Turyści mogą uiszczać kaucję w dewizach. Za nóż pobiera się od nich minimalnie 700 zł”. W Warszawie każdego roku na skradzioną zastawę, zniszczone stoliki i podarte obrusy wydawano po kilkadziesiąt milionów złotych.

Obiady przewlekłe

Rok 1961 ogłoszono „Rokiem Gastronomicznym”. Prasa pytała z tej okazji bywalców lokali o wrażenia. „Idiotyzm pieczarek - ubolewała konsumentka - na sześć potraw mięsnych, pięć jest z pieczarkami. Oczywiście chodzi wyłącznie o wyśrubowanie cen”. „Obiad w warszawskiej restauracji - skarży się klientka - musi trwać półtorej godziny. To jest potworne”. „O gastronomii wiem tyle - zwierza się gospodyni domowa - że od kiedy mój mąż jada w domu, wyleczył się z choroby żołądka”.

Menu z radiowozu

„W zielonogórskiej restauracji »Wiśniowa« pewne małżeństwo tak długo nie mogło zamówić obiadu, przeganiane przez personel od stolika do stolika i całkiem po prostu szykanowane, aż nadjechało wezwane na tę okoliczność pogotowie milicyjne, co sprawiło, że zgłodniaли małżonkowie zostali wreszcie za swe pieniądze nakarmieni. Postuluje się, by w lokalach gastronomicznych wprowadzić stałe dyżury milicjantów, co radykalnie rozwiąże problem niedbałej i niegrzecznej obsługi” - pisał tygodnik „Kulisy” w 1980 roku.

225

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Talerz

Ryzykowaliśmy zatrucie, ale jadaliśmy w punktach zbiorowego żywienia. Dlaczego? Bo nie było innych.

dla milionów

Gościnny zaprasza drugą zmianę

Państwo dotowało bary mleczne, by „szerokim rzeszom konsumentów” zapewnić pożywne i tanie posiłki. W języku urzędowym te placówki gastronomiczne rozumiano jako „samoobsługowe, bezalkoholowe ogólnodostępne zakłady masowego żywienia, prowadzące produkcję i sprzedaż potraw mleczno-nabiałowo-jarskich wchodzących w skład posiłków codziennych”. Zaczęły powstawać w 1948 roku i już z początkiem lat 50. pokryły gęstą siecią polskie miasta. Zawiadywała nimi spółdzielnia „Społem”, której charakterystyczne logo widniało na barowych talerzach i sztućcach. Były otwarte w dni powszednie od 6.00 do 22.00, a w niedziele od 7.00 do 21.00. Mogły obsłużyć więc pracowników drugiej, a nawet trzeciej, nocnej zmiany. W barach mlecznych spotykało się pełny przekrój społeczeństwa: od robotników i lumpenproletariatu, po „inteligencję pracującą”.

.•-; -

?■ I» B κ

i Ui'liS|*,k-i

;ii , «IMittiU

Stołowanie się w jadłodajniach było zgodne z zapatrywaniami Władysława Gomułki, który uważał gotowanie posiłków domowych za stratę czasu. Nie przypadkiem mieszkania budowane za jego rządów zostały wyposażone w niewielkie ślepe kuchnie lub całkiem małe aneksy, gdzie dało się przygotować herbatę, ale nie obiad. Nazwy barów były podobne w całej Polsce: Gościnny, Familijny, Biedronka, Słoneczny. Jadało się przy kwadratowych stolikach pokrytych ceratą, zamawiało przy ladzie zwanej akwariem. Z boku znajdowało się okienko, w które należało wstawiać brudne naczynia. Talerze bywały wyszczerbione, kubki miały poobtlukiwane uszka, a o tępy nóż do smarowania trzeba się było upominać osobno. Jeden z bywalców baru Słonecznego w Gdyni wspominał: „Musiałem być bardzo głodny, by przebić się przez smród szpinakowej bryi, gryczanych mazi, rozgotowanych puree popijanych zawiesziną zwaną kompotem, sporządzoną według sprawdzonych żołnierskich proporcji 1:1 (jeden słoik kompotu na jedno wiadro wody)”.

ABY UKRYĆ BRAK MIĘSA... W barach mlecznych obywatele mogli za niewielkie pieniądze nabyć kluski, pierogi, omlety. Te jarskie dania miały odwrócić uwagę konsumentów od braku mięsa. Nie starczało go na wyżywienie przeciętnej rodziny, nie byto więc mowy, by pokryć zapotrzebowanie gęstej sieci punktów zbiorowego żywienia.

226

Rynek socjalistyczny

Stołówka przyzakładowa (1981 1

"^ЧИИ

Nie zjesz - działacz nie pozwala

Problemy z jedzeniem mieli ci wszyscy, których nie było stać na prowadzenie własnej kuchni. „Niegościnni są mieszkańcy DS. Sadyba Akademii Rolniczej w Poznaniu - oceniała prasa. - DS. posiada własną stołówkę, w której studenci jadają zwykle około 60 obiadów, 40 śniadań i 35 kolacji dziennie, a jej moc przerobowa wynosi ponad 100 posiłków każdorazowo. Innymi słowy - stołówka w prawie 50% jest niewykorzystana. W okresie obłożenia dwóch największych stołówek uniwersyteckich znajdujących się w śródmieściu, kiedy studenci pozostają często bez podstawowego posiłku dziennego, właśnie małe stołówki znajdujące się gdzieś na uboczu mogą być jedynym rozwiązaniem. Nie można jednak jeść w Sadybie, bowiem może podejść jakiś działacz Rady Mieszkańców i najzwyczajniej w świecie wyprosić delikwenta z sali. Kierowniczka stołówki bezradnie rozkłada ręce i wypłaca należność za niewykorzystane obiady. - Panie, oni tu skaczą do oczu za każdy sprzedany obiad komuś

obcemu, choć studentowi przecież". Podobne sytuacje prasa odnotowywała częściej: „Restauracja Cechowa w Poznaniu położona jest tuż obok kompleksu gmachów Collegium Novum Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza i dworca autobusowego. W jedną z sobót miejsca przy stoliku zajęło dwóch młodych mężczyzn. Jeden z nich studia skończył trzy lata temu, drugi studentem nie jest i nigdy nie był. Młodzi ludzie zamówili po szklance herbaty. Kelnerka przyjmująca zamówienie, robiąc minę obrażonej królowej, zwróciła się do swojego kolegi półgłosem, ale na tyle wyraźnie, że jej słowa dobiegły do stolika gości: - Te cholerne zaoczniki znowu tu przyłazły i nic nie zarobię".

IIIIIIIM

^ ZAKŁAD ŻYWICIEL

W PRL-u powszechne były stołówki przyzakładowe. Obiad jadano się tam po oddaniu bonu, który najczęściej współfinansował zakład pracy. Dzięki temu żywienie się w stołówce wypadało średnio trzy razy taniej niż w restauracji. W stołówkowym menu dominowały potrawy mączne, z mięsa najczęściej dostępny był kurczak.

Odpychające bufety

W trudnej sytuacji gastronomicznej tygodnik „ITD” podnosił ważką kwestię kultury jedzenia: „Nie ma kto uczyć studenta estetyki spożywania posiłków. Stołówkom i bufetom studenckim daleko od standardu przyzwoitych restauracji. Szczególnie bufety odpychają swoim wyglądem - wyposażone w przypadkowe meble, stoły nie przykryte, okna bez firanek, talerze najgorszego gatunku. Tu właśnie powinno się sprzedawać kanapki i inne małe zimne dania, ładnie opakowane w folię, podane na jednorazowych talerzykach lub w kubkach, tak aby można to było zabrać ze sobą. W bufecie dominują bigos i kiełbasa serwowana wiadomo jak”.

Studenci precz z restauracji

„W gabinecie przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego SZSP w Poznaniu doszło do niecodziennego spotkania - podawała prasa lat 70. - Przedstawiciele dyrekcji Poznańskiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Gastronomicznego (Oddział Restauracji) przekonywali przez półtorej godziny dwóch zastępców przewodniczącego ZW, iż studenci nie powinni chodzić do restauracji. Prominenci PPPG liczyli na to, że ideowo-polityczna młodzieżowa organizacja akademicka zakazuje studentom chodzenia do lokali, gdzie piją herbatę czy wodę sodową, czytając przy tym skrypty lub notatki z wykładów i regulują rachunki w wysokości co najwyżej kilku złotych polskich. Studenci do tego wszystkiego żartują, a i nierzadko używają brzydkich słów”.

227

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Vars

wita

was!

Kolej rządziła się własnymi prawami. Kto w to nie chciał uwierzyć, przekonywał się o tym boleśnie.

Konduktor z pałką

Majczęściej w bezpośrednim starciu z kolejową obsługą. Na trasie Szczecin-Lublin połowa wagonu pierwszej klasy była zarezerwowana. Wersja oficjalna głosiła, że dla kryminalistów w eskorcie MO. Jednak takie transporty rzadko się zdarzały, a mimo to konduktorzy nie zwalniali rezerwacji. Nie martwił ich wcale los podróżnych tłoczących się obok zupełnie pustych przedziałów. Kiedy jeden z takich pasażerów zażądał książki skarg i zażaleń, konduktor dłuższy czas opierał się, wreszcie sięg-

Mjrcie wzbronione pod karą 100 zł -napis nad unajwalką na stacji PKP w Sanoku

ciekawego w niej nie było. Podróżnik w świetlicy musi mieć jasne i przytomne spojrzenie.

Senność i wszelkie jej znamiona to objaw złego wychowania i wręcz chuligaństwo. W

świetlicach dworcowych panuje więc etykieta jeszcze surowsza od tej, która obowiązywała na

dworze hiszpańskim. Z rzeczy, których nie wolno tu robić, należy wymienić jeszcze rozmowę, pisanie listów («Obywatelu, tu nie pocz-ta»), jedzenie oraz wprowadzanie dzieci". Błagam, nie jedźcie!

nał do teczki. Otworzył ją i wyjął milicyjną pałkę. Często korzystanie z usług kolei przypominało

Z jednoznaczną groźbą użycia. Do prasy nieustannie napływały też zażalenia na personel dworcowy. „Kulisy" notowały w 1966 skargi na obsadę świetlic: „Świetliczanki są bardzo surowe i bystre. Biada, je- Wpodróży(1978) śli wykryją, że któryś podróżnik przymknał na chwilę oczy. Wstają wówczas od swego stolika i upominają: «Obywatelu, nie śpijcie, tu nie hotel». Nie pomogą tłumaczenia, że podróżnik zasnął np. nad lekturą miejscowej gazety, bo akurat nic

„... POWOLI -JAK ŻÓŁW -

OCIEŻALE..."^ Pociągi-ślimaki to była osobna kategoria w polskim kolejnictwie. Jeździły tak wolno, że wolniej już się nie dano. Odległość 30 km między Wrocławiem a Ślężą pociąg osobowy pokonywał w 2 godz. Postoje na stacyjkach trwały dłużej niż sama jazda.

rozwiązywanie kwadratury koła. Na przykład turnusy na odgórnie organizowanych wczasach i koloniach zaczynały się 1 lipca. Wczasowicze powinni byli się stawić na czas, bo inaczej 228

Rynek socjalistyczny

^ SYPIALNY W POTRZEBIE

Kiedy pewien obywatel Ameryki Południowej niespodziewanie odwiedzi! Warszawę, okazato się, że stolica nie dysponuje ani jednym miejscem noclegowym. Orbis przyszedł jednak zagranicznemu turyście z pomocą. Wręczono mu bilet na pociąg sypialny relacji Warszawa - Kraków.

unieważniano im skierowanie. Jednak wszyscy naraz nie mogli dojechać. Przynajmniej nie polskimi kolejami. Co nie przeszkadzało kolejarzom obłudnie apelować corocznie na łamach prasy: „Władze kolejowe błagają podróżnych, ażeby nie wszyscy chcieli wyjeżdżać na urlop w nocy z dnia 30 czerwca na 1 lipca. Żadna kolej świata nie jest w stanie zapewnić jednoczesnego wyjazdu dziesiątkom tysięcy urlopowiczów. Miejcie litość nad sobą, nad swoimi żonami, nad swoimi dziećmi, nad konduktorami, nad bliźnimi, nad koleją.

Wyjeżdżajcie na kilka dni przed 1 lipca lub na kilka dni po". Personel kolejowy uzupełniał te wywody. Konduktor Jan Małecki doskonale wiedział, kto był odpowiedzialny za tłok w pociągach: „Nie ulega wątpliwości, że wiele winy za przepełnienie pociągów ponoszą podróżni, których żadną siłą nie można nakłonić do tego, żeby nie podróżowali 1 lipca, 31 sierpnia etc. Gdyby przemóc wreszcie te kiepskie tradycje, mielibyśmy wszyscy - podróżni i pasażerowie - lżejsze życie" - tłumaczył. I tu kółko się zamykało.

Higiena kolejowa

Prasa wielokrotnie piętnowała obyczaje panujące na kolei. Najczęściej bez skutku. „Kulisy" pisały w roku 1966: „O czym marzy podróżny po wyjściu z pociągu? O umyciu się. Nie gruntownym, lecz choćby wizualnym - twarz, ewentualnie szyja. (...) Tylko niewiele dworców posiada toalety z kabinami, w których byłyby umywalki. Zwykle funkcjonariuszka toaletowa wręcza bez uśmiechu miednicę, która nosi ślady wiekowych zaniedbań higienicznych kilkudziesięciu generacji. Jeśli podróżnik podejmie heroiczną decyzję skorzystania z miednicy, musi zapoznać się ze skomplikowanym cennikiem oraz przeczytać wiele haseł i przykazań wiszących na ścianach. Obok nawoływań do mycia zębów i zachowania czystości, jest również stereotypowe: »Po odejściu od kasy reklamacje nie będą uwzględniane«. Jest to notabene przedziwna kasa, składająca się z wyciągniętej i żywej ręki funkcjonariuszki toaletowej".

Księgowy rozliczy torpedę

„Przekrój” z początkiem lat 60. nie mógł się nachwalić pociągów „delegacyjnych”:
„Motorowe pociągi ekspresowe, zwane popularnie torpedami, połączą sporo większych miast polskich. Będziemy nimi jeździli szybko, w dogodnych godzinach, oszczędzając czas i... nerwy na szukanie hotelu, albowiem większość torped ma tak ułożone rozkłady jazdy, że da się nimi pojechać rano z miasta do miasta, a wieczorem wrócić”.

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO

Le

Mają Amerykanie swego kultowego harleya--davidsona, mieliśmy taki motor i my. Szkoda, że do dziś gna po drogach całego świata, tylko nie po naszych.

Gwiazda dziesięciolecia

Powstał jako cudowne dziecko polskiej motoryzacji zaledwie w siedem lat po wojnie. Jednocylindrowy motocykl górnozaworowy, nazwany „polskim harleyem”, choćby tylko z racji ciężkiego posapywania. Silnik miał czterokrotnie mocniejszy niż inne motocykle, które wówczas jeździły po polskich drogach. Po raz pierwszy Junak publicznie zasapał w 1954 roku na Wystawie X-lecia we Wrocławiu. Maszyna była nowoczesna, dorównywała najlepszym ówczesnym modelom. Jednak trafiła w zły czas. Władza rozliczała się właśnie z zaszłościami stalinowskimi i nie miała głowy do motoryzacji. Skutkiem tego produkcja Junaka ruszyła dopiero w 1957 roku. Wyprodukowanie pierwszego 1000 motocykli zajęło naszemu przemysłowi cały następny rok.

Junak(1957)

Ścigacz dla MO

Jednak już te pierwsze egzemplarze zaczęły budować legendę Junaka - pojazd wygrywał konkurs za konkursem. Zarówno w Tatrach, jak i w Alpach. Bito na nim krajowe rekordy prędkości. W 1959 roku na trasie Tczew-Malbork potrafił się rozpędzić do 150 kilometrów na godzinę, co budziło wówczas szacunek i grozę. Dlatego też błyskawicznie podwyższono jego cenę. Na początku 1959 roku kosztował 13 500, a pod koniec tego samego roku już 20 000 złotych. Natychmiast spodobał się Milicji Obywatelskiej, która zamówiła w fabryce własną wersję motocykla - z szybą z pleksiglasu i przewoźną radiostacją o zasięgu 20 kilometrów. Mikrofonu umieszczonego przy kierownicy można było używać w czasie jazdy. Pojawił się też Junak przystosowany do motokrosu i rajdu. Na potrzeby rodzin producent dołączył do maszyny przyczepę, w której motocykliści obwozili swoje narzeczone. Niestety, Junaka zgubiła własna doskonałość. Już w roku 1965 władze orzekły, że to pojazd zbyt kosztowny, by masowo mogła go używać klasa

ZDOBNICTWO MOTORYZACYJNE Motocykliści zdobyli swe maszyny tak, jak im pozwalały na to gusta. „Kulisy” donosiły w 1974 r.: „W Kielcach pewien motocyklista obciągnął siodełko amarantowym jedwabiem, obszytym złotymi frędzelkami. Przechodnie mówią na tę kompozycję »proporczyk« i oglądają się częściej niż za Alfą-Romeo”.

230

Rynek socjalistyczny

robotnicza. Produkcję przerwano. Po polskich drogach jeździło już wówczas przeszło 90 tysięcy junaków. Kultowy motocykl musiał zejść z taśmy montażowej i przejść do legendy. Na 35 lat.

Junak reaktywacja

Legenda okazała się jednak nie do zarcia, więc w roku 2000 powołano w Polsce firmę Junak Motor, która wytyczyła sobie jeden cel - przywrócenie Junaka na polskie drogi. Z wykonaniem tego zamierzenia nie poszło już tak łatwo. Okazało się, że sztab polskich inżynierów u progu XXI wieku nie jest w stanie skonstruować lekko zmodernizowanej wersji pojazdu z 1954 roku. Brakowało zarówno doświadczenia, jak i nowoczesnego sprzętu. Nie było rady - produkcję polskiego motoru trzeba było powierzyć Koreańczykom. Tamtejsza

fabryka Hyosung, silnie powiązana z japońskim koncernem Suzuki, zdecydowała, że weźmie Junaka na warsztat. Jego założenia konstrukcyjne wcale się bowiem nie zestarzały.

Wypuszczono na rynek Junaka Milenium, a z rozpędu także modele towarzyszące (Junak Kumpel i Junak Pionier). I „polski harley” nawija kilometry jak świat długi i szeroki - od meksykańskich bezdroży po kolumbijskie Andy.

Konkurencja motoryzuje Polskę

Junak przegra) z motocyklem WSK - mniejszym, łatwiejszym i tańszym w produkcji.

Pierwsze wueski pojawiły się na rynku w 1958 roku i od razu było wiadomo, że to one otrzymają misję zmotoryzowania kraju. Konstruktorzy projektowali coraz to nowe modele: Lux, Sport, Sarenka. Do WSK należały też lata 70., kiedy Junak był już tylko wspomnieniem. Wtedy powstały wersje: Gil, Lelek, Bąk, Dudek. Milionową wueskę wyprodukowano w 1973 roku. W 1985 roku okazało się, że z taśmy zjechało 2 miliony tych motocykli. Był to jednak jednocześnie rok, w którym zamknięto ich produkcję. Polacy przesiedli się do samochodów.

A\ MOTOCYKL PRZEGRYWA Z KLIMATEM

W Polsce nie opłaca się produkować Junaka. W nowoczesnej wersji musiałby kosztować tyle, ile 2-3-letni samochód średniej klasy. A trzeba by takich motocykli upłynnić u nas co najmniej 10 tys. rocznie, aby produkcja się opłacała. Tymczasem w ciągu roku jest kupowanych w kraju nie więcej niż 6000 jednośladów wszystkich marek. Na tyle pozwala nasz klimat.

Junaki na czterech kółkach

Silnik Junaka posłużył w latach 50. do skonstruowania niewielkiego auta. Ten oryginalny polski pojazd nazywał się Smyk. Budowę prototypu ukończono w 1957 roku. Samochodzik miał dwoje drzwi i był przystosowany do przewożenia dwóch dorosłych osób na przednich siedzeniach i dwojga dzieci z tyłu. Nie miał koła zapasowego, ponieważ ciągle bardziej opłacało się załatać dętkę. Mógł się rozpędzić najwyżej do 70 kilometrów na godzinę.

Niestety, Smyk nie trafił do produkcji. Zaniechano też wytwarzania innego podobnego pojazdu, autka o nazwie Gryfie. Miał zasadniczą wadę - przewracał się na zakrętach.

Wszystko na nic

„Na początku szedł jak świeże bułeczki. W kraju prawie nie było motocykli. Zostało trochę poniemieckich i polskich przedwojennych. Krajowa produkcja była niewielka, poza tym nie dorównywała Junakowi. To była jedyna maszyna z czterosuwowym silnikiem. A to był motor pełną gębą. Z czasem jednak cena wzrosła do 24 tysięcy złotych, co na ówczesne czasy było bardzo dużą sumą. Zaczęliśmy mieć kłopoty ze zbytem. Pojawiły się motocykle tańsze, dwusuwowe. Więc zaczęliśmy eksportować, mieliśmy swojego przedstawiciela nawet w USA. Wszystko na nic” - wspominał po latach Zbigniew Konieczek, jeden ze współtwórców Junaka.

231

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Może samochód nie daje szczęścia, ale każdy Polak chciał się o tym przekonać osobiście.

Najpierw ciężarówka z cegłą

Tuż po wojnie przekonać się było bardzo trudno. Kraj nie miał nawet ruin fabryk ani resztek dokumentacji technicznej. Zostało kilku fachowców, którym udało się wyprodukować maszynę Star (nazwa wzięto od Starachowic) w wersji trzy-, cztero- i pięcotonowej. Star był najważniejszy - dowożono nim materiały do odbudowy miast. Z samochodami osobowymi sprawa wyglądała znacznie gorzej. Maleństwo o nazwie Mikrus, wypuszczone przez zakłady w Mielcu w 1957 roku, miało silnik zrobiony z pompy strażackiej. Powstało też kilka prototypów Syreny, wdrożonej do produkcji po 15 latach od chwili, kiedy zesła z deski kreślarskiej. A więc już wtedy przestarzałej. Największym sukcesem konstruktorów tego okresu była Warszawa, przerobiona z radzieckiej

^ DYWANIK GARAŻOWY

Miłośnicy motoryzacji, których nie było stać na samochód, kupowali na początek garaż. Pomieszczenie zwykle wiele lat stało puste lub służyło jako składzik. Kiedy w końcu udawało się tam wprowadzić wymarzone cztery kółka, właściciel auta mościł beton dywanem, aby w ten sposób przedłużyć żywotność opon.

Pobiedy. Produkowano ją aż do 1973 roku. W latach 70. miejsce syrenek i warszaw zajął Fiat 125p, montowany na włoskiej licencji. W 1971 roku ekipa gierkowska podpisała w Turynie kontrakt na mały samochód rodzinny, który miał zmotoryzować kraj. Dwa lata później pierwsze maluchy opuściły zakłady w Bielsku-Białej. Wypuszczenie ich na polskie drogi okazało się prawdziwą rewolucją. Z czasem powstały prototypy lepszych pojazdów, takie jak choćby bardzo udany model Beskid o doskonałych parametrach i nowoczesnej sylwetce. Władze wołały jednak w niego na razie nie inwestować. Chciały za wszelką cenę udrażniać kraj. Taka polityka wkrótce się zemściła. Kiedy budowano Poloneza, polska myśl techniczna pozostawała zbyt daleko w tyle, byśmy mogli skonstruować własny, konkurencyjny samochód.

232

Polska ruletka

Jazda po polskich drogach przypominała loterię. Rowerzyści nagminnie poruszali się środkiem jezdni zygzakiem, oczywiście bez świateł. Rolnicy na konnych wozach zapalali lampy tylko na widok patrolu milicji. Zresztą nie były to żadne lampy, a ogarki, które łatwo gasły na wietrze. Właścicielami szos czuli się kierowcy wielkich ciężarówek, domagając się, by wszyscy inni im ustępowali. W dodatku jeszcze w latach 60. drogi bardzo rzadko były przedzielone na dwa pasy. Jeździło się więc na wycucie. Milicjanci nie zajmowali się regulacją ruchu, lecz wypisywaniem mandatów w miejscach, gdzie kierowca i tak w praktyce musiał złamać jakiś przepis. Przy tym zupełnie obojętne patrzyli, jak tuż obok szosy grupa dzieci bawiła się w berka. Również stawianie pułapek za węglami domów nie przysparzało funkcjonariuszom drogówki szacunku. Milicjanci nie pilnowali też, by przez jezdnię nie przeprowadzano kur czy baranów, co było zmorą terenów wiejskich.

Mikrus

ЛЧ MIKRUS NA KRÓTKO

Mikrus powstawał w dwóch fabrykach - w Mielcu budowano nadwozie, a w Rzeszowie silnik. Produkowano go tylko w latach 1957-1960. Udało się zmontować zaledwie około 1700 egzemplarzy tego auta. Mikrus mógł osiągnąć maksymalną prędkość 90 km/h. Teoretycznie przeznaczony był dla czterech osób, ale jedynie dwie siedziały w nim względnie wygodnie.

A\ SZNUREK PO SYRENKĘ

Kolejki po samochód były osobną gehenną PRL-u. Poznański Motozbyt otrzymał w 1970 r. na województwo przydział 112 trabantów typu limuzyna, 26 trabantów typu combi, 36 wartburgów de lux i 68 wartburgów w wersji standard. Ponadto w styczniu przedsiębiorstwo przyjmowało jeszcze przedpłaty na syreny oraz fiaty z terminem realizacji na rok bieżący.

Tankowanie przy muzyce

Pierwszą nowoczesną stację obsługi samochodów w Polsce otwarto w roku 1980 w Alejach Ujazdowskich w Warszawie. Na wyposażeniu miała takie cuda techniki, jak przyrządy do regulacji gaźnika i hamulców czy kanał do mycia podwozia. Pracowało tam dwóch specjalistów z tytułami magistra inżyniera. Niestety, początkowo stacja była ukryta - dwa miesiące nie mogła doczekać się szyldu. Z kolei na stacji obok pierwszego w kraju motelu w podstołecznych Jankach benzynę nalewano przy akompaniamencie muzyki z płyt.

Rzeźnia na szosie

Z początkiem lat 80. po Polsce jeździło 1,3 miliona pojazdów mechanicznych, wśród nich 320 tysięcy motocykli. I to one zbierały na drogach największe krwawe żniwo. Na jednego zabitego w wypadku samochodowym przypadało aż 10 motocyklistów. Już wówczas, w okresie gomułkowskiej małej stabilizacji, znalazłoby się w Polsce około pół miliona osób,

które byłoby stać na ratalne kupno niedrogiego, małowitrazowego auta. Chętni musieli jednak poczekać na Fiata 126p do następnej dekady.

233

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

P©

«Jasct

lud

To pierwszy polski samochód. Prosty, ale jedyny, na jaki było nas stać.

©^

Więcej entuzjazmu, mniej technologii

Żaiery zbudować popularny, oszczędzający czas środek przewozu, przy wykonywaniu czynności służbowych i wypoczynku, przeznaczony dla racjonalizatorów, przodowników pracy, aktywistów, naukowców, przodujących przedstawicieli inteligencji" - tak zdecydował w 1953 roku Komitet Centralny PZPR. Prace nad projektem samochodu ruszyły w warszawskiej Fabryce Samochodów Osobowych. Władze zastrzegły, że auto ze względu na polskie możliwości produkcyjne i brak sieci serwisowej ma być bardzo proste. Poważnie brano pod uwagę, że wóz będzie miał karoserię osadzoną na drewnianym szkielecie, wypełnioną płytą pilśniową i pokrytą skórą. Entuzjazm projektantów i robotników sprawił, że już 31 grudnia 1953 roku pierwszy egzemplarz Syreny, bo taką nazwę wybrano dla pojazdu, zjechał przed Ministerstwo Przemysłu Maszynowego. W marcu 1955 roku auto pokazano na Targach Poznańskich, gdzie wzbudziło zachwyty zwiedzających.

Jazda na wycucie

Na seryjną produkcję trzeba było jednak czekać jeszcze dwa lata - aż fabryka na Żeraniu osiągnie na tyle duże moce produkcyjne, by oprócz Warszawy montować również Syrenkę. Pierwsi użytkownicy chwalili auto głównie za wysokie nadwozie, pomagające w poruszaniu się po fatalnych polskich drogach. Z kolei zbiornik paliwa został umieszczony w bardzo niewygodnym i niebezpiecznym miejscu - obok silnika. Przy każdym tankowaniu

^ KAROSERIA POD MŁOTKIEM

W 1957 r. fabrykę opuściło zaledwie 200 syrenek, a rok później - 660. Początkowo proces produkcyjny był bardzo czasochłonny. Przykładowo - karoserię wyklepywano młotkami blacharskimi. Jednak do 1972 r., kiedy produkcję Syrenki przeniesiono do Bielska-Białej, z zakładów na Żeraniu wyjechało ponad 170 tys. egzemplarzy tego auta.

trzeba było podnosić przednią pokrywę. Samochód nie miał wskaźnika poziomu paliwa.

Jeździło się więc na wycucie. Szybko też stało się jasne: Syrenka wcale nie będzie produktem przejściowym, jak początkowo planowano. Produkowano ją jeszcze wiele lat (ostatnie auto zjechało z taśmy w 1982 roku), ponieważ polski przemysł maszynowy długo nie był w stanie wypuścić na rynek nowocześniejszej konstrukcji. W 1961 roku na Wystawie Postępu Technicznego w Przemysle Motoryzacyjnym zaprezentowano o klasę lepszą od swej

234

Rynek socjalistyczny

poprzedniczki Syrenę 104, która dorównywała wytwarzanym w tym czasie niemieckim Wartburgom czy szwedzkim Saabom. W dodatku samochód doczekał się wersji sportowej. Do legendy polskiej motoryzacji przeszła Syrena Sport wyprodukowana, niestety, w jednym tylko egzemplarzu. Miała śmiałą, efektowną karoserię, przypominającą ówczesne modele Alfa Romeo.

Przerdzewiałe błotniki

Syrena zmotoryzowała Polskę lat 60. - na tyle, na ile to było możliwe. W warszawskiej fabryce występowały bowiem nieustannie problemy z kooperantami. Silniki wytwarzane w Bielsku-Białej nadchodziły z ogromnymi opóźnieniami. Tamtejsze zakłady miały tak samo

niewielkie doświadczenie w produkcji podzespołów, jak Warszawa w montowaniu całości. W 1961 roku po polskich drogach jeździło już jednak 10 tysięcy tych samochodów. Ciągłe wokół każdego egzemplarza gromadził się tłum gapiów. Syrenkę można było kupić na talon przyznany przez władze albo w PKO „za waluty wymienialne”. Posiadacze zrzeszali się w kluby

Rajd Monte Calvaria (1968)

użytkowników tych wozów. Fabryka zbierała informacje od właścicieli, traktując je jako nieoficjalne wytyczne do usprawnienia produkcji. „Dyrekcja FSO zwraca się do użytkowników samochodów FSO Syrena z prośbą o nadsyłanie uwag dotyczących ich jakości oraz usterek i wad zaobserwowanych w czasie eksploatacji, po okresie gwarancyjnym samochodu” - pismo tej treści nabywca auta otrzymywał wraz z kartą gwarancyjną. Zmierzch Syreny nadszedł w połowie dekady. Klienci coraz częściej zamiast niej kupowali trabanty lub zastawy. Poza tym Syrena dość często się psuła. Zjedzone przez rdzę błotniki były niemal regułą. Na karoserii łuszczyła się też emalia. Po prostu polski przemysł nie był wówczas gotów do wyprodukowania w miarę bezusterkowego pojazdu. „Czy będziemy mieli po naprawie niezawodny samochód? - pytał w 1964 roku tygodnik „Motor”. - Niestety nie! Wymiana nawet wszystkich mechanizmów na nowe nie gwarantuje nam, że nie utknijemy gdzieś w polu z perspektywą powrotu do domu na sznurku”.

Fiat ponad wszystko Od początku lat 60. polscy konstruktorzy zgłaszali coraz to nowe modele samochodów, które mogłyby zastąpić starzejącą się Syrenę. Zaprojektowano cztery nowe auta o roboczych nazwach: Alfa, Beta, Gamma, Delta. Trzy z nich zbudowano na prawach prototypu. Nie ustępowały one podobnym samochodom produkowanym nie tylko w krajach socjalistycznych, ale i na Zachodzie. Władze postanowiły jednak, że te innowacyjne konstrukcje nie wejdą do produkcji - nie stać na to polskiego przemysłu samochodowego. W rezultacie w 1965 roku podjęto decyzję o zakupie we Włoszech licencji na średniolitrażowego Fiata 125p.

^ SYRENKA NA WIRAŻU

W 1960 r. Syrenę, z załogą Marek Varisella i Marian Repeta, udato się wystać na najtrudniejszy ówczesny rajd samochodowy - Monte Carlo. Na 327 pojazdów uczestniczących w wyścigu zajęła bardzo dobre 97. miejsce. Ostatni raz pierwszy polski samochód wziął udział w rajdzie w 1964 r.

"fet.

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

V >

ale

Edward Gierek tuż po objęciu władzy postanowił zmotoryzować Polskę. Z furmanek, syrenek i rowerów Polacy mieli się przesiąść do małego fiata.

ШиниeШШШ

Fiat 126p jako nagroda w loterii fantowej (1978)

Maluch na czele pochodu

Umowę na jego produkcję między rządem polskim i włoskim koncernem Fiat podpisano w 1971 roku. Na nasz rynek miał trafić jako następca Fiata 500. Nazwano go Fiat 126p. Literka „p” symbolizowała, że auto będzie przeznaczone na polski rynek. Produkcja ruszyła rok później w Bielsku-Białej, gdzie dotąd montowano syrenki. Pierwsze egzemplarze uroczystie zaprezentowano w siedzibie koncernu w Turynie i w Warszawie. Samochód miał generalny atut: mieściła się w nim przeciętna polska rodzina (dwa plus dwa). Poza tym linię produkcyjną i pierwsze importowane podzespoły można było spłacać powstałymi w Polsce fiacikami. Prasa pełna była reportaży z bielskiej fabryki. Rozpisywano się zwłaszcza

o Tour de Pologne, zorganizowanym przez „Express Wieczorny”, w którego ramach do kolumny fiatów 125p dołączono próbnie dwa maluchy. Pochód pierwszomajowy w Bielsku w 1972 roku otwierał oczywiście mały fiat. Na razie złożony z części wytwarzanych we Włoszech. Krajowe podzespoły zaczęto produkować dopiero w następnym roku.

„Nie tracę wpłacając na ten samochód”

Nic dziwnego, że system przedpłał na tak reklamowanego fia-cika wystartował już kilka miesięcy przed uruchomieniem produkcji. Auto kosztowało około 70 tysięcy złotych, a średnia pensja wynosiła 3500. Uzbieranie pełnej kwoty było więc okupione dużym wysiłkiem całej rodziny. „Bardzo dokładnie zapoznałem się ze wszystkimi danymi technicznymi nowego wozu i wiem, że nic nie tracę wpłacając na ten samochód” -mówił prasie jeden z mieszkańców Bielska. Pierwsza piątka maluchów trafiła - drogą losowania - do uczestników masowej imprezy na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Kiedy pierwsze egzemplarze pojawiły się na giełdzie samochodowej, ich cena skoczyła od razu do 100 tysięcy. Fiatów bowiem ciągle było zbyt mało. Zarówno w 1974 roku, kiedy wyprodukowano 10 tysięcy samochodów, jak i w 1976, kiedy bramy fabryki opuściło

235

Rynek socjalistyczny

FIAT NIEZMIENNY } FT W ciągu 30 lat produkcji maluch zmienił się niewiele. Z czasem metalowe, chromowane zderzaki zamieniono na plastikowe, dodano boczną listwę i zagłówki nad oparciami. Zwiększono także silnik - z 595 cm³ na 652 cm³. Zamontowano katalizator. Powstał też Fiat 126p Bis z silnikiem o pojemności 700 cm³. Model ten mieścił więcej bagażu i był nieco cichszy od poprzednika.

80 tysięcy. Ciągle trzecią ich część przeznaczano na eksport do Włoch w ramach spłaty za licencję i części zamienne.

Na chińskich drogach

Fiat 126p był pierwszym samochodem, jaki prowadziły miliony polskich kierowców.

Narzekali wprawdzie na hałas silnika, oporną kierownicę i słabe hamulce, ale używali auta do najrozmaitszych prac. Maluch ciągnął pług na polach, przyczepę z materiałami budowlanymi, sanie zimą. Jeździł także po drogach tak egzotycznych krajów, jak Chiny czy Chile.

Jednocześnie bił ilościowe rekordy na polskim rynku. Milionowego fia-cika wyprodukowano w 1981 roku, drugi milion zszedł z taśmy do 1993 roku. Montowano go jeszcze w 2000 roku. Wtedy był już zabytkiem motoryzacji. Finalną partię aut nazwano Happy End, a ostatni egzemplarz Fiata 126p przesłano do muzeum techniki przy zakładach w Turynie.

Awans samochodowy

Produkcja Fiata 126p miała ogromne znaczenie dla Bielska--Białej. Już w momencie uruchamiania linii produkcyjnej poszukiwano tysiąca fachowców. Miasto szybko stało się jednym z centrów przemysłowych kraju. Zyskało kilka nowych osiedli. W kolejce po nowe mieszkanie „werbusy”, jak nazywano napływowych mieszkańców, czekali znacznie krócej niż zasiedziali obywatele Bielska. Dzięki finansowemu wsparciu zakładów miejscowa drużyna piłkarska omal nie weszła do ekstraklasy, a siatkarki tego samego klubu awansowały do pierwszej ligi.

System samodecydujący

Mały fiat stał się bohaterem niezliczonych dowcipów, które wy-kpiwały jego zgrzebność.

Żartowano, że bagażnik umieszczono z przodu, by chronić bagaże przed zderzeniem tylnym.

W wersji luksusowej tylna szyba była ogrzewana ponoć po to, aby zimą podczas pchania auta nie marzły ręce. Cztery koła bardzo ułatwiały pchanie fiacika do warsztatu naprawczego.

Malucha wyposażono w „samodecydujący” system elektryczny: decydował on, czy właściciel użyje danego dnia auta, czy nie. W pojeździe zamontowano też „okresową klimatyzację”, działającą, niestety, tylko zimą. Poza tym otrzymał on podobno błogosławieństwo Stolicy

Apostolskiej. Władze duchowne miały ocenić bowiem, iż jest to jedyny samochód, w którym nie sposób zgrzeszyć.

ORZECH NA MASCE Jednym z niewielu elementów Fiata 126p, który podlega! zmianom, był kolor karoserii. Najwięcej maluchów produkowano białych lub w barwie kości słoniowej. Zdarzały się jednak lakiery o wiele bardziej egzotyczne: czerwień meksykańska, orzech średni czy błękit adriatycki.

237

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

prfcep

pan ostatni?

Życie obywateli Polski Ludowej upływało w kolejkach. Nic dziwnego, że były one jego wiernym odzwierciedleniem.

W ogonku jak w domu

Obowiązywały tu dość ściśle procedury. Zwłaszcza w latach 80., kiedy w kolejce stało się po wszystko. Prasa pełna była doniesień z życia kolejkowego. Czytelnik „Zielonego Sztandaru” pisał: „Nie tak dawno przed którąś wolną sobotą obserwowałem w miasteczku kolejkę po wódkę. Nie była długa, jak inne, po zakąskę, ale zawsze kilkanaście osób stało. Kolejka posuwała się szybko, bo towar ważenia nie wymaga. Mimo to zdarzyło się, że jakaś kobieta z małym dzieckiem na rękę chciała kupić dwie butelki bez kolejki. Ludzie podnieśli sprzeciw.

«Inwalidzi i matki z dzieckiem mają pierw-

trzeba ciężką pracą, klient więc pokornie czekał

w kolejce pod sklepem 48 godzin, nim się do lady

dopchał. Miał szczęście,

szeństwo» - broniła swoich praw kobieta. - »Ale po mleko, nie po wódkę« - dowodzili

mężczyźni, bo z nich w większości składał się ogonek. Mężczyźni kolejek nie lubią, brak im kobiecej cierpliwości.

Znam starsze panie, które czują się tam jak u siebie. Przychodzą jeszcze przed otwarciem sklepu i po zakupach niespieszno im do domu”.

Z kolejki do sądu

Wyczekiwanie w kolejce, miało niekiedy zupełnie nieoczekiwany finał. „Pewien łodzianin postanowił nabyć w sklepie meblowym Domus meble importowane z Austrii, tzw. komplet wypoczynkowy za 10 tys. złotych - relacjonował w 1975 roku „Kulisy”. - Jak wiadomo na wypoczynek zarobić

W 1965 roku w warszawskim Centralnym Domu Towarowym kolejka po smokingu liczyła 800 osób. W tym czasie w Łodzi na strzyżenie psa oczekiwało się miesiąc

był bowiem drugi w kolejce, czyli znajdował się w nielicznej grupce tych, dla których owych upragnionych kompletów starczyło. Spore było jednak jego zaskoczenie, kiedy wieczorem - zgodnie z umową - przywieziono mu do domu meble, ale zupełnie inne niż zamówił. Po interwencji dyrekcja sklepu skwapliwie zgodziła się na zwrot pieniędzy i odebranie niechcianych mebli, ale upartego klienta to nie zadowoliło i zamierza wystąpić na drogę sądową przeciw nieuczciwej placówce handlowej”.

Milicjant nie będzie się tłumaczył

Problem kolejki dotyczył także milicjantów. To delikatne zagadnienie znalazło swoje miejsce na łamach branżowego pisma „W służbie narodu”:

238

Rynek socjalistyczny

„Przed kioskiem z napojami kolejka. Upał. Podchodzi funkcjonariusz w mundurze i nie oglądając się na innych stojących, prosi o butelkę fruk-towitu. Spragniony z pewnością, jak i inni. Więc jeden z tych innych, może bardziej nerwowy, może bardziej odważny albo tak samo spieszący się jak i ten w mundurze, interweniuje: »A cóż to, inne pan ma prawo przed

kioskiem? Nawet pan nie przeprosi obywateli, że się wtrynią bez kolejki?«. Świadomie pewnie powiedział to »obywateli« i zaczepnie pewnie owo »wtrynia«. Na to milicjant, który już dostał od sprzedawczynie swój fruktowit, rzuca wyniośle: »Nie będę się panu tłumaczył«. I odchodzi na bok. A mnie, który przypadkiem widziałem tę scenkę, wydaje się, że powinien się tłumaczyć. Jest takie najprostsze i najzwyczajniejsze w takich sytuacjach pytanie: »Czy pozwolą państwo kupić poza kolejnością? Bardzo się spieszę, jestem na służbie«. Nie sądzę, żeby ktokolwiek oponował. Ostatecznie wszyscy wiedzą, jaka jest służba człowieka w mundurze. I jest potem słowo: dziękuję".

Kolejka po Zachód

Kolejki o randze symbolu stały po paszport. Korespondent pisma „W służbie narodu" opisywał: „Ilekczo przyjeżdżałem do Katowic, obserwowałem istne oblężenie budynku, w którym mieści się Wydział Paszportowy KW MO. Schody i korytarze zatłoczone były przez petentów, a w niektóre dni tłum interesantów wylewał się i przed budynek, okupując chodniki. Podobne sceny można było obserwować i w innych większych miastach. Przed okienkami wydającymi upragnione dokumenty, upoważniające do podróży »w świat«, w sezonie letnim formowały się kolejki, które mogły psychicznie załamać mniej wytrwałych".

Wyższe ceny - krótsze kolejki

Radykalny sposób na zniesienie kolejek wymyśliła władza w latach 80. Tym sposobem była podwyżka. „Kobieta i Życie" donosiła: „- Podwyżka poprawiła nasze warunki pracy - twierdzi pani Ela z działu mięsnego. - Przedtem był tutaj koszmar. Przychodzimy do pracy na szóstą. O czwartej rano stało już 1000 osób. Dantejskie sceny. Krzyki, kłótnie, bijatyki, sprawdzanie, czy wszystko, co dostałyśmy, znalazło się na ladzie. Teraz jest ponuro, ale spokojnie".

Żołnierz zwycięża w ogonku

Problem kolejki dotyczył również wojskowych. W tej kwestii wypowiadał się podręcznik wojskowego bon tonu Grzeczność w mundurze Eugeniusza Banaszczyka: „Udając się do kina, teatru, na koncert lub występy artystyczne, możemy natrafić na przeszkodę w postaci kolejki. W takim przypadku należy stanąć na końcu i czekać na dojście do kasy. Żołnierz nie może się przepychać do kasy bez kolejki, bo zostanie dostrzeżony natychmiast i zmuszony do odwrotu. Odwrot to klęska, a dobry żołnierz na klęskę się nie naraża. Wszelkie kombinacje w celu wyprzedzenia innych oczekujących są sprzeczne z zasadami kultury i dyscypliny społecznej, a tej obywatel w mundurze musi przestrzegać bezwzględnie".

V NA STOJAKA

Łódzki „Dziennik Popularny" w 1980 r. pouczał klientów, którzy zamiast cierpliwie stać w ogonku, przysiadali, gdzie się dąto: „Kolejka ma to do siebie, że czeka się w niej stojąc, chyba że dla wszystkich są tawki lub krzesła. W przeciwnym razie porządek związany z kolejką wali się i jego miejsce zajmuje anarchia".

I

Była wykładem, pogadanką, referatem - wszystkim, tylko nie reklamą. Ale - jaki rynek, taka reklama.

kapustę

Nie rujnujcie się na zagraniczne!

Zamiast zachęcać związłym hasłem, zmieniała się w wykład: „Kawowy przebój to ekstrakt kawy zbożowej o nazwie »Inka«. Inka z pewnością stanie się nowym ulubionym napojem, bowiem ma smak i aromat w niczym nie-ustępujący aromatom kawy naturalnej, a odrobina mleka dodana do filiżanki Inki podnosi jej i tak już znakomity smak". Czytaliśmy też:

„Konsumentom poszukującym produktów o wysokich walorach odżywczych i smakowych, przyrządzonych z najlepszych surowców, a nie wymagających pracochłonnych czynności przed spożyciem, Zakład Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego WSO w Kaliszu oferuje

kapustę czerwoną zasmażaną, kapustę białą zasmażaną, kapustę kiszoną zasmażaną. Kup i spróbuj, a przekonasz się, że zaoszczędzisz czas i ułatwisz sobie pracę".

Szybciej dojedziesz wszędzie motocyklem VSK 175 Sport

Niekiedy w reklamach słyhać było ton świetlicowej pogadanki: „Nawet najpiękniejsze nogi nie zachwyca nikogo, jeśli ubrane będą w brzydkie, grube, źle układające się pończochy.

Wiedzą o tym elegantki i wydają moc pieniędzy, rujnując się na zagraniczne, drogie nylony.

Praktyczne jednak panie, którym zależy na elegancji, kupują równie mocne, ładne i trwałe, ale o wiele tańsze importowane kryształki z dederonu w cenie 85 do 105 zł. W sklepach uspołeczniionych znajdują się też godne polecenia pończochy steelonowe od 41 do 65 zł".

Zębate slogany

Reklamy pasty do zębów przypominały z kolei hasła z poczekalni u dentysty: „Oto dlaczego jej uśmiech jest czarujący. Ulcimenta - pasta do zębów"; „Myj zęby - rano dla urody, wieczorem dla zdrowia"; „Nie tylko suknia zdoobi człowieka, ale... i ładne zęby. Czyść zęby starannie"; „Twój urok osobisty zależy przede wszystkim od pięknych, białych i zdrowych zębów. Myj zęby rano i wieczorem pastą do zębów »Lechia«". Takie krótsze i bardziej dobitne slogany pojawiały się też w reklamie innych kosmetyków: „Zawsze będzie Ci nieodzowny szampon »Jajeczny«. Żądajcie we wszystkich drogeriach, perfumeriach i kioskach »Ruchu«!"; „Twój wdzięk i uśmiech doskonale podkreśli kredka do warg »Filoderma«".

240

^ REKLAMA NA FALI

W 1957 r. powołano Biuro Reklamy Polskiego Radia. „Toto-lotek, PDT, WSS, Gallux... to oczywiście nie wszyscy klienci korzystający z Biura Reklamy Polskiego Radia. (...) Jego szef marzy o tym, aby biuro mogło reklamować małowitrazowe polskie »Sireny«, albo »Warszawy« o pięknej, nowoczesnej karoserii" - pisało „Radio i Świat".

Pean na cześć lodówki

W przypadku sprzętu gospodarstwa domowego rekla-modawca próbował dłuższym wywodem przekonać nabywców, którzy nie znali jeszcze nowinek technicznych: „Bez trudu przygotujesz przyjęcie karnawałowe i rodzinne, a zwłaszcza codzienne posiłki mając lodówkę w domu. Lodówka oszczędza czas - zakupy wystarczy robić tylko raz w tygodniu. Większa lodówka - większa korzyść". Równie usilnie namawiano do kupna innych sprzętów: „Bądź praktyczna i oszczędna. Pieniądze, które musiałabyś wydać na krawcową szybko zamortyzują ci koszt nowej maszyny. Zakup maszyny nie uczyni najmniejszego wyłomu w twoim budżecie. ORS pożyczy Ci na zakup ratalny". Perswazji trzeba było użyć także wobec potencjalnego nabywcy motocykla: „Cała Polska należy do tego, kto posiada własny motocykl. Entuzjasto motoryzacji - sezon motorowy trwa. Spiesz do ORS - tam udzielimy Ci kredytu na upragniony motocykl".

LISTYCZNY

Dezodorant na brud

„Polityka" opisywała w połowie lat 50, skutki popularności reklamowanych usilnie dezodorantów: „Ale to świetny kosmetyczny wynalazek, te dezodoro w areozolu!

Rzeczywiście, wszak teraz nawet myć się nie trzeba. Wystarczy popsikać sobie tu i tam

dezodorantem, i z głowy. Niestety, woń brudu i nieumytego ciała potrafi przedrzeć się przez

najsilniejsze środki znieczulające zapach. Dezodorantów w sklepach nie brakuje. Mydła też.

Ale mydło to rzecz zwyczajna, codzienna, która już dawno mogła się znudzić. Poza tym

mycie się zabiera czas. A dezodorant jest łatwy, wygodny i niezawodny w użyciu, jest jeszcze

ciągle upajającą nowością".

Mgiełka urozmaici garderobę

„Jak mgiełka! O takiej bieleżnie marzy każda dziewczyna, każda kobieta... A te marzenia mogą być zrealizowane nawet natychmiast. Proponujemy w imieniu »Feminy«, »Rekordu« i

»Sary« bogaty asortyment eleganckiej bielizny damskiej i dziewczęcej ze stylonu - komplety, halki, figi, piżamy, koszule nocne, peniuary, lizeski - z przędzy syntetycznej, w bogatym wyborze fasonów, kolorów i, przybrane wieloma gatunkami koronek - wzbogacą i urozmaicą bieliźnianą garderobę naszych pań" - czytaliśmy w tygodniku „Kulisy”.

Prezentacja produktów Raciborskiej Fabryki Mydła (1969)

^ IXI NIE NISZCZY RĄK

Środki czystości reklamowano wyjątkowo nudnymi tekstami: „Fabryka »Lechia« uprzejmie zawiadamia p.t. klientów, że przejęła produkcję proszku do prania »IXI«, który produkowany jest pod nazwą »IXI 65«. Udoskonalony proszek »IXI 65« nie niszczy rąk, zawiera wybielacze optyczne, jest idealny do prania wszelkich delikatnych tkanin, a przede wszystkim białych koszul »non-iron«”.

241

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Dżez,

Zwalczali ich milicjanci, wytykali palcami ZMP-owcy, poniżali zwykli przechodnie. Nazywano ich „wrzodem na zdrowym ciele socjalistycznej ojczyzny”.

Nieformalne kolektywy na prywatkach

Bikiniarzy wyróżniała fascynacja Zachodem, przede wszystkim Ameryką. Był to podświadomy bunt przeciw nudzie życia w policyjnym społeczeństwie lat 50. Nieformalne grupy przyjaciół

тізікнязпії; ІІЦфж ІІЦті j омші-

J9C 20' Mrcipiujsrjire 8шгД bisX]gqoj

\

dzie życia w policyjnym społeczeństwie

lat 50, Nieformalne grupy przyjaciół

miały zastąpić kolektyw klasy i organizacji młodzieżowej. Z bikiniarstwem

-^ \„ka « fcaonej mnej części vj.

IK V*scvu<:^- t-aye-Ł"v\ |c|л |e<i>jTvve. sposób \\B|e.ia-

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Dżez,

Zwalczali ich milicjanci, wytykali palcami ZMP-owcy, poniżali zwykli przechodnie.

Nazywano ich „wrzodem na zdrowym ciele socjalistycznej ojczyzny”.

Proces bikiniarzy (1951)

/4 SPEKULANCI NA ŻOŁDZIE

Początkowo bikiniarzy oskarżano o wybryki chuligańskie, bumelanctwo i życie na koszt „ludu pracującego”. Później zaczęto stawiać ich w jednym szeregu ze szpiegiem, kułakiem i spekulantem - wrogami socjalistycznego ustroju.

Cywilizacja kolorowych skarpetek

^^T ie mieli odpowiednika w żadnej innej części ■ЛЬ świata. Nie tworzyli subkultury, nie

wydawali pisemek. Łączył ich jedynie sposób ubierania i zamiłowanie do jazzu. W szarej rzeczywistości lat 50. byli barwną plamą. W kolorowe ubrania zaopatrywali się na bazarach.

Nazwa „bikiniarz” pochodziła od popularnego wśród nich krawata, na którym przedstawiony

był próbny wybuch bomby atomowej na atolu Biki-ni w 1946 roku. Nosili też obszerne

marynarki i wąskie spodnie zaprasowane na kant. Na tyle krótkie, by odsłaniały kolorowe

skarpetki. Do tego zamszowe buty na grubej podeszwie (tzw. słoninie) oraz włosy zaczesane

w plereżę. Krzykliwe ciuchy koniecznie musiały sprawiać wrażenie pochodzących z

Ameryki. Poza Warszawą zwolenników takiego stroju nazywano także „bażantami” przez

analogię do tych fantazyjnie upierzonych ptaków.

Nieformalne kolektywy na prywatkach

Bikiniarzy wyróżniała fascynacja Zachodem, przede wszystkim Ameryką. Był to podświadomy bunt przeciw nudzie życia w policyjnym społeczeństwie lat 50. Nieformalne grupy przyjaciół miały zastąpić kolektyw klasy i organizacji młodzieżowej. Z bikiniarstwem kojarzyła się także zachodnia muzyka, przede wszystkim amerykański jazz, którego słuchano nie całkiem legalnie. Kiedy w Stanach pojawiły się pierwsze gwiazdy rock and rolla, w Polsce bikiniarze pierwsi zaczęli wielbić Little Richarda czy Jerry'ego Lee Lewisa. Tę muzykę puszczano podczas na wpół zakonspirowanych prywatek. Na domowych imprezach bikiniarze podpatrywali nową modę i uczyli się nowoczesnych tańców. O ich zamiłowaniu do jazzu krążył po Warszawie wierszyk: „Mam dziesięć złotych, idę do kina / w drodze mnie łapie Heine-Me-dina / Heine-Medina, Heine-Medina, jazz”.

Bikiniarzom obetniemy krawaty!

Obnoszenie się z bikiniarstwem wymagało wówczas sporej odwagi, zwłaszcza w miejscach publicznych, gdzie na bikiniarzy polowała milicja i ochotnicze bojówki ZMP. Obcinano im krawaty, a bywało że i starannie wymodelowane fryzury. Komunistyczna prasa uczyniła z nich przedmiot drwin i ostrej krytyki, podając bikiniarstwo jako przykład rozwydrzenia oraz demoralizacji. Kolorową młodzież nazywano marginesem społecznym, pozostającym pod wpływem zdegenerowanej kultury burżuazyjnej.

242

TO IDZIE MŁODOŚĆ

Największa nagonka na bikiniarzy miała miejsce w pierwszej połowie lat 50. W „Szpilkach” ukazała się karykatura, na której umieszczono bikiniarza, kułaka, biurokratę, pijaka, spekulanta i reakcjonistę. Wszystkich zgniata potężna dłoń - w domyśle: przedstawiciela klasy robotniczej. Pod rysunkiem widnieje podpis: „Zobowiązania dla uczczenia 8 rocznicy PKWN godzą we wrogów i szkodników”. W tym samym okresie popularny wówczas pisarz Bohdan Czeszko grzmiał na łamach „Nowej Kultury”, iż „bażant zyskał model do małpowania, którym jest amerykański burżuj”, a „polityczną treścią jego egzystencji stała się walka z ustrojem Polski Ludowej”.

I Sopotki Festiwal Jazzowy (06.08.1956)

^ MUZYKA Z KATAKUMB

Bikiniarze kochali jazz. Jednak na oficjalnych zabawach nie wolno było grać muzyki synkopowanej. W radiu tylko niekiedy udawało się przemycić jazzowy utwór jako „muzykę uciemżonych mas pracujących w USA”. Pierwszy festiwal jazzowy odbył się w Sopocie na fali politycznej odwilży w 1956 r.

I ty zostaniesz bikiniarzem

Z czasem władza zajmowała się bikiniarzami coraz mniej. Sypał się plan sześćioletni, na jaw wychodziły zbrodnie stalinowskie. W Związku Radzieckim Nikita Chruszczow zapoczątkował proces odwilży. Coraz większą falą docierały do Polski zachodnie filmy i literatura, moda na egzystencjalizm oraz muzyka jazzowa. W kraju zaczęły powstawać kolejne kluby jazzowe i kolorowe czasopisma. Bikiniarze nie zniknęli z ulic. To zwykli przechodnie zaczęli przypominać bikiniarzy.

Podrzucony program

„Ideowych wyznawców amerykańskiego stylu życia był wśród nich znikomy procent, choć część bikiniarzy, jak sądzę, uświadamiała sobie, że opowiada się za Stanami Zjednoczonymi przeciw Związkowi Radzieckiemu, czy może raczej za kolorowym Zachodem przeciw szarzyźnie życia.

Początkowo nikt nie uważał, że wybierając sposób tańca czy ubierania, wybiera światopogląd. Zmasowany atak propagandy przeciw bikiniarzom sprawił, że ze zwykłej mody zrobił się ruch społeczny, ruch kontrkultury przeciw tym, którzy ich atakowali. Powiedziano

im: «Jesteście bikiniarze», a oni odpowiedzieli: «jesteśmy bikiniarze». I oto jakby podano im program, którego brakowało" - pisał o bikiniarzach Jacek Kuroń w książce Wiara i wina.

Idziefigus Targową ulicą,
przed nim baba z rozpiętą spódnicą.
Figusa podnieca
ta rozpięta kieca,
bugi-ugi, bugi-ugi, dżez.
Kiedy słycać dżezu pierwsze trzaski,
szukajigus dla siebieJagaski,
tamta jest za błada,
tamta znów wysiada,
dżez, bugi-ugi, dżez.
Chuligani to są ludzie „tacy”,
dżez, bugi-ugi.
Mają w dupie dyscyplinę pracy,
dżez, bugi-ugi.
A ludowa władza
do mamra ich wsadza,
bugi-ugi, bugi-ugi, dżez!
anonimowa piosenka bikiniarska z lat 50.

243

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Było to dziecko odwilży politycznej 1956 roku i początkującej polskiej motoryzacji. Pierwsi autostopowicze pojawili się w Polsce w roku 1957. Wzór czerpali z amerykańskich filmów drogi. Aby nie uchodzić za dojeżdżających do pracy, ubierali się w dżinsy. Kierowcy rozumieli ten kod i chętnie się zatrzymywali.

Wsxada3. bracie.

Szlakiem walk i osiągnięć

Milicja jednak za podwożenie przygodnych pasażerów branych na łebka wlepiła mandaty. A autostopowiczom dawała kary za włóczęgostwo. Ci pisali skargi do pism młodzieżowych. Redakcja jednego z nich, „Dookoła świata”, zdecydowała w 1958 roku, że odgórnie zorganizuje całą akcję. Tak powstał Społeczny Komitet Autostopu. Pomysł ze zinstytucjonalizowanym autostopem nie przyjął się nigdzie poza Polską, choć próbowali go Czesi, Węgrzy, a nawet Francuzi. Przyczyna tkwiła w systemie nagród. W innych krajach premie były umowne. U nas kierowca, który zebrał dostateczną liczbę kuponów, mógł nawet wziąć udział w losowaniu Syrenki. Polski patent polegał również na tym, że władze zaczęły wspierać autostop, zalecając młodzieży własne trasy, np. szlakiem Ludowego wojska Polskiego, zdobywców Wału Pomorskiego czy Armii Ludowej. Książeczki zawierały też ideologiczne pouczenia: „Autostop 1975 przebiega w piątym roku wielkich przemian politycznych. W czasie wędrówki macie możliwość zaobserwowania wszelkich zmian w krajobrazie Polski. Wy i Wasi rówieśnicy możecie zwiedzać kraj bez przeszkód i trosk; jest to zasługą tych

/N PRZEZ POLSKĘ NA „PACE”

Kodeks drogowy dopuszczał przewożenie ludzi poza szoferką. Jedynie wtedy, gdy „paka” została wyposażona w drzwi i dzwonek umożliwiający pasażerom wzywanie kierowcy do zatrzymania się. Jednak „pakę” zwykle zamykała tylko plandeka, a i dzwonek brakowało. Na szczęście milicjanci poprzestawali na pouczeniu kierowców ciężarówek „wyładowanych” autostopowiczami.

ludzi, którzy urodzili się 40 czy 70 lat temu i swoją walką przyczynili się do odzyskania wolności, a później odbudowywali z gruzów kraj”.

Sympatyczni złodzieje owoców

Stopem podróżowali w 90 procentach chłopcy. Był to efekt nagłośnienia przez czasopisma młodzieżowe sporadycznych przypadków molestowania dziewcząt na trasie. Pojawiały się też plotki. W 1960 roku, kiedy książeczki wydano aż 85 tysiącom młodych ludzi, opowiadano, że autostop jest żerowiskiem dla homoseksualistów. Prasa rozdmuchiwała

244

To IDZIE MŁODOŚĆ

sprawy rzekomego częstego uwodzenia chłopców przez starszych panów oferujących podwiezienie. Sami autostopowicze cieszyli się ogólną sympatią społeczną. Wśród kierowców sięgała ona aż 95 procent. Także z tego powodu, że podróżujący na łebka prawo naruszali tylko 300 razy na sezon. To statystycznie bardzo niewiele. Wśród tych przestępstw dominowały kradzieże owoców i warzyw w sadach i ogrodach. Bo też 80 procent autostopowiczów stanowili studenci. Postacią symboliczną dla tego ruchu był szeroko znany brodaty staruszek, emerytowany chirurg Aleksander Melech, który podróżował stopem jeszcze w wieku 95 lat. Podwoziła go chętnie nawet milicja.

Przeżyć komunizm i umrzeć

Kres autostopu wiązał się nieuchronnie z postępowaniem motoryzacji kraju. Rekord z 1960 roku nigdy nie pobito. Jednak w latach 70. każdego roku z podróży okazją korzystało co najmniej 30 tysięcy młodych ludzi. Autostop odrodził się w następnej dekadzie, kiedy to podróżowanie stało się trudniejsze z powodu, r r _<:•:&,;,; .>■ racjonowania benzyny. Coraz mniej chętnie się rejestrowano. Młodzież na wszelki wypadek wolała się już nie zapisywać do żadnych „państwowych” organizacji. Autostop przeżył upadek komunizmu zaledwie o pięć lat.

Ostatnie książeczki wystawiono w 1994 roku.

JAZDA Z GWARANCJĄ^ Wraz z nabyciem książeczki autostopu młody człowiek uzyskiwał ubezpieczenie od wypadków. Wcześniej jednak musiał się wykazać posiadaniem książeczki oszczędnościowej z wkładem minimum 200 zł. Ta suma miała gwarantować, że autostopowicz będzie się mógł utrzymać w trakcie podróży.

Licencja na podwożenie

W 1959 roku wystawiono pierwszą książeczkę autostopu. Był to jedyny na świecie rodzaj dowodu tożsamości, wydany tylko dla potrzeb podwożenia samochodem. Na okładce figurował znak przypominający z daleka milicyjny lizak- nakaz zatrzymania się.

Wyjeżdżający zza zakrętu kierowca zaskoczony jego widokiem stawał, choćby nie miał na to ochoty. Nigdy jednak nie był pewien, czy nie zatrzymuje go uprawniony do tego Społeczny Inspektor Ruchu Drogowego (byli nimi m.in. Mieczysław Fogg, Stanisław Mikulski czy Jarema Stępowski). Nierzadko więc zaczynał rozmowę od prośb, by zatrzymujący go nie wypisywał mandatu za przekroczenie prędkości. Równie często zdarzało się, że przy drodze stał jeden schludnie ubrany autostopowicz. Kiedy kierowca, zachęcony jego wyglądem, zatrzymywał się, zza krzaków wyłaniała się zgraja obdartusów.

Podróż za jeden uśmiech

„Autostopem hen! Przez kraj ledwo zieleń zbudzi maj, na spotkanie nowych niepoznanych tras” - brzmiały słowa Hymnu autostopowicza, skomponowanego na 25-lecie autostopu w Polsce. Nie przyjął się jednak, gdyż od wielu lat tę funkcję pełniła znana piosenka Karin Stanek, zaczynająca się od słów: „Autostop, autostop, wsiadaj, bracie, dalej, hop...”.

Autostopowiczem jest m.in. młody bohater podwożony przez warszawskiego dziennikarza w filmie Nóż w wodzie (1961). O autostopie opowiadał również popularny serial telewizyjny Podróż za jeden uśmiech (1971).

245

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Hipisi, długowłosi, popersi - były to najbardziej rozpowszechnione i najbardziej „cywilizowane” subkultury. Niestety, nie dla wszystkich.

»

cte

«-£* g—

Rozluźniacze hamulców

aipisów uważano za poważny problem społeczny. Milicyjny organ „W służbie narodu” przedstawiał ich wyczerpująco: „»Program« hipisów - jeśli tak w ogóle można nazwać myśl przewodnią moralnego upadku - jest atrakcyjny zwłaszcza dla środowisk kryminogennych. Uznaje on bowiem lenistwo i usprawiedliwia pasożytniczy tryb życia. Negacja wartości moralnych, rozluźnienie hamulców etycznych, głoszenie apoteozy chaosu i nicości sprawiają, że hipisi wchodzą w końcu w konflikt z prawem”. Hipisi byli zarazą także w sensie bardzo dosłownym. „W większości żyją oni w warunkach urągających przepisom sanitarnym, są roznośicielami brudu i chorób zakaźnych. Z tych względów powinni być w razie potrzeby poddawani przeglądowi lekarskim. Między innymi stacja sanitarno--epidemiologiczna poddała nakazanej dezynfekcji mieszkania niektórych hipisów”.

Zakwestionować długowłosego

Symbolem sympatii do ruchu hipisowskiego były długie włosy. Ich posiadacze mieli więc rozliczne kłopoty. „Jestem jednym z długowłosych - przedstawiał się w 1966 roku czytelnik „Sztandaru Młodych”. - Dbam o swoje włosy, myję je co tydzień, szczotkuję. Z powodu moich długich włosów ciągle jestem szykanowany. Dosłownie, oto przykład: Otworzono u nas dom kultury, do którego ma prawo przychodzić każdy, kto posiada kartę wstępu.

/X AKCJA NOŻYCKOWA

Długowłosi nie mieli tatwego życia. Prasa podawała: „W koszalińskim technikum samochodowym ciało pedagogiczne uzbroiło się w nożyczki i napadało grupowo na uczniów w intencji tępienia co dłuższych pukli. Uczniom wycinano kępki włosów, zmuszając tym samym do skrócenia fryzury”.

I oto pewnego dnia zarządzający tym przybytkiem kulturalnym wydał zarządzenie, na podstawie którego poodbierano karty wstępu długowłosym”. Podobnych historii pojawiało się w prasie wiele. „Kulisy” w tym samym roku pisały: „Patrol ORMO w Starachowicach zatrzymał grono chuliganiących młodzieńców noszących długie fryzury i osadził ich w komisariacie. Następnie, w poszukiwaniu sankcji odstraszających i w przekonaniu o istnieniu bezpośrednich związków pomiędzy długością włosów a chuligaństwem, do aresztu sprowadzono fryzjera. Mamy wątpliwości, czy drastyczne posunięcie

246

To IDZIE MŁODOŚĆ

ORMO zabezpieczy spokój na ulicach Starachowic, jako że pogwałcona osobowość tym bardziej lubi się wyładować”. Pismo „W służbie narodu” wyjaśniało przyczyny tej gorliwości: „Długie włosy, będące jednym z atrybutów przynależności do ruchu hipisów, utrudniają ustalenie tożsamości. Brak oczywistego podobieństwa z fotografią w dowodzie osobistym daje więc podstawę do zakwestionowania tego dokumentu i przesłania go właściwej jednostce MO celem wymiany”.

Dość prywatek!

Okazję do krzewienia subkultury hipisowskiej dawały prywatki, najpopularniejsze imprezy towarzyskie lat 60. i 70. Pisma młodzieżowe obfitowały w porady, jak zorganizować kulturalną prywatkę. „Filipinka” zalecała meble zepchnąć pod ścianę, zwinąć dywan i w ten sposób przygotować miejsce do tańca. Stół powinien stać z boku, by każdy mógł dowolnie częstować się kanapkami, nalać sobie wody z cytryną czy jedną, najwyżej dwie lampki wina. „Taki karnawałowy wieczór polega głównie na tańczeniu, ale dobry nastrój zależy i od przygotowania wnętrza, i od towarzyskich umiejętności gospodyni, i od dobrze zorganizowanych zabaw”. Jednak nawet taka forma spotkań młodzieżowych była często potępiana przez dorosłych na łamach prasy: „Prywatki, gdzie młodzież jest sama, powinny

być zakazane przez szkoły, niech się nimi zajmą władze bezpieczeństwa, bo takie prywatki to są jawne i bezkarne domy publiczne dla młodzieży. Wiem, czego młodzież szuka na prywatkach, nie chowajmy głowy w piasek...".

Kierunek - Zachód

Zdrowa część społeczeństwa tradycyjnie „dawała odpór rozkładowym tendencjom napływającym z Zachodu”. „Po golfach nastął styl liverpoolskich pleréz Beatlesów, tępiony w szkołach jak zaraza - przypominał „Sztandar Młodych” w 1984 roku.

- Potem zagościli hipisi i zaczęło się niebezpieczne épanie. Wreszcie punki i popersi. Żaden z tych ruchów nie uzyskał aprobaty społeczeństwa, czyli większości, co było założeniem i intencją zarazem. Akceptacja stałaby się śmiercią dla elitarności, czyli inności, końcem ruchu. Kierunek na Zachód wynika z pragnienia wyjazdu do kolorowego, bezproblemowego - jak się zdaje nastolatkom - świata, przy kompletnej nieznanomości realiów tamtejszego życia i zarazem pragnienia udowodnienia, że nie jest się czymś gorszym".

Krzyk obmierzłego pyska

„Punków zjawilo się czterech; wyglądali jakby ich właśnie przywieziono na plan przy kręceniu filmu pod tytułem, powiedzmy, Odmieńcy albo Krzyk obmierzłego pyska. Ubrani w czarne skórzane kurtki nabijane nitami, wysokie buty, każdy z obowiązkową pieszczochą na rękę, jak nazywają skórzany pasek z błyszczącymi ćwiekami. Włosy poukładali sobie w punkowskie fryzury: pół głowy zgolone i wysoki czub wzmocniony lakierem (w jego braku białkiem) albo rozwichrzona chyra typu Apacz. Chcieli na skwerku odtańczyć swój taniec »pogo« z podskakiwaniem i popychaniem" - fragment powieści Anny Kłodzińskiej.

Dni Darów Morza w Pucku (1973)

m

'.. 1*. !, •АД В"ч!

/N NIE JESTEŚCIE BEATLESAMI

„Beatlesi mogą sobie pozwolić na grzywy spadające na oczy -bo taki już ich styl, a pekińczyki, bo taka już ich rasa. Ale wasze fryzury powinny być bardziej staranne, a grzywki nieco krótsze" - pouczał czytelników „Ptomyk" w 1965 r.

247

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Głośna, rytmiczna muzyka, szklana kula pod sufitem, szpanerskie ciuchy -taką imprezę można było zorganizować i w wielkomiejskim klubie, i w stodole. Na imprezach disco bawiła się cała Polska.

zabawa v stylu folk

MAD 0m ISMP WSO"

U OTWIERAM* «MJljgBSte2Teif Bł P.ERWSW^«

Prezenter kulturalny

Pierwsza dyskoteka powstała w lipcu 1970 roku w sopockim Grand Hotelu. Zorganizował ją Franciszek Walicki, „ojciec polskiego bigbi-tu", który cztery lata później stanął na czele Państwowej Komisji Kwalifikacyjnej dla prezenterów dyskotek. Jej zdaniem za konsolę powinien zasiadać tylko prezenter zweryfikowany. „Nie jest sprawą obojętną dla polityki kulturalnej - tłumaczył Walicki - jakie treści przekazują prezenterzy milionom ludzi rocznie". Kandydaci musieli się legitymować co najmniej średnim wykształceniem, mimo to w trakcie egzaminu często się kompromitowali. Mówili, że Norwid pisze teksty Niemenowi, a wybitnym polskim kompozytorem jest pan De-recki. Z kolei Komisja Kwalifikacyjna odsyłała dyplomowanych architektów czy lekarzy, tłumacząc im, że powinni się udzielać w swoich dziedzinach, a nie marnować czas na puszczanie piosenek. Dyrektorzy lokali niechętnie urządzali u siebie dyskoteki. Odrywały one bowiem klientelę od konsumpcji, co powodowało spadek obrotów. „Proszę pana, ja wolę pięciu pijanych Szwedów, niż 50 z

waszej hołoty" - powiedział Walickiemu jeden z takich gastronomików. W dodatku nie zależało im, by zatrudniać prezenterów z cenzusem. Woleli tańszych „adeptów z prawem współpracy”. W połowie lat 70. w Polsce działało blisko stu disc jockeyów z uprawnieniami, a sama tylko PSS „Społem” prowadziła 600 dyskotek. Piosenki zapowiadał więc syn kierownika restauracji lub kelner.

Składanka głośnikowa

Przez polskie dyskoteki przewijało się wtedy 85 tysięcy osób dziennie, czyli przeszło 30 milionów rocznie. Tymczasem wszystkie inne imprezy artystyczne i rozrywkowe - od kabaretu po filharmonię - gromadziły o 5 milionów uczestników mniej. Po 10 latach funkcjonowania dyskoteki władza zażądała pełnych danych statystycznych. Powstał Raport o stanie dyskotek w Polsce na dzień 31 lipca 1981 r. Wynikało z niego, że przeciętna dyskoteka odbywała się w kawiarni lub świetlicy o stu miejscach siedzących. Muzyka płynęła z aparatury chałupniczej, skonstruowanej przez prezentera. On sam nie wykazywał się żadnymi uprawnieniami. Tylko co czwarty disc jockey miał wykształcenie wyższe lub był studentem. Puszczał piosenki nagrane przez siebie z radia - w 90 procentach angielskie i amerykańskie. Goście chętnie tupaliby przy polskich przebojach, ale single z nimi ukazywały się zbyt późno. Hit Krzysztofa Krawczyka Zabawa w stylu folk wydano na krążku osiem miesięcy po radiowej premierze. Dla dyskoteki był dawno nieaktualny.

248

TO IDZIE MŁODOŚĆ

Kultura bycia w dyskotece

„Jak można mówić o kulturze bycia, skoro na parkiecie są podchmieleni cinkciarze z wesołymi panienkami?” - pytał Adam Halber, prezenter kategorii „S” i przewodniczący Krajowej Rady Prezenterów Dyskotek. Osobne pretensje wносиła milicja. W dyskotekach często interweniowały patrole, ponieważ stale dochodziło do rękoczynów pomiędzy bramkarzami i gośćmi. W tym świetle szczególnego znaczenia nabral postulat Krajowej Rady Prezenterów, by disc jockey stał się „animatorem i realizatorem działań dyskoteki na rzecz integracji środowiska, upowszechniania kultury muzycznej oraz kultury na co dzień”. Nie odnotowano na tym polu wielu sukcesów.

Wspomnienie wymiatacza

Pierwszą profesjonalną dyskotekę w Warszawie prowadził Adam Halber: „Pamiętam tę moją pierwszą dyskotekę, przygotowałem się jak do najtrudniejszego egzaminu. Wszystko miałem popisywane - kolejność utworów, co przy każdym powiem... Wtedy wielkim przebojem była piosenka Yellow River grupy Christie i od razu okazało się, że mój plan do niczego się nie przyda, bo publika chce trzy razy Yellow River. Prowadziłem dyskotekę na tak zwanego rozgrzanego, czyli przez trzy godziny grały zespoły, a przez czwartą ja puszczałem płyty. Byłem takim wymiataczem. Szybko jednak okazało się, że ludzie wolą płyty niż żywą muzykę. Ta chęć dotarcia do nowych światowych przebojów była coraz silniejsza”.

Bramkarze rządzą!

„Pomiędzy naszymi nocnymi lokalami a zagranicznymi jest różnic wiele; jedna z nich to traktowanie gości. Za granicą wciąga się niemal siłą do środka ludzi z ulicy, u nas z zasady ogóle się nie wpuszcza, chyba że się pomacha portierowi jakimś banknotem. Przy wejściu do dzisiejszych dyskotek królują bramkarze. To więcej niż portierzy! Są oni niemal współkierownikami lokalu i w znacznej mierze od nich zależy, jak w danym dniu przebiegać będzie zabawa” - oceniał Roman Waschko, znawca polskiego rynku muzycznego.

JI SZPILKI I TRAMPKI

Dyskoteki stworzyły nową modę - mieszaninę pospolitości i elegancji. Tak ją oceniała Barbara Hoff. Dziewczęta zjawiały się w nich i w szpilkach, i w trampkach. Nosiły szorty lub dłuższe sukienki. Dyskoteka była idealnym miejscem do szpanowania. Gdy dziewczyny nie było stać na bazarowe ciuchy, nadrabiała kolorowym makijażem i farbowanymi włosami.

Zabawa w stylu folk

Przed pierwszą przygrywką chłopaki z pomocą piwka I poprawiają wzrok.

Na sali, pod ścianą panienki jak malowane / skromnie patrzą w bok.

Zabawa-w stylu folk. '■

fragment piosenki śpiewanej przez Krzysztofa Krawczyka

249

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

Wychowaniem młodzieży interesowały się różne instytucje: od szkoły, po związki wędkarskie.

A!e młodzież i tak najchętniej wychowywała się sama.

ЯI<*<ia Polska

Śmierć łabędzia

Młodym ludziom przydarzały się najrozmaitsze małe wychowawcze przypadki. „Zielony Sztandar” donosił w 1980 roku: „Na Podlasiu pewien wiejski chłopiec pozbiierał niedomarzłe kuropatwy i odchowwał je w domu. Przy wypuszczaniu na swobodę wiosną 26 kuropatw obecny był strażnik łowiecki. Obiecał chłopcu nagrodę. Istotnie, po kilku dniach pojawił się z butelką wódki”. Z kolei „Gromada - Rolnik Polski” pisała w tym samym czasie o smutnej uroczystości zakończenia roku szkolnego: „Dzieci ze wsi Napier-ki, woj. olsztyńskie wróciły w dzień zakończenia roku szkolnego zapłakane. Pani ze szkoły filialnej w Bałutach zapowiedziała im, że nie wykonały obowiązkowej zbiórki złomu, więc nie otrzymają świadectw. Dzieci muszą najpierw dojść do przystanku, a potem jada 3 km autobusem”. Ale niekiedy to młodzież była sprawcą gorszących incydentów. „Polityka” informowała w 1981 roku: „16-letni mieszkaniec Rycerki Dolnej ukradł krowę, przeprowadził ją przez granicę do Czechosłowacji, gdzie sprzedał ją za 100 dolarów, 30 kg cukru oraz papierosy”. „Kulisy” wskazały w 1974 roku na swego rodzaju rekordzistę: „W miejskim parku w Tczewie bestialsko zamordowany został łabędź. Ptaka znaleziono martwego, z uciętą głową. Morderca okazał się 17-letni Jerzy S., który przechodził właśnie przez park wracając z udanego włamania do kiosku Ruchu. Młody człowiek w ciągu ostatniego miesiąca: uciekł ze schroniska dla nieletnich w Oliwie, ukradł we Wrzeszczu

»Syrenę«, pojechał nią do Tczewa, gdzie porzucił wóz, zabierając zeń apteczkę i akcesoria. Następnie włamał się do Fiata, którym pojechał do Bydgoszczy, po drodze zderzył się z ciężarówką, co nie przeszkodziło mu w kontynuowaniu podróży. Kiedy zaś we Fiacie wyczerpał się zapas benzyny, wysiadł zabierając z samochodu magnetofon marki Philips. Po czym - już w Tczewie - włamał się do kiosku Spółdzielni Inwalidów, ukradł papierosy i alkohol, znów skradł »Syrenę«, wpakował się nią do rowu, uciekł z miejsca wypadku, upatrzył sobie inną »Syrenę«, pojechał nią pod kiosk Ruchu, który okradł, włamał się też do sklepu Społem i kiosku gastronomicznego. Na deser zamordował łabędzia”.

Książeczka oszczędnościowa twoim przyjacielem

Całkiem liczne były przypadki, kiedy młodzież brała los we własne ręce. Do pisma „Płomyk” napłynęła w 1965 roku następująca korespondencja: „Moja książeczka oszczędnościowa jest moim przyjacielem, bo pomaga mi gdy czegoś potrzebuję. Oprócz książeczki mam też w domu skarbonkę, do której wkładam drobne pieniądze, które np. dostanę od cioci czy wujka. Gdy się uzbiera większa suma, wpłacam je na książeczkę. Staram się też zarobić pieniądze własną pracą. Zbieram butelki, słoiki, zapisane zeszyty, stare gazety i szmaty. Sprzedaję to w punkcie skupu. Raz otrzymałam 50 zł i kupiłam sobie rękawice. Kiedyś poszłam do sąsiadów zbierać ziemniaki i zarobiłam 40 zł.

250

To IDZIE MŁODOŚĆ

Hoduję też z bratem króliki. Pieniądze, które otrzymałam za skórki królicze, też złożyłam na książeczkę. (...) Oszczędzanie jest przyjemną rzeczą i daje dużo korzyści. Dlatego zachęcam do niego wszystkie koleżanki i kolegów". Niekiedy pilność młodych ludzi przybierała charakter działań masowych. Uczniowie szkoły podstawowej w Kuklinowie donosili: „Już kilka lat temu postanowiliśmy dla uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego wyhodować 1000 drzewek topolowych na naszej szkolnej działce. Zadanie to wykonaliśmy, a teraz informujemy, gdzie te drzewka z naszej szkółki przewędrowały. W 1960 r. wzdłuż okolicznych dróg wysadzono 300 topoli. W 1962 r. z naszej działki rozsadzono na terenie kuklinowskiej gromady 370 drzewek. Natomiast w roku bieżącym 330 drzewek powędrowało na teren innej gromady. Postanowienie nasze udało się wykonać dzięki wysiłkowi wszystkich uczniów. Teraz cieszymy się, że wyhodowane drzewka będą rosnać razem z nami i upiększą nasze drogi". Można było jednak spotkać przykłady mniej chwalebne: „Chciałbym po skończeniu 7 klasy zacząć już pracować i zarabiać pieniądze. Rodzice wprawdzie uważają, że powinienem skończyć jakąś jeszcze szkołę, ale ja nie lubię się uczyć. Postanowiłem zostać kelnerem, ponieważ tego zawodu nie trzeba się uczyć, a praca kelnera podoba mi się. Kazik M. - Gozdawa".

ZBIÓRKA DO KOTŁOWNI ^ Pewien uczeń tak poważnie potraktował szkolną zbiórkę makulatury, że zabrat na nią z domu kilka roczników „Życia Gospodarczego". Zrozpaczony ojciec, któremu pismo potrzebne było do celów zawodowych, pobiegł do szkoły ratować swoje zbiory. Niestety, za późno - cała przyniesiona przez dzieci makulatura spalona została w szkolnej kotłowni.

Czy umiałeś zapamiętać?

Czasami aktywność młodych ludzi prezentowała formy świadczące o przedwczesnej dojrzałości. „Polityka" pisała w 1981 roku: „Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy ZSMP w Słupsku zorganizował sesję literacką w Bytowie pod hasłem: »Czy umiałeś przeżyć, zapamiętać, zrozumieć?«. literaci przybyli w trupa pijani, zdemolowali kilka pokoi oraz zgorszyli publiczność spotkań autorskich. Jak widać młodociani literaci umieli przeżyć, ale nie byli w stanie zapamiętać".

Aktyw wędkarski w akcji

Aktywizacją młodzieży były zainteresowane organizacje - wydawałoby się - najbardziej od tych spraw odległe. „Kulisy" donosiły w 1974 roku: „Okręgowa Komisja ds. Młodzieży Polskiego Związku Wędkarskiego w Lublinie wydała - z okazji mającego się odbyć »konsolidacyjnego« zebrania wędkarskiej młodzieży - Apel Wędkarski: «Kochana Młoda Polsko! Ile Cię cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto Cię pokochał. I ten, kto w imię wolności oddał swoje serce i życie, abyś ty żyła wolna i w mądrości rozwijała swe człowieczeństwo. I ten, który przekazuje Tobie wiedzę po to, abyś wzrastała w mądrości i uczciwości pracy. I ten, który w pocie czoła pracuje na twój chleb powszedni... Unikajcie fałszywych przyjaciół. Są starzy miłośnicy sportu wędkarskiego, którzy właściwie przekazują Wam kunszt wędkarski. Ale są i tacy, którzy wciągają Was do biesiad pijackich, w których popisują się zachwaszczoną mową, którą trudno nazwać polską. Rozbijają puste butelki, pozostawiają po sobie śmietniki. Dlatego Polski Związek Wędkarski postanowił uatrakcyjnić pracę z młodzieżą...«".

m

PRL - JAK CUDNIE SIĘ ŻYŁO!

21© te lata

Czas spędzany na słodkim nieróbstwie, dziewczyny

i morze piwa - tak opinia publiczna oceniała studenckie życie.

Od czasu do czasu miała rację.

Dzień znaczony piwem |'11 ygodnik Kulturalny" ogłosił konał» kurs na dziennik studenta. W jednej z prac można było przeczytać: „Jaki jest model współczesnego studenta? Sprytny

nierób potrafiący mieć po kilka dziewczyn, zawsze z forszą i pijący masę piwa - lew klubów? Czy »ryjon«, stwierdzający po studiach, że stracił wzrok i młodość? (...) Wymowne czknięcie uświadomiło mi, że to chyba piąte czy szóste piwo. (...) Opuściliśmy naszą Odnowę. Obiad, wino, piwo. (...) Uff. Możemy świętować. Dwie butelki wina... (...) Niebiosy zesłały Andrzeja z butelką wina. Potem szybciotko pognaliśmy z torbą pełną butelek do punktu skupu, gdzie babci wepchnęliśmy trzy nadtłu-czone i dwie od octu. Otrzymane pieniądze pozwoliły nam na kontynuowanie słodkiego nieróbstwa, Biedny Andrzejek wisi mi aż sześć piw po dzisiejszym lektoracie. Właśnie tyle razy przegrał ze mną w okręty".

Na szlaku zabawy

Do legendy przechodziły studenckie imprezy. O jednej z nich ze zgrozą pisało w 1968 roku „ITD”. „W klubie studentów Akademii Wychowania Fizycznego Relax odbyły się tradycyjne «Andrzej-kił. W programie przewidziany był występ Maryli Rodowicz, laureatki Krakowskiego Festiwalu Studenckich Piosenkarzy. «Rozbawiona młodzież», w większości studenci Akademii, skutecznie utrudniała występ. Zintegrowana alkoholem męska grupa podjęła śpiewy chóralne. Wieczorek prze-

; : 'L*****»-*,

i: -*

^ ŚWIĄTECZNY RZUT TALERZEM

„Jeszcze jednym punktem biesiady w ramach juwenaliów byto zachowanie uczestników, którzy nie dorosli moim zdaniem do miana studentów. Odbywały się rzuty pod sufit zapalonych zimnych ogni, rzucanie butelkami od piwa i talerzami, że nie wspomnę już o gwizdach i wyciu" - pisat oburzony czytelnik „ITD" w 1975r.

ok. 23.00 postanowiło przerwać zabawę. 23.30 tego samego dnia. Wyproszeni goście z okrzykami i śpiewem wchodzą do akademika. Zaglądają do pokoi ciekawi, czy wszyscy dzielają ich rozbawienie. Biegają po piętrach i wybuchami ze ślepych naboi znaczą szlak zabawy. Członkowi Komitetu Wykonawczego RU ZSP, który zwrócił im uwagę, proponują «rozmowę pod budką». Nie pomaga również interwencja członka Podstawowej Organizacji Partyjnej. Pozostali mieszkańcy akademika, których jest przeszło trzystu, siedzą cicho w swoich pokojach. Dopiero około drugiej w nocy wraca cisza. W akademiku niesamowity bałagan. Ubikacje zapchane. Korytarze zabrudzone. Nad wszystkim unosi się zaduch przekwaszonego al-

kształcił się w pijacką burdę. Kierownictwo klubu kohołu i niestrawionych zakąsek".

252

TO IDZIE MŁODOŚĆ

STUDENCKA KLEPKA^ „Spośród sześciu domów studenckich Politechniki Warszawskiej większość jest zapluskwiona, a w nieodmalowanych pokojach czekają na mieszkańców stare żelazne piętrowe tóżka z niewytrzepanymi materacami. Na niektórych piętrach jest zniszczona i przegnita klepka" - donosił tygodnik „ITD" w 1968 r.

Kanty z oknami

Studenci raz po raz próbowali zarobkować - bywało, że w bardzo niekonwencjonalny sposób. „Grupa studentów krakowskich założyła mini-fabrykę aluminium - donosiła prasa. - Skupują oni od kolegów noże, systematycznie przywłaszczane w stołówkach, i następnie po przetopieniu sprzedają w baryłkach na złom. Podobno dorobili się już dużych pieniędzy, ale - jak oświadczył jeden z nich przedstawicielom prasy - mają zamiar przeznaczyć zebrane w ten sposób fundusze na Dom Spokojnej Starości. Władze stołówek w ramach kontrakcji nie wydają obecnie noży, a wiara smaruje chleb palcami". Oszukać państwo można było też przy tradycyjnych zajęciach. Tygodnik „ITD" tłumaczył: „Pokutuje do dziś opinia, że student dorabiający przy myciu okien czy przenoszeniu mebli to istota zabiedzona, wychudła, niedożywiona i w ogóle godna współczucia. Prowokuje to i pracodawców, i studentów do

popelniania »w dobrej wierze« niewielkich nadużyć. Tu dopisze się kilka godzin więcej, gdzie indziej studenci zawyżą obmiary, księgowy przymyka oko, bo... »biedni studenci«, sam też może mieć syna na studiach...". Z kolei „Życie Gospodarcze" relacjonowało w 1968 roku grubszy przekręt: „Afera gospodarcza wykryta została w łódzkiej studenckiej spółdzielni usługowej »Puchatek«. Gang puchatkowy zagarnął około 100 tys. zł, wpisując martwe dusze na listy płac i wystawiając lipne zlecenia. Członkowie gangu pobierali również łapówki od żadnych pracy studentów. Sąd wymierzył członkom gangu kary wieloletniego więzienia". Akademiak, lata 60.

Ziemniaczana prywatka

„Obwieszczamy niniejszym koniec ery tradycyjnych prywatek, którymi do tej pory kończyliśmy zaliczone sesje, udane egzaminy, urodziny, imieniny itp. - pisała prasa młodzieżowa. - Bo czy dotychczasowe sześć piwek plus żółty serek, »bełt« plus paczka herbatników, ogóreczek plus »kłosek« i inne tradycyjne studenckie zestawy są w stanie konkurować z doskonałymi plackami ziemniaczanymi, które można łatwo, szybko i tanio przyrządzić w zwykłej akademickiej kuchence? Od dzisiaj lansujemy »ziemniaczane« prywatki".

Lura w klitce

Łatwo było apelować do studentów o kulturę bycia. Trudnej -zapewnić im minimum wygody. Tak prasa opisywała barek studencki na Wydziale Farmacji Akademii Medycznej w Gdańsku: „Malutka, brudna klitka barku absolutnie nie zaspokaja potrzeb. W pomieszczeniu, które nie ma więcej niż 15 metrów kwadratowych, stoją tylko trzy stoliki. Ewentualna konsumpcja musi się odbywać na stojąco. Bufetowa serwuje zwykle bigos albo fasolkę po bretońsku o konsystencji rzadkiej zupy. Do tego można dojeść czerstwe bułki, żółty lub topiony serek, czasem kiszony ogórek. Nawet herbatę parzoną w wielkim kotle wlewa się do obtłuczonych kubków. Dlaczego zamiast takiej słomkowej lury nie ma ekspresowej w szklankach? Nawet oficjalne ceny kształtują się tu w zadziwiająco dowolny sposób. Porcja bigosu kosztuje 7,20 zł, ale przy kupnie jeszcze dwóch cienkich kawałków chleba cena wzrasta do 9 zł".

... C

...,J

253

Spis ilustracji

A to Polska właśnie...

s. 6: Bolesław Bierut z sarenką na tyłach Belwederu,

Warszawa 1947, fot. Corbis/PAP s. 7: tablica propagandowa z portretem Bolesława

Bieruta, fot. Zdzisław Wdowiriski/Forum s. 7: trumna ze zwłokami Bolesława Bieruta,

Warszawa, 14.03.1956, fot. Janusz Fila/Forum s. 8: dzieci na budowie PKiN, Warszawa,

lipiec

1953, fot. Corbis/PAP s. 9: wykonywanie rzeźb do PKiN w pracowni na Jelonkach,

Warszawa 1954, fot. Corbis/PAP s. 9: prezentowanie makiety PKiN podczas pochodu

pierwszomajowego, Warszawa 1952, fot. PAP s. 10: manifestacja antywojenna przed

budynkiem Poczty Polskiej w Gdańsku w 28. rocznicę wybuchu II wojny światowej, Gdańsk,

01.09.1967, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP s. 11: spotkanie aktywu PZPR, Tczew, marzec

1976,

fot. Zbigniew Kosycarz/KFP s. 12: Władysław Gomułka na spotkaniu przedwyborczym w

FSO, Warszawa 1965, fol. Zbigniew Matuszewski/PAP s. 13: Jerzy Urban, fol. Zbigniew

Matuszewski/PAP s. 14: Edward Gierek i Piotr Jaroszewicz, 1973, fot.

Bogdan topieński/Forum s. 15: demonstracja w rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja,

rozpędzona przez ZOMO, Warszawa, 03.05.1982, fot. Marek Radzikowski/Forum s. 16:

powrót z zakupów z papierem toaletowym,

1971, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP s. 17: Stadion Dziesięciolecia w Warszawie! » wieceu" potępiającym strajki robotnicze w Radomiu i Ursusie, 1976, fot. Chris Niedenthal/Forum s. 18: budowa hali sportowej Spodek w Katowicach, 1969, fot. Kazimierz Seko/PAP s. 19: wybuch gazu w warszawskiej Rotundzie, 15.02.1979, fot. Adam Urbanek/PAP s. 19: budowa łalowca w Gdańsku, 1971, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP s. 20: operator PKF na dachu wozu filmowego, okolice Wałbrzycha, 1947, fot. PAP s. 21: Karol Szczeciński, operator PKF, filmuje masaż zawodnika Henryka Czyża po zakończeniu etapu wyścigu kolarskiego, Wrocław, 02.05.1948, fot. PAP s. 22: Jan Paweł II w Częstochowie podczas pielgrzymki warszawskiej, 1982, fot. Aleksander Jalosiński/Forum s. 23: procesja Bożego Ciata, Łowicz 1975, fot. Andrzej Zbraniecki/Corbis/PAP s. 24: Kardynał Stefan Wyszyński podczas obchodów z okazji 1000-lecia Chrztu Polski, 17.04.1966, fot. PAP s. 25: rozpoczęcie nowego roku szkolnego, 1961, fot. PAP s. 26: pierwsza papieska pielgrzymka Jana Pawła II do Polski, Warszawa, 02.06.1979, fot. Teodor Walczak/Corbis/PAP s. 27: Jan Paweł II z Edwardem Gierkiem, fot. Dama-zy Kwiatkowski/Corbis/PAP s. 28: Syrenka warszawska, bawiące się dzieci, lata 40., fot. Edward Falkowski/ Forum s. 29: kiosk z owocami w Warszawie, 1960, fot. Zygmunt Wdowiński/PAP s. 29: przystanek tramwajowy, Warszawa 1947, fot. PAP s. 30: Piotr Skrzynecki, Kraków 1987, fot. Krzysztof Wójcik/Forum s. 31: Stanisław Lem, 1973, fot. Romuald Broniarek/ Forum s. 31: ks. Józef Tischner, fot. Anna Pietuszek/Forum s. 32: Międzynarodowe Targi Poznańskie, Poznań 1958, fot. Henryk Rosiak/Forum s. 33: centrum Poznania, lata 70., fot. Chris Niedenthal/Forum s. 33: Zakłady im. Hipolita Cegielskiego w Poznaniu, lata 60., fot. Stawek Biegański/Forum s. 34: Urząd Miejski we Wrocławiu, 1972, fot. Aleksander Jalosiński/Forum s. 35: urząd w Warszawie, 1979, fot. Adam Hayder/ Forum s. 36: zawiadomienie dotyczące wydania paszportu na wyjazd czasowy, 1971, fot. Romuald Broniarek/Forum s. 37: odprawa celna w Gdańsku, 1975, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP s. 38: kolejka w przychodni lekarskiej, 1986, fot. Krzysztof Sitek/Corbis/PAP s. 39: oddział noworodków Szpitala Rejonowego w Strzyżowie, 1981, fot. Andrzej Łokaj/Corbis/PAP s. 39: uczeń Zasadniczej Szkoły Zawodowej im. Stefana Starzyńskiego w Warszawie w szkolnym gabinecie dentystycznym, 1947, fot. Corbis/PAP s. 40: tłok w warszawskim tramwaju, lata 60., fot. Stawek Biegański/Forum s. 41: w warszawskim tramwaju, 1957, fot. Lucjan Fogiel/Forum s. 42: urząd pocztowy przy dworcu Warszawa Główna, urzędnicy sortują listy, 1947, fot. Corbis/ PAP s. 43: skrzynka pocztowa koto urzędu pocztowego przy dworcu Warszawa Główna, 1947, fot. Corbis/ PAP s. 44: WOP patrolujący plażę, 1966, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP s. 45: wojskowa komisja poborowa w Gdańsku, październik 1984, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP s. 46: ujawnienie nielegalnej produkcji bimbrowa w Warszawie, fot. Tomasz Langda/Corbis/PAP s. 47: budki telefoniczne, 22.01.1982, fot. Marek Broniarek/PAP s. 47: pierwszy dzień sprzedaży benzyny podczas stanu wojennego, Warszawa, 01.02.1982, fot. Marek Broniarek/PAP

- s. 48: karetka w śniegu podczas zimy stulecia, 1979, fot. Edmund Uchymiak/PAP
- s. 49: autobus w śniegu podczas zimy stulecia, Warszawa 1979, fot. Andrzej Rybczyński/PAP
- s. 50: dziewczynka z pierwszym powojennym wydaniem elementarza Falskiego, Warszawa, fot. Zdzisław Wdowiński/Forum
- s. 51: Marian Falski w swoim mieszkaniu, Warszawa 1973, fot. Janusz Sobolewski/Forum
Kraj pod paragrafem
- s. 52: milicjantka kierująca ruchem w Alejach Jerozolimskich, Warszawa 1947, fot. Jerzy Baranowski/PAP
- s. 53: funkcjonariusze MO patrolujący nocą ulicę Gdańska, 1972, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 54: zbiórka ORMO z Ciechanowa i okolicznych powiatów, Ciechanów 1947, fot. PAP
- s. 55: etykietka na pudełku zapalek, fot. Janusz Fila/ Forum
- s. 56: zatrzymanie przez funkcjonariuszy MO, fot. PAP
- s. 57: nielegalna bimbrownia, 1946, fot. Jerzy Bara-nowski/Corbis/PAP
- s. 58: milicjant z zatrzymanym chłopakiem na Dworcu Wileńskim, Warszawa 1978, fot. Piotr Borowicz/Forum
- s. 59: dziewczynka i milicjant w Gdańsku, 1965, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 60: prostytutka, fot. Maciej Czajkowski/Corbis/PAP
- s. 62: portrety pamięciowe sprawców napadu na bank przy ulicy Jasnej w Warszawie, 22.12.1964, fot. PAP
- s. 64: samoobsługowy sklep z mięsem w Łodzi, 1960, fot. Witold Rozmystowicz/PAP
- s. 65: Stanisław Wawrzecki podczas procesu w tzw. aferze mięsnej, 1965, fot. Bolesław Miedza/ PAP
- s. 66: Władysław Mazurkiewicz i jego obrońca w sądzie, fot. PAP
- s. 67: Paweł Tuchlin podczas wizji lokalnej, lata 80., fot. akta policji/KFP
- s. 68: uprawa maku, fot. Mirosław Trembecki/Cor-bis/PAP
- s. 69: Marek Kolański, Festiwal Muzyków Rockowych w Jarocinie, sierpień 1986, fot. Krzysztof Wójcik/Forum
- s. 70: na plaży w Sopocie, 1986, fot. Stefan Kraszewski/PAP
- s. 71: dzieci podczas zabawy na trzepaku, Warszawa 1974, fot. Hanna Musiatówna/Forum
Herosi popkultury
- s. 72: Leopold Tyrmand, Warszawa 1958, fot. Wojciech Plewiński/Forum
- s. 73: okładka pierwszego wydania Złego Leopolda Tyrmanda, 1955, Biblioteka Narodowa w Warszawie, repr. Krzysztof Konopka
- s. 74: Maciej Słomczyński w swoim mieszkaniu, Kraków 1980, fot. Bohdan Majewski/Forum
- s. 75: spektakl Teatru Sensacji i Fantastyki „Kobra” -Alibi, 03.12.1959, fot. Aleksander Jaloński/ Forum
- s. 77: Alfred Szklarski, 1979, fot. BDL/Forum
- s. 79: Agnieszka Osiecka w domu, 1977, fot. Witold Rozmystowicz/PAP
- s. 80: Joanna Chmielewska, fot. Jarosław Stachowicz/Forum
- s. 81: Kalina Jędrusik, kadr z filmu Lekarstwo na miłość, lot. East News/Polfilm
- s. 83: Michalina Wislocka, lot: Piotr Malecki/Forum
- s. 85: scena z filmu 07zg/oś się, fot PAP
- s. 87: fragment komiksu Zemana sieć z serii o kapitanie Żbiku, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1977
- s. 88: Zbigniew Nienacki, fot. Witold Rozmysłowicz/ PAP
- s. 89: Zbigniew Nienacki na jachcie, fot. Witold Rozmystowicz/PAP

s. 90: Janusz Przymanowski, fot. Zbigniew Matuszewski/PAP s. 91: scena z filmu Czterej pancerni i pies, fot. PAP s. 92: Stanisław Mikulski, kadr z filmu Stawka większa niż życie, fot. PAP s. 92: plan filmowy Stawki większej niż życie, Dtugi Targ w Gdańsku, lata 60., fot. Zbigniew Kosycarz/KFP s. 93: Bogusław Sochnacki i Emil Karewicz na pla- nie Stawki większej niż życie, fot. PAP s. 94: Zdzisław Maklakiewicz i Jan Himilbach, scena z filmu Be/s, 1970, fot. PAP s. 95: Stanisław Tym i Andrzej Dobosz, scena z filmu Rejs, 1970, fot. EastNews/Polfilm s. 96: Stanisław Tym i Eugeniusz Priwieziencow, scena z filmu MIŚ, 1980, fot. Witold Rozmysłowicz/Corbis/PAP s. 97: Bronisław Pawlik, scena z filmu Miś, 1980, East News/Polfilm s. 98: Wojciech Pokora, scena z filmu Poszukiwany, poszukiwana, 1972, fot. East News/Polfilm s. 99: Anna Seniuk i Andrzej Kopiczyński, scena z serialu Czterdziestolatek, fot. Witold Rozmysłowicz/PAP s. 99: Halina Buyno-toza i Władysław Hańcza, scena z filmu Kochaj albo rzuć, 1977, fot. Adam Hawalej/PAP s. 100: Daniel Olbrychski i Małgorzata Braunek, scena z filmu Potop, 1974, fot. Henryk Rosiak/PAP s. 101: Zbigniew Cybulski, scena z filmu Popiół i dia- ment, 1958, fot. Corbis/PAP s. 102: Jan Suzin w studiu, 1980, fot. Maciej Belina Brzozowski/Corbis/PAP s. 103: prezenter pogody, Czesław Nowicki, lata 60., for Corbis/PAP s. 103: jubileusz Dziennika, fot. Aleksander Jalościński/Forum s. 104: Zygmunt Kęstowicz w programie Piątek z Pankracym, 1983, fot. Edmund Radoch/ Corbis/PAP s. 105: Krystyna Loska w studiu telewizyjnym, Katowice 1960, fot. Corbis/PAP s. 105: Irena Dziedzic, fot. Marcin Wegner/Corbis/PAP s. 106: rodzina Matysiaków w studiu, Warszawa 1975, fot. Henryk Rosiak/PAP s. 107: Halina Kunicka, 1965, fot. Romuald Broniarek/ Forum s. 108: Jeremi Przybora z Jerzym Wasowskim, fot. Witold Rozmysłowicz/PAP s. 109: Wiesław Michnikowski, fot. Lucjan Fogiel/ Forum s. 110: Edward Dziewoński, Warszawa 1980, fot. Henryk Rosiak/Corbis/PAP s. 111: Bronisław Pawlik i Jan Kobuszewski w kabarecie Dudek, 1974, fot. Witold Rozmysłowicz/PAP s. 112: Bohdan Smoleń i Zenon Laskowik podczas Międzynarodowej Wiosny Estradowej, 1978, fot. PAP s. 113: kabaret Tey na Międzynarodowej Wiośnie Estradowej, 1978, fot. PAP s. 114: Jerzy Borejsza, fot. Corbis/PAP s. 115: okładka czasopisma „Przekrój” z reprodukcją obrazu Kazimierza Mikulskiego, 24.11.1957, zbiory prywatne Krzysztofa Stasiewskiego s. 115: Marian Eile, Kraków 1960, fot. Wojciech Plewiński/Forum s. 116: polscy kibice na mistrzostwach świata w pitce nożnej w RFN, mecz Polska- Argentyna, 1974, fot. Stanisław Jakubowski/PAP s. 117: mistrzostwa świata w pitce nożnej w RFN, mecz Polska-RFN, 03.07,1974, fot. Stanisław Jakubowski/PAP s. 117: Jan Tomaszewski czyta „The Sun” po meczu Polski z Anglią, 1973, fot. PAP s. 118: mistrzostwa świata w pitce nożnej w Argentynie, drużyna polska z trenerem Jackiem Gmo-chem, 1978, fot. Zbigniew Matuszewski/PAP

s. 119: mistrzostwa świata w piłce nożnej w Hiszpanii, drużyna polska w drodze do Vigo, 1982, fot. Adam Hawalej/PAP

s. 120: XXIII Wyścig Pokoju, zwycięzca etapu Ryszard Szurkowski, 14.05.1970, fot. PAP

s. 121: polska drużyna podczas Wyścigu Pokoju, Warszawa, Stadion Dziesięciolecia, 1969, fot. Jan Rozmarynowski/Forum

Blask estrady

s. 122: Alla Pugaczowa, Sopot 1978, fot. Stefan Kraszewski/PAP s. 123: Violetta Villas, Sopot 1961, fot. PAP s. 124: II Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej, koncert finałowy, Opole 1964, fot. Janusz Sobolewski/Forum s. 125: II Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej, Karin Stanek, Opole 1964, fot. Janusz Sobolewski/Forum s. 126: XVI Festiwal Piosenki Radzieckiej, Zielona Góra 1977, fot. Romuald Broniarek/Forum s. 127: Festiwal Muzyków Rockowych w Jarocinie, 1986, fot. Krzysztof Wójcik/Forum s. 128: Krzysztof Krawczyk, fot. Witold Rozmysłowicz/PAP s. 129: Alibabki, fot. Corbis/PAP s. 129: Dwa Plus Jeden, fot. Damazy Kwiatkowski/PAP s. 130: pierwszy koncert zespołu Rhythm and Blues w gdańskim klubie Rudy Kot, 1959, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP s. 131: Breakout, fot. Marek A. Karewicz/Forum s. 132: Czesław Niemen na festiwalu w Opolu, 1973, fot. PAP s. 133: Czesław Niemen w klubie Stodota, Warszawa, 1970, fot. Romuald Broniarek/Forum s. 134: Seweryn Krajewski podczas dożynek na Stadionie Dziesięciolecia, 1969, fot. Jan Morek/Forum s. 135: Czerwone Gitary, fot. Marek A. Karewicz/Forum s. 136: Maryla Rodowicz na festiwalu w Opolu, 1970, fot. PAP s. 137: Agnieszka Osiecka i Maryla Rodowicz, 1974, fot. Marek Karewicz/Forum s. 138: Anna Jantar w czasie próby przed koncertem na festiwalu w Sopocie, 1976, fot. Teodor Walczak/Corbis/PAP s. 139: Anna Jantar z córką, Natalią Kukulską, fot. Marek Karewicz/Forum s. 140: koncert Perfectu, 1987, fot. Teodor Walczak/Corbis/PAP s. 141: konferencja prasowa Perfectu, 1987, fot. Wojciech Szabelski/PAP s. 142: Krzysztof Klenczon, fot. PAP s. 143: Skaldowie, 1969, fot. Ryszard Okoński/PAP s. 144: Mick Jagger podczas koncertu The Rolling Stones w Sali Kongresowej w Warszawie, 13.04.1967, fot. Cezary Langda/PAP s. 145: publiczność podczas koncertu The Rolling Stones w Sali Kongresowej w Warszawie, 13.04.1967, fot. Cezary Langda/PAP

Kraj na co dzień

s. 147: rodzinna uroczystość jubileuszowa, Brwinów 1982, fot. Romuald Broniarek/Forum s. 148: Władysław Gomułka ogląda nowy model taksówki, Warszawa, 25.05.1964, fot. Mariusz Szyperko/PAP s. 149: nowa centrala telefoniczna dla Mokotowa, Warszawa, 20.09.1947, fot. PAP s. 150: mieszkanie w Warszawie, 1953, fot. Zbyszko Siemaszko/Forum s. 151: mieszkanie przy ulicy Grzybowskiej w Warszawie, 1976, fot. Stawek Biegański/Forum s. 151: ślepa kuchnia, Warszawa, lata 70., fot. Sławek Biegański/Forum s. 152: wystawa mebli, 1982, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP s. 153: Targi Meblowe w Kalwarii Zebrzydowskiej, 1972, fot. Andrzej Piotrowski/PAP/ADM s. 154: model odbiornika tranzystorowego Izabella z Zakładów Radiowych Eltra, Bydgoszcz 1969, fot. Jacek Gili/PAP s. 155: salon samochodowy, fot. Witold Rozmysto-

wicz/PAP s. 155: na stoku Szrenicy, 1979, fot. Zbigniew Staszyszyn/PAP s. 156: Barbara Hoff, fot. Janusz Sobolewski/Forum s. 157: pokaz kolekcji Barbary Hoff, Dom Towarowy Sawa, Warszawa 1991, fot. Witold Jablonowski/PAP s. 158: moda lat 60., fot. Stawek Biegański/Forum s. 159: pokaz mody na dachu Domów Towarowych Centrum, Warszawa 1975, fot. Michał Kutakowski/Forum s. 159: kolekcja Centralnego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Przemysłu Odzieżowego, Łódź 1980, fot. Andrzej Zbraniecki/PAP s. 160: w zakładzie fryzjerskim, 1979, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP s. 161: zakład perukarsko-fryzjerski w Gdańsku, 1972, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP s. 162: rolnik ze wsi Jeleniewo w swoim domu, 1986, fot. Jan Morek/Forum s. 163: kupno telewizora, Janów 1973, fot. Stanisław Moroz/Corbis/PAP s. 165: kolejka do kina Polonia w Sopocie, 1977, fot. Maciej Osiecki/Forum s. 166: studenci w kawiarni na placu MDM, Warszawa, lata 60., fot. Sławek Biegański/Forum s. 167: Warszawa, kawiarnia, 1946, fot. Edward Falkowski/CFK/Forum s. 168: dowcipy rysunkowe Sławomira Mrożka, w: „Przekrój”, 17.02.1957, zbiory prywatne Krzysztofa Stasiewskiego s. 169: góral pieniński spędzający owce, fot. Robert Patka/Forum s. 170: pijak śpiący na ulicy, Czarnolas 1974, fot. Sławek Biegański/Forum
255

Spis ilustracji

s. 171: spotkanie towarzyskie w zakładzie pracy, 1964, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
s. 171: festyn gazety „Słowo Ludu”, Radom 1971, fot. Aleksander Jatosiński/Forum
s. 172: kuchnia, Warszawa 1982, fot. Chris Niedenthal/Forum
s. 173: sklep mięsny, Wrocław 1948, fot. Edward Falkowski/Forum
s. 174: Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego i Higieny w Warszawie, 1973, fot. Zbyszko Siemaszko/ Forum
s. 175: domowe porządki, Warszawa 1953, fot. Zbyszko Siemaszko/Forum
s. 176: budowa dekoracji na gdańskim osiedlu Żabianka, listopad 1975, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
s. 177: etykieta na pudełku zapalek, fot. Foka/Forum
s. 177: przed punktem skupu zboża w Nidzicy, 1986, fot. Jan Morek/Forum
s. 179: hasła propagandowe kolarskiego Wyścigu Dookoła Polski, Warszawa 1988, fot. Jan Rozmarynowski/Forum
s. 181: uroczystości barbórkowe, Ruda Śląska 1949, fot. Jerzy Baranowski/PAP
s. 182: warsztat samochodowy, 1947, fot. PAP
s. 183: gabłota z ogłoszeniem, Kraków 1984, fot. Krzysztof Wójcik/Forum
s. 184: Edward Gierek z żoną Stanisławą podczas Dnia Czynu Partyjnego, Warszawa 1978, fot. Zbigniew Matuszewski/PAP
s. 185: masówka w Hucie Warszawa, 1968, fot. Henryk Rosiak/PAP
s. 186: uroczystość zawarcia związku małżeńskiego w Patacu Ślubów, Warszawa 1969, fot. Tadeusz Zagodziński/Corbis/PAP
s. 188: odpoczynek na trasie rajdu kajakowego, Giżycko 1947, fot. PAP
s. 189: para na Starym Mieście, Warszawa 1971, fot. Zbigniew Matuszewski/PAP
s. 190: wystawa „Venus 70”, 1972, fot. Jan Morek/ Forum
s. 192: okładka pierwszego numeru kwartalnika „Natura Naturyzm” 1989, fot. Andrzej Zbraniecki/ Corbis/PAP
s. 193: bal „Tygodnika Każdego Konsumenta VET0” dla naturystów, 1985, fot. Janusz Fila/Forum

- s. 194: postój taksówek, Warszawa 1973, fot. Andrzej Rybczyński/PAP
- s. 196: budka telefoniczna na Nowym Świecie, Warszawa 1970, fot. Janusz Fila/Forum
- s. 197: Radomska Wytwórnia Telefonów, fot. Romuald Broniarek/Forum
- s. 198: przerwa w pracy robotników Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, 1964, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 199: kiosk przy ul. Grójeckiej w Warszawie, 1986, fot. Kacper Krajewski/Forum
- s. 200: Zakłady Radiowe im. M. Kasprzaka w Warszawie, 1969, fot. Marian Sokołowski/Corbis/PAP
- s. 201: Urząd Patentowy w Warszawie, 1969, fot. Henryk Rosiak/Corbis/PAP
- s. 202: Polskie Zakłady Optyczne w Warszawie, 1947, fot. PAP
- s. 203: Urząd Patentowy w Warszawie, 1969, fot. Henryk Rosiak/Corbis/PAP
- s. 203: akademie zaktadowa z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet, fot. PAP
- s. 204: wystawa projektów wynalazczych w Gdańsku, 1975, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 205: sprawdzanie komputera K-202, fot. Romuald Broniarek/Forum
- s. 206: inż. Jerzy Szafranski ze swoją kolekcją kaktusów, 1969, fot. Andrzej Lokaj/Corbis/PAP
- s. 207: ogródki działkowe przy al. Waszyngtona w Warszawie, 1982, fot. Aleksander Jatosiński/Forum
- s. 208: Warszawa nocą, 1970, fot. Zbyszko Siemaszko/Forum
- s. 209: bal sylwestrowy w Domu Technika w Gdańsku, styczeń 1977, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 210: piknik na Kaszubach, 1975, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 211: spędzanie wolnej soboty w polskiej chacie w latach 80., fot. Romuald Broniarek/Forum
- s. 212: domek kempingowy na Półwyspie Helskim, 1966, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 213: plaża w Sopocie, 1960, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 214: żniwa na wsi, lata 50./60., fot. Eustachy Kossakowski/Forum
- s. 215: wybory do Sejmu Ustawodawczego, Bąków koto Łowicza, 19.01.1947, fot. Stanisław Urbanowicz/Corbis/PAP
- s. 215: wielodzietna rodzina, wieś Pełty, 1978, fot. Krzysztof Paweł/Forum
- s. 216: uczniowie Państwowego Gimnazjum Rolniczego w Podzamczu Chęcińskim koto Kielc w umywalni, fot. PAP
- s. 217: pralnia w Trójmieście, 1964, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 217: pranie we Frani, Warszawa 1965, fot. Marian Sokołowski/PAP
- Rynek socjalistyczny
- s. 218: wentylator elektryczny Zefir, fot. Piotr Kochański, Michał Sielewicz/Forum
- s. 219: termowentylator OTW 2, fot. Piotr Kochański Michał Sielewicz/Forum
- s. 219: modelka prezentująca modę końca lat 70., 1978, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 220: obniżka cen, 1972, fot. Bolestaw Miedza/PAP
- s. 221: sklep z AGD, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 222: szyldy, Wrocław, 1972, fot. Aleksander Jatosiński/Forum
- s. 223: u krawca, 1950, fot. Zbyszko Siemaszko/Forum
- s. 224: wizyta delegacji Towarzystwa Przyjaźni Ra-dziecko-Polskiej w Polsce, 1958, fot. Romuald Broniarek/Forum
- s. 225: bar mleczny przy Nowym Świecie w Warszawie, 1952, fot. Jan Tymiński/PAP
- s. 226: przyzakładowa stotówka, 1977, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 227: przerwa w przygotowaniach do akcji strajkowej „Solidarności” dla Regionu Mazowsze, 1981 fot. Ireneusz Radkiewicz/PAP
- s. 228: podróżny w pociągu, 1978, fot. Hanna Musia-tówna/Forum
- s. 229: pierwszy wagon restauracyjny Orbisu, Warszawa 1947, fot. Corbis/PAP

- s. 229: dworzec stacji Warszawa Główna, Warszawa 1947, fol, Corbis/PAP
- s. 230: motocykl Junak wyprodukowany w Szczecińskiej Fabryce Motocykli, Szczecin 1957, fot. PAP
- s. 231: Szczecińska Fabryka Motocykli, 10-tysięczny Junak, 1959, fot. PAP
- s. 232: samochód marki Warszawa w zimowym plenerze, 1958, fot, Romuald Broniarek/Forum
- s. 233: naprawa Fiata 125p w warunkach polowych, 1988, fot. Romuald Broniarek/Forum
- s. 233: Mikrus na ulicy w Warszawie, 1963, fot. Romuald Broniarek/Forum
- s. 234: taśma montażowa FSO na Żeraniu, 100-ty-sięczny samochód Syrena, 1969, fot. PAP
- s. 235: rajd samochodowy Monte Calvaria, 1968, fot. PAP
- s. 236: Fiat 126p jako nagroda w loterii fantowej, 1978, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 237: Fabryka Samochodów Małolitrażowych w Bielsku-Białej, 1979, lot, PAP
- s. 237: Zalew Zegrzyński, 1988, fot. Adam Urbanek/ PAP
- s. 238: otwarcie sklepu w Skaryszewie, fot. Jarosław Stachowicz/Forum
- s. 239: otwarcie pierwszego sklepu samoobsługowego w Warszawie, 1961/1962, fot. Eustachy Kossakowski/Forum
- s. 240: pucybut, Warszawa 1946, fot. Edward Faikowski/CFK/Forum [ROZWINĄĆ IMIĘ]
- s. 241: dziewczyna pijąca coca-colę, 1972, fot. Andrzej Rybczyński/PAP
- s. 241: pracownica Raciborskiej Fabryki Mydła prezentuje proszki do prania, Racibórz 1969, fot, Ryszard Okoński/PAP
- To idzie młodość
- s. 242: proces bikiniarzy, 1951, fot. PAP
- s. 243: pochód jazzowy na sopockim Monciaku z okazji I Ogólnopolskiego Festiwalu Jazzowego w Sopocie, 06.08.1956, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 244: autostop, Mikołajki 1964, fot. Jan Rozmarynowski/Forum
- s. 245: kontrola drogowa, Bielsko-Biała 1982, fot. Andrzej Baturó/PAP
- s. 246: hipisi, lata 70., fot. Jan Morek/Forum
- s. 247: fia rynku w Pucku podczas Dni Darów Morza, 1973, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 248: plakat informujący o dyskotecie otwieranej przez ZSMP, Sokółka 1980, fot. Witold Ku-iński/Forum
- s. 249: bar Disco-Live, Mikoszewo 1983, fot. Aleksander Jatosiński/Forum
- s. 249: dyskoteka, Warszawa 1971, fot, Ireneusz Radkiewicz/PAP
- s. 251: chłopcy z makulaturą, Gdańsk 1974, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 252: juwenalia na Długim Targu w Gdańsku, maj 1972, fot. Zbigniew Kosycarz/KFP
- s. 253: studentki w akademiku, Gdańsk, lata 60., fot. Zbigniew Kosycarz/KFP

256

w

„Partia walca z narodem © lepsze Jutro'

m-

Zabawna książka, która z nutką nostalgii opisuje trudne czasy PRL-u, m.in.:

Hobby - PRL nie oferował zbyt wielu rozrywek. Należało zorganizować je sobie samemu.

Najprościej było poświęcić się hobby: „Jeden z mieszkańców Kielc obwieszał ściany swego domu pięknymi porożami, choć na polowaniach nigdy nie był. Rogi upamiętniały jego liczne

romanse z mężatkami. Z kolei jako dowód klęsk miłosnych przechowywał jelenie zęby".

Mieszkanie - radość z otrzymania po wielu latach własnego M gasił regulamin osiedlowy:

„Mieszkanie, a zwłaszcza przyjmowanie gości, było niezwykle skomplikowanym i delikatnym

przedsięwzięciem. Osoby przebywające w budynku w porze nocnej, a niezamieszkujące w nim,

wpuszczone mogły być po wyjaśnieniu portierowi celu przybycia i okazania mu dowodu osobistego".

Higiena - w gazetach pojawiały się dziesiątki haseł propagujących higienę, ale dostęp do publicznych szaletów był kłopotliwy: „Jedna wielka wielkomiejska ubikacja kosztowała aż pół miliona złotych. Dlatego w latach 60. w Warszawie działał tylko tuzin ustępów, czyli jeden na 100 tysięcy mieszkańców".

Kuchnia - gospodynie dwoiły się i troiły, by zastąpić czymś mięso, którego ciągle brakowało. Pomysły, np. na kotlet z kaszanki, podsuwały gazety: „Z kaszanki zdjąć osłonkę, rozdrobnić widelcem. Na patelni rozgrzać tłuszcz, zeszklić w nim drobno pokrajaną cebulkę, po czym dodać do kaszanki wraz z jajkiem i przyprawami. Bardzo dobrze masę wyrobić drewnianą łyżką, formować kotleciki, obtaczać w tartej bułce i smażyć na patelni jak normalne kotlety".

\
Y*" V*.

co usta słodsze na od Malin «J Maja d»i^

-----1 V

CD \$> %

•* o

fi8k

;eck III^ мам towar^sŁ Stali».

1 www.publicat.pl 1 Φ publicat ■ WYDAWNICTWO

; cena 24,90 zł

PUB.PDEK009-0001

ISBN 978-83-245-1506-6 9II7 8 83 2 4II5 1 5066'I>

>Cy» -war

187335 24.90

•tulatacte.

9788324515066